

STEPHEN E. AMBROSE

KOMPANIA BRACI

Od Normandii do Orlego Gniazda Hitlera
Kompania E 506 pułku piechoty spadochronowej
101 Dywizji Powietrznodesantowej
PRZEKŁAD Leszek Erenfeicht

*Wszystkim żołnierzom piechoty spadochronowej Armii Stanów
Zjednoczonych w latach 1941 - 1945
Dla których Fioletowe Serce nie było odznaczeniem
Lecz oznaką specjalności*

*Od chwili tej do końca świata
... w pamięci ludzkiej będziemy żyć:
my wybrańców garść,
... kompania braci*

Henryk V

Wiliam Szekspir

PRZEDMOWA

W czerwcu 2000 roku do Nowego Orleanu przyjechali Tom Hanks i Steven Spielberg, by przez kilka dni uczestniczyć w uroczystym otwarciu National D-Day Museum. Ich obecność wzbudziła wielkie zainteresowanie gości, pracowników muzeum, reporterów, ekip telewizyjnych - w ogóle wszystkich.

W różnych imprezach towarzyszących otwarciu uczestniczyły tysiące weteranów II wojny światowej - większość z nich wzięła udział w ponad trzykilometrowej paradzie. Jadąc w zabytkowych pojazdach wojskowych, machali do zebranych wzdłuż trasy nieprzebranych tłumów, pokazywali transparenty z napisem „Dziękujemy” i reprodukcje pierwszych stron nowoorleańskiego „Times-Picayune” z wielkimi czołówkami obwieszczającymi kapitulację Niemiec i Japonii. To była największa defilada wojskowa, jaką widział Nowy Orlean od czasu zakończenia II wojny światowej - z przemarszem oddziałów w mundurach z epoki, orkiestrami, paradą pojazdów, przelotami historycznych samolotów i oczywiście obecnością weteranów.

Kiedy przed trybuną pojawiła się grupa rangersów, Tom Hanks przeskoczył przez barierkę, by uściskać im ręce i poprosić o autografy. Pytał, czy może sobie zrobić z nimi zdjęcie. Wkrótce dołączył do niego Steven Spielberg. Gwiazdy w jednej chwili przeistoczyły się w fanów.

Tom i Steven pracowali wtedy nad serialem dla telewizji HBO, który miał być ekranizacją tej książki. Byłem pod wrażeniem ich dbałości o szczegóły i zgodność historyczną. Przesyłali mi scenariusze poszczególnych odcinków do zatwierdzenia. Moje uwagi i komentarze czytali z uwagą, bardzo starali się je realizować - mimo że przecież nigdy w życiu nie byłem scenarzystą. Wiem, jak się pisze książki, ale serialu czy filmu fabularnego na pewno nie *potrafiłbym stworzyć*. Wraz ze mną scenariusze dostawali do przejrzania także główni bohaterowie tej opowieści. Steven i Tom jeździli do nich i rozmawiali, odkrywając często nie znane fakty, do których nawet ja nie dotarłem. Co więcej, odtwarzający główne role aktorzy także dzwoniли do weteranów, w których mieli się wcielać. Pytali o ich przeżycia i emocje w czasie tamtych wydarzeń. Czy pan się wtedy uśmiechał? Odczuwał radość? Napięcie? A może był pan przygnębiony, w stanie depresji? Kiedy w Anglii zaczęto kręcić zdjęcia do serialu, Tom zdołał nawet namówić Dicka Wintersa, żeby towarzyszył ekipie filmowej jako konsultant.

W „Podziękowaniach” na końcu opowiadam, jak doszło do tego, że w ogóle napisałem książkę o kompanii E. Tom i Steven po przeczytaniu zdecydowali się przerobić ją na scenariusz serialu telewizyjnego, co wcale nie było rzeczą prostą. Na rynku co roku pojawiają się setki, jeśli nie tysiące nowych książek o II wojnie światowej. Tym, co zainteresowało ich w Kompanii braci, był jej zakres - obejmujący niemal całą kampanię w północno-zachodniej Europie - lecz także, a kto wie, czy nie w większym stopniu, sposób przedstawienia: koncentracja na jednej zaledwie, choć wyróżniającej się kompanii piechoty. Na osobowościach i działaniach garstki ludzi. To właśnie owa personalizacja zafascynowała w tej historii mnie, ich i wielu czytelników. Wojna była olbrzymim przedsięwzięciem, którym - lepiej lub gorzej - kierowały dziesiątki mniej lub bardziej wybitnych generałów i polityków. Ludzie mają już dość globalnego spojrzenia. Nie chcą po raz kolejny czytać o Eisenhowerze i Naczelnym Dowództwie, o prezydencie Rooseveltcie i jego sztabie, o strategii. Chcą poznać historię i doświadczenia poszczególnych ludzi, żołnierzy, lotników, marynarzy. Chcą wiedzieć, co robili i dlaczego. Szukają w tej lekturze rozrywki, ale też wiedzy, a przede wszystkim - inspiracji.

Tom i Steven, jak wielu z ich pokolenia, są zafascynowani II wojną światową. Doskonale zdają sobie sprawę, jak dużo zawdzięczają tym, którzy w niej walczyli. Większą część swojej pracy właśnie im poświęcili, honorując osiągnięcia weteranów. To się rzuca w oczy.

Podzielam ich uczucia i cieszę się, że mogłem wziąć udział wraz z nimi w ożywianiu historii przez ukazanie indywidualnych losów ludzi, którzy ją tworzyli.

*Chcieliśmy dostać te
cholerne skrzydła*

Camp Toccoa
lipiec - grudzień 1942

Ludzie do kompanii E 506 pułku piechoty spadochronowej (506 PPS) 101 Dywizji Powietrznodesantowej (101 DPD) przybywali z najróżniejszych środowisk, z najrozmaitszych części kraju. Wśród nich i farmerzy, i górnicy, i ludzie gór, i Południowcy. Niektórzy przerażająco biedni, inni z klasy średniej. Był jeden harwardczyk, jeden absolwent Yale i dwóch z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Tylko jeden służył jako żołnierz przed wojną, a paru przyszło z Gwardii Narodowej lub rezerwy. Reszta była obywatelami w mundurach - armią z poboru.

Spotkali się latem 1942 roku, kiedy Europejczycy kończyli trzeci rok wojny. Do wiosny 1944 roku stali się elitarną kompanią lekkiej piechoty powietrznodesantowej. Rankiem 6 czerwca, w dniu lądowania w Normandii, w swojej pierwszej walce kompania E zdobyła i unieszkodliwiła baterię niemieckich haubic 105 mm, trzymającą w szachu odcinek desantowy Utah. Nacierali na Carentan, walczyli w Holandii, bronili Bastogne, prowadzili kontrofensywę w Ardenach, toczyli boje o Nadrenię i zajęli kwaterę Hitlera, Orle Gniazdo w Obersalzbergu. Za sławę zapłacili stratami w wysokości stu pięćdziesięciu procent stanu etatowego. W szczytowym okresie sprawności bojowej, w Holandii w październiku 1944 roku i w Ardenach w styczniu 1945 roku, śmiało mogli się równać z najlepszymi na świecie.

Kiedy zrobili swoje, kompanię rozwiązano, a oni wrócili do domu.

Każdego ze stu czterdziestu podoficerów i szeregowych oraz siedmiu oficerów, którzy tworzyli pierwotny stan kompanii, przywiodła do miejsca jej utworzenia w Camp Toccoa, w Georgii, inna droga, ale mieli ze sobą wiele wspólnego. Wszyscy byli młodzi, urodzili się po Wielkiej Wojnie. Wszyscy byli biali, gdyż w Armii Stanów Zjednoczonych panowała w czasie wojny segregacja rasowa. Tylko trzech z nich byli żonaci. Większość za młodu polowała i uprawiała sporty.

Wyznawali specyficzny układ wartości. Najbardziej liczyły się dla nich: życie w znośnych warunkach, hierarchiczna organizacja i bycie częścią elitarnego oddziału. Byli

idealistami, gotowymi nadstawić karku za swoją grupę, poszukującymi oddziału, z którym mogliby się identyfikować, stanowić jego część i traktować jak wielką rodzinę.

Do spadochroniarzy zgłosili się na ochotnika, jak sami mówili - dla emocji, zaszczytu i miesięcznego dodatku spadochronowego (pięćdziesiąt dolarów dla szeregowego, sto dla oficera¹). Ale tak naprawdę do skakania z samolotów zgłosili się z dwóch względów natury osobistej. Pierwszy można by ująć słowami Roberta Radera jako „chęć bycia lepszym niż reszta”. Każdy z członków kompanii przeszedł przez to samo, co przeżył Richard Winters: w pewnej chwili doszedł do wniosku, że nie po drodze mu z indywidualami, które spotykał, odkąd przeszedł bramę ośrodka uzupełnień. Musiały być jakieś lepsze sposoby na wojskową karierę. Oni nie uważali, że służba wojskowa to katastrofa, klęska życiowa i dziura w życiorysie. Chcieli przez to przejść, ucząc się czegoś, a czekające ich wyzwania miały pomóc im dojrzeć.

Po drugie, wiedzieli, że idą na wojnę. Skoro tak, nie mieli zamiaru trafić tam w towarzystwie niedouczonej słabowitych poborowych. Mając do wyboru - skakać ze spadochronem jako awangarda ofensywy albo iść noga za nogą, w tłumie ludzi, którym nie można ufać - uznali, że mniejsze szansę na przeżycie mają jako szara masa armatniego mięsa. Kiedy zaczną do nich strzelać, woleli trafić gdzieś, gdzie mogliby na sąsiada patrzeć z nadzieją, a nie z obawą. Większości z nich Wielki Kryzys lat trzydziestych dał się we znaki i odcisnął głębokie piętno. Dorastając, nierzadko nie dojadali, chodzili w dziurawych butach, podartych swetrach, nie mieli samochodów, czasem nawet radia. Nie byli raczej intelektualistami - Wielki Kryzys albo wojna oderwały ich od szkolnej ławki.

„A, mimo wszystko, bardzo kochałem i wciąż Kocham mój kraj”, deklarował po czterdziestu ośmiu latach Harry Welsh. Niezależnie od tego, jak życie się z nimi obeszło, nie winili za to ani jego, ani swego kraju. Wielki Kryzys nauczył ich polegania na sobie samych, ciężkiej pracy, przyjmowania rozkazów. Uprawiając sporty i polując, poznali poczucie własnej wartości i uwierzyli w swoje siły.

Zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że czekają ich poważne niebezpieczeństwa. Wiedzieli, że los będzie od nich wymagał więcej niż od innych. Wcale nie palili się poświęcać najlepszych lat młodości na toczenie wojny, której żaden z nich nie wywołał. Chcieli rzucać piłką na boisku, a nie granatem na polu bitwy, strzelać do lizaków z wiatrówek w wesołym miasteczku, a nie z karabinów Garanda do ludzi. Skoro jednak już mieli trafić na

¹ To była spora suma w tamtym czasie - żołd szeregowego zwykłej piechoty wynosił 84 dolary miesięcznie [przyp. tłum.].

wojnę, postanowili pogodzić się z tym i wyciągnąć ze służby wojskowej ile się da najlepszego.

O wojskach powietrznodesantowych nie wiedzieli nic ponad to, że był to nowy i złożony w całości z ochotników rodzaj broni. Mówiono im, że trening i zaprawa fizyczna będzie cięższa niż to, co do tej pory widzieli i co spotkają w innych oddziałach, ale oni byli jak młode lwy i chcieli się sprawdzić. Po zakończeniu szkolenia spodziewali się, że będą więksi, silniejsi, sprawniejsi i bardziej wytrzymali. A przede wszystkim to szkolenie przejdą z ludźmi, u których boku przyjdzie im walczyć.

„Wielki Kryzys się skończył. Zaczynałem nowe życie, które miało mnie zmienić do głębi”, wspominał lato 1942 roku Carwood Lipton. Nie tylko jego, wszystkich innych ono też zmieniło.

Porucznik Herbert Sobel z Chicago był pierwszym członkiem kompanii E, jej dowódcą. Jego zastępcą został podporucznik Clarence Hester z północnej Kalifornii. Ciężko było znaleźć dwóch innych tak różniących się od siebie ludzi. Sobel był Żydem, który oficerskiego stopnia dorobił się w Gwardii Narodowej. Hester zaczynał służbę jako podoficer, a potem skończył podchorążówkę i został promowany na stopień podporucznika. Większość dowódców plutonów i ich zastępców - podporucznik Dick Winters z Pensylwanii, podporucznik Walter Moore z Kalifornii, podporucznik Lewis Nixon, nowojorczyk z Yale - także było produktem podchorążówek i pośpiesznego wojennego programu kształcenia dowódców. Tylko S.L. Matheson jeszcze przed wojną uczęszczał do studium wojskowego Uniwersytetu Kalifornijskiego. Dwudziestoosmioletni Sobel był w kompanii E niemal starcem - reszta kadry oficerskiej miała co najwyżej po dwadzieścia cztery lata.

Kompania E wraz z kompaniami D, F i kompanią sztabową tworzyły 2 batalion 506 pułku piechoty spadochronowej (506 pps). Dowódcą batalionu był major Robert Strayer, trzydziestoletni oficer rezerwy, dowódcą pułku - pułkownik Robert Sink, absolwent West Point z promocji 1927. 506 pułk stał się jednostką eksperymentalną, w której żołnierze mieli odbywać szkolenie unitarne i spadochronowe jako jeden oddział. Upłynie niemal rok, zanim zostanie przyłączony do 101 DPD, „Krzyczących Orłów”. Oficerowie nie mieli o działaniu wojsk spadochronowych większego pojęcia niż żołnierze. Często uczyli ich rzeczy, których sami nauczyli się dzień wcześniej.

Pierwotna kadra podoficerska trafiła do nich z przedwojennej armii.

„Podziwialiśmy ich, stali się dla nas bogami, bo nosili odznaki spadochronowe, byli wyszkolonymi skoczkami. Prawdę mówiąc, nawet gdyby nimi nie byli, ale tylko umieli poprawnie zrobić w tył zwrot, to też byliby lepsi od nas, surowych rekrutów. Potem, patrząc

na nich z perspektywy lat, nie kryliśmy swojej pogardy. Gdzie im tam było do naszych kolegów, którzy z czasem awansowali na podoficerskie stopnie”, wspomina szeregowy Walter Gordon z Missisipi.

Pierwszymi szeregowymi kompanii byli Frank Perconte, Herman Hansen, Wayne Sisk i Carwood Lipton. W ciągu kilku dni od jej utworzenia stan osobowy kompanii wzrósł do etatowych stu trzydziestu dwóch żołnierzy i ośmiu oficerów. Podzielono ich na trzy plutony i sekcję dowodzenia. Każdy pluton składał się z trzech dwunastoosobowych drużyn i jednej sześćoosobowej sekcji broni ciężkiej z moździerzem. W kompanii, jako jednostce lekkiej piechoty, bronią wsparcia były karabiny maszynowe (po jednym na drużynę) i moździerz 60 mm (po jednym w każdej sekcji broni ciężkiej).

Niewielu z członków założycieli kompanii E przetrwało szkolenie w Camp Toccoa. „Oficerowie przyjeżdżali i odjeżdżali. Po jakimś czasie wystarczyło raz na nich spojrzeć i człowiek już wiedział, czy dadzą sobie radę. Niektórzy byli jak z masła. Nawet padać nie umieli tak, żeby sobie krzywdy nie zrobić”, wspomina Winters.

To samo dotyczyło wszystkich kandydatów do 506 pps. Jego stu czterdziestu ośmiu oficerów wybrano spośród ponad pięciuset ochotników. Aż pięć tysięcy trzystu ochotników na szeregowych i podoficerów musiało się przewinać przez obóz, by skompletować etatowy stan tysiąca ośmiuset żołnierzy.

Już choćby te liczby pokazują, że szkolenie podstawowe pułku piechoty spadochronowej w Camp Toccoa było poważnym wyzwaniem. Pułkownik Sink miał za zadanie wybrać swoich ludzi, zahartować ich, nauczyć podstaw taktyki piechoty, przygotować do zadań, które postawi przed nimi szkoła spadochronowa, i zbudować pułk, który poprowadzi na wojnę.

„Zajmowaliśmy się głównie sortowaniem ludzi, oddzielaniem ziarna od plew i odsiewaniem tych, którzy nie nadawali się do naszej służby”, wspomina porucznik Hester.

Szeregowy Ed Tipper tak opisuje swój pierwszy dzień w kompanii E: „Łazimy po placu, a ja patrzę na pobliską górę Currahee i mówię do chłopaków: - Założę się, że jak skończymy szkolenie, to na koniec pogonią nas na szczyt tej cholernej góry, zobaczycie.

Właściwie to nie była żadna góra, ot, taki sobie pagórek, ze trzysta metrów wysokości, ale okolica była równinna i Currahee nad nią dominowała. Ledwie skończyłem mówić, rozległ się gwizdek. Stajemy na zbiorce, każą nam się przebrać w stroje gimnastyczne i zebrać ponownie. Zrzucamy łachy, ciężkie buciory, w koszulkach i spodenkach stajemy ponownie na zbiorce. I co? Zgadliście, zasuwamy w tę i z powrotem na szczyt tej cholernej góry, pięć kilometrów, prawie cały czas biegiem.

Paru ochotników odpadło, zanim jeszcze zaszło słońce. W tydzień później byliśmy już w stanie przebiec, a co najmniej pokonać szybkim marszem, całą trasę”.

Tipper dalej wspomina:

„Pod koniec drugiego tygodnia powiedzieli: dziś nie biegamy. Zaprowadzili nas do stołówek, gdzie każdy wrębał na obiad potężną porcję spaghetti i klopsów. Wychodzimy ze stołówek, a tu gwizdek na zbiórkę. - Rozkazy się zmieniły. Na szczyt góry, biegiem, marsz!

No i pobiegliśmy, a za nami pojechało kilka sanitarek. Ludzie rzygali tym cholernym spaghetti przez całą drogę. Kto odpadł i skorzystał z zaproszenia łapiduchów do samochodu, wyleciał jeszcze tego samego dnia”.

W tym czasie dowiedzieli się, że Currahee to indiańskie słowo, które znaczy „nie mamy równych sobie”. Od tej pory stało się ono bojowym okrzykiem 506 pułku.

Oficerowie i żołnierze, bez różnicy, biegali na szczyt Currahee trzy, cztery razy w tygodniu. Po jakimś czasie byli już w stanie przebyć cały dystans, pięć kilometrów z okładem, w pięćdziesiąt minut. Codziennie też ćwiczyli na torze przeszkód, robili dziesiątki pompek i przysiadów, godzinami ćwiczyli skłony i skręty tułowia, wymachy, wypadki i wszelkie inne figury gimnastyczne.

W chwilach wolnych od ćwiczeń poznawali podstawy żołnierskiego rzemiosła. Po musztrze przyszła kolej na nocne marsze w pełnym oporządzeniu polowym. Trasa pierwszego z nich liczyła niemal osiemnaście kilometrów, potem za każdym razem przybywało po kilometrze lub nawet dwa. W czasie tych marszów nie było przerw na odpoczynek, na papierosa, nie było wody.

„Czuliśmy się okropnie, byliśmy wyczerpani, myśli krążyły tylko wokół jednego: jeszcze dwa kroki i jak się zaraz nie napiję wody, to padnę jak amen w pacierzu”, wspomina szeregowy Burton „Pat” Christenson.

A jednak docierali do końca marszu, a wtedy Sobel zarządził przegląd oporządzenia. Jeśli potrząśnięta manierka zachlupotała - bo ktoś z niej upił łyk - ochotnik z miejsca wylatywał.

Ci, którym się udało przetrwać, zawdzięczali to osobistej zawziętości, determinacji i chęci zadawania szyku zewnętrznymi oznakami przynależności do elity. Jak wszystkie elitarne oddziały wojskowe na świecie amerykańskie wojska powietrznodesantowe miały własne, odróżniające je od innych, oznaki i odznaki. Po ukończeniu szkolenia spadochronowego każdy z nich miał dostać srebrną odznakę spadochronową - sylwetkę uskrzydłonego spadochronu - noszoną na lewej kieszeni kurtki mundurowej, naszywkę na furażerkę, wysokie buty skoczka. Gordon wspomina: „Teraz [w roku 1990] to może się

wydawać pozbawioną sensu dziecinadą, ale wtedy byliśmy gotowi oddać życie za prawo do noszenia tych odznak i wpuszczania spodni w buty, za prawo do bycia spadochroniarzem”.

Jedyny odpoczynek mieli na wykładach - o broni, terenoznawstwie, taktyce piechoty, polowej łączności telefonicznej, sygnalizacji, układaniu i naprawie linii telefonicznych, obsłudze centrali telefonicznej, materiałach wybuchowych. Pozostała część szkolenia - walka na bagnety, walka wręcz - znowu zmuszała ich do wyęczenia obolałych mięśni.

Kiedy wręczono im broń, wiedzieli już, że mają się z nią obchodzić delikatnie, jak z żoną. Te cztery z hakiem kilogramy metalu i drewna miały im zastąpić na jakiś czas ukochane kobiety. Mieli je nosić na rękach i troszczyć się o nie, spać z nimi w polu, znać najintymniejsze szczegóły ich budowy, umieć rozłożyć i zmontować z zawiązanymi oczami.

Przygotowanie do szkolenia spadochronowego polegało głównie na skakaniu z wybudowanej w Toccoa dwunastometrowej wieży. Na jej szczycie zakładano delikwentowi uprzęż spadochronową i wypychano za barierkę, spuszczając na biegnącej przez bloczek lince zawieszono na pięciometrowej długości taśmach nośnych. Taki skok w pustkę i lot, zakończony zwykle dość twardym lądowaniem, dawał kandydatom przedsmak tego, co ich czekało w dniu pierwszego prawdziwego skoku ze spadochronem.

Jak w każdym wojsku, tak i tu wszystkim tym czynnościom towarzyszyły skandowane chóralne okrzyki, miarowe śpiewy, pomagające odmierzać krok, wykrzykiwane rozkazy i przekleństwa. Wszyscy wyrażali się, używając języka, który nie przypadkiem nosi miano „krótkich, żołnierskich słów”. Dziewiętnasto- i dwudziestoletni poborowi, wolni od krępujących więzów rodziny i cywilnej kultury, tworzący wyłącznie męskie towarzystwo, używali tego języka jako spoiwa, które łączyło tak różnych, przypadkowo zgrupowanych ludzi w jedną całość. Jak wiadomo, prawdziwi mężczyźni posługują się głównie jednym czasownikiem, zaczynającym się na literę p, i gęsto okraszają swe przemówienia przecinkiem w postaci słowa zaczynającego się na literę k. To ostatnie zastępowało właściwie wszystkie inne rzeczowniki, dając początek równie uniwersalnemu przymiotnikowi i przysłówkowi. Opisywano nimi kucharzy (k...wskie lub p...dolone parzygnaty), ich ostatnie dokonania kulinarne (znowu to tak k...wsko sp...dolili, tego się k...a nie da jeść), czasem tylko przerywając tę monotonię przywołaniem innych rzeczowników i przymiotników, zwykle pochodzących od nazw szczegółów anatomicznych obu płci. David Kenyon Webster, student anglistyki Uniwersytetu Harvarda, zwierzał się po latach, że miał trudności z dostosowaniem się do „ohydneho, monotonnego, a nade wszystko pozbawionego polotu języka”. Niemniej jednak to właśnie ten język sprawiał, że chłopcy, przeistaczający się w mężczyzn, czuli się

pewnie, a nade wszystko jeszcze silniej ze sobą związani. W końcu nawet Webster do niego przywykł, choć nigdy nie polubił.

Proces formowania elity żołnierzy nie ograniczał się do nauki przeklinania, strzelania z karabinu i poznawania na własnej skórze granic fizycznych możliwości ludzkiego ciała. Uczono ich też czegoś znacznie ważniejszego - natychmiastowego i bezrefleksyjnego wykonywania rozkazów. Jakakolwiek chwila zawahania w wykonywaniu rozkazu była karana od razu dwudziestoma lub więcej pompkami. Poważniejsze wykroczenia kończyły się odebraniem weekendowej przepustki, wielogodzinną musztrą w pełnym oporządzeniu na placu apelowym i innymi wymyślnymi szykanami. Gordon wspomina: „W armii mają takie powiedzenie: Nie możemy cię zmusić do zrobienia czegoś, ale potrafimy sprawić, byś żałował, że tego nie zrobiłeś. Oj, potrafili!”.

Zespoleni wspólną niedolą, skandowanymi wspólnie hasłami i śpiewanymi w czasie marszu i ćwiczeń piosenkami, stawali się powoli jedną wielką rodziną.

Kompania uczyła się działać jako jednostka. W ciągu kilku dni od swego powstania stu czterdziestu żołnierzy kompanii E umiało już robić zwroty w szyku jak jeden mąż, ruszać biegiem i stawać w miejscu na komendę, padać na ziemię i robić pompki w takt komend sierżanta, wrzeszczeć chórem: „Ołem anie ulkowniku!”, „Tak jest, sir!” i „Nie, sir!”.

To wszystko było częścią rytuałów inicjacyjnych, wspólnych dla każdej armii świata. Podobnie jak nauka picia alkoholu. Pito głównie piwo, bo tylko je wolno było sprzedawać w kantine bazy, a w pobliżu nie było żadnego miasteczka. Mnóstwo piwa. Pili i śpiewali żołnierskie piosenki. A pod koniec zabawy zawsze znalazł się ktoś, kto się obraził o jakąś uwagę, ktoś, komu sprostowano matkę, siostrę, ukochaną, region pochodzenia czy rodzinne miasto. Pięści szły w ruch bardzo łatwo, jak to wśród chłopców; krwawiły nosy, czerniały sińce pod oczyma, ale nie dochodziło do poważniejszych obrażeń. Kiedy już się rozładowali, niedawni przeciwnicy, wspierając się nawzajem na niezbyt pewnych nogach, wracali do koszar, wznosząc bojowe okrzyki i z obcych sobie ludzi stawali się towarzyszami broni.

Rezultatem tych wspólnych doświadczeń była specyficzna więź, nie dająca się porównać z niczym, co kiedykolwiek łączyło ludzi postronnych. Towarzysze broni są sobie bliżsi niż przyjaciele, bliżsi niż bracia. Jest to jednak więź inna od tej, która łączy kochanków. Towarzysze broni znają się na wylot, ufają sobie bez granic. Znają na pamięć swoje historie życia, anegdotki, wiedzą, jak trafili do wojska, kiedy, gdzie i dlaczego zgłosili się na ochotnika do szkolenia spadochronowego, co lubią pić i jeść, do czego są zdolni. W czasie

nocnego marszu poznają się nawzajem po kaszlu, w czasie nocnych ćwiczeń w lesie poznają się po chodzie i sylwetce.

Ich poczucie przynależności stawało się tym silniejsze, im niżej sięgnąć w hierarchii: byli żołnierzami armii, spadochroniarzami z 506 pułku, jego 2 batalionu, ale przede wszystkim kompanii E, swojego plutonu, a nade wszystko swojej drużyny i członkami paczki wewnątrz drużyny czy sekcji. Szeregowy Kurt Gabel z 513 pps wyraził to słowami, które mogłyby paść z ust każdego żołnierza kompanii E:

„Wszyscy trzej, Jake, Joe i ja, staliśmy się [...] jednością. Takich jedności było w naszych zwartych pododdziałach mnóstwo. Grupki po trzech, czterech chłopaków, zwykle z tej samej sekcji, a co najwyżej drużyny, zworniki utrzymujące w kupie drużynę czy pluton. [...] To poczucie wspólnoty [...] rozwijało się w więź nierozzerwalną i niepowtarzalną. Często zdarzało się, że trzy takie paczki tworzyły razem drużynę, co w walce dawało nieprawdopodobne rezultaty. Ci goście dosłownie narzucali się innym z tym, żeby za nich głodować, marznąć i kiedy trzeba - ginąć. Cała drużyna będzie sobie flaki wypruwać, żeby ich osłaniać, zmienić w razie potrzeby, nie zważając na żadne przeszkody, a przecież cały czas klnąc w żywy kamień tych, przez których muszą nadstawiać karku. To, co się dzieje w takiej drużynie, sekcji karabinu maszynowego czy sekcji rozpoznania, ma w sobie coś mistycznego²„.

Filozof J. Glenn Gray w swoim klasycznym dziele *The Warriors* celnie ujął samą istotę takiej więzi:

Żadne wysiłki organizacyjne, mające na celu osiągnięcie jasno wytyczonego celu, w czasie pokoju nie są w stanie stworzyć takiej więzi, jaka w czasie wojny łączy żołnierzy. [...] To poczucie wspólnoty graniczące z ekstazą. [...] Ludzie tylko wtedy są prawdziwymi przyjaciółmi, kiedy jeden jest gotów oddać życie za drugiego - bez namysłu, refleksji, i bez zważania na poniesioną stratę³.

Takie więzy między żołnierzami, zrodzone w pocie na poligonie i zahartowane w ogniu walki, trwają do końca życia. Czterdzieści dziewięć lat po Toccoa szeregowy Don Malarkey z Oregonu pisał o tamtym lecie 1942 roku:

Taki był początek najbardziej pamiętnego doświadczenia mego życia, bycia członkiem kompanii E. Od tamtych czasów każdy dzień życia kończę żarliwą modlitwą dziękczynną do

² Kurt Gabel, *The Making of a Paratrooper: Airborne Training and Combat in World War II*, Lawrence, Kansas, 1990, s. 142.

³ J. Glenn Gray, *The Warriors: Reflections of a Man in Battle*, New York, 1959, s. 43-46.

Adolfa Hitlera za to, że pozwolił mi spotkać na swej drodze najbardziej utalentowanych i inspirujących ludzi, jakich w życiu poznałem.

Każdy żołnierz kompanii E, z którym rozmawiałem, pisząc tę książkę, powiedział coś podobnego, choć może innymi słowami.

W miarę jak zajęcia szkoleniowe się intensyfikowały, podoficerowie awansowani spośród szeregowych stopniowo zastępowali przysyłanych z armii. W ciągu roku trzynaście etatów podoficerskich w kompanii E obsadzali już ludzie, którzy tam trafili jako rekruci. Byli to między innymi: szef kompanii, starszy sierżant William Evans, sierżanci James Diel, Salty Harris i Myron Ranney, plutonowi Leo Boyle, Bili Guarnere, Carwood Lipton, John Martin, Robert Rader i Amos Taylor.

„Tych ludzi szanowaliśmy jako naszych przełożonych i za nimi poszlibyśmy choćby w ogień”, oceniał ich po latach jeden z szeregowych.

Także oficerowie, którzy ostali się w kompanii, stanowili grupę ludzi nadzwyczajnych i generalnie - za wyjątkiem dowódcy kompanii, porucznika Sobela - szanowanych.

„Wręcz ciężko było uwierzyć, że istnieją tacy ludzie jak Winters, Matheson, Nixon i inni. To byli naprawdę oficerowie pierwszej klasy i to, że dzielili się z nami swoim czasem, cierpiąc wspólne niewygody i niebezpieczeństwa, zdawało nam się czasem jakimś cudem. Nauczyliśmy się ufać im bez granic”, wspomina szeregowy Rader. Szczególną atencją darzył Wintersa: „Winters odmienił nasze życie. Okazywał nam otwarcie przyjaźń, był szczerze zainteresowany nami i postępami naszego szkolenia, a przy tym jakiś taki nieśmiały i nie powiedział »gówno«, nawet jak w nie wlaź”.

Tę ostatnią cechę potwierdza Gordon: „Kiedyś wyjeżdżał z bazy jeepem i któryś z chłopaków zawołał: »Hej, panie poruczniku, co, na laski jedziemy?«, a Winters spiekł raka”.

Matheson, który wkrótce objął stanowisko adiutanta batalionu, a w przyszłości miał zostać generałem majorem, najbardziej z oficerów kompanii przejmował się swoją karierą wojskową. Hester „ojcował” żołnierzom, a Nixon prowadził światowe życie. Winters nie był ani jednym, ani drugim, nie kaprysił i nie parł do stawiania na swoim za wszelką cenę.

„Dick Winters nigdy nie uważał się za Boga i zawsze postępował jak mężczyzna”, chwalił go szeregowy Rader. Był oficerem, który wyciskał z ludzi to, co w nich najlepsze, bo według Radera „ludzie tak go lubili, że szybciej by zdechli, niż go zawiedli”.

Był - i jest nadal, po tylu latach - ubóstwiany przez żołnierzy kompanii E.

Podporucznik Winters miał jednak poważny problem: był nim porucznik (wkrótce awansowany na kapitana) Sobel.

Dowódca kompanii był dość wysoki, szczupłej budowy ciała, z szopą kędzierzawych czarnych włosów. Oczy miał wąskie jak strzelnice bunkra, nos wielki i zakrzywiony, końską twarz i cofniętą szczękę. W cywilu sprzedawał ubrania i nie miał pojęcia o życiu na łonie natury. Był niezdarny, brakowało mu koordynacji ruchowej i żaden był z niego sportowiec. Każdy z żołnierzy kompanii miał lepszą kondycję fizyczną. Kiedy się odezwał, żołnierzy śmieszyły jego manieryczne zdania, „po prostu mówił inaczej”. Ponadto był uosobieniem arogancji.

Sobel stanowił typ zakompleksionego tyra. Kaprys historii wyniósł go na stanowisko, na którym mógł się wyżywać na podległych mu ludziach. Jeśli ktoś mu podpadł z jakiegokolwiek przyczyny, zawsze znalazł powód, żeby kogoś takiego ukarać za jakieś, choćby najdrobniejsze i nieważne - realne, czy wymaginowane, przewinienie.

Facet był po prostu sadystą. W czasie sobotniej porannej inspekcji mógł się wyładować. Stając przed wybranymi na ten dzień ofiarami, zgłaszał je do raportu za, na przykład, „brudne uszy”. Kiedy już pozbawił za to przepustek trzech czy czterech żołnierzy, zmieniał repertuar i pół tuzina następnych nieszczęśników siedziało przez weekend w koszarach za „brudny pas” czy cokolwiek innego. Jeśli ktoś przeżył jego inspekcję i spóźnił się z powrotem przed niedzielnym capstrzykiem, Sobel wyciągał go w poniedziałek wieczór, po całym dniu wyczerpujących ćwiczeń, z koszar i kazał łopatką kopać okop „na pełny profil” (czyli okop dla stojącego żołnierza) tylko po to, by po zakończeniu kazać go zasypać.

Sobel chciał mieć - za wszelką cenę - najlepszą kompanię w pułku. Jego metodą było piętrzenie przed swoimi ludźmi wymagań. Zawsze musieli ćwiczyć dłużej, biegać szybciej i pracować ciężiej niż inni.

Kiedy kompania biegła na szczyt Currahee, Sobel biegł na jej czele. Głowa mu się kiwała, ręce bezwładnie opadały na boki, co chwila oglądał się przez ramię, czy ktoś nie odpadał od szyku. Klapał przy tym stopami jak przerażona kaczka i krzychał: „Japonce wam pokażą!” albo „Hi-ho, Silver!”⁴.

Tipper wspomina: „Pamiętam, że wielokrotnie, kiedy kończyliśmy długi bieg, wyczerpani i ledwie żywi, musieliśmy stać i czekać na komendę »Rozejść się!«. Sobel zaś biegał wokół i wydierał się: »Bacność! Stać bez ruchu!«. Sukinsyn potrafił nas trzymać tak w nieskończoność, zanim wreszcie nasza zdolność do przeistaczania się w kamienne posągi go zadowoliła. To było nie do wytrzymania, ale robiliśmy, co nam kazał, bo chcieliśmy dostać te cholerne skrzydła”.

⁴ Okrzyk wznoszony przez Toma Miksa w westernach z jego udziałem [przyp. tłum.].

U Gordona wywołało to trwającą całe życie nienawiść do Sobela. „Póki nie wylądowaliśmy o świcie 6 czerwca w Normandii, druga wojna światowa toczyła się dla mnie między mną a tym skurwielem”, mówił w roku 1990.

Jak większość szeregowych, Gordon zaklinał się, że kiedy wejdą do walki, Sobel nie przeżyje nawet pięciu minut. Jeśli Niemcy go nie „kropną”, co najmniej tuzin jego własnych żołnierzy z przyjemnością ich w tym wyręczy. Za plecami nikt nie nazywał go ani kapitanem, ani nie wymieniał jego nazwiska.

Z powszechnie używanych epitetów chyba tylko „pier...ony gudłaj” nadaje się jako tako do druku.

Oficerowie mieli z Sobelem równie ciężkie życie co szeregowi. Ich zaprawa fizyczna była taka sama jak żołnierzy, ale w odróżnieniu od nich nie mogli po usłyszeniu upragnionej komendy „Rozejść się” zwalić się na łóżka i próbować odpocząć, ale musieli studiować regulaminy i instrukcje, by zaliczać przed Sobelem egzaminy. Na odprawach, jak wspomina Winters, „Sobel cały czas pokazywał, kto tu rządzi. Nie było żadnej dyskusji. Prowadził je cały czas podniesionym, piskliwym głosem. W ogóle nie mówił, cały czas histerycznie krzyczał. To było bardzo irytujące”.

Oficerowie przezywali swojego przełożonego Czarnym Łabędziem.

Sobel nie miał przyjaciół. Oficerowie unikali go, kiedy poszedł do kasyna. Nikt nie chciał razem z nim jechać na przepustkę, nikt nie szukał jego towarzystwa. Nikt w całej kompanii E nie znał historii jego życia i nikt nie był jej ciekaw. Dowódca miał natomiast swoich faworytów. Na tej liście pierwsze miejsce nieodmiennie zajmował szef kompanii, starszy sierżant William Evans. Obaj, Sobel i Evans, szczuli jednych przeciw drugim, tu dając przywilej, ówdzie go zabierając.

Każdy, kto kiedykolwiek był w wojsku, zna ten typ: Sobel był klasycznym okazem zupaka. Najwięcej uwagi przykładał do rzeczy o najmniejszym znaczeniu. Paul Fussell w swojej książce *Wartime* podaje chyba najlepszą definicję zupactwa:

*To zachowanie charakterystyczne dla stosunków panujących w wojsku, obliczone na uczynienie wojskowego życia jeszcze gorszym, niż jest: małostkowe prześladowanie słabszego, otwarta uzurpacja władzy, autorytetu i prestiżu, sadyzm skrywany za fasadą niezbędnej dyscypliny, ciągle wyrównywanie zadawnionych rachunków, a zwłaszcza nacisk na trzymanie się litery regulaminów, a nie ich ducha.*⁵

⁵ Paul Fussell, *Wartime: Understanding and Behavior in the Second World War*, New York, 1989, s. 80.

Sobel miał nad ludźmi władzę, ale ich szacunek zaskarbił sobie porucznik Winters. To musiało kiedyś doprowadzić do konfliktu. Nikt tego otwarcie nie powiedział, nie każdy w kompanii E nawet zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje, ale fakt pozostawał faktem: obaj oficerowie rywalizowali o przywództwo kompanii.

Niechęć Sobela do Wintersa zaczęła się już w pierwszym tygodniu szkolenia w Toccoa. Winters prowadził gimnastykę. „Stałem na podeście i demonstrowałem poszczególne ćwiczenia, pomagając żołnierzom je wykonywać. Rany, jakie to były ostre chłopaki, a słuchali mnie, jakbym grał na zaczarowanym flecie”.

Obok placu przechodził pułkownik Sink. Zatrzymał się, żeby popatrzeć. Kiedy skończyli, podszedł do niego.

- Poruczniku, który raz pańscy ludzie wykonywali te ćwiczenia?
- Trzeci, panie pułkowniku.
- Dziękuję bardzo, proszę kontynuować.

Kilka dni później, nie pytając o zdanie Sobela, awansował Wintersa na porucznika. Od tej pory Winters trafił na czarną listę dowódcy kompanii. Jeżeli była jakaś brudna robota do wykonania - inspekcja latryn, kolejka służby oficera kasynowego - wiadomo było, że przypadnie Wintersowi.

Fussell pisze:

Zupactwo można rozpoznać po tym, że zupak największy nacisk kładzie na to, co ma najmniejszy związek z prowadzeniem i wygrywaniem wojen⁶.

Winters nie zgadza się, że Sobel był tylko zupakiem. Uważa, że jakaś część z tego, co robił, miała jednak sens, czego pewnie nie da się powiedzieć o metodach, którymi próbował to wyegzekwować. Kompania E biegała dłużej i szybciej niż inne, ćwiczyła dłużej i ciężiej od innych, ćwiczyła walkę na bagnety do wtóru krzykliwego głosu swego dowódcy, który do znudzenia powtarzał im, że Japońcy nauczą ich naprawdę walczyć - ale wszystko składało się na to, że kompania E była najlepszą kompanią batalionu i pułku.

Za największą wadę Sobela Winters uważał, prócz jego autorytarnych metod i złośliwości, brak realnej oceny własnej wartości. Ten człowiek nie miał ani zdrowego rozsądku, ani doświadczenia wojskowego. Nie umiał czytać mapy. Na ćwiczeniach potrafił pytać - przy świadkach! - swego zastępcę: - Hester, gdzie my jesteśmy?

Hester starał się wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, nie ośmieszając swego przełożonego, ale wszyscy i tak wiedzieli swoje.

⁶ Ibidem.

Sobel podejmował decyzje bez zastanowienia, nie zasięgając konsultacji - i zwykle się mylił. Pewnej nocy w czasie szkolenia w Toccoa kompania była w lesie na ćwiczeniach. Działali w obronie, to miała być zasadzka: ich zadaniem było jedynie siedzieć cicho i czekać, aż przeciwnik sam wlezie pod lufę. Winters wspomina: „Nic trudnego, łatwizna. Starczy rozstawić ludzi tak, żeby się nawzajem nie powystrzelali, kazać siedzieć cicho i czekać. No to czekamy. Nagle powiało i liście zaczęły szeleścić, jak to w lesie. A Sobel zrywa się na równe nogi i jak nie zacznie tym swoim piskliwym głosem wrzeszczeć: »To oni! Atakują! Atakują!« Mój ty Boże wszechmogący, gdyby to było naprawdę, przeciwnik wybiłby całą cholerną kompanię do nogi przez tego durnia! Pomyślałem: Nie, ja z nim na wojnę nie idę. Niech się pali, niech się wali, mowy nie ma. Toż on nie ma za grosz zdrowego rozsądku!”

Winters ocenia jednak, że „Sobel był tępym satrapą, ale trzeba przyznać, że kompania chodziła jak zegarek. Kompanię E widać było z daleka, wyróżniała się we wszystkim, co robiła, ci chłopcy byli naprawdę ostrzy”.

Winters nie jest w swojej opinii odosobniony. Szeregowy Rader mówi o swoim dawnym dowódcy, że „rugował bezlitośnie twój cywilny sposób robienia rzeczy i razem z nim twoją godność, ale w zamian robił cię najlepszym żołnierzem w całej armii”.

Problem Sobela polegał według Wintersa na tym, że „nie dostrzegał pogardy i buntu, które wywoływał swoim postępowaniem. Ludźmi rządzi się strachem lub przykładem. My byliśmy rządzani strachem”.

Każdego z weteranów kompanii E pytałem, czy nadzwyczajna bliskość, która połączyła ich na zawsze, niezwykła spoistość pododdziału, trwała i odporna na czas identyfikacja z kompanią powstała dzięki czy raczej wbrew Sobelowi. Odpowiedź mnie zaskoczyła. Wszyscy, którzy nie twierdzili, że „i jedno, i drugie”, odpowiadali, że to dzięki Sobelowi. Rod Strohl, usłyszawszy pytanie, spojrzał mi w oczy i z naciskiem odparł:

- Herbert Sobel stworzył kompanię E. Kropka.

A mimo to niemal wszyscy, jeszcze po tylu latach, wciąż go nienawidzili za to, jakimi metodami sprawił ten cud. Ta nienawiść jeszcze bardziej zwarła ich szeregi. Winters: „Nie ma wątpliwości - wszyscy dzielili to uczucie. Młodszy oficerowie, podoficerowie, żołnierze, bez różnicy. Wszyscy czuliśmy do niego to samo. To nas do siebie zbliżało. Wszyscy jednak musieliśmy przeżyć Sobela”.

Ta nienawiść była tak zapiekła, że nawet w przypadkach, które powinny mu zaskarbić ich podziw, nie byli do niego zdolni. W Toccoa każdy, szeregowy, podoficer czy oficer, musiał zaliczyć sprawdzian sprawności fizycznej. Przez to ciągle bieganie na górę i z powrotem, nadprogramowe wizyty na torze przeszkód, pompki za każde krzywe spojrzenie,

byli w tak świetnej formie, że nikt nie obawiał się zawalenia sprawdzianu. Każdy z nich mógł bez odpoczynku i w szybkim tempie zrobić trzydzieści pięć, czterdzieści albo i więcej pompek, a do zdania sprawdzianu wystarczyło trzydzieści. Niemniej cała kompania odliczała nerwowo każdy dzień pozostały do sprawdzianu, w żołnierskich salach panowało wielkie podniecenie. Przyczynę wyjaśnił szeregowy Tipper: „Wiedzieliśmy, że Sobel to ciniar. Ledwie był w stanie zrobić dwadzieścia pompek. Zawsze w tym momencie przerywał ćwiczenie razem z kompanią i do końca serii tylko nadzorował, czy ktoś nie robi przerw. Przy uczciwym sprawdzianu była szansa na to, że obleje i go wyrzucą.

Sprawdzian Sobela był uczciwy i publiczny. Sam stałem wśród tłumnie zgromadzonej jakieś pięćdziesiąt metrów dalej publiczności, która z napięciem śledziła każdy jego ruch i z radością witała każde potknięcie. Po dwudziestej pompce zwolnił. Około dwudziestej czwartej czy piątej widać było, jak mu drżą ramiona, szczerwieniał, ale ćwiczył dalej. Nie wiem, jak on wydusił te trzydzieści pompek, ale faktem jest, że je zrobił. Tłum publiczności zamilkł, pokręciliśmy z rezygnacją głowami, nikt się nawet nie uśmiechnął, i powoli się rozeszliśmy. Uporu to skubańcowi nie brakowało. Pozostało się pocieszać, że wreszcie ktoś zauważył, że ten facet jako dowódca to kiepski żart”.

Spadochroniarze byli ochotnikami. Każdy, oficer czy szeregowy, mógł odejść w każdej chwili. I wielu odeszło - ale nie Sobel. Nie musiał brać na swoje barki brzemienia bycia oficerem elitarniej jednostki, mógł odejść na posadę w kwatermistrzostwie, nikt go nie trzymał. Lecz jego determinacja w trwaniu przy swoim wyborze dorównywała determinacji każdego z jego podwładnych.

Cieężko było wymagać od kompanii E więcej niż od D i F, bo złożonym z nich 2 batalionem dowodził major Strayer, który był niemal takim samym fanatykiem jak Sobel. W Święto Dziękczynienia pułk Sinka miał świętować i odpoczywać, ale Strayer postanowił, że to najlepszy czas na zorganizowanie dwudniowych ćwiczeń dla jego batalionu. Ćwiczenia były terenowe, kucharze świętowali, więc batalion miał w ramach symulacji warunków bojowych przejść na racje K - żelazne racje prowiantowe, złożone z puszek z gulaszem, sucharów, batonu czekoladowego i soku owocowego w proszku. Program obejmował długie marsze, atak na umocnioną pozycję i alarm gazowy w środku nocy.

Samo święto Strayer uczcił tak, że uczestnikom tamtych ćwiczeń na długo wryło się w pamięć. Na słupkach rozciągnięto drut kolczasty, jakieś pół metra nad ziemią. Karabiny maszynowe strzelały ostrą amunicją tuż nad tymi zasiekami, żeby się nikt za bardzo nie wychylał. A na ziemi leżały przywiezione przez Strayera z pobliskiej rzeźni świńskie wnętrzności - serca, płuca, jelita, wątroby. Ludzie musieli czołgać się przez tę kupę

zakrwawionych flaków, żeby „oswajać się z widokiem pola walki”. Raz oswojeni, pamiętają je do dziś.

Pod koniec listopada cykl szkolenia podstawowego kompanii został zakończony. Każdy żołnierz poznał swoją specjalność, umiał celnie strzelać z moździerza, karabinu maszynowego, broni osobistej, sygnalizować, udzielać pierwszej pomocy i wykazać się całą resztą wymaganych umiejętności. Mogli pełnić wzajemnie swoje obowiązki, jeśli nie doskonale, to chociaż w podstawowym zakresie. Każdy szeregowy znał obowiązki kaprała i sierżanta i był gotów w razie konieczności je objąć. I każdy, kto przeszedł przez Toccoa, był zaszczytny niemal do granicy buntu. „Wszyscy mówiliśmy sobie: jeśli udało nam się przez to przejść, teraz będziemy w stanie znieść wszystko”, podsumował Christenson.

Na dzień przed opuszczeniem Toccoa pułkownik Sink przeczytał w „Readers Digest”, że pewien japoński batalion piechoty ustanowił rekord świata w długości marszu, pokonując sto pięćdziesiąt kilometrów wzdłuż Półwyspu Malajskiego w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Natychmiast doszedł do wniosku, że jego ludzie są lepsi od Japończyków i wybrał batalion Strayera, który gonił swoich żołnierzy najbardziej w całym pułku, żeby to udowodnili. 1 batalion pojechał pociągiem do Fort Benning, 3 batalion do Atlanty, a batalion Strayera poszedł - dosłownie - w ich ślady.

Pierwszego grudnia o 7.00 kompanie D, E, F i sztabowa 2 batalionu wyruszyły w długą drogę, w pełnym oporządzeniu i z bronią. Ten marsz ze zwykłym karabinem był dla uczestników morderczą udręką, a co dopiero dla nieszczęśników, takich jak Malarkey z sekcji wsparcia dźwigający dodatkowo płytę oporową moździerza czy Gordon objuczony karabinem maszynowym. Trasa, którą Strayer wybrał dla swego batalionu, miała sto dziewięćdziesiąt kilometrów, z czego sto sześćdziesiąt po gruntowych wiejskich traktach. Pogoda była paskudna, porywisty wiatr zacinał marznącym deszczem ze śniegiem, drogi pod setkami nóg zamieniały się w błotniste, śliskie grzęzawiska.

„Pierwszego dnia brnęliśmy przez to czerwone błoto, chlapiąc wodą na boki i padając co chwila na nos, klnąc na czym świat stoi i licząc każdą sekundę do następnego postoju”, wspomina Webster. Szli przez cały dzień, długo w noc. Przestało padać, ale zimny, przejmujący wiatr chłostał ich nadal.

Do 23.00 pokonali sześćdziesiąt pięć kilometrów i Strayer wybrał miejsce na nocleg - zupełnie płaskie, pozbawione jakiegokolwiek osłony pustkowie, bez żadnych drzew czy choćby krzaków, chroniących przed wiatrem. Temperatura spadła do sześciu stopni Celsjusza poniżej zera. Na kolację dostali chleb z masłem i dżemem, bo nie udało się rozpalić pod kuchnią polową. Kiedy o 6.00 rozległy się gwizdki na pobudkę, każdy z nich był pokryty grubą

warstwą lodu. Buty i skarpety pozamarzały w bryłę. Wielu, tak szeregowych jak oficerów, musiało rozsznurować buty, żeby je wcisnąć na spuchnięte stopy. Karabiny, moździerze i karabiny maszynowe przymarzły do ziemi, a przy zwijaniu płachty namiotowe chrzęściły jak arkusze celuloиду.

Drugiego dnia marszu musieli ująć kilka kilometrów, zanim zeszywniały, obolałe mięśnie rozgrzały się i przestały doskwierać przy każdym ruchu. Trzeci dzień był najgorszy. Przeszli już sto trzydzieści kilometrów, pozostało ostatnie sześćdziesiąt, z czego około trzydziestu asfaltową szosą prowadzącą do Atlanty. W błocie trudno maszerować, ale asfalt jest znacznie gorszy. Noc przesпали na terenach miasteczka akademickiego Uniwersytetu Oglethorpe na przedmieściach Atlanty.

Malarkey i jego kolega Warren „Skip” Muck spięli swoje pałatki i zwalili się śmiertelnie zmęczeni do wnętrza utworzonego z nich namiotu. Po jakimś czasie ogłoszono, że wydają jedzenie. Malarkey nie mógł ustać na nogach. Do kuchennej kolejki doczłgał się na czworakach. Jego dowódca plutonu, Winters, spojrział na niego i kazał mu czekać na sanitarkę, która zawiezie go do ich ostatecznego celu, Five Points w centrum Atlanty.

Rano Malarkey doszedł do wniosku, że jednak da radę dojść tam na własnych nogach. Prawie wszyscy dotarli o swoich siłach. Ich marsz stał się sławny, trąbiły o nim radio i gazety, więc na wielki finał wyległy ich przywitać tłumy mieszkańców Atlanty. Strayer załatwił orkiestrę, która czekała na nich półtora kilometra przed Five Points. Malarkey, zmagający się z potwornym bólem, wspomina, że „kiedy orkiestra zagrała, nagle stało się z nami wszystkimi coś przedziwnego. Wyprostowałem się, ból zniknął i pomaszerowaliśmy jak na defiladzie w Toccoa”.

Pokonali sto dziewięćdziesiąt kilometrów w siedemdziesiąt pięć godzin. Maszerowali w tym czasie przez trzydzieści trzy i pół godziny, a więc z przeciętną szybkością pięciu i pół kilometra na godzinę. Z pięciuset osiemdziesięciu sześciu oficerów i żołnierzy batalionu tylko tuzina zabrakło na mecie, choć wielu z tych, którzy doszli, musiało się wspierać na kolegach. Pułkownik Sink miał z czego być dumny: „Żaden z chłopaków nie próbował się migać. Kiedy już któryś z nich padał, to na twarz”.

3 pluton porucznika Moore'a, jako jedyny z kompanii E, dotarł do celu w komplecie. W nagrodę dostąpił zaszczytu prowadzenia defilady przez centrum Atlanty.

POWSTAŃ, ZACZEPIĆ LINY**Benning, Mackall, Bragg, Shanks**

grudzień 1942 - wrzesień 1943

Benning okazało się jeszcze bardziej nędzną dziurą niż Toccoa. Dotyczyło to zwłaszcza osławionej Patelni, pułkowego obozowiska, gdzie odbywało się szkolenie spadochronowe. Ludzie mieszkali w obskurnych drewnianych baraczkach, ustawionych na gołej, pylistej ziemi. Mimo to Benning było radośnie witaną odmianą dla kompanii E - nareszcie widzieli sens tego, co robią. Uczyli się czegoś konkretnego, a nie tylko ćwiczyli mięśnie od rana do nocy.

Szkolenie spadochronowe początkowo planowano podzielić na trzy fazy. Faza A miała służyć zaprawie fizycznej, po której następowały kolejno fazy B, C i D, trwające po tygodniu każda. Kompanii E oszczędzono fazy A. Było to zasługą 1 batalionu, który dotarł na Patelnię jako pierwszy z całego 506 pułku. Miejscowi sierżanci próbowali dać im wycisk w fazie A, prowadząc z miejsca na długi - w ich przekonaniu - bieg z przystankami na gimnastykę. Sprawa zakończyła się kompromitacją instruktorów. Weterani biegów na Currahee po pierwszej godzinie zaczęli pytać poczerwieniałych z wysiłku sierżantów, kiedy wreszcie skończą tę rozgrzewkę i zaczną zapowiadaną zaprawę fizyczną, biegli tyłem, „żeby dać im fory”, i w ogóle mieli sporo uciechy. Po dwóch dniach tej zabawy, na wniosek instruktorów, dowódca szkoły spadochronowej skreślił z programu szkolenia 506 pułku fazę A i zarządził dla następnych jego pododdziałów program zaczynający się bezpośrednio od fazy B.

Przez tydzień kompania po śniadaniu biegła do składalni, gdzie adeptów uczono sztuki układania i pakowania spadochronów w taki sposób, żeby otwierały się niezawodnie. Potem biegli z powrotem na Patelnię na obiad. Resztę popołudnia spędzali skacząc w sterty trocin z ustawionych półtora metra nad ziemią drzwi makiety kadłuba samolotu. Skakali też z dziesięciometrowej wieży na spadochronie zawieszonym na stalowym kablu oraz uczyli się sterować nim podczas opadania.

Kolejny tydzień, faza C, przynosił skoki z siedemdziesięciopięciometrowej wieży spadochronowej zarówno na uwięzi, jak i ze swobodnym spadaniem po wyczepieniu czaszy z uchwytu. Służyły do tego dwie wieże. Jedna miała wyciągarkę z liną, na której wisiała czasza

z linkami, taśmami nośnymi i uprzężą, z amortyzacją i stalowymi linkami prowadzącymi opadającą czaszę, żeby jej wiatr nie porwał. Druga miała wystające na cztery strony ramiona, do których mocowało się szczyt czaszy. Skoczek po wyjściu na platformę i zaczepieniu czaszy wyskakiwał za barierkę, zrywając utrzymujący spadochron zaczep i od tej pory wykonywał już właściwie swobodny skok. Każdy z nich skakał z jednej i drugiej wieży - kilka razy w dzień i jeden raz w nocy.

W fazie C uczono ich także „gaszenia” czaszy po wylądowaniu. W tym celu delikwenta w uprzęży z rozłożonym jak po lądowaniu spadochronem kładziono na pasie startowym i przy użyciu dmuchawy - najczęściej silnika zaparkowanego tam Douglasa C-47 - symulowano wiatr, który wydymał czaszę spadochronu jak żagiel i porywał leżącego skoczka. Jego zadaniem było wstać i manewrując taśmami i linkami nośnymi, okiełznać czaszę tak, by przestała się wydymać i dała się zwinąć.

Po tygodniu skoków z wieży adepti byli już gotowi do fazy D, czyli do kursu kwalifikacyjnego obejmującego pięć skoków z C-47, po którym będą mogli wreszcie otrzymać upragnione „skrzydła”. Wieczorem dnia poprzedzającego pierwszy skok składali swoje spadochrony, sprawdzali pakowanie, po czym rozkładali je i układali ponownie, raz jeszcze kontrolując do znudzenia, aż do capstrzyku o 23.00.

Następnego dnia, po pobudce o 5.30, pomaszrowali do hangarów na lotnisku Lawson, śpiewając i pokrzykując w oczekiwaniu na wielką próbę. Założyli spadochrony i usiedli na długich ławach, oczekując na wezwanie do wejścia na pokład samolotów. Podkpiwali sobie z siebie nawzajem, żartowali, zgrywali bohaterów, kopcili jak wulkany, nerwowo się uśmiechali, często kursowali do latryny i bez końca sprawdzali spadochrony główne na plecach, zapasowe na piersi, pasy i zamki uprzęży, liny desantowe i całą resztę.

A potem przychodził rozkaz i wsiadali do samolotów. To miał być tylko szkolny skok, bez sprzętu, więc samolot zabierały maksymalną liczbę skoczków, upychanych po dwudziestu czterech jak śledzie w beczce. Z jednym czy dwoma wyjątkami miał to być nie tylko ich pierwszy w życiu skok ze spadochronem, ale w ogóle pierwszy w życiu lot samolotem. C-47 startowały i krążąc nad lotniskiem, nabierały wysokości. Kiedy osiągnęły pułap pięciuset metrów, przeleciały nad sąsiadujące z lotniskiem zrzutowisko i tam zaczęły ponownie krążyć. W kabinach zapaliły się czerwone światełka na sygnalizatorach. Kierujący zrzutem podoficerowie (instruktorzy pokładowi) wydali komendę: „Powstań, zaczepić liny!”. Każdy ze skoczków wstał i zaczepił do znajdującej się pod sufitem kabiny stalowej liny pokładowej karabińczyk liny desantowej biegnącej pod klapą osłony czaszy do pilocika -

małego spadochronika na szczycie czaszy, który z kolei wyciągał z osłony główny spadochron.

- Parami, meldować gotowość!

Każda z dwunastu par skoczków po raz ostatni nawzajem kontrolowała swoje spadochrony, uprząże, zapięcie karabińczyka liny desantowej na linie statycznej.

- Numer dwanaście, gotów!

- Numer jedenaście, gotów!

I tak dalej, aż do pierwszej pary, tuż przed drzwiami.

- Całość, podejść, stanąć w drzwiach!

Pierwszy skoczek z pary podszedł do wyjętych przed startem drzwi w burcie samolotu. Każdemu z nich rozkazano, by z oczywistych powodów natury psychologicznej patrzył w chwili podejścia do drzwi na horyzont, nie w dół. Mieli stanąć w progu i zaprzeć się rękami o obramowanie drzwi, ale na zewnątrz samolotu, nigdy wewnątrz. Jeśli skoczek miał ręce na zewnątrz, nic nie trzymało go w samolocie. Starczyło lekko pchnąć i leciał w pustkę, instruktor pokładowy nie musiał go nawet dotykać. Jeśli następny skoczek podszedł do drzwi, wypychał go swoim spadochronem zapasowym. Gdyby oparł ręce wewnątrz, a potem przestraszył się skoku, to jak mówił Gordon, „i dwudziestu chłopów nie byłoby w stanie go wypchnąć. Taka jest potęga strachu”.

Instruktor pokładowy, widząc ręce skoczka wewnątrz samolotu, odciągał go na bok i puszczał przed nim pozostałych, traktując to jako odmowę skoku.

Większość żołnierzy wydawała się jednak, według Gordona, „tak nabuzowana i tak bardzo chcieli to wreszcie mieć za sobą, że byliby gotowi skakać nawet bez spadochronów. To bardzo niebezpieczny stan ducha”.

Kurs kwalifikacyjny zaliczyło 94 procent żołnierzy 506 pułku, co stanowi do dziś nie pobity rekord.

W czasie pierwszego skoku żołnierze skakali pojedynczo. Po kolei podchodzili do drzwi, zajmowali pozycję, wykładali ręce na zewnątrz, instruktor pokładowy klepał ich w udo i na ten znak skakali.

Webster tak zapamiętał swój pierwszy skok: „Dopchałem się do drzwi i wyleciałem w zapierającą dech w piersiach pustkę. Serce miałem w gardle, w głowie kompletny chaos”.

Po skoku lina desantowa rozrywała zatrzaski osłony spadochronu, wyciągając z niej pilocik, i odrywała się. Pilocik nabierał powietrza i wyciągał z kolei z osłony czaszę, linki i taśmy nośne. Opór powietrza sprawiał, że czasza otwierała się i wypełniała, gwałtownie wyhamowując opadanie. Skoczek, opadający z prędkością ponad dwustu kilometrów na

godzinę, w jednej chwili zwalniał do kilku metrów na sekundę, odczuwając potężny wstrząs, kiedy jego ciało siłą bezwładności próbowało zerwać hamujące je grube parciane pasy uprząży. „Od tej chwili skok był już czystą radością. Opadałem w dół, oscylując, czy jak by powiedział byle cywilny profan, kiwając się w tę i z powrotem, rozglądając się na boki. Niebo roiło się od pokrzykujących radośnie spadochroniarzy”.

Stanięcie w drzwiach samolotu było dla wielu bez wątpienia chwilą prawdy. Nieraz zdarzało się, że ci, którzy przodowali w szkoleniu, a potem dokonywali cudów waleczności nagrodzonych najwyższymi odznaczeniami, walcząc w zwykłej piechocie, stając w tych drzwiach, dostawali paraliżu. Czasem dawano im drugą szansę, w tym samym locie albo następnego dnia. Zwykle jednak ten, kto raz się zawahał, nigdy nie przestępował drzwi także i za drugim razem.

Dwóch ludzi z kompanii E odmówiło skoku. Jednego z nich, szeregowego Joego Ramireza, odepchnięto od drzwi, ale kiedy wszyscy wyskoczyli, podszedł do instruktora pokładowego i powiedział, że skoczy. Samolot wrócił nad zrzutowisko i Ramirez skoczył.

Szeregowy Strohl skomentował to tak: „Żeby to zrobić i skakać samemu, trzeba było więcej jaj niż po prostu dać się wypchnąć z samolotu tłumowi kumpli za pierwszym razem”.

Kompania E skakała po raz drugi jeszcze tego samego popołudnia. Drugi zrzut miał już przedsmak prawdziwego zrzutu bojowego. Kiedy zapaliło się zielone światło, instruktor pokładowy nie wzywał ich pojedynczo, tylko stanął obok drzwi i popędzał przelatujących obok żołnierzy, którzy skakali zwartymi grupami po dwunastu. Nowicjusom z kompanii E zajęło to zaledwie sześć sekund na grupę, co zdumiewało doświadczonych instruktorów pokładowych. Carson zapisał w pamiętniku:

Chyba dostaję już kota z tym skakaniem. Na ziemi jestem w stanie myśleć jedynie o emocjach skoku i chciałbym skakać, skakać, bez końca. Kiedy uprzęż szarpie po otwarciu czaszy, krzyczę ze szczęścia na całe gardło.

Czwarty skok wypadł w Wigilię. W pierwszy dzień świąt kompania miała dzień wolny i świąteczną ucztę z pieczonym indykiem. Dla niemal wszystkich były to pierwsze święta poza domem. Carson zapisał:

To w ogóle nie wyglądało jak święta. Co to za święta bez śniegu, choinki, prezentów, bez mamy i taty.

Po ostatnim skoku 26 grudnia wszyscy dostali zaświadczenia stwierdzające, że „z dniem dzisiejszym przysługują im uprawnienia wykwalifikowanego skoczka spadochronowego”. A potem miał miejsce ten najwspanialszy moment, na który ciężko pracowali przez sześć miesięcy - ceremonia przypięcia odznak spadochronowych,

upragnionych Srebrnych Skrzydeł. Od tej chwili każdy żołnierz kompanii E, każdy żołnierz 506 pułku, już na zawsze stawał się kimś niezwykłym.

Po ceremonii pułkownik Sink przeprowadził pułkową defiladę, po której zebrał swoich ludzi wokół siebie. Stał na trybunie, odczytując rozkaz dzienny, którego kopie otrzymali potem wszyscy żołnierze. W rozkazie tym pisał:

Jesteście żołnierzami jednego z najlepszych pułków Armii Stanów Zjednoczonych, a co za tym idzie, całego świata.

Po czym wysłał ich na dziesięciodniowy urlop, przypominając, że „są pewne rzeczy, których się od was wymaga, nie tylko w czasie tego urlopu, ale w czasie całego waszego przyszłego życia”.

Powinni więc trzymać się prosto, chodzić z dumą, zachowując wojskową sylwetkę, dbać o wygląd zewnętrzny, a przede wszystkim: „Pamiętać bitewny okrzyk i motto pułku, które brzmi »Currahee«, co znaczy »Nie mamy równych sobie«,.

Po odczytaniu rozkazu kazał im jeszcze trzymać się z dala od aresztu i pozwolił się rozejść. Ze „skrzydłami” na piersi, w wypolerowanych na lustro butach skoczka, w które wpuścili nogawki spodni, rozeszli się. W domach, do których dotarli, byli obiektem podziwu dla rodziców i przyjaciół. Podziwiano nie tylko ich tężyznę fizyczną, ale i pewność siebie, poczucie własnej wartości, którego nabrali przez te pół roku nieobecności w domu. Mieli z czego być dumni - ukończyli szkolenie, z którego odpadło trzech na pięciu kandydatów, przeżyli rządy kapitana Sobela, biegi na szczyt góry, skoki z lecącego samolotu. Byli elitą.

Nie zwalniało ich to jednak od przestrzegania regulaminów służbowych armii, o czym czasami zapominali. Pułkownik Sink ostrzegał, że mają wrócić do Benning z przepustek w terminie, ale niedobory transportu lądowego i lotniczego w Stanach w styczniu 1943 roku spowodowały, że niepokojąco duża część żołnierzy 506 pułku spóźniła się z powrotem.

Pułkownik odebrał defiladę pułku, na której żołnierze występowali w najlepszych, wyjściowych mundurach. Poprowadzono ich piaszczystymi uliczkami Patelni na pustą połąć za barakami kucharzy, gdzie Sink ustawił ich jak do apelu. Podał komendę „Baczność!”, potem „Spocznij!”. Długie szeregi żołnierzy zastygły w oczekiwaniu. Po chwili przed front wyszedł jeden z poruczników i zaczął wyczytywać nazwiska, po jednym z każdej kompanii, tych, którzy przybyli ostatni.

- Szeregowy Iksiński, kompania E - czytał porucznik. Stojący obok porucznika doboz bił w bęben, dobywając z niego głuchy, żałobny warkot. Dwóch sierżantów z pistoletami maszynowymi podchodziło do wywołanego, który występował z szeregu. Sierżanci prowadzili go do porucznika; ten odczytywał rozkaz: O wykluczeniu delikwenta z szeregów

506 pułku piechoty spadochronowej i pozbawieniu go w związku z tym wszystkich zewnętrznych atrybutów elitarności. Przy wtórze werbla porucznik zrywał mu z ramienia naszywkę z godłem pułku, „skrzydła” z piersi, naszywkę wojsk spadochronowych z furażerki, rzucając to wszystko na ziemię. Całość sprawiała tak przykre wrażenie, że oficerowie na równi z żołnierzami klęli pod nosem na pułkownika i jego drakońskie metody. Webster pisał w liście do matki:

Zwłaszcza jedna rzecz doprowadziła nas do białej gorączki. Jakiś zakichany poruczniczyna, bez poczucia wstydu czy dobrego smaku, stał koło dobozsa i cały czas pstrykał zdjęcia wszystkim wywołanym. Nie dość, że upokorzono ich w obliczu wszystkich kolegów, to jeszcze ktoś utrwał ich hańbę. Gdybyśmy mieli broń, ten porucznik by stamtąd nie wyszedł żywy.

To jeszcze nie był koniec upokorzeń. Zajeżdżał jeep, z którego odartemu z odznak żołnierzowi 506 pułku rzucano pod nogi jego worek z rzeczami. Musiał teraz zdjąć buty skoczków, założyć zwykłe buty piechoty i wyłożyć na nie nogawki - nadal na oczach wszystkich. Teraz podnosił z ziemi swój worek, zarzucał go na ramię i pod eskortą uzbrojonych w pistolety maszynowe sierżantów, do wtóru wciąż warczącego werbla, odchodził z opuszczoną głową. Ta ceremonia powtórzyła się dziewięć razy.

I to był ostatni raz, kiedy w 506 pułku ktokolwiek się spóźnił.

Pod koniec stycznia kompania E wraz z resztą pułku przeniosła się z Patelni na drugą stronę rzeki Chattahoochee, do części Fort Benning leżącej w stanie Alabama. To wydawało się jak wyjście z więzienia na wolność. Ich nowe koszary były wygodne, a jedzenie doskonałe. Mieli do dyspozycji kantinę i kino. Szkolenie przeniosło akcent z wyszkolenia pojedynczego żołnierza na współdziałanie w ramach drużyny, zwłaszcza w walkach w terenie zurbanizowanym. Żołnierze mieli z tego wielką zabawę - było mnóstwo biegania, strzelaniny ze ślepaków, wybuchów petard, dymów i huku. W trakcie tej części szkolenia skakali po raz szósty, po raz pierwszy z bronią.

Zapiski z dziennika Carsona dobrze oddają atmosferę tych zimowych dni w Alabamie:

8 lutego: Poprzedniego wieczora naszedł nas małpi rozum i toczyliśmy przez pół nocy wielką bitwę na poduszki. Po trzech godzinach doszliśmy do wniosku, że dość już tej demolki, jesteśmy zmęczeni i idziemy spać. [...]

11 lutego: [Kapral Joe] Toye, [sierżant George] Luz i ja pojechaliśmy do Columbus. Zadzwoniliśmy po dziewczyny i zrobiliśmy sobie wspólną imprezę, świetna zabawa. W czasie tej balangi spotkałem Betty-Klucz-do-Columbus. Potem wróciliśmy do koszar o 4.45 rano.

12 lutego: I znowu Chikasaw Gardens w Columbus i kolejna wspaniała zabawa. Betty i ja przypadliśmy sobie do gustu. Naprawdę było ekstra. A potem znowu wróciłem o 4.45 i o 5.30 poszedłem na zajęcia, nie bardzo kontaktując i patrząc na świat jednym sennym okiem.

W marcu spakowali się i wyruszyli w drogę. Cel podróży, Camp Macali w Karolinie Północnej, był cudem wojennego budownictwa. Jeszcze 7 listopada poprzedniego roku, kiedy powołano tam do życia ośrodek poligonowy, było to tylko dwadzieścia pięć tysięcy hektarów dziczy. W cztery miesiące później stało już ponad tysiąc siedemset pięćdziesiąt budynków, pojawiło się sto kilometrów asfaltowych dróg, szpital na tysiąc dwieście łóżek, pięć kin, sześć olbrzymich piwiarni oraz lotnisko zdolne do działania w każdych warunkach atmosferycznych z trzema betonowymi pasami startowymi długości półtora kilometra każdy. Baraki koszarowe były ogrzewane, na łózkach - nie pryczach - leżały materace, nie sienniki. Ośrodek Szkoleniowy Wojsk Powietrznodesantowych nazwano imieniem szeregowego Johna T. Mackalla z 82 DPD, pierwszego amerykańskiego spadochroniarza poległego w boju. Mackall zginął w Afryce Północnej 8 listopada, w dzień po wydaniu rozkazu o utworzeniu ośrodka. Camp Mackall był domem Wojsk Powietrznodesantowych, tak jak Columbus było domem Piechoty.

Szkolenie nasiliło się i zaczęło obejmować bardziej złożone zadania. Skakali teraz już nie tylko z bronią osobistą, ale i z bronią wsparcia oraz zapasami. Bazookę zabierał jeden skoczek, karabin maszynowy też (choć podstawę miał już drugi członek obsługi), moździerz 60 mm również rozdzielano pomiędzy dwóch żołnierzy (osobno lufa z dwójnogiem, osobno płyta oporowa). Amunicję, żywność, mapy, granaty, materiały wybuchowe i całą resztę rozdzielano pomiędzy wszystkich skaczących. Nikt się już nie dziwił, że do skoków ćwiczebnych ładowano ich po dwudziestu czterech, a w boju mieli skakać po dwudziestu w samolocie - już teraz ledwie się w nim po dwudziestu mieścili z całym tym kramem. Niejeden skakał z pięćdziesięcioma kilogramami dodatkowego obciążenia.

Trwały teraz kilkudniowe ćwiczenia, rozpoczęte zrzutem, po którym przez dwa, trzy dni pętali się po lesie, doskonaląc przede wszystkim szybkie przerzuty i organizację działań pododdziałów za liniami nieprzyjaciela. O zmierzchu dowódcom plutonów pokazywano na mapie, gdzie mają się zameldować ze swoimi ludźmi o świcie.

Kapitan Sobel powierzył obowiązki swego gońca szeregowemu Robertowi „Popeye'owi” Wynnowi. Wysłał go na poszukiwanie podległych mu plutonów. Wynnowi, gdy tylko oddalił się od kapitana, udało się „zabłądzić” i całą noc, zamiast przedzierać się przez chaszczę, smacznie przespał. Rano, cudownym zbiegiem okoliczności, odnalazł

utraconą drogę i zameldował się na stanowisku dowodzenia Sobela. Kapitan zapytał, dlaczego zabłądził.

- Nic nie widzę po ciemku, panie kapitanie - odparł winowajca.

- No to się lepiej nauczcie widzieć następnym razem - odparł Sobel i na tym się sprawa skończyła. Wynna na stanowisku gońca zastąpił Tipper, który darzył swego przełożonego nie mniejszą niechęcią niż jego poprzednik, ale w odróżnieniu od niego nie szczędził wysiłku, by mu dopieć. „Z moją pomocą Sobel miał zawsze źle zorientowaną mapę, gubił busolę i właściwie wszystko, co było mu w danej chwili potrzebne. Ponieważ od reszty sekcji dowodzenia otrzymywał równie serdeczną »pomoc«, był jeszcze bardziej zdezorientowany i zagubiony niż zwykle. Wszyscy robiliśmy wszystko, co w leżało w naszej mocy, żeby go skompromitować tak, by go odesłali i żebyśmy nie musieli iść do walki pod jego dowództwem”.

- Twój karabin jest twoją prawą ręką! - powtarzał do znudzenia swoim żołnierzom Sobel. Nierozstawanie się z bronią było jedną z jego obsesji i którejs nocy postanowił dać nauczkę ludziom, którzy według niego nie dość o to dbali. Wraz z szefem kompanii, Evansem, przekradli się przez pozycje kompanii, by zabrać śpiącym niedostatecznie pilnowane karabiny. Osiągnęli spory sukces - zanim nastał świt, przed namiotem Sobela piętrzył się stos niemal pięćdziesięciu Garandów. Z wielkim zadęciem Sobel zwołał zbiorckę kompanii i palnął im mowę o tym, jakimi są beznadziejnymi kreaturami i jak źle dbają o powierzoną im broń.

W czasie tego wrzaskliwego jak zwykle pokazu na biwak kompanii E przybył dowódca kompanii F w towarzystwie około czterdziestu pięciu żołnierzy, pytając, co za dureń zwędził im w nocy karabiny. Ku wielkiemu rozbawieniu żołnierzy okazało się, że Sobel wraz z Evansem zgubili się w nocy i myszkowali po pozycjach sąsiedniej kompanii.

Dwa tygodnie później Sobel skręcił nogę w czasie skoku. Kompania kontynuowała zajęcia, podczas gdy on w towarzystwie Evansa wrócił do koszar. Uradowani nieobecnością dwóch nie lubianych przełożonych żołnierze nie podejrzewali, co tamci trzymali dla nich w zanadrzu. Dowódca i szef kompanii E nie marnowali czasu, kiedy oni w pocie czoła odbywali ćwiczenia. Przeprowadzili dokładną rewizję pomieszczeń kompanii. Przerzucali zawartość szafek, przetrząsali kieszenie ubrań, wyłamywali kłódki z zamkniętych szaf, czytali listy od ukochanych i rodzin i konfiskowali wszystko, co uznali za przedmioty niedozwolone. „Pojęcia nie mam, czego ci idioci szukali. Przecież w tych czasach jeszcze nikt nie brał prochów”, skomentował po latach Gordon Carson.

Sporządzili potem listę, na której pracownicy wypisali wszystkie skonfiskowane przedmioty, ich poprzedniego właściciela i karę, jaka go czekała za ich posiadanie. Żołnierze wrócili z ćwiczeń umorusani, przepoceni, zmęczeni, ale zanim mogli się umyć, przebrać i odpocząć, musieli jeszcze uprzątnąć rumowisko w salach. Na podłogach piętrzyły się stopy rzeczy wyrzuconych z szaf, wymieszanych ze sobą. Czyjeś brudne gacie mieszały się ze zdjęciami dziewczyn, skarpety z listami od matki, pastą i szczoteczkami do zębów; wielu rzeczy - także tych nie wymienionych na listach - brakowało.

Prawie każdemu coś zarekwirowali. Zwykle „zaoszczędzoną” na ćwiczeniach amunicję, co akurat było rzeczywiście zabronione i nikt nie miał o to żalu, trochę „pornografii” (starczyło, że dziewczyna na zdjęciu była według Sobela zbyt skąpo odziana), cywilną bieliznę. Brakowało wydawanych na deser (lub „zorganizowanych” w kuchni) owoców w puszkach, drogich cywilnych koszul - te przedmioty nigdy nie wróciły. Przy okazji wychodziły na jaw niecodzienne zainteresowania żołnierzy. Jeden z nich, na przykład, kolekcjonował przydziałowe wojskowe prezerwatywy. Parę sztuk zapewne nikogo by nie zainteresowało, ale żołnierz miał ich ponad dwieście, jak głosiła lista Sobela.

Tipper wspomina: „To był dla mnie punkt zwrotny, kropla, która przelała kielich. Przed tym kipiszem żywiłem do Sobela tylko niechęć, ale od tej pory go nienawidziłem. Po kipiszu zdecydowałem, że Sobel jest moim osobistym wrogiem i nie jestem mu winien ani lojalności, ani nic innego. Wszyscy byli wkurzeni”.

Od dawna mawiało się o tym, że ten i ów ma ochotę strzelić Sobelowi w plecy, kiedy tylko wejdą do walki. Tipper był przekonany, że to tylko gadanie, ale „z drugiej strony byli w naszej kompanii ludzie, którzy nie mówili nic, a według mnie byli absolutnie zdolni do tego, żeby ten zamiar wprowadzić w razie potrzeby w życie, gdyby tylko dać im szansę”.

W czasie następnych ćwiczeń część kompanii E wyznaczono jako „rannych”, których szkolący się sanitariusze mieli opatrywać, bandażować, zakładać opaski uciskowe i łupki, po czym ewakuować z pola walki. Wśród wyznaczonych na symulantów był Sobel, który jednak w odróżnieniu od innych dostał prawdziwą narkozę, po czym spuszczone mu spodnie i wykonano prawdziwe cięcie jak do usunięcia wyrostka robaczkowego. Sobela znaleziono potem, wciąż nieprzytomnego, zaszytego i z zaklejoną raną. Widać u batalionowych medyków cieszył się takim samym uwielbieniem, jak we własnej kompanii.

Sobel był wściekły, czemu akurat dziwić się nie należy, ale jego natarczywe żądania wszczęcia śledztwa nie doprowadziły do niczego. W całej kompanii nie znalazł się ani jeden żołnierz, który potrafiłby rozpoznać sanitariusza biorącego tego dnia udział w ćwiczeniach.

Stopień sprawności fizycznej kompanii E został ponownie zaprezentowany w Mackall, kiedy przyszła kolej na zaliczenie przez 2 batalion Strayera, wslawiony studziwieńdziesięciokilometrowym marszem standardowego sprawdzianu z wu-efu. Batalion dostał 97 na 100 możliwych punktów. Ponieważ był to rekordowy wynik dla batalionu w całej Armii Stanów Zjednoczonych, w obozie pojawił się pułkownik Jablonski z Waszyngtonu, żeby sprawdzić pogłoski o sfalszowaniu wyników przez Strayera.

Winters wspomina tę inspekcję: „No i pogonili nas raz jeszcze, oficerów, podoficerów, szeregowych, obsługę, kucharzy, wszystkich, jak leciało. Po podliczeniu wyników okazało się, że tym razem osiągnęliśmy 98 punktów”.

Przyszedł czas na awanse w kompanii E. Wszyscy trzej sierżanci, James Diel, Salty Harris i Mike Ranney, wywodzili się spośród rekrutów z Toccoa. Wkrótce dołączyli do nich plutonowi Leo Boyle, Bill Guarnere, Carwood Lipton, John Martin, Elmer Murray, Bob Rader, Bob Smith, Buck Taylor i Murray Roberts. Carson został kapralem. Porucznika Mathesona przeniesiono do sztabu pułku, a poruczników Nixona, Hestera i George'a Lavensona do sztabu batalionu. Odtąd już do końca wojny wolne etaty sztabowe w 2 batalionie obsadzali tylko oficerowie kompanii E. Żaden oficer z pozostałych trzech kompanii nie objął w nim wakatu. Winters komentuje: „To dlatego kompania E miała zawsze doskonałą łączność z dowództwem batalionu i pułku. Tam wszędzie byli swoi. I to dlatego kompanii E zawsze powierzano najtrudniejsze, najbardziej odpowiedzialne zadania. Nas znali i byli pewni. Reszta była zagadką”.

Z początkiem maja 1 pluton Wintersa dostał nowego podporucznika, Harry'ego Welsha. Welsh nie był oficerem kompanii E z własnego wyboru. W kwietniu 1942 roku zgłosił się do wojsk powietrznodesantowych i został przydzielony do 504 pps ze składu 82 DPD. Po szkoleniu spadochronowym został sierżantem. Już po raz trzeci. Do tej pory zawsze był degradowany do szeregowego za bójki. Drobnej postury zadziorny Irlandczyk był urodzonym przywódcą, ale miał trudności z opanowaniem temperamentu. Dowódca kompanii docenił jednak jego potencjał i wysłał go do podchorążówki.

Po promocji Welsha przydzielono do kompanii E 2 batalionu 506 pps. Chciał wracać do swoich, do 504 pps, ale regulamin armii sprzeciwiał się przydzielaniu absolwentów podchorążówek do pododdziałów, w których służyli jako podoficerowie. Obawiano się, by nie łączyły ich nazbyt zażyłe stosunki z podwładnymi, byłymi kolegami.

Sobel wysłał Welsha do 1 plutonu, na zastępcę Wintersa, i obaj oficerowie zaprzyjaźnili się niemal od chwili spotkania. Ich przyjaźń opierała się na mocnym fundamencie wzajemnego szacunku, który w dodatku cementowała wspólna wizja tego, jak

się powinno dowodzić ludźmi. Według definicji Welsha „oficerowie to ci, którzy idą przodem”.

Pod koniec maja żołnierze kompanii E spakowali worki koszarowe i wraz z innymi kompaniami 506 pułku pojechali wlokącymi się bez końca i przystającymi co chwila pociągami do Sturgis w stanie Kentucky. Na końcowej stacji dziewczęta z Czerwonego Krzyża dawały im pączki - ostatni przejaw luksusu, którego doświadczali przez następny niemal miesiąc. Potem wymaszerowali w pole, rozbili namioty z płacht indywidualnych, wykopali latryny polowe i przez miesiąc biwakowali, żywiąc się daniem, jakie armia serwowała swoim żołnierzom w polu - siekanym mięsem wołowym w śmietanowym sosie na grzance. Żołnierze jakoś nie podzielali zachwyty służby kwatermistrzowskiej dla tej boskiej ambrozji, zwąc ją powszechnie SOS: Shit On Shingle, czyli gównem na kamieniu.

Nie byli na wojnie, ale armia stworzyła najbardziej zbliżone do niej warunki. Brali udział w największych w jej historii manewrach wojsk powietrznodesantowych - spadochronowych i szybowcowych - które od 5 czerwca do 15 lipca 1943 roku odbywały się na terenie stanów Kentucky, Tennessee i Indiana.

Dziesiątego czerwca 506 pułk piechoty spadochronowej oficjalnie włączono w skład 101 Dywizji Powietrznodesantowej. To było wielkie święto dla 101 DPD. 506 pps znacznie podniósł poziom morale dywizji - a przynajmniej tak twierdzą żołnierze kompanii E.

Manewry, w których ścierały się armie Czerwonych i Niebieskich, rozgrywały się na leśnych i górzystych pustkowiach. Kompania E skakała trzykrotnie. Christenson wciąż żywo pamięta jeden z tych skoków. Wewnątrz C-47 panował potworny upał, a prądy wznoszące powietrza znad rozpalonych słońcem gór niemiłosiernie rzucały samolotem. Kapral Denver „Bull” Randleman, który zajmował miejsce tuż za kabiną pilotów, a więc ostatnie w kolejności do skakania i najdalej od drzwi, zaczął wymiotować do hełmu. To spowodowało, że kolejni żołnierze zaczęli pozbywać się zjedzonej na obiad wołowiny. Nie wszyscy zdążyli użyć hełmów i wkrótce podłoga pokryta była śliską warstwą wymiocin. Christenson, siedzący najbliżej drzwi, zdołał opanować mdłości. „Żołądek mi wyczyniał najdziwsze fikołki i [...]. Dlaczego jeszcze ciągle nie ma tego zielonego światła? No, nareszcie! Z tyłu popędzają, żeby skakać jak najszybciej, i wreszcie wyleciałem w świeże, chłodne powietrze. Nagle jakby ktoś dotknął mnie czarodziejską różdżką i powiedział: »Christenson, czujesz się świetnie!«. I tak było”.

W ramach manewrów znowu odbywali długie nocne marsze, brodząc przez strumienie, wspinając się na ich strome brzegi, czasem robiąc trzy kroki w górę tylko po to, żeby zjechać na brzuchu dwa, potykając się o korzenie, kamienie i karpy, przeciskając się

przez zarośla, czasem dzieląc kurczaka z zagubionymi gdzieś w gruszy miejscowymi traperami i rolnikami. Padali ze zmęczenia, byli brudni, wszystko ich swędziało.

Pod koniec lipca, po manewrach, 2 batalion 506 pps otrzymał pochwałę generała majora Williama C. Lee, dowódcy 101 DPD, za „wspaniałe agresywne działanie, doskonałe dowodzenie i wysoki poziom wyszkolenia żołnierzy”.

Generał wyrażał nadzieję, że „kolejne sprawdziany wykażą równie znakomite wyszkolenie i dowodzenie”.

Kompania E przeniosła się ze Sturgis do Camp Breckenridge w Kentucky, gdzie nareszcie były znowu baraki koszarowe, prysznice i inne luksusy. Były, ale nie dla nich. Obóz został przeładowany wojskiem i raz jeszcze musieli się zadowolić biwakiem pod indywidualnymi namiotami i spaniem na ziemi. To zresztą nie trwało długo - większość żołnierzy rozjechała się na dziesięciodniowe przepustki, a kiedy wróciła, dywizję załadowano do pociągów i przerzucono do Fort Bragg w Karolinie Północnej.

Od pierwszej chwili było widać, że Bragg to ośrodek, w którym jednostki szykowały się do wyjazdu na front. Jedzenie było lepsze, łóżka wygodniejsze, więcej pryszniców z gorącą, a nie letnią wodą - to wszystko jeszcze nie musiało nic oznaczać. Ale kompletna wymiana całego wyposażenia? Dostali nowe sorty mundurowe, nowe oporządzenie, nową broń, nowe telefony, nowy sprzęt. Całe dni spędzali teraz na strzelnicy, przystrzeliwując nowe karabiny i karabiny maszynowe.

Gdzie mieli jechać, na wschód czy na zachód, na front europejski, śródziemnomorski czy dalekowschodni? Nikt nie miał pojęcia, krążyły nieprawdopodobne plotki, stawiano spore pieniądze w zakładach.

W weekendy żołnierze chodzili na przepustkę do Fayetteville, „ładować akumulatory” w tamtejszych barach. Często dochodziło do bójek. Większość wywoływali spadochroniarze, prowokowani przez żołnierzy zwykłej piechoty, którzy również stacjonowali w Bragg. Nie wiadomo dlaczego, szczególnie upodobali sobie burdy z żołnierzami piechoty szybowcowej, także ze składu 101 DPD.

Piechota szybowcowa rekrutowała się spośród zwykłej piechoty, przydzielonej do pułków szybowców desantowych. Formalnie byli więc żołnierzami wojsk powietrznodesantowych, ale jako że nie byli ochotnikami i nie przeszli szkolenia spadochronowego, nie dostawali pięćdziesięciu dolarów miesięcznie dodatku spadochronowego, nie nosili naszywek, butów spadochroniarskich i nie wpuszczali w nie spodni. Część z nich w przypiływie czarnego humoru robiła plakaty werbunkowe do piechoty

szybowcowej, złożone zazwyczaj ze zdjęć rozbitych lub spalonych szybowców z hasłami w rodzaju:

WSTĄP DO PIECHOTY SZYBOWCOWEJ! NIE DOSTANIESZ DODATKU LOTNICZEGO, NIE DOSTANIESZ DODATKU SPADOCHRONOWEGO, ALE NIE BĘDZIESZ SIĘ NUDZIŁ ANI CHWILI!

Kilku ciekawskich z kompanii E poszło na lotnisko w Bragg, żeby zobaczyć, jak to jest latać szybowcem. Doświadczenie ledwie kontrolowanej katastrofy, w jaką zazwyczaj przeradzało się lądowanie tej drewnianej skrzyni zaopatrzonej w skrzydła, wystarczało zwykle, by ich przekonać, że desant spadochronowy to jednak dużo bezpieczniejszy sposób wchodzenia do walki. Pewnego dnia do grona ciekawskich dołączył sam generał Lee. Szybowiec, którym leciał, uderzył w ziemię z taką siłą, że dowódca dywizji doznał złamania kilku żeber.

- Następnym razem skorzystam ze spadochronu - mruknął.

- A nie mówiliśmy?! - rozległ się tryumfalny chór „szybowników”.

W końcu jednak, od lipca 1944 roku, żołnierze piechoty szybowcowej doczekali się zrównania w prawach ze spadochroniarzami. Zaczęto im wypłacać pięćdziesięciodolarowy dodatek (od tej pory zwany już „desantowym”, a nie tylko „spadochronowym”) oraz ustanowiono specjalne naszywki i odznaki.

W połowie sierpnia dywizja zebrała się pułkami na apelu. Orkiestra odegrała *Over There*⁷, a dziewczęta z Czerwonego Krzyża ze łzami w oczach oglądały załadunek żołnierzy do dwudziestu specjalnie na tę okazję podstawionych pociągów, które miał ich zabrać na wojnę. Od chwili, kiedy załadowali się do wagonów, ruszyły zakłady - w którą stronę ich powiozą: na północ, do Nowego Jorku, a więc do Anglii lub nad Morze Śródziemne, czy na zachód, do Kalifornii, a stamtąd na Pacyfik.

Wygrali ci, którzy obstawiali północ: pociągi zawiozły ich do Camp Shanks, czterdzieści pięć kilometrów w górę rzeki Hudson od Nowego Jorku. Obiecywano im przepustki do Nowego Jorku, ale obietnicy nie dotrzymano. Zamiast tego nastąpiły wzmożone inspekcje, przeglądy, badania lekarskie i szczepienia. „Zastrzyk na zastrzyku i zastrzykiem pogania. Tak nas skłuli, że w końcu ręce nam zwisały bezwładnie, a spaliśmy na boku, bo tak nas tyłki bolały”, wspomina Christenson. Oficerowie i podoficerowie posługiwali się regulaminem „Przygotowanie wojsk do dalekiego przerzutu” tak intensywnie, że w końcu prawie nauczyli się go na pamięć.

⁷ *Over There* - [ang.] Tam daleko, amerykańska piosenka wojskowa, popularna wśród żołnierzy Amerykańskiego Korpusu Ekspedycyjnego walczącego we Francji w czasie I wojny światowej [przyp. tłum.].

Sobel, przejęty rolą dowódcy kompanii, przygotował formularz listu do matek swoich żołnierzy:

Szanowna Pani!

Już wkrótce Pani syn, starszy szeregowy Paul C. Rogers [po powieleniu listu każde nazwisko było oddzielnie wpisywane na maszynie] spadnie z nieba, by podjąć walkę i zwyciężyć w niej wroga. Do tego zwycięstwa przygotowywał się gruntownie przez miesiące ciężkiej pracy i wytężonego szkolenia bojowego, a w boju będzie dysponował najlepszą bronią i sprzętem. Przysyłane przez Panią listy, pełne wyrazów miłości i słów otuchy, wzmocnią jego determinację i ugruntują bojowego ducha, którego mu już teraz nie brak. Zbrojny w nie odniesie niechybnie sukces, okrywając się chwałą, dając Pani powód do dumy i zapewniając sobie wdzięczność naszej ojczyzny, która nie zapomina o służących jej w potrzebie.

Całość na dole strony okraszał zamaszysty podpis „Herbert M. Sobel, kpt., dowódca”.

Ostatniego dnia szeregowi przemycili do obozu sporo whisky. Do piwa zdążyli się już przyzwyczaić, ale whisky to było zupełnie co innego. Christenson, jak wielu innych, upił się tak, że jak pisał, „film mi się urwał w kiblu”. W tym stanie znalazł go kapral Randleman, który ulitował się nad jego żalonym stanem i zaniósł do łóżka. Następnego ranka, wśród jęków okrutnie skacowanych młodych ludzi, kompania ruszyła do portu. Prom dowoził ich na właściwą keję, gdzie w oczekiwaniu na zaokrętowanie kawa i pączki rozdawane przez Czerwony Krzyż pomogły ożywić najciężej poszkodowanych.

Żołnierze byli rozczarowani. Liczyli na defiladę przez reprezentacyjne ulice miasta po drodze do portu, jak w Atlancie po słynnym marszu. Nie tylko nie było defilady, ale jeszcze nakazano im zdjąć naszywki z krzyczącym orłem, godłem 101 DPD, „skrzydła” i buty skoczka oraz wypuścić spodnie na buty - jak zwykłej piechocie. Żołnierze, którzy tak się poświęcali, żeby je zdobyć, byli wściekli, czuli się upokorzeni i nie przekonywało ich tłumaczenie, że ma to na celu utrzymanie przerzutu spadochroniarzy do Europy w tajemnicy przed szpiegami Osi, których na pewno nie brakowało w wielkiej portowej metropolii.

Winters przypomina sobie tylko jeden przypadek dezercji. Pewien oficer służby zdrowia skorzystał ze swojej wiedzy, żeby zgłosić objawy choroby, która zwolniła go z podróży za ocean. Pozostali ustawili się w długą kolejkę wzdłuż burty transportowca, objuczeni workami koszarowymi i bronią. Przechodząc trapem do wnętrza liniowca pasażerskiego, przebudowanego na transportowiec wojska, podawali swoje nazwiska, które podoficerowie odhaczali na listach. Zaokrętowanie ponad pięć tysięcy żołnierzy na pokładzie statku obliczonego na tysiąc pasażerów zajęło niemal cały dzień. W końcu

holowniki odciągnęły od nabrzeża pełen ludzi statek, który uruchomił maszyny i ruszył na morze. Żołnierze kompanii E i wielu innych wylegli na pokład, oglądając przesuwaną się za burtą i niknącą za rufą Statuę Wolności. Dla większości była to pierwsza podróż poza granice Stanów Zjednoczonych. Mieli teraz sporo czasu, żeby zacząć odczuwać tęsknotę za domem i zrozumieć, jak to napisano w *Currahee*, kronice pułku: „Jak wspaniały był rok, który ze sobą spędzili”.

OBOWIĄZKI LATRYNOWEGO**Aldbourne**

wrzesień 1943 - marzec 1944

S/s Samaria był starym liniowcem pocztowcopasażerskim pływającym niegdyś do Indii, przebudowanym na transportowiec wojsk. Skonstruowany dla tysiąca pasażerów, wioził teraz pięć tysięcy żołnierzy ze 101 DPD. Nadmierne zatłoczenie statku stworzyło okropne warunki. Słodka woda była ściśle racjonowana, poszczególne grupy żołnierzy mogły ją otrzymywać tylko przez półtorej godziny dziennie, w porach pojena wyznaczanych co kwadrans. Z pryszniców leciała wyłącznie woda słona i to zimna. Wszyscy przez całą dobę mieli obowiązek nosić kamizelki ratunkowe na wypadek storpedowania, a pod nimi - jako że był to transport wojska na front i obowiązywały rygorystyczne przepisy - dodatkowo pas z nabojami i manierką. W rezultacie wszyscy wciąż wpadali na wszystkich w wąskich korytarzykach pod pokładem. Spało się w ubraniach i, jakby tej niewygodzie było mało, w koi co drugą noc. Tych było bowiem o połowę za mało i żołnierze leżeli na pokładach, w korytarzach i gdzie kto tylko mógł. Na statku panował smród nie do wytrzymania.

Serwowano dwa posiłki dziennie. Christenson tak wspominał swoje pierwsze śniadanie: „Zdawało nam się, że schody prowadzące na dół, do jadalni, nigdy się nie skończą. Im głębiej, tym schody były bardziej tłuste, a kiedy dotarliśmy wreszcie na samo dno statku, smród niemal zwał z nóg. Jedzenie nakładano z wielkich kotłów - w jednym były gotowane ryby, a w drugim pomidory. Kucharze nosili poplamione, brudne fartuchy. To był dopiero pierwszy dzień naszego rejsu, a oni już mieli plamy w kilku warstwach, co oznaczało, że musieli je nosić od wielu dni”. Mimo to ludzie jedli, bo byli głodni. Według Webstera w jadalni panowała atmosfera „pływającego domu wariatów”.

Żołnierze nie mieli nic do roboty poza snuciem się po pokładach, wyglądania przez reling na pozostałe statki konwoju, jedynymi rozrywkami były właśnie posiłki i hazard. Zwłaszcza ten ostatni trwał bez końca: grano w pokera, blackjacka, kości. Wielkie sumy przechodziły z rąk do rąk. Carson jednego dnia wygrał sto dwadzieścia pięć dolarów, które przegrał z kretelem następnego. Próbowano czytać, ale książek na pokładzie było tyle co kot napłakał. Kapitan Sobel próbował organizować ćwiczenia gimnastyczne, ale nawet na to

brakowało miejsca i upór przy ich organizowaniu w tych warunkach tylko zaognił niechęć jego podwładnych.

Piętnastego września Samaria zawięła do Liverpoolu. Nazajutrz pojechali pociągami na południe. Na stacji w Ogbourne St. George czekały ciężarówki, które zawiozły ich do nowego domu. Ostatnie dwa kilometry przemaszerowali już po zmroku, prowadzeni przez przewodników z latarkami w rękach. Panujące ciemności przypominały, że znaleźli się na prawdziwej wojnie, w strefie frontowej. Ich koszary mieściły się w cylindrycznych drewniano-metalowych barakach Nissena, ogrzewanych dwoma pękatymi piecykami. Dostali sienniki, napełnili je przygotowaną słomą po czym pobrali grube wełniane gryzące koce i udali się na spoczynek.

Kiedy rano wstali, po raz pierwszy na nowym miejscu, zastali wokół widoki, które Webster po latach wspomina następująco: „Miałem wrażenie, że obudziłem się na planie hollywoodzkiego filmu. Wszędzie wokół widać było wyjęte żywcem z bajki obrośnięte winem chatki, kryte słomianymi strzechami. Wielkie konie, potrząsając długimi grzywami, stukwały kopytami w kocie łby wijących się wąskich drózek. Na tle miękkiej zieleni wsi szarzał normański kościółek z XI wieku, którego dzwony obwieszczały nadejście kolejnych godzin, jak Big Ben. Pięć równie starych pubów zapraszało poruszającymi się na wietrze drewnianymi szyldami do wizyty w świecie letniego gorzkiego piwa”.

To było Aldbourne w hrabstwie Wilt, niedaleko Hungerford, w pobliżu Swindon, sto trzydzieści kilometrów na zachód od Londynu. Zostali tam przez blisko dziewięć miesięcy - najdłużej jak dotąd w jednym miejscu.

Aldbournie bardzo różniło się od Toccoa, Benning czy Bragg. Tam kwaterowali w bazach wojskowych, na uboczu, w całkowicie wojskowej atmosferze. Tu wylądowali w samym środku angielskiej wsi, w konserwatywnym środowisku, przyzwyczajonym do niezmiennego od stuleci życia, z rezerwą witającym wdzierających się w sam jego środek młodych dzikusów z kolonii. To zderzenie dwóch światów niosło w sobie spory potencjał kłopotów, ale armia choć raz stanęła na wysokości zadania, przez cały pierwszy tydzień przepuszczając ich przez kurs, na którym poznawali miejscowe zwyczaje i maniery. Wykłady w połączeniu z dyscypliną sprawiły, że materiał został dobrze przyswojony i młodzi ludzie zrozumieli, że miejsc i okazji do wyszumienia się należy szukać raczej w dużych miastach - w Londynie, Birmingham czy Swindon. Na swoim podwórku, w Aldbourne, chodzili miejscowym zwyczajem do pubu na piwo, rozmowy i grę w lotki.

Nauczyli się też jeść to, co gospodarze: mleko w proszku, jaja w proszku, suszone morele, suszone ziemniaki, brukselkę, rzepę i kapustę. Towary, które w każdej kantynie w

kraju dostępne były bez ograniczeń, tu racjonowano - tygodniowy przydział wynosił: siedem paczek papierosów, trzy batoniki Hersheya, paczka gumy do żucia, kostka mydła, pudełko zapalek i paczka żyletek.

Podróż ani zmiana otoczenia nie odmieniły Sobela. Po pierwszym tygodniu w Anglii część żołnierzy dostała przepustki do Swindon na sobotnie tańce. Sobel obostrzył je jednak zakazem zdejmowania kurtek mundurowych. Szeregowy Tom Burgess, parobek ze środkowego Illinois, tańcząc którąś z kolei polkę w wełnianej kurtce na wełnianej koszuli, spocił się i zdjął mundur.

W poniedziałek rano Sobel wezwał go do raportu.

- Burgess, doszło do mnie, że na tańcach w sobotni wieczór zdjęliście kurtkę mundurową. Czy to prawda?

- Tak jest, panie kapitanie. Sprawdziłem w przepisach. Tam jest wyraźnie napisane, że przy wykonywaniu czynności wymagających wysiłku dozwolone jest zdjęcie kurtki, o ile żołnierz nosi wełnianą koszulę, panie kapitanie.

Sobel zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

- Wiecie co, Burgess, powiem wam, co z wami zrobię. Od tej pory przez cały tydzień nie zdejmiecie z grzbietu tej kurtki, nawet do spania. To was nauczę dokładnie wykonywać rozkazy.

Przez pierwszą dobę Burgess rzeczywiście nie zdejmował kurtki mundurowej, ale że w nocy nikt - od samego Sobela począwszy - nie kontrolował wykonania rozkazu, zaczął ją na noc wieszać na poręczu łóżka. Po tygodniu Sobel wezwał go znowu do siebie.

- Burgess, ta kurtka nie jest dość wygnieciona. Nie wygląda, żebyście w niej spali cały tydzień. Nie ma przepustki.

Przyjechali jednak do Anglii nie na tańce, ale aby szykować się do inwazji i tok szkolenia bojowego był intensywny. Malarkey uważał, że to było drugie Toccoa. Sześć dni w tygodniu, po osiem do dziesięciu godzin dziennie, byli w polu. Odbywali marsze w pełnym oporządzeniu na dystansach dwudziestu pięciu, trzydziestu, trzydziestu pięciu i czterdziestu kilometrów na dobę, godzinę dziennie spędzali na ćwiczeniach walki wręcz, ćwiczyli walkę w terenie zalesionym, zurbanizowanym, terenoznawstwo. Do znudzenia powtarzali pierwszą pomoc, obronę przed atakiem gazowym, uczyli się posługiwać bronią aliantów i zdobyczną niemiecką. Odbyli czterdziestokilometrowy marsz w pełnym oporządzeniu w dwadzieścia cztery godziny, a kilka dni później taki sam, ale w czasie o połowę krótszym. Odbywali szkolenie w zastawianiu i wykrywaniu pułapek minerskich, minowaniu i rozminowywaniu, łączności i wiele innych.

Raz w tygodniu wyruszali na dwu lub trzydniowe ćwiczenia w terenie. Programy tych manewrów układano tak, by nauczyły ich jednocześnie podstaw wojaczki i umiejętności, które warunkują przeżycie żołnierza piechoty na polu walki. Uczyli się kochać ziemię, uczyli się, jak wykorzystać znajomość terenu w obronie i ataku. Nade wszystko jednak uczyli się żyć w ziemi, na ziemi i pod ziemią, przez całe dni i tygodnie, nie ryzykując utraty zdrowia. Oficerowie kładli na to szczególny nacisk, kładąc im do głów, że opanowanie tych wszystkich umiejętności stanowi w walce o życie i śmierci, że muszą nabrać przyzwyczajenia i nawyków, by stały się odruchem.

Żołnierze kompanii E poznawali więc angielską wieś - schodzili ją wzdłuż i wszerz, atakowali miasteczka, wzgórza i lasy, bronili ich, kopali niezliczone okopy indywidualne, stanowiska i rowy łącznikowe, spali w nich, mieszkali w dojmującym chłdzie, ciągłym deszczu i o głodzie.

W początkach grudnia, w czasie ćwiczeń, kompania okopała się wokół wysokiego, nagiego, owiewanego wiatrami z nad okolicznych płaskich pól wzgórza. Dowódcy plutonów przekazali, żeby tym razem, mimo trudnej kamienistej gleby, kopać naprawdę głębokie okopy. Żołnierze klnąc pod nosem, starali się najlepiej jak mogli wykonać rozkaz, kiedy nagle poznali jego przyczynę - do ataku na ich pozycję ruszył pluton Shermanów. Webster wspomina: „Pojawiły się nagle, rycząc silnikami jak przedhistoryczne potwory, i ruszyły z hurgotem prosto na nas. Wyszły na nasze skrzydło, zawróciły o dziewięćdziesiąt stopni i ruszyły przed siebie, wzdłuż linii okopów. Jeden szedł prosto na mnie. Byłem przerażony. Mój okop nie był dość głęboki, żebym mógł przeżyć, gdyby wjechał na niego jedną gąsienicą. Zaczęłem histerycznie wrzeszczeć: »Weź mnie okrakiem! Okrakiem!«. Na pewno nie słyszał, ale w każdym razie po chwili z hukiem i klekotem gąsienic przewalił się nade mną”.

Carson miał podobne wrażenia, o czym świadczy zapis w jego dzienniku:

Dziś po raz pierwszy w życiu czołg przejechał nad moim okopem. Przerazające.

Bardzo intensywnie prowadzono szkolenie w zakresie działań nocnych. Gordon wspomina: „Szliśmy na przelaj przez pola, czołgając się pod płotami, to znów je przeskakując, albo pełzając przez jakieś chaszczę, brodząc w strumieniach”.

W trakcie tych ćwiczeń członkowie poszczególnych drużyn i sekcji, wcześniej już zaprzyjaźnieni, stawali się sobie coraz bliżsi. „Widząc sylwetkę, z daleka poznawałem kumpli. Nie potrzeba było żadnych haseł. Ludzi poznawało się po tym, jak nosili czapkę, hełm, karabin”.

Większość tego, czego się teraz nauczyli, okazało się potem naprawdę przydatne w walce, ale największą wartością tych miesięcy spędzonych w zimnie i wilgoci długich nocy

angielskiej zimy były właśnie owa bliskość, pełne zaufanie i przyjaźnie, które się tam zawiązały, a potem trwały przez całe życie.

Regularnie odbywali skoki z pełnym obciążeniem, ucząc się, jak wykorzystywać taśmy nośne do sterowania opadającym spadochronem na miękkie, zorane pola znad dróg, lasów, murków, linii telefonicznych i płotów, na które znosił ich wiatr. W C-47 latających w zimnym, wilgotnym angielskim powietrzu nogi grabiały im z zimna, zanim nad drzwiami zapaliło się zielone światło. Lądowanie na takich sztywnych nogach, w których dopiero wracało czucie, było bolesne, ale obyło się bez większych kontuzji. Zasadniczym celem tych zrzutów było jednak nie ćwiczenie samych skoków, co umiejętność szybkiego gromadzenia się w wyznaczonych punktach zbornych. Już za pierwszym razem okazało się to bardzo trudne, gdy 2 pluton kompanii E zrzucono na niewłaściwe zrzutowisko, niemal czterdzieści kilometrów od celu.

Utrzymywało się napięcie wewnątrz kompanii. Weterani walk ze stacjonującej nieopodal 82 DPD opowiadali nieraz żołnierzom dziewiczej 101 DPD, jak wyglądała walka w pierwszej linii w Afryce Północnej, na Sycylii, we Włoszech. Nie były to opowieści szczególnie podnoszące na duchu. Oficerowie, a zwłaszcza Sobel, odczuwali napięcie przed zbliżającą się walką.

„To było widać na pierwszy rzut oka w jego postępowaniu. Robił się coraz bardziej zgorzkniały i sadystyczny. To się już zaczynało robić nie do zniesienia”, relacjonuje Winters. Sierżant Earl Hale potwierdza to, wspominając, że żołnierze ciągnęli losy, który z nich „stuknie” kapitana, kiedy tylko pójdą do walki. Sobel jeszcze im to ułatwiał, ściągając skądś futrzaną lotniczą kurtkę, w której paradował dumnie, nieświadomy, że bardzo się w niej wyróżnia z otoczenia. Tipper wspomina wydarzenia, do których doszło w czasie ostrego strzelania do celów: „Sobel parę razy o mało nie dostał. Co chwilę jakiś strzał z tyłu gwizdał mu tuż koło ucha. Wówczas padał i wykonywał dziwne podskoki na ziemi, krzycząc coś, czego nikt nie rozumiał, i wstawał z powrotem. Potem padał kolejny strzał i dowódca powtarzał swój balet, kwitowany śmiechem, wesołymi okrzykami i obraźliwymi gestami z okopów. Nie wierzę, żeby nadal nie był świadom tego, co się dookoła działo, i przyjmował to za pomyłki czy przypadkowe zdarzenia. Faktem jest jednak, że wciąż znikał i się pokazywał, jakby to było normalne, żeby dowódca kompanii na strzelnicy nie mógł się ani na chwilę odwrócić plecami do swoich żołnierzy”.

To nie były jedyne psikusy, jakie żołnierze robili Sobelowi. Szeregowy George Luz potrafił naśladować głosy. Pewnej nocy kompania E szła w szpicy batalionu na nocnych ćwiczeniach. Marsz był nierówny, co chwila trzeba się było zatrzymywać z powodu płotów z

drutu kolczastego, grodzących pastwiska. Sobel szedł na samym przodzie. Webster wspomina:”Nagle z tyłu rozległ się władczy głos majora Olivera Hortona, zastępcy dowódcy batalionu:

- Kapitanie Sobel, co się tam, do cholery, dzieje? Dlaczego znowu stoimy?

- Drut kolczasty, panie majorze - odparł Sobel.

- Drut? To przetnijcie, na co czekacie? - zadudnił Luz, nadal udając Hortona.

- Tak jest, panie majorze! - szczechnął Sobel i od tej pory marsz przebiegał już bez zakłóceń.

Do czasu, bo rano podpułkownika Strayera zaatakował tłum miejscowych rolników, zasypując skargami na pocięte płoty i skarżąc się, że krowy porozłaziły im się przez to po całej okolicy. Wściekły Strayer wezwał do siebie Sobela.

- Po coś ciął te cholerne druty?

- Jak to, panie pułkowniku, przecież dostałem rozkaz...

- Od kogo?

- Od majora Hortona, panie pułkowniku. Kazał...

- Co wy mi tu pieprzycie, Sobel?! Horton jest na urlopie w Londynie!

Sobel był wściekły i zrobiła się straszna chryja. Nigdy się jednak nie dowiedział, kto go podpuścił tej nocy”.

Oficerów, podoficerów i żołnierzy kompanii znacznie bardziej od zupactwa Sobela niepokoiła jego nadmierna aktywność, to wieczne skakanie i ujadanie dookoła kompanii, idiotyczne pokrzykiwania, a przede wszystkim niezmierna tępota, z którą podchodził do zagadnień taktycznych. Niezadowolenie rosło z dnia na dzień, zwłaszcza wśród podoficerów. Opozycji szemrzącej za plecami o niechybnej klęsce, jaka spotka w boju kompanię dowodzoną przez Sobela, przewodzili dwudziestojednoletni sierżant Myron „Mike” Ranney z 1 plutonu i sierżant „Salty” Harris z 3 plutonu. Jako podoficerowie doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że stoją przed problemem delikatnej i bardzo niebezpiecznej natury. Otwarte wystąpienie przeciw przełożonemu, choćby tak beznadziejnemu jak Sobel, było aktem nie tylko niesubordynacji, ale i buntu, za który posypią się surowe kary. Byli jednak przekonani, że jeśli nie zaczną działać, to kompanię spotka znacznie surowsza kara - zostanie zmieciona w walce.

Ranney, Harris i inni podoficerowie mieli nadzieję, że może oficerowie z plutonów podniosą ten problem przed pułkownikiem Sinkiem albo że Sink sam się zorientuje w sytuacji i po cichu odwoła Sobela. To jednak po namyśle wydało im się naiwne. Przecież Sink styka się z przejawami tępoty Sobela codziennie, tak samo jak oni, i gdyby miał się go pozbyć,

zrobiłby to już dawno. A oficerowie? Jak młodszy oficerowie z plutonów mogli pójść do dowódcy pułku w takiej sprawie? I co by mu powiedzieli? Że przychodzą do niego, omijając drogę służbową, bo im się nie podoba ich przełożony? A poza tym, na co mieli się skarżyć? Kompania E brylowała w każdej klasyfikacji wewnątrz pułku, w wyszkoleniu bojowym, wychowaniu fizycznym, porządkowaniu rejonów, we wszystkim. Jak można się było spodziewać po Sinku czegokolwiek poza pełnym poparciem dla oficera, który legitymuje się garściami przechodnich podporuczyków za wszystkie możliwe rywalizacje pułkowe, w jego sporze z bandą sierżantów i kaprali? Oni tu są nie od tego, żeby dyskutować z przełożonym, tylko żeby szykować pułk do walki z najsprawniejszą armią świata. Niech się biorą do roboty, a nie próbują rozgrywać swoje gierki.

I tak szemranie trwało nadal, a Sobel i Evans byli na swoich stanowiskach dowódcy i szefa kompanii coraz bardziej osamotnieni, ale też coraz mocniej okopani.

Przepustki weekendowe i doskonale działające brytyjskie koleje pozwalały żołnierzom oderwać się choć na chwilę od napięcia panującego w kompanii. Anglia końca roku 1943 była dla chłopców z Ameryki krainą marzeń. Większość Brytyjczyków w ich wieku była na frontach lub w obozach szkoleniowych, z dala od domu. Kraj roił się od znudzonych, samotnych i spragnionych towarzystwa młodych panien i mężatek. Amerykanie nie tylko byli na miejscu, ale jeszcze byli znacznie lepiej opłacani od Brytyjczyków, a spadochroniarze mieli jeszcze do tego swoje pięć dych dodatku spadochronowego. Piwo było tanie i było go w bród, po wyrwaniu się z głuchej wsi w Aldbourne czuli się wolni od krępujących ich rygorów. Dwudziesto lub dwudziestojednoletni w większości żołnierze szykowali się, by zabijać lub samemu zginąć, więc pragnęli poznać smak życia.

Webster pisze w pamiętniku pod datą 23 października:

Mimo że mnie się w armii ani trochę nie podoba, dla większości moich kolegów to najwspanialsze wakacje w ich życiu. Chłopcy, którzy przed poborem musieli pracować lub uczyć się, teraz mieli wolne i czuli się zwolnieni od jakiejkolwiek odpowiedzialności. Bo w końcu, co im mogli zrobić? Posłać na wojnę? Już na niej byli. Jeszcze się taki rozrabiaka nie urodził, którego by za karę odesłali z powrotem do kraju.

Gorączka czasów wojny, różnorodność wrażeń, które gwałtownie zwały się na każdego z nich w tak krótkim czasie, pragnienie ucieczki od rygorów treningu, a dodatkowo zupackich wyskoków Sobela i myśli o walce pod jego niekompetentnymi rozkazami, były mieszanką piorunującą, która przekształcała wyjazdy do Londynu w niezapomniane przeżycia. Carson pisze:

Londyn był dla nas jak magiczny latający dywan. Idąc jego ulicami, spotykało się wojskowych w mundurach każdej możliwej armii wolnego świata tamtych czasów. Oni też przychodzili na Piccadilly, do Hyde Parku, na Leicester Square, pod kolumnę na Trafalgar Square, na Victoria Station. Wszędzie wokół mundury: kanadyjskie, południowoafrykańskie, australijskie, nowozelandzkie, Wolnych Francuzów, belgijskie, polskie, holenderskie, czeskie, no i oczywiście angielskie oraz amerykańskie w każdej postaci. Pamiętam tamte dni, jakby to było wczoraj. Miałem wtedy dwadzieścia lat i wiedziałem, że uczestniczę w czymś, co już nigdy się nie powtórzy. Londyn czasów wojny naprawdę stanowił odrębny świat.

Intensywne czasy wymagały intensywnych rozrywek, toteż weekendowe przepustki zamieniały się zwykle w orgie pijaństwa, rozpusty i bijatyki. Starsi Brytyjczycy patrząc na te ekscesy, twierdzili, że kłopot z jankesami polega na tym, że są za dobrze opłacani, mają zbyt wielkie libido i w ogóle tu są. Amerykanie zwykle odpowiadali, że kłopot Angoli stanowi to, że mają za mało pieniędzy, za mało jaj i w dodatku podlegają Eisenhowerowi.

Kompanii E dodano po drugim oficerze do plutonu, przewidując straty wśród kadry oficerskiej w boju. Jednym z nowo przybyłych był podporucznik Lynn „Buck” Compton. Urodzony w sylwestra 1921 roku w Los Angeles, Compton był łapaczem baseballowej drużyny UCLA i akademickiej reprezentacji kraju, a jednocześnie grał na uczelni w futbol amerykański - na tyle dobrze, by 1 stycznia 1943 roku zagrać w podstawowym składzie w finałowym meczu ligi. W dwa dni po wygraniu przez jego drużynę Rose Bowl zameldował się w podchorążówce, po której ukończeniu zgłosił się na ochotnika do Fort Benning. Po zakończeniu szkolenia spadochronowego w grudniu wysłano go do Aldbourne, do kompanii E.

Po latach wspomina: „Pamiętam, jak zazdrościłem starym wyjadaczom z Toccoa. Byłem trochę z boku, jak obcy”.

Compton szybko przekonał się, że porucznik Nixon, obecnie oficer rozpoznania batalionu, nie lubił ludzi z pierwszych stron gazet. Z miejsca, jako sportowcowi, powierzył mu „organizację zaprawy fizycznej”, co w praktyce oznaczało, że Compton jako jedyny oficer prowadził kompanię podczas długodystansowych biegów. Z tej racji, czy też z racji swej sportowej przeszłości, a może wreszcie dlatego, że kochał hazard, łączyły go bardzo bliskie stosunki z podoficerami, a nawet z szeregowymi kompanii. Niektórzy oficerowie uważali nawet, że zbyt bliskie. Kiedyś został przyłapany na grze w kości ze swoimi podwładnymi i otrzymał za to burę od zastępcy dowódcy kompanii, porucznika Wintersa.

Trzydziestego października o 11.00 podpułkownik Strayer miał dokonać inspekcji kompanii E. Sobel rozkazał porucznikowi Wintersowi skontrolować o 10.00 latryny. Kilka

minut potem Strayer nakazał mu jednak zająć się cenzurowaniem listów szeregowych. Winters miał listy u siebie na kwaterze, we wsi, więc wskoczył na rower i popedałował do Aldbourne, gdzie mieszkał w pokoiku u angielskiej rodziny. Dokładnie o 10.00, jak rozkazał Sobel, wrócił do koszar i ruszył kontrolować latrynę. Ku swemu zdumieniu zastał tam dowódcę kompanii, który właśnie przeprowadzał własną inspekcję.

Sobel minął go ze spuszczoną głową, nie dając poznać, czy w ogóle widział swego zastępcę. Za nim dreptał z miną nie wróżącą niczego dobrego szeregowy Joachim Melo ze szczotką w ręku, przemoczony, brudny i nie ogolony, z potarganymi włosami. Kiedy Sobel wyszedł bez słowa, Winters sprawdził latrynę i stwierdził, że Melo wykonał swoje obowiązki właściwie.

O 10.45 Winters wszedł do kancelarii kompanii, by przyszykować się do zapowiedzianej na 11.00 inspekcji dowódcy batalionu. Szef kompanii, Evans, zbliżył się do niego ze złośliwym uśmiechem i wręczył pismo następującej treści:

Kompania E 506 pps, 30 października 1943

Dotyczy: Ukaranie zgodnie z art. 104 R[egulaminu] D[yscyplinarnego] A[rmii]

Do: por. R.D. Winters

1. Por. Winters zaniedbał dokonania dziś o godzinie 9.45 inspekcji latryn zgodnie z moim rozkazem. W związku z tym por. Winters udzielił odpowiedzi pocztą zwrotną [sic!], czy woli za to ponieść karę dyscyplinarną w trybie art. 104 RDA, czy też mam sprawę skierować do sądu wojennego.

podpisano: Herbert M. Sobel, kpt., d-ca [z wielkimi zakrętami]

Winters poszedł do kapitana, zaszalutował, zameldował się i poprosił o pozwolenie na zabranie głosu.

- Panie kapitanie, rozkazy, które otrzymałem, nakazywały inspekcję latryn o godzinie 10.00.

- Zmieniłem potem godzinę na 9.45.

- Ale nikt mnie o tym nie powiadomił, panie kapitanie.

- Telefonowałem i wysłałem gońca.

Winters ugryzł się w język, zrozumiał, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Zresztą i tak nadeszła 11.00, a wraz z nią inspekcja. Strayer skontrolował żołnierzy i koszary. Wszystko było w porządku, wliczając latryny. Winters tymczasem ułożył w myślach tekst odpowiedzi „pocztą zwrotną”. Na odwrocie otrzymanego pisma napisał ręcznie:

Dotyczy: Kary w trybie art. 104 RDA lub sądu wojennego

Do: kpt. H.M. Sobel

1. Proszę o skierowanie mnie pod sąd wojenny za zaniedbanie inspekcji latryn o godzinie 9.45.

podpisano: por. R.D. Winters, z-ca d-cy komp. E

Sobel nazajutrz udzielił mu odpowiedzi na piśmie:

1. Wymierzam karę dyscyplinarną w postaci pozbawienia prawa do czterdziestoosmiogodzinnych przepustek na okres do 15 grudnia.

2. W zgodzie z procedurą ujętą w Regulaminie Sądów Wojennych, ma pan prawo przegotować [miało być pewnie „przygotować”, ale Evans był szefem kompanii, a nie zawodową maszynistką] pismo procesowe, w którym przedstawi pan własną wersję wypadków i ewentualny wniosek o rozprawę w sprawie uchylecia nałożonej kary dyscyplinarnej.

Winters przez trzy dni zastanawiał się nad odpowiedzią. Na ile znał Sobela, to drugie pismo miało oznaczać „Nie wygłupiaj się, przyjmij nałożoną karę i zapomnij o sądzie”. Sobel doskonale zdawał sobie sprawę, że „kara” jest Wintersowi zupełnie obojętna - i tak nie korzystał do tej pory ani razu z weekendowych przepustek. Wolał zostać w kompanii, poczytać albo uprawiać jakieś sporty. Niemniej Sobel przesadził. Winters miał już dość podjazdowej wojny, której nie zaczynał. Jeśli Sobel chciał konfrontacji, to będzie ją miał. Walka o władzę w kompanii E musiała zostać rozstrzygnięta. Kompania nie była dość duża, żeby pomieścić ich obu.

Czwartego listopada Winters wystosował pismo, w którym nie zgadzał się na nałożoną karę i wnioskował o rozpatrzenie sprawy przez sąd wojenny. Tym razem to Sobel odpowiedział „poczto zwrotno”:

1. Kara dyscyplinarna nałożona przez niżej podpisanego nie zostanie przez niego uchylona.

2. Jeżeli rozkaz wydany przez wyższego przełożonego [polecenie oceniania poczty przez Strayera] uniemożliwił wykonanie rozkazu przełożonego niższego szczebla, powinien pan przekazać rozkaz dokonania inspekcji latryn innemu oficerowi, a nie pozostawić latryny bez dozoru do chwili, w której nie pozostało już wiele czasu na podjęcie czynności naprawczych przed przybyciem inspekcji.

Pismo podpisane było, jak zwykle z rozmachem, przez dowódcę kompanii.

Tymczasem wniosek o zwołanie sądu wojennego wystosowany przez Wintersa stwarzał dowództwu batalionu całkiem poważny problem. Oficerowie dowództwa wyciągnęli regulamin sądów wojskowych i zaczęli go gorączkowo wertować w poszukiwaniu rozwiązania pozwalającego wybrnąć z sytuacji bez kompromitacji batalionu. W końcu udało

im się i Strayer uchylił karę nałożoną przez Sobela w trybie nadzoru, bez zwoływania posiedzenia sądu wojennego.

Dla Sobela nie oznaczało to bynajmniej zakończenia sprawy:

Dotyczy: Zaniedbania udzielenia właściwych instrukcji dyżurnemu latrynowemu Do: por. R.D. Winters

1. Poczta zwrotno udzieli pan pisemnych wyjaśnień na temat przyczyn zaniedbania udzielenia właściwych instrukcji pełniącemu obowiązki latrynowego szer. Melo J.

2. Ponadto udzieli pan odpowiedzi poczcie zwrotno, z jakiego powodu szer. Melo J. w dniu 30 października b.r. około godziny 10.30 pełnił służbę nie ogolony.

Winters skapitulował przed uporem przełożonego. Niech się dzieje, co chce, pomyślał. Jak chce, niech mnie rozstrzela. W takim stanie ducha wystosował odpowiedź na piśmie o treści następującej:

1. Co do przyczyn nieudzielenia właściwych instrukcji latrynowemu, szer. Melo J.: nie mam usprawiedliwienia.

2. Co do przyczyn tego, że był nie ogolony na służbie o godzinie 10.30: nie mam usprawiedliwienia.

Następnego dnia podpułkownik Strayer zdecydował, że dla dobra kompanii E obu oficerów, o których konflikcie już od dawna mówiło się w koszarach, należy rozdzielić, przenosząc Wintersa. Strayer powierzył mu obowiązki oficera kasynowego.

Nowy przydział był obelgą dla Wintersa - etat ten był zwyczajowo zarezerwowany dla ofermi, który na tym stanowisku nie mógł wyrządzić zbyt wiele szkód. Wymarzona pozycja dla Sobela...

Po odejściu Wintersa perspektywa pójścia w pole pod dowództwem Sobela stała się jeszcze bardziej przerażająca dla podoficerów. Ranney i Harris zwołali spotkanie spiskowców. Z wyjątkiem Evansa i jednego czy dwóch innych wzięli w nim udział wszyscy pozostali podoficerowie kompanii E. Ranney i Harris zaproponowali postawienie Strayerowi ultimatum: albo usunie Sobela, albo oni wszyscy zrezygnują ze swoich stopni. Naciskali na to, że wszyscy muszą działać razem, solidarnie, że nie może być wśród nich dysydentów i prowodyra, którego można by ukarać.

Ta radykalna propozycja wzbudziła wiele kontrowersji, ale w końcu zgodzili się co do jednego: walka pod dowództwem Sobela była nie do pomyślenia. Jedyńm sposobem na wyrażenie Strayerowi i Sinkowi ich stanowiska było złożenie przez nich wszystkich rezygnacji. Lipton napisał tekst:

Niniejszym rezygnuję ze swego stopnia. Nie chcę być dłużej podoficerem w kompanii E.

Każdy podpisał swoją i Lipton, który tej nocy pełnił służbę podoficera dyżurnego dowództwa (spał w kancelarii, miał się zajmować wszelkimi sprawami, które wynikłyby w nocy, a rano przeprowadzić pobudkę), pozbierał je i umieścił w koszu z korespondencją przychodzącą do Sobela.

Podoficerowie zastanawiali się nad dalszymi posunięciami i postanowili zasięgnąć rady Wintersa. Zaproszono go do dowództwa kompanii, a kiedy przybył, Ranney opowiedział mu o zebraniu, rezygnacjach i całej reszcie.

Winters był zdecydowanie przeciwny.

- Nie, do cholery, nie! Nawet o tym nie myślcie! To przecież bunt!

Podoficerowie zaprotestowali. W trakcie trwania ożywionej dyskusji do kwatery dowództwa wszedł Sobel. Wszyscy natychmiast umilkli. Sobel, także milcząc, podszedł do biurka i wziął z niego książkę, po czym ruszył do wyjścia. Kiedy się odwracał, Ranney niby to wracając do przerwanej rozmowy, zapytał Wintersa o poprawki do programu kompanijnego turnieju lekkoatletycznego. Sobel, pozornie nie zwracając uwagi, wyszedł.

Winters był zdania, że Sobel doskonale wiedział, co się święci w kompanii. „Do diabła, przecież spiskowcy wcale się z tym nie kryli”. Zaprosili nawet na swoje spotkanie Evansa, który wprawdzie nie przyszedł, ale bez wątplenia powiedział o zebraniu Sobelowi.

I rzeczywiście, w całym batalionie było już głośno o podjazdowej wojnie Sobela najpierw z Wintersem, a w końcu z własnymi podoficerami. Sink musiałby być głuchy, ślepy i niemy, żeby o tym nie wiedzieć. Wiedział też doskonale, komu zawdzięcza uśmierzenie w zarodku buntu w kompanii E. Kilka dni później pułkownik pojawił się w kompanii E i zwołał wszystkich podoficerów. Lipton wspomina: „Objechał nas od stóp do głów, zgodnie ze wszystkimi regułami sztuki. Nawrzeszczał na nas, że przynieśliśmy wstyd kompanii i że powinien nas wszystkich pozamykać do późnej starości. Uświadomił nam także, że odbywaliśmy szkolenie bojowe w strefie frontowej i w związku z tym nasz bunt zostałby uznany za bunt w obliczu wroga, za co wszyscy mogliśmy dostać kulę w łeb”.

Na szczęście dla Sinka i kompanii E w pobliskim Chilton Foliat 101 DPD uruchomiła właśnie Szkołę Spadochronową, w której uprawnienia skoczka mieli zdobywać wszyscy żołnierze dywizji, którzy ich jeszcze nie posiadali: lekarze, kucharze, kapelani, radiowcy, wysunięci obserwatorzy artyleryjscy i wszyscy ci, którzy w D-Day mieli skakać z dywizją we Francji. A któż lepiej nadawał się do prowadzenia tej szkoły niż kapitan Sobel?

Tak więc klamka zapadła. Sink wysłał Sobela do Chilton Foliat, ściągnął z kompanii A porucznika Patricka Sweeneya na zastępcę dowódcy, a porucznik Thomas Meehan z kompanii B został nowym dowódcą kompanii E. Winters wrócił, obejmując dowództwo 1 plutonu. Ranney został zdegradowany do szeregowego, a Harris przeniesiony. Era Sobela w kompanii E dobiegła szczęśliwego końca.

Meehan stanowił przeciwieństwo Sobela. Smukły, wysoki, wysportowany, rozsądny i kompetentny oficer. Był wymagający, ale sprawiedliwy. Rozkazy wydawał normalnym głosem. Winters stwierdził: „Pod dowództwem Meehana staliśmy się nareszcie normalną kompanią”.

Szkolenie znowu się zintensyfikowało. Trzynastego grudnia kompania odbyła nocny skok i poniosła pierwszą stratę śmiertelną. Szeregowemu Hudolphowi Dittrichowi z 1 plutonu nie otworzył się spadochron. Plutony i drużyny zaczęły wychodzić na trzydniowe ćwiczenia pod dowództwem coraz to innych oficerów i sierżantów, w miarę jak kolejnych dowódców ogłaszano jako poległych i rannych. 12 grudnia Carson zapisał w dzienniku:

Wyobrażacie sobie mnie jako dowódcę plutonu? Nie, co za głupi pomysł!

A jednak nie miał racji. Te ćwiczenia nauczyły ich inicjatywy i dawania sobie rady w każdych okolicznościach, w tym żywienia i bytowania na terenie zajęтым przez nieprzyjaciela, bez zaopatrzenia z zewnątrz. Nauczyli się łowić ryby przy użyciu granatu, poprawiać puszkową dietę, kłusując na jelenie i zające po lasach.

W Boże Narodzenie mieli dzień wolny od zajęć i tyle pieczonego indyka, ile tylko mogli zjeść. Sylwester był cichy. Carson zapisał 31 grudnia:

Po prostu czekaliśmy na Nowy Rok. Zastanawialiśmy się, co nam on przyniesie, ilu z nas dożyje 1945 roku.

Osiemnastego stycznia do Chilton Foliat przyjechał na inspekcję dowódca 21 Grupy Armii, do której przydzielono 101 DPD, generał Bernard Law Montgomery. Dokonał przeglądu pułku, po czym wezwał żołnierzy, żeby się zebrali wokół jego wozu. Wdrapał się na maskę jeepa i wygłosił do nich przemowę o tym, jacy są dobrzy. Na zakończenie powiedział:

- Po tym, jak zobaczyłem wasz 506 pułk, zaczynam żałować Niemców.

Powoli przybywało dnia, co znaczyło, że zbliża się czas, kiedy pogoda pozwoli na prowadzenie działań bojowych. Narastało napięcie. Młodzi ludzie nie mogli się pozbyć myśli o śmierci. Niewielu z nich odważało się mówić o tym wprost, do nielicznych należał Webster, który w liście do matki pisał:

Przestań się o mnie martwić. Wstąpiłem do spadochroniarzy, żeby walczyć, i mam zamiar walczyć. Jeśli będzie trzeba, zginę w tej walce, bo jeszcze nie było na świecie wojny, w której by nie ginęli młodzi ludzie. To, co nam wszystkim jest drogie, można obronić tylko w drodze poświęceń.

W lutym zakończono ogólne szkolenie bojowe i cała dywizja, a dokładniej mówiąc całe liczące siedem dywizji siły inwazyjne, zaczęły przygotowania do ataku na konkretne cele w Normandii.

Dwudziestego trzeciego marca 2 i 3 batalion 506 pps zrzucono razem w największym od początku istnienia pułku ćwiczebnym desancie spadochronowym. Okazją do tej demonstracji siły była wizytacja pułku przez premiera Winstona Churchilla; Naczelnego Dowódcę Sojuszniczych Ekspedycyjnych Sił Zbrojnych w Europie, generała Dwighta D. Eisenhowera; dowódcę amerykańskiej 1 Armii, generała Omara N. Bradleya, i nowego dowódcę 101 DPD, generała Maxwella D. Taylora. Taylor zastąpił generała Lee, którego w lutym zawał zmusił do powrotu do Stanów.

Zrzut okazał się wielkim sukcesem. C-47 nadleciały w idealnie wyrównanym szyku klina kluczy. Churchill i generałowie ze specjalnie w tym celu zbudowanej trybuny byli świadkami tego, jak z samolotów skacze ponad tysiąc żołnierzy, zapelniając niebo mnóstwem spadochronów. W chwili lądowania sprawnie uwalniali się od uprzęży i pędzili biegiem na wyznaczone miejsca zbiórek, składając tam w piorunującym tempie rozmontowaną na czas skoku broń. Goście byli zdumieni sprawnością i prędkością ich ruchów. Kronika pułkowa zanotowała, że „chłopcy z Currahee” zrobili wspaniałe wrażenie.

Później pułk zebrał się przed trybuną honorową. Taylor zaprosił Eisenhowera i Churchilla do dokonania przeglądu wojsk. Obaj dostojnicy przeszli wzdłuż szeregu, zadając czasem pytanie lub dwa mijanym żołnierzom.

Eisenhower zatrzymał się przed Malarkeyem.

- Żołnierzu, skąd jesteście? - zapytał. [Przed lądowaniem w Normandii Eisenhower rozmawiał z tysiącami żołnierzy w czasie inspekcji. To było zawsze pierwsze pytanie, które im zadawał].

- Astoria w stanie Oregon, panie generale.

- A co robiliście przed wojną?

„Odpowiedziałem, że studiowałem na Uniwersytecie Oregońskim. Ike wtedy zapytał, kto wygrał ostatnie derby akademickie w futbolu amerykańskim pomiędzy uczelnią i stanowym uniwersytetem, a potem, czy mam zamiar kontynuować studia po wojnie. Potem zagadnął Churchilla, czy chce mi zadać jakieś pytanie.

- Jak ci się podoba w Anglii, synu? - zapytał Winston.

Zapewniłem go, że bardzo, bo zawsze podobała mi się literatura i historia Anglii. Obiecał mi, że postara się jak najszybciej odesłać mnie z powrotem do domu. To było naprawdę pamiętne wydarzenie”.

Zaraz po skoku przed Churchillem odbyły się jeszcze większe manewry, których celem było ćwiczenie współdziałania wojsk spadochronowych, szybowcowych i lądowych ze wsparciem lotnictwa i marynarki wojennej. Ćwiczenia miały miejsce w południowo-zachodniej Anglii, w ich ramach dokonywano masowych desantów z powietrza i morza.

W czasie tych manewrów Guarnera kazał szeregowym Warrenowi Muckowi i Malarkeyowi wstrzelać się z ich moździerza w cel - biały kwadrat o boku dwóch metrów - umieszczony na odległej o sześćset metrów od ich stanowiska wydmy. Malarkey ustawił krąg i bęben, wrzucił do lufy granat i po wystrzale pilnie obserwował punkt trafienia. Za długi, skrócił celownik i wystrzelił drugi raz. Tym razem za blisko. Mając pokryty cel, ustawił celownik na pośrednią wartość i czekał na rozkaz do odpalenia kolejnego „ogórka”. W tej właśnie chwili na stanowisku pojawiła się grupa oficerów sztabowych z generałem Taylorem na czele. Jeden z oficerów nakazał Guarnerowi zademonstrować sprawność dowodzonej przez niego obsługi moździerza, ostrzeliwując cel - ten sam, który działonowy wskazał uprzednio, i do którego właśnie się wstrzelali.

Guarnera puścił oko do Malarkeya i jakby nigdy nic zaczął wydawać od nowa komendy dla działonu, wskazując dozór, cel, podając krąg i bęben, a w końcu nakazując odpalenie trzech granatów ogniem szybkim. Malarkey odegrał swoją rolę bez zająknięcia, potwierdzając kolejne komendy i kręcąc palcami po pokrętkach podniesienia i poprawki bocznej, ale tak naprawdę wcale ich nie dotykał. W końcu otworzyli nosidło z granatami moździerzowymi i przygotowali do użycia trzy z nich. Kiedy Guarnera wydał komendę „ognia!”, Malarkey wrzucił je kolejno do lufy tak szybko, jak tylko wylatywały z niej poprzednie pociski. Oficerowie pokiwali głowami, doceniając sprawność obsługi, po czym podnieśli lornetki, by obejrzeć skutki. Byli pełni sceptycyzmu - szybkie to strzelanie było, ale przecież bez wstrzeliwania się, na oko młodego działonowego, który prochu nie wahał.

Bum! Pierwszy granat trafił w sam środek białego kwadratu. Bum! Bum! Dwa pozostałe zmiotły cel z powierzchni wydmy.

- Sierzancie - zapytał, opuszczając lornetkę, dowódca dywizji - czy wasz działon zawsze tak celnie strzela?

- Tak jest, panie generale - odparł Guarnera. - Moi chłopcy nigdy nie chybają, sir.

Po manewrach 101 DPD wróciła pociągami do koszar w Wiltshire i Berkshire. Generał Taylor i jego sztabowcy doskonale zdawali sobie sprawę, że manewry ujawniły wiele niedomagań, bez których usunięcia nie można było iść w bój. Chłopcy z Currahee dowiedli, że nauczyli się wiele o taktyce pododdziałów. Teraz zadanie generałów polegało na wpasowaniu ich w całość układanki.

PILNUJ SIĘ ADOLFIE! IDZIEMY PO CIEBIE!**Slampton Sands, Uppottery**

1 kwietnia - 5 czerwca 1944

VII Korpus składał się z 82 i 101 Dywizji Powietrznodesantowych oraz 4 Dywizji Piechoty. Korpusy VII i V (1 i 29 DP) tworzyły wspólnie 1 Armię pod dowództwem generała Omara Bradleya. Eisenhower powierzył mu zadanie uchwycenia przyczółków po obu stronach ujścia rzeki Douve, w miejscu gdzie francuskie wybrzeże tworzy kąt prosty. Jego poziome ramię wyciągnięte na wschód to Wybrzeże Calvadosu. Pionowym ramieniem jest biegnące na północ wschodnie wybrzeże półwyspu Cotentin. Zdobyć Wybrzeża Calvadosu, odcinka inwazyjnego Omaha, powierzono V Korpusowi. VII Korpus miał zdobywać nasadę półwyspu Cotentin, zwaną obecnie odcinkiem inwazyjnym Utah. VII Korpus miał podwójnie ważne zadanie - odcinek Utah stanowił prawą flankę całego ciągnącego się od ujścia Orne na dystansie siedemdziesięciu kilometrów rejonu desantowania operacji Neptune, lądowania w Normandii; jego opanowanie warunkowało powodzenie całej operacji otwarcia Drugiego Frontu w Europie, operacji znanej pod kryptonimem Overlord.

Eisenhower potrzebował tak szerokiego przyczółka desantowego do przerzucenia w krótkim czasie wystarczającej liczby dywizji piechoty, aby pobić siły niemieckie okopane za Wałem Atlantyckim⁸.

Odcinek Utah był najłatwiejszy do zdobycia z morza. Na odcinkach brytyjskich i kanadyjskich (Gold, Juno i Sword, na wschód od Omaha) zaraz za plażą zaczynał się teren zurbanizowany, stało mnóstwo małych domków, jakieś warsztaty, hotele i kasyna, wśród których Niemcom łatwo było budować umocnione pozycje dla broni maszynowej. Nad Omaha górowały sięgające dwustu-trzystu metrów nad poziomem morza skalne urwiska, z których szczytu okopani tam Niemcy mogli razić ogniem desantujące wojska, widoczne jak na dłoni z ich stanowisk. Na Utah nie było urwisk ani domów. Gdziekolwiek tylko widniały żelbetowe umocnienia obronne ze stanowiskami artylerii i broni maszynowej. Największą z tych pozycji była La Madeleine na samym środku odcinka Utah. Nazwa pochodziła od pobliskiego kościółka, który pamiętał jeszcze czasy wikingów. Płaski teren i lekkie nachylenie plaży sprawiały jednak, że lądowanie na Utah i przedarcie się przez nią nie mogło

⁸ Spadochroniarze żartowali, że Hitler, budując Wał Atlantycki, popełnił jeden wielki błąd - zapomniał go zadaszyć.

się nawet równać stopniem trudności z tym, czego mógł się spodziewać V Korpus na odcinku Omaha.

Problem polegał jednak na czym innym - odcinek Utah nie był broniony tak silnie, bo bez panowania nad jego zapleczem nie był do niczego przydatny. Za wąskim pasem plaży leżały rozległe nieckowate obszary, często zalewane przez morze, i dlatego od dawnych czasów służące wyłącznie jako łąki do wypasu bydła. Z plaży w głąb lądu prowadziły przez nie czterometrowej wysokości nasypy, po których biegły nieutwardzone drogi. Dowodzący obroną niemiecki marszałek Erwin Rommel zalał niziny, chcąc skanalizować ewentualne natarcie i zmusić napastnika do korzystania z dróg na nasypach (planiści Eisenhowera nieodmiennie nazywali je groblami), których wylotów łatwiej było bronić niż całego odcinka wybrzeża. Większość artylerii Rommel ukrył w zamaskowanych stanowiskach i bunkrach na zapleczu zalewów, skąd mogła ostrzeliwać nacierającego przeciwnika. Także większość jego sił piechoty rozmieszczona była po zachodniej stronie strefy zalewów, by atakować nieprzyjaciela wychodzącego z wylotów grobli.

Eisenhower rozkazał 101 DPD uchwycić te rejony, by uniemożliwić skorzystanie z nich obrońcom, i zdobyć wyloty grobli, utrzymując je następnie do przybycia własnych wojsk lądowych desantujących na odcinku Utah. Aby tego dokonać, dywizja miała zostać zrzucona w nocy. Jej celem było dokonanie ataku z zaskoczenia, wprowadzenie maksymalnego zamieszania w niemieckiej obronie, zdobycie wyznaczonych obiektów i zniszczenie dział, zanim Niemcy zdążą zareagować na desant z powietrza.

Plan był skomplikowany, najeżony pułapkami i ryzykowny. Aby się powiódł, musiał być sprawdzony. Żeby jednak ćwiczenia były realistyczne, trzeba było znaleźć rejon w Anglii o warunkach naturalnych zbliżonych do tego, co napotkają w Normandii.

Po dłuższych poszukiwaniach znaleziono odpowiedni teren przypominający ukształtowaniem odcinek Utah - fragment wybrzeża Slapton Sands w Devonshire na południowym zachodzie Anglii. Wąski pas plaży oddzielony był tam od lądu płytkim jeziorem i bagnami, ponad którymi przerzucono dwa mosty. Teren niemal idealnie nadawał się do tego, żeby na nim ćwiczyć zadania VII Korpusu w D-Day.

Pod koniec kwietnia cały VII Korpus wziął udział w ćwiczeniach pod kryptonimem Tiger. Kompania E pojechała ciężarówkami do hoteli w nadmorskim uzdrowisku Torquay, gdzie wygodnie spędzili noc. Nazajutrz, 26 kwietnia, znowu ciężarówkami, przerzucono ich w rejon Slapton Sands, skąd ewakuowano wszystkich cywilów. Kompania rozłożyła się tam na biwak i przespała pół nocy, po czym ciężarówkami zawieziono ją na symulowane

zrzutowisko. Po zbiórce kompania pomaszerowała na przelaj we mgle, docierając w rejon płaskowyzu około półtora kilometra od wybrzeża, gdzie obsadziła wylot jednego z mostów.

Webster pisze:

O świcie zobaczyliśmy olbrzymią armadę jednostek desantowych, powoli zbliżających się do brzegu. Nigdy w życiu nie widziałem tylu statków naraz w jednym miejscu. Flota inwazyjna była widokiem, który zrobił na mnie najsilniejsze wrażenie.

Nie widzieli i nie dowiedzieli się o tragedii, do której doszło w nocy. Niemieckie kutry torpedowe wdarły się pomiędzy zgromadzone do ćwiczebnego lądowania okręty desantowe z 4 DP na pokładach. Ich torpedy zatopiły dwa olbrzymie LST (okręty desantowe do transportu czołgów) i uszkodziły wiele innych. Zginęło ponad dziewięćset ludzi. Cały incydent został przemilczany przez aliantów obawiających się obniżenia morale wojsk czekających na inwazję we Francji. Potem, zapewne z obawy przed wydaniem się tak kompromitującej wpadki, milczenie to trwało jeszcze czterdzieści lat.

Webster, obserwując żołnierzy 4 DP lądujących i przedzierających się do nich przez plażę i mosty, zapisał, że kiedy przechodzili przez ich pozycje, byli „spoceni, zziajani i klęli, na czym świat stoi”. Zapisał także informację przekazaną przez oficerów, że ich wycieczka do malowniczego Torquay stanowi ściśle strzeżoną tajemnicę wojskową. Po południu odbyli czterdziestokilometrowy marsz, po którym biwakowali przez noc w lesie. Rankiem 28 kwietnia wsiedli na ciężarówki, które zawiozły ich z powrotem do Aldbourne.

W ten weekend Malarkey, Chuck Grant, Skip Muck i Joe Toye dostali przepustki do Londynu, dokąd pojechali z kumplem Mucka z Tonawanda w stanie Nowy Jork, Fritzem Nilandem. W Londynie spotkali jeszcze brata Nilanda, Boba, który dowodził drużyną w 82 DPD i wahał już proch w Afryce Północnej i na Sycylii. Spędzili ten wieczór w pubie, słuchając opowieści Boba o tym, jak naprawdę wygląda wojna. Malarkeyowi zapadła w głowę zwłaszcza jedna uwaga starego wiarusa: „Jeśli chcesz być bohaterem, Niemcy szybko go z ciebie zrobią, ale pośmiertnie”.

W drodze powrotnej pociągami do Aldbourne Malarkey powiedział Muckowi, że jego zdaniem Bob Niland nie nadawał się do dalszej walki.

W Aldbourne przez pierwszy tydzień maja kompania E odbywała kolejne ćwiczenia, atakując stanowiska artylerii, mosty, wyloty grobli. Większość tych ataków wykonywali zawożeni ciężarówkami na „zrzutowiska”, ale do jednego z nich naprawdę skakali.

W dniach od 9 do 12 maja 101 DPD⁹ odbyła „próbę generalną” przed D-Day, ćwiczenia pod kryptonimem operacja Eagle. W ćwiczeniach brała udział cała dywizja, kompania E startowała z tego samego lotniska, Uppottery, z którego mieli odlecieć do prawdziwej inwazji, i na pokładzie tych samych samolotów. Załadunek, start i zrzut miały być przeprowadzone w warunkach jak najbardziej zbliżonych do bojowych - po starcie krążyli w powietrzu przez czas, w którym naprawdę mieli dolecieć do Francji .

Załadunek do C-47 okazał się bardzo trudny. Każdy z żołnierzy był obładowany ponad wszelką miarę. Żołnierze idąc na wojnę od zawsze zabierali wszystko, co mogło się przydać w najbardziej nieprzewidzianych okolicznościach. Bielizna, w której mieli skakać, została nasączona specjalnym impregnatem, mającym ich chronić na wypadek ataku gazowego. Ubrania przez to śmierdziały, były sztywne i niewygodne. Skóra stykająca się z nimi swędziała, ciała pozbawione wentylacji sływały potokami potu. Kurtki i spodnie mundurów polowych zostały potraktowane w ten sam sposób. Każdy żołnierz miał scyzoryk zaszyty w klapie bluzy mundurowej, do przecięcia uprzęży w razie zawisnięcia na drzewie. W workowatych kieszeniach na udach mieli zapakowane łyżkę, brzytwę, skarpety na zmianę, pakuły do czyszczenia broni, latarkę, mapę, racje żywnościowe na trzy dni, żelazną rację żywnościową (cztery tabliczki czekolady, paczkę sucharów, kawę w proszku, cukier i zapalki), zapas amunicji, busolę, dwa granaty obronne, minę przeciwpancerną, granat przeciwpancerny Gammon (woreczek zawierający niemal kilogram plastiku z zapalnikiem) i po dwa kartony papierosów na głowę. Oprócz tego każdy dźwigał pas z amunicją do karabinu. Przy pasie wisiały: kabura z pistoletem (oficerowie i podoficerowie mieli broń boczną z przydziału, szeregowi zajmowali się „zorganizowaniem” pistoletu na własną rękę), manierka, łopátka w pokrowcu, zasobnik z opatrunkiem osobistym i bagnet. Na to wszystko szła uprzęż spadochronu z pokrowcem czaszy głównego spadochronu doszytym na plecach i spadochronem zapasowym przypiętym na piersi. Do lewego uda przytroczony był pokrowiec z maską przeciwgazową, a do prawego nóż bojowy w pochwie. Na wierzchu spadochronu zapasowego umocowano chlebak z zapasową bielizną, resztą zapasu amunicji i w niektórych przypadkach - kilkoma pakietami trotylu, spłónkami minerskimi i lontem. Przewieszony przez pierś skoczka, pod spadochronem zapasowym znajdował się pikowany dla ochrony żeber pokrowiec z rozłożonym karabinem, karabinem maszynowym lub moździerzem - w ten sposób żołnierz miał wolne ręce i mógł bez trudu sięgać do taśm nośnych spadochronu, by sterować nim w ostatniej fazie opadania, tuż przed przyziemieniem. Na to wszystko zakładał

⁹ Leonard Rapport, Arthur Northwood, Jr., *Rendezvous with Destiny: A History of the 101st Airborne Division* [Fort Campbell, Kentucky, 1948, s. 68-69].

jeszcze nadmuchiwaną kamizelkę ratunkową (zwaną maewestką z racji bujnych kształtów, przypominających znaną gwiazdę filmową Mae West). Całość wieńczył założony na głowę hełm.

Niektórzy zabierali jeszcze trzeci nóż. Inni upychali po różnych zakamarkach trochę amunicji. Gordon, który miał skakać z karabinem maszynowym, obliczył, że zabiera ze sobą tyle, ile sam ważył. Prawie każdemu żołnierzowi trzeba było pomagać przy wchodzeniu do samolotu. Wewnątrz byli tak ciasno upchani, że przez cały lot nie mogli się nawet ruszyć.

Generał Taylor poruszył niebo i ziemię, żeby wydostać dość C-47 do przeprowadzenia operacji Eagle. Samoloty transportowe były na wagę złota na całym europejskim teatrze działań wojennych, a potrzeby wojsk powietrznodesantowych znajdowały się zawsze na szarym końcu. By wydusić każdy kilogram dostępnej ładowności, nie zaopatrzone ich w samouszczelniające się zbiorniki, chroniące do pewnego stopnia przed skutkami trafienia odłamkami pocisków artylerii przeciwlotniczej. Mieli latać na dalekim zapleczu, więc uznano je za niepotrzebny luksus.

Kompania E przeszła odprawy przygotowujące operację Eagle w dniach 10 - 11 maja. Celem była bateria dział, mająca w polu swojego ostrzału plaże, na których planowano lądowanie desantu. O zmierzchu 11 maja samoloty z kompanią E na pokładach wystartowały z Uppottery. Samoloty zaczęły krążyć nad Anglią, symulując lot do Normandii, trwający około dwóch i pół godziny. Tuż po północy samoloty osiągnęły rejon desantowania i rozpoczęły zrzut. Dla kompanii E był to spokojny, niemal rutynowy lot i skok. Inne kompanie miały się znacznie gorzej. Kompania sztabowa 2 batalionu w trakcie krążenia nad Anglią przemieszała się z niemiecką wyprawą bombową na Londyn. Ogień artylerii przeciwlotniczej zmusił pilotów do złamania szyku i rozpierzchnięcia się. Samoloty nie mogły znaleźć wyznaczonych zrzutowisk. Osiem z dziewięciu samolotów transportujących kompanię H 502 pps zmyliło drogę i zamiast nad celem, żołnierze skakali nad wsią Ramsbury, niemal piętnaście kilometrów od wyznaczonego zrzutowiska. Ogółem dwadzieścia osiem samolotów powróciło na lotniska ze spadochroniarzami na pokładach. Wielu zrzucano na chybił-trafił, co zaowocowało licznymi urazami. Prawie pięciuset żołnierzy doznało złamań, skręceń i innych kontuzji nóg.

Jedynym pocieszeniem dla dowódców mogła być stara teatralna prawda, że zawałone próby generalne zwykle owocują wspaniałymi premierami.

Ostatniego dnia maja kompania raz jeszcze pomaszerowała do ciężarówek ustawionych wzdłuż drogi do Hungerford. Połowa ludności Aldbourne, w tym niemal

wszystkie panny na wydaniu, wyległa na drogę, by ich pożegnać. Połało się wiele łez. Pozostawione w bazie bagaże dawały cię nadziei, że chłopcy jednak tu wrócą.

Szkolenie dobiegło końca. Trwało dwadzieścia dwa miesiące z różną intensywnością. Żołnierze byli teraz w doskonałej kondycji fizycznej. Zdyscyplinowani, nauczeni wykonywać rozkazy natychmiast i bez dyskusji. Stali się ekspertami w użyciu własnej broni, biegle posługiwali się wszelkimi innymi rodzajami broni, używanymi w kompanii, i w razie potrzeby umieli się posługiwać bronią zdobyczną. Potrafili obsługiwać radiostacje, znali wiele sygnałów ręcznych, nauczyli się odczytywać sygnały dymne.

Doskonale opanowali działania pojedynczego żołnierza, taktykę pododdziałów, ich współdziałanie. Potrafili zaatakować baterię artylerii, bunkier, system umocnień polowych czy wzgórze bronione przez okopaną broń maszynową.

Każdy żołnierz znał obowiązki dowódcy sekcji, drużyny, plutonu i był gotów je objąć w razie konieczności. Umieli wysadzać mosty, unieszkodliwiać działa. Pozycję obronną potrafili zorganizować i obsadzić w mgnieniu oka. Nie przerażało ich życie w polu, spanie w okopie indywidualnym, marsz trwający cały dzień i całą noc. Znali się i mieli do siebie zaufanie. W kompanii E zdobyli najlepszych przyjaciół. Byli gotowi oddać za nich życie - a co znacznie ważniejsze, także je za nich odebrać.

Byli gotowi. Wejście do walki po raz pierwszy w życiu to jednak bardzo złożone przeżycie i nikt tak naprawdę nie jest na nie w pełni przygotowany. To coś, czego człowiek spodziewa się latami, sprawdzian, który wywołuje niepokój, usilne pragnienie, napięcie, obawę, niecierpliwe oczekiwanie. Jest w tym coś mistycznego, tajemniczego. Ci, którzy ów sprawdzian już przeszli, rzadko znajdują słowa na oddanie tego, co przeżyli, co czuli. Znalezienie się w miejscu, gdzie albo się zabija, albo samemu ginie, wywołuje bardzo silne i całkowicie nieprzewidywalne reakcje emocjonalne. Najbardziej intensywne, najbardziej realistyczne szkolenie nie przygotowuje nikogo w pełni na intensywność rzeczywistych doznań związanych z debiutem na polu walki.

Tak więc żołnierze kompanii E oczekiwali wydarzeń najbliższych tygodni i miesięcy z wiarą w siebie i zarazem pełni obaw.

Rejon formowania kompanii E w południowo-wschodniej Anglii, około piętnastu kilometrów od brzegu, znajdował się na otwartym polu obok lotniska w Uppottery. Kompania mieszkała w dziesięcioosobowych namiotach.

Webster pisze:

Nasz standard życia znacznie się poprawił. Jedliśmy w dużym, przestronnym namiocie stołowym. „Chcecie jeszcze trochę, chłopcy? Nie krępcie się, jedzcie na zdrowie,

bierzcie, ile chcecie". Żarcie było doskonale: smażone kurczaki, koktajl owocowy, biały chleb, mnóstwo masła. Przeczucie, że tuczą nas na rzeź, nie powstrzymywało nikogo przed pójściem po repetę.

Przez obóz co chwila przemykały oddziały w niemieckich mundurach i z niemiecką bronią, których zadaniem było zaznajomienie ich z tym, jak wygląda i w co jest uzbrojony nieprzyjaciel.

Drugiego czerwca oficerowie kompanii wzięli udział w odprawie, prowadzonej przez ich byłych kolegów, porucznika Nixona, który teraz był oficerem rozpoznania (S-2) batalionu i kapitana Hestera, oficera operacyjnego (S-3) batalionu. Używając map i stołów plastycznych, na których przedstawiono makietę terenu, gdzie będą prowadzili natarcie, z budynkami, drogami i wydymami, wyjaśnili zadania stojące przed nimi w D-Day. Kompania E zostanie zrzucona w pobliżu Ste-Marie-du-Mont, około dziesięciu kilometrów od Ste-Mere-Eglise, z zadaniem zlikwidowania stacjonującego tam niemieckiego garnizonu i opanowania wyjścia z grobli numer dwa na północ od wsi Pouppeville. 3 pluton miał zaś za zadanie wysadzenie w powietrze linii telefonicznej prowadzącej z La Madeleine w głąb lądu.¹⁰

Dokładność informacji przekazywanych przez Nkona, Hestera i innych oficerów wywiadu kompaniom 506 pułku była zadziwiająca. W trakcie odpraw wywiadowczych krążyły zdjęcia lotnicze zrzutowisk, na których widać było nie tylko pobliskie drogi, lasy i zabudowania, ale nawet indywidualne okopy poszczególnych żołnierzy wroga. Jeden ze spadochroniarzy pułku przypomina sobie, że prowadzący odprawę w jego kompanii oficer wywiadu opowiadał im o dowódcy garnizonu, który był ich celem w St Come-du-Mont. Niemiecki dowódca miał białego konia i sypiał z francuską nauczycielką, która mieszkała przy bocznej uliczce, dwa domy od ich głównego celu, stanowiska artyleryjskiego trzymającego pod ogniem wyjście grobli numer jeden. Codziennie o 20.00 wyprowadzał na spacer psa".

Każdy oficer musiał na pamięć nauczyć się zadań swojej kompanii, swojego i sąsiednich plutonów, poznając je w najdrobniejszych szczegółach, i z pamięci naszkicować mapę całej okolicy.

Jeden punkt zwłaszcza wbijano im w głowę aż do znudzenia - Niemcy zawsze bardziej polegali na kontratakach niż na sztywnej obronie umocnionych punktów oporu. Ruchome odwody uderzą na nacierające z plaż oddziały 4 DP, kiedy tylko te wejdą na groble. W związku z tym prowadzący odprawy podkreślali, że każdy pluton ma obowiązek -

¹⁰ Donald R. Burgett, Currahee!, Boston, 1967, s. 67.

niezależnie od tego, gdzie się znajduje i ilu ludzi udało się zebrać - niezwłocznie otwierać ogień do każdego niemieckiego pododdziału poruszającego się w kierunku wyjść z grobli. Nawet pięciominutowa zwłoka w takiej sytuacji mogła przesądzić o powodzeniu lub klęsce lądowania na odcinku Utah. Silnie podkreślano też wagę każdego zadania. Do tego stopnia, że jak wspomina Winters, „miałem wrażenie, że jesteśmy sami w stanie wygrać tę cholerną wojnę. To była nasza działka”.

Trzeciego czerwca przysła z kolei pora na to, by Winters i inni dowódcy plutonów, używając tych samych stołów plastycznych i zdjęć lotniczych, przeprowadzili odprawy dla swoich żołnierzy.

Plutonowy Guarnere musiał wyjść z namiotu za potrzebą. Złapał z wieszaka kurtkę mundurową i poszedł do latryny. Siedząc na tronie, wsadził rękę do kieszeni munduru i wyciągnął stamtąd list. Był zaadresowany do plutonowego Martina - bo to jego mundur wziął przez pomyłkę - ale i tak go przeczytał. Pisała żona Martina, który ożenił się w Georgii w roku 1942, tak więc pani Martin poznała większość żołnierzy kompanii. W pewnej chwili natrafił na akapit:

Nie mów Billowi [Guarnere'owi], ale jego brat zginął we Włoszech, w Cassino.

„Ciężko sobie wyobrazić gniew, który poczułem. Przysięgałem, że kiedy trafię do Normandii, żaden Niemiec nie ujdzie żywy spod mojej lufy. Zachowywałem się jak jakiś maniak. Wysyłając mnie do Francji, spuścili ze smyczy morderczą bestię, dzikusa” - wspomina Guarnere.

Czwartego czerwca żołnierze kompanii E dostali ostrą amunicję, równowartość dziesięciu dolarów w nowych okupacyjnych frankach, świeżo z drukarni w Waszyngtonie, i zestawy ucieczkowe (mapa Francji drukowana na jedwabiu, mała mosiężna busola i piłka do metalu). Na prawym rękawie mundurów przyszyli amerykańską flagę. Oficerowie usunęli oznaki stopni i zamiast nich namalowali pionowe paski z tyłu hełmów. Podoficerowie mieli paski poziome. Każdy poznał hasło: „Błyskawica”, odzew: „Grom” i odpowiedź: „Witaj”. W sytuacjach, w których wymiana haseł nie była możliwa, wydano im blaszane „świerszcze”. Jedno naciśnięcie („klik-klak”) zastępowało hasło, dwa („klik-klak, klik-klak”) - odzew.

Żołnierze spędzili cały dzień na czyszczeniu broni, ostrzeniu noży, pasowaniu spadochronów, sprawdzaniu sprzętu kontrolowanego już niezliczoną ilość razy, paleniu papierosów odpalanych jednego od drugiego. Wielu z nich ogoliło głowy lub zafundowało sobie „irokeza” (boki głowy wygolone z pasem obciętych na jeża włosów pozostawionych przez środek czaszki). Strzyżeniem zajmowali się szeregowi Forrest Guth i Joseph Liebgott, biorąc po piętnaście centów od głowy.

Przechodzący obok pułkownik Sink uśmiechnął się na widok tych postrzyżyn i powiedział:

- Aha, chłopaki, zapomniałem wam powiedzieć, że jak nas niedawno oficjalnie poinformowano, Niemcy straszą Francuzów, że inwazję będą poprzedzać amerykańscy spadochroniarze, sami zwolnieni z więzień psychopaci i zbrodniarze, którym dla łatwiejszego rozpoznania wygoli się pół głowy.

Porucznik Raymond Schmitz postanowił złagodzić nieco napięcie oczekiwania, znajdując sobie jakąś formę rekreacji na świeżym powietrzu. Wyzwał Wintersa na pojedynek bokserski.

- Chodź, Winters, wyjdziemy za namiot i poboksujemy trochę.

- Idź do diabła.

Schmitz nie rezygnował. W końcu powiedział:

- No dobra, to chociaż chodź i potrenujmy zapasy.

- Cholera, dość tego! Cały dzień mi tylek zawracasz. Chcesz, to chodź!

Winters był na studiach zapaśnikiem. Schmitz jeszcze dobrze nie zajął pozycji, kiedy już poleciał na ziemię. Winters trochę jednak przesadził z siłą rzutu i Schmitz zamiast we Francji wylądował w szpitalu z dwoma złamanymi żebrami. Jego miejsce zajął „zapasowy” dowódca 3 plutonu, podporucznik Robert Mathews, a jego zastępcą został sierżant Lipton. Przez cały dzień, do wieczora, kiedy kazano im zakładać spadochrony, do Wintersa ustawiała się kolejka chętnych, żeby im złamał rękę albo żebra.

Wśród żołnierzy krążył też generał Taylor. W pewnej chwili zebrał ich i powiedział:

- Dajcie mi trzy dni i trzy noce ciężkiej walki, a potem was stamtąd wyciągnę.

To brzmiało zachęcająco. Trzy dni i trzy noce, pomyślał Winters. Pestka. Potem Taylor mówił o tym, że chce, żeby wszyscy w samolotach stali od chwili, kiedy C-47 przelecia nad francuskim brzegiem. Jeśli mają dostać odłamkiem pocisku przeciwlotniczego, niech odniosą tę ranę jak mężczyźni, stojąc. W rzeczywistości chodziło nie o brawurę, lecz o to, że jeśli maszyna zostanie poważnie uszkodzona, tylko stojący w pogotowiu do skoku ludzie mieli jakąś szansę wydostać się z płonącego samolotu. Na koniec rozkazał plutonowi Malarkeya walczyć do rana głównie nożami i „nie brać jeńców”.

Wieczorem 4 czerwca kompania dostała wspaniałą kolację. Stek, zielony groszek, gotowane kartofle, biały chleb, lody i kawa w nieograniczonych ilościach. To były ich pierwsze lody od przybycia do Anglii dziewięć miesięcy wcześniej. Plutonowy Martin przypomina sobie, że wśród żołnierzy panowało przekonanie, że jeśli je kiedyś dostaną, to będzie oznaczało, że tej nocy pójdą na wojnę. Przepowiednia się jednak nie spełniła. Sztorm

na kanale La Manche uniemożliwił lądowanie i zmusił Eisenhowera do odłożenia inwazji. Dowiedzieli się o tym w chwili, kiedy właśnie dojechali na lotnisko i ciężko obciążeni mieli się wgramolić do samolotów.

Z lotniska kompania wróciła do kina. Gordon wspomina, że to był MrLucky z Cary Grantem i Laraine Day w rolach głównych. Lipton i Elmer Murray (podoficer operacyjny kompanii) opuścili film. Wieczór spędzili na omawianiu rozmaitych możliwych wydarzeń na polu walki i wymianie poglądów na temat rozwiązywania problemów wynikających z realizacji postawionych przed nimi zadań.

Po południu 5 czerwca wiatr osłabł, niebo się trochę przejaśniło. Ktoś skądś wyciągnął puszkę z zieloną i czarną farbą. Żołnierze zaczęli pokrywać twarze barwami wojennymi, które mieli nosić Siuksowie nad Little Big Horn¹¹ - malowali pasy wzdłuż nosów i w poprzek czoła. Inni woleli uczernić sobie twarze węglem drzewnym.

O 20.30 żołnierze ustawili się w szeregach po osiemnastu (modyfikacja wprowadzona po operacji Eagle) i pomaszerowali do hangarów. Webster zapisał:

To było jak marsz śmierci. Nikt nie śpiewał, nikt nie wznosił wesołych okrzyków.

Winters zapamiętał co innego. Kiedy w milczeniu przechodzili koło stanowisk brytyjskiej artylerii przeciwlotniczej broniącej lotniska, „po raz pierwszy widzieliśmy jakiś wyraz prawdziwych emocji u Angoli - naprawdę mieli łzy w oczach, gdy odprowadzali nas do samolotów”.

W hangarach wyrzucający (spadochroniarze pełniący obowiązki instruktorów pokładowych, którzy tym razem zostali na ziemi) dostawali do rozdania żołnierzom dwie paczki kartek papieru: plik kopii odezwy Eisenhowera i podobną odezwę pułkownika Sinka. Sink pisał:

Dziś nadeszła noc nad nocami. Niech Bóg będzie z każdym z was, żołnierze!

Eisenhower zaś zaczynał tak:

Żołnierze, marynarze i lotnicy Sojusznicych Sił Ekspedycyjnych! Przystępujecie do Wielkiej Krucjaty, do której szykowaliście się przez tyle miesięcy. Oczy świata zwrócone są na was [...] Powodzenia! I prosimy wszyscy Wszechmogącego, by pobłogosławił temu wielkiemu i szlachetnemu przedsięwzięciu.

¹¹ 25 czerwca 1876 roku w bitwie nad tą rzeczką połączone siły Czejenów, Arapaho i różnych szczepów Siuksów rozgromiły 7 pułk Kawalerii Stanów Zjednoczonych pod dowództwem generała George'a Armstronga Custer. Był to największy w dziejach walk triumf czerwonoskórych nad wojskami Stanów Zjednoczonych, odniesiony dzięki taktycznym talentom wodza Siedzącego Byka i odwadze wodza Szalonego Konia [przyp. tłum.].

Poza tą podniosłą lekturą żołnierzom rozdano też pastylki na chorobę lokomocyjną. Tajemnicą pozostaje, kto wpadł na ten pomysł i po co je rozdawano - choroba lokomocyjna rzadko dokuczała spadochroniarzom w dotychczasowych ćwiczeniach w Anglii. W każdym razie, dotąd jakoś obywalo się bez nich.

Była jeszcze jedna nowość - indywidualne zasobniki zrzutowe. Pakowano w nie dodatkową amunicję, radiostacje, podstawy karabinów maszynowych, sprzęt medyczny, materiały wybuchowe i inny sprzęt. Zasobnik, przy nodze skoczka, przypięty był do uprząży jego spadochronu zwiniętą sześciometrową liną i utrzymywany szybko-rozłącznym zamkiem, podobnym do tych, którymi zapięte były pasy uprząży. Po otwarciu czaszy spadochroniarz miał odpiąć zamek i pozwolić zasobnikowi opaść na linie. W teorii zasobnik opadający na ziemię sześć metrów poniżej skoczka powinien go odciążać w najważniejszej ostatniej fazie opadania, a sam żołnierz po przyziemieniu miał mieć cały swój sprzęt w zasięgu ręki, bez potrzeby poszukiwania go po ciemku. Teoria brzmiała bardzo sensownie, problem w tym, że nikt jeszcze nie skakał bojowo z tymi zasobnikami. Niemniej żołnierzom pomysł bardzo się spodobał i upychali w te worki co tylko się dało - dodatkowe miny, nadliczbową amunicję i granaty ręczne, zwędzone gdzieś i porozkładane na części pistolety maszynowe.

Pod hangarami wrzucili spadochrony, zasobniki, sprzęt, którym byli obwieszani, na ciężarówkę, wdrapali się na nie i pojechali do czekających samolotów. Winters zapisał w pamiętniku:

Po przyjeździe zaczęliśmy się ubierać. Tu dopiero wyrzucający mieli pole do popisu. Zapakowanie tego wszystkiego ludziom na grzbiecie tak, by wszystko było na swoim miejscu, i przekonanie nas, że jesteśmy z tego zadowoleni, wymagało sporo pomysłowości i dużej dozy zdolności marketingowych z ich strony.

Objuczeni ludzie siedli pod skrzydłami samolotów i czekali. Narastało zdenerwowanie. Powtarzali sobie, że tym razem problemy zaczną się dopiero po skoku. Że to jest skok za dziesięć patoli (tyle właśnie, dziesięć tysięcy dolarów, warta była rządowa polisa ubezpieczeniowa każdego żołnierza, wypłacana po śmierci rodzinom). Zdenerwowanie przejawiało się w częstszym chodzeniu na stronę, co nie było takie proste - trzeba się było dźwignąć z ziemi, dowlec cały ten kram, którym byli objuczeni, na brzeg pasa startowego, tam zrobić swoje, wrócić, paść ciężko na trawę pod ciężarem ekwipunku, a wszystko tylko po to, żeby za dwie minuty powtórzyć całą procedurę od początku. Joe Toye pamięta porucznika Meehana chodzącego od samolotu do samolotu i powtarzającego żołnierzom:

- Żadnych jeńców. Nie bierzemy żadnych jeńców.

O 22.00 padł rozkaz załadunku do maszyn. Wyrzucający stanęli przy drabinkach prowadzących do drzwi desantowych i wpychali po nich do góry ludzi objuczonych dodatkowym ciężarem pięćdziesięciu, a bywało że i siedemdziesięciu pięciu kilogramów ekwipunku spadochronowego i sprzętu bojowego. Jeden ze spadochroniarzy 101 DPD wyraził odczucia wszystkich, odwracając się w drzwiach C-47 z uniesioną pięścią i wznosząc okrzyk:

- Pilnuj się, Adolfie! Idziemy po ciebie!

O 23.10 C-47 zaczęły z rykiem toczyć się po pasie startowym. Kiedy osiągnęły pułap trzystu metrów, samoloty zaczęły formować szyk klina kluczy po trzy maszyny. Odkąd formowanie się zakończyło i samoloty weszły na kurs do Francji, mało kto był w stanie powstrzymać senność. To był efekt pigułek na chorobę lokomocyjną, które wzięli. Przez całą noc i większość następnego dnia spadochroniarze mieli problemy z sennością. Joe Toye zasnął w czasie lotu: „W życiu nie byłem tak spokojny, jak tej nocy. Jezu, bardziej się denerwowałem przed ćwiczebnymi skokami!”

W samolocie Wintersa szeregowy Joe Hogan próbował śpiewać piosenki, ale silniki go zagłuszyły. W samolocie Gordona, podobnie jak w innych, ludzie zagłębili się we własnych myślach i modlitwie. Szeregowy Wayne Sisk z Wirginii Zachodniej przerwał to skupienie, wykrzykując:

- Chce który kupić dobry zegarek?

Wszyscy ryknęli śmiechem i napięcie opadło.

Winters modlił się przez całą drogę. Modlił się o to, żeby przeżyć, modlił się o to, by nie zawieść.

„Chyba każdego z nas gnębiło pytanie: Jak się zachowam pod ogniem?”

Gdy porucznik Schmitz wylądował w szpitalu, zrzutem zaczął kierować sierżant Lipton. Przed startem pilot dał im do wyboru: albo lecą bez drzwi, mają świeże powietrze i mogą w razie czego wyskoczyć z palącego się samolotu, albo zostawiają drzwi i mogą palić papierosy w locie. Po dyskusji zdecydowali się zdjąć drzwi. Lipton mógł teraz leżeć z głową częściowo wystawioną na zewnątrz. Większość żołnierzy spała po zażyciu pigułek na chorobę lokomocyjną.

Kiedy C-47 przelatywał nad kanałem La Manche, Lipton zobaczył coś, czego nie widział dotąd w życiu i czego nie zapomniał nikt, kto tej nocy był w powietrzu. Był to widok sześciu tysięcy jednostek pływających floty inwazyjnej, ciągnącej ku wybrzeżom Normandii.

Gordon Carson leciał z porucznikiem Welshem.

Welsh powiedział do siedzących z przodu:

- Spójrzcie w dół!

Żaden w życiu nie widział tylu statków naraz. Carson zapisał:

To, że jest się częścią czegoś tak wielkiego, o tyle większego od nas wszystkich, robiło na ludziach ogromne wrażenie.

Szóstego czerwca około 1.00 samoloty przeleciały między okupowanymi przez Niemców brytyjskimi wyspami Jersey i Guernsey. Winters pamięta, jak pilot jego samolotu przekazał im, że do zrzutu pozostało dwadzieścia minut. Mechanik pokładowy wyjął z zawiasów drzwi. Skaczącego jako pierwszy Wintersa owiało świeże powietrze i zobaczył francuskie wybrzeże. Rozkazał:

- Powstań, zaczepić liny!

Nad drzwiami zapaliło się czerwone światło.

O 1.10 samoloty przecięły linię wybrzeża i wleciały w chmury, co zmusiło pilotów do rozluźnienia formacji. Prowadzący klucz leciał dalej prosto, ale pozostałe klucze po jego bokach musiały się odsunąć na bezpieczną odległość. Była to naturalna reakcja pilotów obawiających się kolizji. Skutek był jednak taki, że kiedy wylecieli z warstwy chmur, która miała zaledwie dwa czy trzy kilometry grubości, każdy pilot zdany był tylko na siebie - formacja zupełnie się rozproszyła. Tylko prowadzący formację miał na pokładzie odbiornik ściśle tajnego radarowego systemu nawigacyjnego Eureka; z jego nadajnikami zrzucano uprzednio przewodników¹², wyznaczających zrzutowiska. Teraz, kiedy nie było formacji, nikt nie miał pojęcia, gdzie zapalić zielone światło. Mogli tylko zgadywać.

Zagubieni, zaskoczeni nagłą zmianą sytuacji i przerażeni piloci mieli jeszcze jeden problem. Z ziemi otworzyła ogień artyleria przeciwlotnicza. W ich stronę pięły się powoli różnokolorowe paciorki - czerwone, żółte, zielone i białe światełka pokazywały tor lotu pocisków małokalibrowych, 20 i 40 mm. Trafiając w samoloty, wydawały dźwięki jak kamyczki potrząsane w puszcze. W samolocie Harry'ego Welsha odłamki przebiły kadłub w miejscu, w którym porucznik siedział zaledwie przed minutą.

Piloci mieli, zgodnie z instrukcją prowadzenia zrzutu, zwolnić przed zapaleniem zielonego światła, ale jak pisał Gordon:

Bez żadnego bojowego doświadczenia zostali samotnie rzućeni w paszczę ziejącego ogniem smoka i sparaliżował ich strach. Zamiast odjąć gazu, zachowali się jak facet, który w przerażeniu myśli nogami. Oni myśleli przepustnicą. Powiedzieli sobie: „Dobry Boże, im

¹² Przewodnikami (Pathfinders) byli specjalnie szkoleni ochotnicy, których zrzucano około godziny przed zasadniczym desantem z zadaniem wyznaczenia zrzutowiska i naprowadzania prowadzącego samolotu formacji. Przewodnikami w kompanii E byli kapral Richard Wright i szeregowy Carl Fenstermaker.

szybciej się stąd wydostanę, tym większe szansę na to, że wyjdę z tego żywy. Szkoda tych chłopaków z tyłu, ale to ich problem. Niech się dzieje, co chce, ja stąd pryskam”.

Więc dodawali gazu, przyspieszając w niektórych przypadkach do dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę i mimo że nie mieli pojęcia, gdzie są (poza tym, że gdzieś nad Normandią), włączali zielone światła.

Z tyłu ludzie spinali się i pokrzykując rytmicznie, ruszali do drzwi. Oni też chcieli się stąd wydostać jak najszybciej. Nigdy nie podejrzewali, że kiedykolwiek będzie im aż tak spieszno skakać. Samolot Liptona „podskakiwał, zataczał się od wybuchów i wszyscy krzyczeli »Wynośmy się stąd!«,„.

Byli na wysokości zaledwie dwustu metrów i czterdziestomilimetrowe pociski przelatowały coraz bliżej nich.

„Mniej więcej w tej samej chwili, kiedy pociski zaczęły przelatować tuż koło ogona, nad drzwiami zapaliło się zielone światło”, wspomina Lipton. Złapał rękami za zewnętrzne krawędzie drzwi i wypchnął się na zewnątrz. Szeregowy James Alley skakał jako drugi, a szeregowy Paul Rogers jako trzeci. Alleyowi powiedziano przed startem, że powinien odpiąć zasobnik indywidualny i wyrzucić go przed drzwi przed skokiem. Ledwie zdążył wyrzucić torbę, samolot zatoczył się od podmuchu eksplozji i Alley przewrócił się, blokując drzwi. Do pasa wisiał poza samolotem, zasobnik ciągnięty pędem powietrza próbował mu złamać kręgosłup. Rogers, który był silny jak byk, nadludzkim wysiłkiem zdołał go wyrzucić za drzwi i wyskoczył tuż za nim.

Leo Boyle skakał ostatni. Tuż po zapaleniu zielonego światła, kiedy ludzie zaczęli skakać, poczuł „potężną turbulencję” - ów wstrząs, który powalił Alleya. Boyle także się przewrócił i ponieważ samolot nadal leciał z przechyłem, miał trudności z podniesieniem się z podłogi i wspięciem do drzwi. Wreszcie po chwili udało mu się do nich doczołgać, dźwignąć wraz z całym ekwipunkiem za próg, i wtedy opływ powietrza wyrwał go z drzwi C-47 na zewnątrz.

Noc była pełna pełzających światełek smugaczy. Prowadzący samolot klucza 66, pilotowany przez porucznika Harolda Cappelluta, został trafiony całą serią pocisków, które przebiły kadłub na wylot, wznecając snopy iskier. Przez chwilę jeszcze C-47 leciał prosto, po czym powoli przechylił się na prawe skrzydło. Lecący za nim pilot Frank DeFlita zapamiętał, że „zapaliły się światła do lądowania samolotu Cappelluta i zdawało się, że wszystko będzie dobrze, kiedy nagle jego maszyna uderzyła w oddzielający pastwiska murek i eksplodowała”.

Samolotem tym lecieli porucznik Meehan, starszy sierżant Evans i reszta sekcji dowodzenia, w tym sierżant Murray, który dopiero co długo w noc dyskutował zagadnienia

taktyczne z Liptonem. Nigdy nie było mu dane przeżyć żadnej z sytuacji, które przewidywali w czasie tej nocnej dyskusji. Kompania E nie wprowadziła jeszcze do walki ani jednego żołnierza, a już straciła dowódcę plutonu Schmitza, dowódcę kompanii Meehana i sierżanta - szefa kompanii Evansa.

Szeregowy Rod Strohl był jednym z tych, którzy zdecydowali się zostawić w Anglii spadochron zapasowy, gdyż uznali, że są już wystarczająco objuczeni. „Pamiętam, że pomyślałem sobie: cholera, jeśli główny się nie otworzy, to szybko będzie po wszystkim i nie będę już więcej potrzebował zapasowego. A jeśli go nie będę potrzebował, to po diabła go targać?”

Nad zrzutowiskiem jego samolot został trafiony i zaczął spadać. „Skakałem ostatni, kiedy nagle ktoś mnie popchnął z tyłu. Obejrzałem się i patrzę, a tu za mną stoją obaj piloci. Wyskoczyli razem z nami”.

George Luz leciał samolotem Welsha. Ledwie udało mu się do niego wsiąść, bo oprócz normalnego ładunku miał jeszcze ze sobą kompanijną radiostację i zapasowe baterie do niej. Dwóch mechaników musiało go dosłownie wepchnąć do samolotu. Na pokładzie Luz zwrócił się do Welsha:

- Panie poruczniku, kazał mi pan skakać jako piątemu w kolejce, a ja nie wiem, czy się zdołam w ogóle dopchać do drzwi z tym całym majdanem.

Welsh kazał mu się zamienić miejscami z szeregowym Royem Cobbem. Kiedy zaczęły strzelać działa przeciwlotnicze (według Luza strzelały tak gęsto, że dawało się chodzić po pociskach, a Carson pamięta, że chcieli się wydostać z tych pudeł tak bardzo, że trudno było w to uwierzyć), Cobb krzyknął, że oberwał.

Welsh zapytał:

- Możesz stać?

- Nie.

- Odczepić jego linę - rozkazał.

Mike Ronney odpiął karabińczyk liny desantowej Cobba od linki wyzwalającej pod sufitem ładowni. Szeregowy Rader pamięta, że Cobb był „wściekły jak cholera. Dwa cholerne lata flaki sobie wypruwał, żeby się tu znaleźć, i teraz nie mógł skoczyć z nami”.

W tej samej chwili czerwone światło nad drzwiami błysnęło i zaraz potem zgasło wśród powodzi pryskającego szkła - odłamek pocisku rozbił sygnalizator świetlny. Porucznik Welsh stał w drzwiach. „Nie było sposobu na to, żeby wiedzieć, kiedy mamy skakać. Obróciłem się, rzuciłem przez ramię: »Za mną!« i skoczyłem”.

Za jego plecami Luz kopnął zasobnik indywidualny z radiostacją i pociągnięty przez niego wyleciał w ciemną noc, rozświetlaną wybuchami.

Trzyście tysięcy czterysta najlepszej, starannie wyselekcjonowanej młodzieży Ameryki rzuciło się tej nocy w czarną otchłań, atakując Twierdzę Europejską Hitlera.

Normandia

6 czerwca 1944

Wyskoczyli o wiele za nisko z samolotów lecących o wiele za szybko. Skakali objuczeni ponad miarę, używając nie sprawdzonej techniki, która okazała się katastrofalnym niepowodzeniem. Kiedy wyskakiwali z samolotów, zasobniki urywały się i tyle je w większości wypadków widzieli. Strumień zaśmigłowy przelatujących samolotów rozrzucił ich bezładnie. Przy przekroczonej masie i zbyt wielkiej prędkości otwierające się czasze spadochronów szarpały nimi znacznie silniej niż zwykle. Wyskakując ze stu pięćdziesięciu metrów, a czasem z jeszcze mniejszej wysokości, lądowali zaledwie w kilka sekund po otwarciu spadochronów, więc lądowanie było w większości wypadków twarde. Jeszcze w tydzień później nosili sińce, których dorobili się tej nocy.

We wpisie do pamiętnika, poczynionym niemal na gorąco po zaledwie kilku dniach, porucznik Winters starał się oddać gonitwę myśli przelatujących przez jego głowę w ciągu tych paru sekund:

Lecimy dwieście czterdzieści na godzinę. Dobra, naprzód! Cholera, zasobnik poszedł w diabły. Uważaj, chłopie, uważaj! Jezu, próbują mnie trafić z tamtego karabinu maszynowego! Ślizg na taśmach, trzeba spróbować wylądować koło zasobnika, o, tam leży, koło tego płotu. Cholerny kaem! Droga, przy niej drzewa. Żeby mnie tylko tam nie zniosło. Łup! No, nie było najgorzej. Teraz tylko pozbyć się cholernego parasola i w nogi.

Burt Christenson wylądował tuż obok Wintersa. „Nie pamiętam, żebym zrobił cokolwiek z tego, czego nas uczyli, ale nagle poczułem potężne szarpnięcie otwieranej czaszy. Zasobnik się urwał i od tej pory był historią”.

Słyszał dzwony bijące w Ste-Mere-Eglise i widział pożary w mieście. „Pociski z karabinów maszynowych zbliżają się do mnie coraz bardziej. Podciągam się na taśmach nośnych, ale zaraz je puszczam. Jasna cholera, zaraz wlecę w te drzewa! Przez te wspinaczki po taśmach za szybko opadam”.

Udało mu się jednak przelecieć nad drzewami i zaczął się szykować do przyziemienia. Podciągnął się raz jeszcze na taśmach, złączył i lekko ugiął nogi w kolanach, żeby zamortyzować uderzenie o ziemię. „Za tymi drzewami znowu chwila strachu. Dwadzieścia

metrów pode mną i może ze sześć w lewo, poczwórnice sprzężone niemieckie działko przeciwlotnicze kalibru 20 mm prowadziło ogień do przelatujących w górze C-47”.

Na szczęście dla Christensona niemieccy kanonierzy byli odwrócenii plecami, a wokół panował taki hałas, że nie usłyszeli jego lądowania, choć uderzył w ziemię niecałe czterdzieści metrów od nich.

Wyzwolili się z uprzęży, wyciągnął zwięziony w Anglii sześciopalcowy rewolwer i przykucnął u podnóża jabłoni. Przycupnął nieruchomo, poruszając tylko oczami. „Nagle kątem oka zauważyłem jakiś ruch może z dziesięć metrów ode mnie. Spojrzałem tam i zobaczyłem sylwetkę człowieka w hełmie, skradającego się na czworakach. Sięgnąłem po świerszcza i nacisnąłem raz, klik-klak. Żadnej odpowiedzi, za to sylwetka rusza prosto na mnie. Podniosłem rewolwer i wcisnąłem świerszcza raz jeszcze. Tamten zatrzymał się i podniósł ręce.

- Jezu, nie strzelaj - szepnął. Teraz go poznałem, to był szeregowy Woodrow Robbins, mój amunicyjny z sekcji karabinu maszynowego.

- Całkiem ci odbiło, baranie? Do jasnej cholery, dlaczego nie odpowiadasz na świerszcza?! - opieprzyłem go, również szeptem.

- Z mojego świerszcza - tłumaczył się - odpadła ta część, którą się naciska”.

Stopniowo adrenalina odpłynęła z mózgu Christensona i obaj żołnierze zaczęli się wycofywać z zajętej przez Niemców pozycji. Niedaleko natknęli się na Bulla Randlemana, u którego stóp leżał martwy Niemiec. Randleman opowiadał potem, że po lądowaniu i uwolnieniu się od spadochronu od razu złożył karabin i założył na niego bagnet. Ledwo skończył, z sadu wypadł Niemiec, celując w niego bagnetem. Bull sparował i sam zadał pchnięcie. „Szkop wybrał sobie niewłaściwego partnera do treningu walki na bagnety”, skomentował Christenson.

Samolot porucznika Welsha był najwyżej siedemdziesiąt pięć metrów nad ziemią, kiedy on i jego żołnierze wyskoczyli. W chwili, w której wypadł z drzwi samolotu, na ziemi rozbił się inny C-47. Welsh opowiadał potem, że podmuch eksplozji odrzucił go na bok, hamując opadanie i pomagając rozwinąć się czaszy, przez co „uratował mu życie”. Spadochron otworzył się tak nisko, że odgłos szarpnięcia czaszy niemal złał się z uderzeniem w ziemię. Lądowanie było bolesne, ale Welsh przeżył i nie odniósł żadnej kontuzji.

Większość żołnierzy kompanii E miała podobne wspomnienia. Rzadko który był w powietrzu na tyle długo, żeby zdążyć się zorientować w położeniu. Tylko kierunek lotu samolotów wskazywał im drogę do wybrzeża.

O precyzyjnym zrzucie nie było nawet co mówić. Rachuby na powodzenie operacji od początku opierały się na założeniu, że wylądują w ciasnej grupie na zrzutowisku Ste-Marie-du-Mont i szybko zbiorą się w plutony, które ruszą do swoich wyznaczonych celów. W rzeczywistości trzykilometrowy zwał chmur spowodował, że kompania została rozrzucona na obszarze dwudziestu kilometrów, od Carentan po Ravenoville. Zresztą, nawet gdyby nie chmury, nie byłoby zapewne lepiej. Przewodnicy, kapral Richard Wright i szeregowy Carl Fenstermaker, razem ze swoją radiolatarnią *Eureka* zostali po drodze zestrzeleni nad kanałem i wylądowali w wodzie, skąd wyłowili ich niszczyciel HMS *Tartar*. Po przekazaniu na kuter Służby Poszukiwawczo-Ratowniczej RAF powrócili do Anglii.

Szeregowy Tom Burgess wylądował w pobliżu Ste-Mere-Eglise. Jak większość spadochroniarzy, nie miał pojęcia, gdzie jest. Nad głową przelatywały samoloty, ścigane sznurami smugowych pocisków. Niebo było pełne amerykańskich spadochronów, jakieś sylwetki biegały, czołgały się po polach we wszystkich kierunkach, wokół gwizdały pociski karabinów maszynowych. Burgess w podnieceniu nie był w stanie odpiąć zamka pasów i zdecydował się je przeciąć nożem. Chwilę potem musiał klikać świerszczem w odpowiedzi na hasło jakiegoś porucznika, którego nie znał. Razem przedzierali się w kierunku plaży, trzymając się żywopłotów oddzielających pastwiska. Po drodze dołączali do nich inni spadochroniarze, część z 82 DPD, której zrzut był równie mało precyzyjny, część z innych pułków 101 DPD. Czasami dochodziło do wymiany ognia z niemieckimi patrolami.

Porucznik postawił Burgessa na szpicy. O świcie Burgess doszedł do rogu żywopłotu, wzdłuż którego szli. Niemiecki żołnierz, który krył się w jego załomie, wstał i wycelował broń. Burgess go nie widział, zajęty obserwacją dalszego przedpola. Niemiec strzelił z góry. Pocisk trafił Burgessa w kość policzkową, złamał ją, wyrwał staw żuchwowy i wyszedł przez kark. Krew trysnęła z rany, lała się po plecach, z ucha, zalewała mu gardło. O mało się nią nie zachłysnął.

„Chciałem żyć. Wbijali nam do znużenia, że jeśli któryś oberwie, ma przede wszystkim zachować spokój. Bo najgorsze, co można zrobić w takiej chwili, to dostać fioła i przeszkadzać tym, którzy chcą ci pomóc”, wspominał po czterdziestu pięciu latach. Starał się ze wszystkich sił zachować spokój. Koledzy założyli mu opatrunek osobisty i zaprowadzili do pobliskiej stodoły, gdzie padł na siano i dopiero wtedy zemdleł.

Po północy „do stodoły wszedł francuski rolnik, usiadł obok, wziął mnie za rękę i bardzo wylewnie coś mówił, nawet pocałował mnie w tę rękę”.

Przyniósł też butelkę wina, a rankiem 7 czerwca, kiedy doszli tam żołnierze 4 DP, sprowadził dwóch sanitariuszy i furmanką zawiózł na plażę. Stamtąd Burgessa ewakuowano

do Anglii i dalej do Ameryki. Do Bostonu dotarł w sylwestra 1944 roku. Cały czas był na ściśle płynnej diecie. Dopiero w marcu 1945 roku był w stanie ugryźć cokolwiek - po raz pierwszy od kolacyjnej wyżerki 5 czerwca 1944 roku w Uppottery.

Szeregowy Gordon także miał twarde lądowanie. Nie miał pojęcia, gdzie się znalazł, ale przynajmniej wiedział, co powinien zrobić natychmiast po wylądowaniu - zmontować swój karabin maszynowy. Po rozpięciu uprząży złapał więc wory i zaciągnął je pod najbliższy żywopłot. Kiedy skończył, zauważył kogoś idącego w jego stronę. Ze sposobu chodzenia poznał Johna Eubanksa. Chwilę później dołączył do nich Forrest Guth. Następną sylwetka zamajaczyła w pobliżu.

- Zapytaj go o hasło - powiedziałem do Eubanksa. Zanim wygrzebał z kieszeni świerszcza, tamten zawołał:

- Błyskawica!

Eubanks wreszcie znalazł tego cholernego świerszcza, ale zamiast kliknąć dwa razy, usiłował wygrzebać z zakamarków pamięci odzew [„Grom”]. Nie mogąc go sobie przypomnieć, zawołał:

- Błyskawica!

Tamten bez słowa zanurkował w krzaki, rzucając w nich granatem. Rozbiegli się, granat wybuchnął, na szczęście nikomu nie czyniąc krzywdy. Napotkany żołnierz zniknął i już więcej go nie spotkali. Może to i lepiej - wyraźnie był to człowiek zbyt nerwowy, by można mu było zaufać.

Gordon, Eubanks i Guth ruszyli wzdłuż żywopłotu do plaży. Po jakimś czasie zobaczyli amerykańskiego spadochroniarza biegnącego przez otwarte pole, który w pewnej chwili przykucnął i wskoczył do rowu odwadniającego. Widoczność tej nocy była dobra, jasno świecił księżyc i prawie nie było chmur. Gordon powiedział, żeby zaczekali na niego, a on pójdzie sprawdzić, kto to. Przeczółgał się przez pole, a potem ruszył naprzód rowem. Za zakrętem wpadł na dwa białka oczu i poczuł chłodny dotyk lufy pistoletu na czole.

- To ty, Gordon? - zapytał jego właściciel, plutonowy Floyd Talbert.

Teraz było ich już czterech. Razem skradali się w kierunku plaży. Jakies pół godziny przed świtem Guth usłyszał znajome jęśliwe zawodzenie przekładni amerykańskiej ciężarówki o ładowności dwóch i pół tony. Dźwięk był dla nich zagadką. Przecież inwazja z morza jeszcze się nie zaczęła, a tym bardziej nie doszła do punktu, w którym mogliby spotkać w głębi lądu konwój amerykańskich ciężarówek. Chwilę później seria potężnych eksplozji w głębi lądu rozwiązała zagadkę. Dźwięk, który słyszeli, wydawały przelatujące nad nimi

czterystusześciomilimetrowe pociski ciężkiej artylerii okrętowej zespołu ogniowego pancerników wspierających lądowanie.

Czwórka z kompanii E dołączyła do grupy żołnierzy 502 pps, która właśnie zdobyła niemiecki bunkier, ukryty wśród kompleksu rolniczego w pobliżu Ravenoville. Spędzili z nimi cały dzień, broniąc ufortyfikowanej farmy przed licznymi kontratakami. Rankiem 7 czerwca, następnego dnia po D-Day, wyruszyli na południe, w poszukiwaniu swojej kompanii.

Jim Alley, lądując, uderzył w mur, jeden z tych francuskich murów otaczających posesje, z potłuczonym szkłem na szczycie dla ochrony przed złodziejami. Poobijał się i pokaleczył, brocząc krwią z kilku ran. Wycofał się w kąt ogrodu i właśnie wypłatywał się z uprzedzenia, kiedy ktoś go złapał za ramię. Była to młoda kobieta stojąca w krzakach koło niego.

- Amerykanin - szepnął, pokazując na siebie. - Uciekaj, uciekaj.

Weszła z powrotem do domu.

Alley odnalazł swój indywidualny zasobnik, pozbierał przenoszone wyposażenie (trzyście granatów moździerzowych kalibru 60 mm, cztery miny, swojego Garanda M1 z amunicją, granaty ręczne, jedzenie, płytę oporową do moździerza) i wspiał się z powrotem na mur, żeby go przeskoczyć. Ledwie pokazał się na murze, ściągnął na siebie ogień karabinu maszynowego. Seria uderzyła w mur zaledwie ćwierć metra pod nim i zanim opadł z powrotem do ogrodu, był cały ubielony połupanym tynkiem.

Leżał, zastanawiając się co dalej. Zjadł jeden z batonów czekoladowych i postanowił wycofać się z ogrodu przez bramę frontową. Zanim jednak zdołał na nowo pozbierać swoje toboły, kobieta ponownie wyszła z domu, popatrzyła na niego i skierowała się do bramy. Alley postanowił zaczekać. Po chwili kobieta wróciła, a za nią do ogrodu wszedł żołnierz. Obaj nawzajem wycelowali do siebie, ale po chwili rozpoznali się i opuścili broń. Tamten był z 505 pps.

Na całym półwyspie tej nocy i przez większość D-Day spadochroniarze robili to samo - toczyli potyczki, łączyli się w ad hoc organizowane oddziały, bronili swoich pozycji, nękali Niemców i próbowali odnaleźć swoich. Robili więc dokładnie właśnie to, co im rozkazano. Ich wyszkolenie i wiara we własne siły wydały wspaniały owoc - pozwoliły im naprawić błąd pilotów, który łatwo mógł się przerodzić w katastrofę całego przedsięwzięcia. Co więcej, to całkowicie przypadkowe rozrzucenie po znacznie większym niż planowano terenie przerodziło się w największą zaletę powietrznodesantowej części lądowania w Normandii. Niemcy, atakowani zewsząd i zewsząd otrzymujący sygnały o obecności nieprzyjacielskich

spadochroniarzy, znacznie zawyżyli swoje szacunki ich sił, co jeszcze wzmogło zamieszanie i spowolniło reakcję na uderzenie.

Winters wylądował na skraju Ste-Mere-Eglise. Widział wielki ogień trawiący budynki obok kościoła, słyszał dzwony, zwołujące ludzi do walki z pożarem.

Nie mógł odnaleźć swego indywidualnego zasobnika. Jediną bronią, jaką rozporządzał, był bagnet, który miał zatknięty w cholewkę buta. Pierwszą myślą było wynieść się spod ognia broni maszynowej i ręcznej w pobliżu kościoła. Ledwie ruszył, tuż koło niego wylądował kolejny spadochroniarz. Winters pomógł mu się wydostać z uprzęży, wziął od niego granat i powiedział:

- Chodź, cofniemy się trochę i poszukamy mojego zasobnika.

Żołnierz zawahał się.

„- Za mną - rzuciłem i ruszyłem biegiem.

Ledwie zrobiliśmy parę kroków, zaczął do nas prażyć jakiś karabin maszynowy. Nagle jakoś odeszła mi chęć na poszukiwania, tylko walnąłem plackiem na ziemię.

- A do cholery z tym zasobnikiem - powiedziałem do tamtego”.

Chwilę później ruszyli na północ, obchodząc Ste-Mere-Eglise, po czym skręcili na wschód, ku morzu. Po paru minutach zauważyli jakąś ludzką sylwetkę i Winters użył świerszcza, podając hasło. Z wielką ulgą usłyszeli w odpowiedzi podwójne kliknięcie. To był Lipton.

Lipton wylądował na zamkniętym podwórku na tyłach ratusza Ste-Mere-Eglise, przecnicę dalej od kościoła. Podobnie jak Winters zapakował większość swego osobistego ekwipunku do zasobnika indywidualnego i podobnie jak Winters stracił go zaraz po wyskoczeniu z samolotu. W chlebaku miał na szczęście dwa granaty, trotyl, detonatory i nóż. Wspiął się na zamkniętą bramę i wycofał ulicą z dala od kościoła, pożaru i strzelaniny. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Na obrzeżach miasteczka natrafił na niski betonowy postument, na którym widniały jakieś litery. Ukłął i macając rękami, odczytywał je przez dłuższą chwilę, aż wreszcie ułożyły się w napis „Ste-Mere-Eglise”.

Wszędzie wokół słychać było upadających na ziemię spadochroniarzy, łopot i szum składanych po skoku czasz spadochronów, gorączkowe sapanie żołnierzy zbierających porzucany ekwipunek, podnieconych nową dla nich sytuacją. Nie chciał zginąć od kuli jakiegoś zdenerwowanego rodaka, więc kiedy zobaczył dwie spadające prawie na niego sylwetki, usunął się pospiesznie na bok. Kiedy uderzyli w ziemię, i zanim nawet zdążyli pomyśleć o wyciąganiu broni, zaczął do nich mówić. Byli z 82 DPD, dziesięć kilometrów od

planowanego dla nich zrzutowiska. Potem spotkał jeszcze Dona Malarkeya, Joego Toye'a i Popeye'a Wynna. Chwilę później nadziali się na porucznika Wintersa:

- Widziałem tablicę z nazwą miejscowości. To Ste-Mere-Eglise - zameldował Lipton.

„- To dobrze - powiedziałem. - Wiem, gdzie to jest. Mogę was stąd zaprowadzić na miejsce”.

Wyruszył na czele grupy do Ste-Marie-du-Mont. Dołączyli do niej żołnierze z 502 pps. Około 3.00 natknęli się na niemiecką odsiecz, cztery ciężarówki jadące drogą. Zastawili na nie pułapkę i Guarneri mógł zacząć brać swój prywatny odwet za brata, ostrzeliwując prowadzące pojazdy. Dwa pozostałe zdołały się wymknąć, ale kompania E wzięła paru jeńców.

Niedługo potem otworzył do nich ogień niemiecki karabin maszynowy. Jeden z jeńców próbował wtedy uciekać. Guarneri wyjął pistolet i zastrzelił najpierw jego, potem resztę jeńców. „Nie miałem i nie mam żadnych wyrzutów sumienia. To było proste, jak rozdeptanie owada. No, teraz oczywiście jesteśmy już innymi ludźmi, niż byliśmy wtedy”, powiedział po czterdziestu pięciu latach.

Około 6.00 napotkali kapitana Jerrego Grossa z kompanii D i czterdziestu ludzi, których prowadził. Wraz z nimi wyruszyli do oddalonego o osiem kilometrów na południowy wschód Ste-Marie-du-Mont. Kilka minut później ich siły wzrosły o kolejnych czterdziestu ludzi, którzy towarzyszyli sztabowi 2 batalionu. Bezbronny Winters w ciągu kilku minut dostał najpierw karabin, potem rewolwer, pas z amunicją, manierkę i mnóstwo zapasowej amunicji. „Po chwili czułem się w pełni gotów do walki. Zwłaszcza po tym, jak wydebiłem trochę żarcia od chłopaków”.

Lipton znalazł sobie karabinek, inni bezbronni też się uzbroili.

Nie tylko Amerykanie podążali do Ste-Marie-du-Mont. Parł tam na czele swoich sił dowódca obrony tego rejonu, pułkownik Frederick von der Heydte z niemieckiego 6 pułku strzelców spadochronowych. Był doświadczonym żołnierzem zawodowym, służącym od połowy lat dwudziestych, dowodził już w kampaniach od Polski przez Francję, Kretę, Rosję po Afrykę Pomocną. W tej chwili był najstarszym stopniem niemieckim dowódcą w regionie, gdyż pozostali byli w Rennes, nad Sekwaną, gdzie organizowano ćwiczenia sztabowe - grę wojenną na temat lądowania aliantów. Von der Heydte miał w Ste-Mere-Eglise i w okolicy jeden batalion spadochroniarzy, drugi w Ste-Marie-du-Mont i trzeci w Carentan. Wszystkie jego kompanie były w gotowości, niektóre nawet walczyły już z amerykańskimi spadochroniarzami, ale zamieszanie wywołane raportami o zrzutach tu, tam i właściwie wszędzie naraz uniemożliwiło zorganizowanie sensownych kontrataków.

Pułkownik von der Heydte chciał się sam zapoznać z sytuacją. Pojechał motocyklem z Carentan do Ste-Marie-du-Mont, tam wdrapał się na szczyt liczącej pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów wieży kościelnej, skąd miał wspaniały widok na odcinek desantowy Utah.

To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Jeszcze w roku 1991, kiedy z nim rozmawiałem, wyraźnie był pod wrażeniem tego, co ujrzał: „Wzdłuż całej plaży, jak okiem sięgnąć, krążyły setki małych łodzi, wyladowując po trzydziestu czy czterdziestu uzbrojonych ludzi naraz. Za nimi stały wzdłuż brzegu okręty wojenne grzmiące z potężnych dział - więcej okrętów wojennych w jednej armadzie, niż ktokolwiek widział w historii”.

Wokół kościoła, w małej wiosce i poza nią, na zielonych polach podzielonych białymi kamiennymi murkami wzdłuż żywopłotów, panowała niczym nie zmacona cisza. Potyczki i wymiana ognia, grzmiące w nocy, z nastaniem dnia ucichły. Ze swego stanowiska obserwacyjnego von der Heydte nie widział ani Niemców, ani Amerykanów.

Pułkownik zszedł z wieży i wsiadł z powrotem na motocykl, kierując się do majątku Brecourt, gdzie stacjonowała okopana i zakamuflowana bateria czterech lekkich haubic kalibru 105 mm. W pobliżu nie było widać kanonierów, zapewne rozesłanych do walki z lądującymi. Von der Heydte pomknął z rykiem silnika do Carentan, skąd posłał 1 batalion, żeby zajął i utrzymał Ste-Marie-du-Mont i Brecourt, a także kazał odszukać i sprowadzić kanonierów, którzy mogliby uruchomić baterię z Brecourt. Nie mogli sobie pozwolić na jej bezproduktywną utratę - była ustawiona w idealnym miejscu do ostrzeliwania oddziałów desantujących na odcinku Utah, a nawet do prowadzenia pojedynków z okrętami pływającymi na wodach kanału La Manche.

W tym czasie kompania E składała się z dwóch lekkich karabinów maszynowych, jednej pancernownicy raketowej bez amunicji, jednego moździerza 60 mm, dziewięciu szeregowych i dwóch oficerów. Kiedy 2 batalion dotarł do grupy małych domków tworzących wioskę Le Grand-Chemin, odległą o jakieś trzy kilometry od Ste-Marie-du-Mont, został tam zatrzymany bardzo silnym ogniem od czoła. Winters i jego ludzie skorzystali z postoju, by odpocząć. Po dziesięciu czy piętnastu minutach oficer personalny (S-1) batalionu, porucznik George Lavenson, uprzednio służący w kompanii E, przekazał mu, że ma się zameldować w sztabie batalionu.

Oficer operacyjny (S-3), kapitan Hester, i oficer wywiadu (S-2), porucznik Nixon, obaj jego bliscy przyjaciele, poinformowali go tam o baterii stopiątek, stacjonującej kilkaset metrów dalej na przelaj przez pola i żywopłoty, obok sporej ферmy, majątku Brecourt. Wywiad do tej pory nie miał o nich pojęcia, gdyż pozycje dział wkopane w żywopłot,

połączone rozbudowanym systemem rowów łącznikowych, były doskonale zamaskowane. Baterii bronił pięćdziesięcioosobowy pluton spadochroniarzy, część wysłanego z Carentan 1 batalionu 6 pułku strzelców spadochronowych von der Heydtego. Dowiedziano się o nich dopiero, kiedy chwilę wcześniej otworzyły ogień na odcinek desantowy Utah, oddalony o cztery-pięć kilometrów na północny wschód.

2 batalion liczył nie więcej niż stu ludzi. Pułkownik Strayer odpowiadał za realizację zadań we wszystkich czterech kierunkach z La Grand-Chemin. Musiał odbudować pełną siłę bojową batalionu, zebrać swoich sześciuset żołnierzy, by odpierać liczne i silne kontrataki. W obecnej sytuacji do ataku na baterię mógł wysłać tylko jedną kompanię. Hester przedstawił Wintersowi sytuację i kazał mu zająć się baterią.

Zbliżała się 8.30. Kapitan Sobel planował wziąć rewanż na Hitlerze, a Armia Stanów Zjednoczonych miała się przekonać, że inwestycja w selekcję i szkolenie najlepszych młodych ludzi bardzo się opłaca. Kompania, którą kraj, Sobel i Armia Stanów Zjednoczonych stworzyli, wyposażyli i wyszkolili, wchodziła do walki.

Winters zabrał się z miejsca do roboty. Kazał swoim ludziom zostawić wszystko, co dźwigali, poza bronią, amunicją i granatami. Wyjaśnił im, że pójdą do szybkiego frontального ataku pod osłoną ognia prowadzonego ze zmiennych stanowisk, coraz bliżej szturmowanej baterii. Do prowadzenia tego ognia osłonowego wyznaczył dwa karabiny maszynowe. Reszta ludzi miała się poruszać „skokami naprzód”, prowadząc klasyczny atak siłą ognia i szybkością manewru.

Pole, na którym znajdowała się bateria, miało kształt nieregularnego wielokąta. Żywopłot je opasujący załamywał się ostro w siedmiu miejscach, tworząc dogodne stanowiska do ostrzeliwania Niemców z różnych kierunków.

Swoje dwa karabiny maszynowe (obsługiwane przez szeregowych Johna Pleszę i Waltera Hendriksa oraz Clevelanda Petty'ego i Joego Liebgotta) rozmieścił wzdłuż żywopłotu biegnącego prosto do celu ataku kompanii, z zadaniem wspierania ogniem ataku reszty. Kiedy wracał rowem melioracyjnym do oczekujących na niego żołnierzy, niespodziewanie zobaczył przed sobą niemiecki hełm; tym samym rowem pelzł niemiecki żołnierz. Winters złożył się ze swego M1 i szybkim dubletem zabił Niemca.

Winters kazał porucznikowi Comptonowi wziąć plutonowych Guarnere'a i Malarkeya, przeczołgać się na lewe skrzydło i podkraść najbliżej, jak się da, do pierwszego z okopanych dział, po czym zarzucić okopy obrońców baterii granatami ręcznymi. Liptonowi i Ranneyowi polecił przemieścić się wzdłuż żywopłotu z prawej, pod osłoną zagajnika i stamtąd otworzyć na pozycje wroga ogień z boku, wzdłuż jego okopów.

Atak od czoła na baterię miał prowadzić Winters, dowodzący szeregowymi Geraldem Lorraine'em (ze sztabu pułku, był kierowcą jeepa pułkownika Sinka), Popeye'em Wynnem i Joem Toye'em.

Szkolenie dało doskonałe rezultaty. Lipton wspomina: „Walczyliśmy jak zespół bez żadnych gwiazd. Byliśmy jak dobrze naoliwiona maszyna. Żaden z nas nie szturmował samotnie gniazd karabinów maszynowych. Zamiast tego zmuszaliśmy ich obsługi do wycofania się, atakując ogniem, grożąc oskrzydleniem, lub ściągaliśmy na nie ogień moździerza. Byliśmy sprytni, bez żadnych olśniewających indywidualnych bohaterskich wyskoków. Nauczyliśmy się, że heroiczne wyczyny są najlepszym sposobem na to, żeby się dać zabić na darmo. Wykonanie zadania było dla nas ważniejsze”.

Kiedy Ranney i Lipton przesuwali się wzdłuż żywopłotu, okazało się, że niskie gałęzie i murek zasłaniają im widok na Niemców. Lipton zdecydował się wdrapać na drzewo, ale żadne z nich nie miało pnia na tyle grubego, żeby z niego dało się bezpiecznie prowadzić ogień. Wybrał wreszcie takie, które miało wiele drobnych gałęzi i musiał tam siedzieć, wystawiony na ogień Niemców, jeśli tylko podniosą głowy i domyślą się, skąd padają strzały. W dodatku cały czas balansował na cienkich gałęziach, niepewny, czy się nie połamią pod jego i karabinka ciężarem. Kiedy wszedł wreszcie wyżej na drzewo, zobaczył około piętnastu żołnierzy przeciwnika, część w okopie, część leżących w odkrytym polu, oddalonych o mniej więcej siedemdziesiąt pięć metrów. Strzelali do nacierających żołnierzy kompanii E, czym zajęli się tak bardzo, że zdawali się nie zwracać uwagi na niego. Lipton miał ze sobą tylko karabinek, który znalazł po drodze, w ciągu nocy. Wziął na muszkę Niemca w polu i niepewny, jak bije zupełnie mu obca broń, pociągnął za spust. Zdawało mu się, że Niemiec uchylił się, więc szybko poprawił, ale tamten już się więcej nie pokazał. Nadal niepewny, jak ma przestrelaną broń, wybrał punkt tuż nad miejscem, gdzie powinna się znajdować głowa Niemca i raz jeszcze pociągnął za spust. Obłoczek kurzu wzbil się dokładnie tam, gdzie celował. Teraz już wiedział, że przyrządy celownicze karabinka są w porządku. Pierwszy pocisk zabił Niemca i dlatego więcej się nie pokazał z za swojej zasłony. Od tej chwili zaczął najszybciej i najbardziej precyzyjnie, jak mógł, ze swej chwiejnej pozycji przenosić ogień na kolejnych obrońców baterii.

Porucznik Compton także uzbrojony był w cudzą broń, pistolet maszynowy Thompsona; dostał go od porucznika z kompanii D, który złamał nogę przy lądowaniu. Wyteżając zaprawione miesiącami szkolenia i latami uprawiania sportów mięśnie, podpełzł przez otwarte pole do żywopłotu wraz z Malarkeyem i Guarnerem'em. W tej chwili Niemcy broniący baterii byli jednocześnie pod ogniem z karabinów maszynowych, bijących z ich

lewej flanki, pod ogniem Liptona z drzewa i Ranneya, strzelających z tyłu, i pod ogniem nacierającej od czoła grupy Wintersa. Zajęci walką z nimi nie zauważyli przybycia Comptona.

Po dotarciu do żywopłotu Compton przeskoczył przez niego i w jednej chwili miał na muszce zaskoczoną obsługę pierwszej haubicy. Chwyciwszy mocniej pistolet maszynowy w oczekiwaniu na podrzut serii, pociągnął za spust. I nic. Pożyczony Thompson się zaciął.

Uratował go Winters, który właśnie w tej chwili wydał rozkaz: „Za mną!” i jego grupa szturmowa ruszyła naprzód, wzdłuż żywopłotu, w kierunku Comptona i Guarnere'a. Guarnere wskoczył do okopu koło porucznika. Atakowani z trzech stron naraz kanonierzy widząc, że za tym pierwszym gamoniem, który do nich nie strzelał, choć mógł, idą następni, woleli nie ryzykować i podali tyły wraz z mającymi ich bronić spadochroniarzami von der Heydtgo; uciekali okopem jak najdalej od Comptona, Guarnere'a i Malarkeya. Żołnierze z kompanii E zaczęli w ślad za nimi rzucać granaty.

Compton był reprezentacyjnym łapaczem baseballowej drużyny UCLA. Odległość pomiędzy nim a uciekającym przeciwnikiem była teraz mniej więcej taka, jak na boisku do baseballu pomiędzy bazą domową a drugą. Compton rzucał granaty nie łukiem, lecz w linii prostej, tak jak miotacz narzuca pałkarzowi piłkę baseballową. Jeden z granatów trafił uciekającego Niemca w głowę, obalając go na dno okopu, zanim eksplodował na jego plecach. Potem wraz z Malarkeyem i Guarnere'em zaczęli obrzucać granatami dalsze części okopu.

Winters i jego grupa szturmowa dobiegli do nich, po drodze strzelając z karabinów, rzucając granatami, wrzeszcząc jak opętani. Adrenalina zrobiła z nich supermanów.

W trakcie tego szaleńczego biegu Wynn dostał postrzał w pośladek i wpadł do okopu, głośno przepaszając Wintersa i kolegów za to, że nawalił. Kiedy opanowali stanowisko pierwszego działła, zatrzymali się na chwilę, by zastanowić się co dalej. W tej chwili ponad żywopłotem przeleciał niemiecki granat trzonkowy i wszyscy padli na ziemię.

- Joe, uważaj z tyłu! - krzyknął Winters. Granat wylądował między nogami odwróconego w drugą stronę Joego Toye'a. Toye obrócił się i granat odleciał w bok. Jego eksplozja rozerwała kolbę karabinu. „Żeby nie porucznik Winters, tobym teraz cienko śpiewał”, skomentował całą sprawę w roku 1990 Toye.

Winters wrzucił kilka granatów do okopu i ruszył biegiem w ślad za wycofującą się obsługą działła. Pobiegli z nim Lorraine i Guarnere. Trzech kanonierów wyskoczyło z okopu i ruszyło przez pole biegiem w kierunku majątku.

- Załatwić ich! - krzyknął Winters.

Lorraine trafił jednego z pistoletu maszynowego. Winters wycelował z M1, pociągnął za spust i trafił drugiego Niemca w tył głowy. Guarnera spudłował do swojego, ale Winters wpakował mu kulę w plecy. Tamten upadł i zaczął wzywać pomocy. Guarnera wystrzelił do niego cały magazynek Thompsona, ale to nic nie pomogło, nieszczęśnik nadal zawodził na przedpolu. Winters kazał go wykończyć Malarkeyowi.

Czwarty Niemiec wyskoczył z okopu jakieś sto metrów od nich. Winters zauważył go, wycelował starannie i położył pierwszym strzałem. Piętnaście, może dwadzieścia sekund od chwili, gdy ruszyli do szturm na baterię, zdobyli już pierwsze działo.

Pierwszą myślą Wintersa było, że w okopach jest jeszcze wielu Niemców i w każdej chwili należy się spodziewać kontrataku. Skoczył więc do rowu łącznikowego i podpełzł do zakrętu. Miał rację: „Za rogiem wsadziłem nos prosto w lufę ustawianego tam przez dwóch Niemców karabinu maszynowego. Zanim zdążyli zareagować, podrzuciłem karabin i zacząłem strzelać z biodra. Pierwszy dostał w udo, drugi w ramię”.

Po powrocie z wypadu Winters kazał Toye'owi i Comptonowi trzymać pod ogniem drugie działo, trzem ludziom bronić zdobytego działa, a pozostałych trzech wysłał, żeby kryli ogniem podejście od czoła. Lipton zlązł z drzewa i pełzł przez pole do Wintersa. Po drodze zatrzymał się koło Wynna, posypał jego ranę proszkiem odkażającym i zaczął go bandażować. Wynn ciągle mamrotał swoje przeprosiny za to, że dostał i zawałił sprawę. Po chwili podczołgał się do nich chorąży Andrew Hill z dowództwa pułku.

- Gdzie dowództwo pułku? - zapytał.

- Tam. - Lipton wskazał za plecy kciukiem. Hill uniósł się na łokciach, żeby spojrzeć we wskazanym kierunku i w tej samej chwili niemiecki pocisk trafił go w czoło, zabijając na miejscu.

Od tej chwili wszyscy poruszali się już tylko okopem, a i to na czworakach, bo niemiecki karabin maszynowy strzelający gdzieś z góry co chwilę młócił po wewnętrznej ścianie okopu, ścinając przedpiersie. Malarkey zauważył przy pasie Niemca leżącego na przedpolu jakieś trzydzieści metrów przed okopem czarny skórzany futerał. Pomyślał, że to musiało być Parabellum, a on bardzo chciał je mieć. Tak bardzo, że wyskoczył z okopu i podbiegł do Niemca, tylko po to, żeby się przekonać, że był to pojemnik na celownik do zdobytej przez nich stopiątki. Porucznik Winters krzyczał za nim:

- Wracaj, idioto! Tam jest mnóstwo Niemców!

Na szczęście Niemcy byli widać przekonani, że to sanitariusz, który chciał pomóc ich koledze, i karabin maszynowy odezwał się dopiero, kiedy od niego odskoczył, by schować się z powrotem w okopie. W kłębach kurzu zanurkował pod zdobyczną haubicę.

Zastał tam Wintersa zastanawiającego się, jak zniszczyć działo bez ładunków wybuchowych, które stracił wraz z zasobnikiem indywidualnym. Po chwili przyszedł tam Lipton i powiedział, że ma kostkę trotylu, detonatory i lont w chlebaku, który został pod drzewem. Winters wysłał go po nie.

Kiedy Lipton ruszył w niebezpieczną drogę, Winters doszedł do wniosku, że czas na drugie działo. Pozostawił trzech ludzi do obrony zdobytego stanowiska do powrotu Liptona, po czym z pozostałymi pięcioma ruszyli okopem, rzucając granaty do każdego mijanego otworu, za każdy załom rowu i strzelając z karabinów. Minęli po drodze karabin maszynowy, którego obsługę unieszkodliwił Winters, wzięli do niewoli rannych celowniczego i amunicyjnego. Obsługa drugiego działa także wycofała się okopem, i to tak szybko, że kompania E zdołała trafić tylko jednego z uciekających.

Winters miał teraz dwa z czterech dział i bardzo mało amunicji. Posłał łącznika, przekazując obsługom obu karabinów maszynowych, żeby przesunęły się naprzód. Chwilę później sześciu Niemców uznało, że mają już dość tej zabawy. Podeszli rowem łącznikowym na stanowisko drugiego działa z rękami nad głową, krzycząc w łamanej angielszczyźnie: „Nie zabijać! Nie zabijać!”.

Do grupy dołączył szeregowy John D. Hali z kompanii A. Winters nakazał natarcie na trzecie działo. Prowadził je właśnie Hali i poległ, ale trzecie stanowisko również padło. Winters miał tylko trzech ludzi, aby go bronić. Jego jedenastu ludzi opanowało trzy z czterech haubic baterii.

W drugim stanowisku Winters znalazł mapnik z mapą, na której zaznaczone były wszystkie stanowiska artylerii na całym półwyspie Cotentin. Zdobyczne dokumenty, mapy i jeńców odesłał do dowództwa batalionu wraz z prośbą o amunicję i posiłki, bo jak to ujął, „byli za bardzo rozciągnięci, żeby im to wyszło na dobre”.

Używając granatów ręcznych, zniszczył radiostację, centralkę telefoniczną i dalmierz baterii. Z tyłu dotarł kapitan Hester, przynosząc kilka granatów fosforowych i trzy kostki trotylu, ale bez detonatorów. Winters nakazał wrzucić do luf haubic trotyl, używając zamiast detonatorów niemieckich granatów trzonkowych. Pomysł okazał się bardzo skuteczny. Trotyl detonował od ich wybuchów, wrywając zamki dział i rozdymając lufy. Tymczasem wrócił ze swoim chlebakiem Lipton i był bardzo rozczarowany, że ryzykował na próżno.

Przybyły posiłki, pięciu ludzi pod dowództwem porucznika Ronalda Speirsa z kompanii D. Jeden z nowo przybyłych, „Rusty” Houch z kompanii F, wychylił się, by rzucić granat, i natychmiast upadł na dno okopu przecięty seria z karabinu maszynowego. Granat na szczęście pozostał na przedpiersiu i jego eksplozja nikogo nie zraniła.

Atak na ostatnie stanowisko poprowadził Speirs, który zdobył je i wysadził działo, tracąc następnych dwóch ludzi.

Po zniszczeniu dział Winters zarządził odwrót, gdyż bateria znalazła się pod nasilającym się z każdą chwilą ogniem z żywoplotów wokół majątku Breccourt. Po wyłączeniu z akcji dział nie było sensu narażać życia ludzi dla obrony bezużytecznej dla obu stron pozycji.

Pierwsze odskoczyły obsługi karabinów maszynowych, by zająć nowe stanowiska i stamtąd osłaniać ogniem odwrót kolegów. Ostatni wycofywał się Winters. Zajrzał raz jeszcze do okopu, by sprawdzić, czy czegoś potrzebnego nie zostawili. „Zobaczyłem, że jeden z rannych Niemiaszków znowu próbował załadować karabin maszynowy, przy którego ustawianiu go postrzeliłem. Tym razem nie spałałem sprawy i trafiłem go prosto w głowę”.

Była 11.30. Od otrzymania rozkazu do ataku na baterię minęły trzy godziny.

Siłami dwunastu ludzi, a więc jednej drużyny wzmocnionej potem przez Speirsa i jego ludzi, kompania E wykonała zadania całego plutonu, zdobywając i niszcząc baterię artylerii, której zadaniem było zablokowanie wyjścia z grobli numer 2 i ostrzeliwanie odcinka Utah. Jej ogniem miał kierować wysunięty obserwator z bunkra u wylotu grobli. Ten sam obserwator kierował ostrzałem lądujących na brzegu żołnierzy 4 DP. Prawdziwe znaczenie tego, czego dokonała kompania E owego poranka, trudno określić precyzyjnie, lecz z pewnością ocalili wiele istnień ludzkich i ułatwili, a może wręcz umożliwili, wprowadzenie do walki na zapleczu odcinka desantowego broni pancernej. Twierdzenie, że dwunastu ludzi z kompanii E uratowało inwazję na odcinku Utah, byłoby na pewno rażącą przesadą, ale faktem pozostaje, że wnieśli znaczący wkład w jej powodzenie.

Straty wyniosły czterech zabitych i dwóch rannych. Zabili piętnastu Niemców i ranili znacznie więcej, biorąc do niewoli dwunastu żołnierzy wroga - innymi słowy, pokonali liczący pięćdziesiąt ludzi pluton niemieckiej elity, strzelców spadochronowych. Analizując ten atak w roku 1985, Lipton powiedział: „Ów atak był doskonałym przykładem tego, że mała, dobrze dowodzona grupa szturmowa jest w stanie pokonać znacznie liczniejsze siły i wyprzeć je z bronionych przez nie umocnionych stanowisk. Śmiałość tego ataku, wysokie morale, tempo natarcia i ogień z wielu kierunków zdeorientowały niemiecką obronę przekonaną, że mają do czynienia ze znacznie poważniejszymi siłami”.

Czynników, które zapewniły powodzenie tego ataku, było oczywiście więcej, choćby doskonałe wyszkolenie i sprawność bojowa kompanii E oraz fakt, że to był ich debiut, chrzest bojowy. Nieświadomi wielu zagrożeń nowicjusze szli w tym ataku na znacznie większe ryzyko, niż poważiliby się kilka miesięcy później. Sam Lipton przyznał, że jako weteran w

życiu by nie wszedł na to drzewo, na którym był tak wystawiony na niemiecki ogień. Swoją analizę zakończył słowami: „Tego dnia byliśmy po prostu pełni ognia”. Guarnere zaś powiedział: „Za pierwszym razem człowiek po prostu nie ma pojęcia, co robi. Nigdy, nigdy więcej nie powtórzyłbym wielu rzeczy, które zrobiłem tego poranka”. Także Compton, gdyby był bardziej doświadczony, nie zdecydowałby się raz jeszcze na swój skok przez żywoplot do działobitni. Lipton stwierdził: „Tego dnia byliśmy pewni, że nie zginimy. Byłem pewien, że zdołam się uchylić, gdyby jakiś pocisk leciał mnie trafić”.

Cytowany już Paul Fussell w *Wartime* pisał, że żołnierz idący pierwszy raz do boju jest przekonany, że:

TO mi się nie może zdarzyć Jestem na to zbyt sprytny/sprawny/dobrze wyszkolony/uważny/kochany itd., itp.

Powyższe przekonanie wkrótce ustępuje innemu:

*TO mi się może zdarzyć, więc lepiej się pilnować Niebezpieczeństwa można uniknąć, jeśli będę uważniej wybierał drogę/okopywał się/mniej się wystawiał, celując z broni/bardziej uważał przez cały czas itd., itp.*¹³

Analizując zagadnienie, Winters uznaje, że to, jak dobry był tego dnia (uznając go za „swoje apogeum”), było zasługą szkolenia, które dała im Armia Stanów Zjednoczonych. Tego dnia był po prostu doskonały we wszystkim, co zrobił, od rozpoznania celu ataku, przez rozmieszczenie dających osłonę atakowi karabinów maszynowych, zebranie najlepszych ludzi, jakimi dysponował (Comptona, Guarnere'a i Malarkeya w jednej grupie, Liptona i Ranneya w drugiej) i powierzenie im najbardziej odpowiedzialnych zadań, aż po osobiste poprowadzenie frontального szturm na baterię w optymalnie dobranym momencie.

Według niego, gdyby Sobel dowodził w tej chwili kompanią, poprowadziłby zapewne wszystkich trzynastu ludzi do szturm i zginąłby wraz z ich większością, nie wykonując zadania. Któż byłby mu w stanie odmówić racji? Ale z drugiej strony, czy żołnierze kompanii E, których do tego boju poprowadził, mieliby ten poziom dyscypliny, wytrzymałości fizycznej (od 1.30 byli cały czas w intensywnym marszu, bez snu lub po zaledwie krótkiej drzemce w samolocie, poobijani i posiniaczeni przez spadochrony i przy lądowaniu) oraz sprawności bojowej, gdyby nie kapitan Sobel i jego drakońskie metody?

Sink przedstawił Wintersa do odznaczenia Medalem Honoru (Medal of Honor), lecz za udział w operacji normandzkiej dywizje dostały tylko po jednym medalu do wręczenia. W101 DPD odznaczenie to przypadło podpułkownikowi Robertowi Cole'owi, który

¹³ Fussell, op cit, s. 282

poprowadził swoich żołnierzy do ataku na bagnety. Winters dostał więc zamiast tego Krzyż za Wybitną Służbę (Distinguished Service Cross). Compton, Guarneri, Lorraine i Toye zostali odznaczeni Srebrnymi Gwiazdami (Silver Star). Lipton, Malarkey, Ranney, Liebgott, Hendrix, Plesha, Petty i Wynn zostali odznaczeni Brązowymi Gwiazdami (Bronze Star).

Miesiąc później Wintersa wezwano do dowództwa pułku. W namiocie siedzieli Sink, Strayer i jeszcze inni ze sztabu. Honorowe miejsce przy stole zajmował S.L.A. Marshall, znany historyk działań bojowych Armii Stanów Zjednoczonych. Atmosfera przy stole była „naelektryzowana”, pamięta Winters.

„Ci goście z West Point zabiliby za szansę takiego wywiadu, który ze mną prowadził Marshall”.

- Dobrze, panie poruczniku - powiedział Marshall po zapisaniu danych osobowych. - A teraz niech mi pan opowie, co pan robił w D-Day. To pan zdobył tę baterię stopiątek, prawda?

- Tak jest, to ja.

- Proszę mi opowiedzieć, jak pan to zrobił.

- No cóż, pokryłem cel ogniem z dwóch karabinów maszynowych i pod jego osłoną zdobyliśmy pierwsze działo. Potem przenieśliśmy ogień i zdobyliśmy drugie, a potem trzecie i czwarte.

- W porządku. Coś jeszcze?

- Nie, to właściwie wszystko, proszę pana.

W obecności tych wszystkich zawodowych oficerów wołał się streszczać i jego opowieść przypominała raport z wykonania zadania ćwiczebnego.

I tak też przeszła do historii. Ku wielkiemu rozczarowaniu Wintersa w klasycznym opracowaniu Marshalla *Night Drop*¹⁴ o wojskach powietrznodesantowych w operacji normandzkiej działania kompanii E w ogóle pominięto milczeniem. Zdobycie baterii skwitowano zaś słowami:

W tym czasie działający w okolicy batalion [2 batalion Strayera] związał walką z dystansu niemiecką baterię...2

W tej samej książce można znaleźć szczegółowe opisy zdobycia podobnej baterii w Holdy, u wylotu grobli numer 1 przez 1 batalion 506 pułku. Jak pisze sam Marshall,

¹⁴ S.L.A. Marshall, *Night Drop - The American Airborne Invasion of Normandy*, Boston 1962, s. 281-286. Marshall doczekał się bardzo krytycznych recenzji po ukazaniu się tej książki, zwłaszcza ze strony weteranów. Jako kolega po fachu chciałbym stanąć w jego obronie. Nie jest łatwo opisywać rzetelnie i zgodnie z prawdą przebieg wydarzeń, w których się nie brało udziału, jedynie na podstawie często sprzecznych meldunków i relacji uczestników. Historycy wojskowości robią w takich przypadkach, co mogą.

dokonano tego siłami zebranych po drodze stu dziewięćdziesięciu pięciu żołnierzy. Winters skomentował: „Gdybym miał dwustu takich ludzi, jak tych moich dwunastu z kompanii E, to mógłbym sam zdobyć Berlin!”.

Około 12.15 przybył plutonowy Leo Boyle. Zrzucony w rejonie wyznaczonym dla 82 DPD, dowiedział się, gdzie jest, odnalazł drogę i w pojedynkę przedarł się do Ste-Marie-du-Mont. „Pierwszego spotkałem Wintersa. Był skonany. Zameldowałem mu o swoim przybyciu. Coś tam bąknął i tyle od niego usłyszałem. Spodziewałem się większego entuzjazmu na mój widok, ale czegoż wymagać od człowieka w tak ciężkim stresie”.

Żołnierze gratulowali sobie nawzajem, opowiadali o tym, czego dokonali, próbując z cząstkowych relacji stworzyć jakiś obraz wydarzeń. Byli zwycięzcami, szczęśliwymi, dumnymi, zadowolonymi z siebie zdobywcami. Ktoś znalazł piwniczkę z jabłecznikiem. Butla krążyła z rąk do rąk. Kiedy dotarła do Wintersa, ten zdał sobie nagle sprawę z tego, jak bardzo dokucza mu pragnienie i jak bardzo potrzebuje czegoś, co by go rozruszało. Wziął butlę i pociągnął tęgi haust, wprawiając w zdumienie swoich żołnierzy, bo był to pierwszy alkohol, jaki wypił w życiu. „Myślałem, że od tego zwolni gonitwa myśli przewalających mi się pod czaszką, ale nic z tego nie wyszło”.

Wkrótce zameldował się także porucznik Welsh, który większość nocy walczył wraz z żołnierzami 82 DPD. W plecaku dźwigał zapasowy spadochron, który od tej pory przez całą kampanię normandzką wszędzie ciągał ze sobą. „Miałem go zamiar wysłać Kitty, zęby uszyła sobie z niego suknię na nasz ślub, który planowaliśmy zaraz po wojnie”.

Ogień z broni maszynowej, dochodzący od strony żywoptotów za majątkiem Brecourt, nasilał się z każdą chwilą. Winters kazał obsługom karabinów maszynowych odpowiadać własnym ogniem nękającym, zęby tamci nie czuli się zbyt pewnie za ufortyfikowanym żywoptotem. Malarkey miał swoją lufę od moździerza i kilkanaście granatów do niego, ale bez płyty odporowej. Mimo to wbił lufę w ziemię i podtrzymując ręką, wystrzelił dwanaście „ogórków”. Po chwili przyłączył się do niego będący w identycznej sytuacji Guarnere. Potem przekonali się, jak celny był ich ogień - prawie każdy granat był celny. Winters skomentował: „To rodzaj biegłości, której nie można się po prostu nauczyć. To jakiś, bo ja wiem, dar boży, czy coś w tym rodzaju”.

Kiedy Malarkey skończył swoją kanonadę, lufa wbiła się odrzutem w ziemię niemal po wylot. Stary francuski rolnik przyniósł mu łopatę i pomógł ją wykopać.

Niedługo potem przez La Grande-Chemin zaczęli przechodzić pierwsi żołnierze 4 DP z plaży. Welsh zapamiętał „twarze pierwszych piechociarzy idących z plaży, kiedy rzygali na widok poskręcanych i zrytych kulami zwłok naszych i niemieckich poległych”.

Kompania liczyła wówczas około pięćdziesięciu żołnierzy. Nikt nie wiedział, co się stało z porucznikiem Meehanem, Winters był de facto dowódcą kompanii.

Na stanowiska kompanii przybył porucznik Nixon, prowadząc cztery Shermany. Kazał Wintersowi wskazywać im cele do ostrzału, a potem z ich wsparciem zaatakować. Winters wdrapał się na pancerz i powiedział dowódcy czołgu:

- Chcę, żebyś położył ogień wzdłuż tego i tamtych żywoplotów. Potem przenieście ogień na zabudowania majątku i walcie do wszystkiego, co się jeszcze będzie odzywało.

Czołgi ruszyły naprzód z rykiem silników i klekotem gąsienic. Dla czołgistów to była premiera, tak samo jak bateria okazała się chrztem bojowym dla kompanii E. Nareszcie mogli się wyżyć, sprawdzić, czy miesiące ciężkiej pracy przyniosą efekty i wypróbować broń w walce z prawdziwym przeciwnikiem, a nie papierowymi i drewnianymi tarczami. Mieli w czołgach pełną jednostkę ognia do armat kalibru 75 mm, do wielkokalibrowych karabinów maszynowych kalibru 12,7 mm i do obu karabinów maszynowych kalibru 7,62 mm, w które był uzbrojony każdy z czterech czołgów, a zabrali jeszcze na pancerze dodatkowe skrzynki z nabojami. Teraz mogli się wreszcie zabawić, więc nie żalowali amunicji. Porucznik Welsh wspomina: „Rozwalili te cholerne żywoploty w drobne kawałeczki. Myśleliśmy, że już nigdy nie przestaną strzelać”.

Wczesnym popołudniem zabudowania majątku były w rękach spadochroniarzy. Z dworu wyszła rodzina właścicieli, prowadzona przez pułkownika de Vallavieille, weterana poprzedniej wojny. Za pułkownikiem szła jego żona i dwaj nastoletni synowie, Louis i Michel, a dalej kilku Niemców, którzy woleli się poddać, niż odskoczyć z resztą obrońców. Jeden z rozgorączkowanych Amerykanów strzelił Michelowi w plecy, biorąc go za przebranego w cywilne ubranie Niemca czy francuskiego kolaboranta. Chłopiec na szczęście przeżył, choć przez sześć miesięcy dochodził do siebie w szpitalu w Anglii, dokąd trafił jako pierwszy Francuz ewakuowany z plaż odcinka Utah. Pomimo tego pożałowania godnego wypadku bracia blisko zaprzyjaźnili się z żołnierzami kompanii E. Michel był potem burmistrzem Ste-Marie-du-Mont i założycielem muzeum upamiętniającego lądowanie na odcinku Utah.

Późnym popołudniem Niemcy wycofali się z Ste-Marie-du-Mont. Kompania E i reszta 2 batalionu weszły do miasta, a potem ruszyły do oddalonej o dwa kilometry na południowy wschód i liczącej sześć domów wioski Culoville, gdzie Strayer rozłożył się z dowództwem batalionu. Winters rozlokował swoich ludzi na noc, rozmieszczając na przedpolu czujki. Żołnierze rozpakowali racje K i zajęli się przygotowywaniem posiłku. Sam Winters wybrał się z patrolem. Niedaleko od wsi usłyszał zbliżający się odgłos kroków na kostce brukowej.

Stukot podkutych gwoździami butów świadczył jednoznacznie o tym, że to Niemcy. Winters skoczył do rowu, a chwilę później tuż koło niego przeszła drużyna niemieckiej piechoty. Wyraźnie czuł charakterystyczny zapach Niemców, o którym wspomina wielu weteranów Normandii: mieszaninę zapachu przepoconej skóry i tytoniu. Porucznik pamięta, jak pomyślał wtedy, że to trochę za bliski kontakt jak dla niego i wrócił do wsi.

Porucznik Welsh chodził wśród śpiących ludzi i nie mógł się opędzić od wzniosłych myśli: „Przez cały dzień wszyscy widzieli i czuli śmierć wszędzie wokół siebie, ale nawet im do głowy nie przyszło, że ona może mieć coś do nich. Nie przyjechali się tu bać. Nie przyjechali tu zginąć. Przyjechali tu zwyciężyć”.

Lipton przed snem przypomniał sobie dyskusje z sierżantem Murrayem w noc poprzedzającą skok, kiedy rozmawiali, jak to będzie wyglądać i co mają robić w różnych sytuacjach. „Zasnąłem myśląc, jak jestem wdzięczny i zadowolony, że ten dzień przeszedł tak, jak przeszedł”.

Winters, idąc spać, słyszał, jak „Niemcy zaczęli strzelać z pistoletów maszynowych, chyba w powietrze, bo nikt z naszych nie odpowiadał ogniem, i drzeć mordy jak banda zalanych szczeniaków na popijawie. Może zresztą właśnie tak było?”.

Zanim zasnął, zanotował w dzienniku:

Nie zapomniałem uklęknąć i podziękować Panu za to, że pomógł mi przeżyć ten dzień, a przy okazji poprosić o co najmniej tyle samo w dniu następnym.

Potem poczynił jeszcze jeden ślub, którego miał po latach dotrzymać: jeśli uda mu się przeżyć wojnę, to znajdzie sobie samotną farmę, z dala od wszystkiego, gdzie diabeł mówi dobranoc, i spędzi tam resztę życia w ciszy i spokoju.

NAPRZÓD!**Carentan**

7 czerwca - 12 lipca 1944

O świcie 7 czerwca kapitan Hester pojawił się u Wintersa z rozkazami.

- Winters, po tym, czego dokonaliście wczoraj, należy wam się odpoczynek, ale niestety, chciałbym, żeby kompania E poprowadziła natarcie batalionu w kierunku Vierville.

Batalion wykonał swoje zadanie na D-Day, 4 DP była na plażach i opanowała drogi w głąb lądu. Następnym zadaniem całego VII Korpusu było natarcie na południe, w kierunku Carentan, na przeciwnym brzegu rzeki Douve, gdzie miał się połączyć z wojskami V Korpusu, nacierającymi z odcinka Omaha. Trasa tego natarcia prowadziła z Culoville przez Vierville do St-Come-du-Mont, tam na drugi brzeg rzeki i do Carentan.

Kiedy 2 batalion opuszczał Vierville, kompania E trafiła do odvodu. Batalion ruszył do Angoville-au-Plain i resztę dnia spędził, odpierając kontrataki niemieckiego 6 pułku strzelców spadochronowych von der Heydtego. Nazajutrz 1 batalion 506 pps opanował St-Come-du-Mont, około trzech kilometrów na północ od Carentan, na płaskowyżu górującym nad doliną Douve i samym Carentan. Pułkownik Sink założył swój punkt dowodzenia w Angoville-au-Plam, pod osłoną kompanii E. To zadanie, ochronę sztabu, kompania pełniła przez następne trzy dni.

Kompania wykorzystała ten czas na odpoczynek i szukanie zagubionych żołnierzy. Nadciągali oni do Carentan z całego półwyspu Cotentin. Nadal nie bardzo dawało się spać - przeszkadzali snajperzy, okazjonalne próby kontrataków, artyleryjski i moździerzowy ogień nękający. Pochówek zwłok, ludzkich i zwierzęcych, stawał się coraz bardziej nagłą potrzebą. Panowała spiekota, ciała rozkładały się i strasznie cuchnęły.

Pojawił się następny problem, który miał odtąd nękać wojska powietrznodesantowe we wszystkich rejonach działań już do końca wojny. W każdej wyzwolonej wiosce, miasteczku czy mieście Francji, a potem Belgii, Holandii i Niemiec było mnóstwo wina, koniaku, sznapsa, calvadosu, czy co tam akurat piła miejscowa ludność, w ilości i jakości, o których przeciętny szeregowy nawet nie miał pojęcia. Szeregowy Shifty Powers wraz z kolegą znaleźli w St-Come-du-Mont sklep winiarski. Włamali się do piwniczki i zaczęli degustację w poszukiwaniu najbardziej odpowiadającego ich gustom gatunku. Sprawdzili

wiele butelek, wybrali kilka, które najbardziej im smakowały, i planowali wypić je do kolacji czy w innej spokojniejszej chwili. „Szliliśmy z tymi butelkami i co chwilę jakiś snajper próbował któregoś z nas dorwać, wprost albo rykoszetem. Idziemy sobie spokojnie, od ściany do ściany, a tu co chwila pocisk z gwizdem wyskakuje nam spod nóg. Byliśmy tak nawaleni, że nam się to cholernie podobało”.

Porucznik Welsh znalazł beczkę koniaku. Winters wspomina, że „chyba próbował wypić ją całą sam. Czasem mówiłem coś do Harry'ego, i dopiero później zrozumiałem, że nic z tego nie słyszał nie dlatego, że ma coś nie tak z uszami. Po kilku dniach udało się wreszcie rozwiązać ten problem”. Ale nie na długo. Alkoholu było po prostu za dużo, a młodzi żołnierze podlegali zbyt wielu i zbyt mocnym stresom.

Dziesiątego czerwca szeregowy Alton More zaproponował Malarkeyowi wyprawę do Ste-Mere-Eglise, gdzie w jakimś opuszczonym mieszkaniu miała leżeć sterta chlebaków pościąganych z okolicy. More był zwalistym twardzielem w typie Johna Wayne'a, w cywilu właścicielem saloonu w Casper, w stanie Wyoming. Ożenił się ze swoją sympatią ze szkoły średniej, ich pierwsze dziecko urodziło się, kiedy przebywał w Anglii. Malarkey zgodził się wziąć udział w wyprawie, ale na miejscu nabrał wątpliwości, bo okazało się, że rzeczy należą do poległych. Mimo to wraz z More'em zaczęli przetrząsać torby, wysypując ich zawartość na podłogę w poszukiwaniu czekolady, mydła, puszek z jedzeniem i pieniędzy. W trakcie tego plądrowania More nagle upadł na kolana i zmienionym nie do poznania głosem szepnął:

- Wynośmy się stąd.

Malarkey zobaczył w jego ręku świeżo wytrząśniętą z czyjś chlebaka parę dzierganych szydełkiem niemowlęcych bucików. Wyrzucili na podłogę wszystko to, co do tej pory wygrzebali, i wrócili do St-Come-du-Mont, po drodze przyrzekając, że będą odtąd traktować swoich poległych kolegów z większym szacunkiem.

Martwi Niemcy to jednak była zupełnie inna para kaloszy. Polowanie na pamiątki wybuchało z całą mocą, kiedy tylko na chwilę cichła strzelanina. Najbardziej poszukiwane były Lugery - pistolety Parabellum. Na kolejnych miejscach listy poszukiwanych pamiątek były zegarki, biała broń, flagi i w ogóle wszystko ze znakiem swastyki. Kiedy w czwartym dniu po D-Day Rod Strohl wreszcie dołączył do kompanii, Liebgott na jego widok zawołał:

- Strohl, Strohl, chodź, muszę ci to pokazać!

Kiedy Rod do niego podszedł, wyciągnął z kieszeni sygnet, który odciął wraz z palcem Niemcowi zakłutemu przez niego bagnetem.

29 DP, nacierając z odcinka Omaha, zajęła Isigny, dwanaście kilometrów od Carentan. Przez Carentan, liczące około czterech tysięcy ludności, przechodziła droga łącząca

Cherbourg z Caen i St Lo, a także linia kolejowa z Paryża do Cherbourga. Niemiecki 6 pułk strzelców spadochronowych, któremu nie udało się utrzymać wyżyn na północ od miasta, bronił teraz samego Carentan. Pułkownik von der Heydte otrzymał od Rommla rozkaz „obrony Carentan do ostatniego żołnierza”¹⁵.

Dziesiątego czerwca 29 DP połączyła się ze 101 DPD na północny wschód od miasta. Przyczółki zostały połączone i wzmocnione, lecz bez wypchnięcia Niemców z Carentan nie można ich było rozszerzać i pogłębiać, a wojska amerykańskie nie mogły się posuwać w głąb Normandii. Natarcie postępowało naprzód z wielkim trudem z trzech zasadniczych powodów: braku odpowiedniego wsparcia artyleryjskiego i broni pancernej, wszechobecnych żywoptów oraz determinacji i biegłości Niemców w prowadzeniu walk obronnych w tak sprzyjającym terenie. Zwłaszcza żywopty dawały się we znaki nacierającym. Normandzkie w niczym nie przypominały rachitycznych zielonych szczotek wyznaczających ścieżki w dobrze utrzymanym ogrodzie. Tu żywopty miały po metr osiemdziesiąt i więcej wysokości, ścieżki pomiędzy nimi wyglądały jak okopy. Często obrastały biegnący w środku kamienny murek, a ich zdrewniałe przez dziesiątki i setki lat pnie były w stanie zatrzymać nawet czołg. Każda linia żywoptu stawała się pozycją wroga, a było ich w Normandii tak wiele! Nawet jeśli kosztem nadludzkich wysiłków udawało się przełamać taką pozycję, pięćdziesiąt, a czasem i mniej metrów dalej czekał identyczny żywopt, tak samo umocniony i tak samo zaciekle broniony. Było to najgorsze miejsce, jakie można było sobie wybrać na świecie do organizowania ataków piechoty - gorsze od terenu zurbanizowanego, gorsze nawet od umocnionych linii okopów z poprzedniej wojny. A jednak trzeba było je zdobyć.

VII Korpus generała Collinsa atakował na pomoc, kierując się na Cherbourg i jednocześnie na zachód, ku wybrzeżom, by odciąć obrońcom Cotentin łączność i zaopatrzenie z zaplecza. Postępy na obu kierunkach były jednak nikłe i bez odkorkowania Carentan nie było co na nie liczyć. Zadanie utorowania drogi przypadło 101 DPD.

Generał Taylor zdecydował się na jednoczesny koncentryczny atak z trzech stron. 327 pułk piechoty szybowcowej miał uderzyć z północy, 501 pps z północnego wschodu, a 506 pps nocnym marszem okrążyć odcięte Carentan od południowego zachodu. Skoordynowany atak miał ruszyć 12 czerwca o 5.00.

Kapitan Sobel zadbał o to, by większa część szkolenia kompanii trwała w nocy. Odbywali forsowne nocne marsze przełajowe przez pola i lasy, marsze na orientację,

¹⁵ Rapport i Nortwood, op cit, s. 166.

wykonywali wszelkie możliwe zadania szkoleniowe związane z walką, przemieszczaniem i dowodzeniem pododdziałami.

Winters (który był teraz pełniącym obowiązki dowódcy kompanii E, gdyż Meehan wciąż figurował na liście kompanii jako zaginiony, a nie poległy na polu chwały) twierdził, że tylko oficerowie z dowództwa pułku mieli problemy w czasie nocnych ćwiczeń. Przysypiali, bo nie biegali noc w noc po lasach i polach, jak ich młodszy podwładni. „To się rzucało w oczy już w D-Day - mówił Winters - oni mieli największe trudności ze zorientowaniem się w terenie i odnalezieniem celów. Mieli trudności z pokonywaniem żywopłotów. Młodzi oficerowie i żołnierze pozostawieni samym sobie bez problemu znajdowali i drogę i wyznaczone cele bez żadnych map i pomocy”.

Ta różnica znowu dała o sobie znać w nocy z 11 na 12 czerwca. Marsz prowadziła kompania F, kompania E szła za nią. Ruszyli do Carentan przez bagno, po moście, potem na zachód, na przelaj przez pola do linii kolejowej. Teren był trudny, podmokły i pocięty żywopłotami, więc kompanie co chwila traciły kontakt. Kiedy kompania F natrafiała na jakąś przeszkodę, przebijała się przez nią i natychmiast przyspieszała, by nadrobić stracony czas, bez oglądania się na tych, którzy idąc za nimi, natrafiali na tę samą przeszkodę. Dowództwo pułku co chwila zmieniało linie rozgraniczenia pomiędzy pasami natarcia 1 i 2 batalionu. Kompanie zatrzymywały się, okopywały, ustalały sektory ostrzału dla swoich karabinów maszynowych, tylko po to, by za chwilę zostawiać to wszystko i zaczynać od nowa w następnym miejscu.

Trasa marszu 2 batalionu biegła przez tereny, o które toczyły się zacięte walki. Wszędzie leżało mnóstwo ciał, Amerykanów i Niemców, zniszczonego i porzuconego sprzętu, słabo widocznych w mroku. Po sforsowaniu Douve w drodze do linii kolejowej kompania E znowu straciła kontakt z kompanią F. Lipton wspomina: „Wiedziałem, że nie ma mowy, żebyśmy dotarli do celu przez nieznany teren w tych warunkach. Byliśmy tak rozciągnięci, że w razie ataku nie było mowy o obronie”.

Winters próbował wywołać przez radio dowództwo batalionu. Operatorzy mówili półgłosem. Gdzieś z lewej odezwał się kilkoma krótkimi seriami MG-42 (niemiecki karabin maszynowy). Lip ton przeszedł do stanowiska ich własnego kaemu i szeptem polecił celownicemu zająć nowe stanowisko, skąd mógł ostrzeliwać nieprzyjacielską pozycję. „Wracając do reszty plutonu, o mało nie wyskoczyłem ze skóry ze strachu, kiedy nagle w panującej wokół ciszy doszedł mnie szcęk przeładowywanego lekkiego karabinu maszynowego Browninga. Hałas dwukrotnie powtarzanego cyklu napinania i spuszczenia zamka (raz żeby wyciągnąć pierwszy nabój z taśmy, drugi raz, żeby go dosłać do lufy), w

spokojną noc słyhać na kilometr. Nasze wysiłki, żeby cicho podejść Niemców, zaskoczyć ich - wszystko wzięło w łeb”.

Mimo to nikt ich jednak nie zaatakował i Lipton mógł odetchnąć nieco spokojniej.

Nawiązano ponownie kontakt. Kompania E ruszyła dalej. Na drodze leżał martwy Niemiec z prawą ręką sztywno wyciągniętą w niebo. Wszyscy przestępowali nad nim, aż przyszła kolej na szeregowego Wayne'a „Skinny'ego” Si-ska. Sisk uściskał prawicę poległego, stając na wzdętym brzuchu. Uchodzące powietrze pruknęło, jakby ktoś puścił bąka, co jakoś nikogo nie ubawiło. Skinny zrozumiał, że chyba trochę przesadził.

- Przepraszam, stary - szepnął i ruszył dalej.

W pewnej chwili trasa skręcała ostro w prawo. Carson pamięta, że „siedział tam Niemiec z karabinem wycelowanym prosto w każdego z nas. Musiał zdrowo przestraszyć chłopaków z kompanii. Pomyślałem: »A niechby i strzelił, miałbym to wreszcie z głowy«, ale on był już martwy; wdało się stężenie pośmiertne i siedział tam jak pomnik”.

Kompania E osiągnęła linię kolejową i utworzyła następną pozycję obronną. Przyszła wiadomość, że należy się spodziewać niemieckich czołgów. Lipton posłał Tippera z bazooką na nasyp, nie wyznaczając jednak pozycji do odskoku. Mieli zatrzymać to natarcie albo zginąć.

- Tipper, wszystko zależy od ciebie. Nie spudłuj.

- Nie spudłuję.

Kłopoty zaczęły się zaraz potem. Amunicyjny bazooki, szeregowy Joe Ramirez, strasznie się denerwował.

- Będzie dobrze, Joe. Po prostu naszykuj dwa pociski, tak, żebyś mi je mógł załadować natychmiast, bez straty czasu - powiedział mu Tipper. Ramirez odszedł na chwilę i wrócił z dwoma pociskami, potykając się i upadając po drodze. Ku przerażeniu Tippera okazało się, że nie tylko rozpakował je i wyjął z elektrod startowych klocki zabezpieczające, ale również wyciągnął zawlecзки z zapalników. Pocisk do bazooki bez tej zawlecзки wybuchał przy upadku z wysokości jednego metra.

- Co ty wyprawiasz, do cholery! Wsadź te pier...one zawlecзки z powrotem! Powiem ci, kiedy masz je wyciągnąć.

- Kiedy ja nie wiem, gdzie je rzuciłem - odparł Ramirez, trzymając pociski w sztywno wyciągniętych rękach, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co zrobił.

- Boże Wszechmogący! To idź ich poszukaj!

Ramirez nie mógł ich znaleźć sam, więc Tipper zostawił bazookę i obaj na czworakach macali trawę, szukając zawleczek. W końcu je znaleźli. Tipper widząc, jak

bardzo Ramirezowi trzęsą się ręce, zabrał mu oba pociski i sam wetknął zawleczeni w ich gniazda, unieruchamiając bezwładniki zapalników. „Ledwie skończyłem, Joe uspokoił się i ręce mu się przestały trząść. Nawet zaczął dowcipkować. Wróciłem na nasyp i chciałem się rozejrzeć po przedpolu przez lornetkę - zawsze trochę lepiej niż gołym okiem - ale tym razem mnie ręce zaczęły się tak trząść, że nie mogłem trafić okularami do oczu”.

Żadne niemieckie czołgi nie pojawiły się w okolicy. W nocy pułkownik von der Heydte, któremu po sześciu dniach ciężkich walk skończyła się amunicja, wycofał z Carentan prawie wszystkie swoje siły. Pozostawił tam tylko jedną kompanię, której rozkazał się bronić tak długo, jak to możliwe, a on planował w tym czasie dotrzeć do własnych wojsk na południowym zachodzie, pobrać zaopatrzenie i wrócić z odsieczą. Przetrzebiona do pięćdziesięciu żołnierzy kompania niemieckich spadochroniarzy miała gniazdo karabinów maszynowych ryglujące ogniem na wprost drogę na południowy zachód i moździerz kalibru 80 mm wstrzelane w najważniejsze skrzyżowanie dróg na obrzeżach Carentan.

Kompania wyruszyła ponownie, kierując się na północny wschód. O 5.30 2 batalion 506 pułku wyszedł wreszcie na pozycje wyjściowe do ataku na Carentan. Głównym celem ataku było skrzyżowanie bronione przez kompanię niemieckich spadochroniarzy. Ostatnie sto metrów drogi prowadzącej do tego skrzyżowania stanowiło prosty, lekko opadający odcinek z płytkimi rowami po obu stronach. Kompania F szła na lewym skrzydle, kompania E miała nacierać prosto drogą, a kompania D posuwała się za nimi, stanowiąc odwód. Rozkaz mówił, że mają wejść do miasta i posuwać się aż do nawiązania styczności z nacierającym z północy 327 ppsz.

Wszędzie panowała cisza, nic się nie działo. Porucznik Lavenson, który z oficera kompanii E został personalnym (S-1) batalionu, wyszedł na pole za większą potrzebą. W świetle poranka żołnierze wyraźnie widzieli jego błady zadek wypięty pod krzakami. Widzieli żołnierze obu stron, bo po chwili padł strzał niemieckiego snajpera, trafiając prosto w cel. (Ciężko ranny Lavenson został ewakuowany do Anglii, ale potem, kiedy transportowano go na dalsze leczenie do kraju, wiozący go samolot spadł do oceanu).

Winters chodził wściekły. Dotarcie na pozycje wyjściowe zajęło pułkowi całą noc. Stać, naprzód, stać, naprzód, ciągle zmieniane rozkazy spowodowały, że ludzie byli wyczerpani. „Nie powinno tak być. To przecież nie było wcale takie trudne zadanie. Tej nocy spieprzyliśmy sprawę, tracąc całą noc tylko na dotarcie tam”.

Nie było kiedy przeprowadzić rozpoznania. Kompania miała atakować z marszu, zupełnie na oślep. Nikt nie miał pojęcia, co na nich czeka. Nie było żadnego wsparcia - ani artylerii, ani z powietrza.

Z dowództwa przyszedł rozkaz: godzina ataku przesunięta na 6.00.

Po lewej stronie drogi, tuż za zakrętem, za którym zaczynała się ostatnia prosta, Winters umieścił swój dawny pierwszy pluton, teraz pod dowództwem porucznika Welsha. Drugi pluton był po prawej stronie drogi, trzeci pluton stanowił rezerwę. Żołnierze leżeli w rowie, oczekując na rozkazy. Niemcy, nie licząc snajperów, na razie nie zdradzali swojej obecności - karabiny maszynowe i moździerze nie oddały ani jednego strzału. Wszędzie panowała cisza.

O 6.00 Winters posłał do ataku pierwszy pluton. Welsh wyskoczył na drogę, prowadząc swoich ludzi do skrzyżowania. Około pięćdziesięciu metrów przed skrzyżowaniem otworzył ogień karabin maszynowy. Był idealnie umiejscowiony i zaczął strzelać w idealnym czasie, by wybić do nogi cały pluton.

Ogień sprawił, że pluton się rozdzielił. Za Welshem biegło nadal sześciu żołnierzy, ale już siódmy skoczył do rowu i w jego ślady poszło pozostałych ponad trzydziestu. Leżeli teraz w płytkim rowie twarzą w dół, usiłując się wcisnąć w niego jak najgłębiej.

Zaniepokojony Winters wyskoczył na środek drogi, krzycząc: „Nacierać! Nacierać! Naprzód!”. Nic z tego. Żołnierze pozostali w rowach, wciskając głowy jeszcze głębiej w ich dno. Z tyłu Winters słyszał podpułkownika Strayera, kapitana Hestera i porucznika Nixona, krzyczących: „Winters, rusz ich, rusz ich!”

Dowódca kompanii zrzucił oporządzenie, złapał tylko swój karabin i wybiegł na drogę.

„Pobiegłem na lewą stronę i zacząłem się wydzierać jak wariat: Ruszać się! Ruszać się!”. Kiedy słowa zawiodły, przeszedł do czynów i zaczął ich zachęcać do wstawania, kopiąc w wypięte z dna rowu tyłki, po czym przebiegł przez drogę i skopał siedzenia także po tamtej stronie. „Miotalem się jak opętany. Nikt mnie jeszcze nie widział w takim stanie. Wokół gwizdały pociski, krzesząc iskry na bruku drogi, a ja biegałem z jednej strony na drugą, darłem się, kopałem po tyłkach. W pewnej chwili pomyślałem: Boże, ja chyba jestem zaczarowany! Tyle pocisków i żaden nie trafił”.

Zaczynał popadać w desperację. Jego najlepszy przyjaciel, Harry Welsh, był daleko na przodzie, próbując uciszyć karabin maszynowy. Jeśli on tu szybko czegoś nie zrobi, Harry zginie - co do tego nie było wątpliwości.

Ale nadal żaden z żołnierzy się nie ruszył. Niektórzy patrzyli na niego z dna rowu. „Nigdy nie zapomnę zaskoczenia i strachu, malujących się na ich twarzach”. Niemiecki karabin maszynowy skoncentrował teraz swój ogień właśnie na nim. Winters miotał się po

drodze, wystawiony na ostrzał, bez żadnej zasłony. „Pociski nadal gwizdały wszędzie wokół i biły w kamienną kostkę tuż przy mnie”.

Strohl był jednym z tych leżących w rowie: „Wszyscy zamarli. Nikt nie mógł się ruszyć. Aż tu nagle Winters wyskoczył na środek tego piekła, które zapanowało na drodze, i zaczął krzyczeć: »No już! Ruszać się! Naprzód! Jazda!«,

I to w końcu podziałało. Nikt w całym plutonie przez cały czas od Currahee do tego czerwcowego poranka pod Carentan nie słyszał, żeby Winters choć podniósł głos w rozmowie, nie mówiąc o tym, żeby wrzeszczał, miotał się i kogokolwiek uderzył. „To wszystko tak do niego nie pasowało, że wszyscy jak jeden mąż zrozumieliśmy, że to nie przelewki”, wspomina Strohl. Według Wintersa: „I wreszcie zadziałała dyscyplina. Zrozumieli, co mają zrobić, i zrobili to”.

Plutonowy Talbert, mijający Wintersa po wyjściu z rowu, zapytał, w którą stronę mieli skręcić po pokonaniu skrzyżowania.

- W prawo! - odparł Winters.

W 1981 roku Talbert napisał do Wintersa:

Nigdy nie zapomnę, jak wtedy stałeś na środku tej drogi. Byłeś dla mnie inspiracją na całe życie. I wszyscy chłopcy czuli to samo.

Tymczasem Welsh był zajęty uciszaniem karabinu maszynowego. „Nagle okazało się, że byliśmy całkiem sami. Nie miałem pojęcia, gdzie, do cholery, wszyscy się podzieli”.

Miotający się po drodze Winters odwrócił od nich uwagę niemieckiego cekaemisty, więc Welsh i jego sześciu ludzi mogło się poruszać w miarę swobodnie. Podczołgali się do okna, z którego padały strzały, i zarzucili je granatami, po czym Welsh wystrzelał do środka całej magazynek ze swojego karabinka. Niemiecki cekaem wreszcie zamilkł¹⁶.

Reszta kompanii ruszyła tymczasem biegiem na skrzyżowanie i je opanowała. Winters posłał plutony do oczyszczania domów w pobliżu skrzyżowania, pierwszy na lewo, drugi na prawo. Jeden żołnierz wrzucał granaty przez okna, drugi czekał przy drzwiach. Tuż po wybuchu kopał w drzwi i wpadał do środka, by dobić ewentualnych obrońców.

Tipper i Liebgott stanowili jeden z takich zespołów. Granat rzucony przez Liebgotta wybuchł, Tipper wkopał do środka drzwi i w tym momencie „jakby lokomotywa mnie

¹⁶ Winters napisał w roku 1990: „Kiedy po wojnie wspominałem te wydarzenia w rozmowie z majorem Hesterem, powiedział coś, co zawsze napełniało mnie dumą na myśl o działaniach kompanii E tego dnia. Jako oficer operacyjny batalionu (S-3) Hester widział inną kompanię, która trafiła w bardzo podobną zasadzkę pod ogniem karabinu maszynowego. Tamci zalegli pod ogniem i połowa z nich zginęła, kompania E zaś, po chwili wahania, ruszyła jednak naprzód, zrobiła swoje, i to nie ponosząc żadnych strat”.

uderzyła, wpychając w głąb domu. Nie słyszałem żadnego hałasu, nie odczuwałem żadnego bólu, tam w środku jakoś nadal stałem, choć niepewnie, i miałem w rękach karabin”.

To niemiecka ariergarda zaczęła moździerzowy ostrzał utraconego skrzyżowania. Liebgott podtrzymał Tippera, pomógł mu usiąść i zawołał sanitariusza. Czekając na niego, siedział obok Tippera i zapewniał go, że wszystko będzie w porządku.

Przyszedł Welsh i wstrzyknął trochę morfiny Tipperowi, który upierał się, że może sam iść. To był kompletny nonsens - obie nogi miał złamane, odniósł też poważną ranę głowy. Welsh i Liebgott wynieśli go na ulicę. „Pamiętam, że leżałem u stóp muru, a na ulicy ciągle coś wybuchało i o ścianę nade mną uderzały odłamki”.

Po chwili Welsh wrócił i odnieśli go dwadzieścia metrów dalej, do punktu opatrunkowego, który się rozłożył w jakiejś stodole.

Moździerze kontynuowały ostrzał, nasilał się ogień snajperów. Lipton doprowadził 3 pluton do skrzyżowania i skręcił w prawo. Na ulicy wybuchały pociski moździerzowe. Lipton przypadł do ściany i kazał swoim ludziom pójść w jego ślady. W tej samej chwili jakieś dwa metry przed nim upadł kolejny pocisk. Odłamki trafiły go w lewy policzek, prawy nadgarstek i w prawą nogę w pachwinie. Wypuszczony z ręki karabin zaklekotał po bruku. Lipton upadł, sięgnął ręką do policzka i wyczuł tam sporą dziurę, ale największym problemem była ręka, z której sikała krew. Podbiegł do niego plutonowy Talbert i założył mu opaskę uciskową, tamując krwawienie.

I wtedy Lipton poczuł ból w pachwinie. Sięgnął lewą ręką między nogi i zobaczył krew na palcach. Dopiero teraz zbladł jak chusta.

- Talbert, chyba porządnie oberwałem.

Talbert rozciął spodnie Liptona, obejrzał to, o co aż tak niepokoił się ranny, i powiedział mu, że wszystko ma na swoim miejscu. „Boże, jaka to była ulga. Dwa małe odłamki poszarpały udo, omijając to, co najważniejsze”.

Talbert zarzucił go sobie na ramię i zaniósł na punkt opatrunkowy. Sanitariusze dali mu morfinę i zabandażowali rany.

Malarkey wspomina: „W czasie tego największego nasilenia ostrzału usłyszałem, jak ktoś odmawia zdrowaśki. Spojrzałem tam i zobaczyłem naszego kapelana, ojca Johna Maloneya, z różańcem w dłoniach, jak chodził środkiem ulicy wśród gwizdzących odłamków i dawał ostatnie namaszczenie konającym na skrzyżowaniu”.

Maloney został za to odznaczony Krzyżem za Wybitną Służbę.

Ranę odniósł też Winters. Pocisk karabinowy rykoszetował od ulicy i trafił go w nogę, przebijając but. Mimo to nie zszedł z linii, dopilnowując dostawy amunicji i konsultując z

Welshem organizację obrony na wypadek niemieckiego kontrataku. W czasie tych konsultacji Welsh próbował wyłuskać pocisk scyzorykiem, ale nic z tego nie wyszło.

Z kontrataku zresztą również. Rejon skrzyżowania został zajęty i oczyszczony, dochodziła 7.00. Kompania F nawiązała styczność z 327 ppsz - Carentan zostało zdobyte. Do miasta dotarł dowódca 2 batalionu, podpułkownik Strayer, i spotkał się z dowódcą 3 batalionu 327 pułku. Obaj oficerowie weszli do sklepu winiarskiego i uczcili zwycięstwo, wypijając butelkę wina.

Winters poszedł na punkt opatrunkowy pokazać nogę. Został tam dziesięciu swoich ludzi, wokół których uwijali się sanitariusze. Lekarz pomacał jego nogę, wetknął w ranę szczypczyki, pogmerał nimi chwilę, następnie wyciągnął spłaszczony pocisk. Przemył ranę, pokrył ją odkażającą zasypką i zabandażował, po czym zajął się ciężiej rannymi. Winters poszedł obejrzeć rannych. Jednym z nich był szeregowy Albert Blithe.

- Jak leci, Albert? Co ci się stało?

- Nic nie widzę, panie poruczniku. Nic nie widzę.

- Uspokój się, odpręż. Już po wszystkim. Dostaniesz bilet z powrotem do kraju, zaraz cię odwiozą. Jeszcze wieczorem będziesz w Anglii. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Teraz odpocznij.

Blithe zaczął wstawać.

- Spokojnie, Blithe. Odpręż się, odpoczywaj. No, przestań się szarpać.

- Ale ja już widzę, panie poruczniku! Ja widzę! Widzę pana, widzę wszystko!

Wstał i dołączył do kompanii. „W życiu nie widziałem czegoś takiego.

Gość był tak przerażony, że z tego strachu przestał widzieć. Straszne. Przyprawiali go tutaj, zostawili, teraz bał się jeszcze bardziej, bo zaczął się godzić z tym, że stracił wzrok. A wystarczyło, że ktoś przyszedł, wziął go za rękę, minutę pogadał, żeby się uspokoił, i cudownie ozdrowiał”.

Nie ulegało wątpliwości, że Niemcy będą kontratakować z południowego zachodu, wzdłuż drogi, którą kompania E wdzierła się do miasta. Wybór takiej osi natarcia dyktował teren - wąski palec płaskowyżu, kierujący się do Carentan. Na północy, za torem kolejowym, teren był podmokły, tak samo na południe od drogi. Generał Taylor postanowił uprzedzić Niemców i wyjść z miasta kilka kilometrów na zachód, by tam, na wyżynie, zorganizować obronę.

Winters dostał rozkazy dla kompanii. Mieli obsadzać prawe skrzydło obrony, wzdłuż linii kolejowej. Przed wymarszem sprawdził zapas amunicji. Leo Boyle i kilku żołnierzy pierwszego plutonu znalazło pozostawiony bez opieki chłopski dwukołowy wóz załadowany

amunicją. Zabrali go i przyprowadzili do stodoły na obrzeżach miasta, gdzie był rozłożony punkt opatrunkowy. Boyle właśnie miał z nim jechać dalej, kiedy rozległ się okrzyk: „Czołgi!”. „Wyjrzałem ciekawie przez drzwi i wśród żywopłotu kilka metrów dalej zauważyłem niewyraźny zarys wieży czołgu. Zanim zdążyłem zareagować, karabin maszynowy z czołgu otworzył ogień, dostałem w lewą nogę nad kolaniem i padłem na ziemię”. Ciężarówka z rannymi odwiozła go na odcinek Utah, skąd został ewakuowany do Anglii. Po drodze „spotkałem kapitana Sobela, który dowoził jeepem zaopatrzenie na front. Wreszcie właściwy człowiek na właściwym miejscu”.

Czołg wycofał się po niecelnym ostrzelaniu z bazooki. Winters zebrał kompanię, zreorganizował ją po stratach odniesionych w czasie zdobywania miasta i ruszyli na południowy zachód, wzdłuż linii kolejowej. Pokonali trzy kilometry, nie napotykając żadnego oporu. Winters uznał, że taka odległość wystarczy i zorganizował rejon obrony kompanii, rozmieszczając podległe mu plutony wzdłuż jednego z żywopłotów.

Niemcy, jak się za chwilę okazało, byli tuż przed nimi, za następnym żywopłotem, zza którego co chwilę ostrzeliwali ogniem nękającym stanowiska kompanii Wintersa. Każdy ruch, każdy odgłos ściągał huragan ognia. Wraz z zapadnięciem zmroku kompanii, przygotowującej nocną obronę, dostarczono amunicję i prowiant. Winters dostał z batalionu rozkaz, by zaatakować o świcie.

Na dwie i pół godziny przed wyznaczoną porą ataku, 13 czerwca o 3.00, Niemcy wysłali patrol na pole pomiędzy żywopłotami. Nie był to zwykły, cicho posuwający się patrol, aby rozpoznać ugrupowanie przeciwnika i spróbować wziąć języka, tylko dwie drużyny, najwyraźniej mające mocno w czubie, strzelające na oślep i miotające obelgi na Amerykanów. Winters wspomina: „To było tak bardzo pozbawione jakiegokolwiek sensu, że zamarliśmy z przerażenia”. Obawiali się nocnego ataku, ale hałaśliwi Niemcy znikli z przedpola równie raptownie, jak się na nim pojawili.

Gordon przy karabinie maszynowym, Sisk i Guth obsadzali wysunięty posterunek na prawym skraju pozycji kompanii, przy torze kolejowym. Gordon kręcił się niespokojnie, „z niewygody i ze strachu”, jako że ich stanowisko nie dawało zbyt wiele ukrycia i „czuł się bardzo odsłonięty”. Plutonowy Talbert obchodzący posterunki podzielił jego zdanie i kazał im wracać na główną pozycję kompanii.

Talbert całą noc na przemian kładł się i wstawał, zmieniając ludzi na posterunkach tak, żeby każdy miał szansę choć chwilę przespać. W oczekiwaniu na nocny szturm kazał żołnierzom założyć bagnety na broń. Noc była chłodna, więc kiedy w czasie obchodu znalazł na trawie niemiecką celkę, założył ją na mundur, żeby mu było cieplej. Około trzeciej w nocy,

tuż przed wypadem hałaśliwych harcowników, natknął się na szeregowego George'a Smitha, który zasnął na posterunku. Dźgnął go lufą trzymanego w ręku rewolweru, żeby obudzić, i w tej samej chwili na przedpolu zaczęła się pijacka strzelanina. Na wpół śpiący jeszcze Smith zerwał się na dźwięk kanonady, ujrzał przed sobą postać w niemieckiej celcie, stojącą z wycelowanym w niego rewolwerem, i zaczął ją atakować bagnetem. Talbert uchylił się, próbował złapać za lufę jego karabinu, krzycząc: „Smith, to ja, Tab! Co robisz, baranie!” - wszystko na próżno. Smith, wciąż jeszcze na wpół śpiący, wyrwał mu karabin z ręki i zadał pchnięcie w klatkę piersiową, którego plutonowy już nie zdążył sparować. Całe szczęście, że ostrze ominęło serce i płuca, ale i tak Talbert nie nadawał się do walki. Trzeba go było odnieść trzy kilometry w tył, do punktu opatrunkowego.

O 5.30 kompania Wintersa była gotowa do ataku. Tuż przed wydaniem rozkazu 6 pułk strzelców spadochronowych von der Heydtego ruszył do kontrataku. Z obu stron otworzyła ogień artyleria, moździerze, karabiny maszynowe, wszyscy strzelali ze wszystkiego, co było pod ręką. Wywiązało się spore zamieszanie. Lawina lecących zewsząd pocisków i odłamków, śmiertelnie zmęczeni ludzie, których zapas adrenaliny wyczerpał się już dawno, Taylor nakazujący jak najszybsze natarcie, zewsząd krzyki. Kompania E postrzelała się z sąsiadującą kompanią 101 DPD, wspierające natarcie Shermany pomyliły żywopłot i zamiast niemieckiej pozycji ostrzelały swoich na lewym skrzydle - kompletny chaos.

Pod intensywnym ogniem z dwóch stron kompania F trzymająca lewe skrzydło pozycji załamała się i wycofała (podpułkownik Strayer zdjął za to ze stanowiska jej dowódcę). Odwrót kompanii F odsłonił prawe skrzydło kompanii D, zmuszając ją tym samym też do odwrotu. Kompania E pozostała sama, z prawym skrzydłem opartym o linię kolejową, a lewym wiszącym w powietrzu.

Broniła się nadal. Gordon wetknął swój karabin maszynowy w otwór żywopłotu (trójnóg amunicyjny zgubił jeszcze w czasie lądowania w D-Day) i zaczął strzelać. Dziesięć metrów przed nim spadł pocisk moździerzowy, raniąc go w ramię i nogę. Ten sam pocisk ranił Roda Strohla. Mimo ran obaj pozostali na stanowiskach i bronili pozycji. Winters, Compton, Welsh i inni oficerowie biegali wzdłuż linii, zagrzewając żołnierzy do wysiłku, dokonując korekt ustawienia i stref ostrzału, byle tylko kompania nadal broniła się przed niemieckim natarciem.

Niemiecki czołg zaczął się przedzierać przez żywopłot na lewym skrzydle, tam gdzie powinna się bronić kompania F. Welsh rozkazał szeregowemu Johnowi McGrathowi wziąć bazookę i iść za sobą. Przebiegli przez odkryte i gęsto ostrzeliwane pole i kiedy znaleźli się w punkcie, z którego mogli skutecznie razić czołg, przykucnęli i zaczęli przygotowywać

bazookę do strzału. Welsh wydał komendę do otwarcia ognia. McGrath trafił w wieżę czołgu, ale pocisk nie zaszkodził jego grubemu pancierzowi. Długi palec lufy działa kalibru 88 mm obrócił się teraz, celując prosto w nich. Obaj wyraźnie słyszeli, jak pocisk przeleciał może metr nad ich głowami. Mechanik-kierowca najechał na ścianę żywopłotu i celowniczy nie mógł opuścić lufy działa i sprzężonego z nim karabinu maszynowego na tyle nisko, żeby ich trafić, a przed ogniem kaemu strzelca-radiotelegrafisty zasłaniał ich kadłub czołgu.

Welsh spokojnie zajął się ładowaniem następnego pocisku do bazooki. Wyjął zawleczkę z zapalnika i klocki spod kontaktów elektrod startowych, włożył pocisk do rury wyrzutni, wcisnął kontakty w gniazda urządzenia startowego u tylnego wylotu rury. W tym czasie McGrath bez przerwy powtarzał:

- O Jezu, panie poruczniku, zginę przez pana, zabiją mnie przez pana...

Mimo tej litanii klęczał dalej w miejscu i kiedy Welsh klepnął go w ramię, zawiadamiając, że wyrzutnia jest załadowana, wycelował starannie tam, gdzie chciał trafić - w odsłonięte dno czołgu. To była ostatnia chwila, bo środek ciężkości czołgu właśnie przekroczył żywopłot i maszyna zaczynała się przechylać. Jeszcze ułamek sekundy i gorączkowo wyczekująca tego momentu załoga czołgu mogłaby skierować na nich swoją broń. Pocisk trafił w dno i czołg eksplodował wielką chmurą ognia i dymu.

To był zwrotny moment całej bitwy. Pozostałe czołgi, nacierające za zniszczonym przez Welsha i McGratha, zwinęły szyk i zaczęły się wycofywać na wstecznym biegu. W tym samym czasie dowództwo batalionu zatrzymało kompanie D i F, nakazując im powrót. Podciągnęły do przodu o prawie sto pięćdziesiąt metrów, chociaż trochę zatykając dziury w lewym skrzydle obrony batalionu.

Niemcy wciąż atakowali, następnym razem próbowali obejść wysuniętą amerykańską pozycję obronną, okrążając ją na północ od linii kolejowej. Winters położył tam ogień z moździerzy, w zarodku tłumiąc tę próbę. Kompania E utrzymała swoją pozycję. Straty kompanii wyniosły dziewiętnastu ludzi: dziesięciu 12 czerwca przy zdobywaniu Carentan i dziewięciu nazajutrz w czasie jego obrony.

Gordon wycofał się ze swojego stanowiska i odszukał Wintersa. Odłamek pocisku moździerzowego przebił mu na wylot łydkę, krwawił też z rany ramienia. Ale tak naprawdę bolał go j ednak wrzód, który zrobił mu się na nodze w miejscu, gdzie kończył się but. Przy każdym kroku krawędź buta uciskała go, powodując ból nie do wytrzymania. Gordon zameldował Wintersowi, że musi iść na punkt opatrunkowy przeciąć wrzód. Winters mu pozwolił.

Sanitariusz spojrział na Gordona i, widząc krwawiące rany, zmęczenie na twarzy człowieka, który nie spał od trzech dni i właśnie wrócił z linii frontu, skąd słychać było odgłosy intensywnej walki, spytał:

- Coś cię boli, koleś?

- Owszem. Wrzód mi się zrobił, o tu - odparł Gordon.

Kazał mu się położyć, wziął skalpel i jednym ruchem przeciął wrzód, a potem zaczął szukać źródła krwawienia. Obejrzał ranę ramienia i pocieszył go, że wszystko będzie w porządku. Potem rozciął spodnie i zajął się łydką. Tu już było gorzej. Brzegi rany się zasklepiły i noga zaczynała sinieć.

- Z tą nogą możesz mieć problem, bracie. Chyba trzeba cię będzie ewakuować.

- Mowy nie ma! Powiedziałem porucznikowi Wintersowi, że wrócę.

- Nic się nie martw, zawiadomimy go.

Nie mając innego wyboru, Gordon w końcu zgodził się na ewakuację.

O 16.30 z Carentan przyjechało sześćdziesiąt Shermanów z 2 DPanc z piechotą z 29 DP, luzując kompanię E. Winters wspomina: „Cóż to był za piękny widok! Czołgi walące do Niemców ze wszystkich luf, siekące z wukamów na wieżach po żywołotach, prace niepowstrzymanie na niemieckie pozycje ze świeżą, wypoczętą piechotą nacierającą ich śladem”. Welsh także pamięta to natarcie. Jeszcze po czterdziestu siedmiu latach od tamtego dnia zaciera ręce i z błyskiem w oku mówi:

- Ależ oni im tam wtedy dosunęli!

O 23.00 kompania E i reszta 506 pps zostały wycofane do Carentan, do odwodu 101 DPD. Oficerowie wyszukali żołnierzom kwatery w ocalałych budynkach. Winters znalazł dla swoich ludzi opuszczony pensjonat. Przed pójściem do łóżka - wreszcie! Po trzech dniach na nogach! - obeszli jeszcze kwatery swoich podwładnych. Welsh wrócił z obchodu, usiadł na schodach prowadzących na piętro, na którym kwaterował, i tam już został, zasypiając na dobre. Winters spał w łóżku, na prześcieradle. To była rozkosz, której nigdy nie zapomni.

Następnego dnia, 14 czerwca, wrócił miejscowy fryzjer i otworzył podwoje swojego salonu. Żołnierze ustawili się w kolejce do strzyżenia. Ciekawa sprawa - bez żadnych zahamowań brali alkohol, jedzenie i cokolwiek innego znaleźli w opuszczonych sklepach, ale za usługi płacili bez szemrania.

Winters poszedł odwiedzić punkt opatrunkowy, żeby zmienić opatrunek na zranionej nodze. Przez następnych pięć dni starał się jej nie forsować.

To właśnie w czasie tego odpoczynku uzupełnił swój dziennik i spisywał niemal na gorąco cytowane w poprzednim rozdziale wspomnienia z D-Day. Kompanią dowodził w jego

zastępstwie Welsh. Wpadł z wizytą pułkownik Sink, żeby mu podziękować za to, czego kompania E dokonała 13 czerwca, powstrzymując niemiecki kontratak pod Carentan. Powiedział mu wtedy, że go przedstawia do Medalu Honoru za baterię w Brecourt. Winters odparł, że to bardzo miło ze strony pułkownika, ale myślał raczej o odznaczeniach dla swoich ludzi.

Jeśli chodzi o obronę Carentan, Sink powiedział reporterowi Walterowi McCallumowi z waszyngtońskiej „Star”:

Zdołaliśmy się obronić tylko dzięki porucznikowi Wintersowi, który dowodził kluczową pozycją na linii obrony i z niej ogniem karabinów maszynowych i moździerzy odrzucał kontrataki. Dowiódł tam, że jest wspaniałym żołnierzem. Jego bohaterstwo i umiejętności wojskowe sprawiły, że mimo naprawdę ciężkiej sytuacji, zdołał się utrzymać¹⁷.

Kompania zajęła stanowiska obronne na południe od Carentan. Drugiego dnia tej statycznej obrony wzdłuż żywopłotu przeszedł żołnierz, pytając o Dona Malarkeya i Skipa Mucka. Był to Fritz Niland. Znalazł Mucka, porozmawiał z nim, potem trafił jeszcze na Malarkeya, ale z nim miał się już tylko czas pożegnać, bo odlatywał do domu.

Kilka minut po odjeździe Nilanda Muck przyszedł do Malarkeya. Od razu było widać, że coś jest nie tak - jego zwykły bezczelny irlandzki uśmiech zastąpił głęboki mars. Czy Niland zdążył mu powiedzieć, dlaczego jedzie do domu? Nie? Opowiedział mu wtedy historię Nilanda.

Poprzedniego dnia Niland pojechał do 82 DPD odwiedzić brata Boba. Tego samego Boba, którego Fritz, Muck i Malarkey spotkali w Londynie i który mówił im o wojnie widzianej z bliska takie rzeczy, że w drodze powrotnej uznali, że stchórzył. Zapamiętali zwłaszcza jego zdanie o tym, że jeśli ktoś chce być bohaterem, to Niemcy mu to załatwią szybko, ale pośmiertnie. Fritz odnalazł jego kompanię i dowiedział się, że już nie ma brata, który zginął od razu 6 czerwca. Pluton Boba został okrążony, a on obsługiwał karabin maszynowy i osłaniał ogniem ich odskok. Kiedy wyparli kontratakami Niemców, znaleźli Boba, wciąż przy karabinie maszynowym. Wokół wałały się puste taśmy amunicyjne, które wystrzelił, do ostatniego naboju samotnie broniąc straconej pozycji.

Przybity smutnymi wieściami Fritz złapał okazję i podjechał do 4 DP, z którą lądował jego drugi brat, dowodzący tam plutonem. Okazało się, że i on zginął 6 czerwca, na plaży. Teraz, załamany, wrócił do kompanii E, gdzie dowiedział się, że poszukuje go kapelan, ojciec Francis Sampson. Kiedy go wreszcie znalazł, wraz ze słowami otuchy wręczył mu telegram

¹⁷ „Star” z 25 czerwca 1944.

zawiadamiający o tym, że jego trzeci brat, pilot na froncie chińskim, poległ śmiercią lotnika w tym samym tygodniu. Fritz jako jedyny z czterech braci jeszcze żył, więc Armia Stanów Zjednoczonych wspaniałomyślnie darowała mu życie, usuwając ze strefy działań bojowych najszybciej jak to możliwe.

Matka Fritza dostała wszystkie trzy telegramy z Departamentu Wojny tego samego dnia.

Ojciec Sampson zawiózł Fritza na plażę odcinka Utah, skąd samolotem łącznikowym odleciał do Anglii, rozpoczynając długą drogę do domu.

Kompania okopała się. Na południe od Carentan żadna ze stron nie próbowała atakować, ale prowadzono bardzo intensywny ostrzał artyleryjski. Wojska obu stron rozporządzały coraz większą liczbą dział i niewyczerpanymi, zdawałoby się, zapasami amunicji, a wciąż nadciągały nowe, dla Amerykanów z plaż, dla Niemców z głębi Francji.

W swoich indywidualnych okopach żołnierze kompanii starali się nie wystawiać nosa spod ziemi. Byli gotowi do odparcia każdego ataku, w razie gdyby do niego doszło, ale za dnia woleli bez potrzeby nie wychodzić ze swoich jam. Porucznik Nixon, oficer rozpoznania (S-2) batalionu, potrzebował jednak informacji na temat ugrupowania nieprzyjaciela na przedpolu stanowisk batalionu. Winters poszedł na pierwszą linię i zapytał o ochotników do patrolu w samo południe. Zgodnie z przewidywaniem nikt się do tego nie palił, więc Winters wybrał Guarnerę'a. Guarnerę otrzymał od Nkona rozkazy i mapę z zaznaczeniem wszystkich żywoptotów w okolicy oraz grupy budynków gospodarskich, w których, jak podejrzewano w batalionie, znajduje się niemieckie stanowisko dowodzenia, jakiś kilometr od ich okopów.

Guarnerę wybrał do patrolu czterech szeregowych, wśród nich Blithe'a i Josepha Lesniewskiego z Erie w stanie Pensylwania. Kryjąc się wśród żywoptotów, pięciu „ochotników” ruszyło naprzód. Jako szperacz szedł Blithe, cudownie uzdrowiony w Carentan przez Wintersa. Dotarł do ostatniego żywoptotu przed domniemaną niemiecką kwaterą. Tam kula niemieckiego snajpera trafiła go w szyję.

- Wynośmy się stąd! - krzyknął Guarnerę.

Pod ogniem niemieckich pistoletów maszynowych zabrali ранnego i odskoczyli do swojej linii, skąd własne kaemy dały im osłonę i uciszyły Niemców.

Następny patrol rozpoznawczy po wiadomości o rozmieszczeniu sił przeciwnika poprowadził Malarkey. W czasie tego patrolu szeregowy Sheehy podszedł do żywoptotu. Malarkey dołączył do niego, po drodze następując na gałąź, która pękła z traskiem. Zza żywoptotu natychmiast wyłoniła się twarz w niemieckim hełmie. Ciekawski miał pecha - kiedy się wychylił, spojrzał prosto w lufę Thompsona Sheehy'ego. Ta seria nie mogła chybić.

Widząc więcej Niemców, Malarkey dał sygnał do odwrotu, który wkrótce przerodził się w sprint do własnych linii. Objuczony radiostacją Rob Bain miał problemy z dotrzymaniem kroku reszcie patrolu. Kiedy już złapali oddech w bezpiecznym miejscu, Bain skomentował: „Te patrole są pewnie niezbędne, ale jak dla mnie, to doskonały sposób na to, żeby ci d... odstrzelili”.

Następny dzień był stosunkowo spokojny. Na polu za pozycjami kompanii pasło się dorodne normandzkie bydło. Szeregowy Woodrow Robbins, kaemista 1 plutonu, siedział w swoim stanowisku, około pięciu metrów od okopu Christensona.

- Hej, Chris! Chodź na to pole, skombinujemy trochę mięsa.

Christenson nie miał ochoty wychodzić ze swojego okopu, ale Bili Howell dołączył do Robbinsa. Podczołgali się do krów i Robbins zastrzelił jedną z pistoletu. Oprawili ją na miejscu i wrócili z zadnią częścią. Robbins podzielił mięso i wykroił dla całej drużyny steki, które upiekli nad ogniskami w swoich jamach. W nocy Robbins i Howell powiesili resztę mięsa na drzewie na tyłach. Okryli je płachtą namiotową, żeby się nie zmarnowało. Świeże mięso smakowało ich kolegom znacznie lepiej od konserw i mieli zamiar się nim raczyć jeszcze przez kilka dni. Nie wzięli tylko pod uwagę, ile za sprawą nieustającego ostrzału fruwało w powietrzu przeróżnego żelastwa. Kiedy zrobili sobie następną ucztę, więcej czasu strawili na wydłubywaniu odłamków z mięsa i dziąseł niż na trawieniu tego, co zjedli.

Dwudziestego trzeciego czerwca jakiś namolny snajper polował na Christensona z odległego o sześćset metrów zagajnika. Chris po jakimś czasie miał dość i skoczył za żywoplot, prosząc, żeby Robbins pociągnął parę serii po lasku i wykurzył natręta. Robbins wystrzelił we wskazanym kierunku pięćdziesiąt naboju. Christenson wspomina, co było dalej: „Wzdłuż linii poniosły się gniewne pomruki. Nikt nie lubi, kiedy w ciche, spokojne, leniwe popołudnie ktoś nagle narobi tyle hałasu, zwłaszcza jeśli to karabin maszynowy strzela długimi seriami. Ten dźwięk ma magiczną moc przyciągania grzmotów”.

Nie minęło wiele czasu, gdy zza lasu odezwały się moździerze. „Cztery głuche odgłosy odpaleń, jak beknięcie pijaka po ciężkiej popijawie, obwieściło, że cztery granaty moździerzowe lecą w naszą stronę. Napięcie oczekiwania na to, gdzie upadną, jest niesamowite. Nie do opisania. Przerażające. Potem BUUM i pierwszy „ogórek” uderzył może ze dwa metry przed stanowiskiem Robbinsa i Howella”.

Howell wyskoczył ze stanowiska i ruszył biegiem do okopu Christensona, niemal jednocześnie z detonacją drugiego pocisku, który upadł tuż obok pierwszego, „tak blisko, że zamiast zwykłego smrodu spalonego materiału wybuchowego czuło się jego smak w ustach. Kiedy doleciał trzeci, Howell skoczył i wylądował na mnie. Już przedtem leżałem zwinięty w

kłębek, więc teraz byłem złożony na pół i przyszpilony. Nie mogłem oddychać, ale jednocześnie nie mogłem powstrzymać histerycznego śmiechu na widok oczu Howella, które były ze strachu wielkie już nie jak spodki, ale całe filiżanki. Leżał na mnie, i kiedy tylko wybuchał kolejny pocisk, mamrotał: »O mój Boże«, »Chryste« i tak dalej. Howell był wielki i kiedy tak na mnie leżał, nagle zaczęła mnie ogarniać panika. Dusilem się!». Na szczęście ostrzał po jakimś czasie ustał.

Po dwóch tygodniach na pierwszej linii żołnierze kompanii E cuchnęli. Nie było tam ani prysznic, ani okazji do golenia. Wielu zachorowało na dyzenterię. Wszyscy na okrągło splywali potem. Włosy mieli posklejane od brudu i kurzu, co jeszcze pogarszało pot pod stale noszonymi hełmami. A do tego nosili wciąż tę samą impregnowaną bieliznę, w której skakali 6 czerwca. Wyglądali, wypisz wymaluj, jak bohaterowie komiksów Billa Mauldina o Willym i Joem.

Dwudziestego dziewiątego czerwca pozycje 101 Dywizji Powietrznodesantowej przejęła 83 Dywizja Piechoty. Christenson wspomina: „Ależ oni wyglądali, tacy czyści i schludni! Pełny stan w każdym pododdziale, widziane to rzeczy? Nawet farba na hełmach lśniła tak, jakby je dopiero co wypakowali ze skrzyń. Widok takiej rozchełstanej, zapuszczonej bandy oberwańców, jak my, musiał być dla nich szokiem”.

Dla kompanii E wycofanie z pierwszej linii - choćby i na kilka dni zaledwie - było wybawieniem. Marzyli o przespaniu choć jednej nocy bez nieplanowanych pobudek, o chodzeniu za potrzebą zwykłym (no, może czasem trochę szybszym) krokiem, a nie biegiem i zakosami pod ostrzałem snajperów, bez pewności, czy moździerz albo kontratak nie przerwą w najbardziej nieodpowiednim momencie. Marzyli o tym, żeby nie musieli chodzić na patrole choć przez kilka dni. Marzyli o ciepłym jedzeniu, o suchym łóżku i nade wszystko o gorącym prysznicu. O tym wszystkim, co prostemu frontowemu żołnierzowi zdaje się rajem, a czym nieświadomy cywil na co dzień gardzi.

Kiedy tuż po północy 6 czerwca kompania E skakała w Normandii, liczyła stu trzydziestu dziewięciu oficerów, podoficerów i szeregowych. 29 czerwca z pierwszej linii wycofano kompanię E w sile siedemdziesięciu czterech oficerów, podoficerów i szeregowych. 506 pułk poniósł najcięższe straty spośród wszystkich pułków biorących udział w tych walkach - stracił dziewięćset osiemdziesięciu trzech rannych, zabitych i zaginionych, niemal połowę etatowego składu. Kompania E straciła osiemnastu żołnierzy. Byli to: porucznicy Thomas Meehan i Robert Matthews, starszy sierżant William Evans, sierżanci Elmer Murray i Murray Roberts, plutonowi Richard Owen i Carl Riggs, kaprale Jerry Wentzel, Ralph Wimer i Hermin Collins oraz szeregowi Sergio Moya, John Miller,

Gerald Snider, William McGonigal, Ernest Oats, Elmer Telstad, George Elliott i Thomas Warren.

Dla 101 Dywizji Powietrznodesantowej walki o Carentan były ostatnim rozdziałem jej walk w operacji normandzkiej. Oddziały dywizji stopniowo wycofywano z linii do obozu na północ od plaż odcinka desantowego Utah. To był kompletny obóz wojskowy, taki sam jak w Stanach, z własnym radiowęzłem, telefonami, kompanijnymi tablicami ogłoszeń do czytania dwa razy dziennie, służbami w kuchni, obieraniem ziemniaków, czyszczeniem rejonów, czyszczeniem broni, ćwiczeniami z musztry i szkoleniem, czyli ze wszelkimi urokami wojskowego życia. A do tego spokój, cisza, ciepła woda nawet dwie godziny dziennie - po prostu Eden. I nawet mieli ogród z zakazanymi owocami: olbrzymie składy zaopatrzeniowe tuż pod bokiem.

Szeregowy Alton More był kompanijnym mistrzem wszechwag w okradaniu Wujka Sama ze wszystkiego, czego poskąpił swoim obrońcom. To on odnalazł dziurę w płocie do składu i wybrał się tam na rekonesans. Z pierwszej wizyty wrócił z dwoma kartonami puszek - jednym mieszanki owocowej, drugim plasterów ananasa. Jak wspomina porucznik Welsh: „To była uczta bogów. W życiu nie jadłem niczego tak dobrego. Co prawda, w życiu też nie byłem tak chory na żołądek jak wtedy. Zupełnie odwykliśmy od jedzenia czegoś takiego”.

Od czasu tej pierwszej wycieczki More regularnie „robił zakupy” w składzie, dbając jednak o nieco bardziej zróżnicowaną dietę dla swoich kolegów.

Pewnego dnia wpadł do nich z wizytą generał Taylor, żeby pogratulować samotnej obrony szanca pod Carentan. Kiedy już wygłosił pochwały, żołnierze zapytali go, co będzie z jego złożoną przed D-Day obietnicą, że ich stąd wyciągnie, jak mu dadzą trzy dni i trzy noce walki. Generał Taylor żałował, że nie może odpowiedzieć, ale bardzo się spieszył do sztabu.

Na ceremonii wręczania odznaczeń pojawił się generał Omar Bradley, dowódca 1 Armii, w której składzie walczył ich VII Korpus. Stojąc na niewielkiej drewnianej trybunie, odczytywał wnioski orderowe o odznaczenie Krzyżami za Wybitną Służbę jedenastu żołnierzy dywizji, w tym generała Taylora, kapelana Maloneya i porucznika Wintersa. „To był naprawdę wspaniały moment, wielka duma”, stwierdził Winters. Wspomina, że po rozdaniu odznaczeń Bradley powiedział żołnierzom, żeby złamali szyk i podeszli do niego. „Bradley rozejrzał się i zapytał: »Są tu jacyś dziennikarze, korespondenci wojenni?”

To, co powiem, nie jest przeznaczone do druku. Chcę wam oświadczyć, że sprawy mają się bardzo dobrze i uważam, że jest szansa na to, żebyśmy na Boże Narodzenie byli w Berlinie«. Pomyślałem, mój Boże, tyle jeszcze wytrzymam. Tylko wypuście mnie na święta!”.

Pierwszego lipca Winters dostał jeszcze jedną dobrą wiadomość: awansował na kapitana. 10 lipca wraz z kompanią wyruszył na plażę, skąd mieli zaokrętować się na rejs do Anglii. „Po raz pierwszy zobaczyłem wtedy tę słynną plażę, armadę statków i okrętów jak okiem sięgnąć, po horyzont w każdą stronę. Widok tego wszystkiego, tej potęgi i amerykańskiej flagi na plaży sprawił, że kolana się przede mną ugięły i poczułem łzy napływające do oczu”.

Szeregowy Morę odbył ostatnią wycieczkę do składnicy zaopatrzeniowej. Tym razem włamał się do parku pojazdów i ukradł stamtąd motocykl z przyczepką. Ukrył go za wydumą, po czym poszedł do kapitana Wintersa i zapytał, czy motocykl uda się przemycić na okręt desantowy, którym mieli odpłynąć. Winters dał mu wolną rękę.

Następnego dnia, kiedy kompania zaczęła wchodzić po rampie do wnętrza olbrzymiego okrętu desantowego czołgów (LST), Morę wyciągnął swój motocykl zza wydmy. Umówił się z Malarkeyem, że ten prześle mu sygnał ręką, kiedy już wszyscy będą na pokładzie i nadejdzie czas odbijania od brzegu. Malarkey przekupił niemieckimi pamiątkami jakiegoś marynarza, żeby dał mu znać w odpowiednim momencie. Wreszcie marynarz dał „cynk” i Malarkey zasygnalizował, że droga wolna. Morę zjechał z rykiem silnika z wydmy, wjeżdżając po rampie do ładowni okrętu.

Na pokładzie dowódca zapytał Welsha:

- Panie poruczniku, na co ma pan ochotę: kurczaka, stek, jajka, lody?

Wraz z konwojem ich LST zawinął do Southampton w nocy 12 lipca. Następnego ranka pociąg zabrał żołnierzy kompanii E (z wyjątkiem More'a i Malarkeya, którzy pojechali motocyklem) z powrotem do Aldbourne. Winters: „Cudownie było wracać. Wszyscy tak się cieszyli na nasz widok. To było zupełnie jak powrót do domu”.

LIZANIE RAN, I ODWOŁANE ZADANIA

Aldbourne

13 lipca - 16 września 1944

„To był ten jeden, jedyny raz, kiedy armia zrobiła coś jak trzeba. Zapakowali nas na te LST, popłynęliśmy do Southampton, stamtąd zabrali nas z powrotem do Aldbourne, wydali po dwa komplety nowiutkich mundurów, wypłacili zaległe pobory. Zebrało się tego ze 150 dolarów albo i więcej. Potem dostaliśmy tygodniowe przepustki i spuścili nas ze smyczy. O siódmej czy ósmej rano obóz opustoszał - wszyscy już siedzieli w pociągu do Londynu”, wspomina Gordon Carson.

Niewiele pamiętają z tego tygodnia w Londynie. Byli pierwszymi żołnierzami, którzy wrócili do Anglii z Normandii. Gazety prześcigały się w opisach ich bohaterskich czynów. Całe miasto chciało im stawiać kolejkę - przynajmniej pierwszego dnia. Potem ta chęć przeszła, bo młodzi bohaterowie trochę przesadzili ze świętowaniem. Za dużo pili, za dużo okien wybili i połamali krzesła, o szczękach niespadochroniarzy nie wspominając. To był jeden z najdzikszych tygodni w długiej historii miasta, które już wiele widziało. Jedna z gazet porównała straty poczynione w mieście przez świętujących spadochroniarzy z rezultatami niemieckich nalotów - porównanie wyszło zdecydowanie na korzyść kolejnego nalotu. Krążyły też dowcipy, jak ten: każdy żandarm pełniący w tamtym tygodniu służbę patrolową w mieście miał otrzymać dodatek frontowy i prezydencką pochwałę za bohaterstwo wykraczające poza obowiązki służbowe.

Nie wszyscy jednak pojechali do Londynu. Harry Welsh wyruszył do Irlandii szukać korzeni i odwiedzić rodzinę. Winters pozostał w Aldbourne, żeby odpocząć, przeanalizować doświadczenia i napisać listy do rodzin poległych i rannych. Gordon i Lipton po zaleczeniu ran pojechali zwiedzać Szkocję.

W szpitalu, po ewakuacji z Normandii, Gordonowi przeszczepiono skórę w okolicę poszarpaną przez odłamek, po czym założono gips od palców stóp po pachwinę. Był jedynym rannym w walce w szpitalu pełnym chorych i ofiar wypadków w Anglii. „Stałem się obiektem szczególnej uwagi. Ci ludzie mnie po prostu podziwiali! [...] Trzy razy oficerowie

przychodzili przypinać mi do poduszki order Fioletowego Serca¹⁸. Opuszczałem skromnie oczy, mamrotałem podziękowania grupce, która zbierała się wokół mojego łoża boleści, by zobaczyć prawdziwego bohatera, po czym chowałem order do szuflady i czekałem na następne.

Po ośmiu tygodniach w szpitalu powrócił do kompanii E. (Wojska powietrznodesantowe jako jedyne hołdowały polityce wysyłania rekonwalescentów z powrotem do swoich pododdziałów. W zwykłej piechocie kierowano ich tam, gdzie było zapotrzebowanie na żołnierza. Polityka wojsk powietrznodesantowych w tej kwestii była przez każdego spadochroniarza uważana za jeden z najmądrzejszych pomysłów armii. To, co piechota robiła ze swoimi rekonwalescentami, zgodnie uważano za okrucieństwo i czysty idiotyzm. Była to bowiem najlepsza ilustracja tezy, że żołnierz piechoty jest tylko mięsem armatnim, więc nie ma znaczenia, w którym stadzie pójdzie na rzeź).

Talbert wrócił do kompanii mniej więcej w tym samym czasie, co Gordon. Ponieważ jego ranę spowodował bagnet szeregowego Smitha, a nie niemiecki, Talbert nie dostał nawet Fioletowego Serca. Gordon powiedział, żeby się nie martwić - może mu oddać jedno ze swoich. Trzeci pluton zebrał się i przeprowadził ceremonię dla uczczenia Talberta. Gordon i Rogers napisali nawet z tej okazji poemat mający unieśmiertelnić Talberta, Smitha i "bagnet, który ich połączył". Poemat, zatytułowany Noc bagnetu, na szczęście dla potomności zginął gdzieś w pomroce dziejów (a może tylko nie chciano go udostępnić do publikacji w tej książce). Wściekły jeszcze po tylu latach Talbert powiedział: „Mogłem zastrzelić sukinsyna sześć razy, zanim mnie dziabnął, tylko mi się zdawało, że nie stać nas na utratę żadnego z naszych ludzi”.

Niektórzy z rannych obawiali się, że nie powrócą do pełnego zdrowia. Malarkey przekonał się o tym, kiedy wraz z Donem Moore'em spotkali w szpitalnej stołówce przechodzącego Liptona. Malarkeyowi zebrało się na żarciki i powitał go okrzykiem „Cześć, kaleko!”. Lipton podszedł do nich, złapał obu żartownisiów za gardła, podnosząc ze stołków, i zapowiedział, że może się bić z każdym po kolei albo oboma naraz. Lekko pobledli i podduszeni wydukali, że nie chcieli go obrazić. Chwilę później Lipton przeprosił za swoje zachowanie. Właśnie wracał ze spotkania z lekarzem, który powiadomił go, że być może odniesione obrażenia ręki przekreślą jego powojenne plany związane z zawodową grą w futbol amerykański.

¹⁸ Fioletowe Serce (Purple Heart) - najstarszy amerykański order ustanowiony przez Jerzego Waszyngtona jako odznaczenie za zasługi bojowe. Został ustawą Kongresu przywrócony w roku 1932 jako odznaczenie za rany odniesione na polu walki. Za każdą ranę przyznawano je po raz kolejny [przyp. tłum.].

Zza tych wszystkich eskapad do Londynu i wątpliwego czasem humoru wyłaniała się rzeczywistość, której wszyscy się obawiali.

Plutonowy Martin dokonał pierwszej nocy po powrocie do Anglii inspekcji koszar 1 plutonu i rzuciło mu się w oczy, że brakuje połowy ludzi, którzy tam mieszkali pomiędzy wrześniem 1943 i majem 1944 roku. Napotkawszy Guarnere'a, zwierzył mu się ze swoich obaw:

- Jezu, Bili, została tylko połowa chłopaków, a wojna się przecież jeszcze na dobre nie zaczęła. Czarno widzę naszą szansę na to, żeby z tego wyjść cało.

Guarnere nie pocieszył go za bardzo:

- Czarno? Ja ich w ogóle nie widzę. Jeżeli w tych zaszanych manewrach w Normandii straciliśmy połowę żołnierzy, to w ogóle zapomnij o powrocie do domu.

Na urlop pojechali do Szkocji i tam poszli na całość: „W tym wisielczym nastroju zrobiliśmy sobie tatuaże. Tylu ludzi straciliśmy w jednej tak niewielkiej bitwie, cała wojna jeszcze przed nami, to co za różnica, czy pójdziemy do piachu z tatuażami czy bez?”.

Szeregowy David Kenyon Webster skakał z kompanią sztabową 2 batalionu. Kilka dni później odniósł rany, ewakuowano go do Anglii i wrócił do Aldbourne przed przybyciem tam batalionu. W cieniu baraku Czerwonego Krzyża śledził „wychudzoną, zmęczoną kolumnę ocalałych, wchodzącą do obozu”.

Miał nadzieję, że nikt nie podejrze i nie spyta: „Gdzieś się, do cholery, podziewał, kiedy Niemcy kontratakowali pod Carentan i kompania F dała nogę?”.

Mimo tej obawy bardzo się cieszył z powrotu kolegów. „Każdego żołnierza batalionu zna się z widzenia, jeśli nie po imieniu, i człowiek czuje się jak członek wielkiej rodziny. Z towarzyszami broni łączą związki trwalsze niż z jakimikolwiek cywilami”.

Wystąpił o przeniesienie z powrotem do kompanii E, ponieważ w kompanii sztabowej zajmował się głównie noszeniem swego karabinu maszynowego, z którego tylko raz miał okazję postrzelać. „Chciałem walczyć. Chciałem skończyć tę wojnę jak najszybciej. Mogłem nawet walczyć z karabinem w ręku jako zwykły piechociarz, byle tylko wreszcie walczyć”.

Został żołnierzem pierwszego plutonu.

Nastrój Webstera oddają listy do domu:

Żyję w pożyczonym czasie. Nie wiem, czy dożyję następnego skoku. Gdybym nie wrócił, nie przejmujcie się tym za bardzo. Mam nadzieję, że uda mi się was przekonać, byście podchodzili do śmierci tak zwyczajnie jak my. Muszą być zabici w ogniu bitwy. Oczekuje się, że ktoś zginie. To, że najlepszy przyjaciel zginie przecięty serią z karabinu maszynowego na

twoich oczach, nie dziwi nikogo. Musisz iść dalej, żeby nie podzielić jego losu. To jest zupełnie inaczej niż w cywilnym życiu, gdzie nagła śmierć jest czymś tak nieoczekiwanym.

Kiedy matka w swoim liście wyraziła zaniepokojenie jego poglądami i obawę o jego młodszego brata, który właśnie również wstąpił na ochotnika do wojsk spadochronowych, odpowiedź Webstera była wręcz brutalna:

A wolałabyś, żeby to czyjś inny syn zginął z twarzą w błocie? Chcecie, żebyśmy wygrali tę wojnę, ale najwyraźniej nie macie ochoty na to, żeby to właśnie wasi synowie przelewali krew. Ta sprzeczność mnie zadziwia.

Ktoś musi pójść i zabić wroga. Ktoś musi być piechociarzem albo spadochroniarzem. Gdyby wszyscy w kraju mieli takie nastawienie jak wy, to wszyscy wstępowałiby do kwatermistrzostwa. Ale co wart byłby taki kraj?

Lipton wspomina, że „kiedy żołnierze są na froncie, nieuchronność tego wszystkiego bierze nad nimi górę. Są tam, nie mogą nic na to poradzić, godzą się z tym. Z miejsca uodporniają się na smród śmierci, niszczenie, zabijanie, na niebezpieczeństwo. Zabici i ranni wrogowie są poza nimi, nie dotyczą ich. Ranni i zabici przyjaciele robią na nich wrażenie tylko przez chwilę. Odczuwają zadowolenie, że to nie na nich padło [Frontowi żołnierze bardzo często wspominają chwile, kiedy widząc padających kolegów, myśleli, »Dzięki Bogu, że to nie ja«. Później odczuwają z tego powodu wyrzuty sumienia]. Ciągłe jest jeszcze robota do zrobienia, wojna do wygrania - o tym się myśli najwięcej”.

Kiedy jednak wracają z frontu na tyły, „zaczynają myśleć. Przypominają sobie, jak ich koledzy odnosili rany i ginęli. Przypominają sobie, kiedy sami byli o centymetry i sekundy od śmierci. Z dala od walki śmierć i zniszczenie przestają być nieuniknione - może się skończyć wojna, mogą odwołać następną akcję. Pod wpływem tych myśli zaczynają się bać powrotu na pierwszą linię. Kiedy jednak do niego dochodzi, znowu stają się nieczuli, cyniczni i spokojni. Znowu jest robota do zrobienia, wojna do wygrania. Wraca stara pewność siebie, dreszcz emocji związanej z walką. Ich postępowaniem znowu zaczyna rządzić pragnienie wygrania i skończenia z tym raz na zawsze”.

Jeśli ten opis wydaje się wyidealizowany, nic na to nie poradzę. Tak Lipton, jak i inni żołnierze kompanii E, inni spadochroniarze, inni amerykańscy żołnierze, ale i nie tylko oni, bo żołnierze Armii Czerwonej czy Wehrmachtu też, prowadzili wojnę i tak samo ją wspominają. Oczywiście, analiza Liptona nie jest w żadnym razie czymś uniwersalnym i nie wyznacza wzorca dla sposobu myślenia wszystkich weteranów. Drugą wojnę światową toczyły miliony mężczyzn i żaden z nich nie może mówić za wszystkich. A jednak uwagi Liptona pomagają zrozumieć, jak ludzie radzą sobie z napięciami związanymi z walką.

Wyjeżdżając z Normandii, żołnierze kompanii E byli wściekli na Niemców i nikt nie miał wątpliwości, że alianci wygrają wojnę. Webster pisał do domu:

Mam nadzieję, że niedługo tam wrócę, bo winien jestem Niemcom jeszcze kilka kulek i tyle granatów, ile zdołam rzucić.

Niemcy podrzynali gardła uwięzionym w uprzęży spadochroniarzom, zabijali ich bagnietami, kiedy bezradnie wisieli na drzewach, wziętych do niewoli rozbierali i rozstrzeliwali, w czasie walk wyróżnili rannych i personel medyczny na punkcie opatrunkowym. Z powodu tych okrucieństw żaden z nas nie ma zamiaru okazywać im laski.[...] Po tym, jak każdy z nas zobaczył przyczółek, te masy sprzętu, desantową armadę, zapierającą dech w piersiach panoramę militarnej potęgi aliantów, nie mamy wątpliwości - po prostu nie możemy przegrać. A co do spadochroniarzy, to chłopcy chcą krwi. I mam nadzieję, że wkrótce pomogę im jej znowu utoczyć Niemcom.

Na tych, którzy ocaleli, posypały się awanse. Welsh i Compton zostali pełnymi porucznikami. Pułk potrzebował nowych oficerów szczebla plutonu na miejsce rannych i poległych. Winters rekomendował do awansu na podporucznika w uznaniu zasług bojowych sierżanta Jamesa Diela, który w Normandii pełnił obowiązki szefa kompanii po śmierci Evansa. Pułkownik zatwierdził wniosek i Diel został podporucznikiem, ale zgodnie z regulaminem przeniesiono go do innej kompanii 506 pułku. Winters wyznaczył na jego miejsce Liptona, który został nowym szefem kompanii. Leo Boyle awansował na sierżanta w kompanii sztabowej batalionu. Bili Guarnere też został sierżantem. Dona Malarkeya, Paula Rogersa i Mike'a Ranneya z szeregowych awansowano od razu do stopnia plutonowych (Ranney w ten sposób odzyskał stopień zabrany mu za zorganizowanie buntu przeciw Sobelowi). Pat Christenson, Walter Gordon, John Plesha i Lavon Reese zostali kapralami.

Webster, który chciał być powieściopisarzem, pilnie studiował najlepszą angielską prozę na Uniwersytecie Harvarda, a teraz był weteranem kampanii normandzkiej, nadal na własnej skórze poznawał blaski i cienie żołnierskiego życia w Armii Stanów Zjednoczonych. Jego długie listy pisane do domu portretowały wielu ludzi z kompanii E i ich przejścia po doświadczeniach pierwszej walki.

Szeregowy Roy Cobb, który został ranny w samolocie wiozącym porucznika Welsha nad Normandię i przez to pozbawiony tych doświadczeń, „był starym wiarusem, ze stażem dziewięciu lat służby. Zawsze udawało mu się wyprzedzać armię o jeden długi krok. Jego zróżnicowana i barwna kariera frontowego żołnierza obejmowała: 1) desant z morza w Afryce w szeregach 1 Dywizji Pancernej; 2) atak żółtaczki drugiego dnia i ewakuację do Ameryki na pokładzie niszczyciela, który go wyłowił z wody po tym, jak wiozący go

transportowiec został storpedowany; 3) kilka miesięcy ciężkiej pracy w czasie szkolenia spadochronowego; 4) tylko po to, żeby zostać rannym w nogę nad Normandią. Wysoki, szczupły, wiecznie spragniony i nieodmiennie pogodny”.

1 drużyną 1 plutonu „dowodził mały Johnny Martin, doskonały żołnierz, wzorowy obibok i człowiek, który bardzo szybko potrafił wymyślić rozwiązania nie każdego problemu w służbie garnizonowej czy polowej. Zawsze miał potrzebny sprzęt, jedzenie i najlepszą kwaterę”.

2 drużyną dowodził zaś „Bull” Randleman, który bez przerwy psioczył, ale „potrafił być bardzo zasadniczy, o czym się kiedyś sam przekonałem, kiedy mnie postawił do karnego raportu u szefa kompanii za to, że go wyśmiałem na stołówce, kiedy kazał mi zdjąć wełnianą czapkę. Był bardzo ceniony przez oficerów, którzy marszczyli czoła na zbyt swobodne, ich zdaniem, podejście do służby Martina”.

Dowódcą drużyny Webstera był plutonowy Robert Rader. „Nie przypuszczam, żeby Rader kiedykolwiek w życiu był w stanie się objąć. To był typ idealnego żołnierza garnizonowego, takiego, który zna na pamięć musztrę i zawsze energicznie, dokładnie i sprężysto wykonuje wszystkie figury z bronią, wścieka się na zgłaszających się do izby chorych, żeby uniknąć nocnych ćwiczeń”.

Pomocnicy dowódców drużyny, kaprale William Dukeman, Pat Christenson i Don Hoobler „z reguły pozwalali odwalać za siebie całą robotę swoim przełożonym. Dukeman tak kunsztownie urywał się z nocnych ćwiczeń, by nie stracić żadnej weekendowej przepustki do Londynu, że niemożliwością było go nie podziwiać”.

Christenson, pomocnik Randlemana, miał według Webstera „przechlapane”, bo Randleman, podobnie jak Rader, uchodził za miłośnika porządku. Christenson był „średniego wzrostu, atletycznej budowy, z pięknymi blond kędziorkami - jedyny taki piękniś w kompanii E. Hoobler stanowił jego przeciwieństwo pod każdym względem. To jedyny człowiek, jakiego poznałem, który uwielbia wojnę, autentycznie go ona ekscytuje. Brat łąta ze złotymi zębami, wiecznie szczęśliwy, zgłaszał się na ochotnika do każdego patrolu na froncie i do każdej brudnej roboty w garnizonie. Był jednym z najlepszych i najbardziej lubianych żołnierzy w kompanii”.

W opinii Webstera (a jako żołnierz kompanii sztabowej miał okazję poznać prawie cały batalion) w kompanii E żołnierze byli „młodszy i bardziej inteligentni niż w pozostałych”. Po raz pierwszy w armii znalazł tu, ku swej wielkiej radości, ludzi, którzy planowali po wojnie pójść na studia. Należeli do nich kapral Dukeman oraz plutonowi Muck, Carson i Malarkey.

Wszystkich ich Webster nazywał zbiorczo „podoficerami nowej armii”. Mieli średnio dwadzieścia jeden lat, nie potrafili recytować z pamięci naprzód i w tył Regulaminu Dyscyplinarnego, w ogóle mieli tę „księgę, rządzącą życiem tak wielu zawodowych,” w bardzo niewielkim poważaniu. Spoufalali się z szeregowymi, nie służyli ani na Hawajach, ani w Panamie, ani nawet na Filipinach, „byli cywilnymi żołnierzami. I to właśnie oni uratowali Amerykę”.

Także niektórzy z oficerów kompanii zrobili wrażenie na Websterze. Wintersa opisuje jako „potężnego, atletycznej budowy osobnika, który święcie wierzył w gimnastykę w garnizonie i agresywność na polu bitwy”.

Welsh, który był teraz zastępcą Wintersa, to z kolei „mały, czarny, leniwy, błyskotliwego umysłu, jedyny oficer całego 2 batalionu, który potrafił wygłosić ciekawą i pouczającą pogadankę o bieżących wydarzeniach i sytuacji ogólnej”.

Porucznika Comptona, dowódcę 2 plutonu, przedstawiał jako człowieka jowialnego, o przyjacielskim usposobieniu, którego wszyscy bardzo lubili. Wszystkich planujących po wojnie karierę akademicką zdołał przekonać, że jedynym miejscem do studiowania może być tylko jego Alma Mater, Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles (UCLA).

Jego własnym 1 plutonem dowodził przybyły w ramach uzupełnień porucznik Thomas Peacock. Websterowi nie przypadł do gustu, jako „oficer, który wykonuje każdy rozkaz bez zastanowienia, bezmyślnie i bez dyskusji. Bardzo go za to lubili jego przełożeni, ale my, podwładni, nie znosiliśmy go serdecznie. Był zanadto posłuszny jak na nasz gust”.

Zastępcą Peacocka był również świeży nabytek kompanii, podporucznik Bob Brewer. Bardzo młody, doskonały sportowiec, ale według Webstera „przerośnięty i dziecinny”.

W lecie 1944 roku kwatery kompanii były doskonałe. Oficerowie zajęli ładny murowany dom z widokiem na łąki. Na tyłach domu była stajnia, żołnierze ją wysprzątaли i zaadaptowali na swoje koszary. Składała się z rzędu boksów, w których czterej żołnierze kwaterowali wygodnie, w chłodzie, i ciesząc się upragnioną, a tak rzadko spotykaną w koszarach intymnością. Często chowali się tu, zwłaszcza kiedy kompania wychodziła na nocne ćwiczenia. Nawyk ten osiągnął w końcu takie rozmiary, że Winters musiał przeszukiwać stajnię, by się upewnić, że nikt się nie schował pod łóżko albo za ubraniami wiszącymi w kącie boksu. Poza miejscem do zabaw w chowanego każdy boks oferował własny piec, wielkie, grube, dźwiękoszczelne drzwi, wysoki sufit i świetną wentylację. W każdym było dość miejsca, żeby powiesić swoje mundury, zwalić w kątach worki koszarowe z rzeczami i jeszcze mieć miejsce na środku do gry w pokera czy w kości.

Rozrywki dostarczało Radio Sił Zbrojnych (Armed Forces Network, AFN). Nadawało codziennie od 7.00 do 23.00, powtarzając występy Boba Hope'a, co godzinę transmitując dzienniki BBC i grając mnóstwo swingu. Ludzie woleli je od sztywnego BBC, choć zmuszało ich także do wysłuchiwanie w nieskończoność wojskowych mądrości w rodzaju tych, że powinni być bardziej czyści, więcej salutować i powstrzymać się od bójek.

Pamiętajcie, żołnierze, jeśli szukacie walki, poczekajcie, aż spotkacie Niemców!

Kiedy w AFN nie znaleźli nic ciekawego, przełączali się na audycje dywersyjne wroga, słuchając Sally Oski (Axis Sally) i Lorda Hau-Hau. Podobnie jak w AFN, było w nich dużo gadania i sporo muzyki, ale nieporadna niemiecka propaganda wydawała się znacznie śmieszniejsza od tego, co produkowali ich spece od walki psychologicznej.

Poza radiem dwa razy w tygodniu mieli kino - głównie westerny klasy B, a i to rzadko nowości. Czasami w okolicy odbywał się występ USO, ale gwiazdy najwięcej czasu spędzały w Londynie, więc im na prowincji przypadały zwykle resztki.

Wyjątkiem był Glenn Miller. Malarkey wspomina jako „najbardziej ekscytujące wydarzenie tego lata” koncert Glenna Millera i jego Orkiestry Sił Powietrznych w Midbury 25 lipca, na który udało mu się dostać bilet. Jeszcze po czterdziestu siedmiu latach pamiętał kolejność wykonywanych utworów. Koncert zaczął się od *Moonlight Serenade* (w opinii Malarkeya „najbardziej prowokujący temat, jaki kiedykolwiek powstał”), a potem muzycy zagrali *In the Mood*.

W weekendy, kiedy nie było ćwiczeń lub alarmów, dostawali przepustki. Malarkey i More wskakiwali na motocykl i ruszali na południowe wybrzeże, do Brighton, Bournemouth czy Southampton pływać i się opalać. Kiedyś po powrocie czekała na nich kartka od kapitana Sobela. Chciał, żeby obaj wiedzieli, że on zdaje sobie sprawę z tego, że ich motocykl jest kradziony, ale że nie ma zamiaru nic z tym robić, poza tym, że go skonfiskuje, kiedy następnym razem kompania pójdzie w pole. Malarkey uważał, że ten godny podziwu przejaw rozsądku kapitana Sobela bierze się z jego niechęci do konfrontacji z Wintersem.

Te wszystkie przyjemności i rozrywki miały jednak swoją ciemną stronę - zintensyfikowane szkolenie. Webster zapisał:

Miałem wrażenie, że jesteśmy karani za to, że udało nam się przeżyć Normandię.

Nie było końca przeglądom, inspekcjom, defiladom, ćwiczeniom taktycznym, nocnym marszom i wycieczkom na strzelnicę.

Winters przeschmuglował do Aldbourne trochę ostrej amunicji z Normandii. Używał jej do dodania realizmu ćwiczeniom w atakowaniu pod osłoną własnego ognia dla świeżych uzupełnień, pozbawionych frontowego doświadczenia. Oczywiście, wiązało się to z ryzykiem

- i to dla obu stron. Zagrożenie dla ćwiczących było oczywiste, ale w razie wypadku Winters też miałby za swoje. Amunicja była nielegalna i gdyby ktokolwiek został ranny, byłaby to jego wina. Uważał jednak, że ryzyko jest uzasadnione. Jak się przekonał 6 czerwca pod Brecourt, kluczem do sukcesu natarcia było wsparcie ogniowe własnych karabinów maszynowych. Jeśli się to robiło jak trzeba, można było wykonać zadanie i zminimalizować straty.

Tak intensywne szkolenie było niezbędne, by choć trochę wyrównać poziom frontowych weteranów i świeżo przybyłych uzupełnień, które stanowiły teraz niemal połowę stanu kompanii. Nowi musieli zaznajomić się z ogniem, zintegrować z nowymi kolegami. A mimo to, słusznie czy nie, ćwiczenia były znienawidzone, chociaż w porównaniu z tym, co w Aldbourne wyczyniał w poprzednim roku Sobel, letnie szkolenie w 1944 roku było dziecięcą igraszką. Malarkey wyjaśnia: „Nie byliśmy już dalej wydani na łup złośliwości i sadyzmu Sobela i szefa Evansa. Bezsens ich działań zastąpiła konsekwencja, poczucie sprawiedliwości i współczucie Dicka Wintersa. Esprit de corps kompanii E bardzo skorzystał na tej zmianie”.

Morale kompanii najbardziej zaś pomogło to, że tamto lato - pełne bardziej czy mniej wytężonej pracy na ćwiczeniach - spędzali w Aldbourne, a nie w Normandii.

Webster pisał do domu:

Ile razy pomyślę o naszych chłopcach walczących na Pacyfiku, przedzierających się przez dżunglę, brodzących po koralowych rafach, czy o tych biedakach z piechoty we Francji, którzy prą do przodu, aż zginą lub odniosą ranę, bez rozrywek i muzyki, które nas tutaj zabawiają, dziękuję Bogu i Eisenhowerowi za to, że wróciliśmy do Anglii.

Wszyscy żołnierze w Aldbourne byli świadomi tego, że 4 DP, jednostka, wraz z którą lądowali w Normandii, pozostała tam i toczyła ciężkie walki, ich koledzy nadal żyją w dziurach w ziemi na pierwszej linii, giną i odnoszą rany, jedzą puszkowe racje i nigdy się nie myją.

Nieustannie krążyły plotki. Kiedy 10 sierpnia sam Eisenhower przyjechał na inspekcję dywizji, wszyscy byli przekonani, że już wkrótce wrócą na front. Wymiana wyposażenia dwa dni później była potwierdzeniem tego, czego się wszyscy spodziewali. Rozbieżności panowały tylko co do miejsca, w które ich zrzucą: jedni obstawiali południowy Pacyfik, inni Indie, jeszcze inni nawet Berlin.

To były oczywiście bzdury, ale plotki o rychłym powrocie na front opierały się na mocnych przesłankach - w ciągu tego lata sztab dywizji szykował plany aż szesnastu operacji powietrznodesantowych, z których każda została odwołana niemal w ostatniej chwili. Było to wynikiem niespodziewanie szybkich postępów natarcia w Normandii. Odkąd w końcu lipca i

Armia generała Bradleya przełamała front pod St Lo, do akcji weszła 3 Armia generała Pattona i wszystkie plany wzięły w łeb - jego wojska zdobywały wszystkie planowane zrzutowiska, zanim dywizja zdążyła zakończyć przygotowania i załadować ludzi do samolotów.

Siedemnastego sierpnia dywizję poderwano alarmem i przedstawiono zadanie: zrzut w okolicach Chartres. 101 DPD miała opanować tamtejszy węzeł komunikacyjny, by odciąć drogę zaopatrzenia i odwrotu wojskom niemieckim broniącym się nadal w Normandii. Kompania wraz z resztą batalionu zapakowała się do autobusów i pojechała na lotnisko w Membury koło Aldbourne, skąd był odlot do Francji. Tam dostali steki z jajkami, pieczone kurczaki, białe pieczywo, mleko, lody i inne delikatesy, które jak pamiętali z Normandii, podawano wieczorem przed załadowaniem do samolotów. Sprawdzali broń, wyposażenie, odbywali odprawy, omawiali otrzymane zadania.

Nowicjusze byli podekscytowani i pełni zapału. Weterani się martwili. Webster szybko zmienił zdanie o powrocie do walki. W dzienniku zapisał:

Nienawidzę samej myśli o tym, że tam wracam.

Najbardziej bał się przerażającej samotnej śmierci w powietrzu, podczas skoku albo gdy zawiśnie bezbronię w uprzęży na drzewie lub słupie telefonicznym, śmierci od bagnetu lub kuli, zadanej zanim zdąży się wyswobodzić z pasów. Skombinował sobie pistolet, ale nie była to broń, którą by się mógł obronić przed ostrzałem karabinów maszynowych. W końcu doszedł do przekonania, że jeśli przeżyje skok, to całą resztę też jakoś wytrzyma.

Rozmawiając z innymi weteranami na lotnisku zauważył, że „chłopcy jakoś nie pałają entuzjazmem na myśl o powrocie i żaden już się nie pali do walki, żeby skończyć tę wojnę jak najszybciej, tak jak przed skokiem do Normandii. Nikt już nie chce się bić”.

Niektórzy mieli nadzieję, że Niemcy mogą się załamać i paść choćby jutro. Pancerne zagony Pattona pędziły przez Francję, aliancka ofensywa postępowała we Włoszech, Armia Czerwona niepowstrzymanie parła na froncie wschodnim, w Niemczech panowało zamieszanie po nieudanym zamachu na Hitlera, do którego doszło 20 lipca. Większość bardzo by się ucieszyła z takiego rozwoju wypadków, ale nie Webster, który do rodziców pisał:

Nie rozumiem waszej nadziei na szybkie zakończenie wojny. Dopóki nie zaniemiemy Niemcom na ich własny próg okropności wojny, dopóki nie będziemy walczyć w ich własnych miastach i wsiach, wysadzać w powietrze ich własnych domów, rozbijać ich piwnic z winem, żywić się ich własnym inwentarzem, dopóki ich ulic nie zaścielą rozkładające się w spiekocie i potwornie śmierdzące trupy współziomków, synów, ojców i braci, dopóki nie zrobimy z Niemiec drugiej Francji, będą się szykowali do następnej wojny, nie mając w pamięci

okropieństw poprzedniej. Zanim ten burdel można będzie doprowadzić do porządnego końca, trzeba pobić i rozbić Niemcy. Szybkie zwycięstwo teraz, nagłe załamanie Niemiec i ich wycofanie się z wojny, znowu pozostawi ten kraj w relatywnie dobrym stanie, z narodem pragnącym odwetu, jak po poprzedniej. Nikt bardziej ode mnie nie pragnie szybkiego końca tej wojny, ale nie chcę, by zarodki następnej pozostały nietknięte.

Dziewiętnastego sierpnia miała się rozpocząć operacja w Chartres. Zaplanowano dzienny zrzut. Tego ranka ludzie w Membury wstawali wczesnym świtem po nocy przeważnie i tak bezsennie spędzonej w przepoconej pościeli na rozmyślaniach o tym, co ich może spotkać. Ubierali się po cichu. Sprawiali wrażenie oderwanych od rzeczywistości i przybitych. Nie było żadnych „irokeezów”, nikt nie uprzedzał Hitlera, że po niego idą. Nastrój chwili oddawały raczej słowa: „Mamusiu, jeśli się kiedykolwiek za mnie modlisz, zrób to właśnie teraz”¹⁹.

I nagle radosna wiadomość z głośników radiowęzła. Armia Pattona zajęła Chartres! Operacja odwołana! Żołnierze krzyczeli z radości, skakali, śmieli się, błogosławili Pattona i jego czołgistów. Wznosili wesołe okrzyki i tańczyli z radości. Tego popołudnia wrócili do Aldbourne.

W niedzielę, 28 sierpnia, w 506 pułku miała się odbyć msza za poległych. Kiedy ogłoszono, że z niedzielnych przepustek nici, bo trzeba oddać hołd towarzyszom broni, podniósł się jęk zawodu. Jeden ze spadochroniarzy ujął to tak: „Mogę czcić pamięć poległych w sobotę rano i choćby cały poniedziałek, ale weekend to jest mój czas i niech mnie cholera, jeśli będę to robił w moim czasie!”.

Ale to były tylko słowa. Żołnierze korzystali ze swego niezbywalnego prawa do narzekania. A kiedy już ponarzekali, założyli wyjściowe mundury i stawili się w ordynku wraz z resztą.

Kompania E pojechała autobusami do posiadłości lorda Willsa w Littlecote koło Chilton Foliat, gdzie stacjonowało dowództwo pułku. Tam na olbrzymim trawniku zebrały się kompanie całego pułku. Orkiestra zagrała marsza pogrzebowego tak powoli, że niemal wszyscy wypadli z rytmu, ale mimo tych niedociągnięć widok dwóch tysięcy młodych Amerykanów naprawdę robił wrażenie.

Przemówienie wygłosił kapelan pułku, ojciec McGee. Tekst był tak banalny, jak to tylko możliwe: polegli byli prawdziwymi bohaterami, Ameryka jest warta ich ofiary i nigdy ich nie zapomni, ci, co polegli, nie zginęli na marne i tak dalej, i tym podobnie. Prawdziwe

¹⁹ Fragment wiersza angielskiego poety Fredericka Snidersa, weterana ofensywy nad Sommą w roku 1916 [przyp. tłum.].

wrażenie zrobiła dopiero pułkowa modlitwa, napisana przez porucznika Jamesa Mortona i odczytana przez kapelana:

Wszechmogący Boże, klękamy przed Tobą i prosimy, byś nas uczynił Panie narzędziem swego gniewu w dziele zniszczenia sił ciemności, które zesłały na świat śmierć, cierpienie i upodlenie [...] Bądź z nami Boże, gdy wyskoczymy z samolotów w ciemną otchłań i gdy opadać będziemy na spadochronach w nieprzyjacielski ogień. Daj nam żelazną wolę i niezłomną odwagę, gdy wyzwolimy się z pasów i sięgniemy po broń, by walczyć. Potężne są zaprawdę siły ciemności, Ojczy, pobłogosław więc naszą broń, byśmy spotkali się z nimi i w imię Twoje oraz wolności i godności człowieczej je pokonali. [...] Niech nasi przeciwnicy, którzy mieczem wojują, porzucą przemoc lub zginą od miecza. Pomóż nam służyć Ci odważnie i zachować skromność w chwili zwycięstwa.

Następnie głos zabrał generał Taylor, ale jego przemówienie zagłuszył przelot formacji C-47 na małej wysokości. Potem odczytano listę poległych i zaginionych, która zdawała się nie mieć końca: było na niej 414 nazwisk. Każde z nich przywoływało obraz brakującego w szyku kolegi w myślach pozostałych przy życiu żołnierzy jego drużyny, plutonu, kompanii. Za każdym razem, kiedy padało znajome nazwisko, Webster myślał „o rodzinie siedzącej w milczeniu w domu, który już nigdy nie będzie taki sam”.

Odczytywanie apelu poległych urwało się nagle, kiedy padło ostatnie nazwisko szeregowego zaczynające się na literę Z. Pułk odmaszerował z trawnika przy wtórce orkiestry grającej *Naprzód, żołnierze Chrystusa*.

101 Dywizja Powietrznodesantowa stała się teraz częścią 1 Sojuszniczej Armii Powietrznodesantowej, w której skład weszły dywizje amerykańskie (17, 82 i 101 DPD) tworzące XVIII Korpus, brytyjskie 1 i 6 DPD oraz 52 DP Lowland (szybowcowa), a także polska 1 Samodzielna Brygada Strzelców Spadochronowych. XVIII Korpusem dowodził generał Matthew Ridgway, a całą 1 SAPD generał Lewis Brereton. Generał Taylor pozostał dowódcą 101 DPD, 82 DPD dowodził generał James Gavin.

Wszyscy ci generałowie, wraz z ich rozrośniętym zapleczem sztabowym, bardzo chcieli wypróbować nowo powstałą armię w działaniach bojowych, ale ile razy ułożyli jakiś plan, przekazali go podwładnym, przywieźli swoich żołnierzy na lotniska i wyznaczyli godzinę startu, wojska naziemne zajmowały wyznaczony rejon desantowania i nic z tego nie wychodziło.

Kolejny raz doszło do takiej sytuacji pod koniec sierpnia. 30 sierpnia o północy Taylor ogłosił alarm i rozkazał formować kompanie. Żołnierze dowiedzieli się, że mają się pakować i o 8.00 wyjeżdżają do Membury na lotnisko. Na lotnisku rozpoczęto wszystkie przygotowania,

włącznie z wymianą waluty. Za angielskie funty wydawano belgijskie franki i w ten sposób, jeszcze zanim miały miejsce odprawy, żołnierze już się dowiedzieli, gdzie lecą. Kto nie miał funtów, odchodził od okienka z niczym.

Mieli skakać w rejonie Tournai, w Belgii, tuż za granicą francuską, na wysokości Lilie. Ich zadaniem było otwarcie drogi brytyjskiej 2 Armii forsującej kanał Escaut i wkraczającej na terytorium Belgii. Nastąpiły dwa dni gorączkowych przygotowań, intensywnych odpraw i doskonałego jedzenia. Drugiego dnia wieczorem sielanka dobiegła końca - radio doniosło, że Dywizja Pancerna Gwardii ze składu 2 Armii Dempseya zdobyła Tournai i operację znowu odwołano. Nastąpiła taka sama eksplozja radości i ulgi, jak po odwołaniu desantu na Chartres, ale determinacja dowództwa, żeby ich wysłać ponownie do walki, była aż zanadto widoczna dla każdego z żołnierzy wracających autobusami do Aldbourne. Panowało powszechne przekonanie, że za którymś wreszcie razem nie skończy się odwołaniem i nie będą wracać z lotniska do koszar.

Wojska sojusznicze nieprzerwanie postępowały w głąb Francji i Belgii. Dowództwo Armii Powietrznodesantowej nie na żarty obawiało się, że wojna może się skończyć bez jej udziału. A przecież rozporządzała najlepszymi wojskami na całym europejskim teatrze działań wojennych, miała najlepszych dowódców, najwyższe morale, niezrównaną mobilność, znakomite wyposażenie. Jej oficerowie i żołnierze byli sprawdzonymi w boju weteranami, pragnącymi raz jeszcze pokazać, do czego zdolne są wojska powietrznodesantowe na współczesnym polu walki. Armia Powietrznodesantowa stanowiła największy z nie wykorzystanych atutów Eisenhowera. Ike chciał utrzymać tempo ofensywy, chciał mieć możliwość zadania ostatecznego ciosu Wehrmachtowi, zanim Niemcy pozbierają się po sześciotygodniowym odwróceniu przez całą Francję. Kiedy więc Montgomery zaproponował zdobycie mostów na dolnym Renie zmasowanym desantem spadochronowym, w którym cała Armia Powietrznodesantowa mogłaby wziąć udział jako zwarty związek operacyjny, akcję śmiałą, skomplikowaną i niebezpieczną, ale o olbrzymim potencjale strategicznym, Eisenhower zgodził się natychmiast, zyskując sobie olbrzymią wdzięczność dowództwa 1 SAPD.

Operacja nosiła kryptonim Market-Garden. Celem było uutorowanie brytyjskiej 2 Armii, na której czele nacierała Dywizja Pancerna Gwardii, drogi przez Holandię i przez Ren, wzdłuż osi Eindhoven-Son-Veghel-Grave-Nijmegen-Arnhem. Brytyjskie czołgi nacierałyby na północ wzdłuż jednej jedynej wąskiej drogi, którą powinni uchwycić i utrzymać do ich nadejścia amerykańscy, brytyjscy oraz polscy spadochroniarze i szybownicy Armii Powietrznodesantowej.

Celem tego marszu było miasto Arnhem, które mieli zdobyć Brytyjczycy z 1 DPD, wspierani przez Polaków. Amerykańskiej 82 DPD wyznaczono zajęcie i utrzymanie Nijmegen. Zadaniem 101 DPD było wylądować na północ od Eindhoven, zdobyć to miasto, a jednocześnie ruszyć przez Son ku Veghel i Grave, by otworzyć południową bramę korytarza. 2 batalionowi 506 pps przypadło w udziale zdobycie i uchronienie przed zniszczeniem mostu na Kanale Wilhelminy w Son. Następnie miał dołączyć do 3 batalionu, który nacierał na Eindhoven z zadaniem opanowania miasta i utrzymania mostów do nadejścia czołgów Dywizji Pancerniej Gwardii.

Plan był skomplikowany, ale błyskotliwy. Sukces zależał od wykonania poszczególnych zadań zgodnie z drobiazgowo opracowanym planem, od zaskoczenia nieprzyjaciela, waleczności i od łutu szczęścia. Gdyby wszystko udało się, nagrodą byłoby otwarcie brytyjskim wojskom drogi na północnoniemieckie równiny, a przez nie - na Berlin. Fiasko operacji oznaczało roztrwonienie najlepszych rezerw, utratę szansy na otwarcie portu w Antwerpii (gdyż realizacja Market-Garden zmuszała Eisenhowera do wsparcia operacji wojskami przeznaczonymi do opanowania drogi z wybrzeża do Antwerpii), a co za tym idzie kryzys zaopatrzeniowy na całym europejskim teatrze i przedłużenie wojny na 1945 rok.

Ike, decydując się na Market-Garden, musiał też zatrzymać Pattona na wschód od Paryża, by jego kosztem zaopatrzyć w paliwo nacierającą w Holandii 2 Armię Dempseya. Innymi słowy, Market-Garden była jak gra *va banque* w kości - Armia Stanów Zjednoczonych postawiła wszystko, ale mogła jedynie chuchać na kości przed ich rzuceniem.

Czternastego września kompania E znowu pojechała autobusami do Membury. Następnego dnia przekazano jej nowe zadania. Wieści były pocieszające. Mieli wziąć udział w największej operacji powietrznodesantowej wszechczasów - jednoczesnym desancie aż trzech dywizji spadochronowych. Desant zaplanowano w dzień. W odróżnieniu od Normandii powinien być dla Niemców zaskoczeniem. Obrona przeciwlotnicza będzie słaba, o ile w ogóle będzie. Początkowo mieli nie napotkać niemal żadnego oporu ze strony Niemców, których ponoć w ogóle nie było w rejonie zrzutowiska.

Na lotnisku rozgorzała hazardowa gorączka. Jeden z nowicjuszy, szeregowy Cecil Pace, grał w kości jak z nut - ku zazdrości weteranów, ograł ich szybko z ponad tysiąca dolarów.

Pułkownik Sink wygłosił przemowę do żołnierzy pułku:

Zobaczycie tam brytyjskie czołgi, część z nich to Shermany, ale część Cromwelle. Nie pomylcie ich z niemieckimi czołgami.

Gwardziści to dobre wojsko. Najlepsze w brytyjskiej armii. Nie przyjmują tam nikogo, kto nie ma przed nazwiskiem „Sir” i na metr długiego rodowodu. Nie wysmiewajcie się z nich. To naprawdę znakomite wojsko.

Jeszcze jedno. Żebym żadnego z was nie zobaczył biegającego po Holandii w wełnianej czapce. General Taylor spotkał jednego z żołnierzy 506 pps w takiej czapce w Normandii i dostałem za to straszny opeer. Ja nie lubię kłopotów i wy chyba też, więc jak już który musi biegać w tej czapce, to niech na nią założy hełm i go nie zdejmuje, kiedy w pobliżu pojawia się general Taylor. Wiem, że sobie poradzicie i że nie muszę was zagrzewać do walki. Dowiedliście tego, zdobywając w Normandii prezydencką pochwałę. Proszę więc tylko weteranów, żeby mieli baczenie na nowicjuszy, i wierzę, że wszystko będzie w porządku.

Webster zapisał, że słuchanie Sinka zawsze sprawiało mu przyjemność, bo mówił z sensem i miał realistyczny, acz nie pozbawiony humoru stosunek do walki. General Taylor był jego całkowitym przeciwieństwem pod tym względem. Według Webstera: „Miał do walki podejście odpychająco optymistyczne, godne cheerleadera szkolnej drużyny koszykówki, a nie dowódcy, który wysyła ludzi na śmierć. Pułkownik Sink zdawał sobie sprawę z tego, że ludzie nienawidzą być na wojnie, zabijać i ginąć. Taylor aż do końca wojny utrzymywał, że jego chłopcy palą się do tego, żeby zabijać Niemców. Zdecydowanie woleliśmy Sinka”.

Szesnastego września szeregowy Strohl, który od 13 czerwca leżał w szpitalu, dostał od lekarzy jednodniową przepustkę. Autostopem dojechał do Aldbourne, gdzie natknął się na kapitana Sobela zawożącego bagaże do Membury. Od niego dowiedział się, że kompania szykuje się do powrotu na front. Strohl poprosił, żeby go podwiózł, bo chce wrócić do swojego plutonu i wziąć udział w operacji.

Sobel ostrzegł, że jeśli to zrobi, będzie winnym samowolnego oddalenia. Strohl odparł, że jakoś sobie nie wyobraża, żeby go rozstrzelali za to, że uciekł ze szpitala, by wrócić na front z własną kompanią. Sobel zawiózł go na lotnisko.

Cztery dekady później Strohl powiedział: „To była jedna z najgłępszych rzeczy, jakie w życiu zrobiłem. Po trzech miesiącach w szpitalu ledwie byłem w stanie unieść karabin”.

A mimo to nie mógł pozwolić, żeby koledzy skakali bez niego. Dzięki ich pomocy z nadwyżek skompletowano mu całe wyposażenie i obładowany jak wielbłąd wspiął się na pokład C-47.

Popeye Wynn, postrzelony w pośladek przy zdobywaniu baterii w Brecourt 6 czerwca, przeszedł operację i odbywał rehabilitację w szpitalu w Walii. Dowiedział się tam, że jeśli będzie nieobecny w rodzimym pododdziale dłużej niż dziewięćdziesiąt dni, to po rekonwalescencji wyślą go do innego. Wynn nie wyobrażał sobie służyć w innej kompanii i

wymógł na sierżancie, który wypisywał zwolnienia pacjentów, żeby go odesłał do Aldbourne, choćby z wpisem o tym, że wolno mu pełnić tylko lekką służbę. Przybył do kompanii 1 września, wyrzucił do kosza papiery z powyższą adnotacją i wrócił do swojego macierzystego 3 plutonu.

Jego rana była daleka od wyleczenia. Przez całą podróż do Holandii stał w samolocie, nie mogąc usiedzieć na bolącym pośladku. A mimo to był tam, gdzie chciał być, i wracał na front ze swoją kompanią.

„DROGA DO PIEKŁA”**Holandia**

17 września - 1 października 1944

W północno-zachodniej Europie panował piękny dzień kończącego się lata, z czystym niebieskim niebem i bez wiatru. Aliancki desant z powietrza był dla Niemców kompletnym zaskoczeniem; żaden niemiecki samolot nie wystartował, by stawić czoło powietrznej armadzie. Nad Holandią napotkali niewielki ogień artylerii przeciwlotniczej, który nasilił się jakieś pięć minut przed strefą zrzutu, ale mimo to samoloty nie musiały wykonywać uników i w odróżnieniu od Normandii zachowały szyk.

Kompania E wyskoczyła dokładnie w zaplanowanym miejscu. Podobnie jak niemal wszystkie inne kompanie całej dywizji. Lądowanie było miękkie, na świeżo zoranym polu. Większość uczestników tamtego lądowania wspomina je jako najmiejsze, jakie przeżyli. Webster napisał w liście do rodziców:

To było najbardziej płaskie zrzutowisko, jakie widziałem. Zresztą, cała Holandia wyglądała jak jedno wielkie zrzutowisko.

Oficjalna historia działań bojowych 101 DPD stwierdza:

Było to najbardziej udane lądowanie ze wszystkich, ćwiczebnych i bojowych, w historii dywizji.²⁰

Jedynym problemem, jaki zapamiętał Winters, było to, że „trzeba było szybko wynosić się z lądowiska, żeby nie zostać uderzonym przez lądującego skoczka lub szybowiec. To był po prostu deszcz sprzętu: hełmów, karabinów, worków”.

Malarkey zapamiętał, jak uciekał biegiem ze zrzutowiska na miejsce zbiórki (oznaczone dymem ze świecy dymnej). Nagle gdzieś nad głową usłyszał okropny trzask i zgrzyt. Spojrzał i zobaczył dwa szybowce desantowe, które zderzyły się w powietrzu i razem spadły na ziemię, roztrzaskując się. Niemcy w ogóle się nie bronili. Kompania zebrała się i szybkim marszem ruszyła ku wyznaczonemu celowi.

Celem był most na Kanale Wilhelminy w miejscowości Son. Trasa prowadziła z północy na południe, przez Veghel, do Nijmegen i Arnhem. Jezdnia była z kostki, miejscami asfaltowana, i wąska: dwa samochody mijaly się na niej swobodnie, ale dwie ciężarówki

²⁰ Rapport i Northwood, op. cit., s. 269.

mieściły się z trudem. Jak większość dróg w Holandii, zbudowana została na nasypie wynoszącym ją prawie metr nad poziom okolicznych pól - cokolwiek się po niej poruszało, widać było na tle horyzontu jak figurki na jarmarcznej strzelnicy.

Ta właśnie droga stała się kluczem do sukcesu operacji Market-Garden. Zadaniem amerykańskich wojsk powietrznodesantowych było opanować ją wraz z licznymi mostami i otworzyć brytyjskiemu XXX Korpusowi z Dywizją Pancerną Gwardii na czele drogę do Arnhem.

Kompania E wylądowała około trzydziestu kilometrów za linią frontu, piętnaście kilometrów na północ od Eindhoven. Pierwszym celem 506 pps było Son, a dopiero potem Eindhoven, co oznaczało, że ze zrzutowiska podążali najpierw na południe. Pułk wyruszył w drogę z 1 batalionem maszerującym przez pola na zachód od drogi, 2 batalionem idącym samą drogą i 3 batalionem w rezerwie. Drugi batalion prowadziła kompania D, za nią szła kompania E, potem dowództwo batalionu i zamykająca szyk kompania F.

Batalion wkroczył do Son. Wzdłuż trasy przemarszu ustawili się mieszkańcy, podziwiając paradę wyzwolicieli. W odróżnieniu od Normandii, gdzie ludność, jeśli w ogóle przebywała w pasie działań, to kryła się gdzieś po zakamarkach, Holendrzy gremialnie wylęgali na drogi i witali oswobodzicieli. Proboszcz parafii Hussen pod Son rozdawał żołnierzom cygara. Pomarańczowe flagi, zabronione pod okupacją, zwisały ze wszystkich okien. Ludzie rozdawali żołnierzom jabłka i inne owoce. Barmani otwierali beczki i częstowali przechodzących Amerykanów piwem. Oficerowie mieli sporo roboty z utrzymaniem szyku i ciągłości marszu w tych warunkach.

U wylotu Son, jakiś kilometr przed mostem, kolumna batalionu trafiła pod ostrzał z niemieckich osiemdziesiątek-ósemek i broni maszynowej, prowadzących ogień na wprost, wzdłuż drogi. Nikt nie został ranny. Kompania D kryła prawą stronę drogi, kompania E lewą. Batalion nadal posuwał się do przodu, pod osłoną ognia własnych karabinów maszynowych i moździerzy, które w końcu zmusiły obrońców do zamilknięcia. Mimo to Niemcy dopięli swego: opóźnili marsz batalionu na tyle, by dokończyć przygotowania do wysadzenia mostu.

Kiedy wysunięte pododdziały batalionu znalazły się nie więcej niż dwadzieścia pięć metrów od przyczółka, most wyleciał w powietrze, tuż przed ich nosem. Na żołnierzy posypał się deszcz kostki brukowej, szczątków drewnianej i metalowej konstrukcji. Winters wraz z Nixonem padli na ziemię, a wokół nich spadały wielkie kawałki drewnianych belek i całkiem spore kamienie. Winters nie mógł się oprzeć myśli o tym, że nie chciałby w tak głupi sposób zginąć na wojnie.

Pułkownik Sink rozkazał 2 batalionowi związać walką pozycje niemieckie, podczas gdy 1 batalion poszuka jakiejś innej możliwości sforsowania kanału. Kapral Gordon Carson z kompanii E wypatrzył u przeciwnego brzegu kilka na wpół zatopionych łodzi i zdecydował, że czas na natychmiastowe działanie. Rozebrał się do naga, skoczył z rozbiegu do wody i przepłynął kanał, ściągnając łódź, którą kilku żołnierzy 1 plutonu zdołało dopłynąć do połowy kanału, zanim zatoniła. Żołnierze 1 batalionu mieli lepszy pomysł: z pomocą sierżanta Liptona i kilku innych ludzi z kompanii E pozdejmowali wrota z pobliskich stodół i ułożyli je na kikutach filarów przeseł zwałonego mostu. Niemcy im w tym nie przeszkadzali. Po wysadzeniu mostu uznali swoje zadanie za wypełnione i wycofali się. Saperzy przydzieleni do pułku wzmocnili potem tę wątłą kładkę, ale nadal była ona tak słaba, że mogło się po niej przeprawiać naraz zaledwie kilku żołnierzy. Forsowanie kanału w tych warunkach zajęło batalionowi wiele godzin.

Zaczęło się ściemniać. Sink przekazał, że Dywizja Pancerna Gwardii napotkała działa kalibru 88 mm kilka kilometrów przed Eindhoven i że nie ma pojęcia o stanie niemieckiej obrony w samym mieście. Z tego też powodu zarządził dla pułku postój na nocleg.

Dowódcy plutonów wystawili posterunki. Ci, którzy nie mieli służby, spali w stogach siana, drewutniach, każdy wciskał się, gdziekolwiek zdołał. Szeregowi Hoobler i Webster z 2 drużyny 1 plutonu, dowodzonej przez plutonowego Radera, trafili do jakiegoś gospodarstwa. Holenderski rolnik powitał ich serdecznie i poprowadził do stodoły, którą już zajmowała kompania sztabowa pułku. Sztabowcy, których mottem były według frontowców słowa „Wy strzelacie, my łupimy”, przywitali ich nieco mniej serdecznie od gospodarza. Holender dał im sześć słoików z zakonserwowanym mięsem, brzoskwiniami i konfiturą z wiśni. Hoobler wręczył mu w zamian garść papierosów, a Webster dorzucił tabliczkę czekolady. Rolnik chciwie zaciągnął się dymem pierwszego od czterech lat porządnego papierosa, ale czekoladę zostawił dla synka, który jeszcze nigdy jej nie jadł. Webster uznał, że Holendrzy jednak bardziej mu się podobają od Francuzów, a nawet Anglików.

Rano wyruszyli w dalszą drogę na południe, w ślad za 1 batalionem. Na obrzeżach stutysięcznego Eindhoven, które wyrosło nagle z czarnej, uprawnej ziemi, pułkownik Sink rozdzielił swoje wojska. 2 batalion miał atakować na lewym skrzydle, a kompania E na jego lewym skraju. Winters wydał przez radio rozkaz:

- Poruczniku Brewer, proszę zarządzić marsz w szyku ubezpieczonym i wyruszać.

Brewer uszykował swoich żołnierzy zgodnie ze wszystkimi regułami sztuki: szperacze na przodzie, za nimi straż przednia i siły główne ze strażą tylną. Pluton sprawnie nacierał przez ogródki działkowe i świeżo zorane pola, zbliżając się do domów na skraju miasta.

Winters z zadowoleniem lustrował przez lornetkę natarcie 1 plutonu, kiedy zauważył Brewera. Porucznik szedł na czele szpicy, z mapnikiem na biodrze, lornetką na szyi i bez karabinu - z daleka widać było, że to oficer. Co gorsza, Brewer miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Nie tylko Wintersowi rzucił się w oczy. Gordon pomyślał, że Brewer wygląda jak marszałek odbierający paradę zwycięstwa. Stanowił wspaniały, z dala widoczny cel.

Winters zaczął krzyczeć przez radio:

- Brewer, do tyłu! Do tyłu! Padnij i do tyłu!

Radiooperator musiał być za daleko i Brewer nie słyszał rozkazów Wintersa. Szedł dalej, ku swemu przeznaczeniu, które dla nikogo, kto go widział, nie ulegało wątpliwości.

Wreszcie z jednego z domów huknął strzał i Brewer padł „jak drzewo ścięte przez wpraw nego drwala”. Pocisk trafił go w gardło tuż pod szczęką. Gordon i kilku żołnierzy podbiegło do niego, mimo jego własnego rozkazu zakazującego przerw w natarciu i nakazującego pozostawianie rannych sanitariuszom. Jeden z żołnierzy pochylił się nad nim, popatrzył przez chwilę, po czym machnął ręką do innych nadbiegających:

- Dajcie spokój, już po nim. Zaraz umrze.

Poszli dalej, pozostawiając Brewera tam, gdzie upadł.

Od tej chwili napotkali już tylko słaby opór, strzelali do nich głównie snajperzy. 506 pps zajął Eindhoven bez żadnych problemów. Holendrzy, jak wszędzie, wylegli na ulice, witając wyzwolicieli. Wielu z nich bez problemu posługiwało się językiem angielskim.

- Jak miło was widzieć!

- Cieszymy się, że jesteście!

- Tak długo czekaliśmy!

Pojawiły się krzesła wynoszone z domów dla strudzonych żołnierzy, gorąca herbata, świeże mleko, jabłka, gruszki, brzoskwinie. Z okien spływały pomarańczowe chorągwie, na ramionach mężczyzn i kobiet pojawiły się pomarańczowe opaski. Aplauz był ogłuszający, żołnierze musieli do siebie krzyczeć, żeby w ogóle się słyszeć nawzajem.

Webster napisał:

To była najszczersza dziękczynna demonstracja, jaką którykolwiek z nas kiedykolwiek widział, i sprawiła nam wiele przyjemności.

Resztę dnia zajęło im przepychanie się przez rozentuzjasmowany tłum wypełniający ulice miasta do mostów na rzece Dommel, które były ich zasadniczym celem w Eindhoven. Jak się okazało, niepotrzebnie się spieszyli. Brytyjczycy pojawili się dopiero późnym

popołudniem, po czym natychmiast zatrzymali swoje czołgi, rozłożyli się na noc i przystąpili do parzenia popołudniowej herbaty.

Winters wystawił czujki, a reszta dołączyła do tłumu świętujących wyzwolenie. Pozowali do zdjęć, rozdawali autografy (część podpisywała się „Monty”, inni „Eisenhower”), pili koniak, jedli doskonałe potrawy ze świeżych jarzyn, pieczoną cielęcinę, pili sok jabłkowy i mleko. Cywile nie dawali im spokoju, traktując jak gwiazdy filmowe. Winters aż do dziś, po tylu latach, na wspomnienie tego dnia kręci głową: „To było po prostu niewiarygodne!”.

Kompania spędziła noc w pospiesznie wykopanych okopach na obrzeżach Tongelre, wschodniego przedmieścia Eindhoven. Rankiem 19 września Winters dostał rozkaz wymarszu na wschód, do Helmond, by poszerzyć korytarz natarcia 2 Armii w rejonie Eindhoven i nawiązać kontakt bojowy z nieprzyjacielem. Jako wsparcie przydzielono mu szwadron Cromwella z pułku huzarów. Część z żołnierzy jechała na pancerzach czołgów. Webster wspomina: „Kiedy wyruszyliśmy, czołgi warczały, parskały, zgrzytały, piszczwały i klekotały - jak to czołgi”.

Winters dotarł wytężonym marszem do Nuenen, jakieś pięć kilometrów dalej, nie napotykając po drodze żadnego oporu ze strony Niemców. Tłumy rozradowanych Holendrów częstowały ich napojami i jedzeniem. W Nuenen Webster wspomniał, że to rodzinna miejscowość Vincenta van Gogha. Plutonowy Rader zapytał:

- A co to był, k...wa, za jeden?

No i co tu odpowiedzieć?

Za Nuenen piknik się skończył. Niemcy zaskoczeni wydarzeniami dwóch poprzednich dni zdołali się pozbierać i zaczęli kontratakować. Webster pamięta, jak szperacz, szeregowy Jack Matthews, zaczął krzyczeć:

- Szkopskie czołgi! Szkopskie czołgi!

Winters i inni natychmiast zeskoczyli z pancerzy i zanurkowali w rowach po obu stronach drogi. Niecałe czterysta metrów dalej prowadzący kolumnę niemieckich czołgów pojazd „przedarł się przez krzewy, wyskakując na pole jak zły potwór z bajki”. To niemiecka 107 Brygada Pancerna nacierała z Helmond na Nuenen kolumną liczącą pięćdziesiąt czołgów. Winters pamięta, że było ich „więcej, niż kiedykolwiek widzieliśmy w jednym miejscu”. Plutonowy Martin zauważył niemiecki czołg ukryty za płotem, około stu metrów od nich. Widząc nadjeżdżającego Cromwella, Martin podbiegł do niego, wspiął się na pancerz i powiedział, że poniżej i nieco z prawej ma niemiecki czołg. Mimo to Anglik nadal jechał prosto i nawet nie obrócił wieży we wskazanym kierunku. Martin ostrzegł dowódcę Cromwella, że za chwilę wyjadą z za garbu, który ich zasłaniał, i Niemiec ich zauważy.

- Ale ja go nie widzę, stary, a jak go nie widzę, to przecież nie mogę do niego strzelać, nieprawdaż?

- Jedź tak dalej, zasrany palancie, to go zobaczysz, i to szybko!

Martin zeskoczył z Cromwella i szybko się oddalił od kandydatów na samobójców. Chwilę później niemiecki czołg wystrzelił. Z tak bliskiej odległości pocisk przebił pancierz Cromwella i buchnęły płomienie. Załoga zaczęła się gramolić przez włazy. Ostatni wyczołgał się z niego celowniczy, któremu niemiecki pocisk urwał obie nogi. Czołg, teraz zmieniony w piekło płomieni, jechał jednak nadal, o mało nie miażdżąc Bulla Randlemana, który musiał się ratować ucieczką w kierunku niemieckich linii. Po chwili pojawił się drugi brytyjski czołg i także został trafiony. Brytyjczycy stracili w tym miejscu cztery czołgi, zniszczone trafieniami z niemieckich osiemdziesiątekósemek. Dwa ocalałe zawróciły i wycofały się do Nuenen. Kompania E wycofała się wraz z nimi.

Plutonowy Rogers został ranny. Bardzo krwawił. Lipton zażartował:

- Aleś kolorków nabrał, Paul! Aż miło popatrzeć.

Rogers odpowiedział trwającą ponad minutę wielopiętrową wiązką. To było zupełnie nie w jego stylu.

Porucznik Buck Compton został ranny w pośladki. Sanitariusz Eugene Roe pośpieszył mu na pomoc. Malarkey, szeregowy Ed Heffron i dwóch innych podczołgało się do nich. Heffron zapytał, czy potrzebuje pomocy, na co Compton podniósł się na łokciu, jęknął i odpowiedział:

- A zawsze mi mówiła, że ta moja wielka dupa kiedyś mi zaszkodzi!

Spojrzał na pięciu żołnierzy, zebranych wokół niego i rozkazał:

- Wynoście się stąd! Niemcy się mną zajmą.

Był na tyle potężny, a ogień na tyle silny, że przez chwilę naprawdę mieli ochotę zastosować się do jego rozkazu. W końcu jednak sympatia dla porucznika przeważyła i pobiegli do pobliskiej szopy, skąd wrócili z drzwiami. Malarkey, Guarnere i Joe Teye dopchali go na tych drzwiach do drogi, zatrzymali przejeżdżający brytyjski czołg i wrzucili go na pancierz nad silnikiem, twarzą w dół.

Pocisk, który ranił Comptona, trafił w prawy pośladek, przebił go na wylot, przeleciał następnie przez lewy i wyleciał. Lipton, obejrawszy jego ranę, nie mógł się powstrzymać od śmiechu:

- W życiu nie widziałem, żeby facet miał cztery dziury od jednej kulki!

Comptonowi nie było wcale do śmiechu.

- Jeśli kiedyś zleżę żywy z tego cholernego czołgu, to cię zatłukę.

Pokrywy silników wycofujących się czołgów zaczęły się wypełniać żołnierzami. Strohl i Gordon, którzy z boku osłaniali natarcie kompanii, Strohl ze swojego moździerza, a Gordon z karabinu maszynowego musieli przebiec przez otwarte pole, żeby dołączyć do wycofujących się kolegów. Ciężar ich broni i słaba kondycja niedoleczonego Strohla znacznie spowalniały bieg, do którego poganiały ich pociski niemieckich karabinów maszynowych. W pewnej chwili na drodze wyrósł metrowy płot. Strohl wspomina: „Przeskoczyliśmy przez niego w pełnym biegu, jak konie na parkurze. Nigdy nie podejrzewałem, że byłbym w stanie to zrobić bez tych kul gwizdających koło uszu”.

Bezpieczni za płotem, przypadli do ziemi, by nabrać oddechu. „- Ni... Nigdy w ży... życiu nie zdołamy już powtórzyć tego biegu - wydyszałem.

- Powtórzyć? Ja dalej nie wierzę w to, że nam się za pierwszym razem udało!”

Po chwili znowu ruszyli biegiem, widząc nadjeżdżające Cromwelle. Dobiegli i Gordon wspiął się na jeden z nich. Strohl też próbował, ale był tak skonany, że nie miał siły się podciągnąć. Wysunął rękę i w tej chwili zemdłał. Gordon chwycił go i wciągnął nieprzytomnego na pancierz, układając koło rannych.

Randleman, który był szperaczem, został ranny w ramię i zgubił swoją drużynę. Schronił się w stodole, a za nim wbiegł tam Niemiec. Randleman zabił go bagnetem i ukrył ciało pod słomą. Potem sam zagrzebał się w słomie obok i przeczekał do powrotu swoich.

Kiedy żołnierze dotarli do miasteczka, mogli wreszcie poszukać schronienia w budynkach i zacząć odpowiadać ogniem. Kompania miała dość sił, by zatrzymać niemieckie przeciwnatarcie, ale nie starczyło ich już na odrzucenie go. Plutonowy Chuck Grant został ranny, jak wielu innych. Szeregowy Robert van Klinken zginął, zabity serią niemieckiego karabinu maszynowego, kiedy próbował dotrzeć na pierwszą linię ze swoją bazooką. Szeregowego Jamesa Millera, dziewiętnastoletniego rekruta z uzupełnień, zabił granat ręczny, który eksplodował na jego plecach.

Szeregowy Roy Cobb załamał się nerwowo. Webster słyszał, jak plutonowy Martin uspokajał go niczym matka usiłująca ukoić dziecko przerażone koszmarnym snem:

- Już dobrze, Cobb, nie bój się, już tam nie wrócimy. Uspokój się, Cobb, wszystko będzie dobrze.

Po chwili Martin podbiegł do ukrytego za budynkiem Cromwella. Wskazał mu wieżę kościelną, której Niemcy używali jako punktu obserwacyjnego do kierowania ogniem i poprosił, żeby w nią strzelili z działa. Odpowiedź wprawiła go w zdumienie:

- Przepraszamy, stary, ale nie możemy tego zrobić. Mamy rozkaz unikać zniszczeń. To w końcu przyjazny nam kraj, prawda?

Niemcy nie rozluźniali uścisku. Ich celem było przebić się do drogi z Eindhoven do Nijmegen (w 101 DPD znanej jako „droga do piekła”) i przeciąć ją. Na drodze do realizacji tego zadania stało im Nuenen.

Winters postanowił się wycofać pod osłoną ciemności, ale zanim do tego dojdzie, chciał pojmać języka. Zapytał o ochotników do pójścia na patrol. Nie było żadnych.

- Plutonowy Toye.
- Tak jest, panie kapitanie.
- Weźcie dwóch ochotników.

Toye wybrał na ochotników kaprala Jamesa Campbella i jednego z szeregowych. Wyruszyli, po drodze do pobliskiego lasu potykając się o ciała zabitych Amerykanów i Niemców. Jakiś Niemiec strzelił do nich. Toye kazał reszcie patrolu zostać, a sam popełznął przez las, obszedł stanowisko, skąd padł strzał, i podkradł się do niczego nie podejrzewającego Niemca. Toye położył mu na ramieniu bagnet i przytknął palec do ust. Jeniec nie bronił się. Toye, popychając go przed sobą, wyprowadził z lasu do własnych linii.

Kompania wycofała się do Tongelre. Winters zauważył, że Holendrzy, którzy rano witali ich owacjami, teraz w milczeniu, przygnębieni, zamykali okiennice, chowali pomarańczowe flagi w oczekiwaniu na powtórny niemiecką okupację. „My też byliśmy w podłym nastroju, kiedy tak kulejąc, wlekliśmy się z powrotem do miasta”.

Po rozlokowaniu i nakarmieniu swoich ludzi Winters poszedł do dowództwa batalionu. Podpułkownik Strayer wraz z oficerami sztabu jedli właśnie wystawną kolację i byli w wyśmienitych humorach. Na widok Wintersa Strayer z szerokim uśmiechem na ustach zapytał:

- No i jak tam dziś poszło, Winters, opowiadaj.

Winters, wytracony z równowagi dobrym humorem przełożonych, odparł:

- A dziękuję, panie pułkowniku, nie najgorzej. Dostaliśmy W tylek jak trzeba, ale straciłem tylko piętnastu ludzi.

Rozmowy nagle ustały, nastrój popsuł się z miejsca.

Jedno przynajmniej kompanii E udało się tej nocy. Ze swoich okopów w Tongelre mogli obserwować nalot siedemdziesięciu niemieckich samolotów na brytyjską kolumnę zaopatrzeniową w Eindhoven. Ponieważ alianci nie mieli tu dział przeciwlotniczych, Niemcy mogli sobie używać do woli.

Najpierw nadlecieli przewodnicy wyprawy, oznaczając cele żółtymi markerami, a chwilę później pojawiły się siły główne, bombardując Eindhoven z niskiego pułapu w

kolejnych zejściach nad cel. Miasto poniosło poważne straty materialne, zginęło dwustu dwudziestu siedmiu, a rannych było ponad ośmiuset mieszkańców.

Nazajutrz rano Strayer wysłał do Nuenen dwie świeże kompanie, które zastały tam jedynie plutonowego Randlemana. Niemcy obeszlili miasteczko w nocy polami od północnego zachodu, kierując się ku Son. Kompania E zajęła pozycje obronne w pobliżu Eindhoven, przez dwa dni wypoczywając w odwodzie batalionu.

Dwudziestego drugiego września rano Winters dostał rozkaz załadować swoich ludzi na ciężarówkę. 506 pps przemieszczał się do Uden, na „drodze do piekła”, by bronić tej miejscowości przed niemieckim atakiem pancernym z kierunku Helmond, o którym ostrzegało holenderskie podziemie. Kompanii E towarzyszyła kompania sztabowa pułku, dowodzona przez podpułkownika Charlesa Chase'a (zastępcę Sinka) i trzy brytyjskie czołgi. Ciężarówek starczyło jedynie dla liczącej stu żołnierzy kompanii sztabowej i jednego plutonu z kompanii E. Do konwoju dołączyli Winters, Welsh i Nixon.

Ciężarówki przejechały przez Veghel i dotarły do Uden, nie napotykając żadnej przeszkody ze strony Niemców. Winters i Nixon wspięli się na wieżę kościelną, by stamtąd rozejrzeć się po okolicy. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyli, były niemieckie czołgi przecinające szosę pomiędzy Veghel i Uden. Potem Winters zobaczył jeszcze patrol, ruszający szosą w kierunku Uden. Zbiegł schodami z wieży, zebrał wokół siebie pluton, który rozładował się z ciężarówek, i powiedział:

- Panowie, nie ma się czym ekscytować. Sytuacja jest całkiem normalna, zostaliśmy otoczeni.

Po czym zorganizował kontratak, wyszedł na jego czele na spotkanie niemieckiego patrolu i odepchnął go, zadając mu poważne straty. Podpułkownik Chase nakazał mu zorganizować obronę. Pluton wspierany przez kompanię sztabową zablokował wszystkie drogi prowadzące do miasta.

Winters wezwał Liptona i powiedział mu, że ma zebrać kogo się da, niezależnie od przydziału służbowego, i obsadzić stanowiska obronne. Lipton zabrał się do dzieła, a po chwili spotkał dwóch żołnierzy brytyjskich. Złapał jednego za ramię i powiedział:

- Wy dwaj, za mną!

Zaczepony spokojnie obrzucił Liptona wzrokiem od stóp do głów, po czym zapytał:

- Sierzancie, to tak się w waszej armii zwracacie do oficerów?

Lipton przyjrzał mu się bliżej i dopiero teraz zauważył na jego naramienniku koronę - oznakę stopnia majora. Puścił ramię i stanął na baczność.

- Nie, sir. Przepraszam.

Major odszedł, uśmiechając się.

Niemcy nie nadeszli. Gdyby zdawali sobie sprawę, że w Uden było tylko stu trzydziestu ludzi i trzy czołgi, na pewno by zaatakowali, ale z oporu, na jaki natrafił tam za sprawą Wintersa ich patrol, wywnioskowali, że miasta bronią poważne siły. Tak czy inaczej, zmienili kierunek natarcia i zamiast Uden zaatakowali Veghel.

Nixon i Winters ponownie wspięli się na dzwonnice. Z góry mieli doskonały widok na odległe o zaledwie sześć kilometrów Veghel. „To było wspaniałe widowisko. Siedzieliśmy za niemieckimi liniami, śledząc natarcie na Veghel. Widzieliśmy nacierające czołgi, pikujące samoloty, wspierające niemieckie natarcie, potężną wymianę ognia z obu stron”.

Ci z kompanii E, którzy pozostali w Veghel, cieszyli się jakby trochę mniej. Ten dzień zapamiętali jako „jedno wielkie piekło”, najcięższy ostrzał artyleryjski, jakiego do tej pory doznali.

To była desperacka bitwa, największa, jaką stoczył 506 pps. Pułkowa historia tak ją przedstawia:

Przecięcie przez nieprzyjaciela drogi nie oznaczało bynajmniej, że przez nią przeszedł. Szosa była zapchana brytyjskimi konwojami zaopatrzeniowymi z ciężarówkami wszelkich typów i wielkości. Odcinając drogę, Niemcy położyli na niej ogień, niszcząc uwięzione w pułapce pojazdy. Cała droga była teraz zatkana samochodami, które nagle nie miały dokąd i po co jechać. Dla ludzi broniących się w Nijmegen i Arnhem odcięcie tej drogi było jak przecięcie tętnicy. Od tej chwili na północ przestało docierać życiodajne zaopatrzenie - żywność, amunicja, lekarstwa.²¹

Webster był wtedy w Veghel. Kiedy zaczęły spadać niemieckie pociski, schronił się wraz z sześcioma innymi żołnierzami kompanii E i paroma cywilami w jakiejś piwnicy. „Panowała tam bardzo przygnębiająca atmosfera. Cywile cały czas płakali, krzyczeli, modlili się, śpiewali pieśni kościelne”.

Szeregowy Don Hoobler z 3 drużyny 1 plutonu schował się w bramie wraz z resztą swoich kolegów. Zauważył, że jeden z nich, szeregowy Farris Rice, nerwowo się rozgląda i postanowił z niego zażartować. W odpowiedniej chwili zagwizdał, naśladując spadający pocisk artyleryjski. Rice padł plackiem na ziemię, budząc salwy śmiechu Hooblera i kolegów.

- Ha, ha, ha, bracie, aleś się dał nabrać!

- Jasna cholera, Hoobler, szlag by cię trafił! Nie robi się takich rzeczy kolegom!

²¹ Rapport i Northwood, op. cit., s. 359.

I właśnie w tej chwili tuż obok z gwizdem i potężnym hukiem spadł prawdziwy pocisk. Kiedy Hoobler podniósł z ziemi głowę, już się nie śmiał.

W czasie ostrzału Sink zajechał do miasta z rykiem silnika jeepa, który gdzieś na wertepach zostawił tłumik, wyskoczył z niego i zaczął wykrzykiwać rozkazy na lewo i prawo. Kompanie D, E i F miały zająć stanowiska wokół ostrzeliwanego miasta, okopać się i przygotować do odparcia niemieckiego natarcia z rozkazem otwierania ognia do wszystkiego, co się poruszy na przedpolu.

Webster i inni wygramolili się z piwnicy i ruszyli do sadu. Webster i szeregowy Don Wiseman w pośpiechu wykopali sobie okop o szerokości nieco ponad pół metra, długości dwóch metrów i głębokości mniej więcej metr dwadzieścia. Gdyby tylko mogli, wkopaliby się głębiej, ale już na tej głębokości ich okop zaczął podchodzić wodą.

Bezradne siedzenie pod silnym ostrzałem artyleryjskim to prawdziwe piekło, najgorsze, co może czekać człowieka na polu walki. Pociski nadlatywały seriami po trzy granaty w każdej. Webster pisał w liście do domu:

Wiseman i ja siedzieliśmy skuleni w przeciwległych rogach naszego okopu i klęliśmy, na czym świat stoi. Za każdym razem, kiedy usłyszeliśmy świst nadlatującego pocisku, zamykaliśmy oczy i jeszcze mocniej zwijaliśmy się w kłębek, wtykając głowę między nogi. Po każdej serii wybuchów patrzyliśmy na siebie i uśmiechaliśmy się do siebie nawzajem. Męczyły mnie nudności. Powtarzałem, że mogę oddać stopę, byle tylko wydostać się z tego cholernego miejsca, ale jakoś nikt nie był chętny do transakcji. Czuliśmy smród spalonych materiałów wybuchowych, towarzyszący raz po raz przetaczającym się nad naszym okopem grzmotom. W pewnej chwili na kolana Wisemana spadł duży odłamek gorącej stali, nie czyniąc mu żadnej krzywdy.

I jeszcze trzy wybuchy. A potem następne trzy. I następne, i jeszcze raz. Nic dziwnego, że ludzie tego nie wytrzymują i załamują się psychicznie. Artyleria potrafi w człowieku zabić radość życia.

Po jakimś czasie ogień osłabł na tyle, że ktoś z zaopatrzenia zaczął im roznosić brytyjskie racje żywnościowe. Webster, skulony w okopie, krzyknął do Hooblera, żeby rzucił mu puszkę. Hooblerowi wrócił humor, siedział na brzegu swojego okopu, żartując i śmiejąc się z czterema czy pięcioma żołnierzami, z którymi urządził sobie piknik.

- Chodź i sam sobie weź! Osiemdziesiątki-ósemki zrobiły sobie wolne!

Ledwie wypowiedział te słowa, nadleciał ze świstem następny pocisk i całe towarzystwo piknikowiczów skoczyło do okopu Hooblera, wgniatając mu twarz w błoto.

Resztę dnia i całą noc spędzili w swoich okopach. Padała mżawka, oziębilo się bardzo. Siedzieli skurczeni, opierając głowy na kolanach, otuleni przemoczonymi płaszcami i starali się mimo wszystko zasnąć.

* * *

Tymczasem w Uden Winters i Nixon stracili swoje miejsca w łoży. Niemiecki snajper wypatrzył ich na dzwonnicy. Jego pocisk trafił w dzwon, tuż nad ich głowami. Metaliczny dźwięk i zaskoczenie sprawiły, że obaj oficerowie natychmiast się stamtąd zabrali. Winters powiedział: „Nie sądzę, żeby nasze stopy dotknęły po drodze więcej niż dwóch, czy może trzech stopni prowadzących na dół schodów”.

Po tym wydarzeniu rozłożył swoje stanowisko dowodzenia w sklepie przy skrzyżowaniu na południu miasta. Właściciele, mieszkająca nad sklepem rodzina van Oer, przywitała ich grzecznie, po czym zeszła do piwnicy. Ludzie Wintersa odsunęli meble i dywany pod ścianę, wnieśli swoje sprzęty: karabiny maszynowe, amunicję, butelki z benzyną, materiały wybuchowe, szykując się do obrony przed spodziewanym niemieckim atakiem. Kiedy wjadą niemieckie czołgi, miał zamiar bronić się na sposób rosyjski - zrzucając na nie ładunki wybuchowe i koktajle Mołotowa z okien na pierwszym piętrze.

Po zajęciu pozycji Winters poszedł w drugi koniec miasta, północno-zachodni. Po lewej stronie drogi prowadzącej do Uden stała rezydencja, a naprzeciwko karczma. Był to główny kierunek spodziewanego natarcia, Winters kazał więc Welshowi zabarykadować drogę, dając do wsparcia dwa z trzech brytyjskich czołgów. Zalecił mu przy tym rozłożyć się na noc w rezydencji.

O 22.00, po kontroli pozostałych barykad, wrócił, by skontrolować wykonanie swoich poleceń i zastanowić się nad dalszym wzmocnieniem pozycji. Brytyjski czołg stał tam, gdzie powinien, ale w pobliżu nie było żywej duszy. I nie tylko czołgistów - przy barykadzie nie było też żadnego z jego żołnierzy. Zbulwersowany Winters pobiegł do rezydencji, szukając Welsha. Załomotał do drzwi, które po chwili otworzyła pokojówka. Nie mówiła ani słowa po angielsku, on ani słowa po holendersku, ale w końcu jakoś do niej dotarło, że nocny gość szuka żołnierzy. Poprowadziła go długim korytarzem i otworzyła drzwi do olbrzymiego, luksusowo urządzonego salonu. „Widok, jaki tam ujrzałem, sprawił, że zaniemówiłem na chwilę. Na podłodze, na wielkiej skórze niedźwiedzia, leżącej przed płonącym kominkiem, na wpół siedzieli, na wpół leżeli piękna holenderska dziewczyna i brytyjski porucznik. Pani domu karmiła swego gościa pieczoną szynką z jajkami sadzonymi.

Uśmiechnęła się do mnie, a porucznik odwrócił głowę i zapytał: »Cześć, stary. Słuchaj, czy mój czołg jeszcze tam stoi?«,,.

Wintersa krew zalała. Na skutek jego przemowy, która nie pozostawiała wątpliwości co do opinii o wojskowych umiejętnościach alianta, porucznik dźwignął się ze skóry, uklonił czarującej pani domu i bardzo niechętnie wyszedł na dwór.

Teraz pozostał jeszcze drugi problem: „A gdzie też, do cholery, podziewa się Harry?”. Zajrzał do gospody po drugiej stronie ulicy i zagadka się wyjaśniła.

Welsh i wszyscy jego ludzie spali smacznie w śpiworach rozłożonych na szynkwasiu oraz zestawionych stolikach. Po latach Winters wspomina to, co miało miejsce potem: „Harry i ja wyjaśniliśmy sobie tę sytuację. A kiedy już byłem pewien, że od tej pory barykada będzie broniona jak należy, że mogę iść spokojnie spać bez obaw o to, że Niemcy wjadą do miasta niezauważeni, wróciłem do siebie”.

W Veghel tymczasem Niemcy atakowali przez całą noc i poranek. Brytyjskie czołgi i lotnictwo zdołały ich w końcu odpędzić. 506 pps ruszył w dalszą drogę, po południu 24 września wkraczając do Uden. Reszta kompanii E uznała, że skoro cały pułk w Veghel był tak zaciekle atakowany, to mały oddziałek w Uden musiał zostać zniesiony całkowicie i wybity do nogi. Obserwujący ciężkie walki w Veghel żołnierze z Uden tak samo spisali na straty resztę kompanii. Kiedy obie grupy spotkały się i przekonały, że poniesione straty nijak się mają do żywionych obaw, zapanowała wielka radość.

Kompania przygotowała się do nocowania w Uden. 1 pluton z rozbawieniem i zdziwieniem patrzył, jak reszta kopie na noc głębokie na półtora metra okopy. Oni wydłubali sobie może po piętnaście centymetrów i uważali, że to w zupełności wystarcza. Oficerowie rozłożyli się na kwaterach w domach. Porucznik Peacock z 1 plutonu przyszedł do okopu Webstera i kazał mu iść za sobą do swojej kwatery, na piętrze nad sklepem monopolowym przy rynku. „»Weźcie szczotkę i pozamiatajcie tu«, rozkazał na miejscu Peacock. »Tak jest, panie poruczniku«, odparłem i pomyślałem sobie: co to za palant? Skąd się tacy biorą? Doszedłem do wniosku, że wolę być włóczęgą w cywilu niż szeregowym w wojsku”.

Niemcy utracili Uden i Veghel, ale nie zrezygnowali z dalszych prób zablokowania „drogi do piekła”. Wieczorem 24 września zaatakowali ją od zachodu, na południe od Veghel i ponownie udało im się uchwycić przyczółek po drugiej stronie. Raz jeszcze droga została przerwana.

Połączenie musiało być wznowione. Strategiczny cel operacji Market-Garden był już poza zasięgiem aliantów (Niemcy odzyskali most w Arnhem 20 września, odbierając go batalionowi pułkownika Frosta z brytyjskiej 1 DPD; cała dywizja została zepchnięta do obrony, a 22 września natarcie Dywizji Pancerniej Gwardii zostało zatrzymane około pięciu kilometrów na południe od Arnhem), ale utrzymanie drogi było nadal bardzo ważne. Od jej

przejezdności zależało życie tysięcy alianckich żołnierzy. Na północ od Veghel były wszak jeszcze wojska 101 Dywizji Powietrznodesantowej w Uden, 82 Dywizji Powietrznodesantowej w Nijmegen, brytyjskiej 1 Dywizji Powietrznodesantowej na północ od dolnego Renu, Dywizji Pancерnej Gwardii i 43 Dywizji Piechoty Wessex, polska Samodzielna Brygada Strzelców Spadochronowych w Driel, brytyjskie pułki: 4 pułk piechoty Dorset i 2 pułk kawalerii Household Cavalry - wszystkie rozrzucone pomiędzy Nijmegen a Arnhem. Gdyby 101DPD nie udało się odepchnąć Niemców i przywrócić ruchu na „drodze do piekła”, to, co było do tej pory sporą porażką, mogło się przerodzić w wojskową katastrofę.

Generał Taylor rozkazał pułkownikowi Sinkowi zlikwidować niemiecki przyczółek na południe od Veghel. 25 września o 0.30 Sink rozkazał swoim batalionom przygotować się do wymarszu. Pułk wyruszył na południe do Veghel o 4.45 w ulewnym deszczu. 1 batalion maszerował na prawym skrzydle, 3 batalion na lewym, 2 batalion pozostawał w rezerwie. Około 7.00 zmęczeni, niewyspani żołnierze przeszli przez Veghel. O 8.30 1 i 3 batalion zaczęły atakować przyczółek. Początkowo natarcie przebiegało pomyślnie, ale wkrótce Niemcy skierowali na atakujących Amerykanów gęsty ogień artylerii i moździerzy. Zaczęły strzelać także okopane wzdłuż drogi najnowsze niemieckie czołgi ciężkie, Królewskie Tygrysy, uzbrojone w długolufowe działa kalibru 88 mm. Przeciwnikiem 506 pps był ich stary znajomy spod Ste-Marie-du-Mont i Carentan, niemiecki 6 pułk strzelców spadochronowych pułkownika von der Heydtego. Nasilenie ognia na wąskim odcinku natarcia stało się nie do zniesienia i około południa bataliony zaległy pod ogniem, okopując się.

Sink nakazał podpułkownikowi Strayerowi, by jego 2 batalion wykonał w tym czasie uderzenie oskrzydłujące niemieckie pozycje od lewej. Do tego natarcia przydzielił mu wsparcie brytyjskich Shermanów. Osłonę manewru przed obserwacją ze stanowisk niemieckich miał stanowić rosnący wzdłuż lewej (wschodniej) krawędzi szosy sosnowy młodniak. Natarcie batalionu prowadziła - jak zwykle - kompania E.

Pierwszy raz w Holandii, tuż po skoku, atakowali na południe, ku Son, Eindhoven. Drugi raz nacierali na wschód, na Nuenen. Trzeci atak, na Veghel i Uden, był skierowany na północ. Teraz zaś nacierali na zachód, zataczając niemal pełne koło na róży wiatrów kompasu. Tak właśnie walczą jednostki w okrążeniu. Do takiej walki szkoli się wojska powietrznodesantowe.

Nixon wraz z Wintersem wyruszyli na rozpoznanie. Znaleźli leśny dukt, na tyle szeroki i stabilny, że mogli nim przejechać czołgi. Mieli więc drogę w miarę skrytego

podejścia, ale problem polegał na tym, że las nie dochodził do szosy - ostatnie trzysta pięćdziesiąt metrów prowadziło przez całkowicie płaskie, pozbawione jakiegokolwiek osłony pole.

Winters wydał rozkazy do marszu: szperacze naprzód, reszta w dwie kolumny, rozdzielić się, nie zbijać w gromady. Dotarli do połowy pola, kiedy otworzyły ogień niemieckie karabiny maszynowe i wszyscy padli na ziemię.

Kiedy już było wiadomo, skąd strzela kaem, nadszedł czas na Malarkeya, Guarnere'a i ich sześćdziesięcimilimetrowy moździerz. Guarnere prowadził obserwację i wydawał rozkazy, Malarkey wprowadzał nastawy i obsługiwał moździerz. Był jedynym człowiekiem na całym polu, który nie leżał płasko na brzuchu. Na szczęście już pierwszy granat trafił prosto w stanowisko niemieckiego cekaemu i zlikwidował największe zagrożenie.

Winters wykrzyczał rozkazy. Chciał, by wykorzystując przerwę w ostrzale, jego własne karabiny maszynowe rozpoczęły ostrzeliwanie niemieckiej linii obrony. Po chwili z tyłu rozległo się uspokajające gdakanie Browningów, kryjących ogniem natarcie kompanii. Winters dostrzegł w tej chwili Królewskiego Tygrysa okopanego po wieżę za nasypem drogi i kazał kaemistom przenieść ogień na czołg.

Odwracając głowę w prawo, zobaczył Nixona, z szerokim uśmiechem na twarzy oglądającego swój hełm. Po chwili zrozumiał też przyczynę jego wesołości: pocisk z niemieckiego karabinu maszynowego przebił hełm, przeleciał tuż przy czole i wyszedł bokiem, pod takim kątem, że tylko zostawił na skórze smugę brudu, nawet jej nie zarysowując.

Niemiecki ogień nasilał się i był już zbyt gęsty, by kontynuować natarcie. Winters postanowił wycofać się do lasku. Karabiny maszynowe miały pozostać na stanowiskach, osłaniając odskok żołnierzy, którzy z kolei ogniem ze swoich karabinów mieli osłaniać odwrót kaemistów.

Kiedy Lipton dotarł do Wintersa na skraju lasu, kapitan powiedział mu: „Oni [kaemiści] mogą potrzebować więcej amunicji. Podrzucić im trochę”.

Lipton podbiegł do najbliższego Shermana (przez cały czas natarcia czołgi kryły się w zaciszu sosnowego lasu, ku niezadowoleniu żołnierzy) i zapytał, czy mogą mu dać trochę zataśmowanej amunicji do karabinów maszynowych - Sherman miał dwa Browningi kalibru 7,62 mm, strzelające tymi samymi nabojami i z tych samych taśm, co karabiny maszynowe piechoty. Dostał od Brytyjczyków cztery skrzynki. Dwie dał Talbertowi, sam wziął pozostałe dwie i wyruszyli do stanowisk własnych karabinów maszynowych, prowadzących ze środka pola ciągły ogień. Lipton dobiegł do stanowiska, nie zwalniając ani na krok zrzucił skrzynki i

pognał z powrotem do lasu. „Ci Niemcy to jednak straszne patałachy. Obu nam się udało wrócić”.

Kompania E zajęła pozycje na skraju lasu i stamtąd zaczęła ostrzeliwać stanowiska niemieckich spadochroniarzy, by kaemiści mogli się wycofać. W samą porę - właśnie z gwizdem nadlatywały pierwsze granaty z niemieckich moździerzy wstrzeliwujących się do amerykańskich karabinów maszynowych.

Winters pobiegł do brytyjskich czołgów, wspiął się na pierwszy z nich, by „porozmawiać w cztery oczy z jego dowódcą”. Wskazał mu stanowisko Królewskiego Tygrysa, okopanego za nasypem drogi.

- Jeśli wyjedziecie za nasyp na skraju lasu, to będziecie dla niego schowani i możecie go ustrzelić.

Dowódca postanowił spróbować i kiedy Winters zeskoczył z pancerza, wraz z drugim śmiałkiem zawrócili w miejscu i ruszyli na przełaj przez lasek, taranując po drodze młode drzewa. Gdy dotarł na brzeg lasu, skręcił w lewo, by stanowić mniejszy cel dla Tygrysa. I właśnie w tej chwili nadleciał pierwszy pocisk z długolufowej armaty niemieckiego czołgu. Pocisk kalibru 88 mm trafił w lufę działa Shermana i odbijając się rykoszetem, uderzył w kadłub. Najwyraźniej niemiecki celowniczy nie widział Shermana, lecz jedynie falę padających drzew, i wycelował na ślepo tam, gdzie czołg powinien w tej chwili być.

Dowódca Shermana natychmiast kazał wrzucić bieg wsteczny, ale było już za późno. Zanim zdążył się wycofać, nadleciał drugi pocisk, tym razem znacznie lepiej wycelowany. Trafił prosto w wieżę, urywając ręce dowódcy. Ranny czołgista próbował się wydostać z wieży, ale eksplodowała amunicja i podmuch zabił go, wyrzucając ciało daleko od płonącego grobu jego czterech podwładnych. Czołg palił się jeszcze przez całe popołudnie i większą część nocy, co chwila eksplodowały w nim następne pociski.

A Tygrys obrócił wieżę i z równą łatwością jednym strzałem zapalił drugiego Shermana.

Kompania E spędziła resztę dnia i noc, moknąc na deszczu i zarzucając niemiecki przyczółek granatami moździerzowymi. Kompania sztabowa pułku wzmocniła ich, dostarczając kilka moździerzy kalibru 81 mm. Do ostrzału przyłączyła się artyleria z Veghel, ale musiała bardzo uważać - przyczółek był w tym czasie atakowany od południa przez pododdziały 502 pps.

Dla kompanii była to długa, ciężka i niebezpieczna noc, ale kapitan Nixon, oficer rozpoznania batalionu, bawił się dobrze. Znalazł gdzieś butelkę sznapsa i wysączył ją samotnie, do ostatniej kropli. Miał doskonałe alibi - jego przestrelony hełm, świadectwo

tego, jak blisko otarł się o śmierć, leżał tuż koło niego. Sznapsa nie było dość, żeby go zwalić z nóg, więc tylko zalał się na wesoło i całą noc śmiał się i śpiewał, aż wreszcie nad ranem zasnął.

Wczesnym rankiem 26 września Niemcy wycofali się. Przeprowadzone o świcie natarcie 506 pułku uderzyło w pustkę. Raz jeszcze amerykańscy spadochroniarze zdołali w ciężkiej walce opanować teren, zaciekle broniony przez Niemców.

Tego popołudnia, we wciąż padającym deszczu, pułk wrócił do Uden. Kompania E dotarła tam po zmroku, wycieńczona. Następnego popołudnia po raz pierwszy od opuszczenia Anglii, dotarła poczta. To wydarzenie wzmocniło ogólne wrażenie, że przynajmniej dla nich udział w operacji Market-Garden w Holandii dobiegł końca.

* * *

Już następnego dnia przekonali się, że wrażenie to było błędne. Ze strategicznego punktu widzenia mieli jednak rację. Sojusznicza kampania w Holandii dobiegła końca - i zakończyła się porażką.

Dla kompanii E, jak dla całej 101 DPD, dla 82 DPD, dla brytyjskich jednostek pancernych i piechoty, operacja Market-Garden była wielkim rozczarowaniem. Dla brytyjskich i polskich jednostek desantowych stała się zaś militarną katastrofą. 1 DPD wylądowała nad dolnym Renem 17 września w sile dziesięciu tysięcy pięciu ludzi. 26 września zdołało się ewakuować zaledwie dwa tysiące stu sześćdziesięciu trzech żołnierzy. Niemal osiem tysięcy zostało zabitych, rannych lub wziętych do niewoli. Nie tylko nie zdołano zdobyć nic, co by uzasadniało tę hekatombę, ale teraz alianci zostali z wywalczonym w ciężkich bojach korytarzem prowadzącym donikąd. Korytarz ten, jak wąski palec, wbijał się w niemieckie pozycje, okrążony z trzech stron przez przeważające siły przeciwnika; jego utrzymanie zależało wyłącznie od zaopatrzenia napływającego „drogą do piekła”.

Dziesięć dni wcześniej aliantów unosiła euforia. Wyobrażano sobie, że tą jedną śmiałą operacją można zakończyć wojnę. Przecież Niemcy wciąż się wycofywali, od początków sierpnia do połowy września oddali całą Francję. Oceniano, że ten szybki, paniczny niemal odwrót pozbawił Niemców zdolności do stawienia zorganizowanego oporu. Mieli już nie posiadać czołgów, amunicji, ich morale miało być niskie. Oceny te okazały się jedną wielką porażką alianckiego wywiadu.

W rzeczywistości bowiem Niemcy byli o krok od realizacji czegoś, co nazwali Cudem na Zachodzie - jednostki piechoty, broni pancernej, lotnictwa odzyskiwały zdolność operacyjną, dostawały nową broń i uzupełnienia, zajmowały pozycje obronne i szykowały się do wznowienia walk. Eisenhower wyciągnął wnioski z tej lekcji. W marcu 1945 roku pisał do

swojej żony: Od tej pory nigdy nie liczę Niemców, póki nie mam ich pod kluczem albo pod ziemią!²²

Market-Garden była ryzykowną operacją, która się nie powiodła. Podjęto ją kosztem dwóch innych ofensyw, które odłożono na półkę, bo Eisenhower skierował zaopatrzenie na potrzeby operacji Market-Garden. Pierwsza to natarcie kanadyjskiej 1 Armii, mające doprowadzić do opanowania Antwerpii - największego portu w Europie, bez którego zdolności przeładunkowych nie było mowy o jakichkolwiek operacjach na wschód od Renu. W rezultacie decyzji Eisenhowera Antwerpia została wprawdzie zdobyta, ale w rękach niemieckich pozostały oba brzegi drogi wodnej prowadzącej do portu z Morza Północnego. Bez nich port był całkowicie bezużyteczny do końca 1944 roku, pozbawiając dostatecznego zaopatrzenia całe Sojusznicze Siły Ekspedycyjne.

Druga zablokowana ofensywa to projektowane przez Pattona uderzenie siłami jego 3 Armii na południe od Ardenów. Patton był przekonany, że gdyby to on, a nie Monty dostał benzynę i amunicję, która została zmarnowana w Holandii, sforsowałby jeszcze tamtej jesieni Ren i to on miałby przed sobą otwartą drogę do Berlina. Można w to wątpić, ale nigdy już nie dowiemy się, czy Patton miał rację, skoro nie mógł spróbować.

Eisenhower do śmierci pozostał przekonany, że Market-Garden stanowiła ryzyko, na które trzeba było pójść. W moich wywiadach z nim, które prowadziłem w latach 1964-1969, niezliczoną ilość razy omawialiśmy tę operację.

Za każdym razem dochodził do tej samej konkluzji: najważniejszą zasadą pościgu za nieprzyjacielem jest nieprzerwany nacisk, ciągle popędzanie go i utrzymywanie kontaktu bojowego, szukanie ciągle nowych okazji do wyparcia go dalej. Droga do północnych Niemiec była najkrótsza, prowadziła przez teren najbardziej dogodny do działań zmasowanych związków pancernych (oczywiście, po sforsowaniu Renu). Eisenhower uważał, że biorąc pod uwagę, jak niewiele brakowało, żeby Market-Garden się powiodła, byłoby z jego strony wręcz zbrodniczą głupotą, gdyby nie spróbował.

Póki nie zająłem się studiowaniem historii kompanii E, generalnie podzielałem jego zdanie. Teraz nie jestem już tak pewien. Kompania E była bez wątpienia jedną z najlepszych w całych Sojuszniczych Siłach Ekspedycyjnych. Odniosła spektakularne zwycięstwa w Normandii, w chwili lądowania w Holandii jej morale, wyszkolenie i zaopatrzenie były na najwyższym możliwym poziomie. Miała w swoim składzie optymalną mieszankę weteranów i nowicjuszy, starych wiarusów i żółtodziobów. Dowodzili nią wykwalifikowani i

²² Letters to Mamie, pod red. Johna S.D. Eisenhowera, Garden City, 1978, s. 244.

doświadczeni oficerowie, którzy w dodatku wykazywali wielką osobistą odwagę i waleczność. Jej podoficerowie pochodzili z szeregów samej kompanii i także stanowili elitę swego korpusu.

A mimo to, jak ujął Winters w rozmowie z podpułkownikiem Strayerem w nocy po ataku na Nuenen, kompania „dostała w dupę jak trzeba”. Nie zdołała zdobyć mostu w Son, nie przebiła się do Helmond przez Nuenen, po raz pierwszy zmuszona została do odwrotu, nie przebiła się przez Veghen do Uden, zawiodła w ataku na niemieckie pozycje za drogą na południe od Veghel.

Przyczyn tych niepowodzeń było oczywiście wiele. Pierwszą i chyba najważniejszą było to, że za każdym razem siły przeciwnika znacznie przewyższały zarówno liczebnością, jak i siłą ognia kompanię E. Taki już los wojsk powietrznodesantowych: z natury rzeczy są to nieliczne jednostki elitarniej lekkiej piechoty uderzeniowej, które nie mają ani tylu żołnierzy, ani tyle ciężkiej broni, by mierzyć się z klasyczną piechotą, a co dopiero z niemiecką bronią pancerną w normalnych działaniach bojowych. Po drugie, po przeciwnej stronie także walczyli spadochroniarze. Nie zdołali pobić Amerykanów, ale walczyli co najmniej tak samo zaciekle i umiejętnie, szachując ich natarcia. Po trzecie, koordynacja działań pomiędzy amerykańskimi spadochroniarzami a brytyjskimi czołgistami pozostawiała wiele do życzenia. Ani kompania E, ani Dywizja Pancerna Gwardii nigdy nie ćwiczyła żadnych elementów współdziałania. Ten brak bardzo zaszkodził kompanii w Nuenen, potem w Uden i w końcu na południe od Veghel. Z amerykańskimi czołgami kompania współpracowała bez problemów, o czym świadczyły jej dokonania w Brecourt i Carentan w Normandii. W Holandii współpracy z brytyjskimi czołgami właściwie nie było.

Strategicznym problemem operacji Market-Garden było założenie, że ofensywa miała ruszyć zbyt wąskim korytarzem. Taki korytarz jest bardzo podatny na ataki z obu stron. Niemcy dostrzegli szansę i starali się wykorzystać to niedociągnięcie, przypuszczając wściekle kontrataki na całej długości korytarza, próbując go przerwać w wielu miejscach naraz.

Z perspektywy lat pomysł utrzymania ofensywy kilku dywizji trzech narodowości za pomocą zaopatrzenia dostarczanego jedną wąską szosą otoczoną ze wszystkich stron przez Niemców wydaje się naiwny; wynikał z przesadnej wiary we własne siły liderów koalicji antyhitlerowskiej. Cenę tej pewności siebie zapłaciło około stu pięćdziesięciu kompanii, w tym kompania E, która straciła dwudziestu dwóch ludzi - 17 września skakało stu pięćdziesięciu czterech żołnierzy, podoficerów i oficerów. Dziesięć dni później zostało ich stu trzydziestu dwóch.

„WYSPA”**Holandia**

2 października - 25 listopada 1944

Kompania E, jak wszystkie pododdziały amerykańskich dywizji powietrznodesantowych, była szkolona jako lekka piechota szturmowa. W całym procesie szkolenia nacisk kładziono głównie na szybkie przemarsze, zaskakujące manewry i radzenie sobie własnymi środkami ogniowymi, bez wsparcia z zewnątrz. W ten sposób walczyła w Normandii i przez pierwszych dziesięć dni kampanii holenderskiej. Od początku października 1944 roku zaznajamiała się jednak z rodzajem działań bojowych, który miał ponoć odejść do lamusa wraz z zakończeniem poprzedniej wojny światowej - statyczną obroną w warunkach wojny pozycyjnej.

Teren, którego przyszło im bronić, stanowił pięciokilometrowej szerokości „wyspę” oblaną wodami dolnego Renu od północy i Waal od południa. Wschodni skraj obrony 101 DPD wyznaczały miasta Arnhem nad Renem i Nijmegen nad Waal. Zachodni - miasteczka Opheusden nad Renem i Dodewaard nad Waal. Niemcy zajmowali tereny po drugiej stronie Renu i na zachód od linii Opheusden-Dodewaard.

„Wyspa” była terenem rolniczym, przeraźliwie płaskim, depresją leżącą poniżej poziomu morza. Wody przyływu powstrzymywały przed jej zalaniem wały wysokości siedmiu metrów, o koronie na tyle szerokiej, że dałoby się tamtędy poprowadzić dwupasmową szosę. Zbocza wałów były czasem strome, a czasem na tyle łagodne, że miały u podstawy nawet sześćdziesiąt do stu metrów. „Wyspę” przecinały niezliczone kanały melioracyjne. Po drugiej stronie Renu wznosiły się wysokie wzgórza, zapewniające Niemcom wyraźną przewagę w kierowaniu ogniem artylerii. Ich artyleria wydawała się mieć niewyczerpane zapasy amunicji - przemysłowe serce Niemiec, Zagłębie Ruhry, oddalone było zaledwie o pięćdziesiąt kilometrów. Niemcy mieli jej w każdym razie dość, by prowadzić ogień nawet całą baterią do pojedynczych żołnierzy, którzy pojawiali się na odkrytym terenie. Z tego powodu w dzień zamierał jakikolwiek ruch na „wyspie”, wszyscy siedzieli w swoich okopach, posterunkach obserwacyjnych, nielicznych ocalałych domach i stodołach, i nie wystawiali stamtąd nosa bez potrzeby. Wszelki ruch odbywał się w nocy. Pogoda była jak

zwykle późną jesienią w północno-zachodniej Europie fatalna: zimno, mokro, deszcz bez przerwy. Doskonale miejsce do kręcenia filmu o I wojnie światowej.

Wsparcia ogniowego udzielały stacjonujące także na „wyspie” całe pułki brytyjskiej artylerii polowej. Bitwy tam były głównie pojedynkami artyleryjskimi, w których piechota odgrywała rolę wysuniętych obserwatorów artyleryjskich i broniła baterii przed atakami niemieckiej piechoty. Patrole wyruszały na przedpole każdej nocy, by rozpoznawać stanowiska niemieckie, odpędzać patrole przeciwnika i utrzymywać z nim kontakt bojowy. Większość jednak kompanii E i innych broniących „wyspy” po prostu siedziała po całych dniach na czterech literach i starała się przeżyć, jak ich ojcowie w 1918 roku. Bezradność wobec szalejącego ognia artylerii podsyciała jeszcze powszechne obezwładniające poczucie frustracji.

Jednej z nielicznych rozrywek dostarczały walki powietrzne. Tyle że to nie był rok 1918, więc zamiast dwupłatowców walczyły pierwsze myśliwce odrzutowe. Poza tym śledzili smugi kondensacyjne V-2, pierwszych w świecie balistycznych pocisków strategicznych średniego zasięgu, pozostawiane wysoko na niebie przez rakiety lecące na Londyn. Jedna rzecz nie zmieniła się od poprzedniej wojny. Podobnie jak żołnierze na Froncie Zachodnim w latach 1914 - 1917, walczyli bez wsparcia broni pancernej. Czołg na kompletnie płaskiej „wyspie” był zbyt rzucającym się w oczy celem.

Również jedzenie bardziej pasowało do filmu o I wojnie światowej niż to, którego oczekiwali w nowoczesnej armii walczącej w roku 1944. Kompania otrzymywała teraz brytyjskie racje, w powszechnej ocenie jeszcze gorsze od ich własnych. Brytyjskie racje według kaprała Gordona „podtrzymywały funkcje życiowe organizmu, ale nie morale”. Nienawiścią darzono zwłaszcza mielonkę wołową i ciężkostrawny Yorkshire pudding, nie bardziej popularna była zupa z wołowych ogonów, którą wspominają jako „tłuszcz z pływającymi kośćmi”. W odróżnieniu od dziesięcioosobowych racji amerykańskich, które dzielono i każdy jadł swoje danie, brytyjskie racje dla czternastu żołnierzy lepiej było wrzucić do wspólnego kotła i dodać wszelkie znalezione jarzyny. Powstawał rodzaj bullonu, który przy odrobinie dobrej woli dawał się zjeść. Całe szczęście, że chociaż świeżych owoców, głównie jabłek i gruszek, było pod dostatkiem. Mieli też dość świeżego mleka - wystarczyło pójść do błakających się wokół krów, którym mleko rozdymało od dawna nie dojone wymiona. Bardzo brakowało im jednak kawy, której nie pili Anglicy. Wszyscy za to mieli po dziurki w nosie brytyjskiej herbaty, mało kto ją lubił.

Najgorsze były jednak brytyjskie papierosy. Kapral Rob Bain wspomina, że „składały się z bardzo niewielkiej ilości tytoniu i nieprzyzwoitej ilości siana”.

Tylko jedno im się podobało w brytyjskich racjach żywnościowych - wydzielana codziennie porcja rumu. Poszukiwane były także racje niemieckie. Suchary były wprawdzie jak z betonu, ale smaczne, pożywne konserwy mięsne, a zwłaszcza tuby z serem topionym cieszyły się wielkim powodzeniem.

Atmosferę z I wojny światowej tworzyła też ewakuacja ludności cywilnej z obu stron linii frontu. Obie armie przebywały właściwie w samotności - a przecież Holandia należy do najgęściej zaludnionych krajów świata! Ewakuacja stwarzała żołnierzom nieograniczone możliwości rabowania pozostawionego dobytku - z których szeroko korzystano. Webster zapisał:

Cywile żyją w nieprawdziwym przeświadczeniu, że tylko Niemcy albo Rosjanie są zdolni przewracać do góry dnem szuflady, szafy i kurniki w poszukiwaniu kosztowności, wszystkiego, co tylko można zabrać. Nie znam amerykańskiego żołnierza, który powstrzymałby się przed skorzystaniem z takiej możliwości.

Na wielką skalę trwało „wyzwalanie” zegarków, zegarów ściennych, biżuterii, mebli od małych krzeseł po wielkie czterodrzwiowe szafy. Wszystko, co dawało się zjeść (a zwłaszcza wypić, jeśli jeszcze do tego zawierało alkohol), znikало natychmiast - ale to i tak były resztki, bo wcześniej „gospodarzyli” tu Anglicy.

Walki na „wyspie” przypominały wojnę pozycyjną na froncie I wojny światowej w jeszcze jednym aspekcie. Kompania E spędziła tam niemal dwa miesiące, codziennie prowadząc walkę. W czasie tych niespełna sześćdziesięciu dni wysłała ponad sto patroli, odparła liczne ataki, zużyła niewyobrażalną ilość amunicji. Zanim w końcu została złuzowana, poniosła wiele strat. A mimo to, kiedy zdawała swoje pozycje piechocie, linia frontu nie posunęła się nawet o pół metra do przodu.

Kompania dotarła na „wyspę” 2 października. Przyjechali ciężarówkami przez wspaniały (wciąż stojący) most w Nijmegen, zdobyty przez 82 DPD 20 września o ósmej wieczorem. Po przekroczeniu Waal ciężarówki zawiozły ich jeszcze jakieś piętnaście kilometrów dalej, mijając po drodze dziesiątki zakamuflowanych stanowisk brytyjskiej artylerii, do miejscowości Zetten.

Przybyli tam wieczorem, luzując brytyjską 43 DP Wessex. 506 pps przejął odcinek linii frontu długości niemal dziesięciu kilometrów, obsadzany dotąd przez całą dywizję. 2 batalion zajmował stanowiska na prawym (wschodnim) skrzydle, kompania E zajmowała ich prawy skraj, sąsiadując z 501 pps.

Stu trzydziestu żołnierzy kompanii broniło teraz niemal trzykilometrowego odcinka frontu.

Brytyjczycy czekali na nich w Zetten, by zaprowadzić ich na przejmowane stanowiska. Webster zapytał jednego z nich, jak tu jest.

- O, stary, spokój, cisza, jak na cholernych wakacjach.

Webster rozejrzał się i uznał, że jak na wakacyjny kurort wokół widać zbyt wiele i zbyt świeżych lejów po pociskach kalibrów 88 i 105 mm. Po trzech godzinach marszu patrol dotarł na miejsce przeznaczenia, do grupy domów kryjących się w cieniu wału przeciwpowodziowego. Za wałem był dolny Ren, oddalony o kilometr podmokłych łąk. Łąki zaścielało mnóstwo zabitych zwierząt, czerniały tam spalone ruiny domów, wały się puste taśmy po nabojach i skrzynki po taśmach do karabinów maszynowych - jak to na ziemi niczyjej.

Winters obsadził przydzielony odcinek linii frontu 2 i 3 plutonem, które rozmieścił wzdłuż południowej strony wału, 1 pluton zachowując w rezerwie. Nie miał dość ludzi, żeby porządnie jej bronić, więc rozstawił czujki w punktach, gdzie jak mu się wydawało, nieprzyjaciel może próbować się przedrzeć. Łączność z czujkami utrzymywał przez radio, telefon polowy i patrole. Trzyosobowe patrole posyłał nad rzekę, by obserwowały ruchy nieprzyjaciela i służyły jako wysunięte punkty kierowania ogniem artylerii. Swoje stanowisko dowodzenia rozłożył w Randwijk.

Piątego października o 3.30 Winters posłał patrol pod dowództwem plutonowego Arta Youmana z rozkazem zajęcia budynku koło wiatraka na południowej stronie wału. Z Youmanem na patrol poszli szeregowi James Alley, Joe Liebgott, Joe Lesniewski i Rod Strohl. Budynek, do którego się udawali, stał przy drodze prowadzącej z północy na południe do promu, który pływał kiedyś na północny brzeg rzeki. Tyły budynku wychodziły na małą wioskę Nijburg leżącą na południe od nich.

Kiedy doszli do drogi, Youman kazał Lesniewskiemu wyjść na wał i rozejrzeć się po okolicy. Gdy Lesniewski dotarł do szczytu i wyjrzał, jak go uczono, ostrożnie, jak najmniej wystawiając się ponad poziom korony wału, ujrzał niespodziewanie zarys niemieckiego karabinu maszynowego wycelowanego w wylot drogi na wał, którym za chwilę mieli wyjść. Za karabinem zobaczył ledwie widocznego w ciemności Niemca, który właśnie szykował do rzutu trzonkowy granat ręczny.

W tej samej chwili reszta patrolu usłyszała niemieckie głosy z północnej strony wału. Liebgott, który szedł z tyłu, zawołał:

- To ty, Youman?

Niemiec rzucił granat równocześnie z tym, jak Lesniewski ostrzegł resztę patrolu. Inni Niemcy zaczęli także rzucać granaty na koronę wału i za nią. Lesniewski został raniony w

szyję odłamkiem. Alleya powalił grad trzydziestu dwóch odłamków, które trafiły go w lewy bok, twarz, szyję i ramię. Strohl i Liebgott odnieśli mniejsze rany, odłamki zniszczyły też radiostację, którą niósł Strohl.

Wpakowali się prosto na kompanię Waffen-SS. Esesmani przepłynęli wcześniej rzekę promem i próbowali przedrzeć się na południe, by zaatakować z boku i odciągnąć uwagę Amerykanów od głównego uderzenia, które 363 Dywizja Grenadierów Ludowych miała przypuścić o świcie na lewe skrzydło 506 pps w rejonie Opheusden. Na amerykańskich tyłach operowała tej nocy jeszcze jedna kompania SS, o której patrol na razie nie miał pojęcia. W dywizji na razie jeszcze nie wiadomo, że potyczki na pozycjach 1 i 2 batalionu 506 pps są czymś więcej niż tylko lokalnym kontratakiem - celem Niemców było oczyszczenie z aliantów całej „wyspy”.

Po starciu z pierwszą kompanią SS patrol z kompanii E wycofał się. Do punktu dowodzenia Wintersa mieli kilometr. Strohl przez całą drogę powtarzał:

- Chodź, Alley, zabieramy się stąd.

Kulejący Alley odpowiadał:

- Idę, idę.

O 4.20 Strohl dotarł do Wintersa i zameldował o tym, że Niemcy przedarli się przez linię frontu²³. Winters natychmiast zorganizował patrol w sile półtorej drużyny z rezerwowego 1 plutonu. Przydzielił do niego sierżanta Boyle'a z sekcji dowodzenia kompanii z radiostacją.

Plutonowy Talbert pobiegł do stodoły, w której spali jego ludzie.

- Wstawać! Wszyscy wstawać! Szkopy się przebili! Jasna cholera, ruszcie te dupy nareszcie!

Webster i inni otrząsnęli się ze snu, złapali za broń i ruszyli za Talbertem.

Winters i jego piętnastoosobowy patrol posuwali się naprzód szybkim marszem wzdłuż południowej strony wału. Zbliżając się do pozycji esesmanów, zobaczył serie pocisków smugowych lecących na południe. Ten kierunek strzelania nie miał żadnego sensu,

²³ Kiedy przeprowadzałem wywiad na temat tej nocy ze Strohlem i Wintersem w roku 1990, wywiązała się następująca rozmowa:

AMBROSE: Tak więc Rod wrócił i stwierdził: „Niemcy atakują”. Proszę opowiedzieć, co było dalej.

WINTERS: Tylko najpierw muszę powiedzieć, że kiedy przyszedł, widać było, że stoczyli walkę. Ciężko dyszał i wystarczyło na niego spojrzeć, żeby zrozumieć, że facet przed chwilą zaglądał śmierci w oczy. To nie ulegało kwestii.

STROHL: Daj spokój, aż tak źle nie wyglądałem!

WINTERS: Nie ma się czego wstydić. Dopiero co ktoś do ciebie strzelał.

STROHL: On mówi, że się zesrałem w portki. Nigdy w życiu!

Winters wiedział, że tam nic nie ma. Domyślił się, że Niemcy się pogubili, zrobili się nerwowi. Postanowił zatrzymać patrol i samemu rozeznaczyć się w sytuacji.

Pozostawił patrol pod dowództwem sierżanta Boyle'a i wdrapał się na szczyt wału. Po jego północnej stronie zobaczył biegnący wzdłuż korony metrowy rów, który mógł zapewnić mu osłonę, kiedy zbliżał się do drogi. Wrócił do patrolu, kazał dwóm ludziom zostać i osłaniać tyły, a resztę poprowadził na górę, przez koronę i do rowu po jego północnej stronie. Rowem ostrożnie podczołgali się do miejsca, gdzie przez wał przebiegała droga do promu.

Dwieście metrów od drogi Winters zatrzymał patrol raz jeszcze i znów podążył dalej sam rozpoznać sytuację. Zbliżając się do drogi, biegnącej jak wszystkie holenderskie drogi po metrowym nasypie, słyszał dochodzące z jej drugiej strony głosy. Z prawej, na tle nocnego nieba, widać było rozstawione na wale stanowisko niemieckiego karabinu maszynowego i żołnierzy wokół niego. Niemcy byli ubrani w drugie płaszcze i nosili charakterystyczne głębokie hełmy. Zupełnie jak w *Na Zachodzie bez zmian*, pomyślał.

Odczołgał się z powrotem do patrolu, opisał sytuację i wydał rozkazy.

- Musimy się tam doczołgać, zachowując absolutną ciszę. Trzymajcie się nisko i śpieszcie, bo noc nie będzie nas długo kryła.

Patrol dotarł na odległość czterdziestu metrów od stanowiska karabinu maszynowego na wale. Winters, cofając się wzdłuż patrolu, szeptem przydzielał każdemu z żołnierzy cel - któregoś ze stojących Niemców lub obsługi karabinu maszynowego. Christensonowi z jego Browningiem kazał skoncentrować ogień przede wszystkim na niemieckim MG 42. Za stanowiskiem Christensona plutonowy Muck i starszy szeregowy Alex Penkala zajęli się rozstawieniem swojego lekkiego moździerza.

Winters odszedł krok na bok i spokojnym, niskim głosem, jak na strzelnicy, rozkazał:

- Cel, ognia!

Dwanaście karabinów zagrzmiało niemal w jednej salwie. Wszystkich siedmiu stojących Niemców upadło na ziemię. Christenson zaczął strzelać ze swojego karabinu maszynowego. Smugi jego pocisków wskazały mu, że strzela za wysoko, ale zanim zdążył opuścić lufę, Muck i Penkala trafili granatem moździerzowym prosto w stanowisko MG 42.

Sierżant Boyle wspomina: „Byłem zaskoczony i zdumiony, jak silny i celny ogień prowadziliśmy do nieprzyjaciela”.

Później powiedział Liptonowi, że to było najlepsze strzelanie, jakie kiedykolwiek widział.

Po ostrzelaniu Niemców nawale patrol sam dostał się pod ogień karabinowy z drugiej strony drogi. Winters wycofał ich mniej więcej dwieście metrów do miejsca, gdzie rów

krzyżował się z drugim biegnącym pod kątem prostym do tamtego przy wale do rzeki. Poza zasięgiem niemieckiego ognia, przez radiostację Boyle'a połączył się z Welshem.

- Wyślij do mnie resztę 1 plutonu i tę sekcję elkaemów z kompanii sztabowej, którą nam przydzielili!

Kiedy czekali na posiłki, plutonowy William Dukeman wstał, wydając rozkazy, by jego żołnierze rozdzielili się (Gordon Carson, wspominając to wydarzenie, powiedział, że jeszcze minuta i wszyscy zebraliby się w kupę). Trzej Niemcy kryjący się w pobliskim przepuście pod drogą wystrzelili granat nasadkowy. Dukeman urwał w pół słowa, westchnął i osunął się na dno rowu. Był jedynym trafionym. Odłamek uderzył go tuż pod łopatką i przebił serce, zabijając na miejscu. Reszta żołnierzy ostrzelała przepust, zabijając wszystkich trzech Niemców.

Czekając na resztę plutonu, Winters odszedł na bok, żeby w samotności przemyśleć dalsze posunięcia. Musiał wziąć pod uwagę trzy fakty. Po pierwsze, Niemcy obsadzali stanowiska za utwardzonym nasypem drogowym, a jego ludzie kulili się w płytkim rowie bez bezpiecznej drogi odwrotu. Po drugie, nieprzyjaciel był w dogodnej pozycji, żeby ich w każdej chwili oskrzydlić z prawej i zmusić do wyjścia na otwarte pole, pod ogień. Po trzecie, na południe od nich nie było nic, co mogłoby powstrzymać Niemców przed natarciem wzdłuż drogi prowadzącej prosto do dowództwa batalionu w Hemmen. W tych warunkach nie miał wyjścia: musiał atakować. A tymczasem słońce wzeszło i był już dzień.

Wrócił do patrolu i zastał tam przybyłe posiłki. Miał teraz trzydziestu ludzi. Wezwał do siebie poruczników Reese'a i Peacocka oraz plutonowego Talberta i wydał rozkazy.

- Talbert, weźmiecie trzecią drużynę na prawe skrzydło. Peacock, idziesz z pierwszą drużyną na lewym skrzydle. Ja biorę drugą i nacieram w środku. Reese, ustawisz swoje karabiny maszynowe pomiędzy plutonami. Masz nam dać porządną osłonę ogniową do chwili wyjścia na drogę. Potem przeniesiesz ogień w głąb obrony, zwiniesz się i podążysz za nami. Talbert, Peacock, niech wasi ludzie założą bagnet na broń.

Dowódcy rozeszli się do swoich drużyn. Winters zwołał 2 drużynę i przedstawił im swój plan. Don Hoobler stał tuż przed nim. Kiedy Winters powiedział „Bagnet na broń!”, widział, jak grdyka Hooblera zafalowała. Adrenalina zaczęła płynąć do żył. „We mnie też zagrała”, wspomina Winters. Na jego sygnał karabiny maszynowe zaczęły ostrzelać niemieckich stanowisk i wszystkie trzy kolumny ruszyły skulone, by jak najszybciej pokonać dwieście metrów płaskiej podmokłej łąki, dzielące ich od drogi.

Ruszając do natarcia, Winters nie miał zielonego pojęcia, ilu Niemców kryje się po drugiej stronie nasypu, który był wprawdzie niski, ale zupełnie zasłaniał mu widok na

podejścia do promu. Niemcy nie mieli pojęcia o jego natarciu - po nagłej utracie czujki z karabinem maszynowym na wale z jakiegoś niepojętego powodu zaniedbali wystawienia nowego posterunku na tej drodze.

Prowadzący natarcie Winters pierwszy dobiegł do drogi. Wskoczył na szosę i zobaczył kilka metrów przed sobą niemieckiego wartownika skulonego za nasypem i kryjącego się przed ogniem karabinów maszynowych Reese'a. Z prawej za nim Winters zauważył zbitą masę około stu niemieckich żołnierzy leżących u zbiegu wału i drogi. Oni też kulili się pod ogniem i jeszcze go nie widzieli. Wszyscy nosili długie płaszcze i mieli na plecach tornistry z przytroczonymi kocami. Wszyscy leżeli głowami w stronę wału, tyłem do niego. Dzieliło ich od niego może piętnaście metrów.

Winters zawrócił na pięcie i skoczył na zachodnią stronę nasypu, po czym wyciągnął zawleczkę z granatu i rzucił go na drugą stronę, w kierunku wartownika. Wartownik w tej samej chwili rzucił za nim swoim granatem trzonkowym. W chwili, w której granat wyleciał z ręki, Winters wiedział już, że popełnił duży błąd - nie odwinął taśmy do uszczelniania skrzynek z amunicją, którą zabezpieczył łyżkę na wypadek, gdyby zawleczka puściła w czasie przenoszenia.

Zanim niemiecki granat zdążył wybuchnąć, Winters wyskoczył z powrotem na drogę. Wartownik był skulony jeszcze bardziej niż poprzednio, oczekując na wybuch granatu Wintersa. Stojąc zaledwie metr od niego, kapitan zastrzelił go ze swojego karabinu i pobiegnął dalej.

Odgłos strzału tuż za plecami zaalarmował całą leżącą za wałem niemiecką kompanię. Esesmani zaczęli się unosić na łokciach i spoglądać w jego stronę. Winters podrzucił do ramienia karabin i zaczął strzelać w zwartą masę szarozielonych płaszczy. „Ich ruchy wydawały mi się wręcz nierealne. Tak wolno się podnosili, tak wolno obracali głowy, zupełnie jak na filmie w zwolnionym tempie. Potem zaczęli podnosić swoje karabiny, żeby strzelić do mnie, znowu jak w zwolnionym tempie. Ja tymczasem opróżniłem pierwszy [ośmio-nabojowy] ładownik, wbiłem do magazynka następny i dalej strzelałem do nich z biodra, nawet nie celując. Każdy strzał musiał w coś trafić w takiej masie”.

Niemcy zaczęli padać. Inni zaczęli podnosić karabiny, żeby zabić samotnego śmiałka, jeszcze inni uciekać, ale wszystko szło im bardzo nieporadnie.

Byli kompletnie zaskoczeni, długie płaszcze i sztywne plecaki krępowały ich ruchy. Winters zeskoczył z drogi raz jeszcze, rozglądając się, gdzie jest reszta kompanii. Z prawej strony widział kucającego i popędzającego swoich ludzi Talberta. Zostało im może dziesięć metrów do drogi. Kolumna Wintersa wciąż brnęła przez środek pola. Lewej kolumnie

Peacocka brakowało do nasypu jeszcze dwudziestu metrów, jego żołnierze przedzierali się przez jakieś ciągnące się środkiem łąki druty.

Winters wyciągnął z kieszonki pasa amunicyjnego trzeci ładownik, wepchnął go do magazynka i ponownie zaczął tym razem zza nasypu strzelać do wycofujących się Niemców. Esesmani pozbiali się z ziemi i uciekali gdzie pieprz rośnie, kiedy reszta Amerykanów wyskoczyła na drogę. Winters po raz czwarty załadował karabin i wyskoczył za nimi, wydając rozkaz:

- Ognia!

To było jak polowanie na kaczki. Niemcy uciekali ile sił w nogach, nikt nie strzelał do żołnierzy kompanii E, którzy prali do nich niemiłosiernie. Webster wspomina: „Usłyszałem Hooblera:

- Mam jednego! Mam jednego! Cholera, ale dostał!

Hoobler był w swoim żywiole, „mógłby tak stać i strzelać do wiejących Niemców cały dzień”.

Grupka esesmanów została odcięta, bezskutecznie usiłując się ukryć w wysokiej trawie. Christenson ich tam wypatrzył. Webster opowiada:

„- Umie który po niemiecku?

Wyszedłem i zawołałem:

- Heraus! Schnell! Hdnde hoch! Schnell! Schnell!

Jeden za drugim jedenastu Niemców wylazło z trawy. Krępi, krzepcy, wszyscy jak jeden mąż twierdzili, że są Polakami”.

Webster wrócił na drogę, żeby jeszcze postrzelać do pozostałych. Tym razem sytuacja uległa jednak pewnej zmianie - Niemcy zaczęli odpowiadać ogniem. „W pewnej chwili poczułem coś, jak uderzenie pałką baseballową w prawą nogę. Obróciło mnie, straciłem równowagę i upadłem. Jedno, co mi do głowy przyszło, to myśl »Dostałem!«. Co za beznadziejnie nie oddający sytuacji i niewymyślny patetyczny schemat!”

Jak wszyscy pisarze, nawet relacjonując jedynie przebieg wydarzenia, Webster musiał go odpowiednio skomponować.

Rana była czysta. Pocisk przebił łydkę, nie naruszając kości. Coś takiego żołnierze nazywali „raną za milion dolarów”. Eugene Roe, sanitariusz, zastał Webstera leżącego z szerokim uśmiechem. Opatrzył mu ranę i kazał wycofać się na tyły. Webster oddał granaty Christensonowi, a bandolierę z amunicją Martinowi: „Martin był nadal bardzo spokojny i zachowywał się, jakby to wszystko wokół w ogóle go nie dotyczyło. Najspokojniejszy, najbardziej nieustraszony człowiek, jakiego widziałem”.

Zachowując pistolet i karabin, którym się podpierał, ruszył kulejąc do tyłu.

Chwilę później Winters zobaczył następną grupę Niemców pokonujących około stu metrów dalej koronę wału od południa. To była ta druga kompania, o której obecności do tej pory nie wiedzieli. Esesmani zza wału przyłączyli się do swoich kolegów uciekających na wschód spod ognia 1 plutonu. Teraz stanowili jeszcze lepszy cel, a w dodatku do grupy strzelającej z nasypu dołączył już porucznik Reese ze swoimi karabinami maszynowymi. Szeregowy Cobb ustawił swojego Browninga i rozpoczął ostrzał uciekającej grupy z oddali.

Tymczasem Niemcy dopadli lasu, którego skrajem biegła kolejna droga prowadząca do rzeki. Wybiegli na nią i ruszyli w lewo, ku brzegowi rzeki.

Winters wezwał przez radio artylerię. Brytyjskie działa zaczęły ostrzeliwać rejon przeprawy, odcinając Niemców od rzeki. Winters chciał początkowo ruszyć drogą ku rzece, by zepchnąć ich pod ogień artylerii, ale atak trzydziestu pięciu żołnierzy na co najmniej stu pięćdziesięciu zdesperowanych esesmanów nie miał zbyt wielkich szans powodzenia. Znowu użył radiostacji, prosząc dowództwo batalionu o wsparcie. Dowództwo obiecało mu pluton z kompanii F.

Czekając na obiecane posiłki, Winters policzył swoich ludzi. Stracił jednego zabitego (Dukemana) i czterech rannych. Miał jedenastu jeńców. Liebgott lekko ranny w ramię mógł chodzić, więc Winters kazał mu odprowadzić jeńców do sztabu i potem iść na punkt opatrunkowy.

Problem polegał na tym, że Liebgott, dzielny, waleczny żołnierz, z racji żydowskiego pochodzenia nienawidził Niemców i już w Normandii „brutalnie traktował jeńców”. Winters nie mógł też nie słyszeć jego odpowiedzi na rozkaz odprowadzenia jeńców:

- Dziękuję, panie kapitanie. Zrobię z nimi porządek.

Winters nie mógł na to pozwolić, a jednocześnie nie mógł wysłać nikogo, żeby przypilnował Liebgotta.

- Słuchajcie, Liebgott. Jest jedenastu jeńców i jedenastu ma dotrzeć do sztabu, zrozumiano?

Liebgott zaczął pyskować, na co Winters podrzucił do ramienia Garanda, wycelował w Liebgotta, odbezpieczył i rozkazał:

- Liebgott, wyrzuć wszystkie ładowniki z pasa i rozładuj broń!

Liebgott, klnąc pod nosem, wykonał rozkaz.

- Teraz możesz załadować karabin, ale tylko jednym nabojem. Kropniesz któregoś, to reszta cię załatwi.

Winters zauważył, że jeden z podoficerów w napięciu śledził całą scenę. Musiał chyba trochę znać angielski, bo od kiedy usłyszał odpowiedź Liebgotta na rozkaz Wintersa, zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę. Teraz po rozbrojeniu Liebgotta wyraźnie się uspokoił.

Liebgott doprowadził wszystkich jedenastu do sztabu. Winters sprawdził to po południu w rozmowie z Nixonem.

Prom, którego Niemcy użyli do przerzucenia swoich żołnierzy na drugą stronę i którego potrzebowali teraz, by ich ewakuować, przybijał do przystani na drugim końcu drogi; obsadzał ją teraz 1 pluton. Winters chciał się tam dostać przed Niemcami, którzy musieli do niego dotrzeć na przełaj, przez pola. Kiedy przybył pluton z kompanii F, przynosząc amunicję, Winters rozdał ją i wydał rozkazy. Podzielił swoich sześćdziesięciu ludzi na dwie grupy. Jedna miała dawać osłonę ogniową drugiej, która po przebyciu około stu metrów miała przejąć z kolei jej zadania; pierwsza grupa nacierała następne sto metrów, i tak dalej. Miał zamiar w ten sposób przebyć dzielące od przystani sześćset metrów.

Dwieście metrów od rzeki żołnierze Wintersa dotarli do jakichś szop, a wtedy otworzyła ogień niemiecka artyleria. Jednocześnie zdesperowani esesmani przypuścili z tyłu atak na prawe skrzydło, nacierając w sile około siedemdziesięciu pięciu ludzi. Winters zrozumiał, że zapędził się za daleko. Nadszedł czas na taktyczny odwrót, póki nie było za późno. Amerykanie w taki sam sposób, w jaki tu dotarli, odskoczyli do wału.

W chwili gdy ostatni żołnierz zniknął za wałem, Niemcy skierowali bardzo silny ogień artyleryjski na skrzyżowanie drogi z wałem. Baterie były doskonale wstrzelane. Spadochroniarze rozbiegli się na boki, ale wielu odniosło rany.

Winters wezwał przez radio sanitariuszy i ambulanse do ewakuacji rannych. Lekarz batalionu, doktor Neavles, chciał wiedzieć, ilu rannych ma się spodziewać.

- Dwie drużyny baseballowe.

Doktor nie znał się jednak na sporcie i zażądał podania liczby. Winters nie był w nastroju do wyjaśniania mu tak podstawowych rzeczy.

- Doktorze, zwolnij pan mi częstotliwość, żebym mógł wywołać artylerię, bo zaraz będzie już trzy drużyny rannych!

Chwilę potem Boyle usłyszał „świst nadlatujących pocisków moździerzowych. Brzmiały tak, jakby miały spaść gdzieś blisko. Po ranach odniesionych w Normandii, nie byłem tak sprawny jak przedtem, ale rzuciłem się na wał i zacząłem wspinać do góry. Pocisk spadł za mną, po lewej i dostałem odłamkiem, który rozorał mi nogę od kolana po biodro. I to wszystko. Potworne uderzenie, ale w ogóle nie czułem bólu”.

Ostatnie, co zapamiętał, zanim stracił przytomność, to Winters, pochylający się nad nim, klepiący w ramię i zapewniający, że dobrze się nim zajmą.

Guarnere i Christenson odcięli nogawkę jego spodni, zdezynfekowali zasypką odkażającą potworną ranę - odłamek wyrwał mu większość mięśni z lewego uda, po czym zabandażowali jak umieli. Potem przyszli sanitariusze, podali mu morfinę i zanieśli na noszach do sanitarki.

Webster próbował samotnie przebyć obszar dzielący pole bitwy na wale od punktu opatrunkowego. Czołgał się ścieżką wydeptaną przez krowy, niżej niż kiedykolwiek w czasie szkolenia. Pełznął przez błoto i krowie placki, rozerwał sobie spodnie, przeciskając się pod drutem kolczastym. Na drugim końcu pola zaryzykował i wstał, kulejąc przez ostatnie sto metrów od zbawczych krzaków. Niemiecki obserwator zauważył go i ściągnął na niego ogień osiemdziesiątek-ósemek. Pierwsza salwa była za krótka, choć dobra w kierunku - pociski wybuchły po obu stronach i dokładnie za nim. Przerazenie uskrzydliło Webstera, który zdążył dobiec do linii krzaków, zanim niemieccy kanonierzy przedłużyli ogień.

Za krzakami napotkał żołnierzy z kompanii F, którzy pomogli mu dotrzeć do skrzyżowania dróg. Z przejeżdżającego jeepa wyskoczyło dwóch sanitariuszy wracających z wału. Położyli go na masce i "uspokoili, że teraz już pójdzie szybko, bo na noszach z tyłu wiozą właśnie ciężko rannego sierżanta Boyle'a, więc jadą prosto do punktu opatrunkowego".

Łączne straty obu plutonów z kompanii E i F wskutek tej jednej, za to gwałtownej nawały artyleryjskiej wyniosły osiemnastu rannych. Nikt nie zginął.

Winters rozstawił czujki wokół skrzyżowania drogi z wałem. Jakiś czas potem przybył tam kapitan Nixon i zapytał, jak im poszło. Winters po raz pierwszy od rana usiadł spokojnie i poczuł nagle straszne pragnienie.

- Daj wody.

Biorąc z rąk Nixona manierkę, zauważył, że ręce drżą mu tak, że o mało nie rozlewa wody. Był wyczerpany napięciem. Podobnie Christenson. Nie mógł zrozumieć, skąd to zmęczenie, dopóki nie zaczął liczyć. Wyszło na to, że tego dnia wystrzelał pięćdziesiąt siedem ładunków do swojego karabinu M1 - czterysta pięćdziesiąt sześć naboju. W nocy, pełniąc służbę na posterunku, pilnując się, żeby nie zasnąć i dochodząc wreszcie do siebie po napięciu całego dnia, trzydzieści sześć razy chodził sikać.

Samotny pluton z kompanii E, liczący trzydziestu pięciu ludzi, zdołał w tej walce wyprzeć dwie niemieckie kompanie w sile ponad trzystu żołnierzy, i to nie byle jakich - esesmanów. Amerykanie stracili (wliczając straty kompanii F) jednego zabitego i dwudziestu

dwóch rannych. Straty niemieckie wyniosły niemal pięćdziesięciu zabitych, około stu rannych i jedenastu wziętych do niewoli.

Z perspektywy lat Winters ocenia, że miał tego dnia „bardzo, bardzo dużo szczęścia”. Niemiecką porażkę składa przede wszystkim na karb złego dowodzenia. Pierwszemu plutonowi uszło na sucho siedzenie w rowie na otwartym polu, w oczekiwaniu na posiłki. Niemcy za nasypem zbili się w bezładną gromadę zamiast rozproszyć, co było w opinii Wintersa niewybaczalnym błędem. Pozwolili dwóm karabinom maszynowym przygwoździć się do ziemi, podczas gdy trzy kolumny plutonu nacierały z bagnetem na broni przez płaskie odsłonięte pole w kierunku nasypu. Zbyt wolno zareagowali na ostrzał samotnego napastnika wystawionego na ich ogień na nasypie drogi. A kiedy zaczęła się strzelanina, zaniedbali w ogóle osłaniania ogniem swoich manewrów.

W odróżnieniu od nich kompania E działała tego dnia jak zaczarowana. Winters twierdzi, że 5 października to było „szczytowe osiągnięcie bojowe kompanii E w czasie całej wojny. Zachowali się nawet lepiej niż w D-Day, wykazując wyższość we wszystkich aspektach taktyki piechoty: w patrolowaniu, obronie, natarciu przy wsparciu broni towarzyszących, zorganizowanym odwrocie. A przede wszystkim wykazali znacznie lepsze wyszkolenie strzeleckie we wszystkich kategoriach: strzelaniu z karabinów, karabinów maszynowych i moździerzy”.

Można jeszcze pociągnąć ten wątek. Choćby kondycja fizyczna żołnierzy. W tę walkę włożyli znacznie więcej wysiłku niż bokser wagi ciężkiej w piętnastorundowy pojedynek o mistrzostwo świata. Więcej niż zawodnik futbolu amerykańskiego w rozegranie trzech kolejnych godzinnych meczów. Doskonale funkcjonowała kompanijna łączność, radiowa, telefoniczna, przez łączników i sygnalizacja sygnałami ręcznymi. Natarcie skokami, które do znużenia wbijano im do głów od czasu Toccoa, poprowadzone we wzorowy, podręcznikowy sposób przyniosło doskonałe rezultaty. Odwrót z ewakuacją rannych przebiegł spokojnie, w sposób zorganizowany i skuteczny. Koordynacja działań z brytyjską artylerią była tego dnia bez zarzutu.

Podobnie Winters. Tego dnia podejmował jedną za drugą właściwą decyzję, czasem instynktownie, czasem po drobiazgowym rozważeniu sytuacji. Najlepsza decyzja to ta, że w panującej sytuacji tylko natarcie może dać im szansę przeżycia. Był nie tylko mózgiem plutonu, dawał jej także przykład osobistą odwagą. Jego stylem dowodzenia było nie „Naprzód!”, ale „Za mną!”. Tego dnia zabił osobiście więcej Niemców niż ktokolwiek w plutonie i najbardziej ze wszystkich nadstawiał karku.

Ale mimo tego wszystkiego, mimo że w tym dniu kompania E 506 pps była tak dobra, że stała się może najlepszą kompanią w całej Armii Stanów Zjednoczonych, nie mogła nic poradzić na ogień artylerii, postrach współczesnego pola walki. Nie mogli więc pozostać na otwartym polu, ale z drugiej strony, chroniąc się za wałem, wpadli w zawczasu przygotowaną pułapkę: wystawili się na celny ogień wstrzelanej w skrzyżowanie drogi i wału niemieckiej artylerii. W ciągu zaledwie kilku minut dowodzone przez Wintersa plutony poniosły więcej strat niż przez cały dzień nacierania pod ogniem setek niemieckich żołnierzy.

Webster napisał w jednym z listów:

Artyleria to coś strasznego. Boże, jak ja jej nienawidzę!

Nic dodać, nic ująć.

* * *

Dział prasowy 101 DPD mocno nagłośnił to starcie, wydając między innymi komunikat w typowym dla tego okresu stylu:

Rozkaz Wintersa mógł być tylko jeden, i taki właśnie był: Bagnet na broń, za mną! W rezultacie jego odważnej decyzji dwie kompanie SS poniosły poważne straty i zostały zmuszone do wycofania, zanim były w stanie rozpocząć swój atak planowany na tę właśnie chwilę.

Niewielka w końcu potyczka na wale mogła mieć dalekosiężne konsekwencje. Natarcie dwóch niemieckich kompanii miało być skorelowane z uderzeniem 363 DGL na lewe skrzydło pułku w Opheusden. Gdyby ich plan został zrealizowany bez przeszkód ze strony Wintersa i kompanie zdołały przedrzeć się na południe, miałyby okazję do zaatakowania dowództwa pułku w tym samym, jakże ważnym momencie, kiedy uwaga Sinka powinna się w całości koncentrować na obronie Opheusden.

Dowódca pułku podziękował im, wydając specjalny rozkaz dzienny zawierający pochwałę dla kompanii E. O ataku na bagnety prowadzonym przez Wintersa napisał dalej:

Swym odważnym działaniem, dzięki umiejętnemu użyciu własnych sił przeciw przeważającemu liczebnie przeciwnikowi pluton zadał nieprzyjacielowi poważne straty w ludziach, uniemożliwiając jego zamiar zaatakowania dowództwa batalionu od tyłu.

Kilka dni po słynnym ataku Wintersa odwiedził go pułkownik Sink.

- Winters, poradziłbyś sobie z dowodzeniem batalionem?

W ten sposób Winters dowiedział się, że jest brany pod uwagę jako kandydat do stanowiska zastępcy dowódcy batalionu, na miejsce majora Olivera Hortona poległego w bitwie o Opheusden 5 października.

Winters, lat dwadzieścia sześć, rezerwista, który zaledwie trzy miesiące wcześniej został kapitanem i dowódcą kompanii, przełknął ślinę i odpowiedział:

- Panie pułkowniku, jestem pewien, że w polu dałbym sobie radę. Nie boję się walki. Ale przerażają mnie papierki. Nigdy nie miałem smykałki do administracji, sir.

- Nic się nie bój, coś na to poradzimy, synu.

Dziewiętnastego października kapitan Winters został mianowany zastępcą dowódcy 2 batalionu.

* * *

Następca Wintersa na stanowisku dowódcy kompanii E nie dorastał mu do pięt. Przyszedł z zewnątrz, z innego batalionu. Wspomnienie szeregowego Ralpa Stafforda utrzymane jest w typowo pogardliwym stylu: „Facet naprawdę nie nadawał się do niczego. Nie tylko nie wiedział, co robić, ale nawet nie chciał się nauczyć. Cały czas spędzał w łóżku, nie robił inspekcji, objął się na całego”.

Nie utrzymał się długo i został zwolniony. Inni nie byli wcale dużo lepsi. Christenson tak opisuje jednego z nich: „Na drugie imię miał Niezdecydowany. [...] Kiedy zaczynała się strzelanina, zamierał w bezruchu, był kompletnie dezorientowany, nie miał pojęcia, co robić. My, podoficerowie plutonu, musieliśmy przejmować dowodzenie i wykonywać za niego robotę. Na szczęście nigdy nie śmiał na to narzekać - przynajmniej tyle dobrego można o nim powiedzieć, że zdawał sobie sprawę ze swojej niezdolności do dowodzenia w stresie”.

Nie był to jedyny kłopot z kadrą oficerską. Webster tak mówi o postawie swojego dowódcy plutonu w potyczce pod Nuenen: „Nigdy nie widziałem go tam, gdzie pociski latały. Nigdy nie pojawił się na linii frontu. Po prostu nie dorósł do odpowiedzialności, jaką nakładało na niego zajmowane stanowisko. Starzy wyjadacze z plutonu nigdy mu tego nie wybaczyli. To źle, kiedy szeregowy zawodzi w ciężkiej chwili, ale jeśli zawodzi oficer, który ma dowodzić ludźmi w walce, to nie ma dla niego usprawiedliwienia”.

Malarkey wspomina, jak w tej samej walce Guarnere „stawiał do pionu jakiegoś oficera, który pakował głowę w piasek, zamiast dowodzić swoim plutonem. [...] Potem widziano tego samego oficera w punkcie opatrunkowym z raną dłoni, która z daleka śmierdziała samookaleczeniem, żeby uniknąć walki”.

Uzupełnienie stanów kompanii nowymi oficerami i żołnierzami, którzy nie dorastali poziomem wyszkolenia do weteranów Currahee i Normandii, a teraz będąc po raz pierwszy w walce, doświadczali od razu tak intensywnego i obezwładniającego ognia artylerii oraz niebezpieczeństw nocnych patroli, nie polepszało sytuacji. Warunki jeszcze ją zaoğniały.

Paul Fussell opisał dwa stadia uświadamiania sobie warunków zewnętrznych, przez które przechodzi żołnierz na froncie. Zaczyna się od tego, że żołnierz jest przekonany, że nie może mu się stać. Potem przychodzi pierwsze stadium adaptacji - „może mi się coś stać, jeśli nie będę uważał”. Drugie stadium polega na tym, że żołnierz nabiera przekonania, że „stanie mi się coś i tylko nie będąc tam [na pierwszej linii], mogę tego uniknąć”.²⁴

Część ludzi nigdy nie dochodzi do tego drugiego stadium, inni przeciwnie, dochodzą do niego niemal natychmiast. Kiedy jest to żołnierz frontowej kompanii piechoty, nie ma takiej siły, która byłaby w stanie go utrzymać na stanowisku i zmusić do dalszego wykonywania swoich obowiązków. Nikt mu nic nie jest w stanie narzucić, bo tu chodzi o jego życie. Najsilniejszym z czynników motywujących do pozostania na froncie jest przyjaźń i więzi pomiędzy towarzyszami broni. Ta forma motywacji ma stronę pozytywną - nie chce się zawieść kumpli, i negatywną - nie chce się wyjść na tchórza przed ludźmi, których się kocha i szanuje ponad wszystko na świecie. Dyscyplina nie ma tu znaczenia, bo opiera się na karaniu - a jak można ukarać frontowego żołnierza gorzej, niż wysyłając go na front?²⁵

Glenn Gray tłumaczy to panującą w okopie „tyranią bieżącej chwili”. Przeszłość, a co ważniejsze, przyszłość, nie istnieją w okopie na pierwszej linii.

*W okopie żołnierz ma więcej czasu na myślenie i jest bardziej samotny niż jakkolwiek cywil w domowym zaciszu. Tu czasu nie mierzy się zegarkiem i kalendarzem*²⁶.

Dla frontowego żołnierza, który osiągnął kres swojej wytrzymałości, najstraszniejsze więzienie na tyłach zdaje się rajem. Bardziej liczy się to, czy będzie się żywym tu i teraz, i czy to potrwa jeszcze przez najbliższą minutę.

Gray zastanawia się też nad przyczynami, dla których tyłu żołnierzy nadstawiało karku dla zdobycia pamiętek. W Brecourt Malarkey wybiegł na pole pod ostrzałem kilku karabinów maszynowych, żeby zabrać poległemu Niemcowi coś, co mu się wydawało kaburą z Parabellum. W Holandii 5 października Webster, kuśtykając przez pole do punktu opatrunkowego pod ogniem osiemdziesiątek-ósemek, zauważył po drodze „niemiecką panterkę, wspaniałą pamiętkę”. Zatrzymał się, podszedł do niej i schylił się, żeby ją podnieść - mimo bólu przestrelonej nogi, mimo strachu, mimo padających wokół artyleryjskich

²⁴ Fussell, op. cit., s. 282.

²⁵ Można go dla przykładu zastrzelić. W Wehrmachcie za plecami niepewnych rekrutów z okupowanych terytoriów stali ich podoficerowie. Jeden z Polaków wcielonych siłą do niemieckiej armii dostał się do niewoli w sektorze Omaha. W czasie przesłuchania padło pytanie o to, jak on i jego koledzy znieśli intensywne bombardowanie artyleryjskie i lotnicze, będące przygotowaniem do lądowania. „Wasze bomby były bardzo przekonujące, ale bliższa ciału koszula, więc mój sierżant stojący za mną z pistoletem w ręku przekonał mnie znacznie skuteczniej”. Amerykańska armia nie stosowała jednak takich praktyk.

²⁶ Gray, op. cit., s. 119.

pocisków, które w każdej chwili mogły go zabić, z pamiętką czy bez. Gray stara się to wyjaśnić w ten sposób:

Pamiętki mają dla żołnierzy przede wszystkim wartość jako forma gwarancji tego, że życie trwa poza niszczycielską furją teraźniejszości. Są obietnicą, że człowiek przeżyje, by móc zaprezentować innym i opowiedzieć, jak wszedł w ich posiadanie.²⁷

W sytuacji zagrożenia życia większość ludzi nie jest w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, by przeżyć. Ilustruje to proces diametralnie przeciwny tej zachłanności na pamiętki: niefrasobliwe wręcz obchodzenie się z wszelkimi przedmiotami do nich należącymi, lekkomyślne podejście do, na przykład, pieniędzy.

Uczestnicząc w skrajnie niebezpiecznej kampanii, żołnierz znacznie łatwiej od cywila akceptuje prawdę, że ze wszystkiego, co posiada, tylko życia nikt mu nie zwróci.

Inną z takich rzeczy, które traci się bezpowrotnie, jest *szacunek* kumpli - ale świeże uzupełnienie nie ma jeszcze kumpli do stracenia i nic nie jest w stanie utrzymać żołnierza w okopie. Gray opowiada o dezercerze, którego spotkał w lesie we Francji w listopadzie 1944 roku. To był góral z Pensylwanii, przyzwyczajony do życia na łonie natury, siedział tam już od kilku tygodni i miał szczery zamiar przesiedzieć do końca wojny: „Wszyscy, z którymi się szkoliłem, albo zginęli, albo zostali przeniesieni. Byłem cholernie samotny [...] Pociski padały coraz bliżej i bliżej, już nie mogłem tego znieść”. Błagał Graya, żeby zostawił go w spokoju. Gray odmówił, powiedział, że o nim zamelduje, i zapewnił go, że nie poniesie żadnej kary. Żołnierz odparł ze smutkiem, że wie o tym. „Oni” wcale nie potrzebowali go sami rozstrzeliwać, Niemcy na froncie zrobią to znacznie sprawniej i tańszym kosztem. Przewidział swoją przyszłość precyzyjniej niż jakakolwiek Cyganka - właśnie tak się stało po tym, jak Gray go wydał.²⁸

Na froncie dyscyplina załamuje się nie tylko w części dotyczącej ubioru, salutowania i spraw porządkowych. Wiele rozkazów, gdy nadzór nad ich wykonaniem jest trudny, a wykonanie grozi śmiercią, jest ignorowanych. Webster ze szpitalnego łóżka pisał do domu:

Starzy wyjadacze na podstawie własnego gorzkiego doświadczenia uczą się być samodzielni i podejmować decyzje. Kiedyś nasz porucznik kazał dowódcy drużyny wziąć ośmiu ludzi i zaatakować baterię przeciwlotniczą, która ostrzeliwała lądujące szybowce desantowe. Wyobraźcie sobie, dziewięciu ludzi z karabinami przeciw działom kalibru 88 i 40 mm! Sierżant powiedział „Tak jest, panie poruczniku” [dalej ocenzurowano]. Podejmując swoją własną decyzję, ocalił nam życie. Nowy po prostu wziąłby do ręki karabin i rzucił się

²⁷ Gray, op. cit., s. 82.

²⁸ Gray, op. cit. s. 17-18.

na oślepie przez pole z bagnietem na broni. Potem ten sam porucznik kazał dwóm żołnierzom w biały dzień rozpoznawać niemieckie pozycje. Oni jednak nie byli w ciemności bicia i [dalej ocenzurowano].

Weterani starali się pomagać nowicjuszom, ale bardzo bronili się przed nawiązywaniem bliższych więzi, starali się nawet nie zapamiętywać ich nazwisk, „bo pewnie i tak nie na długo im się ta wiedza przyda”. Co nie znaczy, żeby im nie współczuli. Webster pisał do domu po Normandii:

Nasze uzupełnienia reprezentują nowe pokolenie żołnierzy, osiemnastoletnich rekrutów, tak młodych i przepelnionych takim entuzjazmem, że wysyłanie ich do walki zdaje się zbrodnią. My, spadochroniarze, dostajemy najlepszy materiał, ale to straszny los dla kogoś, kto nigdy nie był poza domem i kogo wyrwali ze szkolnej ławki, żeby tu przysłać.

Żaden z żołnierzy kompanii E nie wahał prochu przed 6 czerwca, ale zaledwie cztery miesiące później, 5 października, wszyscy ci, którzy w czerwcu skakali w Normandii i wciąż jeszcze żyli, byli starymi wiarusami z dwoma skokami bojowymi i dwiema kampaniami na koncie. Paru z nich uciekło ze szpitali, byle lecieć z kolegami do Holandii. To przecież nie dlatego, żeby tak kochali walkę na froncie - doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli nie polecą z nimi teraz, następnym razem pójdą w pole z gromadą zupełnie obcych sobie ludzi. Innej drogi nie było, na europejskim teatrze działań wojennych szeregowy piechoty opuszczał front na dobre tylko w trumnie lub na inwalidzkim wózku. Skoro więc i tak musieli wracać ze szpitala na front, woleli wracać tam z ludźmi, których znali, szanowali i wiedzieli, czego się można po nich spodziewać.

Uzupełnienia rzadko osiągały tak wysoki poziom identyfikacji z oddziałem. Poza tym armia znacznie uprościła i skróciła proces szkolenia - nowicjusze nigdy nie osiągnęli poziomu wyszkolenia weteranów Currahee. W Veghel Webster widział, jak nowy, imieniem Max, „trzymając się za prawą rękę, leżał, jęcząc, płacząc i wydzierając się w niebogłosy.

- Pomóż mi! Pomóż mi! Niech mi ktoś pomoże!

- Co się stało? Dostałeś jeszcze gdzieś?

- Nie, nie. Boli!

- To wstawaj i wiesz do punktu opatrunkowego.

Nic z tego. Był w szoku i po prostu leżał tam i jęczał. [...] Ciekawa rzecz z takim szokiem. Jedni w szoku po tym, jak im urwie stopę, są w stanie o własnych siłach przejść kilka kilometrów do szpitala, a inni, jak Max, ledwie ich coś draśnie, na widok własnej krwi zamierają z przerażenia i nawet sami sobie nie chcą pomóc. Mówią, że szok to w głównej mierze stan fizyczny ciała, ale według mnie stan psychiczny, nastawienie człowieka ma

wielki wpływ na podatność na niego. Max nie był twardy, nie był agresywny, nie był zahartowany tak jak my”.

To, że tak wielu żołnierzy i oficerów załamywało się pod brzemieniem ciągłego stresu, panującej wokół jatki, nie budzi niczyjzego zdziwienia. Dziwić się raczej należy, że tak wielu ludzi się nie załamało.

Po odejściu pierwszego niewydarzonego następcy Wintersa kompanię przejął porucznik Fred „Moose” Heyliger, produkt wojennej podchorążówki, który dowodził plutonem moździerzy kompanii sztabowej w Normandii (gdzie awansował na porucznika) i w Holandii. Był oficerem kompanii E jeszcze w Stanach, dopiero w Anglii przeniesiono go do kompanii sztabowej. Winters bardzo go polubił od pierwszego wejrzenia.

Heyliger był dobrym dowódcą. W nocy obchodził posterunki, sam chadzał na patrole. Dbał o ludzi najlepiej jak potrafił. Nigdy nie mógł sobie pozwolić na chwilę rozluźnienia. Zawsze panowało napięcie. Jego kompania była rozsmarowana zbyt cienko, by uniemożliwić Niemcom penetrowanie linii frontu, i wciąż musiał pamiętać o niebezpieczeństwie kolejnej próby ataku na skalę podobną do tej z 5 października. Dobrze znosił tę odpowiedzialność i wykonywał swoje obowiązki.

Kapral Walter Gordon ocenia z perspektywy lat, że „Brytyjczycy są mistrzami intryg. Niekoniecznie chciałbym, żeby osłaniali mnie ze skrzydła w natarciu na jakikolwiek poważniejszy cel, ale nacierałbym natychmiast, wiedząc, że to oni układali plan. Oni są naprawdę dobrzy w planowaniu”.

Słowa te odnoszą się do Odsieczy, akcji, która miała miejsce w nocy z 22 na 23 października. Tydzień wcześniej pułkownik O. Dobey, znany jako „Szalony pułkownik z Arnhem”, oficer brytyjskiej 1 DPD, który uciekł z niemieckiego szpitala, gdzie był leczony jako jeńiec, przepłynął przez Ren i nawiązał kontakt z pułkownikiem Sinkiem. Powiadomił go o tym, że na północnym brzegu dolnego Renu czeka stu dwudziestu pięciu brytyjskich uciekinierów z niemieckiej niewoli, około dziesięciu „spalonych” bojowników holenderskiego ruchu oporu i pięciu amerykańskich lotników. Chciał ich stamtąd ewakuować na aliancki brzeg i potrzebował do tego pomocy. Sink zgodził mu się jej udzielić. Ponieważ wybrany do forsowania Renu punkt leżał w sektorze kompanii E, Sink wybrał Heyligera na ochotnika do poprowadzenia patrolu wysyłanego na poszukiwanie ukrywających się zbiegów. Gordon ujął to nieco dosadniej: „Jak zwykle my damy ludzi, a Brytyjczycy pomysł ich użycia i bandaże do ich polatania. Z brytyjskiego punktu widzenia to uczciwa transakcja”.

Dobey utrzymywał stały kontakt z holenderskim ruchem oporu przez... telefon. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Niemcy nie przerwali cywilnej łączności telefonicznej. W

rozmowach ustalono termin operacji na noc z 22 na 23 października. Amerykański 81 dywizjon artylerii przeciwlotniczej miał wskazać pociskami smugowymi ze swoich Boforsów rejon forsowania. Żeby przyzwyczaić Niemców do ich widoku nad rzeką, codziennie o północy dywizjon prowadził ostrzał pociskami smugowymi innego wybranego na chybił trafił odcinka nieprzyjacielskiego brzegu.

W wyznaczonej noc Heyliger, porucznik Welsh, Edward Shames i siedemnastu ludzi wybranych przez Heyligerę podążyło trasą wyznaczoną białą taśmą przez saperów przez koronę wału nad brzeg rzeki, gdzie już poprzedniego dnia ukryto w krzakach brytyjskie składane łodzie saperskie o płóciennych burtach. Noc była ciemna, pochmurna, widoczność ograniczona jeszcze przez padającą mżawkę. Drżąc z zimna, ratownicy zepchnęli łodzie na wodę i chwilę później na północny brzeg pomknęły serie pocisków smugowych z dział przeciwlotniczych. Z drugiego brzegu zaświeciła w odpowiedzi czerwona latarka, nadając literę V (jak Victory, Zwycięstwo) alfabetem Morse'a. Żołnierze starali się najciszej, jak to tylko możliwe, wiosłować na drugi brzeg.

Przepłynęli rzekę z biciem serca, ale bez żadnych przygód. Wskoczyli z łodzi i rozsypali się na przeciwnym brzegu. Gordon rozstawił swój karabin maszynowy, szykując się do obrony lewego skrzydła. Po prawej to samo zrobił kapral Francis Mellet. Szeregowy Stafford szedł jako szperacz kolumny, która ruszyła w głąb nieprzyjacielskiego terytorium na spotkanie z Holendrami z ruchu oporu. Tuż za nim podążał porucznik Heyliger.

Stafford skradał się bezgłośnie naprzód. Nikt nie strzelał, nie było żadnych rakiet oświetlających, cisza, spokój. Teren był im zupełnie obcy, nieznan, do tego obsadzony przez nieprzyjaciela. Panowała czarna noc. „Ta cholerna, przeszywająca cisza sprawiała, że serce podchodziło mi do gardła”, wspomina Stafford. Chwilę później zrobił kolejny ostrożny krok i tuż spod nóg, może w odległości pół metra przed nim, wzleciał w górę jakiś spory ptak. „Jestem przekonany, że serce mi stanęło w tym momencie. Zwolniłem bezpiecznik karabinu i już miałem strzelać, kiedy porucznik Heyliger położył mi dłoń na ramieniu. »Spokojnie, Stafford«,».

Szli dalej i chwilę potem spotkali Brytyjczyków. Pierwszy z nich „uściskał mnie i dał mi swój czerwony beret, który mam do tej pory”. Brytyjski brygadier podszedł do Heyligerę, podał mu rękę i potraktował komplementem, że w życiu nie widział tak przystojnego amerykańskiego oficera.

Heyliger pozostał jakoś niewzruszony i tylko powtarzał, że mają się ustawić w rząd, iść nad brzeg do łodzi i zachować ciszę. Z przestrzeganiem tego ostatniego zalecenia było najciężej. Szeregowy Lester Hashey pamięta, że jeden z brytyjskich spadochroniarzy przyznał

mu się, że „w życiu nie przypuszczał, że kiedykolwiek tak go ucieszy widok pieprzonego jankesa”. Porucznik Welsh, który dowodził załadunkiem nad brzegiem, po jakimś czasie miał dość ich radosnych okrzyków i błogosławieństw, więc zapowiedział, że jak się zaraz nie zamkną, to sam ich pozabija, jeśli Niemcy nie zdążą.

W końcu uciekinierzy załadowali się na łodzie, Amerykanie wycofali się, osłaniając odwrót przez rzekę, i wszystko było gotowe do odbijania od brzegu. Gordon wrócił ostatni i płynął w ostatniej powracającej łodzi. Jak wspomina, „panował w niej nastrój podniecenia i pośpiechu, wszyscy byli przekonani, że Niemcy lada moment ich zatopią”. Nikt ich jednak nie zauważył i o 1.30 bezpiecznie wylądowali na południowym brzegu rzeki, po czym przeszli przez ziemię niczyją u podnóża wału i skryli się za nim.

Nazajutrz pułkownik Sink wystosował kolejną pochwałę w rozkazie dziennym za odważną i pełną poświęcenia akcją ratunkową:

Głównym czynnikiem powodzenia w realizacji tej operacji była odwaga i spokój, wykazane przez zespół osłaniający ewakuację. Operacja była tak doskonale zorganizowana i przeprowadzona, że nieprzyjaciel nawet nie wiedział, że miała miejsce. Udzielam pochwały wszystkim uczestnikom operacji ewakuacyjnej za agresywnego ducha, sprawne wykonywanie rozkazów i oddanie służbie. Nazwiska wyróżnionych pochwałą poniżej.

Znalazło się tam i nazwisko Gordona. Kiedy po latach zasugerowałem, że musi się czuć dumny, że wtedy zgłosił się na ochotnika i brał udział w tak sprawnym przeprowadzeniu ryzykownej operacji, odparł, że poszedł tylko dlatego, że Heyliger mu kazał. „To nie była żadna ochotnicza akcja. Nie mówię, że nie zgłosiłbym się do jej przeprowadzenia, chcę tylko zaznaczyć, że nie byłem żadnym cholernym ochotnikiem”.

Dwudziestego ósmego października rejon broniony przez 101 DPD jeszcze powiększono. 506 pps przesunął się dalej w lewo wzdłuż rzeki, naprzeciwko Arnhem. Kompania E obsadziła teraz przejęty od Brytyjczyków rejon miejscowości Driel²⁹, na samym skraju terenu zajętego przez aliancką ofensywę.

Podczas przejmowania stanowisk Lipton i zastępca dowódcy batalionu Winters ucięli sobie rozmówkę z brytyjskim dowódcą. Powiedział im, że zobaczą, jak Niemcy przesuwają się i okopują wzdłuż linii kolejowej na wschód od ich pozycji. Kompania E zajmowała stanowiska na prawym skrzydle obrony 506 pps, w Driel, w takim punkcie, że jej jeden pluton obsadzał okopy broniące podejść z północy, drugi ze wschodu, a trzeci był w rezerwie.

- Skoro ich widzicie, to czemu nie strzelacie?

²⁹ W pobliżu Driel lądowała w czasie operacji Market-Garden polska Samodzielna Brygada Strzelców Spadochronowych pod dowództwem generała Stanisława Sosabowskiego [przyp. tłum.].

- Bo jak będziemy strzelać do nich, to oni zaczną strzelać do nas. To proste, stary.

Winters i Lipton popatrzyli na siebie z niedowierzaniem. Kiedy kompania E przebywała na froncie, zawsze starała się zmusić Niemców do siedzenia ze spuszczoneymi głowami i w pełnej gotowości do odparcia ich ataków.

Nie inaczej było w Driel. Artyleria strzelała równie dużo i równie celnie, co na „wyspie”. Niemcy, którzy obsadzili wzgórze po północnej stronie rzeki, nadal też zachowali przewagę w kierowaniu ogniem artylerii, więc poruszanie się w ciągu dnia było równie trudne. Plutony na linii frontu po staremu żyły w swoich okopach. Deszcz padał właściwie bez przerwy. Nikt nigdy nie zdołał się do końca wysuszyć. Nie było się jak golić, nie było się gdzie myć, nie było żadnych rozrywek. Nędzne życie.

Na tyłach, w dowództwie i dalej w głąb alianckiego terytorium panowały nieco znośniejsze warunki. Artyleria i tam oczywiście dawała się we znaki, ale były gorące posiłki i inne luksusy. Żołnierze słuchali niemieckiej rozgłośni propagandowej, zwanej Arnhem Annie. Prócz amerykańskich piosenek nadawała ona wezwania do przepłynięcia rzeki, poddania się i wygodnego życia do końca wojny w obozie jenieckim. Zaopatrzenie przywoziło też amerykańskie gazety: „Stars And Stripes” i „Yank”. Wznowiono wydawanie dywizyjnej jednodniówki „The Kangaroo Chronicle”. Komu było mało tej lektury, mógł czytywać rozrzucone regularnie przez Niemców ulotki pod tytułem Czemu walczyacie o żydowską sprawę? Od czasu do czasu na linii frontu zjawiał się zespół z komórki wywiadu, zajmującej się przesłuchiowaniem jeńców wojennych i wojną psychologiczną. Rozstawiali megafony, przez które z kolei wzywali do poddania się i przepłynięcia rzeki do walczących po drugiej stronie Niemców i przedstawicieli okupowanych krajów. Obie strony miały z propagandy, zarówno własnej, jak przeciwnika, sporo uciechy.

Winters się nudził. Życie zastępcy dowódcy batalionu było „zawodem, wielkim zawodem. Największą uciechę w ciągu całej służby w armii miałem jako dowódca kompanii. Bycie młodszym oficerem w kompanii to ciężka, niewdzięczna praca, człowiek dostawał w kość z obu stron, od swoich podwładnych i od kapitana Sobela. Za to potem jako dowódca kompanii sam sobie byłem żeglarzem, sterem i okrętem. To ja byłem na pierwszej linii, mogłem podejmować i realizować własne decyzje - nikt się nie wtrącał, liczyło się tylko dobro ludzi i wykonanie zadania.

Jako zastępca dowódcy byłem głównie administratorem. Nie podejmowałem żadnych decyzji, nie wydawałem żadnych rozkazów, mogłem tylko rekomendować to czy tamto dowódcy batalionu lub szefowi rozpoznania”.

Zasugerowałem, że niektórzy ludzie na jego miejscu cieszyliby się z takiej zmiany.

- Ja się nie cieszyłem - odparł Winters.

* * *

2 pluton porucznika Harry'ego Welsha obsadzał wschodni sektor. Jego stanowisko dowodzenia znajdowało się w stodole, około pięćdziesięciu metrów na zachód od linii kolejowej, za którą swoje stanowiska mieli już Niemcy, Stan plutonu obniżył się do niecałych dwóch tuzinów ludzi, a więc nawet jeśli udało mu się utrzymać na służbie nawet połowę z nich, tych dwunastu żołnierzy miało bronić tysiąca pięciuset metrów linii frontu. Między posterunkami ziały przerwy szerokości nawet i po dwieście metrów, przez które Niemcy bez większego trudu mogli przenikać po zmroku i regularnie korzystali z tej możliwości. Te wypadki miały charakter głównie rozpoznawczy - Niemcy podobnie jak alianci pogodzili się z pozycyjnym charakterem działań bojowych i nie atakowali bez potrzeby. Chodziło im tylko o to, by wykryć ewentualne wzmocnienie amerykańskich pozycji, zapowiadające rychłą ofensywę.

Po doświadczeniach 5 października porowatość linii frontu niepokoiła Wintersa. Kiedy któregoś dnia jeden z uczestników odsieczy chełpił się, jak to „fantastycznie” przeniknęli przez linię frontu nie zauważeni, Winters zachnął się: - Niemcy zrobili z nami to samo. Zdołali przerzucić przez rzekę dwie kompanie i pies z kulawą nogą do nich nawet nie strzelił, zanim nie wyleźli na wał. Czym się tu podniecać?

Nowa praca nie przestawała go frustrować. Brakowało mu silnych wrażeń i niepokoił się łatwością, z którą Niemcy przenikali przez amerykańskie stanowiska. Po południu 31 października zadzwonił do Heyliger i zaproponował, żeby w nocy dokonali inspekcji posterunków. Heyliger zgodził się. O 21.00 Winters przybył do stanowiska dowodzenia kompanii E. Heyliger zadzwonił do Welsha, uprzedzając go o tym, że wybiera się do niego z Wintersem. Winters wspomina tę drogę: „Szliliśmy do Welsha ramię przy ramieniu, ścieżką szerokości może dwóch metrów. Ścieżka biegła szczytem garbu, z obu stron ciągnęły się metrowej głębokości rowy melioracyjne”.

W pewnej chwili z rowu po prawej stronie padł okrzyk „Halt!”. Heyliger był człowiekiem spokojnym, dowódcą, który nie podniecał się z byle powodu. Kiedy więc Winters usłyszał, jak nerwowo oddycha i przełyka ślinę, poczuł się głęboko zaniepokojony. W jednej chwili zrozumiał przyczynę nerwowości Heyliger - dowódca kompanii zapomniał hasła!

Otworzył usta, żeby się przedstawić, ale w tej chwili z pobocza padły trzy strzały z karabinu M1, oddane w bardzo szybkiej sekwencji z odległości nie większej niż 10 metrów.

Moose Heyliger osunął się na drogę z jękiem. Winters zanurkował do rowu po przeciwległej stronie drogi. Obawiał się, że natrafili na niemiecki patrol, gdyż strzały padły tak szybko, jakby strzelano z niemieckiego Sturmgewehra. Potem usłyszał szybko oddalające się kroki.

Winters wyczołgał się z powrotem na drogę, złapał Heyligerę za ubranie i odciągnął na bok. Moose został trafiony dwoma z trzech pocisków. Jeden przebił prawe ramię, ale rana była czysta, przelotowa, kości nie uszkodzone i wyglądała niegroźnie. Znacznie gorzej miała się sprawa z lewą łydką, pocisk wyrwał sporo mięśni, skóra zwisała luźno, a rana wydatnie krwawiła. Winters wyciągnął z torebki przy pasie opatrunek osobisty i zaczął bandażować ranę nogi.

Po chwili usłyszał zbliżające się z prawej strony drogi kroki. Sięgał właśnie po karabin, kiedy usłyszał głos Welsha, który wołał ich ściszym głosem.

Welsh i dwaj jego ludzie pomogli opatrzyć Heyligerę i zanieśli go do stodoły zajmowanej przez dowódcę plutonu. Tam dostał morfinę i odniesiono go dalej, do dowództwa batalionu. Do tej pory stracił tyle krwi i dostał już tyle morfiny, że jego cera nabrała woskowego odcienia, który napawał Wintersa niepokojem co do szans na przeżycie.

A jednak przeżył. W ciągu tygodnia był już w szpitalu w Anglii. Nadal leżąc się, został awansowany na kapitana, a Brytyjczycy odznaczyli go Brytyjskim Krzyżem Wojskowym (British Military Cross) za udział w operacji ratunkowej na „wyspie”. Wojnę jednak miał już z głowy.

Żołnierz, który do niego strzelał, był wyczerpany fizycznie i psychicznie, niepewny siebie i przestraszony. Ten incydent był kroplą, która przelała kielich. Stary weteran, nie żaden rekrut, całkiem się załamał. Winters postanowił go nie karać, ale wkrótce potem przeniesiono go poza kompanię.

Siódmego listopada Heyliger pisał ze szpitalnego łóżka do Wintersa:

Drogi Dicku.

Leżę sobie brzuchem do góry i staram się brać to wszystko na spokojnie. Piszę, bo chcę Ci podziękować za to, że się mną zająłeś tej nocy, kiedy dostałem. Co za idiotyczny sposób na to, żeby oberwać!

Przywieźli mnie tutaj gołego jak świętego tureckiego. Nie miałem nic. Wiem, że przechowujesz moje skrzydła i pistolet, ale tak naprawdę bardziej mi zależy na ubraniach ze śpiwora i filmach, które były w chlebaku.[...]

Założyli mi gips na tę ranę i Jezu, Dick, jak ona śmierdzi! Jakby mi kot nasrał w łóżko. Nie mogę się pozbyć tego cholernego smrodu. Krótki ten list, bo moja prawa ręka jest jeszcze bardzo słaba. Przypomnij mnie wszystkim.

Na miejsce Heyligera dowódcą kompanii E został porucznik Norman S. Dike jr, z dowództwa dywizji. Wysoki, smukły, przystojny, dobrze wykształcony, przemawiający bardzo wojskowym tonem. Zrobił doskonałe wrażenie.

Codzienny kontakt wynikający z pełnionych obowiązków zastępcy dowódcy batalionu zacieśnił stosunki łączące Wintersa z kapitanem Nixonem, który tymczasem przeszedł ze stanowiska oficera rozpoznania (S-2) batalionu na oficera operacyjnego (S-3). Ciężko byłoby znaleźć innych dwóch ludzi, których tyle by dzieliło. Winters wywodził się z klasy średniej, Nixon był dziedzicem bajecznej fortuny. Winters odszedł z domu, z Pensylwanii, tuż po osiągnięciu pełnoletności, Nixon od młodości podróżował po Europie. Winters skończył college na prowincji, Nixon był absolwentem Yale. Winters był abstynentem, Nixon zaś alkoholikiem. Mimo tego wszystkiego byli najbliższymi przyjaciółmi, bo łączyło ich oddanie rzemiosłu, którym się parali, i szczególne do niego zdolności. Każdy członek kompanii E, z którym rozmawiałem, zbierając materiały do tej książki, na pytanie o najlepszego bojowego dowódcę bez wahania podawał nazwisko Wintersa. Na pytanie o najlepszego oficera sztabowego niezmiennie padała odpowiedź „Nixon”. Winters tak go wspomina: „Ciężko go było rano dobudzić. Pewnego dnia w listopadzie wstałem wcześniej, a Lewisa nie mogłem obudzić. Złapałem go za nogi i zarzuciłem sobie jego stopy na ramiona.

- Wstajesz?

- Odwal się, daj mi spać.

Pod łóżkiem stał do połowy pełny dzbanek na wodę. Wciąż nie puszczając stóp, sięgnąłem po niego i zacząłem wylewać zawartość na jego twarz.

Nixon z przerażeniem otworzył oczy.

- Nie! Przestań!

Za późno, reszta właśnie leciała w jego kierunku. Dopiero po chwili zorientowałem się, że Lewis użył dzbanka zamiast nocnika, kiedy nie chciało mu się wyjść w nocy za potrzebą. Nixon zaczął strasznie wrzeszczeć, kląć, a po chwili ryknął śmiechem. Postanowiliśmy pojechać do Nijmegen i sprawdzić pogłoskę, wedle której oficerowie mieli tam dostęp do gorącego prysznica”.

Kampania holenderska trwała nadal. Robiło się coraz zimniej, co jeszcze pogarszało warunki bytowania przemoczonych na deszczu ludzi. Wreszcie, pod koniec listopada, pododdziały 101 DPD zaczęły być luzowane przez jednostki kanadyjskie. Kolej na kompanię

E nadeszła w nocy z 24 na 25 listopada. Rankiem spadochroniarze załadowali się na ciężarówki, które powiozły ich do Francji na odpoczynek, uzupełnienie stanów i wymianę wyposażenia, a przede wszystkim do suchych łóżek i pryszniców, których nie zaznali od sześćdziesięciu dziewięciu dni.

Kompania skakała w Holandii 17 września w sile stu pięćdziesięciu czterech żołnierzy, podoficerów i oficerów, z których wyjeżdżało teraz dziewięćdziesięciu ośmiu. Rany odnieśli porucznicy Brewer, Compton, Heyliger i Charles Hudson oraz pięćdziesięciu czterech innych członków kompanii. Na zawsze w Holandii zostali William Dukeman jr, James Campbell, Vernon Menze, William Miller, James Miller, Robert van Klinken. W Normandii stracili sześćdziesięciu pięciu ludzi, tak więc ogół strat kompanii E wynosił na koniec listopada stu dwudziestu ludzi - niektórzy zostali ranieni dwukrotnie, w obu kampaniach. Nie mieli dotąd ani jednego zaginionego czy wziętego do niewoli.

Ciężarówki przejeżdżające „drogą do piekła” przez Nijmegen, Uden, Veghel i Eindhoven witali wiwatujący Holendrzy, skandujący „17 września! 17 września!”.

Żołnierze kompanii E nie czuli się wcale jak zwycięscy bohaterowie. Ich odczucia podsumował Lipton: „Arnhem Annie powtarzała przez radio, że możemy słuchać ich muzyki, ale nie będziemy chodzić po ich ulicach. No i miała, skubana, rację. Do Arnhem nie weszliśmy”.

ODPOCZYNEK I UZUPEŁNIENIE STRAT**Mourmelon-le-Grand**

26 listopada - 18 grudnia 1944

Dwudziestego szóstego listopada o 4.00 kompania E dotarła do obozu Mourmelon, na obrzeżach miasteczka Mourmelon-le-Grand (w pobliżu leżała jeszcze wieś Mourmelon-le-Petit), około trzydziestu kilometrów od miasta katedralnego i centrum produkcji win musujących w Reims. Mourmelon było miastem garnizonowym od dwóch tysięcy lat - Juliusz Cezar i jego rzymskie legiony mieli w nim swój obóz w 54 roku p.n.e. Od setek lat stacjonowały tam wojska francuskie i dziś nadal stacjonują. Miasteczko położone jest na równinie pomiędzy rzekami Marną od południa i Aisne od północy, na tradycyjnym szlaku najazdów, prowadzącym do Paryża (albo do Renu, w zależności od tego, kto atakował). Mourmelon widziało w owym czasie wiele bitew. Ostatnie większe walki w tym rejonie trwały w czasie I wojny światowej. Kiedy trafili tam żołnierze 101 DPD, jej ślady: okopy i leje po pociskach, były nadal doskonale widoczne, a i dziś ich odnalezienie nie nastęcza zbyt wielkich trudności. Niedaleko stąd, pod Chateau-Thierry i w lesie Belleau, w roku 1918 toczyli boje ojcowie wielu z żołnierzy dywizji.

Przejście ze służby bojowej do garnizonowej dokonało się sprawnie i szybko. Pierwszego dnia rozkoszowano się głównie gorącymi kąpielami i prano bieliznę oraz mundury. Drugiego dnia zarządzono pierwszy marsz ćwiczebny. Trzeciego dnia odbyła się już inspekcja pomieszczeń, capstryk z trąbką, opuszczaniem flagi i armatnim salutem. Kiedy 30 listopada przywieziono pocztę, morale wzrosło o sto procent.

Można by się spodziewać, że po dwóch miesiącach z okładem walki na pierwszej linii frontu spadochroniarze będą przede wszystkim chcieli przespać z tydzień, by nadrobić wszystkie zarwane noce. Tymczasem już po jednej czy dwóch próbach tego fenomenu, jakim był dla żołnierza nie przerwany sen w nocy, chłopcy zaczęli szukać jakiegoś ujścia dla rozpierającej ich energii i sposobu rozładowania napięcia, w którym żyli przez tyle czasu.

Pierwszego grudnia wszyscy dostali przepustki do Reims. Co gorsza, na ten sam pomysł wpadło dowództwo stacjonującej nieopodal 82 DPD. Był to jednak bardzo głupi pomysł. Mieszanka okazała się wybuchowa. Reims roilo się wprawdzie od żandarmerii, bo

stacjonował tam sztab Eisenhowera, ale było mnóstwo alkoholu - a więc wkrótce także podchmielonych młodych ludzi w bojowych nastrojach.

Kiedy grupy żołnierzy z literami AA na naszywkach³⁰ napotkały grupy młodych ludzi w mundurach z głową krzyczącego orła na rękawie³¹, z ust dowódcy tych pierwszych padało pytanie:

- Co krzyczą orły?

A reszta wyrzaskiwała odpowiedź:

- Ratunku! Ratunku! Ratunku!

Pięści szły w ruch, zanim jeszcze wybrzmiał trzeci okrzyk. Bijatyki trwały przez trzy dni, po czym 4 grudnia anulowano przepustki do Reims. Przyczyną było to, że, jak to ujął jeden z weteranów, „chłopcy źle się zachowywali w mieście”.

Dywizja postanowiła zorganizować żołnierzom inne możliwości rozładowania nadmiaru energii: rozpoczęły się parokilometrowe biegi, defilady, mnóstwo gimnastyki. Urządzono też dywizyjne zawody w baseballa, koszykówkę i futbol amerykański. Sprzęt sportowy wypożyczano od Sił Powietrznych Armii, które przywoziły go samolotami z Anglii. Przeprowadzono również eliminacje do planowanego na pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia meczu o puchar Champagne Bowl pomiędzy 506 i 502 pułkami, na wzór corocznych rozgrywek o superpuchar ligi futbolu amerykańskiego, Rose Bowl. Zawodnicy wybrani do reprezentacji pułkowej trenowali codziennie co najmniej trzy godziny. Dywizja zapewniła także inne rozrywki: działały trzy kina i klub Czerwonego Krzyża. Jedzenie było w zgodnej opinii doskonałe.

Kilka dni po przybyciu do Mourmelon żołnierze dostali zaległy żołd, który wypłacano im w stołówce, po kolacji. Plutonowy Malarkey pobrał swoją wypłatę i idąc do drzwi, zastał kilku żołnierzy grających w kości. Jakiś gracz, któremu właśnie sprzyjało szczęście, zgromadził przed sobą pokaźny plik banknotów. Malarkey był przekonany, że dobra passa tamtego nie może trwać wiecznie, więc zaczął stawiać przeciw niemu. W ciągu kilku minut przerznął trzymiesięczne pobory i był z powrotem splukany do suchej nitki. Wyszedł ze stołówki, sam się dziwiąc swojej głupocie - przy czym chodziło mu nie o to, że się splukał, tylko o to, że stracił pieniądze, ani razu nawet nie dotykając kości.

³⁰ 82 Dywizja Piechoty powstała w roku 1917 jako pierwsza złożona z poborowych z całych Stanów Zjednoczonych, a nie z jakiegoś określonego terytorium, stąd nosiła nazwę Ali-American i jej znakiem były dwie litery A. Dywizją powietrznodesantową stała się dopiero w 1942 roku [przyp. tłum.].

³¹ 101 Dywizja Piechoty, utworzona w czasie I wojny, miała za godło głowę krzyczącego orła [przyp. tłum.].

W koszarach wpadł na Skipa Mucka. Tam też gra w kości szła w najlepsze. Malarkey zapytał Mucka, czy ma zamiar wziąć w niej udział. Muck odparł, że nie, bo ma już dość przegrywania całej wypłaty pierwszego dnia po jej otrzymaniu. Poza tym, po oddaniu długów z poprzednich gier zostało mu tylko sześćdziesiąt dolarów. Malarkey zdołał go jednak namówić, żeby mu je pożyczył, i za te pieniądze wszedł do gry. W ciągu piętnastu minut miał pełne garści francuskich franków, brytyjskich funtów, amerykańskich dolarów, belgijskich franków i holenderskich guldenów. (Przy takiej różnorodności walut przy stołach gry często dochodziło do sprzeczek o wartości kursów. W jakiś zagadkowy sposób wszystkie ci chłopcy, którzy w szkole nienawidzili matematyki i starali się z niej urywać, tu jakoś nigdy nie mieli kłopotów z liczeniem).

Malarkey zabrał wygraną do klubu podoficerskiego i tam grał dalej, tym razem w grze, w której brało aktywny udział około dwudziestu hazardzistów. Wszedł za odliczone z grubego zwitka sześćdziesiąt dolarów, sumę pożyczoną od Mucka. Wygrał. Postawił raz jeszcze - i znowu wygrał. I jeszcze raz. I następny. W końcu położył na stół trzy tysiące dolarów. I ponownie wygrał.

Bał się odejść od stołu z ponad sześcioma tysiącami dolarów - miał przed sobą niemal całą wypłatę plutonu i gracze mogli mu solidnie przetrzepać skórę, gdyby odszedł, nie dając im możliwości rewanżu. Odłożył do kieszeni wszystkie banknoty francuskie o dużych nominałach i grał, aż przegrał całą resztę - drobne franki, guldeny, dolary i funty. Kiedy wrócił do koszar, oddał Muckowi równowartość pożyczonych sześćdziesięciu dolarów i dorzucił mu pięćset. Miał gest. W końcu stać go było. W kieszeniach pozostała mu jeszcze równowartość trzech tysięcy sześciuset dolarów!

Do uświęconej wiekami tradycji należało znajdowanie wojsku zajęcia, żeby się nie nudziło. Wykorzystywano więc ich do poprawiania warunków zakwaterowania. Kompleks koszarowy, w którym kwaterowali, poprzednio zajmowały dwie dywizje niemieckiej piechoty i kilka szwadronów kawalerii. Wszędzie ze ścian zwieszały się niemieckie rozkazy dzienne, odezwy, plakaty propagandowe, tablice poglądowe i tym podobne. Wszystko to pozniakało, stajnie oczyszczono z pozostałości po koniach, naprawiono prycze, ulepszono łaźnie i latryny, uporządkowano ścieżki i chodniki.

Pułkowa kronika Currahee relacjonuje:

A przez to wszystko jak nie osnowy ciągnęły się oczekiwania związane ze spodziewanymi świątecznymi przepustkami do Paryża. Rano, w południe czy wieczorem wszędzie rozprawiano tylko o tym, jakie to uciechy czekają żołnierzy w Mieście Świąteł.

Polityka dywizji po doświadczeniach londyńskiego Blitzu po powrocie z Normandii przewidywała teraz, że przepustki do Paryża będą przyznawane po kolei poszczególnym kompaniom, a nie całej dywizji naraz. Ci, którzy już wrócili, opowiadali dziwy, przy których bladły najbardziej pieprzne opowieści ojców o tym, jak dokazywali w Paryżu w latach 1918-1919. Ci, których kompanie wciąż czekały na swoją kolej, bez końca dyskutowali, co, jak i ile razy zrobią, kiedy ich tam wreszcie puszcza.

Niektórzy otrzymywali przepustki poza kolejnością. Kilka z nich się zupełnie zmarnowało. Dick Winters dostał przepustkę, pojechał do Paryża, wsiadł do metra i dotarł do końca linii, po czym okazało się, że wsiadł do wagonika jadącego w niewłaściwym kierunku, a ostatni pociąg w przeciwnym kierunku już odjechał. Tymczasem zapadła noc, a miasto wbrew swej reputacji tonęło w egipskich zaiste ciemnościach - wciąż obowiązywało zaciemnienie wprowadzone po kilku spazmatycznych niemieckich nalotach tuż po wyzwoleniu. Na odległym przedmieściu nie było nic do roboty, ruszył więc piechotą do hotelu, do którego doszedł mocno po północy, po czym rano wrócił pociągiem do Mourmelon. „I tak wyglądała moja wspaniała noc w tym cudownym mieście rozpusty”, podsumował po latach.

Szeregowy Bradford Freeman, z powiatu Lowndes w stanie Missisipi, też dostał przepustkę do Paryża. Po czterdziestu sześciu latach skwitował swoją jednodniową przepustkę w następujący sposób: „Pojechałem tam, nie podobało mi się to, co zobaczyłem, i wróciłem do jednostki”.

O przepustkach mówiono wprawdzie bez przerwy, ale jakiegoś specjalnego pośpiechu w staraniu się o nie nie było. Panowało przekonanie, że tym razem zostawią ich w spokoju co najmniej do wiosny, kiedy znowu pogoda będzie sprzyjać działaniom bojowym. Potem, na wiosnę, pewnie będą skakać w Niemczech, za Renem. Wyjazd generała Taylora do Ameryki, gdzie miał brać udział w konferencjach na temat proponowanych zmian w wyposażeniu i organizacji amerykańskich wojsk powietrznodesantowych, jeszcze umocnił to przekonanie. Kiedy 10 grudnia także generał brygady Gerald Higgins, zastępca Taylora, wraz z pięcioma innymi wysokimi oficerami ze sztabu dywizji polecili do Anglii z serią odczytów o Market-Garden, przekonanie zamieniło się w pewność. Dowództwo nad dywizją objął generał brygady Anthony McAuliffe, dowódca dywizyjnej artylerii.

Ze szpitali wracali weterani, z kraju napływały uzupełnienia. Do kompanii powrócił ranny w Holandii Buck Compton. Podporucznik Jack Foley, który dotarł do Holandii w ostatnim tygodniu walk jako uzupełnienie stanu kadry oficerskiej, został zastępcą Comptona, dowódcy plutonu. Jego podwładni byli według Foleya „mieszanką doświadczonych starych

wiarusów, z których część miała jednak za sobą tylko Holandię i kompletnie zielonych rekrutów prosto z kraju”.

Uzupełnienia, osiemnasto, dziewiętnastoletni chłopcy, patrzyli na nich szeroko otwartymi z podziwu oczyma. Stare wiarusy miały może rok, rzadziej dwa lata więcej od nich, ale żółtodzioby patrzyli na nich z podziwem graniczącym z lękiem. Większość obnosiła się z ostrą amunicją i granatami, które powinni byli zdać, opuszczając strefę działań bojowych, ale powszechnie zignorowano ten nakaz. Po obozie Mourmelon chodzili obwieszeni granatami, z dodatkowymi ładownikami pozatykanymi w szelki i pasy nośne do karabinów, z nożami bojowymi w pochwach przszytych do spodni na udach, na modłę brytyjską, ze swoimi zdobytymi pistoletami u pasów. Przypominali bandę zawodowych zabijaków z francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Natomiast żółtodzioby w opinii weteranów wyglądali na słabeuszy. Dowódca kompanii, porucznik Dike, Welsh, Shames, Foley, Compton i inni oficerowie kompanii zabrali się rażno do roboty, by podciągnąć ich na tyle, żeby mogli stanowić od biedy spójną siłę bojową. Do tego jednak potrzeba było współdziałania nowicjuszy i wiarusów - a z tym bywały kłopoty. Weterani po prostu nie byli w stanie poważnie traktować ćwiczeń po tym, czego doświadczyli na froncie.

Pod koniec drugiego tygodnia grudnia kompania odzyskała sześćdziesiąt pięć procent stanu szeregowych i podoficerów. Stan oficerów przedstawiał się niemal dwukrotnie lepiej, sięgając stu dwunastu i pół procenta etatu. Dike dowodził kompanią, Welsh był pełniącym obowiązki jego zastępcy, w każdym plutonie było po dwóch poruczników i mieli jeszcze jednego zapasowego podporucznika. Widać było, że wódzowie przewidują w następnej kampanii zwiększone straty wśród oficerów młodszych i zawczasu się na nie przygotowują. Welsh był teraz najdłużej służącym w kompanii oficerem, a przecież nie był w Toccoa. Tylko Welsh i Compton walczyli z kompanią E w Normandii. Welsh, Compton, Dike, Shames i Foley mieli za sobą doświadczenia z Holandii.

W tej sytuacji ciężar zapewnienia ciągłości tradycji 506 pps spoczywał na barkach korpusu podoficerskiego. Byli wśród niego ludzie, którzy zaczęli w Toccoa jako szeregowi: Lipton, Talbert, Martin, Luz, Perconte, Muck, Christenson, Randleman, Rader, Gordon, Toye, Guarnere, Carson, Boyle, Guth, Taylor, Malarkey i inni. W utrzymaniu współdziałania kompanii E ze sztabem batalionu i pułku bardzo pomagało to, że w większości były one obsadzone oficerami, którzy przewinęli się przez kompanię. Z niej wywodzili się: oficer operacyjny (S-3) pułku, major Hester i jego szef zaopatrzenia (S-4), kapitan Matheson, zastępca dowódcy 2 batalionu, kapitan Winters i jego oficer operacyjny (S-3), kapitan Nixon. Ogółem jednak, po pół roku walk, kompania E miała nowy komplet oficerów oraz

szeregowych. Tylko serce i kręgosłup kompanii, jej korpus podoficerski, składał się nadal z wychowanków Toccoa, którzy biegali na górę Currahee i z powrotem za kapitanem Sobelem w upalne sierpniowe dni 1942 roku.

Wielu z weteranów tych biegów kurowało się w angielskich szpitalach. Niektórzy mieli już nigdy nie biegać. Inni, z czystymi postrzałami, wracali do zdrowia. W amerykańskim 110 Szpitalu Ogólnym w pobliżu Oxfordu na jednym oddziale leżało trzech żołnierzy 1 plutonu kompanii E. Wszyscy: Webster, Lieb Gott i kapral Thomas McCreary odnieśli rany 5 października. Webster był ranny w nogę, Lieb Gott w łokieć, McCreary w kark. Webster wykorzystywał czas, szlifując styl. W pamiętniku z tego okresu znajdujemy znowu kilka opisów jego kolegów:

Lieb Gott, były taksówkarz z San Francisco, żyłasty kurdupel ważący pięćdziesiąt pięć kilogramów, najchudszy i najzabawniejszy (o ile nie chodziło o pieniądze) człowiek w kompanii E. Poza tym był jednym z bardzo nielicznych żydów-spadochroniarzy. Wraz z trzydziestoletnim starcem McCrearym byli nestorami kompanii. McCreary, pogodny, życzliwy, gdyby wierzyć jego opowieściom, karmiony był jako niemowlak butelką z piwem i wychowywał się w lokalu „Motor Inn” w Pittsburghu.

[...] Najweselszym miejscem całego 110 Ogólnego był oddział amputacyjny. Chłopcy, którzy tam leżeli, jako jedyni mogli być pewni, że dla nich wojna już się skończyła i w większości dowcipkowali po całych dniach z radości, rozmawiając o powrocie do domu.

Webster słusznie napisał, że „w większości”, a nie wszyscy. Część z tych, którzy trafili tu z „ranami za milion dolarów”, teraz nie daliby za nie złamanego centa. Leo Boyle, który leżał w tym samym szpitalu, ale na innym oddziale, pisał do Wintersa:

Panie kapitanie, teraz, kiedy się wreszcie wziąłem do pisania, niech mnie szlag, jeśli wiem, o czym pisać. Po dwóch doświadczeniach tego rodzaju mogę stwierdzić, że przy odniesieniu rany szok nie ogranicza się do tego, co się przeżywa w samym momencie po trafieniu. To także w dużej części świadomość, że na jakiś czas będzie się poza tym wszystkim - a w moim przypadku na długo.

Nie spodziewam się, żebym mógł stanąć na nogach przed świętami. Kiedyś jednak całkowicie wyzdrowieję - kości nie zostały uszkodzone, straciłem tylko sporo mięśni i tkanki łącznej, a duża powierzchnia rany trudno się goi.

Panie kapitanie, mam nadzieję, że dba Pan o siebie (w każdym razie bardziej, niż do tej pory widziałem), bo takich jak Pan jest niewiele i w razie czego nie byłoby Pana kim zastąpić.

Dalej pisał, że odwiedzili go Webster, Liebgott, Leo Matz, Paul Rogers, George Luz i Bili Guarnere, którzy byli pacjentami 110 Ogólnego. Czterdzieści cztery lata później Boyle napisał:

Nigdy się do końca nie pogodziłem z tym, że już nie będę spadochroniarzem, nie spotkam chłopaków i nigdy więcej nie skoczę. Skakanie wciągnęło mnie jak narkotyki. Czulem się oszukany i często dawałem się we znaki personelowi medycznemu w ciągu długich miesięcy mojej rocznej rekonwalescencji w szpitalach.

Liebgott wypisał się na własne żądanie i wrócił do jednostki. Podobnie McCreary, Guarnere i inni. Jak już wcześniej pisałem, zrobili to nie dlatego, że uwielbiali walkę, tylko z powodu przekonania, że jeśli i tak mają wrócić na front, to woleli to zrobić z kompanią E. Webster napisał do rodziców:

Gdyby dano mi wybór, nigdy więcej w życiu nie wziąłbym broni do ręki. Skoro nie mam wyboru, wracam do kompanii E i szykuję się do następnego skoku. A jeśli miałbym zginąć, to mam nadzieję, że nie będę się męczył.

W innym liście pisał:

Świadomość tego, że nie ma ucieczki, że będziemy skakać w Niemczech, a potem powiozą nas transportami prosto na Pacyfik, żeby walczyć w Chinach, nie pozostawia zbyt wiele miejsca na optymizm. Dla nas, tak samo jak dla piechoty, jedyna droga powrotu to nogami do przodu albo bez nich.

Webstera przeniesiono na oddział dla rekonwalescentów, a stamtąd pod koniec grudnia do 12 Ośrodka Uzupelnień w Tidworth, w Anglii. 12 OU, podobnie jak identyczny 10 OU, słynął na cały europejski TDW z sadyzmu swojego dowódcy, jego nieudolności, szalejącego zupactwa, brudu, obrzydliwego jedzenia i w ogóle warunków, które przywodziły na myśl raczej więzienie niż ośrodek, z którego uzupełniano stany jednostek frontowych. Najwyraźniej armia starała się stworzyć rekonwalescentom powracającym do zdrowia czy zdolnym choćby do chodzenia tak straszne warunki, by wyglądali poprawy związanej z powrotem na front. Jim Alley, ranny w Holandii, wyleczony w szpitalu w Anglii, uciekł z 12 OU i autostopem dostał się do Hawru, stamtąd do Mourmelon, gdzie dotarł 15 grudnia, podobnie Guarnere i wielu innych.

Webster nie poszedł w ich ślady. Już dawno przyjął jako naczelną zasadę swego życia w armii, by do niczego nie zgłaszać się na ochotnika. Był intelektualistą, na równi obserwatorem i kronikarzem wojskowego życia jak jego uczestnikiem. Pozostał chyba jedynym szeregowym, który przeszedł Toccoa i nigdy nie nosił na rękawie podoficerskich pasków. Wielu oficerów namawiało go, by objął dowództwo drużyny, on niezmiennie

odmawiał. Był tu, by wypełniać swoje obowiązki, i robił to. Nigdy nie zawiódł w walce swoich towarzyszy, we Francji, w Holandii i potem w Niemczech, ale też nigdy nie pchał się nigdzie na ochotnika i odrzucał wszelkie propozycje awansu.

W Mourmelon rosło podniecenie. Odkąd kompania zaczęła pełnić w miarę ustabilizowaną służbę garnizonową, ludzie spodziewali się poczty i licytowali oczekiwaniemi tego, co dostaną w świątecznych paczkach z domu. Planowano przepustki do Paryża, a przy odrobinie szczęścia paryska kolejka kompanii mogła wypaść w okresie noworocznym. W święta planowano mecz o Champagne Bowl, miał być pieczony indyk. Bukmacherzy przyjmowali zakłady o wynik meczu, treningi zawodników stawały się coraz dłuższe i intensywniejsze.

Przyszłość po świętach rysowała się ciekawie z punktu widzenia kompanii piechoty w czasie największej wojny w historii świata. Co najmniej do połowy marca front zamrze. Potem skoczą w Niemczech, a po zakończeniu wojny w Europie pojedą pewnie nad Pacyfik skakać w Chinach, a może nawet w Japonii. Ale to wszystko jeszcze odległa przyszłość. Na razie kompania szykowała się do spędzenia świąt.

W Mourmelon podoficerowie mieli w koszarach swoją własną izbę. Wieczorem 16 grudnia Martin, Guarnere i inni skombinowali skrzynkę szampana, którą zabrali do siebie. Większość nigdy dotąd nie piła „bąbelków”. Martin otworzył kilka butelek naraz, plutonowi i sierżanci nadstawili kubki od manierek, które napełnił im po brzegi.

Christenson skosztował opiewanego w romansach trunku i był stanowczo zawiedziony:

- Ty, Johnny, toż to zwykła lemoniada!

I w tym też duchu wypili skrzynkę najprzedniejszego szampana, z wiadomymi rezultatami. Doszło do bójki. Martin wspomina: „Przyznaję, że wziąłem w niej udział. To była rozróżba na całego, taka z demolką sprzętów. Porozwalaliśmy prycze, wszędzie wały się deski ze sterczącymi gwoździami. I na takie właśnie gwoździe wlałem. Rany, toż to była prawdziwa bitwa!”

Szef kompanii, starszy sierżant Carwood Lipton, wpadł do podoficerskiej izby i zaczął rozdzielać walczących:

- Ludzie, opamiętajcie się, wy macie dowodzić żołnierzami! Żeby sierżanci robili taki burdel...

Był silniejszy od nich i trzeźwiejszy, więc jego ciosy były celniejsze i wkrótce w izbie podoficerskiej zapanował spokój. Zmusił ich jeszcze do uprzątnięcia izby i wysłał spać, żeby do rana wytrzeźwieli.

Winters i Nixon byli jedynymi oficerami, którzy pozostali tej nocy w dowództwie batalionu. Reszta pojechała na przepustkę do Paryża. Szeregowy Joe Lesniewski poszedł do jednego z kin w Mourmelon. Grali tam film z Marleną Dietrich. Gordon i Carson położyli się wcześniej spać, szykując się do porannego treningu futbolowego.

Winters i Nixon otrzymali przez radio wiadomość, że wszystkie przepustki zostają odwołane. W kinie zgasł ekran i na scenę przed nim wyszedł oficer, oznajmiając o niemieckiej ofensywie w Ardenach. W koszarach Carsona, Gordona i innych obudził dyżurny podoficer, biegając od sali do sali, zapalając światła i ogłaszając o niemieckiej ofensywie. Nie spotkał się z entuzjazmem budzonych. W stronę drzwi posypały się mało przyjazne okrzyki i drobne przedmioty - buty, jak to w koszarach, zostały na korytarzu za drzwiami.

„Cicho tam!”, „Wynocha!”, „Spier...!”, niech się martwi VIII Korpus czy 1 Armia. Wrócili do tak brutalnie przerwano snu. To nie ich problem, oni dopiero co przyjechali z frontu i mają dostać przepustki na święta do Paryża. Co ich może obchodzić jakiś lokalny kontratak, a w ogóle to gdzie są te cholerne Ardeny?

Rano, po apelu, zamiast treningu, porucznik Dike kazał im zostać w stołówce po śniadaniu. Nie było żadnych planowanych zajęć. Musieli po prostu siedzieć i czekać. Siedzieli więc i czekali. Najwyraźniej jednak kłopoty w odległych Ardenach miały się stać problemem dla 82 i 101 DPD.

Hitler rozpoczął swoją ostatnią strategiczną ofensywę za Zachodzie 16 grudnia, wybierając rejon Ardenów, który już raz, w 1940 roku, stał się osią zaskakującego niemieckiego natarcia przeciw armii francuskiej. Amerykański wywiad oceniał siły stojące 16 grudnia naprzeciw VIII Korpusu na cztery dywizje. W rzeczywistości do 15 grudnia Niemcy ściągnęli w rejon Eifel, po drugiej stronie Ardenów, aż dwadzieścia dwie dywizje. Udało im się osiągnąć zaskoczenie na skalę porównywalną z operacją Barbarossa w czerwcu 1941 roku czy Pearl Harbor.

Atak z zaskoczenia powiódł się, jak większość podobnych w historii, bo był kompletnie pozbawiony sensu i sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Zużycie resztek sił pancernych w takiej ofensywie też nie miało jakiegokolwiek strategicznego sensu. Sam plan był od początku skazany na niepowodzenie - opieranie go na założeniu, że czołgiści zaopatrzą się w zdobycznych amerykańskich składach, to po prostu głupota.

Atak z zaskoczenia powiódł się, jak większość podobnych w historii, bo obrońcy zgrzeszyli nadmierną pewnością siebie i nie docenili przeciwnika, przeceniając swoje siły. Nawet po klęsce Market-Garden sojusznicy nadal zakładali, że Niemcy trzymają się na ostatnich nogach i wystarczy lekko pchnąć, by Trzecia Rzesza zawałiła się jak domek z kart.

W dowództwie Eisenhowera oficerowie myśleli w kategoriach tego, co ich armie są w stanie zrobić Niemcom, a nie tego, co Niemcy są w stanie zrobić im. Panował nastrój radosnego oczekiwania - niech no tylko wystawią tyłek zza tej swojej Linii Zygfyda, to już my z nimi zatańczymy! To nastawienie było zaraźliwe i szerzyło się w Armii Stanów Zjednoczonych od naczelnego dowódcy teatru działań wojennych w dół, do prostych żołnierzy. Plutonowy George Koskimaki ze 101 DPD zapisał w swoim pamiętniku 17 grudnia:

Kolejna spokojna niedziela.[...] Radio obwieściło, że Niemcy przypuścili duży atak na I Armie. No, nareszcie złamią kark³².

Zaskoczenie osiągnięto też dlatego, że szykujący atak Niemcy doskonale go maskowali i podsuwali liczne dezinformacje. Udało im się zebrać w Eifel dwie armie, a aliancki wywiad nawet tego nie spostrzegł. Umiejętnie operując natężeniem łączności radiowej, skierowali uwagę wywiadu Ike'a na obszar na północ od Ardenów, gdzie wszyscy spodziewali się niemieckiego kontrataku (bo żadnemu z alianckich wodzów nawet przez myśl nie przeszło, żeby Niemcy zdolni byli w ogóle do kontrofensywy). Pół roku wcześniej, przed D-Day, Ike i jego oficerowie mieli niemal doskonały obraz ugrupowania i zamiarów przeciwnika w Normandii. W grudniu, w wigilię niemieckiego ataku, ani Ike, ani jego oficerowie nie mieli pojęcia o tym, co dla nich szykuje nieprzyjaciel.

Alianci mylili się zasadniczo w swoich opiniach na temat niemieckiej woli walki, poziomu zaopatrzenia, odwagi Hitlera, umiejętności ofensywnych i planistycznych niemieckich sztabowców. Żaden z amerykańskich generałów w sztabie Ike'a nigdy nie musiał się bronić przed niemiecką ofensywą.

W rezultacie doszło do największej bitwy na froncie zachodnim w ciągu całej II wojny światowej, w których udział wzięły największe jak dotąd siły amerykańskie użyte do jednej bitwy. Straty były przerażające: z sześciuset tysięcy żołnierzy biorących udział w bitwie ardeńskiej zginęło niemal dwadzieścia tysięcy, następne dwadzieścia tysięcy trafiło do niewoli, a czterdzieści tysięcy odniosło rany. Dwie dywizje piechoty zostały doszczętnie rozbite. W jednej z nich, 106 DP, poddało się siedem i pół tysiąca ludzi - kolejny smutny rekord, największa liczba Amerykanów z jednego związku taktycznego, jaka kiedykolwiek poddała się do niewoli. Zniszczono ponad osiemset amerykańskich czołgów i pojazdów pancernych.

Bitwa rozpoczęła się w zimny, mglisty poranek 16 grudnia. Niemcy zdołali przełamać w wielu punktach słabo obsadzoną linię obrony amerykańskiego VIII Korpusu. Hitler liczył

³² Rapport i Northwood, *Rendezvous with Destiny*, s. 422.

na to, że zła pogoda pozbawi przeciwnika jedynej nad nim przewagi - uziemi alianckie lotnictwo. Na dole, w ludziach i czołgach miał zdecydowaną przewagę. Liczył też na zaskoczenie, które osiągnął, i na powolną reakcję Amerykanów. Zakładał, że Eisenhowerowi dwa lub trzy dni zajmie zorientowanie się w powadze sytuacji, następne dwa lub trzy przekonanie do swojej opinii przełożonych i odwołanie ofensyw zaplanowanych na północ i południe od Ardenów. Kolejne wreszcie dwa lub trzy dni miało zająć ściągnięcie w rejon walk znaczących posiłków. Przez te sześć do dziewięciu dni miał zamiar dojść już do Antwerpii.

I tu jego rachuby zawiodły na całej linii. Eisenhower już 17 grudnia rano podjął najważniejsze decyzje, które miały zasadnicze znaczenie dla całej bitwy ardeńskiej. Podjął je całkowicie samodzielnie, nie konsultując ich z nikim spoza własnego sztabu, ani w Londynie, ani w Waszyngtonie. Uznał węzeł drogowy w Bastogne za punkt, który musi być obroniony za wszelką cenę.

(Drogi zbiegają się w Bastogne, gdyż leży ono w wąskim pasie dolin pomiędzy stromymi zboczami gór). Z powodu przygotowań do ofensyw na północ i południe od Ardenów Ike nie dysponował żadnymi rezerwami strategicznymi, poza wypoczywającymi po walkach w Holandii dywizjami spadochronowymi. Nie miał innego wyjścia, jak tylko właśnie nimi zatkać dziurę w obronie i obsadzić Bastogne.

Ostateczny cios ofensywie zadała tajna broń Eisenhowera - dwuipółtonowa ciężarówka z napędem na wszystkie osie. Podczas gdy transport Wehrmachtu polegał głównie na trakcji konnej, Amerykanie mieli we Francji nieprzeliczone tysiące ciężarówek i przyczep. Przewożono nimi ludzi, zaopatrzenie, benzynę z plaż Normandii na linię frontu. Z rozkazu Ike'a wszystkie dostępne ciężarówki rzucono do ściągania zaopatrzenia i przerzutu jednostek na front ardeński.

Rezultaty tego rozkazu można określić jedynie słowem „niewiarygodne”. Tylko jeszcze tego samego 17 grudnia przewieziono tam jedenastoma tysiącami kursów ponad sześćdziesiąt tysięcy ludzi, wraz z amunicją, jedzeniem, paliwem, lekarstwami i wszelkim innym zaopatrzeniem. W ciągu pierwszego tygodnia Eisenhower był w stanie przerzucić w rejon walk ćwierć miliona ludzi i pięćdziesiąt tysięcy pojazdów. To była potęga motoryzacji, osiągnięcie, którego już nigdy nie powtórzono w historii wojen. Ani w Korei, ani w Wietnamie, ani nawet w czasie wojny w Zatoce Perskiej armia amerykańska nie była już w stanie przetransportować tak wielu ludzi i sprzętu w takim tempie.

Kompania E odegrała swoją rolę w tym dramacie dzięki wysiłkom Korpusu Transportowego i jego w większości czarnym kierowcom ciężarówek, słynnego Red Ball

Express. 17 grudnia o 20.30 do dowództwa dywizji nadeszły rozkazy Eisenhowera, by 82 i 101 DPD ruszały natychmiast na północ w kierunku Bastogne. Pułki, bataliony i kompanie postawiono w stan gotowości bojowej. Rano miały przyjechać ciężarówki, które zawiozą je na front. Carson miał jeszcze złudzenia:

- Beze mnie. Ja gram w pierwszy dzień świąt mecz futbolowy.

Porucznik Dike rozwiązał je bardzo szybko. Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania. W Mourmelon nie było składu amunicyjnego, ludzie posiadali tylko tę amunicję, z którą (nielegalnie) wrócili z Holandii. Kompanii brakowało zarówno ludzi, jak sprzętu do pełnych stanów etatowych, a nawet racji żywnościowych. Część żołnierzy nie miała hełmów (futbolowych było w bród, ale stalowych brakowało). Kompanii brakowało dwóch karabinów maszynowych wraz z obsługami. Żołnierze nie mieli zimowych mundurów, ciepłej bielizny ani wełnianych skarpet. Ich buty nie były ocieplane ani nawet impregnowane. Wszystko próbowano skądś wyrwać w ostatniej chwili, ale z miernymi efektami. Kompania E wyruszała na spotkanie Wehrmachtu prowadzącego swoją ostatnią największą ofensywę w tej wojnie w niepełnym stanie osobowym, niedostatecznie wyposażona i z brakami w uzbrojeniu.

Wyruszała właściwie w ciemno. Skoro nawet sam generał McAuliffe nie wiedział jeszcze, dokąd mieli jechać, pułkownik Sink nie miał nic do przekazania swoim dowódcom kompanii, w tym Dike'owi. Wszyscy wiedzieli tylko, że Niemcy wybili wielką dziurę w amerykańskich liniach, więc kimś trzeba ją było zatkać i padło na spadochroniarzy.

Pogoda wykluczała desant z powietrza, zresztą i tak nie byłoby skąd ściągnąć na czas wystarczającej liczby C-47 dla dwóch dywizji. Zamiast tego Korpus Transportowy, działając bardzo sprawnie w skrajnie nie sprzyjających warunkach, sprowadził swoje ciężarówki z całej Francji, ale głównie z rejonu Hawru i Paryża. Żandarmi zatrzymywali je na skrzyżowaniach, rozładowywali i kazali jechać kierowcom, niektórym od dawna w drodze i wycieńczonym, do Mourmelon po spadochroniarzy.

Ściąganie ciężarówek zaczęło się o zmroku 17 września. Od 9.00 następnego dnia ciężarówki i przyczepy przybywały nieprzerwanym strumieniem do Mourmelon, zabierając ludzi. Ostatnie z trzystu osiemdziesięciu ciężarówek, na które załadowano żołnierzy 101 DPD, przybyły około 17.20. Do 20.00 w koszarach nie było już ani jednego żołnierza.

Tuż przed odjazdem kompanii E Malarkeya ogarnęła panika. Przypomniał sobie o ponad trzech i pół tysiącu dolarów, którymi wypchał kieszonki pasa amunicyjnego. Zapytał o radę porucznika Comptona. Compton skierował go do dywizyjnego płatnika. W kasie powiedzieli mu, że mogą od niego przyjąć depozyt, ale będzie go mógł odebrać dopiero po demobilizacji. Malarkey nie miał nic przeciwko. Przeliczyli pieniądze, Malarkey dostał

pokwitowanie i schował je starannie. Wspiął się na przyczepę ciężarówki szczęśliwy, że po wojnie, kiedy pójdzie na studia w Uniwersytecie Oregonu, nie będzie musiał zmywać talerzy, żeby zapłacić chesne.

W drogę wyruszyli, jak wspomina szeregowy Freeman, „upchnięci jak sardynki”. Winters używa innego porównania: „Byliśmy jak zwierzęta, zapakowano nas jak bydło do wagonów kolejowych”. Kiedy ciężarówki wyruszyły, Carson pomyślał o treningu przed meczem, którego tak wyczekiwał, o ich obecnej sytuacji i zaczął śpiewać pod nosem piosenkę, zaczynając się od słów: „Zaledwie jeden dzień, a życie zmienić może...”

To nie były samochody przystosowane do przewozu ludzi - bez ławek, a resory pozostawiały wiele do życzenia. Na każdym zakręcie lecieli z nóg, na każdym wyboju podskakiwali. Ta podróż była szczególnie ciężka dla nerek i pęcherzy - którym można było ulżyć tylko wówczas, kiedy stawali w korku przed skrzyżowaniem - i dla nóg, na których stali. Zdecydowano się nawet na krok bez precedensu w historii frontowego transportu: odwołano zaciemnienie i pozwolono kierowcom włączyć światła, byle tylko mogli szybciej jechać w nocy. Zaciemnienie przywrócono dopiero na belgijskiej granicy.

Kiedy wyruszyli w drogę, VIII Korpus wreszcie zdecydował się, gdzie zrobi z nich użytek. 82 DPD miała jechać na północny skraj odcinka przełamania, pod St Vith, 101 DPD - do samego Bastogne.

Wiozące ich ciężarówki zatrzymały się kilka kilometrów przed miastem. Żołnierze zeskoczyli (czyli, jak to nazywali między sobą, „desantowali z kłapy”) z ciężarówek na ziemię, wreszcie mogli się załatwić, rozprostować kości. Ponarzekali i ustawili się w kolumnę, która pomaszerowała do Bastogne. Z daleka już słyszeli, że toczą się tam walki. „Znowu się zaczyna” - mruknął pod nosem szeregowy Freeman.

Kolumny pomaszerowały obiema stronami drogi, w kierunku linii frontu. Środkiem ciągnęła bezładna wataha zdemoralizowanych żołnierzy z rozbitych jednostek, uciekających z frontu; przerażona masa przypominająca bardziej bandę niż wojsko.

Parli do tyłu, porzucając wszystko, co im przeszkadzało w ucieczce: karabiny, płaszcze, oporządzenie, jakieś toboły, które teraz zaścielały drogę i pobocze. Wielu biegło w panice, wyczerpanych, z obłędem w rozszerzonych ze strachu oczach, krzycząc do maszerujących na front spadochroniarzy: „Uciekajcie! Uciekajcie! Zabijają was! Zamordują! Mają wszystko, czołgi, działa, karabiny maszynowe, samoloty, wszystko!”

„To było żałosne. Wstydziliśmy się za nich”, wspomina Winters.

Kompania E i reszta 2 batalionu weszła do Bastogne, witana przez mieszkańców częstujących ich tym, co mieli, głównie gorącą kawą zbożową. Wszystkich martwiła sytuacja z amunicją.

- Gdzie, do cholery, jest amunicja? Czym mamy walczyć? Gołymi rękami?

Kolbami? Bez nabojów nie da się walczyć!

Zaczęli zabierać ją hordzie ze środka drogi.

- Masz naboje? Granaty? Dawaj i spieprzaj, gdzie chcesz, tylko nie pętaj się pod nogami!

Ci, którzy jeszcze kontaktowali, oddawali je chętnie.

- Jasne, bracie, masz, bierz.

Gordon sarkastycznie zauważył, że oddając amunicję, pozbywali się ostatnich zobowiązań. No bo jakże mieli teraz iść do walki? Bez amunicji?

Tymczasem maszerujący na północny wschód z Bastogne żołnierze coraz wyraźniej słyszeli prócz dudnienia artylerii ogień z broni ręcznej. Gdzie, do cholery, jest ta amunicja?!

Podporucznik George C. Rice, odpowiedzialny za zaopatrzenie (S-4) Zespołu Desobry Grupy Bojowej B 10 DPanc (która pod ciężkim ogniem przeciwnika wycofywała się z Noville przez Foy), spotkał żołnierzy kompanii i dowiedział się od nich o brakach. Wskoczył do swojego jeepa i pojechał do Foy, skąd wrócił, wypakowawszy łazika skrzyniami nabojów w ładownikach do karabinu M1 i granatów. Rozdał wszystko, co przywiózł przechodzącym żołnierzom i kiedy przekonał się, że to kropla w morzu potrzeb, wrócił do Foy. Tym razem przyjechał, prowadząc równie wypakowanym jeepem ciężarówkę pełną skrzyń z nabojami. Cały ładunek, wysypany z ciężarówki przez jego ludzi, także rozszedł się błyskawicznie wśród przechodzących żołnierzy. Wszyscy jak jeden mąż, szeregowi i oficerowie, padli na kolana, wygrzebując ze śniegu cenną amunicję. Odgłosy walki i panika uciekających wyzwoliły w każdym przekonanie, że zbliża się walka, w której każdy nabój jest na wagę życia. Wszyscy wypychali ładownikami kieszonki pasów amunicyjnych, kieszenie spodni, kurtek, sypali je do chlebaków, nieraz zabierając tyle, że mieli kłopoty z powstaniem pod ciężarem tego bogactwa. A Rice kursował do Foy i z powrotem, aż w końcu wszyscy chętni się zaopatrzyli.³³

W miarę zbliżania się do Foy odgłosy bitwy się nasilały. 1 batalion 506 pps dotarł w tym czasie dalej, do Noville, i poniósł ciężkie straty w zaciętych walkach o to miasteczko. Pułkownik Sink postanowił pchnąć 3 batalion do Foy i użyć 2 batalionu do obrony prawego

³³ Rapport i Northwood, op. cit, s. 462.

skrzydła. Kompania E weszła na teren pokryty pasami lasu, oddzielającymi odkryte pola. Z lewej jej stanowiska dochodziły od wschodu do drogi z Bastogne przez Foy do Noville. Z prawej miała kompanię F, kompania D była w odwodzie.

Odgłosy bitwy zbliżały się. Z tyłu, na południe od Bastogne, Niemcy przecinali właśnie szosę i zamykali pierścień okrążenia wokół miasta. Kompania nie miała wsparcia ani artyleryjskiego, ani powietrznego. Brakowało nadal żywności, nie było granatów moździerzowych ani zataśmowanej amunicji do karabinów maszynowych, brakowało sprzętu i wyposażenia, zimowej odzieży, a przecież temperatura spadała coraz bardziej poniżej zera. Dzięki podporucznikowi Rice'owi mieli chociaż amunicję do karabinów M1 i granaty.

Kronika pułku Currahee zawiera taką oto wypowiedź oddającą to, co myśleli wszyscy żołnierze kompanii E, 2 batalionu, i pewnie całego 506 pułku:

Nie byliśmy specjalnie zachwyceni tym, że się tam znaleźliśmy. Pogłoski mówiły, że szkopy są wszędzie wokół i mocno biją. Dalecy byliśmy od myśli o tym, że można się wycofać, prawdę mówiąc, w ogóle nie powstała nam ona w głowie. Okopaliśmy się więc głęboko, starannie, i czekaliśmy. Nie na jakichś supermanów, tylko na wroga, któremu już dwa razy spuściliśmy manto i mieliśmy zamiar to powtórzyć. Siedzisz w swoim dole, patrzysz w lewo, patrzysz w prawo na kolegów, którzy też szykują się do walki i ufasz im. Wierzysz, że ani Bili z lewej, ani Joe z prawej cię nie zawiodą. Wiesz, że możesz na nich polegać. A w końcu, co ci innego pozostało?

OKRĄŻYLI NAS, DUPKI**Bastogne**

19 - 31 grudnia 1944

Dziewiętnastego grudnia kompania E zajęła pozycje na południe od Foy, tworząc część pierścienia obronnego wokół Bastogne. Wewnątrz pierścienia znajdowały się: 101DPD, Grupa Bojowa B10 DPanc i 463 Dywizjon Artylerii Polowej. Przeciwno tym siłom Niemcy rzucili aż piętnaście dywizji, w tym cztery pancerne, wspierane przez ciężką artylerię.

Walki były zacięte i pociągnęły za sobą duże straty. 19 i 20 grudnia 1 batalion 506 pps, wspierany przez Zespół Desobry Grupy Bojowej B z 10 DPanc walczył z niemiecką 2 DPanc w Noville, na północny wschód od Foy. Do wycofania z Foy 20 grudnia batalion stracił trzynastu oficerów oraz stu dziewięćdziesięciu dziewięciu szeregowych i podoficerów z ogólnej liczby około sześciuset ludzi. Wraz z Zespołem Desobry zniszczył co najmniej trzydzieści nieprzyjacielskich czołgów i zadał przeciwnikowi straty: od pięciuset do tysiąca zabitych i rannych. Co jednak znacznie ważniejsze, przez czterdzieści osiem godzin powstrzymał niemieckie natarcie, dając czas na wzmocnienie obrony Bastogne.

Kompania E i reszta obrońców bardzo potrzebowali tego czasu w płynnej i skomplikowanej sytuacji, jaka panowała w strefie obrony. Lewe skrzydło kompanii E opierało się o drogę z Bastogne do Noville, za którą zaczynały się stanowiska 3 batalionu. Kompania D na prawym skrzydle 2 batalionu broniła odcinka dochodzącego do stacji kolejowej w Halt, ale nie miała styczności z sąsiadującym 501 pps. Winters obawiał się, że batalion zajął niewłaściwy rejon i wysłał do sztabu pułku Nixona, by to sprawdził. Okazało się, że batalion jest rozmieszczony tam, gdzie powinien.

Kompania E okopała się na skraju lasu, powyżej pastwisk łagodnie opadających w kierunku wioski Foy, oddalonej o prawie kilometr. To był młody las sosnowy, pnie drzew sadzonych w równych rzędach miały po dwadzieścia, dwadzieścia pięć centymetrów grubości. Główna rubież obrony wytyczona była kilka metrów w jego głębi, na skraju lasu wykopano okopy dla wysuniętych posterunków. Winters rozłożył się z dowództwem batalionu tuż za okopami kompanii, na południowym skraju lasu. Pierwsza noc była spokojna. Walki toczyły się w Noville, cztery kilometry dalej.

O świcie 20 grudnia nad lasem i polami wisiała gęsta mgła. Winters wstał, wygrzebał się ze swojego okopu i rozejrzył się po okolicy. Mgła, las, okopy, niemiecki żołnierz... Co?! Spojrzał raz jeszcze. Nie było wątpliwości. Z lasu po lewej wychodził niemiecki żołnierz w długim płaszczu, głębokim hełmie, bez tornistra i karabinu. Wyszedł na środek polany. Dwaj żołnierze z sąsiedniego okopu podrzucili do ramion karabiny, ale machnął do nich ręką, żeby nie strzelali. We trzech śledzili każdy ruch Niemca. A ten rozpiął i zrzucił płaszcz, spuścił spodnie i kucnął. Dali mu spokojnie zrobić, co trzeba, i dopiero kiedy skończył, Winters zawołał po niemiecku:

- *Kommen Sie hier!*

Zaskoczony Niemiec podniósł ręce, widząc dwa wycelowane w siebie karabiny, i posłusznie podszedł do Wintersa. Kapitan przewrócił mu kieszenie, ale jedyne, co znalazł, to kilka zdjęć i pajdę czarnego komiśniaka. Winters skomentował:

- Pomyślcie tylko, szkop poszedł się wysrać, o świcie we mgle zgubił drogę, przeszedł przez nasze linie, koło stanowiska dowodzenia kompanii, i wylazł na tyły sztabu batalionu. Fajną mieliśmy obronę tej pierwszej nocy, nie ma co.

Nie tylko Niemcy gubili się tego pierwszego dnia. Sanitariusz Ralph Spina i szeregowy Ed „Babe” Heffron wybrali się do Bastogne po materiały opatrunkowe. W punkcie opatrunkowym Spina dostał tylko część tego, co chciał (101 DPD już pierwszego dnia brakowało środków medycznych - był to poważny problem, który potem jeszcze się nasilał). Będąc w mieście, skorzystali z okazji do zjedzenia ciepłego posiłku i w końcu, z ociąganiem, bo przy piecu było ciepło, ruszyli w powrotną drogę.

Robiło się ciemno, więc Heffron, zaprawiony w nocnych marszach, zaproponował pójście na skróty przez las. Spina zgodził się i ruszyli. Heffron prowadził. W pewnej chwili wpadł do jakiejś dziury, z której dobiegł okrzyk zaskoczenia, po czym jakiś głos spod nóg Heffrona zapytał:

- *Hinkel, Hinkel, bist das Du?*

Heffron wyskoczył czym prędzej z niemieckiego okopu i biegiem ruszył w przeciwnym kierunku, krzycząc przez ramię:

- Hinkel? Takiego wała, szkopski palancie!

Po jakimś czasie odnaleźli właściwy kierunek i tym razem udało im się bez dalszych przygód dotrzeć na pozycje kompanii E.

Spina, relacjonując ten incydent, powiedział: „Aż do dzisiaj, za każdym razem, kiedy spotykam Babe'a, nie omieszkałam zapytać, co słyhać u Hinkla i czy go ostatnio spotkał”.

Sanitariusze cieszyli się w kompaniach wielką popularnością, szacunkiem i wdzięcznością. Ich jedyną bronią była apteczka. Na pierwszej linii nie mieli swoich stałych okopów - szli wszędzie tam, gdzie ktoś ranny ich wzywał. Porucznik Foley miał specjalne słowa pochwały dla szeregowego Eugene'a Roego. „Zawsze był tam, gdzie go potrzebowano, i często zachodziliśmy w głowę, jak on się tam dostaje. Nigdy nie doczekał się żadnego odznaczenia za swe męstwo, za odważne niesienie pomocy rannym. Przedstawiłem go do odznaczenia Srebrną Gwiazdą za jego wspaniałą postawę w pewnej szczególnie zaciętej potyczce. Nie wiem, może nie dobrałem właściwych słów, może porucznik Dike nie poparł wniosku, a może gdzieś wyżej ktoś to odłożył na bok. Nie mam pojęcia. W każdym razie do dziś uważam, że jeśli ktokolwiek zasłużył na medal za walkę w śniegu i błocie, na mrozie, pod ogniem w niezliczonych atakach przez las i otwarte pola, to właśnie nasz sanitariusz, Eugene Roe”.

Dwudziestego grudnia resztki 1 batalionu i Zespołu Desobry wycofały się z Noville, przechodząc do odwodów dywizji. Kompania E oczekiwała w napięciu na atak. Niemcy jednak ponieśli tak wielkie straty w walce z 1 batalionem, że skierowali swoje natarcie na inne sektory linii obrony. Na stanowiska kompanii spadło mnóstwo pocisków artyleryjskich i moździerzowych, ale natarcia piechoty nie było.

Dwudziestego pierwszego grudnia padał miękki, suchy śnieg. Padał i padał. Piętnaście centymetrów, trzydzieści centymetrów. Temperatura spadła do kilkunastu stopni poniżej zera, wiał ostry - nawet tu, w lesie - wiatr. Ludzie marzli bardziej niż kiedykolwiek. Nadal mieli na nogach tylko letnie buty skoczka i ubrani byli w cienkie mundury i płaszcze. Wysłani do Bastogne łącznicy wrócili z workami po mące i prześcieradłami, które dały choć trochę ciepła i pomogły w kamuflażu. W okopach i na wysuniętych posterunkach żołnierze owijali się kocami, okręcając buty jutowymi workami. Na śniegu jednak worki namakały, zimno przenikało do kości. Dreszcze stały się sprawą równie naturalną, co oddychanie. Żołnierze wyglądali jak z obrazka - tyle że był to obrazek z książki do historii, ukazujący powstańców Waszyngtona zimujących w Valley Forge³⁴. Jedyną różnicą było to, że nie mieli tu chat i nie mogli palić ognisk, a na głowy bez przerwy sypały im się pociski artyleryjskie.

Pułkownik Ralph Ingersoll, oficer wywiadu 1 Armii, tak opisuje dojmujące zimno ardeńskiej bitwy:

Jadąc przez Ardeny, miałem na sobie wełnianą bieliznę, wełniany mundur, kombinezon czółgowy, sweter, pancerniacką wiatrówkę ze ściągaczami w mankietach, szalo-

³⁴ Słynne z przerażających warunków leże zimowe, w którym Armia Kontynentalna Waszyngtona spędziła zimę z 1777 na 1778 rok [przyp. tłum.].

*kominiarkę, płaszcz z podpinką, dwie pary grubych skarpet i buty polowe z założonymi na nie kaloszami - i wcale nie pamiętam, żeby mi choć raz było ciepło*³⁵.

Żołnierze kompanii E nie mieli ani skarpet, ani kaloszy, ich stopy były bez przerwy przemoczone i zmarznięte, więc wkrótce zaczęły się kłopoty z trapiącą żyjących w okopach chorobą, którą poznali już ich ojcowie - ze „stopą okopową”. Kapral Carson wspomina, że uczono zapobiegania jej przez masowanie stóp. Zdjął więc buty i zaczął masować stopy. Kiedy to robił, nadleciał niemiecki pocisk i uderzył w drzewo nad nim. Odłamki poszarpały mu stopę i udo, trzeba go było odesłać do Bastogne.

„W szpitalu rozejrzałem się wokół i w życiu nie widziałem tylu rannych w jednym miejscu. Zawołałem sanitariusza.

- Stary, jak to się stało, że tu jest tylu rannych? Nie dałoby się ich jakoś ewakuować?

- Nie słyszałeś?

- Czego? Nie mam o niczym pojęcia.

- Okrążyli nas, dupki.

Generał McAuliffe zadbał o to, by ranni mogli się pocieszyć choćby alkoholem. Sanitariusz rozniósł go po sali i Carsonowi przypadła niewielka butelka likieru miętowego. „Nawet nie wiedziałem, co to takiego, ale do tamtego dnia lubiłem likier miętowy”.

W nocy Luftwaffe zbombardowała Bastogne. Carson pamiętał, by dla ochrony przed wstrząsami stanąć na czworakach. Zrobiło mu się niedobrze. „Bogu dzięki za to, że miałem hełm. Wypiłem już prawie połowę tego miętowego świństwa i to, co wyrzygałem, miało intensywnie zielony kolor”.

Kompania E jadła głównie żelazne racje K, których jednak w Mourmelon nie wydano dosyć, by starczyły dla wszystkich żołnierzy. Kucharze próbowali dostarczać ciepłe posiłki na pierwszą linię po zmroku, ale zanim tam dotarli, jedzenie dawno ostygło. W dodatku dieta ta w większości składała się z białej fasoli, co prowadziło do, jak to ujął plutonowy Rader, „erupcji, których intensywności nie sposób zapomnieć”. Kucharz Joe Domingus znalazł w mieście trochę tłuszczu cukierniczego i otrąb, z których zaczął wypiekać placki, ale one też były już zamrożone na kość, zanim dotarły do okopów. Żołnierze mieszały lemoniadę w proszku ze swoich racji ze śniegiem, robiąc sobie rodzaj sorbetu na deser.

W dzień życie na linii frontu było nędzne, ale noce były jeszcze gorsze. Ostrzał nie trwał bez przerwy, ale co jakiś czas otwierały ogień karabiny maszynowe. Wraz ze zmrokiem milkli snajperzy, dający się we znaki przez cały dzień, za to napiętą, wręcz dzwoniącą nocną

³⁵ Rabh Ingersoll. Top Secret, New York, 1946.

ciszę od czasu do czasu przerywał świst spadających pocisków moździerzowych. Huk ich wybuchów mieszał się z krzykami rannych i rozkazami dowódców, którzy kazali wypatrywać szturm. A potem znowu pełna napięcia przerażająca cisza.

Co dwie godziny podoficerowie dyżurni budzili dwóch żołnierzy i prowadzili ich na wysunięte posterunki, żeby zmienili dyżurujących tam kolegów. Christenson wspomina: „Taka wycieczka na wysunięty posterunek była niesamowitym przeżyciem. Wypatrujesz oczy w ciemności, usiłując rozpoznać każdą pojawiającą się w mroku sylwetkę, nadstawiasz uszu na najmniejszy szmer, we wszystkim wietrzysz niebezpieczeństwo. W końcu, ociągając się, docierasz do posterunku. Widać dwie zamazane sylwetki. [...] I zawsze ta niepewność: nasi czy szkopy? Za każdym razem to samo napięcie. [...] W końcu rozpoznajesz krągłości amerykańskiego hełmu. Czujesz się jak idiota, że mogłeś coś podejrzewać, tamci dwaj wstają, dwaj nowi ich zastępują, a ty wracasz do swojego okopu tylko po to, żeby za dwie godziny wstać i od nowa zacząć całą szopkę”.

W okopach żołnierze próbowali zasnąć choć na krótko, co było trudne w panującej tam ciasnocie (dwuosobowy okop indywidualny miał wymiary metr osiemdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów i około metra do półtora głębokości). Ciasnota miała przynajmniej tę zaletę, że obaj żołnierze mogli się nawzajem ogrzewać ciepłem swoich ciał. Heffron i jego sąsiad z okopu, szeregowy Al Vittore, zdołali zasnąć drugiej nocy. Heffron obudził się, gdy Vittore przez sen zarzucił na niego nogę. Kiedy jednak chwilę później zaczął go gładzić po piersi, Heffron nie wytrzymał i szturchnął go łokciem w brzuch. Vittore obudził się i zapytał, co się dzieje. Wciąż jeszcze senny doszedł do siebie, słuchając potoku wyzwisk Heffrona i powoli doszło do niego, co się stało. Roześmiał się, przeprosił i powiedział, że śniła mu się żona, którą zostawił w Stanach. Heffron odparł:

- Przepraszam cię, Al, nic na to nie mogę poradzić. Mam na sobie buty, kombinezon, płaszcz i nie mam zamiaru tego wszystkiego zdejmować, bo i tak mi tyłek zamarznie, zanim z niego skorzystasz.

W innych okopach żołnierze rozładowywali napięcie, prowadząc długie rozmowy. Rader i Don Hoobler pochodzili z tego samego miasteczka na błotnistym brzegu rzeki Ohio. „Don i ja po całych nocach gadaliśmy o domu, naszych rodzinach, ludziach i miejscach, a przede wszystkim o tym, co my tu, do cholery, robimy w tym zamarznętym graj dole”.

Spina pamięta dyskusje w okopie: „o polityce, problemach świata i naszych własnych. Marzyliśmy o drinku i ciepłym posiłku, najchętniej w tej właśnie kolejności. Planowaliśmy, co zrobimy, kiedy wrócimy do domu, a także wypadu do Paryża za tydzień czy dwa, z obowiązkową wizytą w Follies Bergere. Ale przede wszystkim mówiliśmy o domu”.

Sierżant Toye, który już wrócił ze szpitala, bardzo nie lubił chwil ciszy pomiędzy kolejnymi moździerzowymi nawałami. Zagłuszał je śpiewem, a najbardziej lubił śpiewać piosenkę *I'll be seeing you*. Heffron kazał mu się zamknąć, bo go szkopy usłyszą. Toye, niezrażony, śpiewał dalej. Według Heffrona było to straszne przeżycie, bo „Joe był od cholery lepszym żołnierzem niż śpiewakiem”.

Siedzenie w okopie było złe, służba na wysuniętym posterunku jeszcze gorsza, ale najgorzej było iść na patrol i samemu szukać guza. Ktoś to jednak musiał robić. To właśnie niechęć VIII Korpusu do aktywnego patrolowania oraz niezdolność do rozpoznania ugrupowania i zamiarów przeciwnika, po części wynikająca z braków w stanach osobowych oddziałów, umożliwiła Niemcom skryte ściągnięcie sił i zaskakujący atak 16 grudnia.

Dwudziestego pierwszego grudnia porucznik Peacock posłał sierżanta Martina do okopów 1 plutonu. Sierżant każdemu napotkanemu plutonowemu i kapralowi przekazywał rozkaz zwołania odprawy podoficerów plutonu.

Kiedy zebrali się na stanowisku dowodzenia Peacocka, dowódca plutonu, spięty jak zawsze, ogłosił:

- Spocznij. Batalion chce wysłać pluton na rozpoznanie walką i padło na nas.

Przerwał, wszyscy milczeli, więc porucznik kontynuował:

- Wiemy, że szkopy są gdzieś w tym lesie przed nami, ale nie wiadomo ani ilu, ani gdzie, nie mamy pojęcia o rozmieszczeniu ich stanowisk i posterunków. Naszym zadaniem będzie zebrać te informacje i jeśli się uda, wziąć jeńca.

Pytania?

Pytań było mnóstwo. Christenson spytał:

- Jaki jest plan naszego ataku?

Mucka interesowało rozmieszczenie drużyn, żeby ich nie poharatać ze swoich moździerzy.

- A co będzie, jak się pogubimy w tym lesie? - zastanawiał się dowódca drugiej drużyny, Randleman.

Peacock nie miał gotowej odpowiedzi na żadne z tych pytań.

- Kiedy dotrzemy do lasu, będziecie wiedzieć, co robić.

Christenson nie posiadał się z oburzenia. „Pomyślałem: A to sukinsyn! Nie ma zielonego pojęcia o tym, co robi, i wysyła nas w pole. Następny spieprzony od góry do dołu plan naszych drogich wodzów! SNAFU³⁶, i tyle”.

- Wyruszamy o 13.00 - stwierdził na koniec Peacock.

Christenson był nie najlepszej myśli o planowanym patrolu.

„O w mordę! Ruszamy na patrol prowadzeni przez samego Pana Niezdecydowanego, mamy przejść niemieckie linie bez żadnego jasnego planu i w dodatku w biały dzień. Jeden wielki rażący taktyczny błąd”. Swoje myśli Christenson zachował jednak dla siebie. Wrócił do okopu. Kazał żołnierzom pobrać amunicję i szykować się do wyruszenia o 13.00.

O 12.00 pluton wycofał się kilka metrów poza linię obrony, gdzie ojciec Maloney udzielił im absencji. Kiedy ci, którzy mieli na to ochotę, przystąpili już do komunii, kapelan życzył wszystkim powodzenia.

Tuż przed 13.00 pluton zebrał się w lesie za własnymi okopami. Według Christensona Peacock wyglądał „jak przerażony królik”. Nie miał żadnych szczegółowych rozkazów do wydania, nie zdradził ani słowem, że ma jakiś plan. Po prostu powiedział: „No dobra, ruszamy”.

Pluton skierował się na skraj prawego skrzydła rejonu obrony batalionu, do linii kolejowej. Przeszli przez pozycje kompanii D i ruszyli przed siebie, mając tor kolejowy z prawej i las z lewej. Szli powoli, szeregiem, często się zatrzymując. Około dwustu metrów przed własnymi liniami Peacock ponownie wezwał do siebie podoficerów. Wydał rozkazy: każda drużyna przeformuje się w kolumnę dwójek, kolumny drużyn ustawią się jedna obok drugiej, każda wyśle przodem dwóch szperaczy i ruszą przez las, aż wreszcie któraś nawiąże kontakt z nieprzyjacielem.

Pluton się przeformował i wszedł do lasu. Kolumny natychmiast utraciły kontakt wzrokowy ze sobą i ze szperaczami. Śnieg był miękki, nie zmrożony, więc na szczęście nie chrząścił pod stopami. Panowała kompletna cisza. Po chwili przerwała ją seria z niemieckiego karabinu maszynowego. Szeregowy John Julian, szperacz 2 drużyny, został trafiony w szyję, ranny został także szeregowy James Welling, szperacz 3 drużyny.

Obsługi karabinów maszynowych plutonu rozstawiły swoje Browningi i odpowiedziały ogniem. Szeregowy Robert Burr Smith z 1 drużyny oddał długą serię w kierunku, skąd było słyhać niemieckie strzały. Kiedy przerwał, niemiecki karabin

³⁶ SNAFU - popularny wśród amerykańskich, a za ich przykładem wśród pozostałych zachodnich aliantów skrót wyrażenia Situation Normal, All Fucked Up - czyli „jak zwykle wszystko spieprzone” [przyp. tłum.].

maszynowy strzelał dalej. Christenson zawołał Martina. Żadnej odpowiedzi. Randlemana - to samo. Peacocka - też cisza. I tylko coraz więcej niemieckiego ognia.

Christenson uznał więc, że 1 pluton został zdziesiątkowany. Raz jeszcze zaczął wołać. Z lasu nadszedł Bull Randleman i Christenson spytał go, czy wie coś o Martinie i Peacocku. Randleman także ich nie widział. Kolejna seria oprószyła ich strąconym z gałęzi śniegiem.

- Trzeba się stąd gdzieś ruszyć - doszedł do wniosku Randleman.

Wraz z Christensonem zaczął wzywać Martina. Bezskutecznie.

- Spieprzajmy stąd - postanowił Christenson.

Bull zgodził się z nim. Zwołali swoich ludzi i zaczęli odskok w kierunku torów kolejowych. Tam spotkali Martina, Peacocka i resztę plutonu.

Patrol nie zakończył się wielkim sukcesem. 1 pluton rozpoznał stanowiska obronne Niemców i stwierdził, że linia jest słabo obsadzona, a wysunięte posterunki szeroko rozrzucone, ale zapłacił za to stratą jednego zabitego (Julian) i jednego rannego. Nie przyprowadzili też języka. Noc spędzili w zimnych okopach, jedząc zimną fasolę i otrębowe placki, zastanawiając się, czy pogoda kiedykolwiek przejaśni się na tyle, żeby 101 DPD mogła przyjąć zrzut zaopatrzenia z powietrza.

Dwa następne dni były niemal identyczne. Kompania wysyłała swoje patrole, Niemcy swoje. Czasem kilka pocisków z moździerza. Sporadyczna wymiana ognia karabinów maszynowych. Mróz. Brak środków medycznych. Brak gorących posiłków. Ciągłe dreszcze z zimna zżerały energię, której nie było czym uzupełnić. Podoficerowie niemal nie spali. O przeżyciu decydowała szybkość reakcji, a oni byli skostniaли z zimna.

Wybuchy pocisków wśród gałęzi siały z góry deszczem zabójczych odłamków, drzazg, połamanych pni i gałęzi. Żołnierze próbowali się przed nimi zabezpieczać, zadaszając okopy balami drewnianymi, ale bez siekier była to trudna robota. Jeden z nich poradził sobie, używając do zadaszenia dwóch czy trzech niemieckich trupów.

Do białej gorączki doprowadzała ludzi bezsilność, niemożność odpowiedzenia ogniem artylerii na niemiecki ostrzał. Obsady wysuniętych posterunków kompanii z zazdrością patrzyły na nieprzerwany ruch niemieckich ciężarówek i czołgów, dowożących na linię frontu amunicję i jedzenie, których im tak brakowało. W Bastogne Amerykanie mieli wiele dział, w tym haubice kalibru 105 i 155 mm. Przez pierwszych kilka dni oblężenia aktywnie uczestniczyły one w obronie, prowadząc ogień „dookoła kompasu”, we wszystkich kierunkach, z których atakowano oblegane miasto. Zapasy amunicji wyczerpały się jednak około 23 grudnia. Winters dowiedział się, że działko, które miało wspierać lewe skrzydło jego obrony na drodze z Foy do Bastogne, miało zapas zaledwie trzech pocisków. Zachowywano

je w rezerwie do obrony na wypadek pancernego ataku wzdłuż tej drogi. Innymi słowy - zarówno kompania E, jak 2 batalion były pozbawione wsparcia artylerii w chwili, kiedy do moździerzy w kompanii zostało po sześć granatów, każdemu żołnierzowi po jednym bandolierze do karabinu M1 i po skrzynce amunicji do karabinu maszynowego.

Tego dnia jednak ustały opady śniegu, niebo się przejaśniło i C-47 zrzuciły zaopatrzenie: lekarstwa, jedzenie i amunicję. Amerykańska artyleria zaczęła znowu strzelać, kładąc kres bezczelnej niemieckiej krzątaninie w biały dzień.

Widok wybuchów na niemieckich pozycjach, dystrybucja racji żywnościowych i amunicji znacznie poprawiły morale obrońców. Zrzuty nie zdołały jednak zlikwidować wszelkich niedostatków. Amunicji karabinowej nadal brakowało do pełnej jednostki ognia do karabinów M1 i kaemów. Dwadzieścia cztery tysiące czterysta sześć racji K, które dotarły tego dnia do Bastogne, z ledwością pokryły dzienne zapotrzebowanie. Nadal nie wystarczało też koców dla wszystkich.

Oficerowie z niepokojem wypatrywali oznak załamania wśród żołnierzy. Kiedy Winters wyczuł, że szeregowy Liebgott doszedł do krawędzi, odesłał go do stanowiska dowodzenia batalionu, gdzie pełnił obowiązki łącznika. Liebgott mógł trochę odpocząć od napięcia panującego na pierwszej linii. Winters wspomina, że „w tej sytuacji nawet pięćdziesiąt metrów za linią frontu robiło olbrzymią różnicę”.

Pokusa pozostania z tyłu, kiedy wyruszał patrol, była bardzo silna. Jeszcze silniejsza, żeby się wyrwać z frontu do zacisznego szpitala na tyłach z powodu stopy okopowej, odmrożeń czy biegunki. A jednak ludzie pozostawali na stanowiskach. Jak oceniał Winters: „Gdyby wszyscy, którzy teoretycznie mieli pełne prawo pójść do szpitala, skorzystali z niego, linia frontu przestałaby w ogóle istnieć - zamieniłaby się w linię wysuniętych posterunków”.

Silna była też pokusa opuszczenia linii frontu na dobre, wskutek samookaleczenia. Aż do ósmej rano było ciemno, choć oko wykol. Ciemno z powrotem robiło się około 16.00. W ciągu tych szesnastogodzinnych nocy w ciasnych, zimnych okopach (które jeszcze się kurczyły w nocy od narastającego na ścianach lodu) ciężko było nie myśleć o tym, jak łatwo sobie wpakować kulę w stopę. Trochę bólu, którego zresztą na tym mrozie i tak za bardzo nie odczuwano, i już człowieka zanoszą do Bastogne, gdzie czeka ciepły szpital, gorący posiłek, suche łóżko, cisza, spokój. Raj.

Nikt z żołnierzy kompanii nie uległ tej pokusie, choć wielu miało z tym poważne problemy. Jeden z nich zdjął w nocy buty i skarpety, pragnąc doznać odmrożeń, a w ich następstwie wyrwać się z pierwszej linii. Inni, czekając na legalny powód do ewakuacji, pozostali na froncie.

Winters wspomina: „Każdy człowiek, który oberwał na tyle mocno, że go trzeba było ewakuować, wydawał się z tego powodu szczęśliwy, a my cieszyliśmy się razem z nim. Dostawał bilet do szpitala, na tyły, a czasem nawet do domu i wracał żywy. A kiedy ginął, miał zwykle bardzo spokojny wyraz twarzy. Jego cierpienie dobiegło końca”.

O świcie w wigilię Bożego Narodzenia Winters przeprowadził inspekcję pierwszej linii obrony. Przechodząc koło kaprała Gordona, zauważył, że „głowę miał owiniętą wielkim ręcznikiem, na który nasadził zewnętrzną skorupę hełmu. Walter siedział na krawędzi okopu, za swoim karabinem maszynowym. Wyglądał, jakby już zamarł na sople lodu, ze wzrokiem tępo wbitym przed siebie, w las po drugiej stronie. Zatrzymałem się, obejrzałem się na niego przez ramię i nagle uderzyło mnie coś, czego przedtem w nim nie dostrzegałem. Na Boga, on dojrzał! To dorosły mężczyzna!”.

Pół godziny później, o 8.30, Gordon zaparzył sobie kubek kawy. Zmieloną kawę miał zawsze przy sobie w kartonowym pojemniku transportowym, w które pakowane były granaty w skrzynce. „Nabrałem śniegu w kubek od manierki, stopiłem go i zagrzałem na swoim małym benzynowym prymusie, a następnie zaparzyłem kubek wspaniałej kawy”.

Gordon odgarnął śnieg ze swojego karabinu maszynowego i stojącej obok skrzynki z taśmą, po czym poinstruował swego amunicyjnego, szeregowego Stephena Grodzkiego, żeby uważnie lustrował przedpole, bo nie chce się polać kawą, gdyby nagle ni stąd, ni z owad zaczęła się strzelanina. W tym momencie gruchnął strzał niemieckiego snajpera. Pocisk trafił Gordona w lewe ramię i wyszedł przez prawe. Po drodze drasnął rdzeń kręgowy - na tyle jednak silnie, by spowodować częściowy paraliż, od szyi w dół. Gordon osunął się na dno okopu. „Kubek poleciał razem ze mną i gorący płyn rozlał mi się na podołek. Po dziś dzień widzę ten słup pary, podnoszący się znad moich spodni i brzucha”.

Taylor i Earl McClung ruszyli na poszukiwania snajpera, który do niego strzelił. Znaleźli go i zabili. Shifty Powers był w sąsiednim okopie. Tak jak miał na to nadzieję Shames, Powers wyzdrowiał kompletnie po swoim zranieniu. Pochodził z Wirginii i za młodu niezliczone godziny spędzał, polując na wiewiórki. Pozostała mu po tych polowaniach niesamowita spostrzegawczość. Potrafił wyśledzić najmniejsze poruszenie wśród gałęzi. Chwilę po trafieniu Gordona, kiedy ruszyła oblawa na snajpera, zauważył jakiś ruch w koronie drzewa po drugiej stronie łąki. Podrzucił karabin, strzelił i coś się zakotłowało wśród gałęzi. W kaskadzie strąconego śniegu spadł z niego martwy Niemiec.

Paul Rogers, najlepszy przyjaciel Gordona, Jim Alley i jeszcze jeden żołnierz 3 plutonu, ruszyli na ratunek rannemu koledze. Wyciągnęli go z jego okopu i na płaszczu odholowali w głąb lasu, „niby pokonanego gladiatora, którego ściągają z areny” - jak potem

skomentował sam Gordon. Zasłonięci przed ogniem innych snajperów, ułożyli go i pobieżnie zbadali. Po chwili pojawił się sanitariusz, szeregowy Roe. Na pierwszy rzut oka ocenił, że sprawa jest poważna. Podał mu morfinę i zaczął się szykować do podania plazmy.

Pojawił się sierżant Lipton, pytając, czy może w czymś pomóc. „Twarz Waltera była blada, popielata, oczy zamknięte. Nie wyglądało to najlepiej”. Zamrożona plazma z trudem, jak mu się wydawało, przepływała przez kroplówkę, więc wziął butelkę z plazmą od Roego i rozpiąwszy kurtkę, wsadził ją sobie pod pachę, żeby się ogrzała. „Patrzyłem właśnie po raz kolejny na twarz Waltera, kiedy otworzył oczy.

- Jak się czujesz, Walter?

- Lipton - odparł zadziwiająco silnym głosem - stoisz mi na ręce.

Odskokczyłem jak oparzony, o mało nie wrywając mu z żyły kroplówki, spoj rzałem w dół i okazało się, że ma rację. Rzeczywiście stałem na jego ręce”.

Wkrótce pojawił się wezwany przez radio jeep, który zabrał nosze z Gordonem do punktu opatrunkowego.

Tymczasem trwał niemiecki atak, nasilała się wymiana ognia. W końcu udało się go odeprzeć, zadając przeciwnikowi duże straty dzięki celnemu ogniovi karabinów, karabinów maszynowych i moździerzy kompanii, przy wsparciu artylerii. Po walce Lipton naliczył na przedpolu trzydzieści osiem niemieckich trupów. Także porucznik Welsh został ranny i ewakuowany do Bastogne.

Po południu w Wigilię na pierwszą linię dotarły życzenia od generała McAuliffe'a.

Spytacie, co w te święta wesołego? Ano rzeczywiście niewiele, ale może chociaż fakt, że udało nam się zatrzymać i odrzucić wszystko to, co Niemcy na nas rzucili z północy, wschodu, południa i zachodu. Po drugiej stronie frontu zidentyfikowano cztery dywizje pancerne, dwie piechoty i jedną spadochronową. [...] Niemcy nas okrążają, ich radio nie milknie, wieszcząc naszą zagładę. Ich dowódca śmiało zażądał naszej kapitulacji, przysyłając następujące słowa bezczelnej arogancji [tu następowały cztery linijki tekstu proklamacji skierowanej do „amerykańskiego dowódcy oblężonego miasta Bastogne” od „niemieckiego dowódcy”, żądającej „kapitulacji na honorowych warunkach dla ratowania okrążonych wojsk amerykańskich od totalnej zagłady”. Datowane 22 grudnia].

Niemiecki dowódca otrzymał właściwą odpowiedź na swój apel o treści następującej: „22 grudnia 1944. Do niemieckiego dowódcy: GÓWNO! Dowódca amerykański”. Dajemy naszemu krajowi i naszym bliskim w domu cenny prezent gwiazdkowy, a szansa udziału w tym

wspaniałym czynie zbrojnym, dzięki któremu jest to możliwe, wystarczy, by uczynić te święta naprawdę wesółymi. A.C. McAuliffe, gen. bryg.³⁷

Ludzie na pierwszej linii byli zadowoleni jakby trochę mniej od pana generała. Ich wieczerza wigilijna składała się z zimnej białej fasoli, podczas gdy sztab wyprawił ucztę z pieczonym indykiem, podanym na stole przykrytym obrusem, udekorowanym małą choinką, zastawionym porcelaną i z pięknymi sztucami³⁸.

Na pierwszej linii plutonowy Rader miał wyrzuty sumienia, że w Wigilię będzie musiał wyznaczać ludziom służbę na wysuniętych posterunkach. Kiedy podzielił się tymi wątpliwościami z kapralem Donem Hooblerem, kolegą jeszcze z dzieciństwa, ten zaproponował:

- To chodź, sami je obsadzimy. Zrobimy chłopakom prezent.

Rader zgodził się.

Kiedy zapadł zmrok, ruszyli naprzód. Było strasznie zimno, a ostry wiatr sprawiał, że temperatura sięgała piętnastu stopni poniżej zera. „Tej nocy wspominaliśmy swoje domy, nasze rodziny, święta i Wigilie z dzieciństwa. Don był pewien, że wszyscy tam teraz modlili się za nas”.

W pierwszy dzień świąt Niemcy znowu atakowali, ale na szczęście dla kompanii E - z drugiej strony Bastogne. Następnego dnia 3 Armia Pattona, z nacierającym na czele 37 batalionem czołgów podpułkownika Creightona Abramsa, przełamała niemieckie linie. 101 DPD nie była już otoczona, miała bezpośrednią styczność z oddziałami amerykańskimi i otrzymywała zaopatrzenie drogą lądową. Ciężarówki wkrótce dowiozły brakującą żywność, leki i amunicję. Ranni zostali ewakuowani na tyły.

Powrócił też generał Taylor. Przeprowadził inspekcję linii frontu. Winters wspomina, że generał „udzielił wówczas kilku błyskotliwych rad. Przed opuszczeniem pozycji kompanii wskazał na las przed nami i nie znoszącym sprzeciwu głosem orzekł:

- Na ten las przed wami trzeba uważać!

³⁷ Rapport i Northwood, op. cit., s. 545.

³⁸ Na stronie 549 *Rendezvous with Destiny* zamieszczone jest zdjęcie tej kolacji. Twarze oficerów są ponure, ale żołnierze słusznie wskazują na luksusowe (wszystko jest względne, luksus też) otoczenie. Jednym z uczestników był ppłk (potem gen. por.) Harry W.O. Kinnard. Dwadzieścia lat po wojnie, udzielając okolicznościowego wywiadu, Kinnard rzekł: „Nawet przez chwilę nie przeszło nam przez myśl, że moglibyśmy ulec. Przecież odpieraliśmy wszystkie ataki, które na nas przypuszczali. Broniliśmy się w mieście, mieliśmy domy, było nam ciepło. To oni atakowali z pół, brnąc w śniegu i marznąc”. Każdy z żyjących jeszcze żołnierzy kompanii E przysłał mi kopię tego wycinka, dołączając komentarze, z których najłagodniejszy był następujący: „Czy ten dupek był na pewno w tej samej bitwie, co my?”. Wigilijna wieczerza Wintersa składała się z „pięciu ziaren białej fasoli i kubka zimnego rosółu”.

A jak mu się do cholery zdawało, co myśmy tu robili przez ten cały czas, kiedy on bawił w Waszyngtonie?”

(Winters w ogóle miał alergię na Taylora. W innej rozmowie stwierdził w pewnym momencie:

- No i teraz wraca sobie pan generał Taylor z wczasów w Waszyngtonie...

Przerwałem mu:

- Nie, proszę pana, to nie jest fair w stosunku do Taylora.

- Doprawdy?

- Przecież Taylor wrócił do Waszyngtonu na rozkaz, miał przedstawić sytu... - zacząłem usprawiedliwiać generała, ale Winters uciął mi w pół słowa.

- Nie zamierzałem być fair w stosunku do niego).

Wraz z przerwaniem pierścienia okrążenia dotarły pierwsze gazety. Żołnierze 101 DPD dowiedzieli się z nich, że stali się żywą legendą. W dywizyjnej historii zapisano:

Legenda ta rozprzestrzeniła się dzięki dostępności gazet i radia, dzięki wiszącym w dziesiątkach tysięcy miejsc mapom linii frontu, które pokazywały jedyny stały punkt wśród szalejącej fali największego odwrotu w historii amerykańskiej wojskowości. W szerzeniu legendy pomagało także pragnienie znalezienia jakiegoś jasnego punktu, zachęty do wytrwania i nadziei. Przez wiele dni ich obrona stanowiła taki jasny punkt na horyzoncie pełnym wzbierających burzowych chmur. Departament Wojny szybciej, niż to miał w zwyczaju, ogłosił numer dywizji, która odcięta w oblężonym mieście dawała narodowi tę nadzieję i zachętę. Jeszcze zanim minął ten straszny miesiąc, jaki tam spędzili, cały kraj znał ich jako Bojowych Bękartów z Bastionu Bastogne. W ich historii były wszelkie elementy, których potrzebuje ludowa legenda - odwaga i męstwo wśród popłochu i tchórzostwa, pogoda ducha i humor wśród cierpienia i niewygód, zmagania z wrogą surową naturą, mróz i braki w zaopatrzeniu, żądanie poddania i słowo Cambronne'a w odpowiedzi na nie, prawdziwe braterstwo w obliczu wroga [...] Ta odwaga i to braterstwo przekuły dywizję w spiż, którego żaden wróg nie był w stanie złamać”³⁹.

Oczywiście, obrońcami Bastogne nie byli tylko spadochroniarze. Wraz z nimi walczyli tam i cierpieli czołgiści z Grupy Bojowej B 10 DPanc. Niedaleko od nich także 82 DPD toczyła równie kosztowne i zacięte walki na północnym skrzydle obrony - walki o znaczeniu nie mniejszym od tych, jakie trwały wokół Bastogne. Ich jednak nikt nie oblegał i o nich prasa się nie rozpisywała tak szeroko jak o walkach 101 DPD.

³⁹ Rapport i Northwood, op. cit., s. 586.

Kombatanci 101 DPD mimo wszystko narzekają na to, jak ich opisano w gazetach. Każde z opracowań o bitwie ardeńskiej zawiera malowniczy obrazek 3 Armii Pattona przybywającej oblężonym w Bastogne spadochroniarzom z odsieczą niczym kawaleria ratująca w ostatniej chwili konwój wozów z osadnikami, otoczony przez Indian. Żaden żołnierz 101 DPD nie zgodzi się na takie porównanie. Ich dywizja nie potrzebowała żadnego cholernego ratunku!

Po przełamaniu oblężenia spadochroniarze oczekiwali powrotu do Mourmelon, żeby tam pławić się w blasku swej sławy i może wreszcie pojechać na od dawna wymarzone przepustki sylwestrowe do Paryża. Nic z tego nie wyszło. Bastogne było walką odwrotową, a do wygrania wojny alianci musieli nacierać, by nie pozwolić Niemcom osiąść i umocnić się w ich fortyfikacjach za Renem - trzeba było popędzić ich dalej w głąb okupowanych terytoriów, by przygotować grunt pod wiosenną ofensywę. Eisenhower chciał wykorzystać okazję do rozbicia Niemców na otwartych przestrzeniach, skoro wyszli przed swoje umocnione pozycje. Stał jednak przed tym samym problemem, który zmusił go do użycia spadochroniarzy jako zwykłej piechoty w połowie grudnia - brakowało mu żołnierzy.

Naga prawda była taka, że na froncie zachodnim Niemcy mieli nad aliantami przewagę liczebną. Stany Zjednoczone nie zdołały na czas utworzyć odpowiedniej liczby dywizji piechoty do prowadzenia wojny na dwa fronty. Było to konsekwencją powziętej jeszcze przed wojną decyzji o hojnym szafowaniu odroczeniami dla poborowych pracujących w przemyśle zbrojeniowym i rolnictwie oraz odstąpieniu od poboru jedynych żywicieli rodzin. Brakowało także pocisków artyleryjskich. We wrześniu 1944 roku, w obliczu, jak się wszystkim zdawało, bliskiego końca wojny w Europie, anulowano zamówienia na produkcję amunicji, uznając, że do zakończenia wojny wystarczą zgromadzone już zapasy. Biorąc to wszystko pod uwagę, Ike zdecydował pozostawić 82 i 101 DPD na froncie.

Wszystko rozbiło się o zgranie działań w czasie. Eisenhower chciał nacierać jeszcze przed Nowym Rokiem, ale Montgomery, dowodzący składającymi się głównie z wojsk amerykańskich siłami na północy frontu ardeńskiego, ociągał się, wynajdując coraz to nowe powody, aż wreszcie całość planów trzeba było odwołać.

Dla kompanii E oznaczało to, że pozostaje w okopach na pierwszej linii. Warunki poprawiły się odrobinę - ludzie otrzymali wreszcie zimowe buty i ciepłą bieliznę, a czasem dostawali nawet gorące posiłki. Mimo to mróz nie zelżał, śnieg jak padał, tak padał, a Niemcy od czasu do czasu ostrzeliwali stanowiska kompanii ogniem broni maszynowej, moździerzy i artylerii; trzeba było wysłać własne patrole i odpierać niemieckie.

Dwudziestego dziewiątego grudnia kompania E siedziała na skraju tego samego lasu, który zajęła dziewięć dni wcześniej. Przejrzało się i z okopów wyraźnie widać było Foy u stóp ich pozycji i leżące za pasem pół Noville, dwa kilometry dalej wzdłuż drogi na północ.

Shifty Powers zszedł z czujki, by zameldować się u sierżanta Liptona.

- Panie sierżancie, pod Noville jest drzewo, którego tam nie było wczoraj.

Powers nie miał lornetki, ale Lipton miał. Sierżant uważnie obejrzał przez nią przedpole, ale nie zauważył niczego niezwykłego, nawet po tym, kiedy Powers, używając schematu dozorów, wyjaśnił mu, na które miejsce ma zwrócić szczególną uwagę.

Znalezienie drzewa nie było rzeczą łatwą, po części dlatego, że w miejscu, o którym mówił Powers, wzdłuż drogi rósł dość gęsty szpaler drzew. Lipton zaczął obserwować podejrzane miejsce przez dłuższy czas i w końcu zauważył jakiś ruch w pobliżu. Przyjrzał się jeszcze uważniej i dostrzegł lufy dział. Kąt podniesienia, długość i brak hamulców wylotowych wskazywały na osiemdziesiątki-ósemki, działa przeciwlotnicze często używane do ostrzeliwania celów naziemnych. Domyślił się, że Niemcy ustawili tam w nocy całą baterię i przerwę, przez którą można by ją zauważyć, zamaskowali, stawiając w niej drzewo, które wypatrzył Powers.

Lipton wezwał obserwatora artyleryjskiego, który obejrzał rejon i potwierdził ich spostrzeżenia. Przez radio wywołał baterię haubic kalibru 105 mm z Bastogne. Kiedy opisał, jaki ma dla nich cel, bez wahania oddano mu do dyspozycji ogień całej baterii, mimo braków w zaopatrzeniu w amunicję artyleryjską.

Żeby wstrzelać całą baterię w cel ogniem pośrednim, to znaczy w sytuacji, kiedy artylerzyści nie widzą swojego celu, potrzebował najpierw wstrzelać jedno z dział. Wybrał punkt leżący w tej samej odległości, oddalony prawie o trzysta metrów w prawo od niemieckiej baterii, za to łatwy do odnalezienia na mapie, po czym podał jego koordynaty artylerzystom w Bastogne. Tam przeliczono je i według nich nastawiono działo. Pocisk uderzył idealnie w wyznaczony pagórek. Obserwator kazał teraz przenieść ogień o trzysta metrów w lewo, bez zmiany kąta podniesienia, a resztę baterii ustawił do strzelania snopem zbieżnym, według nastaw pierwszego działu, po czym wydał komendy do ostrzelenia celu kilkoma salwami całej baterii haubic.

Wśród drzew i niemieckich dział zaczęły się rozrywać pociski. Lipton z satysfakcją patrzył przez lornetkę, jak niemieccy artylerzyści rozbiegają się na wszystkie strony, najpierw próbując ratować co się da z baterii, a potem już tylko własną skórę. Kiedy ustał amerykański ogień, widział sanitariuszy wynoszących nosze za noszami z rannymi. Nie minęła godzina i miejsce było zupełnie opuszczone. „A wszystko dzięki temu, że Shifty gołym okiem

zauważył w oddalonym półtora kilometra lesie drzewo, którego tam wczoraj nie było”, podsumował Lipton.

Pojawienie się tej baterii było częścią niemieckich wysiłków prowadzących do odzyskania Bastogne. Mimo niepowodzenia pierwotnego planu przejścia za Mozę, Niemcy nadal potrzebowali Bastogne i prowadzących przez nie dróg, by utrzymać zajęte w czasie ofensywy tereny lub choćby zabezpieczyć sobie tyły w czasie odwrotu. W tym celu zaciekle atakowali wąski korytarz wiodący do miasta od południa i wzmożli ataki ze wszystkich stron. Pod koniec roku w rejonie Bastogne walczyło już osiem niemieckich dywizji pancernych, w tym trzy dywizje Waffen-SS. Amerykańska 3 Armia generała Pattona nacierała na północ, w kierunku Bastogne, 1 Armia zaś pod dowództwem generała Coutneya Hodgesa (w tym czasie podporządkowana Montgomery'emu) miała „już wkrótce” uderzyć na rejon Bastogne z północy. Gdyby zdołały się spotkać w porę, była szansa na odcięcie Niemców w utworzonym w ten sposób kotle ardeńskim. Gdyby jednak Niemcy zatrzymali Pattona i zdobyli Bastogne, opanowaliby sieć dróg i wycofali się, zanim Amerykanie ponownie zacisnęliby pierścień wokół nich.

Tak przedstawiała się sytuacja w sylwestra 1944 roku. O północy, dla uczczenia nadchodzącego roku zwycięstwa i zademonstrowania Niemcom, jak bardzo rzeczy się zmieniły w Bastogne i okolicy w ciągu ostatnich kilku dni, wszystkie działa artylerii na zapleczu i moździerz piechoty na linii frontu oddały kilka salw, wysyłając tony stali i materiałów wybuchowych na niemieckie pozycje.

Kapral Gordon wraz z tuzinem rannych z kompanii E został ewakuowany na tyły. Siedmiu ich kolegów pozostało w płytkich grobach gdzieś w zamarzniętych lasach. Dwanaście dni wcześniej na ciężarówce w Mourmelon wsiadało stu dwudziestu jeden oficerów, podoficerów i szeregowych kompanii E. Teraz jej stan zdolnych do walki stopniał do niespełna setki ludzi.

Gordona odwieźli sanitarką do Sedanu, skąd samolotem poleciał do Anglii, a stamtąd do szpitala w Walii. Przez cały czas był pod wpływem silnych środków przeciwbólowych i uspokajających, sparaliżowany, majaczył i miał halucynacje. Po drodze zapakowano go w gips sięgający od pasa do czubka głowy - ze skorupy wystawała tylko twarz. Ten pancerz go wprawdzie unieruchomił, ale także uniemożliwił opatrywanie ran po pocisku, który przebił plecy, więc w szpitalu zdjęto gips, zastępując go wyciągiem w formie tak zwanych szczypiec Crutchfielda. Żeby go założyć, w czaszce wierci się dwa otwory, w które wprowadza się groty szczypiec. Do szczypiec przymocowana jest linka biegnąca przez krążki, która stabilizuje kręgosłup bez potrzeby zakładania gipsu. Przez sześć tygodni pozostawał bez

ruchu, leżąc na plecach ze wzrokiem utkwionym w sufit. Wreszcie po tym czasie zaczęło mu wracać czucie w członkach.

Lekarz, major M.L. Stadium, powiedział mu, że gdyby pocisk zboczył o centymetr w jednym kierunku, chybiłby i Gordon nawet by o nim nie wiedział. Gdyby zaś zboczył o centymetr w drugą stronę, byłoby już po nim. Gordon uznał się za wielkiego szczęściarza. „Miałem farta. Ogromnego farta. Rana za milion dolarów”. Chyba tylko ktoś, kto był na froncie pod Bastogne, mógł opisać ranę takimi słowami.

PUNKT KRYTYCZNY**Bastogne**

1 - 13 stycznia 1945

W czasie oblężenia kompania E broniła się, biernie znosząc ciosy wroga. Największą wadą prowadzenia obrony w lesie jest to, że wysokie drzewa pozwalają artylerii skutecznie razić broniących się odłamkami pocisków rozrywających się wysoko wśród pni i konarów. Miała ona jednak i swoje zalety. Około Nowego Roku pola wokół stanowisk obronnych kompanii pokrywała sięgająca miejscami trzydziestu centymetrów warstwa zmrożonego śniegu. Nawet najkrótsza droga do pokonania w lesie stawiała przed żołnierzami piechoty wysokie wymagania. Nacierając, trzeba było brodzić w śniegu, bez ustanku schylając się pod gałęziami, żeby nie strącić z nich śniegu i nie zdradzić w ten sposób swojej pozycji. Widoczność na poziomie ziemi była ograniczona do zaledwie kilku metrów. Nacierający ledwie widział swoich sąsiadów z lewej i prawej, a okop czy gniazdo karabinu maszynowego widział dopiero, kiedy niemal do nich wpadał. W lesie nie było dróg, domów ani innych punktów orientacyjnych, atakujący mogli swoją pozycję określać przez radio tylko w przybliżeniu. Nacierające drużyny musiały iść na azymut, aż na kogoś wpadły - na swoich lub wroga, tego żołnierze nigdy nie mogli być pewni. Amunicję donosiło się do okopów ręcznie, jak zawsze, ale w lesie amunicyjni mieli tylko ogólne pojęcie, gdzie szukać tych, dla których ją nieśli.

Nacieranie przez otaczające lasy pola też nie było łatwe. Istniała tylko jedna droga, z Noville przez Foy do Bastogne, pokryta zmrożonym śniegiem leżącym na warstwie lodu. Przy tym droga ta była pod ostrzałem osiemdziesiątek-ósemek, i w dodatku zaminowana. Jednak atakujący nie mieli wyboru - pola wokół drogi, jedyna alternatywna trasa natarcia, były całkowicie odkryte i stanowiły jedną wielką strzelnicę.

Dobrze utrzymany las, który stał się od dwóch tygodni domem kompanii E, nosił nazwę Bois Jacques. Ciągnął się na dwa kilometry w prawo (na wschód) od stanowisk kompanii E do linii kolejowej, która go przecinała, i za nią. Rozciągające się przed nim (czyli od północy) pola opadały lekko ku wsi Foy. Niemcy zajmowali północno-wschodnią część Bois Jacques, wcinającą się klinem w linię obronną obsadzoną przez 101 DPD. To były ich najdalej wysunięte stanowiska, zaledwie o trzy kilometry od Bastogne. Zanim 101 DPD

mogła przejść do jakiegokolwiek liczącej się ofensywy, trzeba było wypchnąć Niemców z ich części Bois Jacques i zająć Foy. Następnym celem ataku byłby wtedy płaskowyż koło Noville.

Nowy Rok upłynął spokojnie, ale wieczorem dywizja wyznaczyła 2 batalion 506 pps do ataku na Bois Jacques. W nocy kilka niemieckich samolotów zrzuciło bomby na stanowiska kompanii E. Plutonowy Toye został ranny odłamkiem w nadgarstek. To była już trzecia jego rana - przedtem został ranny w Normandii i w Holandii. Mógł chodzić, więc sanitariusz po opatrzeniu wysłał go do punktu opatrunkowego w Bastogne. Przed odejściem Toye poszedł odwiedzić Malarkeya. Ten pokręcił głową i stwierdził z zazdrością:

- Ty to masz, kurde, zawsze farta!

Batalion przesunął się przed świtem na podstawy wyjściowe do ataku, wzdłuż linii kolejowej na prawym skraju obrony. Jego stanowiska zajął 1 batalion, trzymany dotąd po ciężkich walkach w pierwszych dniach bitwy ardeńskiej w odwodzie pułku. Pododdziały drugiego batalionu ustawiły się w tyralierę wzdłuż drogi z Foy do Bizory, oczekując na rozkaz do ataku. (To było to samo miejsce, z którego 1 pluton wyruszał na swoje rozpoznanie walką 22 grudnia). Na ich prawym skrzydle do ataku szykował się batalion z 501 pps.

Winters wydał komendę „Naprzód!” i batalion ruszył przed siebie. Poruszanie się w gęstym lesie wyczerpuje siły nawet spacerowiczów w lecie, a co dopiero grubo opatulonych i ciężko obciążonych karabinami, granatami, moździerzami, karabinami maszynowymi, amunicją, racjami żywnościowymi i całą resztą ekwipunku nacierających żołnierzy. Przedzieranie się przez śnieg i las powodowało obfite pocenie się. Póki się poruszali, nie stanowiło to problemu. Wystarczył jednak krótki postój i człowiek w przemoczonym ubraniu przemarzał do kości.

Natychmiast po tym, jak weszli do lasu, ustał wszelki kontakt pomiędzy plutonami, drużynami, a nawet pomiędzy poszczególnymi żołnierzami. Śnieg i drzewa pochłaniały wszelkie dźwięki, zniknął nawet brzęk ekwipunku, który dawał ludziom dowód na to, że nie byli sami, że koledzy szli nadal razem z nimi. Poczucie izolacji łączyło się z napięciem, zwiększając je jeszcze przy pełnym obawy wyczekiwaniu na nieunikniony kontakt z wrogiem.

W pewnej chwili kompania E została ostrzelana od czoła przez niemieckie karabiny maszynowe. Chwilę później nad głowami żołnierzy zaświstały pociski amerykańskiej artylerii wspierającej natarcie. Zaraz potem odezwała się także artyleria niemiecka. Nie prowadziła jednak ognia do baterii amerykańskich - jej pociski rozrywały się wśród nacierających spadochroniarzy i drzew nad ich głowami. Nagle ogień z obu stron urwał się równie

raptownie, jak się zaczął. Plutonowy Christenson ocenił, że „gęstość lasu sprawiała szkopom takie same problemy, jak nam. Mieli widoczność równie ograniczoną jak my. Gdyby wiedzieli, że mają przed sobą olbrzymią tyralierę z dwóch batalionów, ich artyleria i karabiny maszynowe strzelałyby dłużej i intensywniej”.

Natarcie ruszyło naprzód. Znowu odezwały się karabiny maszynowe, kiedy szperacze natknęli się na czujki niemieckich stanowisk obronnych. Zaczęła także strzelać amerykańska artyleria, wysyłając salwę za salwą. Niemiecki ogień ponownie narastał. Wzdłuż całej linii słychać było okrzyki „Dostałem!” i wezwania o pomoc do sanitariuszy. A mimo to natarcie nadal posuwało się naprzód. Zewsząd słychać było strzały z karabinów i wybuchy granatów ręcznych gęsto rzucanych przez obie strony.

Po przejściu około dziewięciuset metrów nacierający doszli do przecinki. Większość pododdziałów zatrzymała się na jej skraju, ale niektórzy żołnierze przechodzili na drugą stronę, by upewnić się, czy za nią nie kryją się Niemcy. Christenson wraz z kilkoma żołnierzami 1 plutonu stali na środku przecinki, kiedy przed ich oczami ukazał się niespodziewany widok: drogą nadjechał galopujący na koniu niemiecki żołnierz.

Spostrzegł ich w tej samej chwili, w której oni zobaczyli jego, osadził konia i zawrócił, próbując uciec. Kapral Hoobler podrzucił do ramienia karabin i oddał trzy szybkie strzały, po czym uśmiechając się i podskakując na środku drogi, zawołał: „Dostał! Dostał!”. Christenson patrząc na ten taniec zwycięstwa miał nadzieję, że jeźdźcowi jednak udało się uciec.

Z lewej strony przecinki doszedł ich głos szeregowego Ralpa Trapazano:

- Hej, Chris, mam tu szkopa!

Christenson odszedł pięć metrów w lewo i zagłębił się w las z gotowym do strzału odbezpieczonym karabinem w rękach. Dotarł do Niemca z prawej strony. „Stał tam krzepki osiłek w panterce Waffen-SS, z pistoletem maszynowym trzymanym w lewej ręce za magazynek. Druga ręka zwisała wzdłuż ciała, ale lufa broni skierowana była na Trapa, starczyło sięgnąć do spustu. Trap leżał przed Niemcem, z karabinem wycelowanym w jego pierś. Widać było, że tamten trzeźwo ocenia sytuację, ale na jego twarzy próżno by szukać przerażenia. Stał tam i czekał na szansę”.

Christenson wycelował w Niemca i w szkolnej niemczyźnie kazał mu rzucić broń. Esesman powoli spojrział na niego i przekonał się, że to nie przelewki. Widząc wycelowany w siebie karabin i palec ściągający luz na spuście, upuścił swój pistolet maszynowy, podnosząc ręce do góry. „Następnym razem, jak spotkasz takiego aroganckiego sukinsyna, to go kropnij i nie zawracaj mi dupy - rzuciłem na odchodnym do Trapa”.

Jak na razie kompania E miała szczęście. Nacierający na prawo od nich 501 pułk został zaatakowany ze skrzydła w czasie, gdy sam atakował niemieckie pozycje. 26 pułk grenadierów pancernych SS ze składu elitarnej 12 DPanc SS Hitlerjugend uderzył na nich piechotą ze wsparciem czołgów i artylerii, zadając poważne straty. Na lewym skrzydle czołgi i piechota z 9 DPanc SS Hohenstaufen zaatakowały 502 pps. A w pasie natarcia kompanii E cisza i spokój.

Zapadał zmrok. Wzdłuż linii podano rozkaz do okopywania się. Od czasu do czasu leciała w ich kierunku seria z karabinu maszynowego, to znów kilka pocisków artyleryjskich - akurat tyle, żeby skłonić żołnierzy do przykrycia na wszelki wypadek swoich okopów ściętymi z drzew gałęziami. Trzeba było w tym celu wyjść z okopu i wystawić się na ogień. Kiedy odzywały się karabiny maszynowe lub nadlatywał pocisk moździerzowy, śmiałkowie rzucali się biegiem do najbliższego okopu. Póki schronienie nie było gotowe, adrenalina krążyła we krwi i ludzie byli zdolni do największych wysiłków. Kiedy tylko ich okop był ukończony, walili się bezwładnie na dno, wyczerpani całym dniem wysiłku i nerwowego napięcia, w przepoconych ubraniach. Teraz dopiero zaczęli czuć, jak zimno jest wokół. Marzli, potem kostnieli, aż w końcu zaczynały nimi trząść dreszcze nie do opanowania. Christenson wspomina: „I właśnie wtedy, w chwili, kiedy byłeś pewien, że twoje ciało nie jest już w stanie znieść tego dłużej, przekonywałeś się, jak bardzo byłeś w błędzie”.

Hoobler wciąż był w doskonałym nastroju, w który wprowadziło go ustrzelenie Niemca. Łaził od jednego okopu do drugiego z rękami wbitymi w kieszenie i gadał bez końca z każdym, komu chciało się jeszcze prowadzić rozmowy. W prawej kieszeni kurtki miał znalezione na pobojowisku Parabellum. W pewnej chwili rozległ się strzał. To Parabellum, którym w czasie rozmowy bawił się w kieszeni, przypadkowo wypaliło. Pocisk przeszedł przez udo, uszkadzając tętnicę. Hoobler miotał się w bólu, krzycząc o pomoc. Szeregowy Holland, sanitariusz 1 plutonu, próbował zabandażować ranę, ale krwotok był za silny. Krótco po przeniesieniu na kompanijny punkt opatrunkowy kapral Hoobler zmarł.

Mroźna noc zdawała się nie mieć końca. Świt zbliżał się bardzo powoli. Panowała cisza, nikt nie strzelał. Sierżant Martin podszedł do stanowisk 1 plutonu. Słyszący z opanowania i spokoju w najgorszych chwilach, tym razem opryskliwie kazał wszystkim podoficerom zameldować się u dowódcy plutonu za dziesięć minut.

Plutonowi Rader, Randleman, Muck i Christenson, kaprale Robert Marsh i Thomas McCreary zebrali się na stanowisku dowodzenia, pełni najgorszych przeczuć. Martin zasugerował, żeby usiedli. Na stanowisku byli obecni także porucznicy Stirling Horner, Peacock i Foley. Pierwszy zabrał głos Horner:

- Wasz dowódca plutonu, porucznik Peacock, dostał w nagrodę trzydziestodniowy urlop i wyjeżdża dzisiaj do Stanów.

Dalej wyjaśnił, że człowiek od kontaktów z prasą w dowództwie dywizji wymyślił, żeby jeden oficer z każdego pułku biorącego udział w bohaterskiej obronie Bastogne pojechał do kraju, aby wziąć udział w turze promocyjnej obligacji pożyczki wojennej i innych przedsięwzięciach propagandowych. Pułkownik Sink zdecydował, żeby z ich pułku wylosować tego szczęśliwca. Wygrał kapitan Nixon, drugi był właśnie porucznik Peacock. Nixon orzekł, że już kiedyś widział Stany Zjednoczone i w związku z tym się tam nie wybiera, więc padło na porucznika Peacocka.

Wszyscy w tym momencie spojrzeli na Peacocka, który zmieszał się i zaczął mamrotać pod nosem:

- Dostałem ten urlop, bez wątplenia, dzięki waszym bohaterskim czynom w Holandii i tutaj, więc, tego, no jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że chcę wam za to podziękować i w ogóle...

Kapral McCreary zerwał się na równe nogi, podbiegł do Peacocka i ściskając mu wylewnie dłoń, odparł:

- Panie poruczniku, jakże się cieszę, jakie to szczęście, że pan nareszcie wraca do domu! Chłopaki, to najlepsza wiadomość, jaką dostałem od czasu opuszczenia Mourmelon!

Peacock nie zrozumiał oczywiście dla wszystkich poza nim ironii McCreary'ego i aż się spłonił z wdzięczności. Zaczął mówić, jak bardzo jest zaszczycony tym, że tacy bohaterowie tak go lubią i że pochwała z ust jego ludzi jest najwyższym zaszczytem, na jaki mógł kiedykolwiek liczyć.

Podoficerowie popatrzyli na siebie, wymieniając znaczące uśmiechy. Ich radość z wyjazdu Peacocka nie miała nic wspólnego z sympatią dla porucznika. Wreszcie pozbywali się nieznośnego ciężaru, który spoczywał na ich barkach od czasu Holandii, przez całą kampanię na „wyspie” i tu w Ardenach. Odczucia wszystkich Christenson wyraził, wspominając dowódcę plutonu następującymi słowami: „Nikt nie starał się dobrze wypaść bardziej od Peacocka, ale on się po prostu nie nadawał do tej roboty”.

Peacock obwieścił, że dowodzenie plutonem przejmuje porucznik Foley. Po czym pozdrawiając wszystkich i życząc im szczęścia, wyszedł i tyle go widzieli.

* * *

Mniej więcej wtedy, kiedy wyjechał Peacock, ojciec John Maloney przywiózł jeepem z punktu opatrunkowego w Bastogne Joego Toye'a. Wysadził go przy drodze i stamtąd Toye ruszył naprzód, na przelaj przez pole. Zauważył go Winters i wskazując na jego zwisającą na

temblaku rękę, powiedział, że nie musi przecież wracać na front. Toye odparł, że chce być razem z chłopakami i poszedł dalej.

Tego dnia, 3 stycznia, po południu Winters wycofał z frontu 2 i 3 pluton oraz przydzielony im jako wsparcie zespół z bazookami z 10 DPanc. Pozostawił tam 1 pluton, który tymczasowo przeszedł pod rozkazy kompanii D. Jak wszystkie kompanie 101 DPD miała teraz połowę stanu etatowego, więc potrzebowała pomocy, żeby utrzymać powierzony jej odcinek frontu. 2 i 3 pluton ruszył piechotą z powrotem na stanowiska na skraju lasu z widokiem na Foy, w których spędził poprzednie dwa tygodnie.

Około 15.30 prowadzący pododdziały doszedł do wniosku, że aby zdążyć obsadzić okopy przed zmrokiem, muszą przejść skrótem przez odkryte pole. Reszta poszła w jego ślady. Niemcy zauważyli ich przemarsz, ale nie reagowali.

Wchodząc do lasu, natychmiast zauważyli, że niemiecka artyleria wstrzelała się w ich stare pozycje. Okopy były zasypane gałęziami z drzew i przeorane świeżymi lejami, większymi i głębszymi niż dotąd, wskazującymi na użycie artylerii kalibru co najmniej 150 mm. Nikt nie musiał wydawać rozkazu - łopatkami od razu poszły w ruch, każdy zajmował się umocnieniem swego okopu.

Sierżant Lipton złapał za siekierę i podbiegł do kępy młodych drzew, oddalonej o prawie pięćdziesiąt metrów od jego okopu. Rąbiąc je, usłyszał z oddali odgłosy odpalenia niemieckich dział. Było za daleko, żeby biec z powrotem do swojego okopu, ale w pobliżu zobaczył niewielki dół, jakby ktoś zaczął kopać okop i potem się rozmyślił. Był tak płytki, że leżąc w nim, Lipton miał głowę od nosa wzwyż nad ziemią. Dzięki temu zauważył rozbłyski pierwszych pocisków eksplodujących wśród konarów drzew.

Huk był przerażający i ogłuszający. Ziemia drżała i podskakiwała pod nim, jakby to było trzęsienie ziemi. Żołnierze z obsługi bazook nie mieli swoich okopów. Dwaj zginęli już od pierwszej salwy, wielu innych odniosło rany.

Kanonada zaskoczyła Toye'a na brzegu lasu. Natychmiast zaczął wydawać swoim ludziom rozkazy, żeby się kryli. „Zawsze mi mówili, że jeśli się słyszy pocisk, to znaczy, że wszystko będzie OK, że nic ci on nie zrobi. I tak było. Tego pocisku, który mnie trafił, rzeczywiście nie słyszałem”, wspominał po latach. Wybuchł tuż nad nim, w konarach sosny. Odłamki o mało nie oderwały mu prawej nogi, poszarpały brzuch, klatkę piersiową i oba ramiona. (Usunięcie odłamków z klatki piersiowej wymagało dwóch operacji. W końcu udało się je wyciągnąć, ale dopiero wtedy, kiedy spróbowano je wyjąć przez plecy).

Tak samo nagle jak się zaczął, ostrzał ucichł. To był w zgodnej ocenie żołnierzy najgorszy ostrzał artyleryjski, jaki kompania przeszła w czasie wojny. Z całego lasu

dochodziły wezwania o pomoc medyczną. Lipton zostawił siekiere i pobiegł do swego okopu po karabin, spodziewając się rychłego ataku niemieckiej piechoty. Z sąsiedniego okopu doszły go czyjeś krzyki. Wybuch któregoś z pocisków ściał czterdziestocentymetrowy pień drzewa, który zwałił się na sąsiedni okop. Lipton próbował je odciągnąć, ale nie zdołał. W końcu nadeszła pomoc. Im także nie udało się zepchnąć pnia, ale wykopali łopatkami podkop z boku i szeregowy Shep Howell, zdrowy, cały i uśmiechnięty, wyczołgał się spod pnia.

Toye wzywał pomocy. Chciał, żeby go ktoś zaciągnął do okopu. Pierwszy dotarł do niego Guarnere.

W tej chwili ponownie rozpoczął się ostrzał. Niemcy dobrze wyliczyli. Tak jak przewidywali, po ustaniu ostrzału ludzie powychodzili z okopów, żeby ratować rannych i pociski zaskoczyły ich na zewnątrz. Jeden z nich rozerwał się nad głową Guarnere'a. Odłamki poszarpały mu prawą nogę. I znów po kilku minutach ostrzał ustał.

Lipton wylazł ze swej jamy, kiedy usłyszał głos porucznika Dike'a.

„Do dziś słyszę ten jego głęboki, silny głos. Stał jakieś dwadzieścia pięć metrów ode mnie, bez hełmu i broni.

- Sierzancie Lipton! Proszę jakoś opanować to, co się tutaj dzieje, a ja pójde po pomoc.

Zawinął się na pięcie i poszedł w diabły. Nikt go od tej pory nie widział”.

Lipton zaczął zbierać tych, których oszczędziły odłamki. „Niektórzy byli roztrzęsieni do granic załamania nerwowego, inni znowu zadziwiająco spokojni”.

Część wysłał do zajęcia się rannymi, pozostałych skierował do obrony na wypadek niemieckiego natarcia, które, jak był przekonany, za chwilę się na nich zwali. A potem poszedł sprawdzić, co się stało z Toyem i Guarnere'em.

Znalazł ich pod drzewem. Spojrzał w dół na Guarnere'a, który podniósł na niego wzrok.

- Lip, tym razem dostali starego Guarnere'a - powiedział.

Po chwili dołączył do nich Malarkey. Wspomina, że zarówno Toy, jak Guarnere byli zupełnie przytomni i całkiem spokojni. Żadnego skręcania się z bólu, krzyków. Joe odezwał się: - Daj fajkę, Malark.

Przypaliłem i podałem mu lucky strike'a. W czasie naszej rozmowy po latach Malarkey umilkł. Kiedy po chwili zacząłem go przynaglać, żeby kontynuował opowieść, Malarkey stwierdził:

- Nie chcę o tym mówić.

Po kolejnej chwili milczenia jednak podjął dalej opowiadanie: „Joe zaciągnął się, spojrzał na mnie i zapytał:

- Jezu, Malark, co człowiek musi w życiu przeskrobać, żeby zdechnąć w takim zasranym miejscu jak to?

Noszowi zabrali najpierw Guarnera'a. Kiedy dźwignęli nosze z nim i odeszli parę kroków, Bill uniósł się na łokciu i zawołał do Toye'a:

- A widzisz, mówiłem, że wrócę do Stanów przed tobą!”

2 plutonem dowodził porucznik Buck Compton. Żył ze swymi podwładnymi bardzo blisko, część oficerów uważała nawet, że za blisko. Malarkey wspominał: „Compton był moim bliskim przyjacielem. Nie lubił symboli statusu oficera w Armii. Z nami, szeregowymi i podoficerami, utrzymywał znacznie bliższe kontakty niż z resztą oficerów”.

Szczególnie bliskie kontakty łączyły go z Guarnerem i Toye'em.

Kiedy wyszedł ze swojego okopu po drugiej nawale, ujrzał wokół straszny obraz. Pierwszymi rannymi, na których się natknął, byli jego najbliżsi przyjaciele, Guarner i Toye, z niemal powyrywaniem nogami, leżący w szybko barwiącym się na czerwono śniegu.

Compton popatrzył na nich, po czym ruszył biegiem przed siebie, wzywając sanitariuszy i w ogóle jakąkolwiek pomoc. Kiedy po jakimś czasie doszedł do siebie w batalionowym punkcie medycznym, okazało się, że ma zaawansowany przypadek „stopy okopowej”. Został ewakuowany.

Porucznik Compton zdobył Srebrną Gwiazdę za walkę 6 czerwca 1944 roku w Brecourt. Był ranny w Normandii i ponownie w Holandii. Zniósł mężnie wszystkie walki między 17 grudnia a 3 stycznia. Załamał go dopiero widok zdziesiątkowanego plutonu, którym dowodził, i swoich obu najlepszych przyjaciół niemal rozerwanych na strzępy.

Peacock wyjechał, Dike uciekł, Compton został ewakuowany, jeden z podporuczników z uzupełnień zgłosił się do szpitala z poważnym przypadkiem „stopy okopowej” (na którą chorowali w tym czasie już niemal wszyscy w kompanii), inny trafił tam z raną postrzałową dłoni, podejrzany o samookaleczenie w celu uniknięcia walki - dowódca batalionu miał powody martwić się o to, że jego podwładni znaleźli się na skraju załamania nerwowego. Winters tak opisał swój stan w rozmowie ze mną: „W Bastogne osiągnąłem to stadium, w którym żołnierz jest pewien, że dostanie. Oberwę, prędzej czy później, ale na pewno. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że nie będzie ze mną bardzo źle. Mimo to nigdy, nawet przez chwilę, nie bałem się, że się załamię. Nie, miałem tylko przeświadczenie o nieuchronności tego, że zostanę ranny. Tak więc byłem pewny, że nie wyjdę cało, ale żeby się załamać - co to, to nie. [Na chwilę zamilkł, po czym dodał:] Ale to było nie do wytrzymania

na dłuższą metę. Widziałeś wszędzie wokół poranionych i zabitych ludzi, wciąż, bez przerwy, codziennie, każdego dnia. To się ciągnęło bez końca i nie miałeś pojęcia, ile jeszcze będzie trwało. Czy nie będzie końca tej rzezi? Czy ja wreszcie kiedyś wrócę do domu?”

Dalej mówił, że to nic dziwnego, że pozbawieni snu i odpowiedniego wyżywienia oficerowie, na których dodatkowo spoczywało brzemień odpowiedzialności za swoich podwładnych, szafowania ich życiem, przy jednoczesnej niemożności zapewnienia im godziwych warunków, stres podejmowania decyzji, załamywali się w takich warunkach.

Polityką Armii Stanów Zjednoczonych było utrzymywanie kompanii strzeleckich na froncie przez długie okresy - w przypadku dywizji piechoty właściwie bez końca - i uzupełnianie ich strat. Rezultatem owej błędnej polityki było to, że żołnierz szedł do walki nie z kolegami, z którymi się szkolił i przepłynął ocean, ale z zupełnie obcymi sobie ludźmi. Dla weteranów zaś oznaczała ona nędzne życie na froncie właściwie bez końca, chyba że śmierć lub ciężka rana wyzwolą go z tej niedoli.

Wojna to świat, w którym wszystko staje na głowie. Ludzie, których nie znasz, a nawet w życiu nie widziałeś, flaki sobie wypruwają, byle cię zabić lub okaleczyć. Jeśli im się uda, nie czeka ich za to kara, ale przeciwnie - chwalą ich, dają order i noszą na rękach. Cały dzień siedzisz w dziurze w ziemi, unikając światła, żyjesz i robisz swoje głównie nocami. Dobre zdrowie to przekleństwo, bo przedłuża twoje cierpienie. Martwica stóp, zapalenie płuc, ciężka, nie do opanowania biegunka czy złamana noga są boskimi darami o bezcennej wartości - na wagę życia.

Człowiek może w tym szaleństwie wytrwać tylko jakiś określony czas. Problemem jest ustalenie tego czasu dla każdego indywidualnie. Niektórzy załamują się niemal z miejsca. Psychiatryzy armii meldowali po Normandii, że dziesięć do dwudziestu procent żołnierzy piechoty przeżyło jakąś formę załamania nerwowego w ciągu pierwszego tygodnia i albo zdezerterowało, albo trzeba ich było ewakuować (wielu z nich potem wróciło na front). Inni nie przeżywają widocznego gwałtownego załamania, ale ich skuteczność jako żołnierzy spada. Przeżycia spotykające żołnierza na froncie powodują znacznie silniejsze przeżycia emocjonalne niż nawet najbardziej intensywne przeżycia znane cywilowi. Żołnierz frontowy doświadcza przerażenia, paniki, gniewu, żalu, zagubienia, poczucia bezsily, nieprzydatności na skalę nieznaną zwykłemu człowiekowi i te uczucia wyciskają z niego energię i odporność psychiczną jak wodę ze ściśniętej gąbki.

Wojskowi psychiatrzy przygotowali oficjalny raport na ten temat, zatytułowany *Combat Exhaustion (Wyczerpanie walką)*, w którym czytamy.

Nie zdarza się coś takiego, jak „przyzwyczajenie do warunków frontowych”. Każda chwila spędzona na froncie stwarza wielkie obciążenie psychiczne o takiej intensywności, że po jakimś czasie, wprost proporcjonalnym do intensywności przeżyć i długości okresu wystawienia na nie, dochodzi do załamania nerwowego [...] Konieczność ewakuowania z linii frontu ludzi z zaburzeniami psychicznymi jest równie nieunikniona, jak tych z cielesnymi ranami od odłamków i pocisków [...] Większość ludzi nie nadaje się do walki po spędzeniu na froncie stu czterdziestu do stu osiemdziesięciu dni. Panuje zgoda co do tego, że żołnierz osiąga szczyt swoich możliwości w ciągu pierwszych dziewięćdziesięciu dni, po czym jego efektywność spada w sposób ciągły, aż do punktu krytycznego, po osiągnięciu którego staje się bezużyteczny jako żołnierz.⁴⁰

Trzeciego stycznia 1945 roku kompania E miała za sobą dwadzieścia trzy dni na froncie w Normandii, siedemdziesiąt osiem w Holandii i piętnaście w Belgii, w sumie sto piętnaście dni walki. Statystycznie kompania zaczynała się więc zbliżać do krawędzi załamania, które mogło nadejść w każdej chwili.

Niemiecka piechota nie zaatakowała ani tej nocy, ani potem rano. Sanitariusze zajęli się rannymi. Ciała zabitych pozostały tam, gdzie dopadła ich śmierć - leżały kilka dni, zamrożone na kość. Wrócił porucznik Dike. Sytuacja zaczęła się normalizować.

Piątego stycznia kompania E została przeniesiona do odwodów pułkowych na południe od Foy. Tam dwóch ludzi, pełniący obowiązki dowódcy batalionu i sierżant - szef kompanii, zajęło się równoległe tym samym problemem - kadrą oficerską kompanii.

Winters wspomina: „Patrzyłem na młodszych oficerów mojej starej kompanii i nie mogłem opanować zgrzytania zębami. Poruczników mieliśmy po prostu do kitu. Nie miałem do nich zaufania. Tylko co, do jasnej cholery, mogłem na to poradzić?”

Wiedział, że będzie miał szczęście, jeśli w ogóle zdoła uzupełnić stan kadry do pełnego etatu, ale nie miał żadnego wpływu na poziom nowych. To będą ludzie prosto z kraju, po pośpiesznym przeszkoleniu, które jak sam wiedział ze swego doświadczenia w żaden sposób nie przygotowywało ich na to, co tu zastaną. Mieli prosto z marszu objąć stanowiska dowódcze na froncie i z miejsca wejść do walki, o której nie mieli pojęcia. O dowódcy kompanii miał zdanie równie złe, co o jego podwładnych: „Dike trafił do nas jako faworyt kogoś wysoko postawionego w dowództwie dywizji. Mieliśmy związane ręce”.

⁴⁰ Cytat za Johnem Keeganem, *The Face of Battle*, New York, 1976, s. 335-336.

Winters nie widział perspektyw szybkiego rozwiązania tego nabrzmiałego problemu. Tymczasem zaś przypomniał sobie starą wojskową maksymę, w myśl której podoficerowie stanowili kręgosłup każdej armii.

Zanim wezwał ich na odprawę, zgłosił się do niego sierżant - szef kompanii, Lipton, i poprosił o chwilę rozmowy na osobności. Winters wyznaczył mu spotkanie w lesie koło stanowiska dowodzenia batalionu, wieczorem.

Kiedy się spotkali, Lipton zwierzył się z obaw o stan kadry oficerskiej kompanii i jego wpływ na skuteczność bojową, przedstawiając diagnozę niemal słowo w słowo zgodną z przemyśleniami samego Wintersa. Opisał sposób dowodzenia - czy raczej unikania dowodzenia - Dike'a, ze wszystkimi obciążającymi go szczegółami, a swoje opowiadanie zakończył słowami: „Porucznik Dike będzie kosztował kompanię wielu zabitych, panie kapitanie”.

Winters wysłuchał cierpliwie wszystkiego, zadał kilka pytań, ale nie podzielił się z nim własnymi przemyśleniami na ten temat.

Niedługo potem dostali uzupełnienia. John Martin mówił: „Nie mogłem uwierzyć. Nie mogłem uwierzyć w to, że po prostu dadzą nam uzupełnienia iwypchną z powrotem na front po tym wszystkim. Miałem nadzieję, że... Jezu, nie wiem, że nas gdzieś stąd zabiorą, dadzą odpocząć, przebrać się i choć raz wysuszyć, czy coś takiego. Ale nie, macie uzupełnienia i »No, chłopaki, idziemy«. I to nie bronić linii frontu, tylko do ataku!”

Miał rację. Ich las tworzył podkowę wokół wsi Foy. W ataku 3 stycznia Amerykanie opanowali prawe ramię litery U, teraz przyszedł czas na opanowanie reszty.

Dziewiątego stycznia kompania uczestniczyła w operacji oczyszczania lasu na zachód od Foy z niedobitków niemieckiej obrony. Pokonując z rzadka napotykaną słaby opór, kompania osiągnęła wyznaczoną rubież i okopała się na noc. W pewnej chwili wśród konarów wybuchł jeden, po nim drugi i następne pociski artyleryjskie. Na stanowiska kompanii spadała jedna nawała ogniowa za drugą.

Kapral George Luz został zaskoczony ostrzałem na otwartej przestrzeni i ruszył sprintem do swojego okopu. Muck i szeregowy Alex Penkala zapraszali go do siebie, ale Luz postanowił dobiec do swojej wnęki. Mimo latających wszędzie odłamków, gałęzi i całych drzew, podmuchów eksplozji, udało mu się tam dotrzeć i zanurkował do swojego okopu.

Lipton dzielił okop z plutonowym Bobem Mannem, radiooperatorem z dowództwa kompanii. W pewnej chwili jeden z niemieckich pocisków uderzył tuż koło ich okopu i nie wybuchł, obrzucając obu podoficerów ziemią i śniegiem. Lipton podniósł ostrożnie głowę i popatrzył na dziurę w ziemi, w której zniknął pocisk. Mann zapalił papierosa. Lipton, który

nigdy nie palił, poprosił o papierosa i tego wieczora zapalił swojego pierwszego w życiu lucky strike'a⁴¹. Czyż mogła być lepsza okazja?

Kiedy ostrzał ustał, Luz wylazł ze swej dziury i poszedł sprawdzić, co słychać u Mucka i Penkali, którzy zapraszali go do siebie, kiedy biegł, żeby ukryć się przed odłamkami. Okazało się, że jeden z pocisków uderzył prosto w ich okop. Luz wyciągnął łopatkę i zaczął rozpaczliwie kopać. Jedyne, co znalazł, to resztki śpiwora i ludzkie szczątki.

101 DPD panowała teraz nad całym lasem otaczającym Foy, od wschodu, zachodu i południa. Tyle tylko, że to nie Foy było celem ich natarcia, ale Noville i płaskowyż za nim. Generał Taylor chciał 9 stycznia zaatakować bezpośrednio Noville, ale potrzebował do tego wsparcia czołgów i artylerii, a te można było ściągnąć tylko drogą, która wiodła przez Foy. Wieś już czterokrotnie wcześniej przechodziła z rąk do rąk.

Zadanie zdobycia Foy powierzono 2 batalionowi 506 pps. Batalion wycofano z linii frontu na zachód od Foy i przesunięto na południe. Do poprowadzenia ataku Winters wybrał kompanię E. Plan operacji był prosty. Natarcie miało iść przez odsłonięte, pokryte kopnym śniegiem puste pole szerokości dwustu metrów w kierunku wsi, w której z każdego okna mógł strzelać karabin maszynowy, chroniony przed ich ogniem ścianami z cegieł i kamieni. Nie było miejsca na żadne subtelności taktyczne, żadne manewry, nic z tych rzeczy. Trzeba było jak najszybciej przebyć to przekłete pole, i podejść na tyle blisko do okien, żeby przez nie wrzucić granaty i uciszyć obronę.

Kluczowym zagadnieniem była szybkość, z jaką zdołają pokonać pole. Jeśli ludzie dadzą z siebie wszystko, ruszą szybko, a ogień własnych karabinów maszynowych i moździerzy będzie odpowiednio celny i mocny, to wszystko powinno się udać. Jeśli gdziekolwiek się zatrzymają, będzie ich to drogo kosztowało.

Dywizja nakazała, by atak rozpocząć o 9.00. Wintersowi się to nie podobało. Argumentował, że lepiej będzie uderzyć o świcie, żeby ograniczyć czas wystawienia się na ogień obrońców, ale został przegłosowany.

Obserwował, jak jego dawna kompania rusza do ataku. U boku Wintersa stał dowódca plutonu z kompanii D, porucznik Ronald C. Speirs.

Speirs był oficerem z dość dwuznaczną reputacją. Szczupły, dość wysoki, ciemnowłosy, krzepki, o bardzo męskiej urodzie, wyglądał jak dowódca i zachowywał się jak przystoi dowódcy. Jeden z kolegów z kompanii D opisał go jako „twardego, agresywnego, odważnego i pomysłowego dowódcę plutonu piechoty”. Przez kolegów nazywany był

⁴¹ Lucky Strike (ang.) - dosłownie „szczęśliwy traf” [przyp. tłum.].

„Sparky” (Iskra), żołnierze woleli przezwisko „Bloody” (Krwawy). W batalionie był już w Normandii, gdzie dorobił się Srebrnej Gwiazdy za dowodzenie atakiem na bagnety.

Tyle dokumenty. Prócz tego krążyły jeszcze opowieści o poruczniku Speirsie. Nie sposób było znaleźć nikogo, kto by „to” widział na własne oczy, ale każdy słyszał o „tym” z dobrego źródła. Jedni w owe opowieści wierzyli święcie, inni tylko w części, ale nie było żołnierza w kompanii E, który by znał Speirsa i zupełnie nie dawał im wiary.

Jedna z tych historyjek mówiła o zdarzeniu z czasów kampanii w Normandii, kiedy to Speirs - jak wszyscy dowódcy plutonów - miał kłopoty z pijaństwem podwładnych. Któregoś dnia wydał rozkaz. Dość już się nachlaliście, koniec z tym. Od dziś żadnego wina, koniaku, cydru, nic. Żołnierze wysłuchali i rozeszli się, uśmiechając się pod nosem, jak zawsze, kiedy przełożony mówi coś bez sensu. Następnego dnia natknął się na pijanego podoficera. Wydał mu jakiś rozkaz, tamten coś odszczeknął, a wtedy Speirs całkiem na zimno i tak, jak się sięga po gazetę na widok brzęczącej muchy, sięgnął do kabury po pistolet. Wyjął go, podniósł i strzelił tamtemu między oczy. Od tamtej chwili, jakimś przedziwnym zrządzeniem losu, kłopoty z pijaństwem w plutonie ustały z miejsca, jak nożem uciął.

Po Normandii opowiadano o Speirsie jeszcze jedną, bardziej mroczną historię. Któregoś dnia szedł samotnie drogą i napotkał grupę dziesięciu jeńców. Pod strażą kopali oni jakiś dół obok drogi. Speirs stanął, wyciągnął paczkę papierosów i zaczął częstować jeńców. Byli tak wdzięczni, że zeskoczył do ich dołu i dał im całą paczkę papierosów. Wyciągnął zapalniczkę i każdemu przypalił. Potem wyszedł z powrotem na górę i stamtąd przyglądał się, jak palą i rozmawiają.

Po chwili, bez ostrzeżenia i żadnego powodu, ściągnął z ramienia Thompsona, z którym się nigdy nie rozstawał, i zaczął do nich strzelać. Omiatał lufą wnętrze dołu, aż wreszcie wszyscy jeńcy leżeli na dnie rowu. Wartownik, który ich pilnował, patrzył na niego przerażony. A Speirs zarzucił na ramię Thompsona, odwrócił się i bez słowa odszedł.

Tom Gibson, który mi to opowiadał (ale słyszałem tę historię z kilku źródeł w niemal identycznej wersji, choć wszyscy zarzekali się, że tego nie widzieli), skomentował: „Święcie wierzę w to, że frontowy żołnierz ma pełne prawo osądzać drugiego frontowego żołnierza. Tylko żołnierz frontowej kompanii piechoty może wiedzieć, jak trudno w tych warunkach zachować zdrowie psychiczne, zrobić swoje i zachować jakieś resztki honoru. Trzeba się nauczyć wybaczać innym i sobie pewne rzeczy, których się dopuszcza w tych warunkach”.

Gibson powiedział mi, że wielokrotnie po wojnie opowiadał tę historię, omijając nazwiska, jako przykład tego, do czego człowieka może doprowadzić wojna. „Jak wszyscy wiemy, są takie wojenne opowieści, które zaczynają żyć własnym życiem. Rosną w oczach,

nabierają szczegółów. Ale jedno jest pewne - niezależnie od tego, iloma wymysłami potem obrastają, musi być w nich ziarno prawdy, żeby w ogóle ktoś je po raz pierwszy opowiedział”.

Winters nie zaprzął sobie głowy Speirsem i jego reputacją. Obserwował atak kompanii E. Speirs i inni oficerowie z kompanii, które nie uczestniczyły w tym boju, patrzyli razem z nim. Winters ustawił dwa karabiny maszynowe kompanii sztabowej, by wspierały ogniem natarcie, strzelając ponad otwartym polem rozciągającym się na szerokość dwustu metrów pomiędzy skrajem zajmowanego przez nich lasu, a skrajem wsi⁴². Pokryte śniegiem pola były zupełnie płaskie i odsłonięte, jeśli nie liczyć kilku stogów siana i pojedynczych drzew.

Porucznik Foley, dowodzący plutonem, tak opisywał sytuację: „Widzieliśmy, że Foy nie było sprawdzane poprzedniego dnia ani żaden patrol nie rozpoznawał go w nocy. W poprzednich dniach obserwowaliśmy wjeżdżające i wyjeżdżające z niego ciężarówki i czołgi. Widzieliśmy już niejedną atak na Foy i kontratak stamtąd. Widzieliśmy, jak kompania F, kiedy próbowała bronić tego miejsca, została zdziesiątkowana tak, że teraz dowodził nią podporucznik. Nie mieliśmy pojęcia, co jest przed nami”.

Kompania ruszyła naprzód, ramię przy ramieniu. Karabiny maszynowe otworzyły ogień wspierający natarcie. Z wioski padło tylko kilka pojedynczych strzałów. Pomimo to, wspomina Winters, „to była ciężka przeprawa dla brnących tyralierą przez śnieg ludzi. Ale linia trzymała się równo i natarcie miało niezłe tempo”.

Atakujący na lewym skrzydle 1 pluton dotarł do skupiska obór i innych zabudowań gospodarskich na obrzeżu wsi. Foley kazał sprawdzić szopy. Kiedy pluton (liczący wówczas zaledwie dwudziestu dwóch ludzi) wziął się za przetrząsanie obórek, zauważono wskakujących do jednej z nich trzech Niemców. Foley kazał ją otoczyć, podszedł do drzwi, kopnął w nie i w najlepszej niemczyźnie, na jaką go było stać, zawołał gromkim głosem: „Wyłazić! Ręce do góry!”. Żadnej reakcji.

Wyciągnął granat obronny, zatknięty łyżką w oczko szelek, wyjął zawleczkę i wrzucił granat do środka. Po wybuchu Niemcy wygramolili się na zewnątrz, zszokowani i pokrwawieni. Jeden okazał się porucznikiem, pozostali dwaj sierżantami. Foley zaczął ich wypytywać o miejsce przebywania ich żołnierzy. Jeden z sierżantów sięgnął za pazuchę płaszcza, drugi też, porucznik zawołał: „*Nein, Du Dummkopff!*”, ale było już za późno.

⁴² W 1991 roku staliśmy w tym samym miejscu na świeżo zoranym polu z Wintersem, Lipto-nem i Malarkeyem. Winters wskazał na stopy mojej żony, Moiry, i obwieścił: „O, tu stał jeden z tych karabinów maszynowych”. Moira spojrzała pod nogi i podała mu podniesioną z ziemi zaśniedziałą łuskę naboju karabinowego kalibru 7,62 mm.

Jeden z żołnierzy Foleya pociągnął za spust swojego Thompsona i długą serią zastrzelił wszystkich trzech. Po latach Foley tak podsumował to zdarzenie: „No to jeńców już nie mieliśmy, ale za to chłopcy znaleźli u tamtych dwóch ukryte pod płaszczami pistolety”.

Pluton biegiem ruszył za resztą kompanii.

Dike tymczasem spojrzął w lewo i nie widział 1 plutonu. Jego pozostałe dwa plutony nacierały sprawnie. Strzelano do nich, ale nie odnosili strat. Dike przestraszył się jednak luki na lewym skrzydle i popełnił wielki błąd z gatunku tych, za które płaci się życiem swoich żołnierzy. Przekazał 2 i 3 plutonowi ręcznymi sygnałami, żeby zaprzestały dalszego natarcia i dołączyły do sekcji dowodzenia za wielkim stogiem siana.

Winters pilnie obserwował natarcie z brzegu lasu: „Nagle tyraliera stanęła, jakież siedemdziesiąt pięć metrów od skraju wsi. Wszyscy przypadli do ziemi za tymi cholernymi stogami i diabli wiedzą, po co tam siedzieli. Nie mogłem wywołać Dike'a przez radio, żeby się dowiedzieć, co jest grane. Kompania siedząca na tyłku w śniegu zamieniła się w jedną wielką tarczę strzelniczą”. Zaczął się niepokoić o to, jak długo zdoła jeszcze przyciskać do ziemi niemiecką obronę ogniem swoich karabinów maszynowych.

1 pluton dołączył do reszty kompanii skulonej za stogami. Foley poszedł do Dike'a po rozkazy. Ten nie miał pojęcia, co dalej robić. Foley nalegał, żeby podjął jakąś decyzję, w czym silnie popierali go Lipton i pozostali sierżanci.

Wreszcie Dike przedstawił plan dalszego natarcia. Zakładał on, że 1 pluton Foleya okrąży wioskę z lewej, zajdzie Niemców od tyłu i zaatakuje. W tym czasie reszta kompanii, wciąż siedząc za stogami, będzie mu udzielać wsparcia ogniowego ze swoich moździerzy i karabinów maszynowych. Aby to wsparcie było silniejsze, Foley miał mu zostawić swoje kaemy i moździerze. Rozkaz jest rozkazem i wkrótce osiemnastu spadochroniarzy z plutonu Foleya, bez żadnej broni wsparcia, wyruszyło, brnąc w kopnym śniegu, by oskrzydlić obronę Foy.

Porucznik Foley i sierżant Martin mieli tylko kilka minut na to, by wytyczyć trasę, którą pluton powinien wyjść na podstawę wyjściową do ataku. Wybrali w tym celu jedyną ścieżkę, przy której co mniej więcej dziesięć metrów rosło drzewo. Do ścieżki trzeba było jednak przebyć kilkanaście metrów całkiem odkrytym terenem.

Ruszyli biegiem do ścieżki, jeden za drugim. Po chwili otworzyli do nich ogień snajperzy. Wzdłuż linii popłynęło wezwanie o sanitariuszy do rannych. Pluton zaczął odpowiadać ogniem, ale bez widocznego efektu. Foley dotarł do najbliższego rannego. „To był Smith, Kalifornijczyk. Jęczał i krzyczał, kiedy koło niego klęknąłem i rozerwałem pakiet opatrunku osobistego, żeby mu opatrzyć ranę. Zanim znalazłem ranę, zaczął mi się

spowiadać. Wyobraźcie sobie! Miał do wyznania straszny grzech - razem z dwoma kolegami znaleźli rację żywnościową z czekoladą i papierosami, i ją zabrali. No, po prostu zgroza! Powiedziałem mu, że nie umiera i niech się nie wygłupia. Rozciąłem spodnie, posypałem ranę proszkiem i zabandażowałem. Nawet bardzo nie krwawił”.

Martin posłał szeregowego Franka Perconte za następne drzewo, żeby stamtąd ostrzelał budynki. „Frank pobiegł tam i próbował się schować za drzewem, które było może o palec szersze niż jego głowa. Na głowę ukrycia starczyło, ale ta jego wielka dupa wystawała na obie strony. No i za chwilę w nią oberwał”.

(Kiedy Lipton natknął się później na Franka Perconte, on wciąż leżał za tym drzewem w wielkiej plamie czerwonego śniegu, ale w pełni przytomny i trzymał się dobrze.

- Perconte, bardzo źle z tobą? Jak rana?

Frank szeroko się uśmiechnął i z zachwytem powiedział:

- Lip, to piękna rana. To po prostu wspaniała rana!).

Martin wysłał z kolei za drzewa szeregowego Harolda Webba. Foley nawiązał łączność radiową:

- Ostrzeliwuje nas snajper, ale nie wiemy skąd. Straciłem pięciu ludzi. Widzicie go?

Odbiór.

Ktoś z dowództwa kompanii odpowiedział, że ogień jest prowadzony prawdopodobnie z pierwszego stogu po prawej stronie Foleya. Odpowiedź przyszła natychmiast:

- Rozwalcie sukinsyna!

Jednocześnie cały pluton zaczął strzelać we wskazany stóg.

Zdaniem Liptona porucznik Dike zupełnie nie mógł się pozbierać. Zastygł w bezruchu za stogami i nie miał żadnego planu ani nawet pomysłu, co robić dalej.

Winters widział to równie wyraźnie. „Wszyscy siedzieli skuleni za tymi stogami, bez żadnego widocznego powodu”. Miał dość niemożności wywołania kompanii przez radio. Bez przerwy krzyczał do mikrofonu: „Ruszcie się! Naprzód!”. Żadnej odpowiedzi, żadnej reakcji. Kompania cały czas niepotrzebnie traciła ludzi. Brakowało dowódcy, kogoś, kto by ich pchnął do ostatniego skoku przez resztę otwartego terenu, między zabudowania, gdzie walka przestałaby być już tak jednostronna. Ale kompania nie miała nikogo takiego.

Winters złapał za karabin i ruszył biegiem przez pole, kierując się do swojej dawnej kompanii, teraz na skutek nieudolności jego następcy czekającej nie wiadomo na co, i 1 plutonu przygwożdżonego ogniem snajperów. Miał zamiar przejąć dowództwo i poprowadzić ludzi do ataku. W połowie drogi ochłonął nieco. Jezu, nie może tego zrobić! Przecież ma dowodzić całym cholernym batalionem, a nie jedną z jego kompanii, choćby i swoją własną.

To już nie była robota dla niego. Zawrócił i popędził z powrotem. „Kiedy tak wracałem, omal nie wpadłem na Speirsa. Oto właściwy człowiek na właściwym miejscu, pomyślałem.

- Speirs! Przejmij tę kompanię, odsuń od dowodzenia Dike'a i poprowadź ludzi do ataku.

Speirs z miejsca ruszył biegiem, a Winters zajął się swoją robotą. Porucznik Foley opowiada, z jakim skutkiem: „Winters nakazał karabinom maszynowym przykryć ogniem nasz [1 plutonu] ruch do tej przeklętej ścieżki z drzewami, a moździerzystom kazał się zająć tymi stogami, z których do nas strzelano. Poleciało na nie po kilka „ogórków”, siano się zapaliło i obu ciężko rannych snajperów mieliśmy z głowy”.

Na prawym skrzydle dowództwo pułku pchnęło do walki kompanię I (w składzie dwudziestu pięciu ludzi). Sukces lub porażka w tej potyczce zależały jednak od kompanii E. Był to dla niej ostateczny sprawdzian. Zanim do niego doszło, kompania osiągnęła dno swego upadku. Ani jej oficerowie, ani większość żołnierzy nie dorastała do poziomu, jaki reprezentowała kompania E w chwili zrzutu w Normandii. W 1945 roku w kompanii nie było już ani jednego z oficerów, którzy nią dowodzili w D-Day. Także ponad połowa szeregowych nie widziała Normandii. Trzon kompanii stanowili jej podoficerowie. W przeważającej większości byli to weterani z Toccoa i tylko dzięki nim kompania przetrwała pod komendą Dike'a, odkąd objął ją w Holandii.

Podoficerowie byli ludźmi żyjącymi w stanie ciągłego pogotowia i ostrego napięcia. Żyli, walczyli i starali się zdusić w sobie odczucia, które ich nie opuszczały ani na minutę. John Keegan pisze, że te odczucia to:

*Produkty siedzącego głęboko w każdym człowieku strachu: strachu przed ranami, strachu przed śmiercią, strachu przed wystawianiem na niebezpieczeństwo tych, za których jest się odpowiedzialnym. Wiele też mają do powiedzenia najbrutalniejsze porywy ludzkiej pasji: nienawiść, wściekłość i żądza mordy.*⁴³

Wśród tej burzy uczuć nikt nie miał kontroli nad myślami kłębiącymi się w ich głowach. Widzieli już oficerów, którzy porzucali swoje pododdziały, zaszywali się gdzieś na zapleczu, tchórzli, czy też po prostu siadali bez ruchu i bez słowa (jak porucznik Dike w tym właśnie momencie kryzysu). Może nie wolno im było porzucać swoich żołnierzy, ale na pewno wolno im było nie dowodzić. Nikt ich do tego nie mógł zmusić.

Oni też nie mogli zmusić Dike'a do działania. Podoficerowie kompanii E byli ludźmi z Toccoa, wszystkim, co w kompanii pozostało z tych upalnych dni lata 1942 roku i wysiłków

⁴³ John Keegan, op. cit., s. 16.

kapitana Sobela. Utrzymali kompanię w kupie przez cały czarny okres nieudolnych dowódców na górze i ciężkich strat na dole.

A teraz nadszedł czas próby. W 1942 roku pytano, czy uda się sformować i wyszkolić armię obywatelską na tyle, by była w stanie stawić czoło Niemcom w długiej kampanii w północno-zachodniej Europie. Nie tylko Hitler udzielił na to pytanie odpowiedzi przeczącej. Liczącej się odpowiedzi udzielono jednak znacznie później, na zaśnieżonych polach Belgii w styczniu 1945 roku. Dla kompanii E nadszedł czas najważniejszej próby.

Podoficerowie dobrze przygotowali ją do tej próby. Rdzeń kompanii, weterani z Toccoa, byli gotowi dowodzić i być dowodzonymi. Porucznik Speirs, zziębnięty i zgoniony, potrzebował wypowiedzieć tylko dwa słowa do Dike'a: „Przejmuję dowództwo”.

Sierżant Lipton i inni przedstawili mu sytuację. Łapiąc na powrót oddech, wydał rozkazy: 2 pluton tędy, 3 pluton tamtędy, moździerz przenieść ogień na skraj wioski, kaemy długimi seriami ognia, całość naprzód! I ruszył biegiem przed siebie, nie oglądając się, nie tłumacząc nic, ufając, że ludzie pójdą za nim. I poszli.

Speirs pisał w liście z 1991 roku:

Pamiętam te szerokie, płaskie, odsłonięte pola wokół Foy. Każdy ruch ściągał ogień. Zapamiętałem, że niemiecka osiemdziesiątka-ósemka strzelała do mnie, kiedy biegłem z lasu do stogów przejąć kompanię. Takie zainteresowanie ze strony wroga naprawdę zrobiło na mnie wrażenie.

Stojąc w tamtym miejscu z Wintersem i Malarkeyem, Lipton wspominał bieg Speirsa. Pamiętał też, że kiedy dotarli wreszcie do skraju zabudowań, Speirs zapytał go o stanowisko dowodzenia kompanii I. „I tak biegał, cały czas wzdłuż i w poprzek niemieckich linii, z lasu do nas, od nas do kompanii I, tam dogadał się z jej dowódcą, ustalając współdziałanie i znowu biegiem do nas. Rany boskie, ten facet był po prostu niesamowity!”

Kiedy pozostałe plutony pod dowództwem Speirsa zdołały wreszcie ruszyć naprzód, 1 pluton Foleya zaczął do nich wracać. Sierżant Martin, popędzając swoich żołnierzy, zauważył, szeregowego Webba nadal klęczącego za drzewem z uniesionym do ramienia karabinem, ale ani nie strzelającego, ani nie biegnącego razem z resztą.

- Dalej, Webb, na co czekasz, gamoniu! Biegiem!

Żadnej reakcji.

„Cholera, dalej do nas strzelali, więc podbiegłem do tego drzewa zakosami. Drzewo, za dużo powiedziane. Drzewko, grubości mniej więcej dłoni. W końcu jakoś tam dobrnąłem i ponieważ nie dawało się schować za nim obok Webba, musiałem wylądować mu niemal na

głowie. Przy okazji przewrócił się i wtedy zobaczyłem, że nie żył. Dostał prosto między oczy”.

Kompania wdarła się do Foy. Żołnierze otworzyli na wszystkie strony ogień z najróżnorodniejszej broni, jaką spotyka się w kompanii piechoty: z karabinów, karabinków, pistoletów maszynowych Thompsona, bazooki, erkaemów, lekkich karabinów maszynowych, moździerzy, rzucono granaty ręczne i wystrzelowano granaty nasadkowe. Mieli też wsparcie artylerii, więc wokół rozpętało się piekło gwizdzących pocisków, wybuchających granatów, pocisków artyleryjskich, rakiet z bazooki, serii z broni maszynowej, odpalanych moździerzy, sypiącego się szkła, tynku, ziemi, ceglanego pyłu, dachówek, kamieni i drewnianych belek.

Mimo to opór Niemców był nadal silny. Snajperzy zaczęli znowu zbierać swoje ponure żniwo. Zwłaszcza jeden z nich był bardzo dokuczliwy i trafił dwóch żołnierzy, trzymając w szachu ważne skrzyżowanie uliczek. Jakiś czas potem pojawił się tam Shifty Powers, człowiek, który wiele czasu za młodu spędził polując na wiewiórki wśród gór Wirginii. Jak ostry miał wzrok i jak wyczulony na najmniejsze nawet anomalie, mieliśmy się okazję przekonać, kiedy wypatrzył niemiecką baterię osiemdziesiątek-ósemek, zamaskowaną jednym, jedynym „drzewem, którego tu wczoraj nie było”. Tym razem też dłuższą chwilę wpatrywał się w okolicę, po czym zawołał: „Widzę go!” i strzelił. Lipton wspomina: „I już nie byliśmy przygwożdżeni niczym ogniem na tej krzyżowce. Mogliśmy nacierać dalej”.

Obrona była silna - 6 kompania 10 pułku grenadierów pancernych z 9 Dywizji Pancерnej - ale jej zadaniem była tylko obrona tyłów wycofujących się do Noville wojsk niemieckich. Mimo to walczyli zaciekle, z uporem, bardzo umiejętnie utrzymując otwartą drogę odwrotu i nie ulegając do końca panice. Speirs i jego ludzie nacierali jednak nieprzerwanie, aż w końcu zagrozili przecięciem drogi za niemieckimi stanowiskami i wreszcie trzy Tygrysy, wszystko, co pozostało z kompanii czołgów, wycofały się wraz z nie więcej niż plutonem piechoty. W Foy poddało się około stu Niemców, w przeważającej większości rannych. Kompania E zwycięsko wyszła ze swej próby. Zdobyła Foy.

Lipton i Popeye Wynn poszli szukać miejsca, z którego ostrzeliwał ich snajper uciszony przez Powersa. Po dłuższej chwili znaleźli wreszcie snajpera, z dziurą po kuli w środku czoła. Wynn skomentował:

- Wiesz, co ci powiem, Lip? Nie opłaca się strzelać do Powersa, kiedy Shifty ma pod ręką karabin...

* * *

Było wczesne popołudnie. Ekipa zdjęciowa przyjechała z kamerą kręcić film o zwycięstwie. Na skraju lasu Winters zauważył dwóch fotoreporterów, którzy robili zdjęcia

sanitariuszom znoszącym rannych z 1 plutonu. „Kiedy podeszli na dwadzieścia pięć metrów do skraju lasu, już daleko od jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, jeden z fotografów odłożył swój aparat i pobiegł pomagać noszowym. Złapał za te nosze tak, że po chwili cały się upaprał krwią, która obficie opryskała mu rękaw i przód świeżutkiej, czyściutkiej pikowanej kurtki zimowej. Potem, zatrzymując noszowego, odwrócił się do tego drugiego fotografa i zaczął odgrywać rolę ciężko zmęczonego, wlokąc się z tymi noszami ostatnich parę metrów do lasu. Ten drugi kręcił się wszędzie wokół, pstrykając mu zdjęcie za zdjęciem. Kiedy opuścił aparat, żeby zmienić film, ten pierwszy stracił całe zainteresowanie pomaganiem sanitariuszom i po prostu zostawił nosze na śniegu, wracając po swój aparat”.

Wieczorem pułkownik Sink zebrał w dowództwie wszystkich, którzy odegrali znaczącą rolę w ataku na Foy. Odprawę zaczął, kierując do Wintersa pytanie:

- Co masz zamiar zrobić z kompanią E?
- Zdjąć Dike'a i zastąpić go Speirsem, panie pułkowniku.

Sink zatwierdził tę decyzję i na tym odprawa się skończyła. Porucznik Foley też zgadzał się z decyzją Wintersa: „Cieszyliśmy się, że Dike wyleciał, nie tylko dlatego, że zawiódł dzisiaj, gdy w skórę dostał 1 pluton. Już wtedy, kiedy 2 pluton ucierpiał od tych rozrywających się wśród drzew pocisków, Norman Dekownik dobitnie dowiódł, że nie nadaje się na dowódcę”.

Speirs szybko udowodnił, że ma to wszystko, czego brakowało Dike'owi, a nawet jeszcze więcej. Udowodnił to już w pierwszej godzinie swego dowodzenia, przejmując kompanię E w czasie ataku na Foy.

Noville

14 - 17 styczeń 1945

„Wieść o tym ataku wkurzyła mnie do głębi. Nie mogłem uwierzyć, że po tym wszystkim, co zrobiliśmy i przez co przeszliśmy, po tych wszystkich stratach, które odnieśliśmy, wysyłają nas do natarcia. To z daleka śmierdziało wybujałym ego generała Taylora, pokazówką dla Eisenhowera, mającą dowieść, że teraz, skoro pan generał wreszcie raczył wrócić z Waszyngtonu, jego dywizja ruszy w końcu dupę i przejdzie do ofensywy”, wspomina Winters.

I znowu, obiektywnie rzecz biorąc, to uwaga nie fair w stosunku do Taylora. Atak 101 DPD był częścią zakrojonego na wielką skalę działania zaczepnego mającego na celu odcięcie zajętego przez Niemców terytorium. Siły amerykańskie z północnego skrzydła wyłomu uczynionego przez grudniową ofensywę miały uderzyć na południe, połączyć się z 1 Armią i zamknąć w kotle niemieckie jednostki pancerne. Taki był plan, potem jednak na skutek ociągania się dowodzącego amerykańskimi jednostkami na północy brytyjskiego marszałka Montgomery'ego Niemcy zdołali wycofać większość z nich i w projektowanym kotle zostały tylko resztki. Niemniej należało się liczyć, że nawet te resztki będą z całych sił walczyć o utrzymanie otwartej drogi odwrotu.

Wysłanie przetrzebionej kompanii do frontalnego ataku przez płaskie ośnieżone pole w samo południe było zaś nie przejawem żądzy sławy Taylora, lecz braku ludzi, odczuwanego przez Eisenhowera. Nie miał już żadnych rezerw, które mógłby rzucić do tej walki, a tak korzystna do natarcia sytuacja mogła się już nigdy nie powtórzyć. Ike musiał więc spróbować dać sobie radę tym, co już miał na linii frontu. Innymi słowy, kompania E miała zapłacić za politykę ograniczania poboru. To jej skutkiem był brak żołnierzy do prowadzenia wojny.

Po upadku Foy kompania E wraz z resztą 2 batalionu została przesunięta do pułkowych odwodów, na południe od wsi. Nazajutrz, 14 stycznia o 1.45, Niemcy przypuścili kontratak, atakując Foy sześcioma czołgami i kompanią grenadierów pancernych. Kontratak został odrzucony, ale wkrótce Niemcy powrócili - teraz już w sile czternastu czołgów i

batalionu grenadierów - i tym razem udało im się wyprzeć 3 batalion 506 pułku ze wsi. 2 batalion miał pomóc ją odbić, ale 3 batalion ze wsparciem artylerii poradził sobie sam i do 9.30 Foy ponownie znalazło się w amerykańskich rękach.

Działania te prowadzono w przerażających warunkach. Przez okolicę przewalał się kolejny zimny front atmosferyczny. W dzień temperatura utrzymywała się na poziomie minus sześć stopni Celsjusza, w nocy spadała poniżej piętnastu stopni. Śnieg padał niemal codziennie, i to tak obficie, że dywizja miała problemy z dostarczaniem zaopatrzenia drogą z Bastogne z powodu zasp. W rezultacie żołnierze kompanii E walczyli w warunkach niemal równie złych jak w pierwszym tygodniu oblężenia. Brakowało jedzenia. Brakowało zimowych butów, koców, śpiworów. Prześcieradła trzeba było zużyć na ubrania maskujące.

Teren, przez który miała nacierać kompania E, był bardzo trudny do atakowania. Wokół miasteczka rozciągały się szeroko płaskie pola, otoczone gęstym lasem, który dopiero trzeba było rozpoznać i oczyścić z nieprzyjaciela. Niemcy zajmowali stanowiska obronne w mieście i na szczycie płaskowyżu, który się za nim rozciągał. Solidne murowane budynki Noville dawały schronienie snajperom i karabinom maszynowym, pozwalały ukryć czołgi.

Pułkownik Sink oznajmił Wintersowi, że 2 batalion będzie miał zaszczyt poprowadzić atak na Noville. Wyruszą o 12.00, w samo południe 14 stycznia, z lasu na południe od Foy, okrążając Noville z lewej (czyli od zachodu). Zajmą wioskę Recogne i stamtąd przejdą przez zaśnieżone pola dzielące ją od Cobru, następnej wioski leżącej około kilometra na wschód od Noville. Na lewo od Wintersa 1 batalion miał wyruszyć na północ i oczyścić las.

Winters nie był zachwycony otrzymanymi rozkazami. Jego ludzie mieli pokonać w drodze do Cobru dwa kilometry otwartej, śnieżnej przestrzeni, na której każdy ruch widać było z daleka. Po diabła było się tam pchać w środku słonecznego dnia? Winters wołał poczekać do nocy i skoro świt ruszyć naprzód, by jak najszybciej pokonać odkryte pola. Ale co miał w tej sytuacji do powiedzenia byle kapitan? Eisenhower chciał atakować, Montgomery chciał atakować, Taylor chciał atakować, Sink chciał atakować, więc cztery kompanie 2 batalionu nie miały wyboru.

Winters wypatrzył na mapie dość głęboki wąwóz ciągnący się na południowy wschód od Noville, w kierunku Recogne. Gdyby wysłał swoich ludzi prosto do niego, to im bliżej Noville, tym większą mieliby osłonę przed ogniem. Dojście do wąwozu było ryzykowne, ale potem dawało im większą szansę na przeżycie. Ustawił batalion rzędem, jednego żołnierza za drugim, i ruszyli, brnąc przez śnieg. To była niebezpieczna wprawdzie, ale najkrótsza droga do wąwozu.

1 batalion na lewym skrzydle kompanii E i resztki 2 batalionu wyruszyły razem w tej samej chwili, ale okrężną drogą przez pola. Po chwili wypatrzyły ich niemieckie czołgi w Noville i otworzyły ogień z dział kalibru 88 mm. 2 batalionu Niemcy nie widzieli - wąż spełnił swoje zadanie.

Winters popatrzył w lewo, skąd dochodziły odgłosy wybuchów. Osiemdziesiątki-ósemki dziesiątkowały 1 batalion. „W szklach lornetki ludzie latali w powietrzu, wyrzucani wybuchami. Po latach oglądałem w filmie *Doktor Żywago* scenę, w której żołnierze brną przez śnieżne pustkowia pod ogniem dział ze skraju lasu. Muszę przyznać, że ta scena zrobiła na mnie ogromne wrażenie - wszystko to ukazane było bardzo realistycznie”.

Kompania E tymczasem miała własne problemy. Niemiecki karabin maszynowy z Noville zaczął ostrzeliwać żołnierzy, którzy w drodze do wąwozu musieli zwolnić przy pokonywaniu strumienia płynącego przez pole. Speirs rozstawił swój karabin maszynowy i odpowiadał ogniem. Za każdym razem, kiedy ich Browning wystrzeliwał serię, kilku żołnierzy mogło przeskoczyć przez niebezpieczny teren, zanim Niemcy podnieśli głowy i znowu zaczęli go ostrzeliwać.

Strumień był na tyle wąski, że większość żołnierzy bez problemu mogła go przeskoczyć. Szeregowy Tony Garcia, objuczony zapasem amunicji do moździerza, nie zdołał jednak dokonać tej sztuki i skąpał się w lodowatej wodzie. „Kiedy dotarliśmy do Noville, moje ubranie zamarzło i przy każdym ruchu łamało się z trzaskiem. Dzięki temu oszczędzono mi przynajmniej przyjemności pójścia na całonocny patrol w celu nawiązania kontaktu z jednym z naszych oddziałów. Sierżant skreślił mnie z listy, mówiąc, że w tym stanie słychać mnie stąd aż do Berlina. I zostałem w Noville”, wspominał po latach.⁴⁴

2 batalion do 15.30 pokonał pole i schronił się w wąwozie. Do zmroku do tarli do południowo-wschodnich obrzeży Cobru.

Speirs zwołał odprawę dowódców plutonów z szefem kompanii, Liptonem. Przedstawił plan wyznaczonego na rano ataku - dalej wąwozem do Noville. 2 pluton miał nacierać z lewej, 3 pluton z prawej. Na prawym skrzydle miały się pojawić własne czołgi, wspierające natarcie z drogi Foy-Noville. Po odprawie Speirs wyznaczył Liptona, żeby poprowadził do natarcia 2 pluton.

⁴⁴ Garcia zachował jeszcze inne wspomnienie z tego samego dnia: „Jednym z najbardziej poruszających momentów całej wojny był dla mnie widok konia bezradnie stojącego w śniegu z przednią nogą poharataną przez odłamki, z białymi kośćmi sterczącymi z rany. Jakiś podoficer ulitował się nad biednym zwierzęciem i zastrzelił je. Brutalność jednego człowieka w stosunku do drugiego jest już wystarczająco tragiczna, ale widok niewinnego zwierzęcia cierpiącego z powodu walki ludzi wydaje mi się jeszcze większą tragedią”.

Lipton zebrał swoich ludzi, żeby wyznaczyć im zadania na jutro. Winters przysłuchiwał się jego odprawie. Lipton powiedział im, że kiedy zbliżą się na osiemset metrów do obrzeży miasta, powinni szybko ruszyć przed siebie drogą, by dopaść zabudowań i schronić się w nich przed ogniem. Po przekroczeniu granic miasteczka mieli przystąpić do oczyszczania budynków, działając w zespołach - jeden strzela, drugi wrzuca granaty przez okno. Moździerzyści powinni być w pogotowiu, żeby w razie potrzeby szybko przystępować do ostrzeliwania niemieckich punktów oporu, a karabiny maszynowe będą prowadzić wsparcie ogniowe nacierającej piechoty, która z kolei miała unikać zbijania się w grupy, i tak dalej. Winters odezwał się tylko raz, stwierdzając, że jego zdaniem dystans do szybkiego natarcia musi wynosić nie osiemset, tylko tysiąc metrów.

Kiedy kończyli odprawę, w powietrzu niósł się odgłos zapuszczanych silników i jadących czołgów. W panujących ciemnościach nie było możliwości, żeby rozpoznać, czy to były zapowiadane amerykańskie czołgi na drodze Foy-Noville, czy też może Niemcy się wycofywali.

Winters zapamiętał tę noc jako chyba najzimniejszą w życiu. Nie mieli żadnego schronienia poza pośpiesznie kopanymi, płytkimi z racji kamienistego podłoża, okopami. Ludzie, spoceni po intensywnym marszu do Cobru, drżeli wstrząsani dreszczami nie do opanowania. Leżeli na ziemi, zasypiali, a wkrótce budziły ich dreszcze. Ubrania zamarzały. Większość wołała zrezygnować z dalszych prób zasypiania. Było tak źle, że Winters w pewnej chwili nosił się nawet z zamiarem zmiany planów i atakowania w nocy, byle tylko dłużej tam nie marzli. Powstrzymał się przed tym jednak, obawiając się, że w ciemności dojdzie do zamieszania i jego kompanie mogą się powystrzelać nawzajem.

Lipton miał opory przed prowadzeniem 2 plutonu w nieznane. Postanowił rozpoznać sytuację w Noville sam wraz z radiooperatorem, skoro i tak nie mogli zasnąć. Dwaj uczestnicy patrolu dotarli do stodoły na obrzeżach miasteczka, weszli do niej tylnymi drzwiami i macając w ciemności drogę, dotarli do drzwi frontowych wychodzących na podwórko przy głównej drodze prowadzącej przez Noville. Wszędzie wokół panowała cisza. Lipton wywołał przez radio Speirsa, powiedział mu, gdzie są, i poprosił o zezwolenie na dalsze rozpoznanie sytuacji w miasteczku. Zameldował, że widzi przed sobą Shermany i zapytał, czy Speirs wie coś o tym, że amerykańska broń pancerna zajęła Noville. Speirs nie miał pojęcia i kazał mu się rozejrzeć po okolicy.

Lipton cicho podszedł do czołgów i stwierdził, że były zniszczone. Wokół leżały porzucane zamrożone ciała Amerykanów. To były wraki czołgów zniszczonych w

Noville 20 grudnia, niemal miesiąc wcześniej, kiedy Niemcy wyparli stąd Zespół Desobry z 10 DPanc. Niemcy wciąż byli w mieście. Lipton i jego radiooperator się wycofali.

* * *

Atak rozpoczął się o świcie 15 stycznia. Z miejsca napotkali opór, najsilniejszy w pasie natarcia 3 plutonu po prawej stronie drogi, tam gdzie mieli dostać wsparcie czołgów. 2 pluton szybko dotarł do centrum Noville i wypalonych Shermanów. 3 pluton zdobył wypalony budynek i swoje stanowisko dowodzenia rozłożył w nim jego dowódca. Przez radio uprzedzono, że na drodze pojawi się z dawna zapowiadane pancerne wsparcie ich natarcia.

Porucznik Shames i sierżant Alley z 3 plutonu wkrótce po tej zapowiedzi usłyszeli za ścianami swego stanowiska dowodzenia czołgi. Chcąc jak najszybciej wznowić natarcie plutonu, które zaległo z powodu silnego oporu, Alley powiedział Shamesowi, że przyłączy się do czołgistów, żeby im wskazywać cele. Shames postanowił iść razem z nim. Przez wypalone podwórka, przez przebite w ścianach piwnicy przejścia wydostali się na ulicę i skręcili za róg, skąd słyhać było ryk czołgowego silnika. Znaleźli go za rozbitą do połowy barykadą, przesłaniającą kadłub i wieżę tak, że widoczne ponad nią były tylko właz i stojący w nim czołgista.

Alley podbiegł do czołgu, ale dowódca czołgu nie widział go, odwrócony plecami i pilnie wypatrujący czegoś przez lornetkę na przedpolu. Kiedy wreszcie ją opuścił, Alley, machając gorączkowo rękami, krzyknął: „Jedź za mną! Tędy!”.

Czołgista odwrócił się i wtedy Alley zauważył, że to Niemiec! Wzięli jego czołg za amerykański! Niemiec zaklął, natychmiast zniknął we włazie. Wieża zaczęła się obracać w ich kierunku, ale rozbita barykada nie pozwalała mu do nich strzelić. Rzucili się do ucieczki z takim wigorem, że tylko śnieg tryskał spod ich butów. Niemiecki czołg ryknął silnikiem i zaczął wyjeżdżać zza barykady, ścigając ich. Amerykanie uskoczyli za róg ulicy. Shames zobaczył otwarte okno i w pełnym biegu skoczył w nie „tygrysem”, wpadając głową naprzód. Alley przebiegł może trzy metry dalej i uskoczył w bramę, wystawiając z niej karabin, gotów otworzyć ogień do grenadierów pancernych, którzy, jak był pewien, podążają za czołgiem.

Czołg także skręcił za róg, przejechał koło nich i ruszył dalej, dojeżdżając wkrótce do miejsca, w którym 2 pluton oczyszczał budynki wokół placu ze spalonymi Shermanami. Lipton i jego ludzie dali nura pod zniszczone czołgi lub uskoczyli za mury, kryjąc się przed ogniem niemieckiej maszyny. Niemiec zatrzymał się u wylotu ulicy i metodycznie zaczął ostrzeliwać wypalone Shermany, przesuwając armatę od jednego do drugiego. Lipton wspomina, że „po każdym trafieniu Sherman nad nami podskakiwał w górę, jak nam się zdawało, na pół metra”.

Kiedy skończył, ruszył całym gazem drogą na północ, szukając tam bezpieczniejszego schronienia. Daleko nie ujechał - patrolujący samolot myśliwsko-bombowy P-47 dostrzegł go, ostrzelał, po czym zniszczył rakieta.

Czołg przewalił się z hukiem koło niego i Alley ruszył na poszukiwanie porucznika Shamesa. Po chwili usłyszał jęki i wołania o pomoc. Dochodziły z okna, w które zanurkował Shames. Alley zajrzał do środka i nie mógł się powstrzymać od śmiechu: jego porucznik leżał wbity w stertę mebli, materacy, jakichś sprężyn od łóżek i wszelkiego szmelcu wypełniającego składzik, który wybrał na swoje schronienie przed czołgiem.

Około południa 2 batalion uchwycił Noville i zorganizował obronę okrężną miasteczka. Miejscowość i otaczające ją wzgórza były celem ataków 101 DPD od 20 grudnia. Teraz wreszcie znalazły się na powrót w amerykańskich rękach.

Lipton pisał:

Widzieliśmy Noville, wyglądając na północ z naszych stanowisk pod Foy od samego przyjazdu do Bastogne i byliśmy święcie przekonani, że to będzie ostateczny cel naszej kampanii bastońskiej.

Jak zwykle się mylili. Generał Taylor postawił przed 2 batalionem jeszcze jedno zadanie - zająć i oczyścić Rachamps leżące dalej na północ, w kierunku na Houffalize.

Rachamps znajdowało się w bok od szosy, po jej prawej (wschodniej) stronie, na dnie płytkiej niecki. Pokryte śniegiem zbocza otaczające Rachamps sprawiały wrażenie, jakby mieli zdobywać środek spodka, atakując z jego obrzeża. 2 batalion nacierał z południa i południowego zachodu, współdziałając z lewej z 1 batalionem, który parł ku miasteczku z północy. Żołnierze obu batalionów, rozrzućeni na dużej przestrzeni, zbliżali się niepowstrzymanie do miasteczka. Niemcy stawiali niewielki opór, strzelała głównie artyleria, używając pocisków fosforowych. Kiedy jednak oba bataliony 506 pułku doszły na obrzeża Rachamps, większość obrońców wycofała się. Wkraczających Amerykanów powitał wzmagający się ogień artylerii.

Plutonowy Earl Hale był jednym z pierwszych, którzy weszli do miasteczka. Wraz z Liebgottem schronili się w jakiejś stodółce, gdzie przy okazji zaskoczyli i wzięli do niewoli sześciu oficerów SS. Hale ustawił ich w zbitą gromadkę i oświadczył, że jeśli mają z Liebgottem zginąć, to zabiorą ich ze sobą. Po czym odszedł na bok i usiadł na ziemi, kładąc na potwierdzenie swoich słów odbezpieczonego Thompsona na kolanach.

W pewnej chwili tuż koło stodoły wybuchł pocisk i odłamek trafił Hale'a, przewracając go na ziemię. Nagle jeden z oficerów SS dobył z buta ukrytego tam noża i podciął mu gardło. Ostrze ominęło tchawicę i tętnicę szyjną, ale przecięło przełyk i obficie

popłynęła krew. Liebgott zastrzelił najpierw tego z nożem, a potem wszystkich pozostałych. Sanitariusz Roe opatrzył Hale'a, który wkrótce został ewakuowany jeepem do Luksemburga. Tam zdumiony raną lekarz pozszywał go, niewiele jednak mogąc poradzić na to, że blizna po cięciu nie wyglądała najładniej. Nawet po zagojeniu miał z nią sporo kłopotów i lekarz wydał mu na piśmie zalecenie, żeby nie nosił krawata. (Potem bardzo mu się przydało, kiedy w drodze powrotnej do jednostki natknął się na bardzo wymagającego w zakresie przestrzegania właściwego umundurowania generała Pattona. Patton, widząc żołnierza bez krawata, spadł na niego niczym jastrząb i z właściwą sobie gwałtownością zwymyślał go ostro za to rażące naruszenie dyscypliny. Hale spokojnie poczekał, aż generałowi wyczerpie się inwencja, po czym bez słowa wręczył dokument zawierający zalecenie lekarskie. Po raz chyba pierwszy w życiu Patton był tak zdumiony, że zapomniał języka w gębie).

Łatwe zwycięstwo w Rachamps było dowodem na to, jak gruntowne zwycięstwo odniosła 101 DPD nad dwunastoma elitarnymi dywizjami pancernymi i piechoty wroga. Dla Amerykanów pozbawionych zaopatrzenia ten miesiąc był znacznie gorszy niż dla Niemców, którzy mieli go pod dostatkiem. 101 DPD przez pierwszy tydzień miała tylko to, co na sobie, a i potem jej się nie przelewało. Te tygodnie stanowiły ciężką próbę dla niedostatecznie ubranych, uzbrojonych i głodnych spadochroniarzy. To była wojna w jej najtwardszym, najstraszniejszym wydaniu. Głodna, zmarznięta, przetrzebiona i z brakami w uzbrojeniu dywizja musiała stawić czoło najlepszym wojskom, jakie Niemcy mogli przeciwstawić aliantom w tej fazie wojny. Atakujące ich oddziały Wehrmachtu i Waffen-SS były dobrze odżywione, odpowiednio ubrane, uzbrojone po zęby i znacznie liczniejsze od Amerykanów.

To była ostateczna próba woli walki, sił obu mocarstw. Najlepsze, co mieli Amerykanie, starło się z najlepszym, co mieli Niemcy, przy wszelkich przewagach, jakie były po niemieckiej stronie, od zaskoczenia począwszy, na pogodzie, która uziemiła alianckie lotnictwo, kończąc. I 101 DPD tę próbę nie tylko przetrwała, ale odniosła wielkie zwycięstwo. Jeszcze większe przez to, co ze sobą niosło w szerszym planie. Samo rozbicie największej niemieckiej kontrofensywy na froncie zachodnim w czasie II wojny światowej i przekształcenie tej rozpaczliwej próby odebrania aliantom inicjatywy strategicznej w, jak to ujął Eisenhower, „okazję do zabijania Niemców na zachód od Renu” już było wielkim osiągnięciem. Ale prócz tego Amerykanie udowodnili swoją wyższość nad Niemcami także w dziedzinie morale. Tym razem o zwycięstwie zadecydowała nie przewaga liczebna, wsparcie lotnictwa czy jakość amerykańskiej broni. Przeważała lepsza umiejętność współdziałania na podstawowym szczeblu, koordynacja działań, dowodzenie na najniższych szczeblach - elementarz żołnierskiego rzemiosła, w którym Niemcy byli dotąd niezrównanymi mistrzami. I

jeszcze coś, kto wie, czy nie najważniejsze - nieprzerwany łańcuch wzajemnego zaufania, który ciągnął się w obie strony od okopów aż na najwyższe stopnie wojskowej hierarchii, od sztabu Ike'a aż po okopy kompanii E. Niemcy nie mieli już nic takiego. Przewaga morale amerykańskiej armii wynikała z całkowicie odmiennych metod szkoleniowych, skuteczniejszej selekcji dowódców, a w ostatecznym rozrachunku po prostu z bardziej otwartej armii, będącej odzwierciedleniem bardziej otwartego społeczeństwa. Demokracja, jak się okazało, potrafiła przekształcić młodych ludzi w znacznie lepszą armię niż dyktatura hitlerowskich Niemiec.

Incydent z walk o Rachamps, relacjonowany przez sierżanta Radera, doskonale ilustruje kontrast pomiędzy zdrowymi, zahartowanymi żołnierzami amerykańskimi a weteranami wielu frontów po drugiej stronie. „Zaraz na samym początku o mało nie rozwaliłem szkopskiego jeńca. Sukinsyn patrzył na mnie hardo i jak mi się wydawało, naśmiewał się ze mnie. Szlag mnie trafił. O ty, taki owaki! Tak ci wesoło? Czeka, wpakuję ci kulkę, to się zasmucisz. Już podnoszę karabin, kiedy jeden z chłopaków łapie za lufę.

- Panie sierżancie, co pan?! Ten facet się nie śmieje, on tylko nie ma powiek!

Okazało się, że faktycznie nie miał. Odmroził je sobie w Rosji i po prostu odpadły. I takich ludzi tam wysyłali na front!”

Zwycięstwo rozślawiło imię 101 DPD. Legenda dywizji narodziła się już po Normandii, w Holandii urosła jeszcze bardziej, ale swego szczytu sięgnęła po Bastogne. 101 DPD stała się najślawniejszą i najbardziej podziwianą ze wszystkich osiemdziesięciu dziewięciu dywizji, które wystawiły Stany Zjednoczone w czasie II wojny światowej. Od tej pory jej żołnierze nosili na swym lewym ramieniu naszywkę z głową krzyczącego orła z jeszcze większą dumą niż wcześniej.

W Rachamps Speirs założył stanowisko dowodzenia kompanii w klasztorze. Po raz pierwszy od opuszczenia Mourmelon miesiąc wcześniej kompania E spędziła noc pod dachem. Wieczorem mniszki sprowadziły do refektarza grupę dwunasto i trzynastoletnich dziewczynek, które zaśpiewały dla żołnierzy. Widać było, że to nie ich pierwszy występ dla żołnierzy. W programie były piosenki belgijskie i francuskie, kilka angielskich i niemiecka Lili Marlene.

Następnego ranka, 17 stycznia, 101 DPD przekazała swoje pozycje na froncie luzującej ją świeżej 17 DPD. Kompania E wsiadła na ciężarówki i pojechała w kierunku Alzacji. Ciężarówki wiozły ich drogą, wokół której krążyli przez ostatnie cztery tygodnie, przez Bastogne. Drugi już raz mieli okazję obejrzeć to miasto. Po raz pierwszy widzieli je 19

grudnia, kiedy mijali w nim spanikowane kolumny uciekinierów z frontu, teraz, 17 stycznia, jechali przez miasto zajęte przez alianckie wojska.

Chociaż nie znali dobrze Bastogne to, co w jego obronie przeżyli, pozostało z nimi na zawsze. Jeśli jeszcze kiedykolwiek któryś z żołnierzy kompanii E odczuwał w życiu chłód, głód czy był pozbawiony snu, mógł sobie przypomnieć Bastogne i pocieszać się, że przecież tam było jeszcze gorzej.

Kompania E poniosła ciężkie straty. Tak ciężkie, że trudno do tej pory ustalić dokładne liczby. W czasie pospiesznego wymarszu z Mourmelon nie sporządzono listy żołnierzy kompanii. Uzupełnienia napływały indywidualnie lub małymi grupkami i często nie nadążano nawet wciągnąć ich do dokumentacji, kiedy już ginęli lub odnosili rany. Ranni ubywali z szeregów, lecz często po kilku dniach wracali do linii, czego nie odnotowywano w dokumentach. Ogólnie rzecz biorąc - wszyscy mieli wtedy na głowie poważniejsze zmartwienia niż prowadzenie kartotek, jakkolwiek obrazoburczo by to brzmiało dla wojskowego ucha.

Ocenia się, że kompania E trafiła do Belgii w składzie stu dwudziestu jeden oficerów, podoficerów i szeregowych, otrzymała w trakcie walk około dwudziestu pięciu żołnierzy z uzupełnień, a mimo to wyjechała z Belgii w sile zaledwie sześćdziesięciu trzech ludzi. Jedenastu żołnierzy poległo: plutonowy Warren Muck, kapral Francis Mellet i Don Hoobler, szeregowi A.P. Herron, Kenneth Webb, Harold Webb, Carl Sowsko, John Shindell, Harold Hayes, Alex Penkala i John Julian.

Najlepiej koszty bitwy ardeńskiej dla kompanii E opisuje szeregowy Webster, który dołączył do niej w czasie podróży ciężarówkami z powrotem do Alzacji. Swoją ranę odniósł na początku października, w chwili, w której to pisał, była połowa stycznia:

Kiedy zobaczyłem, co pozostało z 1 plutonu, miałem ochotę się rozplakać. Zostało zaledwie jedenastu z czterdziestu ludzi. Dziewięciu z nich to były stare wiarusy, którzy skakali w Normandii albo w Holandii, albo i tu, i tam. Przeżyli: McCreary, Liebgott, Marsh, Cobb, Wiseman, Lyall, Martin, Rader i Sholty. Mimo że w pozostałych dwóch plutonach było znacznie więcej ludzi niż w moim pierwszym, zebrane do kupy stanowiłyby ledwie pluton, a i to od biedy, nie kompanię.

Straty nie ograniczały się do rannych i zabitych - każdy człowiek w Bastogne na coś cierpiał. Ci, których ominęły pociski i odłamki, też nie wyszli cało. W Bastogne nie było zdrowych ludzi. Winters ujął to tak: „Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek, kto to przeżył, nie wyniósł stamtąd jakichś ukrytych ran. Być może to właśnie one sprawiają, że ludzie z kompanii E utrzymują tak niezwykle bliskie więzi przez tyle lat”.

Znali się nawzajem tak dobrze jak tylko ci, którzy będąc wspólnie pod wozem i na wozie mogą się poznać. Byli ze sobą tak blisko jak tylko wspólne przeżycie ekstremalnego zimna, głodu, braku snu i życia w bezustannym napięciu może zbliżyć ludzi.

Zaznali tego samego strachu. Strachu nie tylko przed zranieniem czy śmiercią, ale najbardziej przerażającego - że te wszystkie cierpienia, wyrzeczenia i wysiłek pójdą na marne. Glenn Gray napisał:

*Największym strachem, jaki pamiętam z lat wojny, i który wciąż jest gdzieś przy mnie, była obawa o to, że wszystko to, co robimy, jest pozbawione jakiegokolwiek sensu. [...] Jakże często pisałem w pamiętniku, że jeśli to, co przeżywam, nie będzie miało jakiegoś pozytywnego wpływu na moje przyszłe życie, to cały ten wysiłek będzie zmarnowany i nie jest wart bólu, jaki sprawia.*⁴⁵

Przeżyli ardeńską próbę, bo stali się gromadką braci. Kompania przeżyła jako całość kryzys wśród śniegów pod Foy tylko dlatego, że sierżant Lipton i reszta podoficerów wywodzących się z Toccoa zapewnili żołnierzom dowodzenie, ciągłość tradycji i jedność pododdziału, pomimo że ich dowódca zawiódł. Chociaż ten dowódca, oficerowie i większość szeregowych była ludźmi nowymi w kompanii, pozostali w niej podoficerowie, którzy stanowili jej kręgosłup i dzięki którym przeżył duch starej kompanii E. Bardzo wielką pomocą było to, że zastępcą dowódcy batalionu i przez większą część bitwy pełniącym obowiązki jej dowódcy (podpułkownik Strayer spędzał większość czasu w dowództwie pułku, pełniąc obowiązki oficera operacyjnego) był Winters, który wcześniej dowodził kompanią E. Speirs okazał się wyśmienitym kandydatem na stanowisko dowódcy kompanii. Sprawdził się na nim doskonale, zdolny wykrzesać z żołnierzy to, co najlepsze.

Ducha kompanii po Ardenach świetnie opisuje Webster. Był on już dwukrotnie ranny i dwukrotnie wracał do walki. Nie pozwolił rodzicom użyć ich wpływów do wyreklamowania go choćby z frontu, jeśli nie w ogóle z wojska. A jednocześnie bronił się rękami i nogami przed przyjęciem jakiegokolwiek stanowiska, na którym musiałby odpowiadać za kogoś. Był intelektualistą, absolwentem Uniwersytetu Harvarda, który podjął decyzję, z jakiej perspektywy chce oglądać II wojnę światową, i trzymał się jej ze wszystkich sił.

Był człowiekiem książki i bibliotek, wykształconym erudytą, pisarzem, wrażliwym, chłonnym, uważnym obserwatorem i interpretatorem otaczającej go rzeczywistości. Nagłym zrządzeniem losu (bo czymże innym było otrzymanie karty powołania w panującym systemie losowania poborowych) został rzucony w zupełnie obcy mu świat, w którym musiał nawiązać

⁴⁵ Gray, op. cit., s. 24.

bliski, niemal intymny kontakt z niedouczonymi ciemniakami z najgłębszej prowincji, jakimiś farmerami z Południa, górnikami, drwalami, rybakami. Objąć się z nimi na skrzyni ciężarówce, jeść konserwę z jednej puszki, dzielić wspólny okop, wysłuchiwać historii ich życia, poglądów na wszystko, odpowiadać cierpliwie na niezliczone pytania, słuchać bez przerwy języka, którego nie lubił i nie pochwalał. Wyrastał o głowę ponad umysłowy poziom całej reszty. Nawet ci nieliczni, którzy przed wojną zdołali otrzeć się o wykształcenie wyższe, mieli co najwyżej licencjaty, a i to zwykle z przedsiębiorczości albo pedagogiki. Gdyby pozostał cywilem, gdyby nie było wojny, nawet nie wiedziałby, czy ich lubi czy nie - po prostu nie zdawałby sobie sprawy z ich istnienia.

A jednak to z tą gromadką ludzi, od których wszystko go dzieliło, właśnie z nimi nawiązał najgłębsze i najtrwalsze przyjaźnie; przeżyły one najsurowsze próby i najdłuższe rozłąki. Co więcej, nie tylko przyjaźni się z tymi ludźmi, ale dumny jest ze swego poczucia wspólnoty i identyfikuje się z nimi. Oto jak relacjonuje swoją podróż wraz z kompanią do Alzacji:

Brnąc przez błoto, dotarliśmy do naszych ciężarówek i wdrapaliśmy się na skrzynie. McCreary i Marsh zapalili papierosy. Martin zażartował sobie z przechodzącego oficera. Zapytałem, co się stało z Hooblerem. Zginął w Bastogne. Biedny Hoobler, który tak kochał wojnę, został martwy gdzieś w śniegu. A inni? Muck i jego kumpel, Penkala, którzy zawsze kopali sobie najgłębszy okop, zginęli w nim od bezpośredniego trafienia. Sowosko dostał w głowę, kiedy atakowali Foy. I tak dalej. Któryś z uzupełnień, przyszedł już w Holandii, też zginął. Wielu ewakuowano z powodu chorób stóp, według McCreary'ego podejrzanie wielu.

Pluton już nie był ten sam, co dawniej.

Webster uważał jednak, że się mylą, że pluton pozostał bez zmian. W odróżnieniu od nich długo tułał się po rozlicznych ośrodkach uzupełnień, cierpiąc frustrację i samotność wśród mrowia obcych, jednakowo wyglądających żołnierzy. Teraz był w domu, wrócił do swojej kompanii, do swojego plutonu.

Wspaniale było znów być z kumplami, z ludźmi, których się znało i którym można było ufać. Słuchając rozmów tam, w ciężarówce, czułem wewnętrzne ciepło i odprężenie, jak zagubione dziecko, które wróciło z zimnego, ciemnego lasu do jasnego domu pełnego miłości.

W tym domu wokół stołu stało wiele pustych krzeseł. Ci, którzy je zajmowali, polegli, odnieśli rany, załamali się. Ale jak dowodzi reakcja Webstera, choć przybyło nowych domowników, dzięki dawnym oficerom kompanii E w sztabie batalionu i pułku oraz podoficerom z Toccoa kompania była wciąż tym samym pełnym braterskiej miłości domem, co dawniej.

PATROL**Haguenau**

18 stycznia - 23 lutego 1945

W połowie stycznia Niemcy podjęli desperacką próbę odciążenia części sił alianckich z kotła ardeńskiego, by otoczone w nim wojska mogły spróbować się przebić. W tym celu przeprowadzili kolejną ofensywę, tym razem w Alzacji - operację Nordwind. Podobnie jak w połowie grudnia w Ardenach wybrali jako cel uderzenia słabo obsadzony sektor frontu. Alzację zajęła 3 Armia Pattona, ale po 16 grudnia przesunięto ją w Ardeny i jej stanowiska obsadziła stacjonująca bardziej na północ 7 Armia, która oprócz tego miała do obrony własny odcinek frontu. Kiedy rozpoczęła się ofensywa Nordwind, Eisenhowerowi znowu zabrakło wojsk do jej zatrzymania i znowu jedynym oddziałem, który miał pod ręką, była 101 DPD.

Więści o tym, że żołnierzy dywizji raz jeszcze pakują na ciężarówki i wiozą na pierwszą linię, towarzyszyła mocno, jak się okazało, przesadzona pogłoska: Niemcy znowu przerwali front. Winters pomyślał wtedy: Mój Boże, czy oni naprawdę nie mają w całej armii nikogo więcej do zatykania tych dziur?

To była długa podróż. Alzacja znajdowała się dwieście sześćdziesiąt kilometrów na południe i nieco na wschód od Bastogne. Pogoda panowała znów nędzna: zimno, padał śnieg. Drogi oblodzone, niebezpieczne. Ciężarówki poruszały się z prędkością marszową - rozumianą dosłownie jako prędkość marszu człowieka.

To miało swoje dobre strony: żołnierze mogli wyskoczyć za potrzebą, zrobić swoje, dogonić ciężarówkę i wspiąć się na nią z powrotem. Stanowili przy tym nieodparcie komiczny widok: ubrany „na cebulkę” żołnierz miał na sobie drelichowe spodnie polowe, wełniane spodnie od munduru, gacie i bokserki. Wszystkie zapinane były na guziki, żadnych zamków błyskawicznych ani zatrzasków. Spróbujcie to wszystko odpiąć, a potem zapiąć, nie zdejmując rękawic! To czasami trwało, jak się wydawało, całe wieki.

Konwój pojechał z Bastogne przez Bellefontaine, Virton, Etain, Toul, Nancy, do Drulingen, gdzie w końcu przybyli 20 stycznia. 506 pułk trafił do odwodów dywizji.

Po drodze sierżant Lipton zachorował, wstrząsały nim dreszcze, miał wysoką gorączkę. Kiedy w Drulingen poszedł do lekarza, okazało się, że ma zapalenie płuc i trzeba

go ewakuować. Lipton odparł na to, że jest szefem kompanii i nie może jechać, ale nikt go nie słuchał. Ponieważ zbliżał się wieczór, więc i tak nikt by go tej nocy nie odwiózł na tyły, lekarz kazał mu się zameldować z powrotem rano do transportu.

Porucznik Speirs i sierżant Lipton kwaterowali tej nocy razem w zajęтым na kwaterę niemieckim domu (Alzacja jako prowincja graniczna pomiędzy Niemcami i Francją miała pogmatwane dzieje, przechodząc z rąk do rąk po każdej wojnie. W 1871 roku zajęli ją Niemcy, w 1919 odebrali Francuzi, by znowu stracić w 1940 i odzyskać w 1945). W pokoju było tylko jedno łóżko. Speirs oddał je Liptonowi. Lipton odparł, że to nie w porządku. On jest sierżantem, więc łóżko należy się oficerowi, a on się prześpi w śpiworze na podłodze. Speirs przesądził sprawę, wydając w końcu rozkaz.

Lipton poszedł spać do łóżka. Gospodarze, starsi Niemcy, słysząc jak kaszle, przynieśli mu na kolację strudel i butelkę sznapsa. Lipton nigdy w życiu nie pił wcześniej alkoholu, ale teraz było mu już tak wszystko jedno, że wypił ją całą, zakąszając strudlem. Alkohol ściął go z nóg i zapadł w głęboki sen. Rankiem stwierdził, że gorączka przeszła, wróciła mu energia, przestał nawet kasłać. Lekarz własnym oczom nie wierzył. Wieczorem miał przed sobą ludzki wrak, roztrzęsiony, z pałającymi oczyma, majaczący, że nie może opuścić swoich podkomendnych, a rano prosił - młody człowiek, pełen energii, z błyskiem w oku. Po prostu cud!

Speirs, któremu cudowne ozdrowienie Liptona zdjęło z głowy ciężar szukania kogoś na jego miejsce, powiedział mu, że przedstawił go do promocji oficerskiej w uznaniu zasług bojowych i że pułkownik Sink chce z nim rozmawiać. Lipton udał się do dowództwa pułku, gdzie pułkownik przez ponad godzinę maglował go pytaniami o dotychczasowy udział w walkach.

Kompanii E udało się pozostać w odwodzie przez blisko dwa tygodnie, niemal codziennie przenosząc się z wioski do wioski. Na dworze zaczęło się ocieplać. Słońce przygrzewało coraz mocniej i zaczęły się roztopy. Ziemia zamieniła się w błoto. Pewnego dnia do ich kolejnego miejsca postoju zajechała ciężarówka pełna grubych zimowych butów, wełnianych skarpet i filcowych wkładek do butów.

- Teraz nam to przywozicie? Gdzieście się podziewali sześć tygodni temu, kiedy ich potrzebowaliśmy w Bastogne?! - wołali spadochroniarze do kierowców.

Warunki życia bardzo się poprawiły. Zajechały ciężarówki z kwatermistrzostwa, które zabrały do prania brudne mundury, bieliznę, koce, śpiwory. Przywieziono przewoźne prysznice o przepustowości 215 ludzi na godzinę. To, co zostało z kompanii E, zmieściło się

pod nimi w jednym przebiegu. Woda nie była może wrząca, ale też nie była lodowata i to się liczyło. Zdarcie z siebie sześciotygodniowej warstwy brudu kosztowało niemało wysiłku.

Mieli nawet kino, w którym pokazywano *Rhapsody in Blue*, *Buffalo Billa*, *Our Hearts Were Young and Gay*. Docierały gazety: „*Stars And Stripes*”, „*Yank*”, dywizyjna „*Kangaroo Chronicle*”, przynosząc wieści z kraju i ze świata. Te ostatnie nie były pocieszające - na Pacyfiku zanosilo się jeszcze na długą wojnę, co podsycalo pogłoski o tym, że po załatwieniu sprawy w Europie czeka ich jeszcze „długi skok” do Japonii.

Piątego lutego kompania E wyruszyła na front, przejmując stanowiska w mieście Haguenau od luzowanych przez 506 pułk piechoty spadochronowej pododdziałów 313 pułku piechoty z 79 Dywizji Piechoty. Miasto liczyło dwadzieścia tysięcy ludności i było największym z dotąd przez nich poznanych w kontynentalnej Europie. Carentan miało cztery tysiące mieszkańców, Mourmelon około czterech i pół tysiąca, Bastogne może pięć i pół tysiąca. Haguenau leżało po obu stronach rzeki Moder, dopływu Renu. Stanowiska kompanii E były położone na skraju prawego skrzydła odcinka linii frontu, obsadzonej przez 506 pps w miejscu, gdzie Moder łączyła się z kanałem skraccającym drogę przez jej meandry.

„Nasze stanowiska były na szczycie palca, wetkniętego w niemiecką linię”, wspomina porucznik Foley. Kompania zajmowała budynki na południowym brzegu rzeki, na północnym bronili się Niemcy. Rzeka była wezbrana, nurt bardzo szybki, woda lekko występowała z brzegów. Szerokość rzeki wahała się od trzydziestu do najwyżej stu metrów. Za duża na to, by przerzucić przez nią ręcznym granatem, ale dla ognia z broni maszynowej, moździerzy i granatów karabinowych była w sam raz. Obie strony miały wsparcie artylerii i obie często z niego korzystały. Niemcy kilka kilometrów za linią frontu ustawili działo kolejowe, francuską armatę kalibru 194 mm, której pociski w gęsto zabudowanym mieście zostawiały leje niemal tak wielkie, jak potężne „kufarki” artylerii głównej amerykańskich pancerników w Normandii.

Spadochroniarze przejęli domy po piechociarzach z 79 DP. Webster i pięciu innych żołnierzy 1 plutonu obsadziło placówkę w domu stojącym na samym styku Moder i kanału. Webster wspomina:

Zgodnie z najlepszą spadochroniarską tradycją polegania raczej na świrusach niż sile ognia, nas sześciu z erkaemem zastąpiło w tym domu osiemnastu piechociarzy z chłodzonym wodą cekaemem i półcalówką.

Odchodzący żołnierze 79 DP chwalili ten sektor jako bardzo spokojny, miało tam nie być żadnych ataków z obu stron, ale Webster zwrócił uwagę, że wynosili się stamtąd w podejrzanym pośpiechu.

Budynek, który teraz zajmowała 1 drużyna 1 plutonu, był ruiną. W ścianach ziały wielkie dziury, pociski moździerzowe niemal doszczętnie zniosły dach, połamane okna, z których szyby wyleciały już wiele tygodni temu, na podłogach po kostki zalegała warstwa tynku, cegieł i potłuczonego szkła, krokwie dachu wyrąbane na opał, toalety zapchane odchodami, piwnice pełne popiołu, pyłu, nieczystości i pustych puszek po konserwach.

Po obejrzeniu ich nowego domu kapral Tom McCreary wyraził powszechne odczucie drużyny, stwierdzając „Ale nas wrobili!”.

Niemniej po raz pierwszy mieli mieszkać pod dachem na linii frontu, więc wzięli się rażno do roboty. Posprząтали piwnice, w jednej stawiając prycze i składając puszek z żarciem, drugą przeznaczyli na śmietnik. Przy okazji znaleźli lampę gazową i całkiem dobry piecyk. Podłączyli się do pozostawionych przez Niemców linii telefonicznych, organizując sobie łączność ze stanowiskiem dowodzenia 1 plutonu. A za potrzebą chodzili na drugie piętro, „gdzie jedna z muszli była pełna tylko do połowy”.

George Luz, radiooperator dowództwa 1 plutonu, wpadł któregoś dnia z wizytą. McCreary z dumą oprowadzał po nowych włościach gościa, który jednak jakoś nie był zachwycony.

- Myślicie, że to jest dobre? Ha, powinniście zobaczyć dowództwo kompanii. Oni tam żyją jak królowie. - Rozejrzył się jeszcze raz i dodał: - Te sukinsyny.

Webster podzielał stosunek Luza do personelu dowództwa kompanii. Pisał, że starał się tam bywać jak najrzadziej:

Za dużo tam było gwiazdek i szeregowy nie miał u nich czego szukać.

Podobnie jak na „wyspie”, nie było mowy o poruszaniu się za dnia. Snajperzy czujnie wypatrywali każdej okazji, żeby zastrzelić śmiałka, który miał odwagę rzucić im wyzwanie. Każdy ruch ściągał strzały z naprzeciwka, a pojawienie się gdzieś dwóch czy trzech ludzi niezawodnie kończyło się nawałą ogniwą z moździerzy i osiemdziesiątekósemek. Jak pisał Webster:

Naszą rozrywką stało się jedzenie. Spędzaliśmy więcej czasu na przygotowywaniu, gotowaniu i jedzeniu posiłków niż na czymkolwiek innym.

Zadaniem kompanii było utrzymywać linię frontu, patrolować, a w wolnych chwilach kierować ogniem artylerii. Drużyna McCreary'ego obsadzała punkt obserwacyjny nr 2. Przez całą dobę co godzina zmieniali się dwaj żołnierze pełniący tam służbę. Jeden siedział przy oknie na drugim piętrze, a drugi w piwnicy, przy telefonie. Z okna rozciągał się wspaniały widok na całą zajmowaną przez Niemców część miasta. Mogli na każde życzenie, choćby dla kaprysu, ściągnąć ogień artylerii na dowolnie wybrany punkt wrogiego terytorium. Nigdy

dotąd nie mieli takiego luksusu. Oczywiście, należało z niego korzystać z umiarem, bo ich przeciwnik po drugiej stronie rzeki rozporządzał takimi samymi możliwościami.

Ciężko było powiedzieć, co stanowiło większe zagrożenie: moździerz, Osiemdziesiątki-ósemki, ogień snajperów, karabiny maszynowe czy niemieckie działo kolejowe. To ostatnie miało tę cechę, że choć nie słyszeli jego odpalenia, sam pocisk o małej prędkości początkowej słychać było z daleka - lecąc, hałasował jak wyładowany pociąg towarowy na rozjazdach. Shifty Powers, wspominając swoją służbę na punkcie obserwacyjnym, twierdzi, że kiedy usłyszał lecący „kuferek” z działa kolejowego, zawsze miał czas zbiec do piwnicy, zanim tamten eksplodował gdzieś z wielkim hukiem.

Żyli w ciągłym zagrożeniu, bo trafienie z działa kolejowego w dom zabiłoby ich wszystkich, a jednak czuli się do pewnego stopnia jedynie obserwatorami, a nie uczestnikami wojny. Glenn Gray pisze:

*Radość z oglądania, radość z koleżeństwa i radość destrukcji są tajemnymi rozkoszami wojny. [...] Nigdy nie należy nie doceniać atrakcji wojny jako spektaklu.*⁴⁶

Gray przypomina przez te słowa, że ludzkie oko jest głodne wrażeń, łaknie nowości, niezwykłości, rzeczy widowiskowych przez swą gwałtowność.

Wojna jest w stanie zaspokoić pod tym względem nawet najbardziej wybredne gusta. Jej fajerwerki są większe, bardziej kolorowe niż najbardziej nawet wymyślne pokazy ogni sztucznych z okazji święta niepodległości 4 lipca. Z ich punktu obserwacyjnego Webster oglądał pociski artyleryjskie wybuchające w obu częściach Haguenau, naloty P-47 z lewej i prawej strony.

W nocy do koncertu i pokazów przyłączały się ustawione po obu stronach baterie reflektorów przeciwlotniczych, których światło odbite od chmur miało oświetlać linię frontu. Obie strony na wezwanie swoich obserwatorów wystrzeliwały rakiety - człowiek, który znalazł się w zasięgu ich trupio bladego światła zamierał w bezruchu, jeśli mu życie było miłe, aż się wypaliły i dopiero wtedy mógł ruszyć dalej. Ze wszystkich stron były karabiny maszynowe, w których taśmach co piąty nabój był smugowy - sznury lecących światełek dołączały do reszty pokazów pirotechnicznych.

Wybuchy wielkich pocisków artyleryjskich zalewały całą okolicę błyskiem eksplozji, a wzniecane przez nie pożary rozświetlały wieczorne niebo, śląc w nie prócz łun także snopy iskier.

⁴⁶ Gray, op. cit., s. 28-29.

Płomień w czasie wojny ma w sobie coś niesamowitego. Wielki, szalejący pożar wydaje się czymś obcym, nie z tego świata - wręcz przerażającym w miejscu, gdzie ludzie z obu stron frontu nie śmieją pokazać w nocy choćby ognika na końcu papierosa.

Wojna dba nie tylko o doznania wzrokowe. Tworzy i kultywuje także braterstwo broni, i to w stopniu o wiele większym niż trudy wspólnego szkolenia. 9 lutego Webster napisał do rodziców:

Jestem znowu w domu!

Jego wspomnienia o służbie na punkcie obserwacyjnym nr 2 napomykają o niebezpieczeństwach, które przeżywał, ale koncentrują się na jego własnych odczuciach w stosunku do reszty drużyny.

Gray też o tym pisał:

Zagrożenie łamie bariery egoizmu i daje człowiekowi poczucie wspólnoty. To bycie wśród swoich, wśród kumpli, dodaje siły. W chwilach grozy wielu ludzi odczuwa, jak samotne było dotąd ich życie i ile przez to stracili. [...] Takie otwarcie się na innych, wyjście poza własny egoizm powoduje powstanie poczucia wspólnoty i podobieństwa, z którym żadne inne nie może się równać.⁴⁷

Pewnej nocy Webster i szeregowy Bob Marsh dostali rozkaz wyjścia na dach i dyżurowania tam przy karabinie maszynowym na wypadek, gdyby udający się na drugą stronę rzeki patrol potrzebował wsparcia ogniowego. Po zajęciu stanowiska dostrzegli na wprost nich niemieckie działo samobieżne. Gdyby teraz musieli otworzyć ogień, Niemcy mieliby ich jak na widelcu, nie potrzebowaliby nawet pomocy obserwatorów artyleryjskich. Mimo to pozostali na stanowisku i zdecydowali się udzielić patrolowi wsparcia w potrzebie, bo „życie tych dwudziestu paru ludzi zależało od nas”, jak wyjaśnił Webster, ostatni człowiek, po którym można by się spodziewać takiej ochoty do nadstawiania karku za innych.

To był jeden z tych bardzo rzadkich wypadków, kiedy widziałem się w roli bohatera, nawet jeśli miałbym przy tym zginąć.

Trzecią z Grayowskich „tajemnych rozkoszy” jest radość niszczenia. Nie ma wątpliwości co do tego, że człowiek uwielbia patrzeć na zagładę budynków, pojazdów, sprzętu. Ktokolwiek w to wątpi, niech znajdzie chwilę, by obserwować tłum zbierający się w wielkim mieście wokół budynku, który ma właśnie zostać wyburzony. Jeśli na dodatek ma się do tego użyć materiałów wybuchowych, frekwencja jest murowana. Żołnierzowi widok

⁴⁷ Gray, op. cit., s. 43-46.

walącego się wgruzy budynku, w którym może kryć się wróg, sprawia tym większą radość. W czasie I wojny światowej niemiecki żołnierz, Ernst Junger, pisał w dzienniku:

*Nad polem bitwy zawisła potworna żądza zagłady. [...] Postronny obserwator na nasz widok musiałby niechybnie dojść do wniosku, że padliśmy ofiarami jakiegoś radosnego szalu.*⁴⁸

Żołnierz na froncie koncentruje się na śmierci, nie na życiu, i na niszczeniu, a nie budowaniu. Ukoronowaniem destrukcji jest zabicie innego człowieka. Snajper, który trafił Niemca po drugiej stronie rzeki, krzyczał w radosnej ekstazie „Dostał! Dostał!” i odprawiał taniec zwycięstwa. Szeregowy Roy Cobb wypatrzył pewnego razu Niemca bezczelnie spacerującego w biały dzień przed jakąś chatką, dwieście metrów od ich stanowisk. Trafił go pierwszym strzałem. Drugi z obserwatorów, szeregowy Clarence Lyall, patrząc na tę scenę przez swoją lornetkę, opowiadał, że wielką frajdę sprawił mu widok zaskoczonej miny trafionego żołnierza. Kiedy ranny próbował się doczołgać w jakieś ukrycie, Cobb trafił go jeszcze dwukrotnie. Każdemu trafieniu towarzyszyły wiwaty i okrzyki radości. Kiedy raz spudłował o włos, został wygwizdany.

Jak zwykle na pierwszej linii frontu, nie było czasu przeszłego ani przyszłego, wszyscy żyli jedynie mijającą chwilą, której znaczenie podkreślało wszechobecne zagrożenie gwałtowną śmiercią w każdej chwili. Jak pisał do domu Webster:

Tu życie liczy się z dnia na dzień, na godziny i minuty.

W tym czasie dostali uzupełnienia. To było niepokojące - dywizję powietrznodesantową uzupełnia się bowiem w obozach szkoleniowych na głębokich tyłach po wycofaniu z walki, w oczekiwaniu na kolejny zrzut. Uzupełnienia na linii frontu mogły oznaczać tylko jedno: w najbliższym czasie nie będzie żadnego obozu na tyłach. Mają zostać na froncie i dalej walczyć jak zwykła piechota. Na punkt obserwacyjny numer 2 przybyło, jak zapisał Webster:

Czterech bardzo wystraszonych, bardzo młodych chłopców prosto ze szkolenia spadochronowego. [...] Byłem przybity tym widokiem. Dlaczego armia, mając tylu wypasionych, dorosłych nierobów na tyłach, nie wspominając o tych leniach z Sił Powietrznych w Anglii, wysyła do najgorszej na świecie roboty, walki piechoty na pierwszej linii frontu, swoich najmłodszych, najmniej doświadczonych żołnierzy prosto ze szkolenia podstawowego?

⁴⁸ Cytat za Gray, op. cit., s. 43-46.

Jednym z nowych nabytków był podporucznik Hank Jones, absolwent West Point (z promocji w dniu 6 czerwca 1944 roku, tej samej, w której oficerskie szlify dostał John Eisenhower, syn Ike'a), który szkołę spadochronową ukończył pod koniec grudnia. W połowie stycznia wypłynął z Nowego Jorku, zszedł na brzeg w Hawrze i w miesiąc później trafił do Haguenau. Porucznik Foley nie był zbudowany umiejętnościami swego nowego kolegi: „Nauczyć tych gówniarzy machania ręką do wtóru słów „Za mną!” i wysłać ich prosto na pierwszą linię frontu - to był najszybszy sposób na zapełnienie ubytków”.

Jones był zadziorny, prostoliniorny, sympatyczny. I strasznie chciał się wykazać.

* * *

Szansy doczekał się bardzo szybko, bo pułkowy oficer rozpoznania (S-2), kapitan Nixon, zażądał języka w celu rozpoznania sił przeciwnika po drugiej stronie rzeki. 12 lutego poprosił Wintersa, żeby się zajął dostarczeniem dwóch żywych jeńców. Winters był wciąż kapitanem, co w stosunkach z dwoma pozostałymi dowódcami batalionów, oboma w stopniu podpułkownika, stawiało go na z góry przegranej pozycji.

Do pewnego stopnia kompensowały to stosunki w sztabie pułku, gdzie podpułkownik Strayer był teraz zastępcą dowódcy pułku, Nbcon S-2, a Matheson, też oficer z kompanii E, był S-4 (oficerem zaopatrzeniowym). Na prośbę Wintersa Matheson skombinował mu kilka niemieckich pontonów, na których miał się przeprowić amerykański patrol. Po starej znajomości wybrał do przeprowadzenia tego patrolu kompanię E.

To miał być duży patrol, w sile dwudziestu ludzi, których wybrano spośród wszystkich plutonów i sekcji dowodzenia, oraz dwóch mówiących po niemiecku żołnierzy z pułkowego S-2. Porucznik Foley wziął z 1 plutonu Cobba, McCreary'ego, Wynna i Sholty'ego. Po sforsowaniu rzeki mieli się podzielić na dwa zespoły, jednym pod dowództwem sierżanta Kena Merciera, a drugim podporucznika Jonesa.

Wybrani do patrolu spędzili dwa dni poza Haguenau, trenując wiosłowanie i kierowanie pontonami. 14 lutego Winters i Speirs wizytowali punkt obserwacyjny numer 2. Gospodarzom bardzo się to nie podobało, gdyż stali na zewnątrz, lornetując niemieckie pozycje, wywijając na wszystkie strony mapą, pokazując palcami różne rzeczy po drugiej stronie rzeki. Webster wspomina:

Z daleka widać było, że coś knują. Siedzieliśmy wewnątrz i klęliśmy jak cholera. Baliśmy się, że wypatrzy ich niemiecki obserwator artyleryjski i rozwalą nasz przytulny domek.

Plan ułożony przez Wintersa i Speirsa wymagał od żołnierzy kompanii E wykazania się wieloma umiejętnościami, które posiadli w pocie czoła w czasie szkolenia. Szperaczem

patrolu miał być kapral Earl McClung, pół krwi Indianin, który potrafił, jak niosła fama, „wywąchiwać szkopów”. Planowano, że patrol się zbierze na stanowisku dowodzenia kompanii D, gdzie do 22.00 będą pić kawę i jeść kanapki. Potem pod osłoną ciemności wyjdą nad rzekę i spuszcza na wodę pierwszy ponton. Przepłyń on na drugi brzeg, ciągnąc linę, którą jego pasażerowie przywiążą do słupa telefonicznego na północnym brzegu, żeby pozostałe pontony mogły się przeprawić, trzymając się jej. Po sforsowaniu rzeki patrol podzielił się na dwie części. Część dowodzona przez podporucznika Jonesa skieruje się do miasta, a część pod dowództwem sierżanta Merciera do domu, w którym, jak podejrzewano, mieści się niemiecki punkt obserwacyjny.

Niezależnie od powodzenia ich głównego zadania, wzięcia języka, patrolowi zapewniono silne wsparcie w drodze powrotnej na amerykański brzeg. Gdyby któraś z części patrolu miała kłopoty lub wzięła jeńca, jej dowódca wyda gwizdkiem sygnał do odwrotu. Gwizdek będzie sygnałem dla obu sekcji do powrotu do łodzi, a dla porucznika Speirsa i sierżanta Malarkeya rozkazem otwarcia ognia osłaniającego powtórne forsowanie rzeki na pontonach.

Wsparcie ogniowe odwrotu opracowano w najdrobniejszych szczegółach. Każde rozpoznane lub podejrzewane niemieckie stanowisko miało przydzielony środek ogniowy (karabin maszynowy, moździerz, artylerię, skoncentrowany ogień karabinowy), który miał je obezwładnić lub zniszczyć. Z dywizji ściągnięto specjalnie w tym celu armatę przeciwpancerną kalibru 57 mm, którą ustawiono w piwnicy, by niemiecka artyleria nie mogła jej zniszczyć ogniem pośrednim. Kompania D miała ostrzeliwać Niemców z wukaemu, który zwędzili 10 DPanc w Bastogne. Z tarasu punktu obserwacyjnego numer 2 miał zaś, w razie potrzeby, strzelać karabin maszynowy 1 plutonu. Patrol miał się bowiem przeprawiać przez rzekę dokładnie pod oknami „przytulnego domku” 1 drużyny 1 plutonu.

Noc 15 lutego była ciemna i spokojna. Ponad rzeką poszybowały tylko dwa pociski oświetlające z moździerza i ze dwa pociski z osiemdziesiątekósemek. Amerykańska artyleria milczała w oczekiwaniu na gwizdek do odwrotu patrolu. Na żądanie Speirsa wyłączono rozświetlające zwykle niebo i linię frontu reflektory przeciwlotnicze. Amerykanie nie wystrzelili pocisków oświetlających. Żaden karabin nie strzelił, księżyc i gwiazdy zakryły chmury.

Pierwszy ponton przeprawił się przez rzekę bez problemu. Podobnie dwa następne. Czwarty, wiozący McCreary'ego i Cobba, przewrócił się do góry dnem na środku rzeki. Prąd zniósł ich jakieś sto metrów niżej, na amerykański brzeg. Tam odwrócili ponton, wsiedli do niego ponownie i próbowali jeszcze raz, tylko po to, by ponownie się skąpać. Tym razem

odeszła im już ochota na powtórki - zwłaszcza że prąd zniósł ich daleko od miejsca forsowania - i wrócili na piechotę, przemarznięci, na punkt obserwacyjny numer 2.

Jones i Mercier zebrali tych, którym udało się przepląnąć, podzielili ich i przystąpili do wykonywania powierzonych zadań. Z Mercierem poszedł nowy nabytek kompanii F, świeżo upieczony, rozpierany przez chęć walki oficer, który samowolnie, bez wiedzy i zgody zarówno Wintersa, jak Speirsa, przyłączył się do patrolu. Kiedy grupa Merciera ruszyła wzdłuż północnego brzegu rzeki, wszedł na minę przeciwpiechotną i zginął na miejscu. Jego kariera bojowa trwała niecałe dwadzieścia cztery godziny.

Mercier kontynuował realizację wyznaczonego zadania wraz z pozostałymi ośmioma ludźmi. Kiedy dotarli do niemieckiego punktu obserwacyjnego, sierżant Mercier wystrzelił granat nasadkowy w piwniczne okienko. W zamieszaniu po jego eksplozji reszta Amerykanów bez strat przeskoczyła pod ścianę domu i wrzuciła granaty ręczne przez okna na parterze. Kiedy z kolei te wybuchały, napastnicy pod wodzą Merciera wskoczyli do wnętrza i skierowali się do piwnicy. Biegli dosłownie w dym po eksplozji granatów, o czym boleśnie przekonał się szeregowy Eugene Jackson, przysłany wraz z uzupełnieniami w czasie walk w Holandii i nigdy nie uczony walki w terenie zurbanizowanym. Wyrwał się do przodu zbyt wcześnie i został ugodzony w twarz oraz głowę odłamkami granatu, rzuconego przez jednego z kolegów. W piwnicy zastali kilku ogłuszonych eksplozjami Niemców. Wybrali jednego rannego i dwóch lekko kontuzjowanych żołnierzy, po czym wybiegli na zewnątrz. Mercier wyciągnął gwizdek i zadał weń z całych sił.

Na ten sygnał z amerykańskiego brzegu rozpięta się kanonada o natężeniu, jakiego nawet starzy frontowi żołnierze nie pamiętali. Ziemia trzęsła się nieprzerwanie od wybuchów. Ciężka artyleria z głębokich tyłów, moździerze z podwórek, pepanc z piwnicy, kaemy z okien, dachów i tarasów otworzyły ogień na niemieckie stanowiska ogniowe i obserwacyjne. Webster, obserwujący to imponujące widowisko z tarasu domu, tak je opisywał:

Nagle zobaczyliśmy morze ognia, a piwnica domu, w którym kwaterowali Niemcy i który mieliśmy w razie potrzeby ostrzeliwać, zamieniła się w czerwoną kulę płomieni. Kamień spadł nam z serca. Nie musieliśmy już bawić się w bohaterów z tym działem pancernym naprzeciwko. Wybuchy pocisków artyleryjskich na niemieckich ulicach i stanowiskach odbijały się w nisko wiszących chmurach pomarańczowymi błyskami. Z osiemset metrów na wprost przed nami wybuchł wielki pożar, palił się dom. Gdzieś za nami półcalówka kompanii D odezwała się długimi seriami. Nieprzerwany strumień pocisków smugowych kreślił łagodny łuk, opadając na niemiecki brzeg rzeki, skąd po chwili podobny, równie nieprzerwany strumień popłynął na naszą stronę z jakiejś bezpiecznej, nie naruszonej dotąd piwnicy.

Mercier i jego ludzie pobiegli do pontonów, gdzie spotkali Jonesa wraz z jego sekcją. Ruszając w drogę, doszli do wniosku, że transport rannego Niemca będzie zbyt niebezpieczny dla nich i zostawili go na brzegu. Jeden z nowych, szeregowy Allen Vest, dobył pistoletu, żeby go dobić, ale pozostali powstrzymali go. Ranny Niemiec nie stanowił dla nich zagrożenia, a nie było sensu zdradzać swojej pozycji strzałem. Część uczestników patrolu uznała, że bezpieczniej będzie wrócić w pław, trzymając się rozciągniętej nad rzeką liny, inni woleli wrócić pontonami.

Po przepłynięciu rzeki uczestnicy patrolu pobiegli do punktu obserwacyjnego numer 2, popychając przed sobą obu jeńców. Wbiegali właśnie do piwnicy, gdy na podwórku eksplodował pierwszy pocisk - początek niemieckiej nawały ogniowej na stanowiska kompanii E.

W piwnicy uczestnicy patrolu stłoczyli się wokół jeńców. Młodzi Amerykanie byli podekscytowani, wielu próbowało opowiadać - wszyscy naraz i pod niesionymi, roztrzęsionymi głosami - swoje przeżycia. Adrenalina wciąż krążyła w ich żyłach.

- Dajcie mi ich zabić! Dajcie mi ich zabić! - krzyczał Vest, wymachując pistoletem. Któryś z weteranów odepchnął go na bok.

- Wynoś się stąd, gówniarzu! W sztabie pułku chcieli ich żywcem, za to nadstawialiśmy tyłek!

W odróżnieniu od swych zwycięzców, jeńcy, *Unteroffizier* (plutonowy) i *Feldwebel* (sierżant), stanowili według Webstera „parę zadziwiająco spokojnych i opanowanych podoficerów. Stali jak skały, wydawałoby się obojętnie przyjmując sytuację panującą w niewielkim dusznym pomieszczeniu, pełnym napalonych małolotów wymachujących im pod nosem bronią. Żaden się nie poruszył, nie skrzywił, okiem nawet nie mrugnął. Nigdy dotąd nie widziałem tak opanowanych ludzi. Muszę przyznać, że ci dwaj zrobili na mnie wielkie wrażenie”.

W miarę narastania eksplozji na zewnątrz, pogarszał się stan szeregowego Jacksona, rannego odłamkami granatu. Jackson zaczął wyc, potem krzyżeć:

- Niech mnie kto dobije! Dobijcie mnie! Dobijcie! Nie zniosę tego! Nie zniosę! Chryste, nie wytrzymam! Na miłość boską, niech mnie ktoś dobije!

Twarz miał pokrytą krwią z rany w czole. Jeden z odłamków granatu przebił czaszkę i utkwiał w mózgu, przyprawiając go o nieznośne męczarnie.

Sierżant Martin wspomina: „Nikt nie miał zamiaru go dobijać, bo zawsze jest jakaś nadzieja, ale nagle wzięła mnie cholerna złość na tych pieprzonych szkopów, których tu

przyciągnęliśmy. Dałem jednemu w pysk i kiedy upadł, zacząłem kopać, zajadle, ze wszystkich sił i jak tylko mogłem.

Wszystkich nas cholernie nakręciły te emocje”.

Ktoś zadzwonił po sanitariusza z noszami do rannego. Eugene Roe odpowiedział, że zaraz będzie. A tymczasem Jackson dalej zawodził:

- Zabijcie mnie! Zabijcie! Chcę Merciera! Gdzie jest Mercier?!

Mercier podszedł do niego i wziął za rękę, starając się uspokoić.

- Już dobrze, jestem przy tobie. Uspokój się, wszystko będzie dobrze.

Ktoś zrobił Jacksonowi zastrzyk z morfiny. Zanim do tego doszło, oszalał niemal z bólu i trzeba go było siłą przytrzymywać na pryczy, na której leżał. Pojawił się Roe z kolegą i noszami. Kiedy nieśli rannego na punkt opatrunkowy, Mercier cały czas szedł obok noszy, trzymając go za rękę. Nie na wiele się to zdało. Jackson zmarł, zanim dotarli na punkt opatrunkowy.

Tej nocy Webstera naszła chandra, wyzierająca z każdego słowa, jakie zapisał w dzienniku:

Nie miał nawet dwudziestu lat. Jeszcze nie zaczął żyć. Skowycząc i zawodząc z bólu, oddał to swoje nie rozpoczęte życie na noszach. A tymczasem, jak donoszą gazety, standard życia w Ameryce się poprawia, tory wyścigów konnych pękają w szwach, nocne kluby robią kokosy, jak jeszcze nigdy dotąd. W Miami Beach taki tłok, że nigdzie nie można dostać pokoju. Kogo tam obchodzi jakiś gówniarz, którego szlag trafił gdzieś tam, daleko? W końcu, czym się tu przejmować? Mamy boom, powrót prosperity, tak się wygrywa wojny! A my siedzimy w okopach, czytamy o czarnorynkowych restauracjach, o tym, że producenci powracają do produkcji cywilnych dóbr konsumpcyjnych, i zachodzimy w głowę, czy też ci uśmiechnięci, szczęśliwi ludzie tam, w kraju, w ogóle mają pojęcie, jaką cenę strachu, rozlanej krwi i śmierci w męczarniach płacą żołnierze za ich wygraną wojnę?

W czasie przerwy w niemieckim ostrzale wartownicy odeskortowali jeńców do kapitana Wintersa w dowództwie batalionu. Mercier z uśmiechem od ucha do ucha przekazał obu żywych jeńców. Skopany przez Martina plutonowy śpiewał jak kanarek, sierżant zaś milczał.

Noc przestała być spokojna. Obie strony strzelały ze wszystkiego, co miały pod ręką. Na obu brzegach rzeki wybuchały wciąż nowe pożary. Nad wodą krzyżowały się sznury pocisków smugowych.

Kiedy strzelanina na chwilę przycichała, załoga punktu obserwacyjnego numer 2 słyszała krzyki, jęki i rżenie zza rzeki. To pozostawiony tam przez patrol ranny Niemiec

dostał w płuca. Webster i reszta zastanawiała się, co robić: dobić go i oszczędzić cierpienia, czy pozwolić umrzeć samemu. Webster był za ciosem łaski, gdyż pozostawiony przy życiu Niemiec mógł wysłanemu po niego patrolowi opowiedzieć o tym, co działo się wokół punktu obserwacyjnego numer 2. „A wtedy zobaczycie, będą do nas walić jeszcze bardziej”, przewidywał.

Wymyślił, że przepłynie rzekę, używając liny, pozostawionej przez patrol, i zabije Niemca nożem. McCreary był przeciw. Według niego Niemcy używają swego rannego jako przynęty i będą tam czekali właśnie na tego rodzaju próbę. Webster w końcu przyznał mu rację. Lepiej będzie użyć granatu, postanowili.

W towarzystwie szeregowego Boba Marsha Webster ostrożnie posuwał się wzdłuż brzegu rzeki. Cały czas słyszał rannego, który jęczał, wzdychał i łkał, wydając przerażające, świszczące dźwięki.

Zrobiło mi się go żal. Umierał samotnie, daleko od domu, powoli, bez nadziei i miłości bliźnich, porzucony na brzegu smrodliwej, brudnej rzeczki, bez niczyjej pomocy.

Marsh i Webster w końcu dotarli do miejsca dokładnie naprzeciwko tego, gdzie leżał Niemiec. Wyjęli zawleczone z granatów i rzucili je w pobliże rannego. Jeden wybuchł, drugi okazał się niewypałem. Niemiec dalej zawodził. Amerykanie wrócili na swoje stanowisko po więcej granatów i spróbowali raz jeszcze. Tym razem oba granaty wybuchły, ale nadal nic się nie zmieniło i przerażający koncert zza rzeki trwał nadal. W końcu dali sobie spokój i postanowili pozwolić mu umrzeć bez ich pomocy.

Kiedy tuż przed świtem strzelanina ustała na dobre, znowu usłyszeli jęki, krzyki i świsty zza rzeki. Po jakimś czasie mieli już dość i Cobb zdecydował, że dłużej tego nie zniesie. Złapał kilka granatów, pobiegł nad rzekę i tym razem jego granat trafił do celu, dobijając w końcu cierpiącego Niemca.

W czasie tej nocy sierżant Lipton został ranny odłamkami pocisku moździerzowego w prawy policzek, tuż pod okiem i w kark. Poszedł do punktu opatrunkowego, gdzie ranę pobieżnie zaszyto i obandażowano. Trzydzieści cztery lata później, kiedy odłamek w karku zaczął mu sprawiać kłopoty, konieczna okazała się operacja, żeby go usunąć.

Następnego dnia Winters wezwał go do siebie i wręczył papiery zwalniające ze służby z dniem 15 lutego sierżanta Liptona i powołujące do służby czynnej z dniem 16 lutego podporucznika rezerwy Liptona. „No i wyszło na to, że ranę odniosłem jako cywil! Już mnie zwolnili ze służby jako sierżanta, a jeszcze nie wróciłem do niej jako podporucznik. Często się potem zastanawiałem, jak by to załatwili, gdyby ten pocisk moździerzowy mnie zabił, a

nie tylko poranił.[...] Muszę jednak przyznać, że ta promocja oficerska na polu bitwy była najwyższym zaszczytem, jaki mnie w życiu spotkał”.

Podporucznik Jones doskonale się sprawił w czasie swego pierwszego patrolu, bardzo rozsądnie pozwalając Mercierowi zdecydować o wyborze chwili do odwrotu. Tydzień później już go w plutonie nie było, awansował na porucznika. Dowódca 1 plutonu, porucznik Foley, nie posiadał się z oburzenia: „Porucznik! Po jednym zasranym patrolu! No, ale Jones był z West Point i zawodowi już o swój narybek zadbali. Inni absolwenci West Point nie dali skrzywdzić kolegi z sygnetem Akademii. Raz jeszcze okazało się, że w wojsku, jak przychodzi co do czego, »Bez pierścienia nie masz cienia« - nieważne, czegoś dokonał, liczy się, byś był nasz”.

Jones trafił z kompanii liniowej do sztabu pułku. Malarkey wspomina: „Chodziły plotki, że zbliża się koniec wojny, więc zawodowi, którzy mieli stanowić armię czasu pokoju, kryli się nawzajem. Ich życie było niezbędne dla ojczyzny. A rezerwa? No cóż, to już jej problem”.

Pułkownik Sink był tak zachwycony powodzeniem patrolu, że zarządził następny kolejnej nocy. Tymczasem jednak zaczął padać gęsty śnieg i ponownie się ochłodziło. Śnieg zamarzał po wierzchu, górna warstwa stała się krucha, pod nogami łamała się z trzaskiem. Zimny wiatr rozpędził chmury i księżyc świecił jasno. Winters uznał, że w tych warunkach patrol byłby samobójstwem i postanowił zignorować rozkaz dowódcy pułku.

Sink i dwóch oficerów sztabowych pojawiło się w stanowisku dowodzenia 2 batalionu, by obserwować przebieg zdarzeń. Przynieśli ze sobą butelkę whisky i widać było po nich, że to nie pierwsza tego wieczora. Winters powiedział, że idzie nad rzekę nadzorować wyruszenie patrolu. Kiedy tam przybył, kazał żołnierzom czekać. Po wypiciu przyniesionej butelki pułkownik i jego koledzy zasną, a patrol rano zamelduje, że po sforsowaniu rzeki i niemieckiej linii nie udało im się schwytać żywego jeńca. Glenn Gray pisze:

Dostać niewykonalny rozkaz od człowieka, który często nie ma pojęcia o warunkach panujących na pierwszej linii [...] to dla frontowego żołnierza chleb powszedni. Wielką zaletą frontu w porównaniu ze służbą garnizonową jest to, że tu często niewykonanie rozkazu jest możliwe i uchodzi na sucho, gdyż nadzór zwierzchnika nad jego wykonaniem nie może być ścisły w miejscu, które grozi nadzorującemu śmiercią. Wielu nawet najbardziej posłusznych żołnierzy odkryło, że na froncie rozkaz można zinterpretować na własny sposób.⁴⁹

⁴⁹ Glenn Gray, op. cit, s. 189.

Nie tylko oficerowie potrzebowali się napić. Niektórych szeregowych pragnienie męczyło nie mniej dokuczliwie. Cobb i Wiseman wyruszyli za dnia - mimo zakazu poruszania się w dzień - na szaber po okolicznych domach. W jednym z nich znaleźli piwnicę pełną sznapsa. Złapali po dwie butelki i pod ostrzałem snajpera zza rzeki pobiegli z powrotem ulicą jak dwaj uczniacy z kradzionymi jabłkami.

Wiseman został ranny w kolano. Upadł i stłukł butelki. Cobb swoje uratował, po czym wrócił po kolegę. Ściągnął go z ulicy i wskoczyli do piwnicy, gdzie zajęli się rozpijaniem sznapsa. Jak stwierdził sierżant Martin: „Między żołnierzami nie ma czegoś takiego jak napicie się po łyku sznapsa. Gdy który dorwie się do flaszki, to nie przestanie, póki nie wysuszy jej do dna”.

Wiseman i Cobb wypili po butelce. Kiedy wrócili pijani do stanowiska dowodzenia 1 plutonu, Cobb wdał się w bójkę z Marshem.

Walczących rozdzielił porucznik Foley. Objechał Cobba za opuszczenie stanowiska w ciągu dnia, złamanie rozkazów, pijaństwo, wszczęcie bójki i tak dalej. Cobb zaczął pyskować. Foley kazał mu się zamknąć, a wtedy Cobb ruszył do niego z pięściami. Dwóch innych żołnierzy złapało go i rzuciło na podłogę, zanim zdążył zaatakować przełożonego. Sierżant Martin dobył pistoletu. Foley kazał mu go schować, a Cobba aresztować i odprowadzić do sztabu pułku.

Wiseman też był w bojowym nastroju. Głośno protestował przeciw ewakuacji na tyły, zarządzonej przez sanitariusza Eugene'a Roego. Mówił, że zostaje z kolegami i niech się od niego łapiduch odwali, nic mu nie jest.

Foley dokonał obchodu stanowisk plutonu, po czym zasiadł do sporządzania wniosku o ukaranie Cobba przez sąd wojenny. Sporządzanie wniosku zajęło mu kilka godzin. Potem zaniósł papiery do pułkownika Sinka i opowiedział o szczegółach zajścia. Sink na odchodnym zauważył:

- Foley, oszczędziłbyś sporo kłopotu sobie i innym, gdybyś gnoja po prostu zastrzelił na miejscu.

Wiseman, wciąż pijany, nie dawał się opatryć. Powiedział, że będzie rozmawiał tylko z plutonowym Raderem i nikim więcej. Rader próbował mu przemówić do rozsądku, ale bez powodzenia. Wiseman w końcu też trafił pod sąd wojenny. Dla Radera „ta tragedia była kolejnym ciosem po tym, jak zginął Hoobler i w Bastogne został ranny Howell”.

Dwudziestego lutego kompanię E przeniesiono do pułkowych odwodów, a stanowiska 2 batalionu przejął 3 batalion. W zaledwie kilka godzin po zejściu z linii kompanii E Niemcom udało się osiągnąć bezpośrednie trafienie w punkt obserwacyjny numer 2. Tego

samego dnia Winters dostał awans na majora. 23 lutego spadochroniarzy zastąpiła w Haguenau 36 Dywizja Piechoty. 101 DPD została przerzucona do Saverne, na tyły, gdzie szykowała się na powrót do Mourmeion.

Do tej pory dywizja rzadko kiedy miała okazję być na tyłach frontu. Kiedy żołnierze je zobaczyli, braki w zaopatrzeniu trapiące ich na pierwszej linii przestały być zagadką. Zaczęli się raczej zastanawiać, jak to się dzieje, że aż tyle zaopatrzenia docierało na front. W Haguenau dwa razy dostali po trzy butelki piwa na głowę. Z papierosów docierały do nich tylko raleigh i chelsea, których szczerze nienawidzili. Nie otrzymywali w ogóle mydła, czasem paczkę czy dwie gumy do żucia, raz pastę do zębów - pod dostatkiem było tylko amunicji oraz racji żywnościowych C i K. Teraz, stacjonując w pobliżu składu kwatermistrzowskiego, dowiedzieli się, dlaczego tak było. Pierwsi swoją działkę zabierali dokerzy rozładowujący statki przyplływające z Ameryki. Kolejarze bez zahamowań częstowali się przeznaczonymi dla żołnierzy na froncie batonikami Milky Way i piwem Schlitz, które w transporcie kolejowym bez przerwy „się tłukło”. Kierowcy ciężarówek brali lucky strike'i (ich ulubiona marka papierosów), a kiedy zaopatrzenie docierało do dowództw jednostek, kwatermistrzom dywizji, pułku i batalionu do podziału zostawały tylko resztki. Żołnierz na froncie miał szczęście, że dostawał choć konserwy i papierosy raleigh.

Shifty Powers wyfasował nowego Garanda i już wkrótce tego żałował. Do tej pory używał karabinu, który wręczono mu w Toccoa. Kochał swojego starego „złoma”, który wiele z nim przeszedł. „Do tej pory zdawało mi się, że starczy go skierować w żądanym kierunku i pociągnąć za spust, a trafiał, w co tylko chciałem. To był najlepiej strzelający karabin, jaki w życiu miałem, a jako myśliwy znam się na rzeczy. Niestety, znać już po nim było wiek i zużycie, więc przy każdym przeglądzie zbierałem ochrzany za wżer, który się zrobił w lufie. W strzelaniu wcale nie przeszkadzał, a był umiejscowiony tak, że ni cholery nie dawał się usunąć. Wytrzymał wszystkie próby z mojej strony”.

Mając już dość uwag o ten wżer, Powers zdał swego wiernego druha do magazynu i pobrał nowy, lśniący wewnątrz i na zewnątrz karabin. „I mówię wam, w stodołę ze skurczybyka nie byłem w stanie trafić. Najgorszy syf, z jakiego kiedykolwiek strzelałem!”. Ale przynajmniej przestał dostawać nagany za zardzewiałą lufę.

Pułkownik Sink rozesłał rozkazy, w myśl których na tyłach pułk miał przechodzić intensywne szkolenie. Speirs uważał to za idiotyzm i wcale nie krył się z tym przekonaniem. Żołnierzom kompanii E powtarzał, że wierzy w twarde treningi w obozie szkoleniowym na dalekich tyłach, zażartą walkę na froncie i odpoczynek na jego zapleczu.

Mimo wszystko nie był w stanie uchronić kompanii przed dwoma pomysłami dowództwa pułku. Pierwszym było losowanie urlopu w Stanach. Jeden żołnierz z każdej kompanii miał dostać trzydziestodniowy urlop w domu. W losowaniu mogli brać udział tylko ci, którzy byli w Normandii, Holandii, Bastogne i nie mieli żadnych „haków” w papierach. Żadnych chorób wenerycznych, samowolek, kar dyscyplinarnych, a już Boże ucho, sądu wojennego. W tak zdefiniowanej loterii mogło wziąć udział zaledwie dwudziestu trzech żołnierzy w całej kompanii. Speirs wrzucił kartki z ich nazwiskami do hełmu, zamieszał w nim i, odwracając wzrok, wyciągnął kartkę z nazwiskiem Forresta Gutha. Przegrani grzecznie mu pogratulowali, Speirs powiedział, że niechętnie się z nim rozstaje, ale życzy szczęścia na urlopie. Paru kolegów uściśnęło mu dłonie, reszta smutno odeszła w swoją stronę, jak to ujął Webster: „...niczym ludzie, którym w »drodze do piekła« pozwolono obejrzeć kawałek raj”.

Drugim pomysłem był przegląd batalionu. Speirs podszedł do sprawy filozoficznie i uznał, że należy unikać tego, co nie jest niezbędne, a to, co rzeczywiście potrzebne, zrobić porządnie i na wysoki połysk. Powiedział swoim ludziom, że mają wyglądać „ostro”. Karabiny wyczyszczone, mundury polowe wyprane, buty wypolerowane - na ile się da. Ustawiono wielki kocioł, w którym szeregowi gotowali z kawałkami mydła swoje mundury. Przygotowania do przeglądu zajmowały mnóstwo czasu, więc szeregowy Hudson postanowił ich sobie zaoszczędzić. Gdy na zbiórce do przeglądu pojawił się w brudnym kombinezonie, Speirs obsobaczył go z góry na dół. Ledwie skończył dowódca kompanii, Hudson dostał kolejną burę od swojego dowódcy plutonu, porucznika Foleya. Gdy stanął w szeregu, wziął się za niego z kolei pełniący obowiązki dowódcy drużyny plutonowy Marsh. Hudson uśmiechnął się potulnie i zapytał:

- Kurczę, czego się mnie wszyscy czepiają?

Batalionowy przegląd zaszczycił swoją obecnością sam generał Taylor, jak zwykle w towarzystwie dywizyjnego fotoreportera wojennego. I oczywiście tak się złożyło, że generał stanął na obowiązkową pogawędkę z podwładnymi akurat koło szeregowego Hudsona. Fotograf uwiecznił Hudsona w brudnym mundurze, zapytał o nazwisko, adres domowy i wysłał odbitki zdjęcia do jego rodziców i lokalnej gazety. Na zdjęciu generał wyglądał wspaniale, zaszczycając chwilą rozmowy frontowego żołnierza stojącego wśród gromady wymuskanych dekowników gdzieś na zapleczu frontu. Webster znowu miał temat do refleksji:

I tak oto, jedyny żołnierz kompanii E w brudnym mundurze został jedynym, który miał zdjęcie z generałem.

„Na razie jeszcze nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, ale wszyscy zaczęliśmy chodzić ostrożniej, przybyły nam oczy z tyłu głowy, uważać na siebie, dbać, żeby sobie nie dać zrobić krzywdy. Po Haguenau nabraliśmy wewnętrznego przekonania, że może jednak, na Boga, naprawdę uda nam się przeżyć, wyjść z tego w jednym kawałku!”, wspominał Winters po latach.

NAJLEPSZE, CO NAS MOGŁO SPOTKAĆ**Mourmelon-le-Grand**

25 lutego - 2 kwietnia 1945

Dwudziestego piątego lutego żołnierze kompanii E zaznali atrakcji, która dla nich była niezwykłym przeżyciem, a przecież chlebem powszednim dla ich ojców - ruszyli przez Francję w wagonach „40 lub 8”. Były to kryte towarowe wagony kolejowe, mieszczące według napisu na boku czterdziestu żołnierzy lub osiem koni, stąd nazwa. Ta pierwsza podróż koleją na kontynencie bardzo im się podobała. Zrobiło się słonecznie i ciepło, „40 lub 8” zostały wyścielone słomą po kolana, jedzenia było w bród, a co najważniejsze - nikt do nich nie strzelał. Życ, nie umierać. Webster podsumował te wrażenia w swoim dzienniku:

I kiedy tak tłukliśmy się przez Francję, z nogami zwieszonymi na boki z drzwi wagonów, machając rękami do mijanych rolników, pociągając sznapsa z butelki, doszedłem do wniosku, że nie ma to jak powrót z frontu. Nic na świecie nie może się równać z tą radością.

Wracali do Mourmelon, ale nie do koszar, które opuścili w połowie grudnia. Tym razem zakwaterowano ich w dużych dwunastoosobowych namiotach na biwaku mieszczącym się według Webstera:

W żalośnie zapyziałym garnizonowym miasteczku Mourmelon, pustoszone regularnie przez żołnierzy od czasów Cezara po dzień dzisiejszy, składającym się z sześciu barów, dwóch burdeli i małego klubu Czerwonego Krzyża. [...] Trudno w to uwierzyć, ale Mourmelon było gorsze nawet od Fayetteville w Karolinie Północnej.

Pierwszym zadaniem, jakie przed nimi stało, było doprowadzić siebie i ekwipunek do jakiegoś takiego porządku. Mieli do dyspozycji prysznic, ale woda była ledwie letnia. Dla żołnierzy, którzy nie mieli okazji porządnie się wymyć od dziesięciu tygodni, kiedy opuścili Mourmelon, szansa na doszorowanie się wreszcie do czysta stała się prawdziwą rozkoszą. Potem wyfasowali nową bieliznę i mundury wyjściowe. Kiedy jednak mogli wreszcie pobrać swoje worki koszarowe pozostawione w grudniu, ich radość przeistoczyła się w furję.

Dzielni tyłowcy, którzy mieli pilnować worków, podczas gdy oni nadstawiali za nich głowy na froncie, otworzyli szeroko drzwi magazynu przed chłopcami z 17 DPD i razem rabowali, jakby się świat kończył. Brakowało kombinezonów spadochronowych, koszul,

odznak pułkowych, zapasowych butów spadochronowych, pamiątkowych brytyjskich odznak i kombinezonów Denisona, paneli czasz, które pozwoliły im bezpiecznie lądować w Normandii i Holandii, zdobyczej broni i wszelkich innych bezcennych pamiątek.

Niezadowolone wzmógł jeszcze reżim szkolenia narzucony przez majora Wintersa. Nadeszły uzupełnienia, żołnierze zupełnie zieloni, których trzeba było wszystkiego nauczyć. Żeby włączyć ich w organizm kompanii, Winters ułożył plan intensywnego szkolenia bojowego. To była dokładna powtórka szkolenia podstawowego i starzy wyjadacze nienawidzili jej tak samo, jak kiedyś oryginału. Webster miał wszystkiego tak dość, że zapisał:

Czasami, w chwilach, kiedy bardziej dostawaliśmy w kość, zaczynałem tęsknić za relatywnie świętym spokojem na linii frontu.

Jednym z nowicjuszy był szeregowy Patrick O'Keefe. Zgłosił się na ochotnika do wojska po ukończeniu siedemnastego roku życia, przeszedł szkolenie spadochronowe i w końcu stycznia wypłynął z Nowego Jorku na pokładzie Queen Elizabeth. Przespał chwilę, w której mijali Irlandię, czego nie mógł sobie darować. Jego rodzice pochodzili z hrabstwa Kerry, pierwszej części Irlandii, jaką się widzi ze statku przybliżającego z drugiej strony Atlantyku. Przybył do Mourmelon w kilka dni po powrocie tam kompanii E. Nowi koledzy zrobili na nim piorunujące wrażenie. „To byli twardzi, zahartowani w boju wiarusi, którzy mieli mnie głęboko gdzieś. Po jakimś czasie doszedłem do wniosku, że to chyba rzeczywiście za wysokie progi na moje nogi. O'Keefe, pomyślałem, tym razem ugryzęś więcej, niż możesz połknąć”.

O'Keefe został przydzielony do 1 plutonu, pod komendę porucznika Foleya, do drużyny plutonowego Christensona.

Swojej trzeciej nocy w Mourmelon uczestniczył w nocnych ćwiczeniach kompanii, które rozpoczęły się o północy. Idąc na końcu rzędu w ciemną noc, w pewnej chwili stracił z oczu żołnierza, za którym podążał. Przerażony zaczął się gorączkowo rozglądać. Zza pleców usłyszał zrezygnowane westchnięcie. Napiął się cały jeszcze bardziej i zaczął rozglądać jeszcze intensywniej.

Z tyłu doszedł go cichy głos:

- W porządku, synu, nic się nie bój. Klęknij i popatrz nad linią horyzontu, to na pewno ich dostrzeżesz.

O'Keefe zrobił, jak mu nakazano i faktycznie niemal natychmiast dostrzegł resztę plutonu. Bąknął „Dziękuję” i pognął za swoimi. Potem rozpoznał głos, który słyszał tej nocy.

To był sam major Winters, dowódca batalionu, który tej nocy prowadził nocne ćwiczenia dla rekrutów, zamiast wraz z resztą sztabu nurzać się w rozpuście Paryża.

W czasie tych samych ćwiczeń, tuż przed świtem, O'Keefe objął obowiązki wysuniętego szperacza. O brzasku mieli pozorować natarcie na nieprzyjacielskie stanowiska po drugiej stronie odsłoniętego płaskiego pola. O'Keefe dotarł do ostatniego wzniesienia przed tym polem i dał reszcie batalionu sygnał do zatrzymania. Myśl o tym, że on, osiemnastoletni szczawik, ma prowadzić gromadę zaprawionych w boju weteranów, porażała go. Bojąc się tej odpowiedzialności, zasygnalizował drugiemu, bardziej doświadczonemu szperaczowi „Do mnie!”, by się z nim zamienić miejscami. Szeregowy Hickman przybiegł natychmiast i zanim O'Keefe zdążył powiedzieć słowo, podzielił się z nim swoją radością:

- Chłopie, jak się cieszę, że mogę to robić z tobą. Wiesz, ja tu przyjechałem dopiero trzy tygodnie temu i jeszcze nic nie umiem...

O'Keefe nie wypadł z roli i nie wyprowadzał go z błędu. Pobłażliwym tonem starego wyjadacza odparł:

- Dobra jest, mały, nie kłap już tyle. Ja teraz przejdę na ten pagórek tam przed nami, a ty zasuwasz do tyłu i czekaj na mój sygnał, żeby go przekazać dalej.

Chwilę później O'Keefe był już na krawędzi wzniesienia, skąd wycofał się tuż poniżej szczytu i podniósł nad głowę trzymany w obu rękach karabin, sygnalizując wykrycie obecności wroga.

Porucznik Foley wydał rozkazy dla karabinów maszynowych i moździerzy, by wspierały natarcie i rozpoczął się atak. Po kilku minutach ogłuszającej kanonady Joe Liebgott z indiańskim okrzykiem bojowym na ustach i bagnietem na broni wdarł się między nieprzyjacielskie stanowiska, prując worki z piaskiem i robiąc swoimi bohaterskimi wyczynami wielkie wrażenie na rekrutach, takich jak O'Keefe.

Ósmego marca pułkownik Sink zajął się normalizacją sytuacji personalnej w pułku, powierzając na stałe stanowiska oficerom „pełniącym obowiązki” dłużej niż dwa miesiące. Podpułkownik Strayer został oficjalnie zastępcą dowódcy pułku, major Winters objął po nim dowództwo 2 batalionu. W sztabie też nastąpiły pewne przetasowania. Major Matheson z oficera zaopatrzeniowego (S-4) pułku został oficerem operacyjnym (S-3), zastępując pełniącego te obowiązki kapitana Nixona, ten zaś z kolei objął stanowisko oficera operacyjnego 2 batalionu. Porucznik Welsh wrócił ze szpitala i objął stanowisko oficera rozpoznania (S-2) 2 batalionu. Stanowisko pułkowego S-4 otrzymał po Mathesonie inny weteran kompanii E - kapitan Herbert M. Sobel.

Faktyczna degradacja kapitana Nixona z pułkowego na batalionowego S-3 nastąpiła z uwagi na postępy jego choroby alkoholowej. Jak każdy, kto dobrze poznał Nucona, pułkownik Sink przyznawał, że jest on nie tylko geniuszem, ale na dodatek odważnym i rozsądnym żołnierzem (co nie zawsze idzie w parze). Choć jednak sam pił bez opamiętania (dorobił się używanego za jego plecami przydomka Bourbon Bob), nie mógł znieść ciągłej nietrzeźwości Nucona. Zanim skierował go do batalionu, wezwał do siebie Wintersa i zapytał, czy jest pewien, że da sobie z nim radę. Winters wierzył, że jako najbliższy przyjaciel będzie w stanie okiełznać jakoś Nucona i Sink podpisał przeniesienie kapitana.

Do marca 1945 roku byli oficerowie kompanii E opanowali kluczowe stanowiska zarówno w dowództwie pułku (zastępca dowódcy pułku, pułkowi S-3 i S-4), jak i batalionach (1 batalionem dowodził podpułkownik Hester, 2 batalionem zaś major Winters, a S-2 i S-3 byli oficerami kompanii E). Jeden z nich, Matheson, miał w przyszłości zostać generałem majorem i dowodzić 101DPD w Wietnamie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że kapitan Sobel w Toccoa, w lecie 1942 roku, rzeczywiście mógł mieć rację.

Oczywiście Winters, którego stosunek do Sobela nigdy nie uległ złagodzeniu, z tym by się nie zgodził. A jednak to właśnie Sobel dostarczył mu, jak sam ocenił, jednego z najbardziej satysfakcjonujących momentów w życiu. Któregoś dnia w Mourmelon major Winters spotkał na ulicy kapitana idącego z naprzeciwka. Sobel, widząc Wintersa, spuścił wzrok, udał, że go nie zauważył i poszedł dalej, nie oddając mu honorów. Kiedy się minęli i odszedł o krok czy dwa, Winters zatrzymał się i zawołał:

- Kapitanie Sobel, jeśli mnie pan nie lubi, to pańska sprawa, ale regulamin mówi, że salutujemy stopniowi, a nie człowiekowi.

Upokorzony Sobel mógł na takie dictum odpowiedzieć tylko jedno:

- Tak jest, panie majorze. Przepraszam, panie majorze.

Wyprężył się jak struna i oddał wzorowy salut, po czym jak niepyszny czmychnął dalej ulicą.

Webster i Martin, którzy byli świadkami tej sceny, nie posiadali się z zachwytu (Webster zapisał: „Uwielbiam patrzeć, jak oficerowie stawiają się nawzajem do pionu”), ale nawet nie w połowie tak jak sam Winters.

Major Winters miał w Mourmelon jeszcze jedną przyjemność, i to codziennie. W szpitalu pracowali niemieccy jeńcy. Każdego wieczora wracali pod eskortą do obozu jenieckiego, w marszu śpiewając wojskowe piosenki. Winters wspomina: „Maszerowali i śpiewali dumnie i z wigorem. To było po prostu piękne. Boże, ależ to było wojsko!”.

Następca Sobela i Wintersa na stanowisku dowódcy kompanii E, kapitan Speirs, nadal robił wrażenie na kolegach oficerach i podwładnych. Webster zapisał:

Speirs zapowiada się na oficera równie dobrego jak Winters. Wielu się ze mną nie zgadza, nienawidząc Speirsa i wypominając mu, że w Normandii zabił jednego ze swoich żołnierzy, że był uparty i podejrzliwy, że podobnie jak Patton nie wierzył w istnienie jednostki chorobowej „wycieńczenie walką”. W boju był jednak odważny, prawdę mówiąc, na dźwięk gwizdzących kul wstępował w niego dzikus. Własną krwią zapracował na Srebrną Gwiazdę, Brązową Gwiazdę i trzy Fioletowe Serca. Speirs wierzy w zdrowy rozsądek podoficerów z doświadczeniem bojowym i szkolenie z naciskiem na walkę, a nie regulamin. Polubiłem Speirsa.

W korpusie podoficerskim też zachodziły zmiany. Sierżant Floyd Talbert zastąpił podporucznika Liptona na stanowisku szefa kompanii. Talbert, człowiek jowialny, był lubiany przez szeregowych za swoją pogardę dla biurokracji i postępowanie zgodne raczej ze zdrowym rozsądkiem niż z regulaminem. Carson został pisarzem kompanijnym, Luz łącznikiem dowódcy kompanii. Szefami plutonów byli teraz sami ludzie z Toccoa, wszyscy co najmniej raz ranni w boju - Earl Hale (1 pluton), Charles Grant (2) i Amos Taylor (3).

Awans Hale'a spowodował niesnaski w 1 plutonie. Nic do niego nie mieli, ale był człowiekiem z zewnątrz (radiooperatorem dowództwa kompanii). Wśród żołnierzy plutonu plotkowano, jakoby Hale poszedł do Wintersa ze skargą, że żona mu w listach kołki na głowie ciosa o kolejny pasek na rękawie i w rezultacie major go wyznaczył na szefa plutonu, żeby mógł awansować. Niechęć budził zwłaszcza sposób, w jaki pominięto w kolejce awansów Johnny'ego Martina. Webster przypuszczał, że:

Przyczyną tego pominięcia była niechęć oficerów do jego swobodnego podejścia do przepisów, a przecież był to wśród ludzi z naszego plutonu człowiek najszybciej myślący, najsprytniejszy, urodzony przywódca i najlepszy kandydat na szefa plutonu. Martin był tego samego zdania. Przeżywszy trzy kampanie bez rany, pominięty w awansie, udał się do lekarzy i przyznał do nie wykrytej aż dotąd wady łękotki, która w ogóle powinna go wykluczyć ze służby wojskowej. Niedługo potem został ewakuowany do Stanów. Webster, zasmucony tym odejściem, napisał:

Ludzie z Toccoa śpią się jak klonowe liście w listopadzie. Starych wyjadaczy opanowało w Mourmelon poczucie beznadziei, bezsilności i rozdrażnienia. Co my tu robimy, stare konie, bez końca maszerując całymi nocami przez pola i łąki, depcząc zagony kalarepki i wspinając się na płoty, wciąż w polu na ćwiczeniach? Czy nie czas, żeby się tym zajęli młodszy?

Weterani próbowali wykpiwać się z co cięższych ćwiczeń. Na porannym apelu zgłaszali się jako chorzy. Speirs pytał, co im jest, wysłuchiwał ich skarg na słabe zdrowie i przewracając oczyma, odsyłał na jeden dzień do izby chorych. Dzień wolnego, leżenie bykiem w czystej pościeli, bez konieczności podnoszenia niczego cięższego niż łyżka. Tak łatwo było sobie załatwić ten urlop.

A przecież żaden z nich nie zrobił tego więcej niż dwa razy - nawet Webster wolał wojnę od beczynnego leżenia na plecach i czytania starych gazet.

Trudy marcowe przyniosły żołnierzom 101 Dywizji Powietrznodesantowej ciężko zapracowaną nagrodę. Dostąpili zaszczytu wystąpienia z defiladą przed największą grupą ludzi z samych szczytów świecznika, jaką kiedykolwiek oglądali. Przyjechali do nich: Eisenhower, generał Taylor, generał porucznik Sir Frederick Morgan, generał porucznik Lewis Brereton, sekretarz prezydenta Roosevelta Stephen Early, generał major Matthew Ridgway i jeszcze wielu innych.

W ramach przygotowań do wizyty, jak wspomina porucznik Foley „Wszystko czyszczono i pucowano na wysoki połysk, malowano, każdą broń rozłożyliśmy, wyczyściliśmy i złożyliśmy na nowo. Każdy musiał przekopać worek z rzeczami w poszukiwaniu baretek i umieścić je we właściwych miejscach na piersi”.

Po raz pierwszy pomalowano na nowo hełmy, umieszczając na boku godło 506 pułku. Kiedy farba wyschła, każdy hełm był nacierany oliwą do broni, żeby wszystkie równo błyszcząły w słońcu. W ramach przygotowań przez kilka dni z rzędu codziennie odbywali ćwiczebną defiladę przed pustą trybuną. W dniu samej parady oficerowie oczywiście zgonili ludzi na plac defilad trzy godziny przed spodziewanym przyjazdem Ike'a i jego świty. I oczywiście ludzie klęli w żywy kamień Eisenhowera, armię i jej sposób traktowania żołnierzy.

Ike w końcu przybył. Przejechał samochodem przed frontem całej dywizji, po czym wdrapał się na trybunę i wygłosił przemówienie. Oznajmił w nim, że dywizja za swą postawę w bitwie o Bastogne otrzymała pochwałę prezydencką jako wyróżniający się oddział, stając się pierwszą w historii Armii Stanów Zjednoczonych dywizją nagrodzoną w ten sposób. W swoim krótkim przemówieniu nie szczędził im pochwał i zachęt do dalszego wyczerpanego wysiłku:

Otrzymaliście [w Bastogne] wspaniałą okazję do wykazania się i przeszliście wszystkie próby, na jakie was tam wystawiono. [...] Jestem z was cholernie dumny.[...] Z każdym zaszczytem wiąże się jednak odpowiedzialność. Jako pionierzy nowej tradycji musicie być świadomi tego, że kieruje się na was wiele oczu, pilnie śledzących każdy wasz krok. Sława

*opromienia was szczególnie jasnym blaskiem, ale ten blask powoduje, że każde spotkanie zdaje się większym niż w rzeczywistości. Kiedy powiecie, że jesteście ze sto pierwszej, każdy, na ulicy czy na froncie, będzie od was oczekiwał cudów. Jeśli jednak zachowacie ducha, który kierował wami w Bastogne, jestem pewien, że stawicie czoło każdej próbie, na jaką was wystawi przyszłość w równie błyskotliwy sposób.*⁵⁰

Nawet Webster, stary cynik szczególnie uczulony na armię i zachowanie swego prawa do narzekania, musiał niechętnie przyznać, że mowa Eisenhowera zrobiła na nim wrażenie. Szeregowy Patrick S. O'Keefe wyraził odczucia reszty, pisząc:

I nawet my, świeże uzupełnienia, czuliśmy przepelniającą nas ogromną dumę, kiedy maszerowaliśmy wtedy przed tą trybuną z Eisenhowerem i resztą szuch.

Porucznik Foley przeżył jeszcze jedną niespodziankę tego dnia, trochę mniej przyjemną. U boku generała Taylora na trybunie zauważył nie kogo innego, jak tylko byłego dowódcę ich kompanii, usuniętego za nieudolność, Normana Dike'a, teraz awansowanego na kapitana.

Sierżant Hale, ten, któremu esesman przeciął gardło w Ardenach i potem dostał medyczną dyspensę na chodzenie bez krawata, został odznaczony Brązową Gwiazdą, którą miał mu wręczać sam Eisenhower. Naczelny wódz oczywiście natychmiast zauważył brak krawata i zapytał o jego przyczynę. Hale wyjaśnił i opowiedział o incydencie z Pattonem. Kiedy generał Taylor potwierdził jego opowieść, Ike wybuchł serdecznym śmiechem i klepiąc Hale'a po ramieniu, powiedział mu, że jest jedynym człowiekiem na całym europejskim teatrze działań wojennych, któremu udało się wykręcić taki numer.

A potem posypały się przepustki i urlopy. Do Anglii, do Paryża, na Riwierę, do Brukseli, jednodniowe do Reims. Kapitan Speirs dostał urlop i wybrał się do Anglii, do swojej nowo poślubionej żony, Angielki, wdowy po poległym w północnej Afryce żołnierzu. Foley pojechał do Paryża i chyba bawił się dobrze, ale po powrocie wyznał, że nic nie pamięta. Przyjechała trupa USO, tym razem przywożąc wykonawców naprawę pierwszej gildii, na czele z Marleną Dietrich.

Garnizonowe życie było łatwe, ale miało swoją cenę - dosłownie. Poza linią frontu armia ze wzmożoną surowością dbała o wygląd zewnętrzny żołnierzy i przestrzeganie niezliczonych regulaminów oraz innych przepisów. Groźenie więzieniem żołnierzowi, który w każdej chwili mógł wrócić na front, było bardziej robieniem mu obietnic niż karą. W tej

⁵⁰ Rapport i Northwood, op. cit, s. 697-699.

sytuacji postanowiono karać w sposób bardziej dotkliwy, szczególnie dla żołnierzy wybierających się na przepustkę do Paryża czy gdziekolwiek.

Szeregowy 101 DPD dostawał na tyłach do ręki pięćdziesiąt dolarów miesięcznie żołdu, kolejne pięćdziesiąt dodatku desantowego i jeszcze dychę dodatku frontowego, łącznie sto dziesięć dolarów, nie licząc indywidualnych dodatków za odznaki strzeleckie, wysługę i całej reszty wpłacanej na konto w kraju. Generał Taylor ustanowił w Mourmelon sąd doraźny, bijący winnych wykroczeń mocno po kieszeni. Wykroczenie przeciw przepisom mundurowym kosztowało pięć dolarów grzywny. Nielegalne Parabellum w kieszeni spodni kosztowało (prócz konfiskaty pistoletu) dwadzieścia pięć dolarów.

Mandat za przekroczenie szybkości wynosił dwadzieścia dolarów. Bójki karano cofnięciem przepustek i dwudziestoma pięcioma dolarami grzywny.

W tym czasie trwało nadal intensywne szkolenie uzupełnień. Po ukończeniu cyklu w drużynach i plutonach przechodzono do szkolenia na szczeblu kompanii i batalionu. Dywizja szykowała się do kolejnego dziennego skoku bojowego - operacji Eclipse, desantu na Berlin i okolice.

Nikt jednak nie miał po co skakać na Berlin, dopóki alianci nie przekroczyli Renu. Żołnierze od miesięcy oczekiwali desantu za Ren, ale kiedy do niego wreszcie doszło, ani kompania E, ani cała dywizja nie wzięła w nim udziału. Eisenhower zdecydował się dać szansę odbycia chrztu bojowego świeżej 17 Dywizji Powietrznodesantowej i wyznaczył ją wraz z brytyjskimi 1 i 6 DPD do udziału w operacji Varsity, największej operacji powietrznodesantowej wszystkich czasów. 82 i 101 DPD oszczędzano na Berlin.

Pozbawienie uczestnictwa w operacji Varsity większość uzupełnień odczuła jako zawód. Nie po to przechodzili przez trudy szkolenia spadochronowego i wstępowali do najsłynniejszej dywizji powietrznodesantowej świata, żeby teraz nie wziąć ani razu udziału w bojowym zrzucie. W Mourmelon miejscowy oddział Dowództwa Transportu Lotniczego otworzył szkółkę spadochronową dla żołnierzy pułku szybowcowego, chcących się przekwalifikować, lub tyłowców pragnących nabyć uprawnienia do dodatku desantowego, a w końcu dla wszystkich chętnych, którzy chcieliby poskakać ze spadochronem. Porucznik Foley odbył dwa skoki, ale po powrocie kręcił z niesmakiem głową, że to nie to, co prawdziwy zrzut.

Dwudziestego czwartego marca żołnierze kompanii E z mieszanymi uczuciami odprowadzali wzrokiem C-47 startujące jeden za drugim z pobliskiego lotniska, krążące nad nim i formujące znajomy szyk kolumny kluczy, po dziewięć w rzędzie. Patrząc na odlatujące na północ samoloty, porucznik Foley czuł żal: „To był piękny widok. Serce waliło mi jak

oszałałe. Facet taki jak ja, z kompanii, która odbyła już dwa bojowe skoki, miał nieodparte przekonanie, że oto traci ostatnią szansę, by to jeszcze raz zrobić”.

Część starych wyjadaczy odczuwała podobnie. Ku swemu bezbrzeżnemu zdumieniu Webster zazdrościł żołnierzom 17 DPD.

Ależ byśmy mieli radochę! A tak, pozostało nam jedynie stać na ziemi w tłumie kumpli i wraz z nimi wiwatować, pokazywać palcami V jak zwycięstwo i krzyczeć „Dalej chłopaki! Dajcie im popalić!”. [...] Patrząc na niknące za horyzontem sylwetki, nasłuchując gasnącego w oddali warkotu lotniczych silników, poczułem się nagle samotny i porzucony, pozostawiony w oddali.

Nie wszyscy żołnierze kompanii E zostali „pozostawieni w oddali”. Jednym z tych, którzy polecieeli owego 24 marca za Ren, był kapitan Nixon, S-2 2 batalionu, wyznaczony przez generała Taylora na obserwatora operacji z ramienia 101 DPD. Na szczęście dla Nixona wyznaczono go w jego samolocie na wyrzucającego. Samolot został trafiony i tylko cztery osoby, w tym Nixon, zdołały się z niego wydostać, zanim się rozbił. Nixon pozostał za Renem tylko jeden dzień. Już 25 marca został odesłany z powrotem za Ren i specjalnym samolotem przywieziony do 2 batalionu. Ten skok sprawił, że stał się jednym z dwóch ludzi w całej dywizji, którzy mieli prawo nosić odznakę spadochronową z trzema gwiazdkami za skoki bojowe - za Normandię, Holandię i Varsity. Drugim był sierżant Wright, zwiadowca, który jeszcze w Toccoa został przeniesiony z kompanii E.

Operacja Varsity napotkała bardzo silny opór Niemców, a co więcej, okazała się zupełnie niepotrzebna. W czasie jej trwania dywizje piechoty i wojsk pancernych amerykańskiej 1 Armii przewalały się już z hurgotem przez zdobyty w Remagen most Ludendorffa, ruszając potem na północ, by okrążyć wojska niemieckie broniące przemysłowego serca Niemiec, Zagłębia Ruhry.

Eisenhower chciał wzmocnić pierścień zaciskający się wokół Zagłębia Ruhry i znów jedynymi wojskami, jakie miał w odwodzie, były 82 i 101 DPD. W końcu marca przyszły rozkazy - dywizja wracała na front, tym razem nad Ren.

Weterani byli zdecydowani nie ryzykować bez potrzeby. Koniec wojny był tuż-tuż. Teraz mieli już przekonanie o tym, w co z trudem mogli uwierzyć po Bastogne - być może uda im się wyjść z tej wojny cało. Cieszyli się, że się wyrwą z nudy służby garnizonowej, ale wiedzieli, jak o siebie dbać i byli gotowi zrobić swoje - bez niepotrzebnego nadstawiania karku. Nikt nie miał ochoty na bohaterskie wyczyny.

W odróżnieniu od weteranów nowicjusze uważali Mourmelon za wspaniałe miejsce. Ćwiczyli tu ramię w ramię z weteranami, dzień i noc, prowadząc szkolenie realistyczne, a nie

według regulaminu, pod okiem człowieka będącego legendą w ich kompanii, majora Wintersa. Nauczyli się rzeczy, które w boju mogły im uratować życie. Poznali prawdziwych bohaterów; ci zaakceptowali ich i nawet dopuszczali do swego towarzystwa. Byli dumni z tego, że trafili do tej kompanii, tego batalionu, tego pułku, tej dywizji i ze wszystkich sił pragnęli dowieść, że zasłużyli na ów zaszczyt.

Tak więc kompania E była gotowa do walki, kiedy w końcu marca nadeszły rozkazy do wymarszu. Nad Ren mieli jechać ciężarówkami. Webster cieszył się, że opuszczają Mourmelon, choć powrót na front napawał go obawami. Był też zawiedziony, że podróżują ciężarówkami.

Wolałbym skakać jeszcze raz, niż jechać na front ciężarówkami. W ataku powietrznodesantowym jest zawsze element niepewności - może będzie ciężko, może lekko, a może akurat przeciwnika w ogóle tam nie będzie. To mi odpowiada znacznie bardziej niż prozaiczny atak piechoty na umocnione pozycje wroga, który doskonale wie, skąd i kiedy ona nadchodzi.

Szeregowy O'Keefe miał po raz pierwszy doświadczyć tego, co doznają żołnierze w walce. Zachował bardzo jasne wspomnienie tych chwil: „Pod kurtkami polowymi mieliśmy lekkie swetry, spodnie wsunięte w buty, noże okopowe przytroczone na prawym udzie, u pasów wisiały chlebaki. Do szelek na piersi przylepiliśmy taśmą do uszczelniania puszek z amunicją po dwa granaty: jeden obronny i jeden fosforowy. Mieliśmy manierki, opatrunki osobiste, żelazne racje upchnięte w workowatych bocznych kieszeniach spodni, na głowach stalowe hełmy i na ramieniu karabin. Zamiast staromodnych pasów amunicyjnych z kieszonkami na ładowniki dostaliśmy pasy do pistoletu, wąskie, takie same jak oficerowie, a amunicję do karabinów nosiliśmy w brezentowych bandolierach przewieszonych przez pierś. Plecaki zostawiliśmy na ciężarówkach, a do chlebaka każdy zapakował niezbędne minimum rzeczy: zmianę bielizny, parę zapasowych skarpet, przybory do golenia, do szycia, papierosy i tym podobne”.

Po mszy odprawionej przez ojca Johna Maloneya, zakończonej odpustem powszechnym, O'Keefe wdrapał się na ciężarówkę, która ruszyła w kierunku Niemiec.

Kompania E miała poznać już piąty z kolei kraj. Żołnierzom bardzo podobała się Anglia i Anglicy (a zwłaszcza Angielki). Nie polubili Francuzów, mając ich za niewdzięczne, leniwe, ponure i brudne łajzy. Z racji pobytu w Belgii łączyły ich specjalne stosunki z Belgami, którzy robili co mogli, żeby im pomóc w Ardenach.

Pokochali Holendrów. Odważny, zaradny, wręcz onieśmielająco wdzięczny naród, z najlepiej zorganizowanym, najbardziej użytecznym ruchem oporu w całej Europie i

piwnicami pełnymi smakołyków skrywanych przed Niemcami, którymi jednak ze swymi wyzwolicielami dzielili się wręcz natarczywie. Czyści, pracowici, uczciwi ludzie zaskarбили sobie dozgonne uwielbienie tych Amerykanów, którzy mieli z nimi do czynienia.

A teraz mieli poznać Niemców. Po raz pierwszy będą obsadzać linię frontu w głębi nieprzyjacielskiego terytorium, żyjąc wśród wrogiej ludności cywilnej. Jeśli potwierdzą się krążące pogłoski, poznają ich naprawdę z bliska, bo w Niemczech skończy się biwakowanie pod płachtami namiotowymi. Odtąd będą kwaterować po niemieckich domach. Na razie mieli tylko stacjonować na obrzeżu kotła, ale potem ruszą wraz z ofensywą przez środkowe Niemcy i wtedy otrzymają szansę na jeszcze bliższe zapoznanie się z Niemcami oraz ich krajem. Zatrzymają się każdej nocy w innej miejscowości, w innym domu, którego mieszkańcy dowiedzą się kilka minut wcześniej o tym, że będą mieli gości na noc.

Wkraczali tam jako zwycięzcy, którym wpojono nieufność wobec wszystkiego, co powie lub zrobi Niemiec i którym zabraniano bratania się z pokonanymi, a na dobrą sprawę wszelkiego kontaktu z ludnością cywilną. Poza Liebgottem i może jeszcze kilkoma ciężko było jednak znaleźć wśród nich ludzi pałających nienawiścią do Niemców. Wielu, acz niechętnie, podziwiała niemieckich żołnierzy, z którymi do tej pory przychodziło im walczyć. Webster nie był jedynym, który powątpiewał, by okrucieństwa głoszone przez propagandę mogły być prawdą. Tak czy inaczej, wkrótce mieli się naocznie przekonać, czy wszyscy Niemcy byli zajadłymi hitlerowcami i czy hitlerowcy naprawdę byli tak straszni, jak o tym bez przerwy trąbiły alianckie gazety i radio.

POZNAWANIE WROGA**Niemcy**

2 - 30 kwietnia 1945

Reakcje kompanii E na kontakty z cywilnymi Niemcami zależały od doświadczeń i wyobrażeń poszczególnych żołnierzy. Niektórzy znaleźli powody, by pogłębić swoją nienawiść, inni polubili kraj i jego mieszkańców, niemal wszyscy w końcu zmienili zdanie, a każdy był na pewno zafascynowany Niemcami.

Standardowa odpowiedź na pytanie, jak amerykański żołnierz widział obce narody, które poznał w czasie wojny, brzmi mniej więcej tak: Arabowie byli podli, kłamcy, złodzieje, brudasy, obrzydliwi, naprawdę bez żadnej cechy, która mogłaby jakoś zrekompensować wyżej wymienione. Włosi to kłamcy, brudasy, złodzieje, ale byli wspaniali i potrafili te swoje wady nadrobić na wiele sposobów - jedno się tylko u nich nie zmieniało: nie można im było zaufać. Francuzi ze wsi okazali się ponurakami, leniami i niewdzięcznikami, podczas gdy ich paryscy rodacy uchodzili za zachłannych, przebiegłych, którym wszystko jedno, kogo kantują: niemieckich okupantów czy amerykańskich wyzwolicieli. Brytyjczyków uważano za odważnych, zaradnych, ekscentryków, pełnych rezerwy i nudnych. Holendrzy, jak już wspomnieliśmy, wydawali się Amerykanom po prostu wspaniali we wszystkim - ale poza spadochroniarzami mało który Amerykanin był w Holandii, gdyż leżała ona w brytyjskim sektorze frontu.

Jakkolwiek dziwne może to się wydać, narodem, który najbardziej przypadł do gustu Amerykanom, z którym najbardziej się identyfikowali i najbardziej lubili zadawać byli... Niemcy. Czyści, porządni, zadbani, pracowici, zdyscyplinowani, wykształceni, mieszczańscy w swoich gustach i stylu życia, przeciętnemu amerykańskiemu żołnierzowi jawili się jako „ludzie tacy sami jak my”. Wielu z tych żołnierzy zauważyło, że ze wszystkich narodów, które poznali, tylko Niemcy i oni uważali toaletę spłukiwaną wodą oraz biały papier toaletowy za coś absolutnie normalnego i niezbędnego do życia.

Nie uszło ich uwagi także to, że odbudowa, a przynajmniej uprzątnięcie gruzów w niemieckich miastach, zaczynała się nazajutrz po przejściu bitwy. Jakiż kontrast stanowiło to w porównaniu z Francją, gdzie w niemal rok po lądowaniu normandzkie miasteczka wciąż leżały w gruzach. Podobnie jak w Anglii, także tu z uznaniem komentowali urodę płci

przeciwnej, przy braku konkurencji ze strony miejscowych. Pokochali niemieckie jedzenie i piwo, ale nade wszystko pokochali niemieckie domy.

Na swoim szlaku bojowym od Renu przez Bawarię po Austrię zatrzymywali się w wielu domach, czasem co noc w innym. W żadnym miejscu nie trafili do domu bez prądu, bieżącej ciepłej i zimnej wody, porządnych ubikacji ze splukiwanym sedesem i papierem toaletowym, bez zapasu węgla do pieca.

Webster wspomina:

Schodzenie z warty do swojego domu było doznaniem, jakiego próżno by szukać wśród tego wszystkiego, co do tej pory przeżyłem w wojsku. Wchodząc w drzwi, zostawialiśmy na zewnątrz wrogą ciemność. Za zaciemniającymi zasłonami witało nas światło, zapachy z kuchni i pogawędka ze współgospodarzami. Kiedy zostawialiśmy na wieszaku przy drzwiach karabiny i peleryny, człowiek czuł się niemal jak we własnym domu. Na kuchni stoi dzbanek świeżo zaparzonej kawy - proszę się częstować. Siedzimy w pokoju, Reese opowiada o tym, jak na urlopie w Londynie posuwał jakąś Angielkę, Janovek, Hickman, Collette i Sholty rzną w blackjacka. Przed jedzeniem umyj ręce! Niewielka grupka dobranych przyjaciół, czysty, jasno oświetlony dom, filiżanka kawy - po prostu raj.

Było nawet lepiej niż opisuje Webster. Po raz pierwszy od tak dawna, mimo że byli na froncie, nikt do nich nie strzelał i oni nie musieli do nikogo strzelać. Nic dziwnego, że polubili Niemcy. Ale jak dalej pisał Webster:

Zastanawiając się nad fenomenem powierzchownej sympatii do Niemiec i Niemców, jaką odczuwał amerykański żołnierz, nie należy zapominać o tym, że zaznał on tam wygód i komfortu, których w wojsku doświadczył tylko w kraju swych wrogów.

Wrażenia kompanii E z pobytu w Niemczech pokazują coś jeszcze - o ile lepiej przeciętny Niemiec wyszedł na wojnie od przeciętnego Anglika, Francuza, Belga czy Holendra. Oczywiście, w 1945 roku życie Niemców w wielkich miastach leżało w gruzach, razem z tymi miastami. Na wsi jednak i w małych miasteczkach, poza okolicami linii kolejowych i skrzyżowań dróg, domy zwykle ocalały, a wraz z nimi luksusy, których zaznawali kwaterujący tam amerykańscy żołnierze.

Nie każdy amerykański żołnierz ulegał urokom Niemiec. Webster przybył do tego kraju, nie lubiąc Niemców i uważając ich wszystkich za nazistów. Ale z drugiej strony sądził, że wszystkie okrucieństwa wobec Żydów i horror obozów zagłady jest jedynie produktem towarzyszącej każdej wojnie propagandy zohydżającej przeciwnika. Kontakty z Niemcami nie wpłynęły na zmianę jego nastawienia do nich. Uważał ich wciąż za „zbyt hardych”. W

odróżnieniu od Francuzów, którzy z kolei byli jego zdaniem „narodem martwym i gnijącym”, Niemcy byli:

Przyczajonym, rannym tygrysem, który odpoczywa i liże rany, pełen palącej nienawiści do myśliwego i gotów kasać ponownie.

Niechętnie i wbrew sobie musiał jednak przyznać, że coś go w tych ludziach pociągało.

Niemcy, których poznałem, sprawiają wrażenie czystych, efektywnie pracujących i praworządnych.

napiisał do rodziców 14 kwietnia. Wielu z nich chodziło do kościoła.

W Niemczech wszyscy rano wychodzą z domu i idą pracować, nie jak Francuzi, którzy najchętniej siedzieliby na tyłku cały boży dzień. Niemcy nie czekają na zmiłowanie boskie, tylko sami biorą za łopaty i zasypują leje, okopy i rowy przeciwpancerne po przejściu frontu. Są czystszy, bardziej postępowi i ambitniejsi zarówno od Anglików, jak i Francuzów.

Pisząc o doświadczeniach amerykańskich żołnierzy w Niemczech i wpływie poczucia, że to „ludzie tacy, jak my”, Glenn Gray zauważa:

Wróg nie mógł się przecież jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienić z potwora w ludzi dających się lubić. Większość Amerykanów dochodziła więc do narzucającego się wniosku: ci ludzie musieli w przeszłości być zaślepieni strachem i nienawiścią w wyniku propagandy ich własnego rządu.⁵¹

Rozkazy z samego szczytu zakazywały fraternizacji. Amerykańscy żołnierze mieli nie rozmawiać z żadnymi Niemcami, nawet z małymi dziećmi, poza sytuacjami wynikającymi ze stosunków czysto służbowych. Ten absurdalny rozkaz, tak sprzeczny z ludzką naturą, był oczywiście niemożliwy do wyegzekwowania. Oficerowie, zwłaszcza ci, którzy sami nienawidzili Niemców, próbowali go jednak przestrzegać. Webstera bawiła intensywność negatywnych uczuć okazywanych przez porucznika Foleya. Zapisał w dzienniku:

Tak się przejął polityką niefraternizacji, że wydał rozkaz, by wszelkie niedopałki rozrywać i wysypywać z nich tytoń, żeby żaden szkop nie mógł czerpać przyjemności z palenia amerykańskiego tytoniu.

Webster wspomina też, jak z porucznikiem Foleym wybierali domy na kwatery dla wojska.

Kiedy zaszliśmy od tyłu, na podwórko, by dokonać bliższej inspekcji ewentualnej kwatery, naszym oczom ukazał się przerażający widok, który rozbudził antyfraternizacyjny

⁵¹ Gray, op. cit., s. 152.

ferwor w poruczniku Foley: dwóch żołnierzy prowadziło ożywioną i najwyraźniej nie służbową rozmowę z dwiema Frdulein. Niepojęte, przerażające, zabronione, niegodne munduru! Porucznik Foley z miejsca ruszył do ataku, ukazując im całą ohydę czynu, jakiego się dopuścili, i wygonił ich z podwórka. Przez chwilę wyglądał tak, że nie zdziwiłbym się, widząc za chwilę w jego ręku miecz ognisty. Winowajcy, spuściwszy nosy na kwintę, ale raczej na znak rezygnacji niż skruchy, z ponurymi minami odeszli w zapadający mrok.

Warto tu przez chwilę zatrzymać się, by spojrzeć na Amerykanów jako zdobywców przez pryzmat kompanii E. Brali, co chcieli, ale żaden nie posuwał się do gwałtu, rabunku, nie szli przez Niemcy, znacząc swą drogę ogniem i mieczem. Nie okazywali zbyt wiele szacunku dla prawa własności, wyznaczając kwatery po domach bez żadnego odszkodowania, ale kiedy się wynosili, powracający Niemcy znajdowali swoje domy w stanie prawie nietkniętym. Oczywiście, zdarzyło się kilka zgwałceń, czasem jakiegoś Niemca potraktowano pięścią czy kolbą karabinu, czasem ogołocoło jakiś dom do szczętu, ale w porównaniu do innych zwycięskich armii wkraczających na podbite terytoria, Amerykanie zachowywali się po prostu inaczej. Podbijani przez nich Niemcy na pewno wychodzili na tym lepiej niż ci, którzy trafili pod okupację radziecką, niż okupowani przez tych samych Niemców Polacy, czy Chińczycy podbijani przez Japończyków.

Webster opowiada historię, która dobrze ilustruje tę różnicę.

Wybraliśmy się z Reese'em po jajka do oddalonej o półtora kilometra wsi, w której nie było Amerykanów. To znaczy, ja się wybrałem po jajka, a Reese poszukiwał raczej okazji do podbojów wśród kobiet. Podobnie jak wcześniej McCreary'ego, Reese'a też mało obchodziły kury dziobiące na podwórkach, za to oglądał się za każdą napotkaną spódniczką, niezależnie od wieku i urody jej właścicielki. Ile razy zobaczył jakiegoś babiszona, łapał mnie za rękaw i w podnieceniu mamrotał: - Ty, patrz, jaka laska! Kurde, jaka w dechę! Ty, Web, weź coś do niej zagadaj, no, bądź przyjacielem!

Jako że byłem nieśmiały i sobie bym nic nie potrafił przygruchać, a co dopiero „na wynos”, ignorowałem te jego prośby, tym bardziej że kobiety, o których mówił, wydawały się równie namiętne, co świeżo obłupana góra lodowa. Poza tym żadna szanująca się Frau nie nawiązywałaby - nomen omen - stosunków w miejscu publicznym, na oczach sąsiadek. Może w domu i w nocy coś by wskórał, ale nie tu i teraz. W końcu trafiliśmy do gospodarstwa, gdzie na nasze powitanie wyszła młoda, dorodna, piersiasta dziewczyna. Reese zamienił się w jeden wielki serdeczny, radosny uśmiech. Kupiłem trochę jajek, a Reese nie mógł się doczekać, aż skończę, żeby rozwinąć swoją ofensywę. Cały czas do niej puszczał oko, wdzięczył się i przestępował z nogi na nogę. Poczęstował ją papierosem, dał czekoladę i kiedy tak miłość

zdawała się kwitnąć w cieniu racji D [nowo wprowadzone wojskowe racje żywnościowe] i paczki papierosów chelsea, dyskretnie podalem tyły. Czekaając, zażywałem kąpieli słonecznej. Reese wyszedł niedługo potem i z tego, co powiedział, nie miał raczej czego świętować. Mimo to, jak mówił, to był obiecujący teren do fraternizacji. Potem próbował biedak jeszcze raz wieczorem, zanim nadeszła osiemnasta, a wraz z nią godzina policyjna. I znów wrócił z pustymi rękami.

Gyby Reese był żołnierzem niemieckim, japońskim czy radzieckim, ta opowieść wyglądałaby zupełnie inaczej.

* * *

Ciężarówka zawiozła kompanię E z Mourmelon na obrzeża kotła. 101 DPD zajęła stanowiska na zachodnim brzegu Renu, na wysokości Diisseldorfu. Sektor 2 batalionu ciągnął się od Sturzelburga na północy po Worringen na południu, na styku ze stacjonującą na prawym skrzydle 82 DPD. Zajmowała ona stanowiska na wysokości Kolonii.

Warunki służby odpowiadały bardziej obowiązkom armii okupacyjnej niż walki na froncie. Plutony utrzymywały wysunięte posterunki na brzegu rzeki, stacjonując po wioskach w głębi swego odcinka frontu. Czasami niepokoiła ich artyleria, ale nie za bardzo. Ognia z broni strzeleckiej nie prowadzono prawie wcale.

Żołnierze co noc pełnili służbę na posterunkach wartowniczych. Tu szeregowy O'Keefe przeszedł swój „chrzest bojowy”. Pewnej nocy wraz z innym świeżym nabytkiem kompanii z Mourmelon, szeregowym Henry Lagerem, pełnił służbę przy wale przeciwpowodziowym, którego koroną biegła droga. Na ich posterunek składał się okop obok wału i niewiele więcej.

W pewnej chwili usłyszeli warkot silnika i jakieś dziwne dźwięki, rytmiczne uderzenia metalu o metal. Nigdy wcześniej nie słyszeli czegoś takiego i nie mieli pojęcia, co też to może być.

- Zostań tu, ale zrób mi miejsce na wypadek, gdybym musiał spieprzać - szepnąłem do Lagera. - Idę na górę, zobaczyć, co to takiego.

Wylazłem na wał, a tam ciemno choć oko wykol. Nic nie widzę, a ten dźwięk jest coraz bliżej, coraz bliżej, aż w końcu słyszę go tuż koło siebie - ale dalej nic nie widzę! I w tej chwili z mgły wyłania się przód małego czołgu. O jasna cholera, co teraz? Na wszelki wypadek robię krok do tyłu, żeby łatwiej zanurkować pod wał, do naszego okopu, ale trzymam się roli:

- Stać! Kto idzie? - jeszcze krok do tyłu.

Czołg stanął i z wnętrza rozległ się głos z brytyjskim akcentem:

- To tylko my, dwaj Angole. Zgubiliśmy się.

Krok do przodu.

- No dobra, jeden wyjść, zbliżyć się do rozpoznania.

Z czołgu wygramolił się brytyjski sierżant.

- Boże, jak się cieszę, że cię widzę, jankesie! Wjechaliśmy o północy na ten cholerny wał i nie mieliśmy pojęcia, czy jedziemy w dobrą stronę, a zjechać nie było dokąd.

- Co tak strasznie hałasuje?

- A, to? E, nic takiego. To tylko jedna z naszych gąsienic. Pękła. Możemy jechać najwyżej trzy kilometry na godzinę. Gąsienica na razie działa, ale za każdym obiegiem tłucze w kadłub”.

O’Keefe zasugerował, żeby lepiej jeden z nich wylazł i siedł przed czołgiem, bo na następnym punkcie kontrolnym ktoś może z nerwów do nich wygarnąć. Sierżant podziękował za radę i powiedział, że tak właśnie zrobią, po czym czołg odjechał, wciąż hałasując uszkodzoną gąsienicą.

O’Keefe wrócił do okopu, z zadowoleniem konstatując, że Lager cały czas krył go z boku, celując ze swego MI. Ten mały incydent dał obu wartownikom wiarę we własne siły i zaufanie do siebie nawzajem. Uznali, że nieźle im to wyszło.

Innej nocy, w innym miejscu nad rzeką, O’Keefe pełnił służbę z szeregowym Jamesem Wellingiem z Wirginii Zachodniej. Welling uchodził za starca, miał trzydzieści lat i był najstarszym żołnierzem kompanii.

Tej nocy pełnił wartę z najmłodszym, od paru ledwie tygodni osiemnastoletnim O’Keefe’em. Do kompanii obaj trafili w tym samym czasie, ale Welling był już wcześniej żołnierzem i miał spore doświadczenie bojowe z piechoty. Ranny w Ardenach, w szpitalu zgłosił się na ochotnika do wojsk powietrznodesantowych, zaliczył wszystkie pięć skoków kwalifikacyjnych do odznaki spadochronowej jednego dnia i teraz został żołnierzem 101 DPD.

Na posterunku wartowniczym stali w sięgającym do pasa okopie, kiedy na drodze pojawiła się dziesięcotonowa ciężarówka.

- Stój! - zawołał O’Keefe i powtórzył trzy razy, ale wszystko na próżno.

Tuż koło nich przemknął, zderzak w zderzak, konwój dziewięciu takich ciężarówek. Nikt nie słyszał wartownika w ryku silników.

- Co się robi, jak krzyczysz „Stać!” i wiesz, że tamten cię nie słyszy? - zapytał Wellinga.

- Niewiele możesz zrobić - rozłożył ręce Welling.

Pół godziny później konwój przewalił się z powrotem, ale tym razem liczył jedynie osiem pojazdów.

- Ty, Jim, co tam jest przy tej drodze?

- Nie wiem, nikt nic nie powiedział.

Kwadrans później pojawił się kapitan Speirs, „wściekły jak cholera” i z miejsca wydarł się na Wellinga:

- Dlaczego nie zatrzymaliście tych ciężarówek?! Tam dalej jest zwalony most i jedna z nich zawisła na krawędzi!

O’Keefe nasłuchiwał się różnych opowieści o Speirsie, więc spodziewał się najgorszego, ale ku jego zdumieniu Welling w odpowiedzi sam zaczął krzyczeć na kapitana:

- Jak, do naglej krwi, miałem zatrzymać dziewięć ciężarówek walących pełnym gazem? Rzucić się pod nie, czy co?! A poza tym ktoś mógłby nam powiedzieć, że tam jest zwalony most! Co my jesteśmy, wróżki, czy co, do cholery?!

Speirs musiał mu chyba przyznać rację, bo zmienił temat.

- A gdzie drugi wartownik?

O’Keefe wyszedł z cienia, z karabinem trzymany na wysokości bioder, cały czas skierowanym na rozmówcę Wellinga. Najbardziej opanowanym i pełnym zawołowanej groźby głosem, na jaki go było stać, spokojnie odparł:

- Tu, panie kapitanie.

Speirs zawiął się na pięcie i zniknął.

Następnego nocy na ich posterunku pojawił się jeep bez świateł. Welling wyszedł na drogę.

- Stać! Kto idzie?

W jeepie siedzieli kapitan Speirs, jeszcze jakiś kapitan i major z tyłu. Welling podał hasło. Speirs wypowiedział pod nosem odzew. Welling nie usłyszał go dokładnie i raz jeszcze powtórzył hasło. Speirs ponownie bąknął odzew i Welling znowu nie usłyszał. Pełen napięcia i trochę zdezorientowany O’Keefe odszedł krok do tyłu i wycelował karabin w majora z tyłu. Przy okazji przyjrzał mu się dokładniej i poznał Wintersa. Welling podał hasło po raz trzeci, tym razem popierając je szczękiem odbezpieczanego karabinu. Kapitan za kierownicą wreszcie zrozumiał, że wartownik nie dosłyszał odzewu i tym razem go niemal wykrzyczał. Welling i O’Keefe opuścili broń.

Kapitan Speirs wyskoczył z jeepa i zaczął rugać Wellinga, który i teraz nie dał sobie w kaszę dmuchać, tylko uciął kapitanowi w pół zdania:

- Kiedy wydaję komendę „Stać!”, oczekuję, że wezwany się zatrzyma. Kiedy podaję hasło, mam słyszeć odzew. To dotyczy wszystkich, panie kapitanie.

Speirs zaczął wymieniać, co zrobi z Wellingiem, gdy tylko ten skończy-war-tę, kiedy przerwał mu Winters:

- Kapitanie Speirs, jedźmy dalej.

A kiedy odjeżdżali, Winters zawołał do Wellinga:

- Tak trzymać, Welling!

Wybierali się też na patrole za Ren. Rzadko kiedy było to zajęcie niebezpieczne, poza samym momentem forsowania szerokiej na trzysta pięćdziesiąt metrów wezbranej po roztopach rzeki. Kiedy 8 kwietnia Winters dostał rozkaz wysłać patrol na drugą stronę Renu, postanowił nadzorować jego najniebezpieczniejszą fazę z punktu obserwacyjnego na brzegu, by się upewnić, że nikomu nic się nie stanie. Wyznaczył zadania, sprawdził współdziałanie z artylerią, która miała w razie potrzeby kryć ich odwrót, po czym śledził przez lornetkę postępy patrolu krok po kroku, aż znalazł się na wschodnim brzegu. Towarzyszący mu porucznik Welsh, nowy S-2 batalionu, był zdegustowany dyktowanymi przez majora warunkami bezpieczeństwa. Jak wspomina major:

„Przeprowadziliśmy wzorowy patrol bojowy i nie napotkaliśmy żadnego oporu. Wszyscy wrócili bezpiecznie”.

Większość patroli była tak bezbarwna jak ten. Ów stan do tego stopnia utrwalił się jako norma, że kiedy oficer z uzupełnień prowadzący jeden z następnych patroli usłyszał kilkaset metrów w głębi nieprzyjacielskiego terytorium strzał z karabinu, skierowany w ich stronę, zameldował przez radio, że napotkał silny opór i zarządził natychmiastowy odwrót. Relacjonujący to Malarkey wspomina dalej, że uczestnicy patrolu zareagowali na jego decyzję mieszaniną zadowolenia i pogardy.

Kilka dni później sielanka się skończyła. Patrolem dowodził major William Leach, świeżo awansowany i mianowany pułkowym S-2 przez pułkownika Sinka. W Mourmelon, kiedy ogłoszono jego awans i nowy przydział, nabijano się z niego niemiłosiernie. Koledzy oficerowie pytali „Kiedy wreszcie poprowadzisz patrol, Leach?”. Major nigdy w życiu nie dowodził w walce i w związku z tym nie miał żadnych odznaczeń, nad czym strasznie bolał. Winters charakteryzował go jako „dobrego sztabowca, który awansował dzięki ujmującej osobowości i umiejętnościom towarzyskim”. Leach był zawodowcem i do zrobienia kariery w wojsku potrzebował odznaczeń bojowych.

W nocy 12 kwietnia Leach poprowadził czteroosobowy patrol z sekcji S-2 sztabu pułku. Popęłnił jeden, za to fatalny błąd: nikogo nie powiadomił o tym, że idzie za rzekę.

Posterunek wartowniczy z kompanii E usłyszał plusk wiosła na rzece, kiedy wracali na amerykańską stronę. Ponieważ nikt ich nie uprzedzał o patrolu Leacha, uznali, że mają przed sobą niemiecki patrol i ostrzelali nadpływającą łódź. Do ich ognia szybko dołączyły karabiny maszynowe. Serie pocisków rozdarły burty i trafiły wszystkich pasażerów, w tym majora. Ignorując krzyki rannych, w świetle rakiet oświetlających prowadzono ogień tak długo, aż ostatnie resztki łodzi i ciała znikły, zniesione prądem. Kilka dni później znaleziono je, wyrzucone na brzeg przez wodę kilkaset metrów dalej w dół rzeki. W ocenie kompanii E Leach i jego czterej żołnierze „zginęli w najgłupszy, najbardziej niepotrzebny i nie do usprawiedliwienia sposób na skutek oczywistego i niewybaczalnego błędu dowódcy patrolu”.

Tego samego dnia nadeszła wiadomość o śmierci prezydenta Roosevelta. Winters zapisał w dzienniku:

Dobra wiadomość: sierżant Malley [z kompanii F] został szefem kompanii i awansował. Zła wiadomość: zmarł prezydent Roosevelt.

Webster pisał do rodziców:

Roosevelt w Białym Domu był dla mnie czymś oczywistym i stałym, jak wiosna w maju czy lilie na Wielkanoc. Teraz, kiedy odszedł, czuję się trochę zagubiony.

Eisenhower zalecił, by wszyscy dowódcy zarządzili 14 kwietnia krótkie nabożeństwa żałobne za duszę prezydenta. Kompania E odprawiała te msze plutonami.

Porucznik Foley, który, jak sam często mówił, „nigdy nie był zakochany w Roosevelcie”, zebrał swój pluton. Żeby oszczędzić na czasie, nie wołali kapelana. Foley miał w chlebaka *Ewangelię według świętego Józefa*, więc wyszukał w niej odpowiedni fragment. Odczytał go potem żołnierzom i po latach podawał się za „jedynego, który pochował Franklina D. po katolicku”.

Ogólnie rzecz biorąc, kompania nudziła się setnie, pilnując obrzeży kotła. Webster pisze:

Czas ciągnął się tak niemrawo, że przełożeni z nudów zaczęli codziennie sprawdzać nasze karabiny. Poza ich czyszczeniem, służbami na skrzyżowaniach dróg w nocy i słuchaniem wykładów porucznika Foleya o bieżącej sytuacji na frontach właściwie nie było nic do roboty.

Rozpierająca ich energia przy małym na nią zapotrzebowaniu rozbudziła na nowo rywalizację sportową. Wykombinowali skądś rakiety i zaczęli grać w tenisa na korce urządzonej na podwórku, a na okolicznych polach powstało kilka boisk do softballa.

Webster nie był sportowcem, ale też się nudził i któregoś razu z szeregowym Johnem Janovkiem wdrapali się na siedemdziesięciopięciometrowej wysokości fabryczny komin, żeby rozejrzeć się po okolicy. Według Webstera:

Ruhra była zupełnie pozbawiona życia, choć gdzie spojrzeć, widać było fabryki, huty, stalownie, cukrownie, walcownie blach i mnóstwo innych zakładów przemysłowych. To wyglądało jak Chicago, Pittsburgh i St. Louis razem wzięte.

Osiemnastego kwietnia ustał zorganizowany niemiecki opór w Zagłębiu Ruhry. Do niewoli poddało się ponad trzysta dwadzieścia pięć tysięcy Niemców.

Po zajęciu Zagłębia kompanii E przypadło w udziale pilnowanie obozu Dipisów⁵² w Dormagen.

Przebywali tam Polacy, Czesi, Belgowie, Holendrzy, Francuzi, Rosjanie i przedstawiciele niemal wszystkich innych narodów, które w czasie wojny znalazły się pod niemiecką okupacją. Dziesiątki tysięcy przymusowych robotników mieszkało w barakach, podzieleni według płci, stłoczeni, w większości na krawędzi głodu, we wszystkich grupach wiekowych. Po wyzwoleniu mieli w planie przede wszystkim nadrobić to, co stracili - w wypoczynku i zabawie, których tak bardzo im brakowało w ostatnich latach. Webster pisze:

Z zadowoleniem oddawali się nic nierobieniu. Pod niemieckim nadzorem ciężko pracowali i mało jedli. Teraz głównie odpoczywali.

Ich szczęście, śpiewy i gotowość okazywania swej wdzięczności na wszelkie możliwe sposoby zjednały im sympatię spadochroniarzy. Przekleństwo każdej armii, służba kuchenna, należało do przeszłości. Od tej pory żaden żołnierz kompanii E nie zhańbił się osobistym obraniem choćby jednego ziemniaka, zmywaniem, sprzątaniami kwater czy rejonów. Zawsze znalazł się dipis, który chętnie w tym wyręczył, zwłaszcza że Amerykanie nigdy nie byli sknerami przy zapłacie za jakiegokolwiek usługi.

Wielu żołnierzy znalazło sobie „ordynansów” wśród młodych dipisów. Sierżant Luz na dobrą sprawę adoptował Maćka, chuderlawego malca z Polski w o wiele za dużych znoszonych buciorach. Mały sierota (rodzice zmarli w obozie pracy), wiecznie pełen energii wiercipięta o wielkich, czarnych oczach, zupełnie zawojował srogiego wiarusa. Sierżant podarował mu mundurek i zabrał ze sobą w podróż po Niemczech, którą odbywała kompania na swym szlaku bojowym, po drodze ucząc angielskiego ze szczególnym uwzględnieniem „krótkich, żołnierskich słów”, których raczej nie używa się w towarzystwie. Jak notuje kronika dywizji:

⁵² Dipisi - DPs, Displaced Persons - (ang.) osoby przemieszczone. Tym mianem określano byłych robotników przymusowych przebywających w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec [przyp. tłum.].

Pomimo srogich zakazów zabierania ze sobą dipisów, po jakimś czasie dywizja liczyła sporo nadliczbowego personelu posługującego się wyjątkowo łamaną angielszczyzną, ściśle unikającego stawania w szyku na apelach; jego głównym zajęciem była służba w kuchni i sprzątanie rejonów.⁵³

Wkrótce kompania miała wyruszyć na wycieczkę po Niemczech w warunkach przewyższających wszelkie luksusy, których dotąd zaznali. Co noc kwaterowali w wygodnych domach, wożono ich po autostradach, których byli jedynymi użytkownikami. Jadąc powoli i wygodnie na dużych, miękkich oponach, rozkoszowali się wspaniałymi krajobrazami i zapierającymi dech w piersiach widokami: z jednej strony majestatyczne Alpy, z drugiej świadectwo rozpadu najgroźniejszej armii świata, szeregi jeńców prowadzone tymi samymi autostradami. I jakby jeszcze tego było mało, tłum osobistych służących, zaspokajających na skinienie wszelkie potrzeby.

Z jednym znaczącym wyjątkiem. Nie mieliby nic przeciwko temu, żeby część tych służących była płci przeciwnej, ale z młodymi dipiskami szło im tak samo po grudzie jak z młodymi Niemkami. Oczekiwali, że karton racji D i papierosy otworzą im drogę do każdego niewieściego serca i srodze się zawiedli.

Zwłaszcza żołnierze polskiego i czeskiego pochodzenia wiele sobie obiecywali po kontakcie z młodymi rodaczkami. Spędzali z nimi niemal cały wolny czas i mocno wyteżali dość już ograniczone umiejętności językowe, szukając szczęścia u piersiastych gospodarskich córek z kraju ojców. Wbrew jednak ich oczekiwaniom, dziewczyny pozostały wierne katolickiemu wychowaniu i środkowoeuropejskiej tradycji, oszczędzając swoje skarby na po ślubie.

Pobył w obozie dipisów umocnił Webstera w niechęci do Niemców.

Co ci ludzie tu robili? Dlaczego się tu znaleźli? Przecież nic nie zrobili, nie zajmowali się polityką, nie popełnili żadnych przestępstw, nie mieli nic. Nic, poza fizyczną siłą do pracy. I właśnie dlatego tu trafili - bo Niemcy potrzebowali ich niewolniczej pracy. [...] Tacy byli Niemcy, to było dla nich typowe. Zabrali tych ludzi siłą z domów i skazali na dożywotnie roboty w fabrykach Trzeciej Rzeszy. Dzieci i starców, niewinnych ludzi skazano na poniewierkę w barakach za kolczastymi drutami, zmuszając do dwunastogodzinnej pracy dla pracodawcy, który nie miał dla nich litości ni zrozumienia, karmił zupą z buraków, stęchłymi kartoflami i czarnym chlebem. To była Trzecia Rzesza, to był ten ich Nowy Porządek: haruj,

⁵³ Rapport i Northwood, op. cit., s. 715.

póki nie zdechniesz. Z zimną krwią zamienili w niewolników ludność całej Europy. [...] Winni tego są wszyscy Niemcy razem wzięci i każdy z osobna.

Ich służba wartownicza w obozie dipisów potrwała zaledwie kilka dni. Po powrocie nad Ren Winters przywrócił program dnia z okresu szkolenia, z apelami, inspekcją pomieszczeń, gimnastyką, ćwiczeniami w walce wręcz, taktyką pododdziałów, terenoznawstwem i całą resztą. Dzień kończył się capstrzykiem. Porządek dnia przypominał bardziej szkolenie podstawowe niż służbę frontową i był komentowany w bardzo ostrych słowach.

Jak zawsze poza frontem, różnice pomiędzy oficerami i szeregowymi bardzo się zwiększyły. Zwłaszcza porucznik Ralph D. Richey, ambitny zawodowiec z ostatnich uzupełnień, który trafił na stanowisko oficera personalnego (S-1) batalionu, grał starym weteranom na nerwach. Pewnego dnia ustawił kompanię do przeglądu. Stara Niemka przejeżdżała tamtędy na rowerze i nie mając żadnych złych intencji, przejechała przed frontem dwuszeregu. Richey podbiegł do niej i uderzył w twarz tak mocno, że spadła z roweru. Kiedy płacząc, zbierała się z ziemi i podnosiła rower, nawrzeszczał na nią i kazał się natychmiast wynosić, bo ją zastrzeli. Starzy frontowcy patrzyli na ten pokaz niewczesnej bojowości tyłowego dekonnika wyraźnie zde gustowani.

Następnego dnia pod komendą tegoż porucznika Richeya kompania E odbywała ośmiokilometrowy marszobieg w pełnym oporządzeniu. Nie pierwszy i nie ostatni w ich życiu taki marszobieg, więc żołnierze pozawijali rękawy i pozawieszali broń w jak najwygodniejszy sposób. Richey wpadł w furję. Zatrzymał kompanię, podparł się pod boki, stanął przed frontem i zaczął tyradę, godną kapitana Sobela:

- W życiu nie widziałem takich łajz! Wojsko świętej Jadwigi! Stu dwudziestu chłopów i sto dwadzieścia sposobów noszenia karabinu! I wam się, łachmaniarze, zdaje, że wy jesteście wojskiem?!

Ten incydent rozwścieczył Webstera, który na stronach dziennika dał upust swojej złości:

Ten sukinsyn sprawił, że zaczynam się wstydzić munduru, który noszę. Naskakiwać na nas za to, że chcemy sobie ulżyć w czasie marszobiegu? Co on sobie myśli? Wiadomo co: To jest armia. Oficerowie są dżentelmenami, panami życia i śmierci. Robią, co chcą. Żadnego pyskowania! Jesteś szeregowym śmieciem, ja tu jestem od myślenia. Gdybyś się do czegokolwiek nadawał, byłbyś jak ja oficerem. A tak, jesteś mierzwą. Masz, ponieś mój śpiwór. Pozamiataj na mojej kwaterze. Wyczyść mi broń. Tak jest, sir. Dlaczego nie salutujecie, szeregowy? A, nie zauważyliście? No to wracajcie pięć kroków do tyłu i tym

razem zasalutujcie jak trzeba! Pieprzeni królowie! Same przywileje, żadnej odpowiedzialności.

Nie wszyscy oficerowie byli tacy jak Richey. Kapitan Speirs, cokolwiek by mówić o jego humorach i reputacji, dbał o swoich ludzi. Wyczuwając ich znudzenie, zorganizował wycieczkę do Kolonii. Chciał im pokazać miasto i skutki dywanowych bombardowań. Nie mógł wybrać lepiej - po Berlinie i Hamburgu właśnie Kolonia była najciężej bombardowanym miastem Niemiec.

Dwie rzeczy zrobiły wrażenie na uczestnikach wycieczki. Po pierwsze, rozmiary zniszczeń. Nie było całego okna, każdy kościół był trafiony przynajmniej jedną bombą, wszystkie przecznice przy głównych ulicach zawałone gruzem do wysokości pierwszego piętra. Monumentalna katedra w centrum miasta, choć uszkodzona, przetrwała. Olbrzymi konny posąg Bismarcka stał nadal, ale jego skierowany na Francję miecz został odcięty odłamkiem.

Grupka spadochroniarzy zawędrowała nad Ren, gdzie oglądali panoramę miasta. Pokazywali palcami groteskowo poskręcane ruiny wiszącego mostu, jednego z symboli miasta, na równi z katedrą. Para starszych Niemców, którzy stali obok, słysząc śmiechy młodych zdobywców, gorzko zapłakała, kręcąc z goryczą głowami. Ich piękne miasto zostało zrujnowane, wszystkie wspaniałe mosty leżały zwałone w wodzie, a ci młodzi barbarzyńcy naśmiewali się z tego.

Po drugie, wrażenie zrobili na nich ludzie. Porucznik Foley z niechętnym podziwem zanotował:

Mieszkańcy z własnej inicjatywy przystąpili do uprzątnięcia gruzów i odbudowy miasta. Wzdłuż głównych ulic leżą wszędzie równe stosy wybranych z gruzów cegieł, kostki brukowej, dachówek. We wszystkich domach wrze praca. Są wciąż zburzone, ale uprzątnięte i najwyraźniej gotowe do rozpoczęcia odbudowy w każdej chwili. Zdziwiająca.

Dziewiętnasty kwietnia był wielkim dniem dla kompanii. Dywizyjny kwatermistrz przysłał trzydzieści dwie pary skarpet na pluton, czyli mniej więcej po jednej dla każdego, oraz po trzy butelki coca-coli (z surowym nakazem rozliczenia się z butelek) i dwie amerykańskiego piwa na głowę. Wyplacono pobory za luty i marzec w okupacyjnych markach. To były pierwsze marki, jakie dostali. Wraz z nimi przyszedł rozkaz wymiany wszystkich posiadanych przez żołnierzy dolarów, franków francuskich i belgijskich, funtów szterlingów i guldenów na okupacyjne marki.

Dwudziestego drugiego kwietnia zapakowali się do niemieckiej wersji wagonów „40 lub 8”. Spryskano je przedtem DDT i wypełniono słomą. Każdy żołnierz dostał po pięć racji K jako suchy prowiant na drogę, co zapowiadało długą drogę.

Jechali do Bawarii, w Alpy. Generał Bradley przeniósł 101DPD do 7 Armii. Jej celami natarcia były Monachium, Innsbruck i przełęcz Brenner. Miała dotrzeć do Alp, wyprzedzając Niemców, by uniemożliwić im stworzenie Reduty Alpejskiej, o której bez przerwy mówił Hitler. Dowodzona z jego górskiej kwatery w Obersalzbergu, miała być ostatnim punktem oporu i zarzewiem wojny partyzanckiej przeciw okupantom. Eisenhower obawiał się, że Hitler może zdołać się wydostać z Berlina do Obersalzbergu, skąd dobrze chroniony i dysponujący łącznością mógł kierować oporem Niemców i podżegać do wojny partyzanckiej.

Okazało się, że w rzeczywistości Niemcy nie mieli ani poważnych planów, ani wystarczających zapasów, by myśleć o stworzeniu Reduty, która była jedynie figurą propagandową. Większość dowódców alianckich od początku to podejrzewała, ale po tym, jak cztery miesiące temu w Ardenach zawiodło ich przekonanie, że Niemcy są już kaputt, woleli tym razem dmuchać na zimne. Istniały więc obawy, ale w rzeczywistości po swoim wypadzie do Berchtesgaden kompania E znalazła się ponad sto pięćdziesiąt kilometrów za linią frontu, na głębokich tyłach, nie zagrożona nawet przez minutę. Podróż przez Niemcy była raczej wspaniałą wycieczką krajoznawczą niż manewrem bojowym.

Wycieczka rozpoczęła się dwustukilometrową podróżą kolejową przez cztery kraje. Zniszczenia poczynione w niemieckiej sieci kolejowej przez alianckie ataki powietrzne były tak wielkie, że aby dostać się z Zagłębia Ruhry do południowych Niemiec, trzeba było pociąg skierować przez Holandię, Belgię, Luksemburg i Francję. Żołnierze siadali, majtając nogami w otwartych drzwiach wagonów, opalali się na ich dachach, spali, grali w karty, śpiewali. Popeye Wynn wykazał się wytrwałością w tym śpiewaniu, intonując w kółko kolejne zwrotki popularnej na europejskim teatrze działań wojennych raczej dość sprośnej piosenki Roli Me Over in the Clover (Przeleć mnie w koniczynie), mutacji znanej pieśni I'm Working on the Railroad.

W pewnej chwili pociąg zbliżył się na czterdzieści kilometrów do Bastogne. W dywizyjnej kronice zanotowano:

Spotykane tu i ówdzie ślady zażartych walk toczonych trzy miesiące wcześniej zjeżyły włosy na głowie wielu weteranom walk w Ardenach. Jednocześnie zdumiewało ich piękno

*zielonych, łagodnie pofałdowanych łąk. W ich pamięci ta kraina była zimna, śnieżna, pełna przerażających ciemnych lasów.*⁵⁴

Wrócili do Niemiec, docierając pociągiem tylko do Ludwigshafen, na brzegu Renu. Tam przesiedli się z pociągu na amfibie DUKW. Te DUKW, na które się zapakowali, przybyły do Francji wraz z wojskami lądującymi na Riwierze Francuskiej w sierpniu 1944 roku. Kompania E widziała je na własne oczy po raz pierwszy. DUKW to pojazd wyjątkowy pod każdym względem, ale ponieważ jako amfibia był hybrydą, ani Departament Wojny, ani Marynarka Wojenna nie popierały ich produkcji i z taśm produkcyjnych zjechało zaledwie dwadzieścia jeden tysięcy tych wspaniałych maszyn.

Żołnierze kompanii E jak wszyscy, którzy mieli z amfibiami kiedykolwiek do czynienia, zakochali się w nich od pierwszego wejrzenia i woleliby, żeby ich było dwieście tysięcy, a i na dwa miliony sto tysięcy nie powiedzieliby zapewne złego słowa. DUKW mógł przewozić dwudziestu żołnierzy wraz z ich wyposażeniem we względnym komforcie, z prędkością do 5 węzłów na wodzie i do 80 km/h na lądzie. Z racji wyposażenia w duże, szerokie opony, jazda wydawała się czystą przyjemnością w porównaniu z trzęsącą i szarpiącą dwuipółtonówką, której był przecież bliskim krewniakiem, nie wspominając już o pozbawionym na dobrą sprawę resorów jeepie. Webster wspomina, że na drodze „DUKW łagodnie kołysze w górę i w dół jak łódź na lekkiej fali”.

Nie mieli okazji wypróbować amfibijnych zdolności DUKW, jako że Ren przebyli po moście pontonowym, nazwanym imieniem Erniego Pyle'a, ukochanego przez żołnierzy Armii Stanów Zjednoczonych korespondenta wojennego, który był z nimi od lądowania w Afryce, przez Włochy i Normandię, po Ardeny, a zginął na Pacyfiku 18 kwietnia 1945 roku, w dniu oddania mostu do użytku. Przejechawszy most, skierowali się do Monachium. Po drodze jechali przez Heidelberg, który zachwyił Webstera:

Kiedy zobaczyłem nienaruszone budynki - wyobraźcie sobie: całe miasto nienaruszonych budynków! - i piękną promenadę nad rzeką, po której przechadzali się w słońcu cywile, byłem gotów pozostać w Heidelbergu na zawsze. Zielone wzgórza, ciepłe słońce, chłodna, zachęcająco wyglądająca rzeka, łagodna atmosfera uniwersyteckiego miasta - Heidelberg oznaczał raj na ziemi w każdym języku świata!

[...] Odtąd konwój zaczął szeroki objazd na południe, omijając góry głównymi i pobocznymi drogami. Z zachwytem patrzyliśmy na zapierające dech w piersiach piękno

⁵⁴ Rapport i Northwood, op. cit, s. 723.

Niemiec. Teraz rozumieliśmy, co miał na myśli piszący w "New Yorker", że szkoda takiego pięknego kraju dla Niemców.

Po południu Speirs wysłał sierżantów Carsona i Malarkeya przodem, żeby wyszukali dla kompanii kwatery na noc w kolejnej wskazanej na mapie wsi. Najlepszy dom z najlepszą sypialnią mieli zarezerwować dla kapitana.

Carson uczył się w szkole niemieckiego i pamiętał piąte przez dziesiąte. To on miał więc wybierać domy, walić w drzwi i oznajmiać mieszkańcom, że mają pięć minut na ich opuszczenie i nie wolno im zabierać pościeli.

- Daj im więcej jak pięć minut - pouczał Speirs - to wyniosą cały dom.

„Rzut wysunięty” kompanii E docierał do wsi i wyszukiwał duży, dwupiętrowy dom nadający się na kwatery dla kompanii, mogący pomieścić wszystkich żołnierzy razem. Carson podchodził kolejno do drzwi mieszkań, łomotał w nie i gromkim głosem obwieszczał:

- *Raus in fünf Minuten!* (Wynosić się w pięć minut!)

Oczyszczanie budynku szło sprawnie, Niemcy wynosili rzeczy, Niemki płakały i lamentowały, przerażone nagłym najściem. „Pewnego razu podszedłem do następnych drzwi i walę w nie. Otwiera starsza pani. Spojrzałem na nią, ona spojrzała na mnie. Boże, jakbym zobaczył własną babcię. Zrobiło mi się głupio.

- *Bleiben Sie hier* (Proszę zostać).

Malarkey opowiada, co się działo dalej: „A potem przyjeżdżała reszta i Speirs zniknął na dwie czy trzy godziny. To był największy łupieżca, jakiego znałem. Facet po prostu nie mógł zasnąć spokojnie, póki nie sprawdził, że w całym domu nie uchował się jakiś pierścionek czy naszyjnik”.

Wszystkie łupy wysyłał pocztą do Londynu, do swojej żony. Potrzebowali każdej sumy pieniędzy, jaką tylko mogli zdobyć - właśnie urodziło im się dziecko.

Wszyscy żołnierze kompanii, jak i wszyscy amerykańscy żołnierze na europejskim teatrze działań wojennych, parali się szabrem. To było ściśle związane z samą wojną. Tysiące ludzi, którzy przez całe życie nie połasczyli się na cudzą własność, bardzo szybko się uczyło, że mogą mieć wszystko, po co tylko wyciągną rękę. Rabunek był łatwy, dochodowy, stanowił rozrywkę i całkowicie mieścił się w obyczajach każdej zwycięskiej armii od niepamiętnych czasów.

Najbardziej poszukiwane były pistolety Parabellum, odznaki nazistowskie, zegarki, biżuteria, pierwsze wydania Mein Kampf i drogie alkohole. Wszystko, co miał przy sobie jakikolwiek niemiecki żołnierz, było do wzięcia od ręki. Na rabowanie cywilów marszczono brew, ale w końcu przymykano oko. Na pieniądze mało kto się łasczył. Plutonowy Edward

Heffron i sanitariusz Ralph Spina wpadli kiedyś do domu, w którym zaskoczyli i wzięli do niewoli sześciu niemieckich żołnierzy. Heffron i Spina natychmiast ich zrewidowali, konfiskując zegarki, doskonałą lornetkę i podobne rzeczy. W pewnej chwili zauważyli na półce stalową kasetkę. Spina rozbił ją - wewnątrz znajdowały się marki, wypłata żołdu dla wojska. Zabrali je. Jak stwierdził sam Spina, „dwóch chłopaków z południowej Filadelfii zrobiło skok na kasę przed wypłatą”.

Po powrocie na kwaterę nad butelką koniaku zastanawiali się, co też oni zrobią z tymi pieniędzmi. Rano, jeszcze zanim wytrzeźwieli, poszli na mszę do katolickiego kościoła i budząc entuzjazm swoją szczodrobliwością, dali łup na tacę. „No, ma się rozumieć, z wyjątkiem zwitku banknotów o największych nominałach, który zachowaliśmy dla siebie. Aż tak pijani, żeby o sobie zapomnieć, to nie byliśmy!”.

Brali pojazdy wszelkich typów, cywilne i wojskowe. Szeregowy Norman Neitzke, który dołączył do kompanii w Haguenau, wspomina, jak to kiedyś buchnęli niemiecką sanitarkę i dopiero po jakimś czasie zauważyli, że z tyłu jedzie z nimi rodząca Niemka i lekarz odbierający poród. Zatrzymali samochód i wynieśli się zawstydzeni.

Pewnego ranka porucznik Richey jakiejś Niemce fotografującej ich konwój wyrwał aparat, ale zamiast go sobie zachować, rzucił nim o asfalt, a potem jeszcze wyjął pistolet i dla pewności do niego strzelił. Tyle mu przyszło z tego bohaterskiego wyczynu, że u żołnierzy dorobił się natychmiast przydomku „Kamerobójcy”.

Im dalej na południe docierał ich konwój, tym częściej nawiązywali kontakt z nieprzyjacielem. Kontakt, a nie walkę. Niemieccy żołnierze pojawiali się pojedynczo i w małych grupach, ostrożnie próbując się poddać. Potem zaczęły się pojawiać nieco większe grupki, potem jeszcze większe i w końcu pchało się do nich kapitulować więcej szarozielonych mundurów, niż podejrzewali, że jeszcze istnieje.

Kompania E znalazła się w samym środku rozkładu niemieckiej armii. System zaopatrzenia leżał w gruzach. Niemieccy żołnierze chcieli już tylko dożyć spokojnej niewoli. Webster nie mógł się nadziwić zmianie:

Nie mogę się przyzwyczaić do widoku Niemców, których jeszcze niedawno tak trudno było pokonać i wziąć żywcem, zbiegających się zewsząd i wręcz natarczywie się dopraszających, żeby ich brać do niewoli.

Kiedy konwój dotarł do autostrady wiodącej na wschód, do Monachium, ogłoszono, że obie jezdnie są zarezerwowane do użytku wojsk alianckich. Oddzielającym je pasem zieleni maszerował nieprzerwany strumień żołnierzy niemieckich podążających na zachód, do niewoli. Gordon Carson do dziś zachował w pamięci obraz tej drogi: „Na pasie pomiędzy

jezdniami jak okiem sięgnąć ciągnęły tysiące niemieckich żołnierzy w pełnym oporządzeniu i z bronią. Wszyscy chcieli nam się poddawać, a my nawet się nie zatrzymaliśmy, tylko machaliśmy ręką za siebie. Tam się poddawajcie, łajzy!”.

Webster uznawał widok Niemców na środkowym pasie autostrady za jedyny w swoim rodzaju spektakl.

Szli i szli, wielkimi grupami, zobojętniali, bierni. W pewnej chwili ujrzelśmy coś niewiarygodnego: dwóch naszych eskortujących ze dwa i pół tysiąca Niemców!

W tym momencie żołnierze kompanii przekonali się, że upadek Niemiec jest całkowity, kompletny i nieodwołalny. Wiosną obrona się nie pozbiera jak poprzedniej jesieni, nie będzie następnego Cudu na Zachodzie, jak niemiecka propaganda nazwała kontrofensywę ardeńską.

Napotykali odosobnione, sporadyczne przejawy oporu. Przed nadejściem aliantów systematycznie wysadzano w powietrze mosty. Czasem jakiś fanatyczny oddziałek SS ostrzeliwał ich z drugiego brzegu. Takie przypadki były jednak bardziej irytujące niż groźne. Kiedy dochodziło do czegoś takiego, konwój zatrzymywał się w bezpiecznym miejscu i ściągał przez radio ogień artyleryjski na rozpoznane stanowiska nieprzyjaciela, po czym czekał na saperów, żeby odbudowali stary most lub zbudowali obok nowy.

Wintersa uderzył fanatyzm Niemców, dyscyplina każąca niemieckim saperom wciąż wysadzać mosty, kiedy dla każdego idioty było już jasne, że to bez sensu.

Zdumiewała mnie absurdalność sytuacji. Oto mamy niemiecką armię, która się poddaje, i tę samą niemiecką armię, która równocześnie wysadza mosty na jej trasie, żeby zwolnić tempo kapitulacji.

Dwudziestego dziewiątego kwietnia kompania nocowała w Buchloe, u podnóża Alp, koło Landsbergu. Tam zobaczyli pierwszy obóz koncentracyjny. To był obóz pracy, jedna z wielu filii obozu w Dachau. Mały, nastawiony na produkcję dla frontu, a nie wielki obóz zagłady, ale to, co tam zobaczyli, wydawało im się potworne; nie byli w stanie zrozumieć ludzkiego zła, które doprowadziło do stworzenia czegoś tak przerażającego. Tysiące zagłodzonych, ledwie żywych ludzkich szkieletów w pasiakach, setki trupów, wyglądających niewiele gorzej od tych, którzy przeżyli.

Winters nakazał rozdać więźniom setki kręgów sera, które znaleźli w piwnicach budynku zajętego tej nocy na kwaterę, i zawiadomił przez radio o swoim przerażającym odkryciu sztab dywizji, prosząc o udzielenie szybkiej pomocy.

Kompania stacjonowała w Buchloe dwie noce. Była więc obecna, kiedy rano przed obozową bramą pojawiły się setki mieszkańców Landsbergu z motykami, kilofami, łopatami i

taczkami. Okazało się, że generał Taylor był tak wstrząśnięty tym, co zobaczył w obozie, że wprowadził w Landsbergu stan wyjątkowy i rozkazał całej ludności miasta w wieku od czternastu do osiemdziesięciu lat zameldować się rano do pracy w obozie, pogrzebać ciała ofiar i uprzątnąć miejsce. Wieczorem widzieli ich powrót do miasta. Wstrząśnięci do głębi ludzie o poszarzałych twarzach słaniali się na nogach, wciąż jeszcze wymiotując po drodze.

Winters napisał po latach:

Wspomnienie tych wychudzonych, zagłodzonych, oszołomionych ludzi, którzy, kiedy patrzyliśmy na nich przez druty, opuszczali oczy i głowy w taki sam sposób, w jaki często bity, źle traktowany pies kuli się na sam widok człowieka, pozostawiło u mnie i u innych uczucia, jakich nie sposób opisać i nie sposób usunąć z pamięci. Na widok tych ludzi za drutami powiedziałem sam do siebie: Teraz już wiem, po co to wszystko było. Wiem, po co tu jestem!

SZAMPAN ADOLFA

Berchtesgaden

1 - 8 maja 1945

W pierwszych dwóch dniach maja kompania wyruszyła z Monachium na południe, z wolna przebijając się przez masy idących w przeciwnym kierunku żołnierzy niemieckich. W pełni uzbrojonych Niemców z reguły było znacznie więcej niż Amerykanów. Winters wspomina:

Patrzyliśmy na siebie nawzajem z wielką ciekawością. Jestem pewien, że w obu armiach w tych dniach dominowała jedna wspólna myśl: Odwalcie się ode mnie! Chcę tylko, żeby się to wreszcie skończyło i żebym mógł wrócić cało do domu.

Trzeciego maja pułkownik Sink nakazał żołnierzom przygotować się do dalszej drogi. O 9.30 następnego dnia mieli wyruszyć do Berchtesgaden.

Berchtesgaden stało się magnesem ściągającym żołnierzy wszystkich armii walczących w południowych Niemczech, Austrii i północnych Włoszech. Bawarskie miasteczko leżące na południe od Salzburga było Walhallą nazistowskich bogów. Hitler miał tam na szczycie góry 1834 metry nad poziomem morza samotnię zwaną Adlerhorst, Orlim Gniazdem, wznoszącą się ponad jego kwaterą w Obersalzbergu. Wielkim kosztem i wysiłkiem doprowadzono drogę, którą samochody mogły dojechać i zaparkować zaledwie sto kilkadziesiąt metrów od samego domu. Z parkingu goście dochodzili wykutym w skale korytarzem do sztolni, w której kursowała winda dowożąca ich do samej willi. Ściany tej windy wykładane były mosiężnymi panelami.

To właśnie do Berchtesgaden Hitler przywoził kolejnych przywódców Europy pod koniec lat trzydziestych, by tu ich poniżyć i zmuszać do ustępstw. Berghof i Orle Gniazdo poznali: premier Francji Daladier, kanclerz Austrii Schuschnigg, prezydent Czechosłowacji Hacha, brytyjski premier Chamberlain i niechętnie patrzący na zabór Austrii włoski dyktator Mussolini. Wtedy wszyscy się bali Hitlera. Teraz był martwy i strach się rozwiął, co jeszcze zwiększyło zainteresowanie pokręconą osobowością i ulubioną kwaterą Fihrera, być może kryjącą klucz do poznania jego charakteru. Prócz Hitlera do Berchtesgaden ciągnęli inni bonzowie nazizmu, by być blisko wodza i nie dać się zepchnąć w niełaskę przez intrygi jego

otoczenia. Swoje domy pobudowali w pobliżu: Himmler, Góring, Goebbels, Bormann. Pilnujące ich oddziały SS miały tu wspaniałe osiedle mieszkaniowe.

Do Berchtesgaden ściągano większość łupów zdobytych w całej grabionej przez hitlerowców Europie. To miejsce nafaszerowane było złotem i walutami tuzina krajów, zabytkami i dziełami sztuki (sama tylko przewieziona tu z Karinhall kolekcja Góringa zawierała pięć płócien Rembrandta, obrazy van Gogha, Renoira i wielu innych mistrzów), drogimi alkoholami i wspaniałymi samochodami.

Tak więc Berchtesgaden było dla nich podwójnym magnesem: mistycznym ośrodkiem władzy maniaka, który chciał podbić świat, i najlepszym miejscem do szabrowania w całej Europie. Wszyscy chcieli się tu pożywić - nacierający wraz ze 101 Dywizją Powietrznodesantową Francuzi, Brytyjczycy prący z Włoch, niemieccy przywódcy chcący zabezpieczyć swoje skarby, i niemal każdy Amerykanin, który postawił nogę na kontynencie europejskim.

Pierwsi linię mety tego wyścigu mieli przekroczyć żołnierze kompanii E 2 batalionu 506 pułku piechoty spadochronowej ze 101 Dywizji Powietrznodesantowej.

Czwartego maja konwój dywizji ruszył autostradą z Monachium do Salzburga, poprzedzany przez pojazdy 2 batalionu. Amerykanie minęli Rosenheim i jezioro Chiem See. W Siegsdorfie skręcili w prawo na szosę wiodącą bezpośrednio do Berchtesgaden. Około czternastu kilometrów dalej natrafili na tylowe oddziały francuskiej 2 Dywizji Pancerniej generała Jacques'a Philippe'a Leclerca, tej samej, która pierwsza weszła wraz z Amerykanami do Paryża.

2 Dywizja Pancerna miała w tym czasie osłaniać natarcie 101 DPD na jej prawym skrzydle, ale Amerykanie nie mogli z nią nawiązać przez cały poprzedni tydzień żadnego kontaktu. Francuzi byli gdzieś jednego dnia, następnego już zupełnie gdzie indziej. Amerykanie sądzili, że dywizja zajmuje się głównie łupieniem Niemiec i dlatego nie ma czasu na współdziałanie z innymi wojskami. W tym przypuszczeniu utwierdzał ich podejrzenie intensywny ruch ciężarówek podążających do Francji, obładowanych tak, że aż pękały osie. Wyglądało więc na to, że dywizja Leclerca tym razem ostrzyła sobie zęby na Berchtesgaden odległe o zaledwie godzinę jazdy na południe. Na drodze stanął jednak Francuzom wysadzony most nad głębokim wąwozem. Ich ciężarówki zajęte były ważniejszymi zadaniami niż przewożeniem składanych mostów Bailey'a, toteż musieli się zatrzymać - tym bardziej że z południowego brzegu ostrzeliwała ich grupka fanatyków z SS.

Kompania E, a wkrótce reszta batalionu, wymieszała się z Francuzami, obserwując bezsensowne fajerwerki - z tej odległości ani karabiny maszynowe, ani moździerze

esesmanów nie były w stanie wyrządzić im większej krzywdy. Wszyscy czekali na saperów 101 DPD, żeby odbudowali choć prowizorycznie przeprawę. Winters poprosił Sinka, by mu pozwolił pchnąć jeden pluton dnem wąwozu i oskrzydlić esesmanów, zmuszając ich do wycofania i zaprzestania ostrzału. Sink odmówił.

- Nie, Winters. Nie chcę, żeby komukolwiek coś się stało.

To wydawało się rozsądne. Nie było sensu ryzykować życiem żołnierzy w ostatnich dniach wojny.

Z drugiej jednak strony Berchtesgaden znajdowało się w zasięgu ręki, po przeciwnej stronie wąwozu. Po chwili Sink zmienił zdanie:

- Winters, weź cały swój batalion, cofnijcie się na autostradę i sprawdźcie, czy uda się wam jakoś ich ominąć. Spróbuj dostać się do Berchtesgaden, za nim Francuzi też na to wpadną.

A gdyby się udało, Winters miał zająć dla sztabu pułku słynny hotel Berchtesgaden Hof.

Batalion cofnął się boczną drogą do autostrady, skręcił na wschód, dojeżdżając do Bad Reichenhall, gdzie kolejny wysadzony most zatrzymał ich na noc. Rankiem 5 maja, nie napotykając żadnego oporu, prowadzony przez kompanię E 2 batalion wjechał do Berchtesgaden i zajął miasteczko bez jednego wystrzału.

Krajobraz był jak z bajki. Na tle nakrytych czapami śniegu gór czerniały ciemne, gęste, wysokopienne lasy, z których wypływały lodowate, kryształowe potoki, a wokół bawarskie domy przypominające chatki z piernika i urodziwi mieszkańcy w kolorowych regionalnych strojach - ucztą dla oczu. Wszelkie wygody dla ciała i ducha zapewniały zaś: doskonałe jedzenie, obfitość alkoholi, pierwszorzędne kwatery i dostatek kobiet, którymi były licznie obsadzone sieci łączności Wehrmachtu i Luftwaffe.

Przede wszystkim zajęto się zabezpieczeniem kwater. Winters i Welsh podjechali pod Berchtesgaden Hof. Wchodząc w drzwi holu, zobaczyli plecy personelu znikającego za rogiem. Weszli do głównej jadalni, gdzie zastali kelnera pakującego srebrną zastawę do wyłożonej czerwonym aksamitem półtorametrowej walizki.

Nic nie musieli mówić. Kelner na ich widok rzucił wszystko, co miał w rękach, i uciekł. Obaj oficerowie podzielili się sztućcami po równo. Jeszcze czterdzieści pięć lat później w ich domach jadłem nimi kolację.

Po dokładnym spenetrowaniu reszty hotelu Winters postawił podwójną wartę przy drzwiach, jak sam wspominał z absolutnie poważną miną, „żeby zapobiec dalszemu rabunkowi”. Po chwili jednak pokręcił z rezygnacją głową.

- Ależ byłem wtedy durny! Trzeba było szeroko otworzyć drzwi i pozwolić chłopakom brać, co chcieli. Potem, kiedy zwała się sztabowa szarańcza, wynieśli stamtąd wszystko, co dało się oderwać od ściany.

Winters wybrał na kwaterę dowództwa batalionu dom jakiegoś hitlerowskiego dostojnika, wiszący na zboczu doliny nad drogą do samego Berchtesgaden. Posłał tam porucznika Cowinga, swego S-4, żeby dał mieszkańcom kwadrans na jego opuszczenie. Cowing, nowicjusz z ostatniego uzupełnienia, który dotarł do batalionu w połowie lutego w Haguenau, nie miał doświadczenia bojowego i okazał się nie najlepszym wyborem na emisariusza. Wrócił po paru minutach i powiedział:

- Oni mówią, że się nie ruszą, panie majorze.

- Za mną! - rzucił poirytowany Winters i sam poszedł do głównych drzwi rezydencji.

Załomotał w nie pięścią, a kiedy stanęła w nich kobieta, oświadczył jej tonem, który nie pozostawiał wątpliwości co do jego intencji:

- Zajmujemy ten dom na kwaterę. Wynoście się, ale już!

Czy czuję się winny? Czy mam jakieś wyrzuty sumienia z powodu zajęcia siłą tego pięknego domu? A skąd! Od niemal roku tułaliśmy się po Europie, śpiąc w okopach Normandii, wycierając się w błocie Holandii, marznąc w śniegach Bastogne, a kilka dni wcześniej widzieliśmy obóz koncentracyjny. To przez tych ludzi cierpieli tamci i my też swoje przeszliśmy. Nie miałem dla nich żadnego współczucia i nie byłem im winien żadnych wyjaśnień. Niech się cieszą, że wyszli z tego cało.

Także szeregowi nie mieli żadnych problemów z przejściem esesmańskiego kompleksu koszarowego utrzymanego w stylu bardziej alpejskich schronisk niż budynków koszarowych.

Wewnątrz mieli wszystko, co najnowsze w dziedzinie budownictwa i wyposażenia wewnątrz, w tym umieszczoną pod placem apelowym stumetrową krytą strzelnicę karabinową. Jakość wykończenia, stolarki budowlanej i instalacji sanitarnych była po prostu niezrównana. Oficerowie i sierżanci pozajmowali dla siebie piękne domy pobudowane przez hitlerowskich urzędników i oficerów na zboczach gór z widokiem na Berchtesgaden.

Winters rozstawił w mieście posterunki wartownicze, głównie w celu kierowania ruchem i odsyłania zgłaszających się wciąż setkami niemieckich żołnierzy do najbliższych obozów jenieckich. Na jednym z takich posterunków pełnił wartę szeregowy Heffron, kiedy na skrzyżowaniu pojawiła się kolumna trzydziestu jeden pojazdów, jadących gdzieś z gór na północ. Kolumnę prowadził generał Theodor Tolsdorf, dowódca niemieckiego LXXXII Korpusu.

Trzydziestopięcioletni Prusak był znaną postacią, utalentowanym oficerem, który w Wehrmachcie w czasie II wojny światowej pobił wszelkie rekordy w szybkości awansowania. Tolsdorf zawsze dowodził z pierwszej linii, nawet jako dowódca korpusu. Jedenaście razy ranny, nazywany był z racji kompletnego braku poszanowania dla życia swego i swoich ludzi Tolsdorfem Szalonym. Dla kompanii E był jednak przede wszystkim dowódcą 340 Dywizji Grenadierów Ludowych - przeciwnika z zaciekłych walk 3 stycznia o Bois Jacques wokół Foy i Noville.

Tolsdorf oczekiwał, że będzie mógł się poddać w stylu, w jakim walczył, z pełnymi honorami, i zachowa swoje przywileje w niewoli. Konwój, który prowadził, pełen był osobistych bagaży zawierających spore ilości najlepszych alkoholi, cygar, papierosów. Jechali z nim jego służący i cały harem żeńskiej obsługi ze służb pomocniczych. Heffron, pierwszy napotkany Amerykanin, zatrzymał kolumnę pojazdów. Generał wyraził życzenie oddania się do niewoli. Heffron wezwał swego podporucznika. Tolsdorf uznał go za zbyt niskiego rangą. Kiedy podporucznik wyruszył na poszukiwania kogoś starszego, Heffron przejął inicjatywę we własne ręce i "wyzwolił" Parabellum generała oraz jedną z jego walizek. Zawierała ona, jak się okazało, kilka Żelaznych Krzyży i około pięciuset pornograficznych fotografii ze zbiorów dowódcy korpusu.

Potem Heffron wspominał: „I proszę, zwykły chłopak z południowej Filadelfii, a poddał mi się szkopski generał!”.

Tymczasem szaber kwitł na niespotykaną skalę. Wszędzie roiło się od niemieckich żołnierzy - Wehrmachtu, Waffen-SS, Luftwaffe, oficerów, podoficerów, szeregowych, do wyboru, do koloru - szukających kogoś, komu mogliby się poddać. Kompanie 2 batalionu: D, E, F i sztabowa były zwykle pierwszymi, które napotykali. Webster pisał do rodziców 13 maja:

Tym żołnierzom zabieraliśmy pistolety, noże, zegarki, zimowe kurtki podbijane futrem, panterki. Większość Niemców zносиła to pogodnie, ale zawsze znalazł się jakiś sztywniak, któremu nie podobało się uwolnienie go od nadmiernego balastu w postaci zegarka. Nawet jednak tacy zapaleńcy stygli z miejsca, zaglądając w lufę podstawionego pod nos pistoletu. W swojej kolekcji mam teraz Parabellum, dwa Walthery P 38, pistolet maszynowy Schmeisser, dwie panterki, zimowy kombinezon maskujący, kilka hitlerowskich flag, mniej więcej po metrze długości, i lotniczy zegarek.

Samo Orle Gniazdo zostało doszczętnie zrujnowane przez lotnictwo bombowe. Słynna winda została unieruchomiona, ale weteranom codziennych wspinaczek biegiem na Currahee dostanie się bez niej na górę nie sprawiło najmniejszych kłopotów. Szeregowy Alton More

był jednym z pierwszych, którzy tego dokonali. Wśród gruzów wygrzebał dwa albumy ze zdjęciami zagranicznych polityków, którzy odwiedzili Orle Gniazdo. Jeden z oficerów kompanii wypatrzył te albumy i zażądał ich od niego. More odmówił, na co oficer zagroził mu sądem wojennym.

More był żołnierzem z plutonu Malarkeya. Malarkey udał się do dowództwa, żeby przedstawić sprawę Wintersowi. Po zapoznaniu się z sytuacją Winters kazał swojemu kierowcy odwieźć Malarkeya z powrotem do kompanii i przywieźć w drodze powrotnej szeregowego More'a ze wszystkimi rzeczami. Kiedy tak się stało, przeniósł go, czyniąc kierowcą w sztabie batalionu. I dzięki temu More mógł zabrać albumy ze sobą do domu w Casper, w stanie Wyoming.

Kiedy już młodzi Amerykanie zadbali o zakwaterowanie i nakradli więcej, niż byli w stanie unieść czy kiedykolwiek zabrać ze sobą do domu, przyszła kolej na znalezienie sobie jakiegoś pojazdu. Nie stanowiło to najmniejszego problemu. Samochodów wszelkich typów i wielkości było w bród. Miasto pękało w szwach od limuzyn sztabowych, wojskowych ciężarówek, łazików Volkswagena, cywilnych samochodów wcielonych do służby, a w garażach willi przytulonych do górskich zboczy czekało na swych właścicieli sporo luksusowych pojazdów, godnych rangi poprzednich mieszkańców. Sierżant Hale jeździł wozem strażackim Mercedesa, ciesząc się jak dziecko z wrażenia, jakie robią na mijanych dzwonki, syrena i błyskające niebieskie światła. Talbertowi przypadł w udziale jeden z trzyosiowych Mercedesów Hitlera z pancernymi drzwiami i kuloodpornymi szybami. Carson jeździł samochodem Göringa. „To był najpiękniejszy wóz, jaki w życiu widziałem. Cieszyliśmy się jak dzieci, skakaliśmy po jego miękkich kanapach, jeździliśmy po całym Berchtesgaden, tam i z powrotem. Spotkaliśmy kapitana Speirsa, który natychmiast wskoczył za kółko, i ruszyliśmy za miasto, w góry, do tych piernikowych chatek jak z obrazka”.

Niestety, im więcej starszyzny zjeżdżało do Berchtesgaden, kiedy 7 i 8 maja dojechały tam sztaby, tym trudniej było utrzymać taki łakomy kąsek. Z dowództwa pułku przyszedł rozkaz odprowadzenia tam Mercedesa. Carson i Bili Howell dalej się nim cieszyli, kiedy Speirs przyniósł tę hiobową wieść.

Słyszając ją, Carson zapytał Howella, czy wierzy, że okna Mercedesa rzeczywiście są kuloodporne. Howell oczywiście nie był pewien, więc pozostawało jedynie się o tym przekonać. Odeszli kilka kroków do tyłu, wycelowali w tylne lewe okno i zaczęli strzelać. Pierwszy pocisk rzeczywiście nie przebił szyby, ale kiedy kończyli drugi ośmionabojowy ładownik, tysiące odłamów zaścielało tylną kanapę, a z ramy smętnie zwisała gumowa uszczelka. Tak powierzchowny eksperyment nie mógł ich oczywiście przekonać, więc

postanowili go kontynuować. Odeszli, kiedy ostatnia szyba podzieliła los pierwszej; minęli po drodze kapitana ze sztabu, który miał odebrać samochód.

Talbert też musiał się rozstać ze swoim samochodem i także się nie oparł żądy wiedzy, prowadząc własne eksperymenty. Mógł później zameldować Wintersowi, że choć przednia szyba wytrzymuje trafienie z karabinu pociskiem zwykłym, to przeciwpancerny przebija ją z łatwością. Winters podziękował za podzielenie się tą ważną informacją, zgadzając się, że nigdy nie wiadomo, kiedy wiadomość tego typu może się okazać użyteczna.

Pęd do eksperymentowania opanował wielu chwilowych posiadaczy pięknych samochodów, na których chcieli położyć rękę ich przełożeni. Z jednego z Mercedesów spuścili wodę z chłodnicy i uruchomili silnik, by się przekonać, jak długo popracuje, zanim się zatrze. Inny oczekujący na przekazanie do sztabu samochód poświęcił na próby zderzeniowe, wyprzedzając obecny trend o dobre dwadzieścia lat. Wybrali w tym celu trzydziestometrowe urwisko, z którego zepchnęli lśniącego czarnym lakierem Horcha. Samochód nie zdał testu - upadek spowodował jego totalną ruinę.

Sztabowcy dostawali więc żądane luksusowe samochody, ale nie mieli z nich większego pożytku. Limuzyny docierały do nich z rozbitymi oknami, pozacieranymi silnikami (Talbert po przetestowaniu okna w swoim Mercedesie opróżnił jego chłodnicę i zbiornik oleju, po czym - bez powodzenia! - próbował go zatrzeć, wjeżdżając na pierwszym biegu drogą na parking pod Orle Gniazdo). Pozbawieni swej zdobyczy szeregowi pocieszyli się pozostawionymi przez Niemców licznymi ciężarówkami, łazikami, motocyklami, samochodami pancernymi, które ich potrzebom odpowiadały w zupełności, a nie kłuły w oczy przełożonych. Paliwo było tak samo za darmo, jak pojazdy: wystarczyło podjechać do jakiegokolwiek amerykańskiej jednostki, tankowano je tam bez pytania o cokolwiek.

Winters wspomina:

To było uczucie nie z tej ziemi. Po prostu nie sposób sobie wyobrazić władzy, jaką tam dysponowaliśmy. Cokolwiek chcieliśmy, wystarczyło po to wyciągnąć rękę i było nasze.

Po kwaterach i samochodach przyszła kolej na alkohol. W każdej piwnicy było wino, ale odkrycie największego zapasu przypadło w udziale jednemu z nielicznych abstynentów w batalionie, majorowi Wintersowi. 6 maja, myszkując na własną rękę, Winters przypadkiem trafił do kasyna kwater oficerskich przy rezydencji Góringa. W głównej sali zastał zwłoki niemieckiego generała majora w mundurze galowym z pistoletem w dłoni i dziurą na wylot w obu skroniach. Później zidentyfikowano go jako generała Kastnera.

Winters rozglądał się po budynku, kopniakiem otwierając kolejne drzwi, kiedy nagle natrafił na widok, którego do dziś nie zapomniał: w otoczonej grubymi ścianami piwnicy z

urządzeniami klimatyzacyjnymi, mierzącej piętnaście na dziesięć metrów, stały regał za regałem stojaki, z których od podłogi po sufit wystawało tysiące butelek najprzedniejszych win świata. Jak później oceniano, piwnica marszałka Rzeszy zawierała około dziesięciu tysięcy butelek. Winters ustawił podwójną wartę przy wejściu do kasyna i jeszcze jeden podwójnie obsadzony posterunek przy wejściu do piwnicy. Wydał też rozkaz: ani kropli alkoholu do ust! Wprowadził dla żołnierzy ścisłą prohibicję na siedem dni.

Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że nikt nie jest w stanie wyegzekwować podobnego rozkazu. Wspominając w 1990 roku, mówił: „Nie oczekiwałem, że uda mi się go wyegzekwować, nie jestem przecież idiotą. Chciałem tylko dać jasny sygnał chłopakom: sytuacja ma pozostać pod kontrolą. Nie chcę tu żadnych pijackich burd”.

Po powrocie do sztabu wezwał do siebie kapitana Nixona.

- Nix, otrzeźwiej trochę, to ci pokażę coś, czego jeszcze w życiu nie widziałeś.

Następnego dnia rano kapitan Nixon zameldował się u majora Wintersa trzeźwy i świeżutki jak skowronek, pytając:

- Co mi obiecywałeś wczoraj pokazać, Dick?

Winters bez słowa machnął ręką, że ma iść za nim i wsiadł do jeepa. Pojechali do kasyna oficerskiego, poprowadził go do piwnicy i pokazał, co znalazł. Nixon myślał, że umarł i poszedł do nieba. Tym bardziej, kiedy Winters powiedział:

- Bierz, co chcesz, a potem niech każda kompania i sztab batalionu przyśle po ciężarówce. Ty za to odpowiadasz.

To było spełnienie snów alkoholika, raj, cud wymykający się próbom opisu. Nixon dostał prawo wyboru win spośród jednej z najwspanialszych kolekcji na świecie, a potem miał rozdać resztę wszystkim znajomym i kompanom od kieliszka. Cóż za wspaniała okazja do świętowania, tym bardziej że skończyła się wojna, a oni wciąż żyli.

Skutki najlepiej ilustruje zdjęcie ukazujące kapitana Lewisa Nixona rankiem 8 maja.

Kompania także nie mogła sobie darować takiego święta. Mimo rozkazu Wintersa i regularnej kolejki wart, żołnierze świętowali na całego. Mieli co: 7 maja Niemcy skapitulowały w Reims przed Eisenhowerem. Po całej Europie rozeszły się rozkazy: przerwać ogień, znieść zaciemnienie, niech rozbłyśnie światło pokoju wśród wojennego mroku. Wieść o kapitulacji Niemiec była, jak to oględnie ujął Winston Churchill, „hasłem do największego wybuchu radości w historii ludzkości”. Kompania E zadbała, by obchodom dnia zwycięstwa w Berchtesgaden nie zabrakło blichtru i wigoru.

Kiedy już wino Goringa znalazło się w bardziej odpowiednich rękach, jak wspomina Carson, „wszędzie wokół jak dzień długi niosło się echo strzelających korków od szampana”.

Zabawa stawała się coraz głośniejsza, w miarę jak do wystrzałów korków od szampana przyłączała się palba z wszelkiej broni kompanii. Kapitan Speirs zaczął się niepokoić, czy sytuacja nie wyrwie się spod kontroli. Sierżant Mercier, którego O'Keefe wspomina jako „naszego najbardziej profesjonalnego żołnierza”, wczuwając się w nastrój chwili, przebrał się w kompletny mundur galowy niemieckiego oficera, z monoklem w prawym oku włącznie, i w tym stroju wybrał się na obchód wart. Jeden z wartowników wpadł na równie świetny pomysł i pod karabinem odprowadził „jeńca” do kapitana Speirsa.

Kapitan, zawczasu uprzedzony, zagrał doskonale swoją rolę.

Kiedy żołnierze doprowadzili przed jego oblicze „Niemca”, pomagając sobie bagnetami, kapitan nawet nie podniósł wzroku znad papierów.

Jeden z żołnierzy podszedł do biurka, zasalutował i zameldował:

- Panie kapitanie, złapaliśmy Niemca, który próbował wysadzić sztab kompanii. Co z nim zrobić?

- Jak to co? Wyprowadzić i rozstrzelać - burknął znad papierów Speirs.

Powiało grozą. Żartownisie jakby lekko się stropili.

- Ależ panie kapitanie, to ja, Mercier - odezwał się „jeniec”.

Speirs wreszcie uniósł oczy znad dokumentów na biurku.

- Mercier, wyskakujcie z tego małego mundurka, ale już!

Niedługo potem kapitan Speirs zwołał zbiórkę całej kompanii. Powiedział, że zauważył, iż pewni żołnierze, którzy przyszli do kompanii stosunkowo niedawno, świętują w sposób nie pozostający w żadnej proporcji do ich wkładu w celebrowane tak hucznie zwycięstwo. To się miało natychmiast skończyć, podobnie jak strzelanie z wszelkiej broni, a zwłaszcza zdobyczej - gdyż jej odgłos powodował zbytnią nerwowość.

Były to jednak próby z góry skazane na niepowodzenie. Zresztą nawet sam Speirs nie oparł się w końcu nastrojowi chwili. Pod koniec dnia siedzieli w kancelarii z szefem kompanii, sierżantem Carsonem, opróżniając butelkę szampana za butelką i wyrzucając puste przez drzwi na taras. Kiedy wyszli na taras zaczerpnąć świeżego powietrza, natrafili na stos butelek.

- Ty, Carson, dobrze strzelasz z pistoletu?

- Dobrze, a bo co?

- A trafisz w szyjkę od tej butelki? - zapytał kapitan, stawiając jedną na balustradzie.

Carson wyjął Colta, wycelował i strzelił, rozbijając butelkę. Po chwili Speirs spróbował swoich sił, z tym samym rezultatem, a potem, uporawszy się z resztą, zaczęli strzelać na wiwat.

Na odgłos wystrzałów przybiegł sierżant Talbert, wściekły i też z pistoletem w ręku, gotów choćby strzelać do łamiących rozkaz dowódcy kompanii. Pierwszego zobaczył Carsona.

- Carson, powieszę cię za to za dupę! - obiecał, po czym wyjaśnił mu, że kapitan Speirs zakazał strzelania. W tej samej chwili zza Carsona wyszedł kapitan z dymiącym pistoletem w ręku.

Po kilku sekundach ciszy odezwał się dowódca kompanii:

- Przepraszam, sierżancie. To moja wina. Zdaje się, że zapomniałem o własnym rozkazie.

Webster, Luz i O'Keefe dopiero teraz odnaleźli drogę do piwnicy marszałka. Byli już mocno spóźnieni. Reszta batalionu była tam przed nimi i Winters wycofał wartę przed kasyna, pozostawiając swobodny dostęp do niej każdemu chętnemu. Zanim oni trzej tu dotarli Volkswagenem Luza, przed kasyno nieprzerwanym sznurem zajeżdżały ponemieckie ciężarówki, samochody osobowe, motocykle z przyczepkami, a nawet transportery opancerzone, wywożąc to, co jeszcze zostało.

„Straż tylna” kompanii E znalazła jakąś skrzynię i zaczęła ją wypychać butelkami. Webster wspomina:

Byłem zaskoczony, widząc jak podłe i młode szampany tu pijano. Ani butelki porządnego koniaku, o Napoleonie nie wspominając, szampany głównie z końca lat trzydziestych. Gust Adolfa szczerze mnie rozczarował.

Webster nie wziął pod uwagę tego, że uprzedził go Nixon, koneser i znawca, który wywiózł stąd pięć ciężarówek najlepszych alkoholi do własnego użytku, zanim reszta batalionu zaczęła je plądrować. Samozwąnczemu krytykowi pozostały już tylko resztki, więc nic dziwnego, że nie był nimi zbudowany. No cóż, kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi...

Rozbawiony uwagą Webstera Winters po latach skomentował: „I jeszcze raz absolwent Yale okazał swoją wyższość nad absolwentem Uniwersytetu Harvarda”.

Na zewnątrz Webster, Luz i O'Keefe natrafili na gromadę pijanych Francuzów krzyczących *La guerre estfini! La guerre estfini!*, klepiących ich po plecach, częstujących winem, proszących o papierosy i strzelających na wiwat ze wszystkiego, co mieli pod ręką.

Amerykanie rozdali papierosy, pościskali wyciągnięte do nich ręce, po czym odjechali do siebie najszybciej jak to możliwe. Ku ich zdumieniu okazało się, że żaden nie stracił portfela ani zegarka, samochód też nie wyglądał na zbytnio rozgrabiony. Widać sojusznicy byli zbyt zajęci świętowaniem.

Po przyjeździe wyprawiliśmy przyjęcie, jakich mało. Korki strzelały, szampan się lał, butelki pękały. Radosny śmiech głęboko z trzewi, wiwaty, okrzyki radości, płaczące się języki, pijackie mądrości i przyjaźń ponad wszystko. Maż, jeźże się napij. Co jezd, kurna, tera moja kolej. Ja miałem wystyszsz... Wyszsz... wyjąć ten koreg. Kurna, jak tu pięknie. Sialalala! Polej! Chopaki, gdzie jest Hitler? Szeba podziękować sukinsynowi. Pijemy szampana Adolfa, to szeba, kurna, podziękować gospodarzowi, no nie? Berchtesgaden, kocham cię!!! I tak skończyła się nasza wojna.

Wszyscy w całej Europie świętowali, zwycięzcy i zwyciężeni. Pierwsi do świętowania byli młodzi chłopcy w mundurach. Przeżyli, mieli żyć - było co świętować.

Rankiem 8 maja O'Keefe i Harry Lager poszli szukać jajek. Doszli do gospodarstwa na polanie w lesie. Z komina na dachu wznosiła się do góry strużka dymu. Wkopali drzwi do środka, wpadając do wnętrza z karabinami gotowymi do strzału. Dwaj włoscy dezertery, którzy się tam ukryli, o mało nie umarli ze strachu. Zerwali się na równe nogi zza stołu i zeszywnieli z przerażenia.

Na stole stała butelka szampana. Stojący bliżej stołu Włoch złapał za butelkę, skierował ją szyjką do trzymającego go na muszce O'Keefe'a i wyrażając niemo zaproszenie do wypicia, zawołał: *Pax!*

Napięcie zostało przełamane. Wypili za pokój i Amerykanie ruszyli dalej na poszukiwanie jajek. Po chwili natrafili na kolejną chatkę w lesie.

O'Keefe wspomina: „Była pięknie położona. Na ganku stał młody mężczyzna, mniej więcej w naszym wieku, ubrany po cywilnemu. Na nasz widok wyszedł do nas, uśmiechnął się i doskonałą angielszczyzną powiedział:

- Panowie, wojna się skończyła. Mówili przez radio.

Nadal nieufny, mierzyłem go uważnie wzrokiem i zauważyłem, że mocno utyka na prawą nogę. Kiedy na nią spojrzałem, wyjaśnił:

- Walczyłem w Afrikakorps, tam zostałem poważnie ranny i odesłano mnie do domu. Byłem żołnierzem.

Zaprosił nas do środka, na lampkę wina. Kiedy odmówiliśmy, powiedział:

- Zaczekajcie, zaraz wyniosę na zewnątrz.

Po chwili wrócił z trzema kieliszkami wina.

- Za koniec wojny - powiedział, wznosząc swój. Za to się z nim napiliśmy.

Było w tym coś normalnego, słusznego, a jednocześnie pełnego godności i żołnierskiego.

Dostali jeszcze od swego gospodarza jajka, po czym wrócili do kwatery, gdzie uczcili koniec wojny wielką porcją jajecznicy i kolejnymi butelkami „szampana Adolfa”.

SPEŁNIENIE ŻOŁNIERSKICH SNÓW**Austria**

8 maja - 31 lipca 1945

Późnym popołudniem 8 maja Winters otrzymał rozkaz przygotować 2 batalion do wymarszu jeszcze tej nocy do Zell am See w Austrii, około trzydziestu kilometrów na południe od Berchtesgaden, gdzie miał pełnić służbę okupacyjną. Około 22.00 kolumna amfibii ruszyła, po raz pierwszy rozcinając mroki nocy światłami reflektorów. Z tyłu każdego pojazdu żołnierze nadal świętowali koniec wojny, pijąc, śpiewając i grając w karty. Kiedy rano konwój dotarł do Zell am See, zwycięscy okupanci byli brudni, nie ogoleni, w pogniecionych i wyplamionych mundurach, w większości pijani lub ciężko skacowani.

Miasto było przepelnione niemieckimi żołnierzami. Tu kończyła się trasa odwrotu na południe - dalej były już tylko wysokie góry, za nimi Włochy, ale wszystkie prowadzące do nich przełęcze nadal zasypane śniegiem i nieprzejezdne. Jak potem policzono, na obszarze, który obsadzał niespełna sześćset osobowy 2 batalion, znajdowało się w tym czasie ponad dwadzieścia pięć tysięcy uzbrojonych po zęby niemieckich żołnierzy.

Dysproporcja w wyglądzie pomiędzy zwycięzcami a pokonanymi była równie drastyczna, jak w liczebności. Zwycięzcy wyglądali jak gromada obdartych włóczęgów bez żadnej dyscypliny, podczas gdy pokonani wciąż przypominali wojsko, porządnie umundurowani, zdyscyplinowani, czysti i ogoleni. Winters, śledząc ciekawe spojrzenia Niemców i cywilnych Austriaków, kierowane na jego żołnierzy, zgadywał, że musieli się zastanawiać, jak na Boga mogli przegrać wojnę z taką bandą oberwańców.

Dowództwo batalionu rozłożyło się w Kaprun, cztery kilometry na południe od Zell am See. Dolina łącząca obie miejscowości należała do najsłynniejszych na świecie ośrodków narciarskich, popularna była zwłaszcza wśród bogatych Niemców. Warunki zakwaterowania, począwszy od najtańszych kwater prywatnych po luksusowe hotele, wydawały się po prostu oszałamiające. Wszystkie pokoje były zajęte przez niemieckich rannych. Wykwaterowano ich i odesłano ciężarówkami lub pociągami do szpitali i obozów w rejonie Monachium, by zrobić miejsce dla Amerykanów.

Mieli pilnować porządku, zgromadzić wszystkich Niemców w jednym miejscu, rozbroić i stopniowo odsyłać na północ do obozów jenieckich. Winters zaczął swoje rządy w Zell am

See już rankiem 9 maja, zaraz po przyjeździe. Wezwał do siebie najstarszego stopniem niemieckiego oficera.

Miałem dwadzieścia siedem lat i jak wszyscy moi żołnierze, nosilem brudny, znoszony mundur polowy i poobtłukiwany hełm na głowie. Czulem się trochę głupio, wydając rozkazy wyprężonemu przede mną jak struna pełnemu pułkownikowi, starszemu ode mnie o dwadzieścia lat wymuskanemu oficerowi zawodowemu w odprasowanym mundurze wyjściowym z pełną piersią odznaczeń bojowych.

Mimo to wydawał mu rozkazy. Zlecił dopilnowanie rozbrojenia wojsk i złożenie całej broni na lotnisku, w szkole i na kościelnym podwórku. Oficerom pozwolił zachować broń boczną, żandarmerii także indywidualną broń długą. Zapowiedział też na następny dzień inspekcję obozowisk i kuchni oraz przegląd wojsk.

Nazajutrz, 10 maja, Winters i Nixon pojechali jeepem na inspekcję, zaczynając od wyznaczonych miejsc składania broni. Widok, który tam zastali, sprawił, że zaniemówili z wrażenia: we wszystkich trzech miejscach piętrzyły się olbrzymie stosy broni. Winters zorientował się, jakim błędem było użycie sformułowania „wszelką broń”. Miał na myśli wojskową broń palną, a tymczasem pułkownik zrealizował jego polecenie dosłownie i w rezultacie na stosach znalazła się fantastyczna kolekcja broni myśliwskiej, sportowej, kordelasów myśliwskich, szabel, antycznej broni najprzeróżniejszych rodzajów - nie licząc oczywiście kompletnego uzbrojenia dwóch i pół dywizji. Według oniemiałych oficerów było jej dość, żeby rozpocząć III wojnę światową.

Po inspekcji obozowisk i kuchni Winters był pełen podziwu dla zdolności organizacyjnych pokonanego przeciwnika. Wojska stawały się na apelach karnie, umundurowane jak na paradę. Obozowiska były uporządkowane, z wytyczonymi alejkami, z polowymi łaźniami, porządnymi sanitariatami. W każdym obozowisku znajdowały się kuchnie polowe, ogień rozpalony, w kotłach gotowała się kartoflanka, kucharze w czystych fartuchach krzatali się wokół nich, popędzając szeregowych pełniących służbę kuchenną.

Od tej pory codziennie rano w dowództwie batalionu meldował się posługujący się swobodnie językiem angielskim oficer łącznikowy, który składał meldunek sytuacyjny i odbierał rozkazy. Nie było żadnych kłopotów. Jak mówił Winters: „Daliśmy im wolną rękę, a oni nas szanowali”.

Oficer łącznikowy z czasem zaczął gościć coraz dłużej w dowództwie, opowiadając frontowe historie ze Wschodu i spod Bastogne. Któregoś dnia stwierdził:

- Nasze armie powinny połączyć siły i razem zmieść Rosję z powierzchni ziemi, póki nie jest za późno.

Winters poczuł się trochę nieswojo. „Odpowiedziałem, że nie, dziękuję. Ja już się nawojowałem i jedyne, czego chcę, to wrócić do domu i do cywilnego zajęcia”.

Tego zresztą chcieli prawie wszyscy, a chyba nikt bardziej niż żołnierze niemieccy. Zanim jednak ktoregokolwiek puściło się do domu, trzeba go było przesłuchać i prześwietlić jego przeszłość. Wśród szeregowych w olbrzymich obozowiskach roilo się bowiem od nazistów, poprzebieranych w mundury szeregowych. Jednym z najbardziej znanych próbujących takiej drogi ucieczki był na przykład Adolf Eichmann, który w mundurze kaprała Luftwaffe ukrywał się w obozie koło Berchtesgaden. Udało mu się uciec, zanim został rozpoznany, przedostał się wraz z rodziną do Argentyny i tam żyło mu się dobrze, zanim został odnaleziony przez agentów izraelskiego wywiadu, porwany, osadzony, a następnie powieszony w Izraelu.

Podporucznik Lipton służył jako dowódca plutonu karabinów maszynowych kompanii sztabowej 2 batalionu. Winters powierzył mu pieczę nad obozem, w którym przebywało kilkuset jeńców. Jednym z nich był profesor Ferdinand Porsche, konstruktor Volkswagena, oraz najlepszych niemieckich czołgów, Pantery i Tygrysa. W połowie maja Lipton zakończył „prześwietlenie” około stu pięćdziesięciu jeńców i wystąpił o ich zwolnienie. Jeden z niemieckich oficerów poprosił, by mu pozwolił do nich przemówić, zanim wyjdą przez bramę obozu. Lipton zgodził się. „To była dość długa, ale bardzo dobra przemowa. Powiedział im, że Niemcy przegrały wojnę, ale oni byli dobrymi żołnierzami i jest dumny, że mógł nimi dowodzić. Teraz powinni wrócić do domów i spróbować odbudować swoje życie, gdyż stoi przed nimi wielkie zadanie odbudowy Niemiec z ruin, do którego potrzeba każdej pary rąk. Kiedy skończył, żołnierze zgotowali mu długą owację”.

Jeszcze inni naziści, którzy mieli powody obawiać się o swoją skórę, próbowali ukrywać się w górach. Jeden z dipisów zameldował Speirsowi o człowieku, który dowodził w okolicy obozem pracy przymusowej i dopuścił się wielu okrucieństw. Kapitan przeprowadził własne śledztwo, przesłuchał wielu świadków, którzy w pełni potwierdzili to, co mówił dipis. Dalsze śledztwo pozwoliło ustalić, że poszukiwany przez nich komendant obozu ukrywa się w gospodarstwie swojej dalszej rodziny w okolicznej wiosce.

Speirs wezwał sierżanta Lyncha, przedstawił mu sprawę i wydał rozkaz:

- Weź Moone'a, Liebgotta i Siska, znajdź skurwiela i zlikwiduj.

Lynch zebrał ludzi, wyjaśnił im zadanie, wzięli ciężarowego Dodge'a i pojechali. W czasie drogi Moone zaczął się zastanawiać nad sytuacją, w której się znalazł. Był pewien, że kapitan Speirs nie miał prawa wydawać wyroku śmierci na podstawie zeznań dipisów. Z drugiej strony Speirs był jego dowódcą kompanii, a Moone tylko szeregowym, który

wykonywał jego rozkaz. W końcu doszedł do wniosku, że nie ma zamiaru brać udziału w tej z daleka śmierzącej imprezie. Jeśli ktokolwiek będzie musiał do tamtego strzelać, to na pewno nie on.

Dotarli na farmę i pochwycili wskazanego Niemca, który nie stawiał oporu. Liebgott przesłuchiwał go przez pół godziny, po czym oświadczył, że nie ma wątpliwości, że to człowiek, po którego przyjechali i że jest winien zarzucanych mu czynów. Pod lufą wepchnęli go na ciężarówkę i odjechali. Po drodze, w wąwozie, zatrzymali pojazd. Tam wypchnęli go z Dodge'a i Liebgott dwukrotnie do niego strzelił z pistoletu.

Ranny więzień zaczął skowyczeć i uciekać w górę zbocza. Lynch rozkazał Moone'owi go zabić.

- Sam go sobie zabij. Wojna się skończyła.

Skinny Sisk wyszedł naprzód, podniósł karabin i jednym strzałem w plecy powalił uciekiniera.

Po posortowaniu i odesłaniu jeńców oraz dipisów kolejnym zadaniem było zebranie i zabezpieczenie zdobyczej broni, a także własnego sprzętu niepotrzebnego już do prowadzenia działań bojowych. W miarę postępów tej pracy ciężarówki zabierały spisany sprzęt i uzbrojenie do składnic we Francji.

Co gorsza, zaopatrzenie zaczęło przypominać sobie o wyposażeniu wydawanym oficerom batalionu w czasie wojny. Wszystko szło pomyślnie do momentu, w którym nadszedł rozkaz zdania do magazynu drukowanych na jedwabiu ucieczkowych map Francji, które oficerowie otrzymali niemal rok wcześniej, przed desantem w Normandii 6 czerwca 1944 roku. Nieoddanie mapy równało się grzywnie w wysokości siedemdziesięciu pięciu dolarów. Te mapy były świętą relikwią weteranów z Normandii, oznaką ich statusu i chyba żadna nie wróciła do magazynu w przepisany terminie. Z dowództwa pułku przyszedł więc rozkaz zapłacenia grzywny. Tym razem za cały batalion odpowiedzial Winters, który zacytował autorowi wezwania odpowiedź generała McAuliffe'a z Bastogne: „Gówno!”. Autor wezwania płatniczego, kwatermistrz pułku, kapitan Herbert M. Sobel, spuścił z tonu i więcej nie wracał do sprawy.

Z racji braku jakiegokolwiek oporu, czy więcej, wręcz entuzjastycznej współpracy Niemców i Austriaków, pod koniec trzeciego tygodnia maja amerykański batalion nie miał już właściwie nic do roboty. Wszelkie służby kuchenne, sprzątanie rejonów i kwater oraz zadania budowlane spoczęły w pewnych i wprawnych rękach miejscowej ludności, która chętnie je wykonywała w zamian za pieniądze, żywność i papierosy. Czas zaczął się strasznie dłużyć młodym ludziom tęskniącym za domem.

Winters zaczął szukać im zajęcia. Zbudowano stadion lekkoatletyczny, kort tenisowy i boisko do baseballa, potem strzelnicę karabinową. Zaczęto rozgrywać zawody sportowe na szczeblu kompanii, batalionów, pułków i dalej aż po mistrzostwa całego europejskiego teatru działań wojennych. Oprócz rywalizacji sportowej toczyło się normalne życie garnizonowe, z wszystkimi jego zajęciami i codzienną musztrą.

Niektórzy żołnierze podeszli do sportu entuzjastycznie. Ci spośród nich, którzy żywili nadzieję na zawodową lub akademicką karierę sportową, mieli wspaniałą okazję do treningu. Jeśli osiągali liczące się wyniki, zwalniano ich z innych obowiązków, mieszkali w oddzielnym bloku koszarowym dla sportowców i mogli bez przeszkód codziennie trenować lub startować w zawodach wszelkich szczebli. Ci, którzy planowali zawodową służbę wojskową, mieli teraz doskonałą okazję do uzupełniania wiadomości i konfrontowania ich z praktyką w dyskusjach z doświadczonymi frontowcami.

Ale dla większości, która nie była ani sportowcami, ani nie widziała dla siebie przyszłości w armii, nuda była nie do zniesienia. Ich energia znajdowała ujście głównie: w turystyce alpejskiej, polowaniu, picciu i pogoni za spódniczkami. Jezioro Zeller See, długości około czterech kilometrów i szerokości dwóch, prócz swych walorów widokowych stwarzało też doskonałe warunki do pływania w długie, coraz cieplejsze dni późnego maja i początków czerwca.

Webster pisał do matki 20 maja:

Mój strój kąpielowy zaczyna się rozlać w szwach. Czy możesz mi wysłać, najpilniej jak to możliwe, następną parę tych bajecznie kolorowych kąpielówek od Abercrombie i Fitcha? Rozmiar 32, ale raczej slipy niż spodenki.

Na zboczach gór za Kaprun pyszniły się słynne na cały świat trasy narciarskie. Wyciąg krzeselkowy był wprawdzie kaputt, ale wspinaczka z deskami na górę była okazją do dodatkowego treningu. Winters ustalił grafik, wedle którego co trzy dni kolejny pluton wyjeżdżał do ośrodka narciarskiego na kolejną turę urlopową. Tam mieli pełną obsługę austriackich pokojówek, kucharzy, instruktorów narciarskich, przewodników myśliwskich. Warunki do uprawiania narciarstwa były równie dobre, jak do polowania na kozice górskie.

W niższych partiach gór pełną parą szło polowanie na jelenie, których setki krążyły po okolicznych lasach. Przed wojną były to ulubione tereny łowieckie europejskiej arystokracji, a że przez całą wojnę mało kto tu polował, plan odstrzału nie był realizowany i jelenie rozmnożyły się ponad miarę. Spadochroniarze polowali po części z zamiłowania, po części jednak z dużo bardziej prozaicznych powodów - znowu, jak pod Bastogne, byli na samym końcu łańcucha zaopatrzeniowego armii, a czarny rynek rozrósł się od tego czasu znacznie.

Trasa zaopatrzeniowa z portów w Cherbourgu i Hawrze była jeszcze dłuższa niż z Normandii w Ardeny, a po drodze było znacznie więcej chętnych do swojej działki, którzy mieli poważną motywację - ich cywilne dziewczyny miały rodziny, które trzeba było wykarmić. W malownicze Alpy docierały więc nędzne resztki tego, co tam wysyłano. Żołnierze zorganizowali ekipy myśliwych, które zajmowały się pozyskiwaniem dziczyzny do kotła. Szeregowy Freeman znalazł wśród skonfiskowanej broni samopowtarzalną śrutówkę Browninga i uzupełniał dietę sporą ilością przepiórek i innego ptactwa.

Jednak najwięcej energii żołnierze zużywali, nadrabiając stracony czas z kobietami. Webster pisze:

Panienki, dupeczki, szpary, materace, zdziury, spódniczki, cichodajki, kurwiszony, cipki - oto co królowało w umysłach naszych chłopców. Kucharze mieli utrzymanki, plutonowe ogiery nie wychodziły ze stodoły, McCreary posuwał jakąś mężatkę w mieście, Reese zainstalował swoją u siebie na kwaterze i nie musiał wychodzić, Carson żywił piękną, wykształconą polską blondynę (z którą się potem ożenił), szarże plutonu każdy wieczór spędzały w obozie dipisów, a chłopaki co wieczór biegali do Zell am See, miasta najpiękniejszych dziewczyn w Europie, by z opalonymi blondynkami realizować swoje najbardziej wyrafinowane fantazje. Po trzech latach ciągłego gadania o bzykaniu nareszcie mieli okazję zrealizować swoje marzenia, przebierając w kobietach jak w ulęgalkach. Polityka niefraternizacji poniosła ostateczną i kompletną klęskę.

Na tych, którzy chcieli, i których było stać, czekały kobiety Rzymu, Paryża, Zagłębia Ruhry, ale jak dalej pisał Webster:

W Austrii kobiety były i czystsze, i ładniejsze, i lepiej zbudowane, a poza tym najłatwiejsze do zdobycia. Amerykańscy żołnierze mieli używanie za wszystkie czasy.

Bez końca także lał się alkohol. 28 maja Webster pisał do rodziców:

Od opuszczenia Berchtesgaden balujemy codziennie. Dwa dni temu robiliśmy porządek w jakimś poniemieckim magazynie i przy okazji poszły dwie skrzynki ginu, razem czterdzieści osiem butelek. Wasza paczka z sokiem pomarańczowym w proszku okazała się bardzo przydatna.

Kapitan Speirs egzekwował bezwzględnie tylko jeden rozkaz dotyczący picia alkoholu - żadnego pijaństwa poza czterema ścianami kwatery. Przestrzegania rozkazu pilnowali sierżanci, którzy nie chcieli żadnych wypadków z pijanymi na służbie czy włączającymi się po drogach i ścieżkach. Na kwaterze żołnierze mieli jednak wolną rękę i korzystali z tej wolności nad wyraz chętnie i pili, ile tylko mogli - a większość nawet jeszcze więcej.

Drużyna Webstera miała zawsze na podorędziu dzbanek mrożonej herbaty z ginem. Rezultaty nie dały na siebie długo czekać.

O ósmej wieczorem Matthewsowi plątał się język, Marsh belkotał coś o swojej drużynie. Sholty siedział cicho na wyrku i do czegoś lub kogoś godzinami się uśmiechał, Wynn śmiał się do rozpuku i krzykliwym głosem opowiadał o Bastogne. McCreary, jak tylko znalazł z tej swojej mężatki, przechwalał się, jaki to on jest odważny („Stary, nie ma w tej drużynie odważniejszego ode mnie. Pamiętam, jak...”). Skromne to może nie było, ale trzeba mu przyznać, że mówił świętą prawdę. Gilmore z furią prasował ciuchy - ciekawy, acz pożądany objaw tego, że był w doskonałym nastroju. Hale chwiał się, lecz szedł nalać następną kolejkę. Chris, który nigdy nie rozrabiał, po wypiciu kilku szklanek naszego specjału siadał sobie spokojnie w kąciku i milczał niewzruszenie. Rader zwykle przysypiał na oparciu fotela. Ja w tym czasie już smacznie spałem, zwalony z nóg bez walki tym, co do tej pory wypilem.

Rano budzili się ledwie żywi i dopiero po południu wzbierało w nich na tyle energii, by pomóc ciału pokonać wypity alkohol partią softballa lub pójść popływać. Winters był abstynentem, który picia innych ani nie potępiał, ani nie aprobował. Jego dwaj najbliżsi przyjaciele, Nixon i Welsh, tego popijali. Żadnego z nich nigdy nie potępił za picie w czasie wolnym od służby. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co próbowali zapić i zapomnieć. Wystarczyło wyjść któregoś popołudnia, kiedy jego żołnierze w samych kąpielówkach grali w ciepłym alpejskim słońcu w piłkę, i przyjrzeć im się. Rzadko który nie miał blizn po jakiejś ranie. Niektórzy mieli ich po trzy, cztery, albo i więcej, na plecach, nogach, piersi, rękach.

A przecież tam, w Kaprun, widziało się tylko tych, którzy nie zostali poważnie ranni, na tyle by już do nas nie wrócić.

Wkrótce była jeszcze jedna okazja do przypomnienia ceny, jaką kompania E zapłaciła za to, by znaleźć się tu, gdzie się znalazła. 5 czerwca o 22.00 obchodzili pierwszą rocznicę skoku w Normandii. Webstera uderzył kontrast:

Rok temu o tej samej godzinie serce waliło mi jak Gene Krupa na swojej perkusji, a żołądek miałem ściśnięty w węzeł i bardzo pusty. [...] Teraz siedzę sobie w przytulnej chatce w austriackich Alpach. W jednej ręce mam wysoką szklankę mrożonej herbaty zaprawionej ginem, w drugiej trzymam pióro. Tak wielu chłopaków, którzy startowali z nami wtedy z tego małego lotniska w Devonshire, już nie żyje, pogrzebanych na malowniczych cmentarzach Ste-Mere Eglise, Son i Belgii, a ja jestem tu, i jestem im za to bardzo wdzięczny. Dziś w nocy upamiętnimy ich w sposób, który najbardziej by im odpowiadał, wydając wielkie, dzikie, hulaśliwe przyjęcie.

Oficerowie też obchodzili tę rocznicę. Speirs korzystał obficie z zawartości dwóch skrzynek koniaku, które zwędził jeszcze z kasyna Goringa, świętując w zaciszu swojej kwatery z piękną polską dipiską i jej maleńką córeczką. Pułkownik Sink wydał serię pamiętnych przyjęć w sztabie pułku, który mieścił się teraz w hotelu Zell. Jednego wieczora zaprosił tam wszystkich oficerów 506 pułku na spotkanie z generałem Taylorem. To nie był chyba najlepszy pomysł. Generał nie cieszył się popularnością w dywizji, czego z uporem godnym lepszej sprawy starał się nie zauważać. Pułkownik Strayer, jak opowiadał porucznik Foley, „znany na ogół z mocnej głowy do trunków, tym razem stał się swarliwy i był w bardzo bojowym nastroju”.

Na tyle bojowym, uściślijmy, by wszcząć bójkę na pięści z generałem. Zarówno Foley, jak reszta młodszych oficerów stanęła po stronie pułkownika. Ponieważ sami już też mieli sporo w czubie, wpadli na doskonały, w ich mniemaniu, sposób odegrania się na generale. Poszli na parking i spuścili większość benzyny z baku Mercedesa należącego kiedyś do Hitlera, którym przyjechał Taylor. Maszyna, jak się okazało, przetrwała eksperymenty sierżanta Talberta i działała nadal, co wprawiło żołnierzy w niejakie zdumienie. Uznali, że unieruchomienie generalskiej limuzyny gdzieś w środku nocy na odludnej drodze do Berchtesgaden będzie wspinałym dowcipem.

Następnego dnia, w niedzielę, pułkownik Sink zwołał nadzwyczajną odprawę oficerską na placu przed hotelem. Ustawił ich w ordynku jak szeregowych na apelu i wygłosił gniewną przemowę. Dał im wtedy popalić. Nazwał ich postępowanie niegodnym munduru, kładąc szczególny nacisk na bójkę i ”dowcip” z samochodem. Właśnie przed chwilą rozmawiał przez telefon z generałem Taylorem, który dopiero teraz dotarł do swej kwatery, spędziwszy wiele godzin samotnie w samochodzie unieruchomionym na odludziu, podczas gdy jego szofer wyruszył z kanistrem na poszukiwanie benzyny. Foley, który ani myślał się przyznawać do autorstwa „kawału”, wspomina, że „Sink miał gdzieś, czy przechodzący szeregowi i podoficerowie słyszą to, co mówi. Był wściekły i nic go nie obchodziło, kto słucha, kiedy nas opieprza. To był piękny, klasyczny, wojskowy, piętrowy, kunsztowny opieprz, opeer, od którego niewiele piękniejszych dane mi było wysłuchać”.

Sink nie potrafił się długo gniewać i ten przypadek też nie był wyjątkiem. Już tydzień później, 4 lipca, przygotował huczne przyjęcie pod gołym niebem z okazji Święta Niepodległości. Ale 4 lipca lało jak z cebra, podobnie następnego dnia. Niezrażony Sink dwukrotnie przesunął termin, aż w końcu 6 lipca impreza doszła do skutku.

Już od samego rana trwały zawody sportowe w różnych konkurencjach. Nad jeziorem krążyły szybowce, korzystając z górskich prądów wznoszących. Dowództwo Transportu

Lotniczego wypożyczyło pułkowi C-47, z którego po południu wyskoczyło dwunastu spadochroniarzy, lądując w jeziorze. W parku rozstawiono stoły uginające się pod jedzeniem i napitkami. Miejskowa orkiestra dęta w skórzanych portkach uprzyjemniała gościom pobyt, grając tradycyjne melodie. Żołnierze domagali się amerykańskich przebojów, ale austriaccy muzycy nie mieli nut i nie opanowali jeszcze nowego repertuaru. Nikomu to nie przeszkadzało, wszyscy i tak tańczyli. Dziewczęta nosiły opaski „DP” (zakaz fraternizacji dotyczył tylko Niemek i Austriaczek, dipiski były spod niego wyłączone. Opaski „DP”, które miały odróżniać zwierzynę łowną od zakazanego owocu, były bardzo poszukiwane przez żołnierzy i wkrótce stały się elementem miejscowego stroju kobiecego (na równi ze sznurowanymi stanikami i filcowymi kapelusikami), ale jak wspomina Foley, „nie spotkałem tam ani jednej prawdziwej dipiski”.

Górskie powietrze, sporty bez ograniczeń, dostatek kobiet i alkoholu, łatwa służba, dobre polowanie i bojowy pułkownik z twardym karkiem, którego wszyscy kochali - o czymże jeszcze może marzyć prosty żołnierz?

Dla żołnierzy kompanii E powinny to być najlepsze wakacje w ich życiu. A jednak, po kilku tygodniach, wszyscy mieli ich serdecznie dosyć. Frustrowała wojskowa biurokracja, nudzili się jak mopsy, pili stanowczo zbyt wiele, a nade wszystko - chcieli do domu.

Powrót do kraju zależał od klasyfikacji punktowej, która stanowiła w tej chwili właściwie jedyny temat rozmów i prowadziła do wielu napięć. System punktowania wprowadzony przez Armię Stanów Zjednoczonych dawał żołnierzom punkty za każdy miesiąc służby czynnej, punkty za udział w kampaniach, punkty za odznaczenia, dodatkowe punkty dla żonatych. Magiczną granicą była liczba osiemdziesięciu pięciu punktów. Ci, którzy ją osiągnęli, mieli prawo do natychmiastowego powrotu do kraju i demobilizacji. Ci, którym ich brakowało, byli skazani na pozostanie w dywizji i groził im udział w Wielkim Skoku - do Chin lub Japonii.

Po raz pierwszy od wstąpienia do służby żołnierze zaczęli się przejmować uzyskanymi odznaczeniami. Brązowa Gwiazda była na przykład warta pięć punktów, a to, że nadawano ją na tak niskim szczeblu, nieuchronnie prowadziło do nadużyć i faworyzowania. Porucznik Foley przypomina sobie „przypadek adiutanta pułku, który dostał podobno swoją Brązową Gwiazdę za trafny wybór hotelu Zell na kwaterę pułkownika Sinka”.

Żołnierze kompanii E czuli się pokrzywdzeni jeszcze z innego powodu: w wojskach powietrznodesantowych odznaczeniami szafowano bardzo skąpo, uznając, że odwaga jest jednym z naturalnych atrybutów ochotnika. Bardzo trudno było dostać cokolwiek poza Fioletowym Sercem. Webster pisze:

W całej 101 dywizji, na przykład, było tylko dwóch kawalerów Medalu Honoru: szeregowy i podpułkownik z 502 pułku, i to obaj pośmiertnie. Major Winters, który zasłużył nań z okładem za swój atak na baterię w Normandii, dostał tylko Krzyż za Wybitną Służbę - i to jedyny w całym 2 batalionie. W naszej kompanii tylko Speirs i może ze dwu, trzech innych, dostało Srebrne Gwiazdy, a najwyżej tuzin innych dosłużyło się Brązowej Gwiazdy, którą w piechocie rozdawano garściami. Tylko Fioletowych Serc mieliśmy na kopy, lecz te uznawaliśmy nie za odznaczenie, ale za oznakę rodzaju broni.

Większość żołnierzy kompanii E mogła się tylko pochwalić Medalem Europejskiego Teatru Działań Wojennych z czterema gwiazdami za kampanie - ale taki sam dostawał każdy kancelista, który przez całą wojnę nie wyściubiał nosa z magazynu. Webster pisał także o tym problemie:

Taki na przykład McClung. Cichy, chudy, nie rzucający się w oczy, nikt go w ogóle nie zauważał. A mimo to chłopaki z 3 plutonu zarzekają się, że ukatrupił więcej Niemców niż ktokolwiek w całym batalionie. McClung był w stanie wywietrzyć szkopa, on na nich normalnie polował jak inni na jelenie. Polował przy okazji porannych ataków i w czasie nocnych patroli, wylazł z siebie, byle ich zabijać. Ryzykował więcej razy i więcej razy zgłaszał się na ochotnika do najniebezpieczniejszych zadań niż ktokolwiek inny w kompanii. Był na froncie przez wszystkie dni wszystkich kampanii, w Normandii, Holandii i Bastogne. I co z tego wszystkiego miał? Medal ETDW z czterema gwiazdkami, bo nigdy nawet nie został draśnięty.

Do tej samej kategorii należał plutonowy Shifty Powers. Jeden z najlepszych żołnierzy dywizji nie miał jednak żadnych odznaczeń, nawet Fioletowego Serca, i przez to brakowało mu punktów. Niezadowolenie żołnierzy doszło już jednak do tak niebezpiecznego poziomu, że generał Taylor zorganizował dla rozładowania nastrojów loterię w kompaniach - zwycięzca wracał do domu z miejsca, niezależnie od ilości punktów. Powers nie chciał w niej brać udziału. Kiedy Rogers próbował go nakłaniać, odparł:

- Daj spokój, Paul, w życiu nic nie wygrałem.

Rogers jednak postawił na swoim i nakłonił w końcu Powersa do wrzucenia kartki ze swoim nazwiskiem do hełmu. Kompanijna „sierotka” zamieszała w kartkach i wyciągnęła - właśnie Powersa.

Inny żołnierz natychmiast zaproponował mu tysiąc dolarów za odstąpienie szczęśliwego losu. Powers wspomina: „Przez chwilę się nad tym zastanowiłem. Tysiąc dolarów to jednak kupa forsy. W końcu jednak powiedziałem:

- Nie, chyba pojedę do domu”.

Powers spakował swoje łupy, głównie kolekcję pistoletów, załatwił brakujące papierki, pobrał zaległy żołd i pojechał wraz z dziesiątką innych szczęśliwców do Monachium. Po drodze, na zakręcie, inna wojskowa ciężarówka uderzyła czołowo w pojazd, którym jechali. Siła uderzenia wyrzuciła Powersa do góry, a spadając na jezdnię, złamał sobie kilka kości i doznał wstrząsu mózgu. I tak nie wyszedł na tym najgorzej, bo inny ze „szczęśliwców” zginął na miejscu. Powers wylądował w szpitalu, gdzie ukradziono mu wypłacone pieniądze i pistolety. Do domu dotarł w końcu goły jak święty turecki, statkiem szpitalnym, w wiele miesięcy po powrocie reszty swoich kolegów, którzy wtedy zostali w Zell am See.

Jakby nie dość było frustracji z powodu tego, że kanceliści i kucharze dostawali tyle samo punktów co frontowi żołnierze, okazało się, że wojskowa biurokracja prowadzi ich akta bardzo pobieżnie. Wszyscy żołnierze spędzali wiele godzin na liczeniu swoich punktów, ale rzadko kiedy ich wyliczenie zgadzało się z tym, które przedstawiała kancelaria pułku. Webster doliczył się na przykład osiemdziesięciu siedmiu punktów, ale kanceliści podliczyli go na zaledwie osiemdziesiąt.

Generał Taylor postanowił pomóc swoim weteranom. Odznaczył medalem Brązowej Gwiazdy wszystkich tych, którzy brali udział w kampaniach: normandzkiej, holenderskiej i belgijskiej, bądź w dwóch poprzednich, a w trzeciej nie wzięli udziału z powodu odniesionych ran. Decyzja ta poprawiła nieco wizerunek generała w oczach żołnierzy, ale realizacja spowodowała powstanie jeszcze większych niesnasek, gdyż od jej ogłoszenia do sporządzenia wniosków, zatwierdzenia ich, wypisania dokumentów, nadania medali - a przede wszystkim najważniejszych dla żołnierzy wiążących się z tym pięciu punktów - upłynęło wiele tygodni.

Całe to zamieszanie wywołało u żołnierzy głębokie niezadowolenie z armii. Werbownicy, którzy poszukiwali zasłużonych podoficerów i oficerów rezerwy, chętnych do pozostania w służbie zawodowej, spotykali się z bardzo chłodnym przyjęciem. Webster wyrażał odczucia kolegów, pisząc do rodziców:

Nienawidzę armii z taką zaciekłością i tak głęboko, że nie znajdę dla niej dobrego słowa, póki żyję. Czas spędzony w wojsku uważam za zmarnowany w dziewięćdziesięciu procentach. Jedyne, co mogę jej zawdzięczać, to że nauczyłem się dogadywać z innymi ludźmi.

Kiedy pułkownik Sink zaproponował wstąpienie do zawodowej służby wojskowej Wintersowi, ten zastanowił się przez chwilę, po czym zdecydowanie odmówił.

Żołnierze, trapieni problemami z punktacją i powrotami, mieli wciąż zbyt wiele alkoholu, zbyt wiele broni i zbyt wiele zdobycznych samochodów. Wypadki drogowe z udziałem pijanych kierowców stały się poważnym problemem dla dywizji w Austrii, powodując niemal tyle samo strat w ludziach, co niemieckie natarcia pod Bastogne. W ciągu pierwszych trzech tygodni pobytu w Austrii doszło do siedemdziesięciu wypadków, potem w ciągu sześciu tygodni czerwca i lipca do jeszcze większej ich liczby. Zginęło dwudziestu ludzi, rannych zostało ponad stu.

Pewnej nocy sierżant Robert Marsh odwoził z posterunku przy bocznej drodze szeregowego Johna Janoveka do kwatery plutonu. Janovek opierał się o drzwi szoferki ciężarówki mimo ostrzeżeń Marsha, że na ich zamku nie można polegać. W pewnej chwili najechali na pień drzewa i pod wpływem uderzenia drzwi się otworzyły, a wartownik wypadł z szoferki, uderzając głową w jezdnię. Marsh odwiózł go czym prędzej do szpitala w Zell am See, ale Janovek doznał złamania podstawy czaszki i lekarze nie byli mu w stanie pomóc. Kapitan Speirs pozbiierał jego osobiste rzeczy i wysłał rodzicom zegarek, portfel, odznakę spadochronową i chustę z czaszy spadochronu. Webster zapisał:

Tyle z nami przeszedł. Skakał w Holandii, walczył pod Bastogne. Nie znosił armii, a teraz, kiedy wojna się skończyła, kiedy stała przed nim szansa na powrót do domu, zginął w tak idiotyczny sposób.

Marsh był tego dnia trzeźwy. Kompania E szczyciła się tym, że jej kierowcy i wartownicy zawsze pełnią swoją służbę na trzeźwo. W innych kompaniach nie przykładano do tego aż takiej wagi. O'Keefe wspomina noc, kiedy wraz z szeregowym Lloydem Guyem obsadzał posterunek w połowie drogi pomiędzy Saalfelden a Zell am See. „Drogą pędził otwarty niemiecki wóz sztabowy i ani myślał zwalniać przed naszym posterunkiem. Guy i ja wyskoczyliśmy mu przed maskę, wzięliśmy na muszkę i zmusiliśmy do zatrzymania. Wewnątrz było dwóch gości w niemieckich mundurach, obu w sztok pijanych.

- Co jest, kurna, czego nas zatrzymujecie? Swoi jadą, nie widać?

Okazało się, że to też spadochroniarze, tylko z innej kompanii.

- Jasna cholera, o mało was nie rozwaliliśmy!

W końcu łaskawie zgodzili się zwolnić. Uprzedziliśmy ich, że piętnaście kilometrów stąd jest następny posterunek, żeby na niego uważali, bo tam ktoś może do nich wygarnąć. Obiecali raz jeszcze, że zwolnią, i pojechali.

A kiedy wróciliśmy, okazało się, że ci dwaj idioci dalej gnali na złamanie karku. Kiedy dojeżdżali do posterunku, Welling wezwał ich do zatrzymania dwa razy, bez skutku. Po trzecim „Stać!” bez żadnej reakcji, strzelił do kierowcy - tylko raz, ale za to celnie.

Welling potem odwiedził tego rannego w szpitalu. Tamten powiedział, że nie ma do niego żalu i w jego sytuacji pewnie by zrobił to samo”.

Sierżant „Chuck” Grant, jeden z ”ojców-założycieli” kompanii, służący w niej od czasów Toccoa, był wiecznie uśmiechniętym, pogodnym, kalifornijskim blondynem o atletycznej sylwetce, cieszącym się zasłużonym (w Holandii własnoręcznie uciszył działo kalibru 88 mm) szacunkiem i sympatią kolegów. Którejś nocy wioził zmianę dwóch szeregowych na posterunek wartowniczy przy drodze. Kiedy dojeżdżali na miejsce, natknęli się na jakieś zamieszanie.

Pijany żołnierz amerykański stał z pistoletem w ręku nad trupami dwóch Niemców. Zatrzymał ich, kiedy przejeżdżali samochodem, i zażądał benzyny, bo jego własny samochód stanął z braku paliwa. On nie znał niemieckiego, oni angielskiego, więc kiedy natychmiast nie dostał tego, czego żądał, doszedł do wniosku, że stawiają opór i zastrzelił ich.

Brytyjski major z wywiadu przypadkowo znalazł się tam w chwili, w której doszło do strzelaniny. On i jego sierżant wyskoczyli z jeepa, żeby zobaczyć, o co chodzi. Pijany Amerykanin wycelował w nich broń i kazał się wynosić.

W tej właśnie chwili nadjechał Grant. Pijak strzelił do niego, kiedy przejeżdżał, ale spudłował. Major chciał go rozbroić, wtedy żołnierz zastrzelił najpierw jego, a potem sierżanta. W tym czasie nadbiegł Grant, i tamten strzelił mu w głowę, po czym rzucił się do ucieczki.

Speirs bardzo cenił Granta. Powiadomiony przez wartowników telefonicznie o incydencie, wskoczył z porucznikiem Foleyem do jeepa i pojechali na miejsce zdarzenia. Zabrali Granta na nosze i zawieźli do pułkowego szpitala w Zell am See. Lekarz na dyżurze okazał się pijaną łajzą w obszarpanym mundurze. Nawet nie badając Granta, po bardzo pobieżnych oględzinach machnął ręką i powiedział, że już po nim.

Wściekły Speirs zostawił rozprawę z pijanym doktorem na później, a na razie wskoczyli z powrotem do jeepa i ruszyli do Saalfelden. Speirs usłyszał gdzieś przypadkiem, że właśnie w Saalfelden przebywali sławni niemieccy lekarze, ewakuowani z Berlina. Wśród nich znalazł się neurochirurg. Lekarz ten operował sierżanta Granta niezwłocznie i uratował mu życie.

Wiadomość o strzelaninie obiegła lotem błyskawicy całą kompanię E, która wyruszyła gromadnie na poszukiwanie winowajcy. Odnaleziono go w Zell am See, kiedy próbował zgwałcić austriacką dziewczynę. Okazał się świeżym nabytkiem kompanii I z ostatnich uzupełnień. Mimo jawnie okazywanej wrogości kolegów Granta, pojmany sprawca dotarł żywy do kwatery dowództwa kompanii.

Zdaje się, że potem tego sam żałował. Wokół niego zebrało się naraz pół kompanii, kilkudziesięciu wściekłych, żądnych odwetu weteranów, grożących mu, klnących i od czasu do czasu posyłających to cios pięścią, to kopniaka. Zanim zdążyło dojść do czegoś poważniejszego, prosto ze szpitala w Saalfelden wrócił kapitan Speirs. Wprost z drzwi, skierował swe kroki do więźnia.

- Gdzie broń?! - zawołał.

- Jaka broń?

Speirs wyjął z kabury pistolet, złapał go za lufę i zdzielił nim pijaka w twarz na odlew.

- Kiedy mówisz do oficera, dodawaj „sir” - powiedział Speirs i przyłożył mu z drugiej strony.

Winowajca opadł bezwładnie na krzesło. Do pokoju wbiegł szeregowy Hack Hansen z drugiego plutonu Granta, który dzielił z nim okop we wszystkich kampaniach od swego przybycia do kompanii przed Market-Garden. On także dobył pistoletu.

- Ty skur...synu, zabijałem już lepszych od ciebie! - wrzasnął od progu, celując mu prosto w twarz. Czterech żołnierzy musiało odciągać wrzeszczącego i kopiącego Hansena, domagającego się prawa do zabicia więźnia. Tłumaczy li mu, że szkoda jego życia za takiego śmiecia, żeby się opamiętał. Hansen jednak nadal się wrywał i w końcu pociągnął za spust, ale okazało się, że pistolet nie był nabity.

Gordon Carson wspomina: „Trzeba było zobaczyć minę tamtego...”

Teraz już wszyscy rzucili się na więźnia i pobili do nieprzytomności. Zaciągnęli go potem do aresztu pułkowego, gdzie przekazali żandarmom. Ci, kiedy się ocknął, dołożyli mu jeszcze od siebie pałkami tak, że skóra popękała i poląła się krew.

Następnego dnia Sink pojawił się w dowództwie kompanii.

- Gdzie Speirs?

- Na piętrze, panie pułkowniku!

Sink poszedł do pokoju kapitana, by poznać jego wersję przebiegu zdarzeń. Trwało to niemal godzinę. Po odjeździe Sinka Speirs zeszedł na dół. Carson wspomina swoją rozmowę z nim:

- No i jak było?

- Ciężko.

- Ale co powiedział pułkownik?

- Że powinienem zastrzelić sukinsyna.

Wszyscy znający renomę Speirsa byli zaskoczeni tym, że tego nie zrobił. Być może miał wątpliwości, czy pochwycono właściwego człowieka. Kiedy go o to zapytałem, odparł:

- Jeśli chodzi o tę sprawę ze strzałem do sierżanta Granta, to pewnie ma pan rację. Musiałem nie być pewien, czy to ten facet, bo przedtem nigdy nie miałem problemu z doraźnym wymiarem sprawiedliwości.

Zastanawiam się jednak nad jeszcze jednym możliwym wytłumaczeniem. Przecież Speirs nie był pierwszym człowiekiem, który miał okazję zastrzelić pijanego żołnierza z kompanii I. Pierwszą okazję miał sam Grant i prawie każdy z weteranów kompanii, z którym o tym rozmawiałem, żałował, że tego nie zrobił. Wielu z nich było wtedy w dowództwie, kiedy przywieziono winnego, wszyscy mieli broń, a przecież kiedy jeden z nich jej dobył, czterech innych odciągnęło go i rozbroiło.

Każdy z nich już w przeszłości zabijał. Postrzelony był ich kolegą, towarzyszem broni, byli oburzeni, napompowani adrenaliną. A mimo to potrafili się powściągnąć i ograniczyli do pobicia zabójcy.

Najwyraźniej mieli już po prostu dość zabijania.

* * *

Wkrótce po tym incydencie kapitan Speirs napisał obszerny list do sierżanta Forresta Gutha, który ze szpitala w Anglii donosił o swoich obawach, że po powrocie do zdrowia trafi do innej dywizji. Speirs lubił Gutha, uważał go za dobrego żołnierza i cenił za umiejętność utrzymywania broni w doskonałym stanie technicznym niezależnie od warunków zewnętrznych. Szczególnie zaś cenił jego talenty majsterkowicza, których owocem był specjalnie przerobiony dla Speirsa M1 Garand zdolny strzelać seriami. Guth, eksperymentując na zdawanych do remontu i spisanych ze stanu karabinach, odkrył, co i pod jakim kątem należy podpłować w zespole przerywacza, żeby nie łapał powracającego kurka i pozwalał oddać serię strzałów. Winters też miał jeden z tych przerobionych przez Gutha „zełmowanych” karabinów i zachował go po wojnie, zabierając ze sobą na kolejną wojnę w Korei. Potem mu się gdzieś zawieruszył, a Guth nie pamięta już teraz, jakich przeróbek należało dokonać. Odpowiedź na list Gutha pozwala poznać drugą stronę osobowości Speirsa. Oto srogi, bojowy dowódca, który „nigdy nie miał problemów z doraźnym wymierzaniem sprawiedliwości”, napisał teraz do jednego ze swoich podoficerów długi, pełen plotek list o wszystkim, co się działo w kompanii od czasu, gdy ją opuścił. List jest właściwie rodzajem kroniki towarzyskiej kompanii:

Luz spadł z motocykla i zranił się w rękę, na szczęście niegroźnie. Sierżantowi Talbertowi nie przypadło do gustu mianowanie go przeze mnie szefem kompanii, więc dałem mu 2 pluton po Lynchu. Plutonowy Alley znowu się zalał i trzeba go było zdegradować. Porucznik Lipton jest na urlopie w Szkocji, pisze, że bardzo szczęśliwy. Czekam z

utęsknieniem urlopu, żeby w Anglii zobaczyć się z żoną i dzieckiem. Sierżant Powers wygrał na loterii bilet do domu, ale po drodze ciężarówka miała wypadek i z popękaną czaszką wylądował w szpitalu. Plutonowy Strohl z 3 plutonu jest już w drodze do Stanów. Chuck Grant został postrzelony przez pijanego Amerykanina i niedobrze z jego głową. Na razie jest w pobliskim niemieckim szpitalu i dochodzi do siebie. Sierżant Malarkey właśnie do nas wrócił po długiej nieobecności. Plutonowy Rhinehard wrócił z Riwiery. McGrath odmówił wzięcia urlopu, bo oszczędza pieniądze.

I tak dalej. Speirs informuje dalej Gutha o przysługującej mu Brązowej Gwieździe za udział w kampaniach w Normandii, Holandii i w Ardenach oraz obiecuje go powiadomić o szczegółach, kiedy tylko coś będzie wiadomo. Pod listem było postscriptum:

Clark dostał właśnie papiery wykwalifikowanego zbrojmistrza i mogłem odesłać Burlingame'a do jego plutonu, bo nie był w stanie utrzymać Twojego szkopskiego generatora na chodzie. Na razie i tak nam zresztą niepotrzebny, bo tu w Austrii mamy, wyobraź sobie, prąd ze ściany i bieżącą wodę.

A poza tym, wracając do sprawy odznaczeń i przenosin, swoją baretkę Pochwały Prezydenckiej z Liściem Dębowym masz prawo nosić w każdym oddziale, do którego trafisz - zasłużyłeś na nią w 101 DPD.

Kompania rozpadała się z dnia na dzień. Generał Taylor rozkazał zebrać w 501 pułku stacjonującym w Berchtesgaden wszystkich żołnierzy z dużą liczbą punktów, którzy jeszcze nie wrócili do kraju. 501 pułk wycofano z czynnej służby, przekształcając w zbiorczy pułk dla wszystkich wracających do Stanów Zjednoczonych weteranów dywizji. Starzy żołnierze kompanii pojechali więc do Berchtesgaden, inni przebywali w szpitalach albo już pojechali do domów.

Teraz rekruci, którzy trafili do kompanii w Mourmelon czy Haguenau, stali się w niej „dziadkami”.

Generał Taylor odbył kolejną podróż do Ameryki. Kiedy z niej powrócił pod koniec czerwca, oznajmił, że dywizja po zimowych wakacjach w kraju zostanie wiosną skierowana na Pacyfik. Tymczasem zaś miała, na polecenie prosto z Departamentu Wojny, wznowić intensywne szkolenie bojowe. Wznówić, a więc na dobrą sprawę przejść je od nowa, skoro ponad trzy czwarte jej obecnego składu nie wachało prochu.

Ponownie do rozkładu dnia wróciły gimnastyka i musztra, nauka o broni, obejmująca nomenklaturę i współdziałanie części karabinu M1, ręcznego karabinu maszynowego Browninga i karabinka M1. Wróciłyienne i nocne marsze drogowe i przełajowe, sygnalizacja ręczna, taktyka drużyny i plutonu. Wróciły „atrakcje” życia koszarowego:

inspekcja rejonów i pomieszczeń, sprawdzanie przyborów toaletowych, wyposażenia osobistego, oporządzenia, salutowanie i dyscyplina. Uczyli się od nowa pierwszej pomocy, higieny bytowania w polu, czytania map, terenoznawstwa, strzelali na sucho, tydzień spędzili w polu na nauce triangulacji, coraz więcej czasu spędzali na strzelnicy karabinowej. Webster, którego kanceliści „okradli” z siedmiu punktów, zażywał tych rozkoszy razem z nowicjuszami.

I tak to szło, i szło, a jednocześnie narastała nasza złość i obrzydzenie.

Wrócił porucznik Peacock, jak się okazało, jeszcze większy zupak niż dotąd.

Jego przeginanie pały ze szkoleniem dało nam się tak bardzo we znaki, że ludzie, którzy byli z nim w Holandii i Bastogne, nie byli nawet w stanie patrzeć na sukinsyna, żeby się nie porzygać. Byłem tak wściekły i zrozpaczony tym wszystkim, że gdybym miał mniej punktów, pewnie zgłosiłbym się na ochotnika do walki na Pacyfiku, żeby tylko pozbyć się tego buca i nie być zmuszonym do jeszcze jednego dnia unitarki pod jego świątym dowództwem.

W połowie lipca weterani Normandii zniknęli z kompanii na dobre, poza nieszczęsnym Websterem, który nadal nie był w stanie wywalczyć w kancelarii sztabu pułku uznania swoich osiemdziesięciu siedmiu punktów. Do odjeżdżających do 501 pułku żołnierzy pułkownik Sink wygłosił mowę pożegnalną: „Z żalem patrzę na wasz odjazd, bo byliście mi przyjaciółmi i towarzyszami broni przez tak długo. Większość z was miała w tej czy innej chwili okazję zaznać mego gniewu. Mam nadzieję, że nie chowacie do mnie urazy i że byłem sprawiedliwy. Staralem się nim być. Niech was Bóg prowadzi w dalszą drogę. Niech ten sam, który prowadził was za rękę w Normandii, Holandii, Bastogne i Niemczech, patrzy na was łaskawym okiem i ma na was baczenie, póki nie nadejdzie pora na ostatni Wielki Skok”.

Pod koniec lipca dywizja wyruszyła wagonami „40 lub 8” z powrotem do Francji. Kompania E zajęła koszary w Joigny, małym miasteczku na południe od Paryża. Winters, Speirs, Foley i inni pojechali na urlopy do Anglii. W tym czasie, 6 i 8 sierpnia zrzucono na Japonię bomby atomowe, uwalniając żołnierzy od obaw o kolejną kampanię na Pacyfiku. Od tej chwili w wojskach powietrznodesantowych zaczął się wielki ruch. Żołnierze z małą ilością punktów zostali przeniesieni do 17 DPD, pozostali do 82 DPD. Gazeta dywizyjna, „Screaming Eagle” narzekała:

Nasza dywizja przypomina teraz bardziej ośrodek uzupełnień niż dumną, bojową dywizję z pełną chwałą historią.⁵⁵

⁵⁵ Rapport i Northwood, op. cit, s. 775.

Jedenastego sierpnia pułkownik Sink został przeniesiony na stanowisko zastępcy dowódcy dywizji. 22 sierpnia z dywizją - a raczej tym, co z niej zostało - pożegnał się generał Taylor, którego mianowano komendantem Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych w West Point. Niedługo potem 506 pułk spakował się i został przeniesiony do 82 DPD w Berlinie. Podobno pułkownik Sink płakał, kiedy jego chłopcy maszerowali na stację kolejową w Joigny, by wyruszyć w podróż do 82 DPD. Webster uważa, że to bardzo prawdopodobne, gdyż „Sink był sercem i duszą naszego pułku”.

Później, w 1946 roku, szykując do druku wspomnienia, których nikt nie chciał wydać, napisał takie oto zakończenie losów swego pułku:

Nasz piękny granatowy, jedwabny sztandar pułkowy z wyhaftowanymi konturem góry Currahee, błyskawicą i sześcioma spadochronami został zwinięty, spakowany w pokrowiec i od tej pory pokrywa się kurzem gdzieś na półce Archiwum Narodowego w Waszyngtonie, Trzydziestego listopada 1945 roku 101 DPD została rozwiązana. Kompania E przestała istnieć.

Narodziła się w lipcu 1942 roku w Toccoa w stanie Georgia. Jej istnienie dobiegło kresu niemal równo w trzy lata później, w austriackim Zell am See. W ciągu tych trzech lat jej żołnierze widzieli więcej, przeżyli więcej i dali z siebie więcej, niż większość ludzi widzi, przeżywa i daje z siebie w ciągu całego życia.

Uznali armię taką, jaką poznali, za instytucję nudną, nieczułą, pełną bezmyślnego zupactwa, i nauczyli się jej nienawidzić. Poznali brzydotę, zniszczenie i śmierć, nierozzerwalnie związane z walką, i je także nienawidzili. Wszystko było dla nich lepsze niż ta krwawa rzeźnia, brud i smród, niemożliwe do spełnienia wymagania stawiane ciału - wszystko, poza zawodem, jaki sprawiliby kolegom.

Bo odnaleźli na wojnie najbliższe braterstwo, jakie kiedykolwiek poznali. Odkryli radość samozaparcia, poświęcania siebie i swojej wygody dla innych. Przekonali się, że mogą pokochać zupełnie obcego faceta, z którym dzielili okop, bardziej od siebie samego. Zobaczyli na własne oczy, jak ludzie kochający życie ponad wszystko, oddawali je za innych bez mrugnienia okiem.

Mieli trzech dowódców, których nigdy nie zapomną: Herberta Sobela, Richarda Wintersa i Ronalda Speirsa. Każdy z nich pozostawił swój ślad, ale Winters, który był z kompanią od pierwszego do ostatniego z jej tysiąca dziewięćdziesięciu pięciu dni istnienia, miał na nich największy wpływ. Dla kombatantów kompanii E to zawsze była, jest i będzie kompania Dicka Wintersa.

Zwłaszcza dla kompanijnych podoficerów. Ci, którzy w ostatnich dniach walki byli kapralami i sierżantami, zaczęli jako szeregowi w Toccoa. Całe trzy lata swojej służby spędzili w kompanii E. Oficerowie przychodzili i odchodzili, część po odejściu do batalionu i pułku nadal utrzymywała z nią więź, inni nie, ale tylko Winters i podoficerowie byli z nią na co dzień, obecni w każdym dniu istnienia kompanii, jeśli nie ciałem (bo akurat leczeni w szpitalach), to chociaż duchem. To oni wspólnie trzymali ją w kupie, zwłaszcza w okropnych dniach ardeńskiego kryzysu, wśród ostrzału artylerii i błędów nieudolnych oficerów usiłujących bez powodzenia przejąć schedę po Wintersie. Przywódcami tej kadry podoficerskiej, de facto lub tylko z racji awansu na starszych sierżantów i szefów kompanii, byli kolejno William Evans, James Diel, Carwood Lipton i Floyd Talbert.

Trzydziestego września 1945 roku sierżant Talbert przebywał w szpitalu w Fort Benjamin Harrison w stanie Indiana. Stamtąd napisał list do Wintersa. Nie miał daru słowa jak literat Webster, ale pisał od serca, wyrażając to, co czuli wszyscy żołnierze kiedykolwiek służący pod rozkazami Wintersa w kompanii E.

Pisał, że bardzo chciałby kiedyś jeszcze się z nim spotkać, bo ma mu wiele do powiedzenia.

Pierwsze, co chciałbym ci powiedzieć, Dick, to że [...] jesteś kochany i nigdy nie zostaniesz zapomniany przez żadnego z żołnierzy, którzy kiedykolwiek służyli pod tobą, czy raczej z racji sposobu, w jaki dowodziłeś - z tobą. Jesteś dla mnie najwspanialszym żołnierzem, jakiego miałem okazję w życiu spotkać. [...]

Człowiek dostaje na wojnie to, czego nie zazna nigdzie indziej. Wojna bardzo umocniła moją wiarę w siebie i zaufanie we własne zdolności. Zresztą, po co ja ci to piszę, sam to wiesz jeszcze lepiej ode mnie.

Chyba już skończę. Jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego miałem, i chciałbym tylko, żebyśmy się poznali z innej okazji. W walce byłeś moim idolem, moim natchnieniem, od Ciebie czerpałem siłę. Pewien mały major, którego obaj znamy, scharakteryzował Cię krótko - „najlepszy i najodważniejszy żołnierz, jakiego poznałem”. Bardzo szanuję jego opinię. On też był wielkim żołnierzem, ale przekazałem mu, że dla mnie Ty byłeś największy. Wiesz już teraz, że za Tobą poszedłbym nawet do piekła. Bo kiedy byłem z Tobą, miałem pewność, że wszystko jest pod kontrolą i nie ma się czego bać.

Winters żywił do swoich współtowarzyszy równie ciepłe uczucia. W 1991 roku podsumował historię kompanii i znaczenie jej istnienia w następujących słowach: „101 Dywizja Powietrznodesantowa składała się z kilkudziesięciu dobrych, solidnych, godnych

zaufania kompanii. Kompania E 506 pułku piechoty spadochronowej wyróżnia się jednak spośród nich dzięki szczególnej więzi, która łączyła jej żołnierzy.

To wspaniałe poczucie wspólnoty, bliskości, elitarności wzięło swój początek pod żelaznym kułakiem kapitana Sobela w Toccoa. Pod jego rządami żołnierze przekonali się, że tylko w najbliższej wspólnocie uda im się przeżyć. Jego rządy doprowadziły w końcu podoficerów kompanii na krawędź buntu, jeszcze zacieśniając tę wspólnotę.

Po stresach szkolenia nadeszły stresy walki w Normandii, gdzie działania kompanii umożliwiły zdobycie przejść wiodących w głąb lądu z odcinka desantowego Utah i w konsekwencji powodzenie ważnej części całej operacji. Nagrodą za ten sukces były kolejne trudne zadania. Kompania E dostawała je bez przerwy w Normandii, Holandii, pod Bastogne, w Niemczech.

Nadzwyczajna więź pomiędzy żołnierzami kompanii E, która powstała w wyniku wszystkich wspólnie przeżywanych stresów, przetrwała wojnę i lata, jakie po niej przyszły”.

POWOJENNE LOSY

1945-1991

Czterdziestu ośmiu żołnierzy kompanii E oddało życie za ojczyznę. Ponad stu odniosło rany, część z nich ciężkie, niektórzy dwukrotnie, kilku trzykrotnie, jeden czterokrotnie. Większość przeżyła stres związany z walką, niektórzy przyplacili to załamaniem nerwowym. Wszyscy oddali wojnie najlepsze lata swego życia. Stali się wyszkolonymi zabójcami, przemoc była ich instynktowną reakcją. Niewielu z nich zdążyło ukończyć jakieś szkoły przed wojną, jedyne umiejętności zawodowe, jakie posiadli, to te, których wojna uczy frontowego żołnierza piechoty.

Wychodząc z wojska, byli zdecydowani nadrobić stracony czas. Rzucili się do szkół, korzystając ze stypendiów dla kombatantów, przyznanych im w ramach *GI Bill of Rights*, ustawy o uprawnieniach kombatantów, powszechnie uznawanej za najlepsze prawo, jakie kiedykolwiek od czasów konstytucji uchwalił Kongres Stanów Zjednoczonych. Pożenili się i mieli dzieci najszybciej, jak to tylko było możliwe. Potem zajęli się zdobywaniem sobie miejsca w życiu.

Odnieśli w tej dziedzinie wielkie sukcesy, głównie dzięki własnej determinacji, ambicji i ciężkiej pracy, po części zaś także dzięki temu, co wynieśli ze służby wojskowej. To armia nauczyła ich polegania na sobie i wiary w siebie, samodyscypliny i posłuszeństwa, to ona im udowodniła, że są w stanie znieść więcej, niż im się kiedykolwiek zdawało, nauczyła ich współpracować z zupełnie obcymi ludźmi. Poszli na ochotnika do wojsk spadochronowych, bo chcieli być z najlepszymi i chcieli się stać najlepszymi. Udało się im. W cywilnym życiu także nie poprzestawali na małym, wymagali najwięcej i tam też im się udało.

Przedstawiciele generacji urodzonych pomiędzy 1910 a 1928 rokiem mają charakter jak z kamienia. Byli dziećmi Wielkiego Kryzysu, toczyli największą wojnę w dziejach ludzkości, a po niej uczestniczyli w odbudowie świata i powojennym boomie gospodarczym. Przyjęli pomoc, oferowaną im przez *GI Bill of Rights*, ale nigdy nie wyciągali ręki po jałmużnę. Wszystko musieli zrobić na swój sposób, tylko sobie mogli to zawdzięczać. Kilku dorobiło się fortun, kilku doszło do władzy, niemal wszyscy się pobudowali, założyli rodziny i żyli dostatnio, korzystając z wolności, za którą walczyli.

Opowieść o powojennych losach wypada zacząć od najciężej rannych. Kapral Walter Gordon został sparaliżowany w wyniku rany pleców, odniesionej pod Bastogne. Po sześciu tygodniach unieruchomienia w wyciągu w szpitalu w Anglii zaczął odzyskiwać czucie w kończynach. Bardzo pomógł mu doktor Stadium, który zwykł stawać w nogach jego łóżka, kiedy wykonywał ćwiczenia, i prowokować go, wymyślając od próżniaków i obiboków. Gordon wściekał się, klął doktora i napinał mięśnie, zmuszając do wzmożonego wysiłku. „Stadium nie dawał mi spokoju i ani przez chwilę nie pomyślałem, że mógłbym zostać bezradnym kaleką na całą resztę życia”.

Po zdjęciu wyciągu Stadium zaczął go na nowo uczyć chodzić, czy raczej na razie choćby powłóczyć nogami. Na wiosnę 1945 roku Gordona zaliczono w poczet „rannych chodzących” i wysłano statkiem szpitalnym do Ameryki, gdzie powoli wracał do siebie w Szpitalu Ogólnym Lawsona w Atlancie. Tam doczekał końca wojny w Europie. Chodził, skarżąc się na ból pleców, siedział, cierpiąc ból pleców, spał z tym bólem. Nie był zdolny do jakiegokolwiek fizycznej pracy, a już na pewno armia nie miałaby z niego żadnego pożytku. W połowie czerwca jego ojciec pytał, kiedy go wreszcie zwolnią z wojska. Jedyne, co mu mógł odpowiedzieć, to „nie wiem”, zgodnie z prawdą.

Szesnastego czerwca wezwano go na badanie lekarskie. Młody lekarz obwieścił mu, że zostaje przeniesiony do Fort Benning, „do lekkiej służby”. Gordon doskonale rozumiał powody tego ruchu: „Rany tego typu leczy się bardzo powoli, więc gdyby teraz zwolnili do cywila weterana o tak wielkim stopniu trwałej utraty zdrowia, musieliby płacić bardzo wysokie odszkodowanie. Przez tych kilka miesięcy, na które mnie zatrzymywali, mój stan znacznie mógł się poprawić. I o to chodziło”.

Gordon zadzwonił do ojca, by mu przekazać tę wiadomość. Wywołała ona długą, gniewną tyradę. „Wytknął w niej, że zostałem dwukrotnie ranny i w tej chwili byłem, jak stwierdził, kaleką. Uznał, że już zrobiłem to, co do mnie należało, i że czas najwyższy, żebym wracał do domu. Zanim skończył, powiedział mi, co mam przekazać lekarzowi wojskowemu.

Posłuchałem, choć nie bez zażenowania. Spotkałem się z doktorem i zacząłem od tego, że to, co mam do powiedzenia, to słowa mojego starego, a nie moje własne, i że ja nie mam z tym nic wspólnego.

- No, wykrztuszę wreszcie! - niecierpliwie machnął ręką lekarz, dając do zrozumienia, że jest bardzo zapracowany.

- Ojciec powiedział, że mam panu przekazać, że jeśli wyśle mnie pan gdziekolwiek indziej niż do domu, to on tam pojedzie, zabierze mnie, zawiezie do Waszyngtonu i jeśli się

to okaże konieczne, żebyście się ode mnie odczepili, rozbierze mnie do pasa na środku sali Senatu.

Doktorkowi mina zrzędała. Z oczu wyzierały mu myśli, jakie w tej chwili zapewne przewalały mu się przez głowę: „O Boże, tylko nie to! Tylko tego mi jeszcze trzeba - senator z Missisipi grzebiący w moich papierach. Toż to z miejsca bilet na Pacyfik. Zabierzcie go stąd!”. Głośno zaś powiedział:

- Dobra. Natychmiastowe zwolnienie z pełną niezdolnością. Może być?

A potem dopilnował, żebym dostał nowe sorty mundurowe, żeby dentysta zaplombował mi wszystkie dziury, a kasa zapłaciła zaległe pobory”.

Gordon poszedł na studia prawnicze na Uniwersytecie Cumberland, w Lebanon w stanie Tennessee. Ze stypendium z GI Bill of Rights i dwustu dolarami miesięcznie renty inwalidzkiej, był, jak sam wspomina, „bogатыm studentem”. Dodajmy, że i dobrym. Zdał adwokackie egzaminy aplikanckie, zanim jeszcze ukończył studia, tak więc był „dyplomowanym adwokatem wciąż jeszcze chodzącym na zajęcia”. Po uzyskaniu dyplomu pracował w kilku dużych firmach nafciarskich z południa Luizjany. W 1951 roku na wakacjach w meksykańskim Acapulco spotkał Betty Ludeau. Pobrali się rok później, przeprowadzili do Lafayette w Luizjanie i urodziło im się pięcioro dzieci, w tym cztery córki. „Zrozumiałem, że moja pensja nie wystarczy na utrzymanie rodziny na poziomie, o którym myślała Betty, więc zacząłem pracować na własny rachunek”.

Zajął się rynkiem wysokiego ryzyka - nabywaniem i sprzedażą praw do eksploatacji złóż ropy naftowej, a więc do pewnego stopnia spekulowaniem przyszłymi zyskami. Okazało się, że ma do tego smykałkę i odniósł sukces. Gordonowie mają dziś dom w Lafayette i mieszkania w Pass Christian w stanie Missisipi, Nowym Orleanie i Acapulco. Walter nadal miewa bóle i chodzi z trudem, ale ma wspaniałe dzieci i wnuki, z których się cieszy. Z Barbarą wciąż się kochają, żartują z siebie nawzajem. To było naprawdę dobre życie.

- Co znaczyła dla pana służba w wojsku? - zapytałem go na koniec naszego trzydniowego maratonu wspomnień.

- To były najważniejsze lata mojego życia. Miały na mnie olbrzymi wpływ. Nawiązałem przyjaźnie, które do dziś są dla mnie najważniejsze. Mam olbrzymie szczęście, że wyszedłem z tego żywy, ale jeszcze większe, że dane mi to było przeżyć w gronie tak wspaniałych ludzi.

W grudniu 1991 roku Gordon przeczytał w wychodzącej w Gulfport gazecie „Sun Herald”, że ówczesny burmistrz Eindhoven, Jan Ritsema, odmówił spotkania z generałem Normanem Schwarzkopffem, ponieważ, jak się wyraził, dowódca wojsk ONZ w Zatoce

Perskiej „miał zbyt wiele krwi na rękach”. Ritsema powiedział o Schwarzkopfie, że to „człowiek, który wymyślił najbardziej skuteczny sposób zabicia możliwie największej liczby ludzi”. Gordon wziął wtedy za pióro i napisał do burmistrza list:

Szanowny Panie Burmistrzu.

Siedemnastego września 1944 roku brałem udział w wielkiej operacji powietrznodesantowej przeprowadzonej w celu wyzwolenia Pańskiego kraju. Jako żołnierz kompanii E 506 pps lądowałem ze spadochronem w pobliżu miasteczka Son. Następnego dnia ruszyliśmy na południe, by wyzwolić Eindhoven. Wykonując to zadanie, „ponieśliśmy straty”, czyli mówiąc po ludzku, a nie językiem armii, wielu z nas zginęło, jeszcze więcej odniosło rany. Przez ponad dwa miesiące broniliśmy zajętych pozycji. Żyliśmy w jamach kopanych w ziemi, w stodółach i oborach, jak zwierzęta, radząc sobie najlepiej jak potrafiliśmy. Pogoda była paskudna, zimno i mokro. Pomimo tych przeciwności, wykonaliśmy swoje zadanie i utrzymaliśmy teren, który tak ciężko wywalczyliśmy.

Wtedy obywatele Holandii nie dzielili Pańskiej awersji do przelewu krwi, gdy chodziło o krew niemieckich okupantów Pańskiego miasta. Jakże krótka jest ludzka pamięć. Historia nieraz przecież dowiodła, że Holandia może stać się łupem swojego potężnego sąsiada, Niemiec, kiedy tylko ci będą cierpieć z powodu weekendowej nudy i tłoku na polach golfowych. Proszę, żeby Pański kraj nie dał się podbić Liechtensteinowi czy Watykanowi, bo tym razem nie mam zamiaru wracać, żeby was wyzwalać. Od tej chwili radźcie sobie sami.

Z poważaniem, Walter Gordon, kapral.

Sierżant Joe Toye tak opisuje swoje dalsze losy: „Po tym, jak zostałem ranny (to było już moje czwarte Fioletowe Serce) pod Bastogne, przeszedłem szereg operacji. Najważniejszą z nich była amputacja prawej nogi powyżej kolana. Potem miałem jeszcze dwie inne operacje, w celu usunięcia odłamków z klatki piersiowej.

Ożeniłem się 15 grudnia 1945 roku, w szpitalu w Atlantic City. Do cywila zostałem zwolniony 8 lutego 1946 roku”.

Przyznano mu osiemdziesięcioprocentową trwałą utratę zdrowia. Przed wojną był formierzem w odlewni, ale z drewnianą nogą nie mógł wrócić do tej pracy. Zatrudniono go w tkalni w Reading, w Pensylwanii, a potem dwadzieścia lat przepracował w stalowni koncernu Bethlehem Steel jako ślusarz narzędziowy.

Miał trzech synów i córkę. „Zabierałem swoich chłopców na ryby, na polowania, ale sam nigdy nie nosiłem broni - bałem się wypadku z bronią, w razie gdybym się potknął. Bo z tą sztuczną nogą to już tak jest, że jak ją coś zatrzyma, to lecisz człowieku na łeb, na szyję,

nie ma mocnych. Więc nigdy nie nosiłem broni na polowaniu. Ale zabierałem ich na polowania na jelenie i na ryby. Co roku wyjeżdżaliśmy pod namiot do Kanady”.

Od 1946 roku w dziedzinie protez kończyn dokonał się olbrzymi postęp. Toye uważa, że w szpitalach Urzędu do spraw Kombatantów lekarze traktowali go zawsze dobrze i nikt nie skąpił mu najnowszych urządzeń protetycznych. Narzeka tylko na jedno. Kiedy chciał dostać dwie protezy, jedną nieco większą w miejscu, gdzie styka się z kikutem, doktorzy „powiedzieli, że jedna mi wystarczy. No i dobra, niech będzie, tylko że muszę bardzo pilnować, żeby nie utyć i nie schudnąć, bo to cholerstwo przestanie pasować”.

Sierżant Bill Guarnere także stracił nogę powyżej kolana pod Bastogne. Po zwolnieniu ze służby w lecie 1945 roku przyznano mu osiemdziesiąt procent trwałej utraty zdrowia. Ożenił się, miał dziecko, pracował jako drukarz, sprzedawca, urzędnik Urzędu do spraw Kombatantów, a potem cieśla, wciąż z tą swoją sztuczną nogą. W jego papierach powstało wiele zamieszania, przez które stracił sporo pieniędzy i czasu na przepychanki z Urzędem do spraw Kombatantów. W 1967 roku wreszcie przyznano mu sto procent utraty zdrowia i mógł przejść na pełną rentę. Z miejsca wyrzucił z ulgą sztuczną nogę i od dwudziestu czterech lat porusza się o kulach. Porusza się na nich szybciej i sprawniej niż niejeden młodszy od niego człowiek na dwóch zdrowych nogach. Mieszka na południu Filadelfii, gdzie dorastał, ze swoją żoną Fran. Mają pięcioro dzieci, a jego najstarszy syn był spadochroniarzem w Wietnamie. Bardzo aktywnie działa w stowarzyszeniu weteranów 101DPD i podtrzymuje więzi pomiędzy członkami kompanii E.

Sierżantowi Chuckowi Grantowi, postrzelonemu w głowę przez pijanego żołnierza w Austrii już po wojnie, życie uratowali niemieccy lekarze. Powoli doszedł do siebie, choć pocisk uszkodził mu mózg na tyle, że ma trudności z mówieniem i sparaliżowane lewe ramię. Po zwolnieniu ze służby z powodów zdrowotnych z uznaniem pełnej niezdolności do pracy mieszkał w San Francisco, gdzie prowadził mały sklepik z cygarami. Przez lata regularnie uczęszczał na spotkania kompanii E i udzielał się w stowarzyszeniu weteranów 101 DPD. Mike Ranney nominował go na delegata 506 pps w zarządzie stowarzyszenia 101 DPD. Został wybrany i pełnił swoje obowiązki zaszczytnie. Zmarł w roku 1984.

Porucznik Fred „Moose” Heyliger, dwukrotnie postrzelony przez własnego podwładnego w Holandii, kiedy zapomniał hasła, został ewakuowany do szpitala w Glasgow, po czym odpłynął na z Queen Elizabeth do Nowego Jorku. W ciągu kolejnych dwóch i pół roku był jeszcze trzykrotnie przenoszony służbowo do kolejnych garnizonów. Zanim został zwolniony do cywila w lutym 1947 roku, przeszedł operację przeszczepu skóry i tkanki nerwowej. Po powrocie do cywila skorzystał ze stypendium w ramach GI Bill of Rights i

zapisał się na Uniwersytet Massachusetts, gdzie w roku 1950 dostał dyplom z dziedziny ogrodnictwa. Przez niemal czterdzieści następných lat pracował jako konsultant i dostawca w różnych firmach zajmujących się zakładaniem ozdobnych ogrodów oraz utrzymywaniem pól golfowych. Ma dwóch synów oraz córkę, i wytrwale oddaje się swoim pasjom: polowaniu z łukiem, ornitologii i podróżom z namiotem.

Sierżant Leo Boyle został zwolniony do cywila 22 czerwca 1945 roku, po niemal dziewięciu miesiącach spędzonych w szpitalach w Belgii, Anglii i Stanach. Przy zwolnieniu orzeczono tylko trzydzieści procent trwałej utraty zdrowia. Pracował jako hamulcowy na kolei, ale jego nogi nie były w stanie znieść tego zajęcia na dłuższą metę. Odszedł więc do innej pracy, na pocztę, gdzie sortował listy, ale jego nogi nie wytrzymały również tej roboty. „Do tego czasu byłem już tak chory i było mi tak źle, że zgłosiłem się do szpitala Urzędu do spraw Kombatantów. Po paru dniach zebrała się tam komisja lekarska, podniosła mi kategorię utraty zdrowia do pięćdziesięciu procent, po czym wypisano mnie ze szpitala, nie zajmując się ani trochę tym, co miałbym robić w przyszłości”.

Boyle skorzystał ze stypendium kombatanckiego i zapisał się na wydział politologii Uniwersytetu Oregońskiego, który ukończył z odznaczeniem jako prymus swojego roku. Po ukończeniu studiów został nauczycielem w szkole średniej, a potem zaczął pracować z dziećmi opóźnionymi w rozwoju. „To była wspaniała praca przynosząca wielką satysfakcję. Pomiędzy tymi dziećmi a nauczycielem zawsze tworzyła się gorąca, bardzo serdeczna atmosfera”.

Kiedy odszedł na emeryturę w 1979 roku, został uhonorowany medalem stowarzyszenia Phi Delta Kappa za szczególne osiągnięcia w pracy z dziećmi szczególnej troski.

Także dwaj inni żołnierze kompanii, jej ostatni sierżant - szef i jej pierwszy dowódca, zostali ofiarami wojny.

Sierżantowi Floydowi Talbertowi wojna pozostawiła blizny i szramy na ciele, z którymi radził sobie doskonale, oraz wspomnienia, które w końcu wzięły nad nim górę. Powoli stoczył się, zostając alkoholikiem i włóczęgą. Żył z tego, co upolował i złowił, zarabiał na życie jako traper i przewodnik myśliwski w północnej Kalifornii. Przeszedł całą serię ataków serca.

Talbert był jednym z niewielu członków kompanii E, którzy po jej rozwiązaniu po prostu zniknęli. W 1980 roku Gordon potrzebował pomocy swego lokalnego kongresmana i syna George'a Luza, Steve'a, żeby go odnaleźć.

Sierżant Ranney przyłączył się do tych poszukiwań i w końcu udało im się odnaleźć Talberta w Redding, w Kalifornii. Namówili go, by wziął udział w spotkaniu weteranów kompanii E w San Diego w roku 1981.

Ranney rozesłał jego adres do pozostałych kolegów. Winters i inni napisali do niego listy. W swojej trzystronicowej odpowiedzi na list Wintersa Talbert wraca do wspólnych wspomnień:

Pamiętasz, jak prowadziłeś nas do Carentan? Widok Ciebie na środku tej drogi, jak się miotalesz, żeby nas popchnąć do przodu, był naprawdę ponad moje siły! [...] A pamiętasz, jak się cofaliśmy w Holandii? Porucznik Peacock rzucił na drogę swój karabinek i powiedział, że się dalej nie rusza. Przysięgam na Boga, że wziąłem go wtedy na muszkę, kazałem podnieść broń i ruszać dalej. Zrobił, co mu kazałem. Lubilem go. Był szczerym oficerem, wszystko robił według regulaminu, ale on po prostu nie był żołnierzem. Wszystko pozostawało między nami w porządku, póki pozwalał mi dowodzić ludźmi. [...] Dick, ja bym tak mógł bez końca. Nigdy, z nikim na ziemi do tej pory nie rozmawiałem o tym wszystkim. To, cośmy przeżyli, jest dla mnie święte.

Twój na wieki oddany żołnierz, Floyd Talbert

Do listu dołączył swoją aktualną fotografię. Wyglądał na niej jak traper z Dzikiego Zachodu. Pisząc odpowiedź, Winters kazał mu się ogolić i ostrzyc, zanim pojawi się na spotkaniu. Zrobił to, ale pojawił się na nim w złachmanionym myśliwskim ubraniu - bo innego po prostu nie miał. Następnego dnia z samego rana Gordon i Don Moone zabrali go do sklepu z męską odzieżą i ubrali od stóp do głów. Długo się nie nacieszył swoimi odnalezionymi przyjaciółmi i nowym ubraniem - zmarł, jeszcze zanim skończył się rok 1981.

Epitafium napisał mu Gordon:

Niemal wszyscy żołnierze kompanii E odnieśli rany, jedni poważniejsze, inni lżejsze. Jedni z nas kuleją, inni niedowidzą czy niedosłyszą, ale niemal wszyscy zdołaliśmy jakoś dostosować nasze życie do tych niedogodności i w końcu je sobie ułożyć. Tab toczył do końca codzienny konflikt z demonem, który czaił się w jego piersi. Drogo zapłacił za swoją wierną służbę ojczyźnie. Większą cenę mógłby zapłacić tylko, gdyby oddał jej w ofierze swe życie.

Dick Winters złożył mu ostatni i najwyższy hołd: „Jeśli chciałbym wybrać jednego, i tylko jednego, żołnierza, z którym miałbym wykonać jakiegokolwiek zadanie na wojnie, to byłby właśnie Talbert”.

Kapitan Herbert M. Sobel nie odniósł żadnych ran fizycznych, ale wojna ciężko zraniła go psychicznie. On także po wojnie zniknął. Ożenił się, miał dwóch synów, potem się rozwiódł i stracił kontakt ze swoimi dziećmi. Pracował jako księgowy w wytwórni osprzętu

elektrotechnicznego w Chicago. Na początku lat sześćdziesiątych major Clarence Hester, który przyjechał pewnego dnia w delegacji do Chicago, umówił się z nim na obiad. Sobel miał wiele żalu do żołnierzy kompanii E i w ogóle do życia. Dwadzieścia lat później Guarnere próbował go odnaleźć. Natrafił jedynie na jego siostrę, od której dowiedział się, że Sobel jest w bardzo złym stanie psychicznym i że wini za to kompanię E. Mimo to Guarnere opłacił za niego składki w stowarzyszeniu weteranów 101 DPD, licząc na to, że może uda się go przyciągnąć do tej organizacji. Na próżno. Wkrótce kapitan Sobel strzelił sobie w głowę, ale nawet to mu się nie udało. Zmarł we wrześniu 1988 roku. Jego pogrzeb był smutnym wydarzeniem. Nie pojawiła się na nim ani jego była żona, ani jego dzieci, ani żaden z byłych żołnierzy kompanii E.

Sierżant Skinny Sisk także z trudem wyzwolił się od wojennych wspomnień. W lipcu 1991 roku pisał do Wintersa, wyjaśniając, co się z nim do tej pory działo:

Po wojnie próbowałem zapić ten wagon szkopów, których ukatrupiłem w Holandii, i tych fanatycznych nazistów, których wyprawilem do Walhalli w Alpach. Stary Moe Alley powiedział kiedyś, żebym się tak nie starał z tym zabijaniem, bo przyjdzie dzień, w którym każdy z nich i wszyscy razem wskoczą mi do łóżka. Stary Moe jak zwykle miał rację. Po wojnie miałem mnóstwo koszmarów i zacząłem pić na umór.

Po kilku latach staczania się do mojego pokoju weszła czteroletnia córka mojej siostry (reszta rodziny nie mogła ze mną wytrzymać, bo albo byłem nawalony, albo kac mnie męczył) i powiedziała, że Jezus mnie kocha i ona mnie kocha, i że jeśli klęknę i ukorzę się, Pan Bóg przebaczy mi moje winy i śmierć tych wszystkich ludzi, których wciąż na nowo zabijałem w swoich koszmarach.

Ta mała dziewczynka przemówiła do mnie. Odesłałem ją do mamusi i od razu, tam i wtedy, ukląknęłam, położyłem czoło na starym łóżku mojej matki, po czym zacząłem prosić Boga o przebaczenie i ulgę w cierpieniach. Ukorzyłem się, a Bóg zesłał mi przebaczenie za wojnę i za wszystko to, czego się dopuściłem w życiu wcześniej i po niej. Pod koniec 1949 roku zostałem wyświęcony na pastora i uwierz mi Dick, od tego czasu tylko raz komuś przyłożyłem, bo naprawdę mu się należało. Mam czworo dzieci, dziewięcioro wnuków i dwoje prawnuków.

Jeśli Bóg pozwoli i Jezus się wstrzyma z powołaniem mnie do siebie, mam nadzieję, że zobaczymy się wszyscy na przyszlorocznym spotkaniu. Jeśli nie, ha, trudno. Zobaczymy się, kiedy przyjdzie czas na ostatni skok. Znasz mnie, wiesz, że nie zawaham się w drzwiach.

Wkład kompanii E w obronność ojczyzny nie ustał z jej rozwiązaniem. Część z jej żołnierzy pozostała w służbie zawodowej. Porucznik S.L. Matheson, jeden z pierwszych oficerów kompanii, który szybko odszedł z niej do sztabu pułku, zrobił największą karierę w

wojsku: został dwugwiazdkowym generałem i dowodził 101 Dywizją Powietrznodesantową. Bob Brewer doczekał się stopnia pułkownika, służąc po wojnie głównie w Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA) na Dalekim Wschodzie. Ed Shames dochrapał się pułkownikowskich orłów w rezerwie.

Sierżant Clarence Lyall służył zawodowo jako spadochroniarz. Dwa razy skakał bojowo w Korei i w 1954 roku został przydzielony jako doradca wojskowy do francuskiego 29 pułku spadochronowego, który obsadzał obóz warowny w Dien Bien Phu. Lyall zdołał się stamtąd wydostać na dwa tygodnie przed kapitulacją. Jest jednym z niewielu żyjących spadochroniarzy, którzy nabyli prawo do noszenia czterech gwiazd za skoki bojowe, a już na pewno jednym z niewielu, którzy mają w swoich papierach udział zarówno w bitwie ardeńskiej, jak i Dien Bien Phu - przynajmniej z tych, którzy w obu bitwach walczyli po tej samej stronie frontu.

Sierżant Robert „Burr” Smith także pozostał w wojskach powietrznodesantowych, gdzie doczekał się promocji oficerskiej i awansował, dosługując się w końcu stopnia podpułkownika - bardzo rzadkie osiągnięcie dla byłego podoficera w czasie pokoju. Dowodził oddziałem rezerwy Sił Specjalnych w San Francisco. W grudniu 1979 roku pisał do Wintersa:

Moje związki z rezerwą doprowadziły mnie w końcu do kontaktu z pewną agendą rządową, z ramienia której przez osiem lat siedziałem w Laosie jako cywilny doradca wojskowy dość dużej jednostki miejscowego pospolitego ruszenia. Do 1974 roku regularnie skakałem ze spadochronem, póki nie zacząłem z nudów próbować lotniarstwa, które stało się moją wielką pasją. [...] W chwili obecnej pełnię obowiązki specjalnego doradcy dowódcy Delta Force, jednostki antyterrorystycznej, stacjonującej w Fort Bragg. Zajmuję się tu (co za niespodzianka!) operacjami powietrznodesantowymi, treningiem strzeleckim i taktyką małych pododdziałów.

Mam tu biuro na Buckner Road, dokładnie naprzeciwko budynku, w którym kwaterowaliśmy ostatniej nocy przed wyruszeniem do Anglii. Stara buda wygląda tak, jakbyśmy z niej wczoraj wyszli, i jest nadal na co dzień używana. [...]

Ciekawa rzecz z tą współczesną armią, Dick. Służę w Delta Force, jednostce cieszącej się opinią, według mnie całkowicie zasłużenie, najlepszego oddziału całej Armii Stanów Zjednoczonych. Tymczasem, porównując ją całą i każdego jej żołnierza z osobna z kompanią E, gotów byłbym w każdej chwili wrócić do mojej kompanii z czasów wojny. Przez te trzy lata osiągnęliśmy w niej coś, do czego nawet trzydzieści lat pokojowego szkolenia nigdy nie doprowadzi.

Był wyznaczony do udziału w tajnej operacji w Iranie, mającej doprowadzić do uwolnienia amerykańskich zakładników z Teheranu w roku 1980, ale kiedy wieść o tym dotarła do Langley, CIA postawiła weto - znał zbyt wiele tajemnic Agencji.

I w ten sposób ominęła mnie zapewne największa przygoda w moim życiu, Dick. Żyłem z tymi chłopcami przez niemal dwa lata, pracowałem z nimi, szkoliłem ich i naprawdę było mi przykro, kiedy musiałem pozostać w kraju, [tu Smith zaczął rozważania o dowodzeniu i roli przywództwa]

[...] Dick, cieszyłeś się powszechnym szacunkiem i admiracją stu dwudziestu żołnierzy, właściwie cywilów poprzebieranych w mundury, którzy szli za tobą na pewną śmierć. Ja byłem w wojsku przez większość mojego dorosłego życia. Przez ten czas spotkałem tylko garstkę wielkich żołnierzy, z których mniej więcej połowę w czasie II wojny światowej, a z niej dwóch we własnej kompanii - ciebie i Billa Guarnere'a. Reszta z nas była w porządku [...], ogólnie rzecz biorąc nieźli żołnierze, paru nawet trochę lepszych, ale przez całe życie dowiedziałem się o opanowaniu w sytuacjach stresowych więcej, niż bym mógł chcieć, i muszę powiedzieć, że ty na pewno się nim odznaczałeś w najwyższym stopniu z nas wszystkich.

W 1980 roku Smith, oblatując eksperymentalną lotnię własnej konstrukcji, rozbił się i doznał poważnych złamań i obrażeń wewnętrznych. Przy okazji operacji płuc lekarze odkryli zaawansowany nowotwór. Rader, który wyciągnął Smitha z zalanego wodą pola 6 czerwca 1944 roku, odwiedził go w szpitalu. Dwaj starsi panowie wyciężali pamięć, bawiąc się w "grę nazwisk" - jeden podawał nazwisko człowieka z Toccoa, drugi miał go krótko opisać. Niedługo potem Smith zmarł.

Sierzant Amos „Buck” Taylor także związał się z CIA, spędzając ćwierć wieku w Wydziale Dalekowschodnim Dyrekcji Operacji Tajnych, częściowo w Waszyngtonie, częściowo w terenie. Nie mówił o tym wiele, poza krótką wzmianką następującej treści:

Największym zagrożeniem dla nas w tej części świata są komunistyczne Chiny, no i oczywiście Związek Radziecki. To daje jakieś pojęcie o tym, czym się zajmowałem. I tyle na ten temat.

Kiedy w 1945 roku kapitan Speirs wrócił do Anglii, okazało się, że jego „wdowa”, z którą się ożenił i miał syna, wcale nie była wdową. Jej mąż odnalazł się w obozie jenieckim i wrócił. Pani Speirs wolała swego pierwszego męża od Speirsa i razem z nim zatrzymali wszystkie łupy, które tak sumiennie grabił i przysyłał z Niemiec kapitan.

Speirs postanowił pozostać w Armii Stanów Zjednoczonych, pełniąc służbę zawodową. Wykonał bojowy skok w Korei i dowodził tam frontową kompanią piechoty. W

roku 1956 rozpoczął kurs języka rosyjskiego w Monterey w Kalifornii, po czym służył przez pewien czas w Poczdamie jako oficer łącznikowy między armiami obu supermocarstw. W roku 1958 został amerykańskim członkiem rady zarządzającej berlińskim więzieniem w Spandau, gdzie odsiadywał swoje dożywocie Rudolf Hess. W 1962 roku pojechał do Laosu na czele amerykańskiej misji doradczej przy Królewskiej Armii Laotańskiej.

Dziś, kiedy wciąż jeszcze żyjący żołnierze kompanii E dzwonią do niego i zaczynają rozmowę od słów:

- Pan mnie pewnie nie pamięta, ale służyliśmy razem na wojnie...

Speirs zwykle odpowiada:

- Ale na której?

Jego syn Robert, który urodził się w czasie wojny w Anglii, jest majorem pułku King's Royal Rifle Corps, słynnych „zielonych kurtek”, stanowiąc „radość i dumę” sędziwego oficera kompanii E.

* * *

David Webster nie był w stanie zrozumieć, jak ktokolwiek mógłby zostać z własnej woli w wojsku. Chciał być pisarzem. Przeprowadził się do Kalifornii, i tu chwycił się najróżniejszych prac, by zarobić na utrzymanie, pisując w wolnych chwilach artykuły i książkę o swoich wojennych doświadczeniach. Artykuły drukowało mu wiele pism i gazet, najbardziej prestiżowym był „Saturday Evening Post”, ale nie mógł znaleźć wydawcy na swoją książkę. W końcu został reporterem, najpierw wychodzącej w Los Angeles gazety „Daily News”, potem prestiżowego „The Wall Street Journal”. W roku 1951 poślubił Barbarę Stoessel, artystkę, siostrę Waltera J. Stoessela, amerykańskiego ambasadora w Polsce, Związku Radzieckim i Niemczech Zachodnich.

Webster miał zawsze bzika na punkcie rekinów. Barbara wspomina: „Dla niego rekin był symbolem wszystkiego, co tajemnicze i groźne na morzu. Zaczął zbierać materiały do książki o rekinach. Chciał mieć wiadomości z pierwszej ręki, więc nauczył się nurkować i pływał pod wodą z rekinami, wiele też złowił na linkę z hakiem, polując na nie ze swojej trzymetrowej żaglówki, którą ochrzcił Tusitala, co po hawajsku ma znaczyć „Bajarz”, człowiek, który opowiada historie.

Napisał w końcu tę książkę i dwadzieścia dziewięć razy próbował ją opublikować, ale nie potrafił przekonać żadnego wydawcy, że ktokolwiek może chcieć czytać o rekinach.

Dziewiątego września 1961 roku Webster wypłynął z Santa Monica na kolejną wyprawę z liną, hakiem na rekiny i kubłem krwistej przynęty. Nigdy już z niej nie powrócił.

Następnego dnia odnaleziono zalaną wodą Tusitala około pięciu mil morskich od brzegu. Brakowało jednego wiosła i steru. Ciała nigdy nie znaleziono.

Po śmierci Webstera Barbarze udało się wreszcie wydać jego książkę (*Myth and Maneater*, W.W. Norton & Co, 1963). Potem przyszło wydanie brytyjskie i australijskie w broszurowej oprawie. Dell wydał masową edycję jego książki, kiedy na ekrany kin weszły w roku 1975 Szczęki.

Trzech sierżantów kompanii dorobiło się sporych pieniędzy. John Martin poszedł za stypendium kombatanckie na studia na Uniwersytecie Ohio, po czym wrócił na kolej. Został dyrektorem, miał samochód służbowy, sekretarkę, zarabiał na swoją emeryturę, a jednocześnie na boku dorabiał się na spekulacji gruntami i budowie domów pod wynajem.

W 1961 roku rzucił to wszystko i wbrew zaciekłym protestom żony i dzieci, które wtedy uczyły się w szkołach średnich, przeniósł się do Phoenix w Arizonie i zaczął budować domy. Jego firma miała kapitał zakładowy w wysokości ośmiu tysięcy dolarów i wszyscy uważali, że zwariował. Pod koniec pierwszego roku zrobił jednak takie pieniądze, że samego podatku zapłacił od tego więcej, niż przez całe życie zarobił na kolei. Wkrótce zaczął samodzielnie finansować budowę całych osiedli apartamentowców i domów opieki. Jego interesy z wolna objęły także Teksas i Montanę. W 1970 roku kupił ranczo w górach zachodniej Montany, zajmując się hodowlą i handlem bydłem, o czym marzył, odkąd jako dziecko oglądał pierwsze westerny. Dziś jest multimilionerem. Nadal kocha ryzyko, choć już nie wyskakuje w locie z samolotów. Wielokrotnie odrzucił propozycje sprzedania swego przedsiębiorstwa. Jego prezesem jest dziś nadal John Martin, a żona Patricia wiceprezesem i skarbnikiem. Oboje są także dyrektorami i jedynymi akcjonariuszami firmy.

Don Moone za swoje stypendium kombatanckie ukończył Grinell College i pracował w reklamie. W szybkim czasie zrobił tam karierę. W 1973 roku został prezesem wielkiej nowojorskiej agencji reklamowej Ketchum, MacLeod and Grove, Inc. Cztery lata później, w wieku pięćdziesięciu jeden lat, przeszedł na emeryturę, zbudował dom na Florydzie i od tej pory żyje tam w luksusie.

Podporucznik Carwood Lipton ukończył studia inżynierskie w Marshall College (dziś uniwersytet), a w tym czasie jego żona Jo Anne urodziła mu trzech synów. Lipton pracował w Owens-Illinois, Inc. W firmie regularnie awansował i w 1971 roku przeniósł się do Londynu, gdzie z ramienia swojej firmy pełnił obowiązki dyrektora do spraw produkcji w ośmiu hutach szkła w Anglii i Szkocji. W 1974 roku przeniósł się do Genewy w Szwajcarii, skąd kierował oddziałem firmy w Europie, na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Rok później owdowiał, kiedy Jo Anne zmarła na atak serca. W następnym roku Lipton ożenił się ponownie, z Marie Hope

Mahoney. Marie była najbliższą przyjaciółką Jo Anne, podobnie bliskie więzi łączyły Carwooda z jej zmarłym mężem. Niedługo potem Lipton zadebiutował jako pisarz - na polecenie prezesa rady nadzorczej United Glass, Ltd. napisał podręcznik zarządzania pracą zespołową, *LeadingPeople* (Kierowanie ludźmi). Na czym, jak na czym, ale na tym znalazł się doskonale.

Odszedł na emeryturę w roku 1983. Napisał do mnie:

Obecnie żyję sobie wygodnie na emeryturze, w Southern Pines, w północnej Kalifornii. Jeszcze w czasie szkolenia w Camp Mackall postanowiłem, że po wojnie właśnie tu chcę zamieszkać. Moje hobby to podróże po całym świecie, golf, modelarstwo, praca w drewnie i czytanie.

Lewis Nixon nie musiał się dorabiać, był zawsze bogaty. Po wojnie przejął wielkie imperium przemysłowe i rolnicze ojca, kierując nim i niemal bez przerwy podróżując po świecie. Obecnie jego główną pasją jest czytanie.

* * *

Porucznik Buck Compton pozostał w służbie publicznej, więc dorobił się raczej sławy niż pieniędzy. W latach 1947 do 1951 był detektywem w policji miejskiej Los Angeles, po czym spędził dwadzieścia lat w biurze prokuratora okręgowego. W roku 1968 kierował śledztwem w sprawie Sirhana Sirhana, zabójcy Roberta Kennedy'ego, i potem oskarżał go w sądzie. W dwa lata później gubernator stanowy, Ronald Reagan, mianował go zastępcą sędziego Kalifornijskiego Sądu Apelacyjnego. Z żoną Donną mają dwie córki i jedną wnuczkę. Pozostał najlepszym sportowcem w kompanii, tyle że teraz uprawia głównie golfa, za to na mistrzowskim poziomie.

Sierżant Mike Ranney ukończył studia dziennikarskie na Uniwersytecie Dakoty Północnej, po czym z powodzeniem zajmował się pracą reportera, wydawcy gazety i w końcu doradcy do spraw publicznego wizerunku wielu firm. On i jego żona Julia dochowali się pięciu córek i siedmiorga wnuków. Od 1980 wydaje pismo, którego regularność wydawania najlepiej charakteryzuje jego tytuł: „Spazmatyczny Biuletyn Kompanii E”. Można w nim przeczytać:

Marzec 1982: Kontyngent pensylwański zebrał się u Dicka Wintersa, atakując z zaskoczenia niespodziewanym przyjęciem urodzinowym Harry'ego Welsha. Fenstermaker, Strohl, Guarnere i Guth bawili się doskonale.

1980: Tegoroczne letnie spotkanie kompanii E w Nashville zapowiada się na najliczniejsze w jej dziejach. Do tej pory udział potwierdzili: Dick Winters, Harry Welsh, Moose Heyliger i Buck Compton z oficerów, Chuck Grant, Paul Rogers, Walter Scott Gordon,

Tipper, Guarnere, Rader, Heffron, Ranney, Johnny Martin, George Luz, Perconte, Jim Alley i wyobraźcie sobie - sam Burr Smith!

1983: Don Moone odszedł na emeryturę ze swojej agencji reklamowej i mieszka na Florydzie. On, Gordon i Carwood Lipton spotkali się w Nowym Orleanie.

Z niewielkimi wyjątkami wszyscy ci ludzie nie mieli ze sobą żadnych zawodowych powiązań. Żaden z nich nie mieszkał w tym samym mieście, mało który w tym samym stanie, co reszta kolegów - tu wyjątkiem była jedynie Pensylwania. Pomimo tych trudności pozostawali ze sobą w stałym kontakcie. W styczniu 1981 roku Moone pisał do Wintersa, by podziękować mu za życzenia świąteczne i prezent pod choinkę, donosząc przy okazji o swoim odkryciu:

Odnalezienie wreszcie Talberta jest wspaniałą wiadomością. Natychmiast do niego zadzwoniłem i kiedy już skończyliśmy nawzajem obrzucać się obelgami, porozmawialiśmy. Zawsze bardzo lubilem Taba. W dawnych czasach bardzo mi pomógł, zajął się mną i opiekował. W Nowy Rok, o szóstej rano mojego czasu, Tab zadzwonił do mnie z życzeniami. Był narąbany, ale mówił z sensem. Przyznał, że ma problemy z butelką, jak podejrzewaliśmy, ale poza „specjalnymi okazjami” jest w stanie normalnie funkcjonować. Zgaduję, że ten Nowy Rok, to była jedna z tych „specjalnych okazji”.

W sylwestra o trzeciej rano dzwonił do mnie z kolei Malarkey, który też, zdaje się, miał już nieźle w czubie.

Ranney odszedł na emeryturę, by zająć się pisaniem poezji i pamiętników, ale zanim zdążył zacząć, zmarł we wrześniu 1988 roku.

Poza Heyligerem, Martinem, Guarnere'em i Toye'em wielu innych także pracowało w firmach budowlanych, produkcyjnych czy podobnych. Kapitan Clarence Hester kierował firmą dekarską w Sacramento, w Kalifornii. Sierżant Robert „Popeye” Wynn był monterem konstrukcji stalowych na budowach wieżowców i mostów. Szeregowy John Plesha pracował w Zarządzie Autostrad stanu Waszyngton. Sierżant Denver „Bull” Randleman został dyrektorem firmy specjalizującej się w ciężkich konstrukcjach budowlanych w Luizjanie. Sierżant Walter Hendrix czterdzieści pięć lat spędził w branży kamieniarskiej, zajmując się szlifowaniem i polerowaniem granitu. Sierżant Burton „Pat” Christenson przez trzydzieści osiem lat w firmie telekomunikacyjnej Pacific Telephone and Telegraph Company budował nowe linie telefoniczne, potem kierował ich tworzeniem, aż w końcu zajął się uczeniem zawodu swoich następców. Sierżant Jim Alley był cieślą, potem pracował przy budowie tamy wysokowodnej na granicy amerykańsko-kanadyjskiej, by w końcu otworzyć własną firmę budowlaną w Kalifornii.

Jeszcze kilku innych, poza Leo Boylem, zostało nauczycielami. Po dwudziestoletniej służbie w Armii Stanów Zjednoczonych sierżant Leo Hashey uczył ratowników w szkole Czerwonego Krzyża w Portland, w stanie Oregon. Dosłużył się tam w końcu stanowiska dyrektora do spraw nauczania bezpieczeństwa i higieny. Sierżant Robert Rader przez ponad trzydzieści lat był nauczycielem dzieci specjalnej troski w szkole średniej specjalnej w Paso Robles, w Kalifornii. Kapitan Harry Welsh ożenił się natychmiast po powrocie do Stanów, a panna młoda, Kitty Grogan, miała na sobie suknię uszytą z czaszy jego zapasowego spadochronu, z którym skakał w D-Day w Normandii i nie rozstawał się do końca wojny. Poszedł na studia, potem uczył, potem skończył studia podyplomowe, został pedagogiem szkolnym, a w końcu dyrektorem administracyjnym szkoły średniej. Sierżant Forrest Guth nauczał fachu drukarskiego, potem stolarstwa, elektrotechniki, elektroniki, był realizatorem dźwięku przedstawień szkolnych teatrów w Norfolk w Wirginii oraz Wilmington w stanie Delaware, aż do emerytury.

Szeregowy Ralph Stafford pisze:

Skończyłem studia w 1953 roku i zacząłem uczyć w szóstej klasie szkoły w Fort Worth w Teksasie. Uczyłem przez trzy lata, potem zostałem dyrektorem szkoły podstawowej i byłem nim przez dwadzieścia siedem lat, kochając tę pracę jak żadną inną. Wybrano mnie na przewodniczącego V okręgu Związku Nauczycielstwa Stanu Teksas (Dallas - Fort Worth, dwadzieścia tysięcy członków).

W roku 1950 dałem się wyciągnąć na polowanie kilku kumpłom-strażakom. Pierwszego ptaka trafiłem bez problemu, z podrzutu i potem miałem cholerne wyrzuty sumienia, patrząc na niego, kiedy pies położył mi go pod nogi. Co zawinił ten biedny ptaszek, żeby go zaraz musiał zabijać? Nic mi nie zrobił, zresztą co on by mi mógł zrobić? Wróciłem do samochodu i zostałem w nim, póki reszta nie wróciła. To był ostatni raz, kiedy byłem na polowaniu.

Sierżant Ed Tipper studiował najpierw na Uniwersytecie Michigan, a potem kontynuował swoje studia na Uniwersytecie Kolorado. Przez ponad trzydzieści lat był nauczycielem w szkole na przedmieściach Denver.

Po przejściu na emeryturę wyjechałem do Kostaryki, odwiedzić jednego z dawnych uczniów. Tam poznałem Rositę, młodszą ode mnie o trzydzieści cztery lata. Po niemal rocznych zalotach w zupełnie starym stylu pobraliśmy się, pomimo zacieklego oporu wszystkich, których znałem, z wyjątkiem Dicka Wintersa. Ciężko się było z nimi nie zgadzać, zwłaszcza z argumentem, że małżeństwo z sześćdziesięcioletnim starcem oznaczało prawdopodobnie konieczność rezygnacji z własnych dzieci, co dla każdej Latynoski jest

poważnym problemem. Dziesięć miesięcy po ślubie przyszła na świat nasza córeczka Kerry. Rosy podjęła studia medyczne na uniwersytecie w Guadalajarze i tam w 1989 roku dostała dyplom lekarski.

Niedługo przed napisaniem tego listu był operowany na raka.

Moja żona, córka i ja właśnie przeprowadziliśmy się do nowego domu. To może dziwne, żeby siedemdziesięciolatek kupował nowy dom, ale w naszej rodzinie mamy motto: „Na nic nigdy nie jest za późno”.

Sierżant Rob Bain ukończył Western Washington College (obecnie uniwersytet) w 1950 roku. W tym samym roku ożenił się, miał czworo dzieci i przez dwadzieścia pięć lat był nauczycielem i dyrektorem administracyjnym szkoły w Anchorage na Alasce. Letnie wakacje spędza jako rybak, „z siecią w ręku w po pas lodowatej wodzie, uganiając się za wspaniałymi łososiami”.

Ed Tipper podsumowuje tę wyliczankę pytaniem: „Czy to może być tylko przypadek, że aż tylu byłych żołnierzy kompanii E zostało nauczycielami? Może przejście przez okres absolutnej destrukcji i przemocy wzbudziło w nich tęsknotę za czymś kreatywnym, by odreagować to, co przeżyli, by resztę życia spędzić dla równowagi na budowaniu, a nie niszczeniu? To by się potwierdzało na naszych spotkaniach: liczba budowniczych i nauczycieli wśród naszych kolegów bije na głowę inne zawody”.

Szeregowy Bradford Freeman wrócił na wieś. W 1990 roku Winters pisał do niego, że często jeździ na południe spotykać się z Walterem Gordonem i chciałby przy okazji zajrzeć do niego, żeby obejrzeć farmę. Freeman odpisał:

Byłbym ogromnie zaszczycony, gdyby zechciał mnie Pan odwiedzić, będąc kiedykolwiek w Missisipi. Jeśli będzie to w lecie, mamy tu wspaniałą cień, w którym można spokojnie siedzieć. Jeśli to będzie w zimie, mamy porządną piec i zapas węgla. Jedyne zajęcia, jakim jeszcze może się oddawać na wsi człowiek w moim wieku, to uprawianie ogródka i koszenie trawy w lecie, a potem karmienie krów i świń w zimie. Resztę czasu spędzam, polując i łowiąc ryby. W przerwach patrzę na barki płynące po naszej rzece Tombigbee. Przesyłam zdjęcie domu i naszych krów. Na ganku znajdziemy sobie znakomite miejsce, żeby posiedzieć i pogadać. Pozostaję z nadzieją, że któregoś dnia zaszczyt mnie Pan swoją wizytą.

Winters odwiedził go. To była bardzo udana wizyta. Poprosił potem Freemana, żeby opisał na potrzeby tej książki swoje koleje losu po wojnie. Freeman skonstatował:

- To, co napisałem, nie wygląda może zbyt imponująco, ale przeżyłem dobre życie i z nikim bym się nie zamienił.

Major Richard Winters także spisał dla mnie swoją powojenną historię.

Po zwolnieniu ze służby wojskowej 29 listopada 1945 roku Lewis Nixon zaprosił mnie do Nowego Jorku i przedstawił swoim rodzicom. Jego ojciec zaproponował mi pracę i tak zostałem dyrektorem personalnym Zakładów Azotowych Nixona w Nixon, w stanie New Jersey. Wykonując tę pracę, skorzystałem ze stypendium kombatanckiego, skończyłem studia w zakresie zarządzania na Uniwersytecie Rutgersa. Po uzyskaniu dyplomu w 1950 roku zostałem mianowany dyrektorem generalnym zakładów w Nixon.

W 1948 roku ożeniłem się z Esthel Estoppey. Mamy dwoje dzieci. Tim skończył anglistykę na Uniwersytecie Stanu Pensylwania, a Jill skończyła Albright College. W czasie wojny koreańskiej powołano mnie z rezerwy do służby czynnej. W Fort Dix, w New Jersey, zostałem oficerem planowania i szkolenia (S-3) sztabu pułku. Po demobilizacji wróciłem do Pensylwanii, sprzedawałem produkty farmaceutyczne dla zwierząt i mieszanki witaminowe firmom produkującym pasze. W 1951 roku kupiłem farmę u podnóża Blue Mountain, jakieś dziesięć kilometrów na wschód od Indiantown Gap. Tam znalazłem ciszę i spokój, które sobie obiecałem w D-Day.

Ten opis w typowy dla Wintersa sposób przemilcza jego osiągnięcia. Żyje skromnie na swojej farmie lub w małym domku w Hershey, ale jest człowiekiem bogatym. Karierę i dostatek zawdzięcza stworzeniu i udanemu wprowadzeniu na rynek nowych pasz dla bydła z dodatkami witaminowymi oraz innych produktów hodowlanych, które zrewolucjonizowały przemysł spożywczy.

To chyba najłagodniejszy człowiek, jakiego znam. W lipcu 1990 roku, kiedy skończył mi opowiadać o tym, jak znieśli siłami jednego plutonu niemiecką kompanię na wale przeciwpowodziowym 5 października 1944 roku, ruszyliśmy na spacer wokół stawu na jego farmie. Stado około trzydziestu kanadyjskich gęsi wystartowało z niego, pozostawiając za sobą jedną, która płacząco gęgała za resztą. Winters wyjaśnił mi, że miała złamane skrzydło. Powiedziałem wtedy:

- Może lepiej byłoby ją zastrzelić, zanim jakiś lis zadusi. Wrzucić do zamrażarki i będzie jak znalazł na Święto Dziękczynienia.

Popatrzył na mnie osłupiały.

- Jak mógłbym zrobić coś takiego? - zapytał, przerażony samą myślą o podobnym barbarzyństwie.

Major Winters nie jest dziś zdolny nawet do myśli o zadaniu gwałtu jakiegokolwiek żywej istocie. Nigdy nie podnosi głosu, gardzi wyolbrzymianiem swego udziału w wojnie, tak powszechnym u niektórych kombatanatów, pozerstwem i chępliwością. Osiągnął w życiu dokładnie to, czego chciał, spokój i ciszę, którą sobie obiecywał, kładąc się spać w nocy z 6

na 7 czerwca 1944 roku. Oraz dozągonny szacunek i miłość wszystkich tych, którymi dowodził w kompanii E w latach II wojny światowej.

W jednym z wydań swego „Spazmatycznego Biuletynu” Mike Ranney napisał:

Wracając myślami do dni kompanii E, przypominam sobie odpowiedź, jakiej udzieliłem wiele lat temu wnuczkowi, który przyszedł do mnie i zapytał:

- Dziadku, czy ty byłeś w czasie wojny bohaterem?

Odparłem mu wtedy:

- Nie, ale służyłem w kompanii bohaterów.

Podziękowania i źródła

Jesienią 1988 roku weterani kompanii E 506 pułku piechoty spadochronowej 101 Dywizji Powietrznodesantowej odbywali swój zjazd w Nowym Orleanie. Jako dyrektor Centrum Eisenhowera Uniwersytetu Nowego Orleanu, wraz z moim zastępcą Ronem Drezem, pojechałem do ich hotelu, by nagrywać relacje o D-Day do naszego archiwum. To była doskonała okazja, tym bardziej że kompania E odegrała tamtego dnia bardzo ważną rolę, śmiałym atakiem unieszkodliwiając niemiecką baterię, która blokowała dostęp z odcinka Utah w głąb łądu.

Kiedy major Richard Winters, jeden z jej pierwszych oficerów, potem dowódca, a wreszcie dowódca 2 batalionu, przeczytał stenogram z tych relacji, był niemile zaskoczony pewnymi nieścisłymi i przesadnymi stwierdzeniami. Nalegał, bym sprostował nieścisłości. W lutym 1990 roku Winters, Forrest Guth i Carwood Lipton zebraли się w Pass Christian w stanie Missisipi u Waltera Gordona. Jako że mieszkam w Bay St. Louis, naprzeciw Pass Christian po drugiej stronie zatoki, Gordon jest moim sąsiadem. Zadzwoził do mnie i zapytał, czy nie chciałbym wpaść, żeby jeszcze porozmawiać z weteranami kompanii E. Jasne, że chciałem! Tyle że w tym celu zaprosiłem ich do siebie. Spędziliśmy wspaniałe, bardzo owocne popołudnie w moim gabinecie nad rozłożonymi mapami, przy włączonym magnetofonie. Potem, przy pieczeniu mojej żony Moiry, panowie wspominali o swoich późniejszych doświadczeniach w Normandii, w Holandii, Belgii, Niemczech i Austrii.

Wszyscy czytali moją poprzednią książkę, Pegasus Bridge; Centrum Eisenhowera dawało ją każdemu weteranowi, który zgodził się złożyć swoją relację do jego zbiorów. To Winters podsunął mi pomysł, że historia kompanii E mogłaby się stać kanwą kolejnej książki.

W owym czasie kończyłem prace nad trzecim i ostatnim tomem biografii Richarda Nixona. Pomysł Wintersa padł na żyzną glebę z kilku powodów.

Po pierwsze, po grzebaniu się w kulisach polityki, miałem ochotę na powrót do historii militarnej. Planowałem książkę o D-Day, ale jako że zamierzano ją wydać na okrągłą

pięćdziesiątą rocznicę lądowania, w 1994 roku, nie było sensu zaczynać jej przed 1992. Dotarłem już do takiego punktu w swoim życiu, w którym dzień spędzony bez pisania wpędza mnie w melancholię, więc szukałem jakiegoś tematu, który pozwoliłby mi rozgrzać pióro przed tamtą monografią, napisać coś krótkiego o II wojnie światowej, co miałyby na dodatek jakiś związek z D-Day.

Historia kompanii E nadawała się więc idealnie. Zbierając materiały do *Pegasus Bridge*, poznałem historię brytyjskiej 6 Dywizji Powietrznodesantowej, która samotnie utrzymywała lewy skraj rejonu desantowania operacji Neptune. Korciło mnie zagłębienie się w historii pojedynczej kompanii 101 DPD, która pełniła podobne zadanie na jego prawym skraju.

Istniało coś jeszcze, co zachęcało mnie do tematu. To była ta niezwykła więź łącząca czterech starszych panów siedzących po drugiej stronie naszego stołu. Od ćwierci wieku żyję z przepytывania weteranów o ich wojenne przeżycia, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Kiedy mówili o innych kolegach ze swojej kompanii, o licznych spotkaniach, które odbywali od dziesięcioleci, jasne było dla mnie, że ich wojenne braterstwo trwa nieprzerwanie, przez wszystkie te lata, które minęły od tamtego czasu. Nadal byli niczym bracia. Mimo że los ich rozrzucił po całej Ameryce i poza nią, znali na wrywki żony, dzieci i wnuki swoich kolegów, ich problemy i sukcesy. Regularnie się odwiedzali, utrzymywali stały kontakt telefoniczny i listowny. Pomagali sobie w biedzie i potrzebie. A łączyły ich zaledwie trzy lata wspólnych przeżyć w czasie wojny, i to na skutek przypadku, który sprawił, że Armia Stanów Zjednoczonych zetknęła ich ze sobą w jednej kompanii.

Bardzo mnie zaciekawiło, skąd się wzięła ta tak zadziwiająco trwała więź i zażyła bliskość. To przecież coś, co każda armia na świecie stara się stworzyć, ale tak nieczęsto się udaje - i rzadko w takim stopniu jak w tej kompanii. Jedynym sposobem zaspokojenia mojej ciekawości było zabrać się do roboty i napisać jej historię.

W maju 1990 roku Drez pojechał na spotkanie kompanii E w Orlando na Florydzie, gdzie nakręcił ponad osiem godzin filmu na wideo z zapisem wywiadu z byłymi żołnierzami kompanii E. W tym samym miesiącu przez trzy dni maglowałem pytaniami Gordona. W lipcu pojechałem do Wintersa na jego farmę w Pensylwanii, gdzie znowu „przesłuchiwałem” go przez cztery dni. Czwartego dnia, zjechało się tam sześciu innych jego kolegów z kompanii, mieszkających na Wschodnim Wybrzeżu. Potem jesienią 1990 roku spędziłem weekend w domu Carwooda Liptona w Southern Pines, przepytując jego i Billa Guarnerę, który do nas dołączył. Prosto stamtąd poleciałem do Oregonu, by następny weekend spędzić z Donem Malarkeyem i grupą kombatantów z Zachodniego Wybrzeża.

Z tuzinem innych weteranów kompanii toczyłem długie rozmowy telefoniczne, prowadziłem też obfitą korespondencję z niemal wszystkimi żyjącymi jeszcze byłymi żołnierzami kompanii E. Z mojej namowy dziesięciu z nich napisało swoje wojenne pamiętniki liczące od dziesięciu do ponad dwustu stron. Nadsyłano mi kopie listów pisanych w czasie wojny i po niej, wycinków prasowych i prowadzonych przez nich dzienników.

W listopadzie 1990 roku pojechałem wraz z Moirą, by zapoznać się z miejscami, w których walczyła kompania E w Normandii i Belgii. Rozmawiałem tam z Francuzami, którzy mieszkali w okolicy, kiedy toczyły się te walki. W lipcu 1991 roku ponownie je objechaliśmy, tym razem w towarzystwie Wintersa, Liptona i Malarkeya. Wraz z Moirą i Wintersem spędziliśmy popołudnie u pułkownika barona Fredericka von der Heydte, w jego domu w okolicach Monachium.

Pani Barbara Embree, wdowa po Websterze, przekazała mi kopie jego listów do domu i wspomnienia spisane z myślą o wydaniu po wojnie. Webster był pilnym obserwatorem oraz doskonałym pisarzem. Jego wkład w powstanie tej książki jest wprost nieoceniony.

Bardzo przydała się także pułkowa kronika Curraheel!, sporządzona przez porucznika Jamesa Mortona i opublikowana przez dział kontaktów ze społeczeństwem sztabu 506 pułku piechoty spadochronowej w 1945 roku. Jej egzemplarz podarował mi Don Malarkey, za co tym większe dzięki, że to obecnie biały kruk. *Rendezvous with Destiny*, historia 101 DPD pióra Leonarda Rapporta i Arthura Northwooda, pozwoliła mi osadzić działania kompanii w szerszych ramach, podając też wiele istotnych faktów, liczb, detali, informacji o panującym nastroju. Inne źródła wymienione są w tekście.

Kiedy pisałem *Pegasus Bridge*, zdecydowałem nie pokazywać mojego rękopisu dowódcy kompanii D pułku piechoty Oxfordshire and Buckinghamshire Light Infantry, majorowi Johnowi Howardowi, ani żadnemu z pozostałych trzydziestu żołnierzy piechoty szybowcowej, z którymi rozmawiałem w czasie tworzenia książki. Musiałem zdążyć przed szybko zbliżającym się terminem oddania tekstu i nie mogłem poświęcić miesięcy, które tego typu konsultacje by pochłonęły. Weterani bardzo często potrafią do upadłego się spierać o jakieś szczegóły mało istotne z punktu widzenia wydarzeń, a rzadko wnoszą coś naprawdę ważnego do opisu głównych wypadków. Żaden z nich nie przyznałby, że napisałem absolutnie wyczerpującą i absolutnie zgodną z prawdą relację i obawiałem się, że gdyby zobaczyli maszynopis, utknąłbym w nieskończonych sporach, czy to albo tamto się zdarzyło i jaki miało według każdego z nich przebieg.

Uznałem, że moim zadaniem jest, polegając na własnym osądzie, wybrać najbardziej prawdopodobną wersję zdarzeń. Odrzucić to, co mogło być naturalną u starych żołnierzy

przesadą i rozwinąć, co nadmierna skromność kazała innym zbagatelizować jako tuzinkowy incydent.

Mówiąc krótko, uważałem, że wprawdzie to ich historia, ale książka jest moja. John Howard był bardzo zawiedziony, że nie miał okazji zasugerować poprawek i zmian. W czasie, który upłynął od wydania *Pegasus Bridge*, zdołał mnie przekonać, że to on miał rację, a ja się myliłem. Gdybym miał czas i pozwolił Johnowi i innym przejrzeć to, co napisałem, zasugerować poprawki i ustosunkować się do moich stwierdzeń, moja książka byłaby pełniejsza i po prostu lepsza.

Tym razem chciałem uniknąć powtórzenia tego samego błędu i maszynopis książki rozesłałem wszystkim żyjącym żołnierzom kompanii E. Otrzymałem od nich mnóstwo opinii, sprostowań i sugestii. Zwłaszcza Winters i Lipton zadali sobie szczególnie dużo trudu, dosłownie linijka po linijce przeglądając i komentując moje dzieło. Ta książka jest więc w dużej mierze nie moim, a naszym, grupowym dziełem. Nie twierdzimy, że jest pełną i wyczerpującą historią kompanii E, bo to niemożliwe z uwagi na czas zacierający wspomnienia i brak relacji ludzi, którzy nie dożyli naszych czasów - zginęli na wojnie lub zmarli po niej. Uważamy jednak, że poprzez ciągłe sprawdzanie i przeglądanie tekstu, przez konsultacje telefoniczne i korespondencję, wizyty na polach bitew, udało nam się ująć jej historię najściślej, jak to było możliwe.

Powstawanie tej książki było dla mnie pamiętnym przeżyciem. Kiedy skończyła się II wojna światowa, miałem dziesięć lat. Jak wielu Amerykanów w moim wieku, podziwiałem - nie, wręcz ubóstwiałem - naszych żołnierzy. Myślałem wtedy i myślę tak nadal, że dokonali rzeczy nadludzkiej, wręcz wymykającej się jakimkolwiek pochwałom. Poznanie tak wielu z nich, zwłaszcza Krzyczących Orłów, żołnierzy najsłynniejszej z naszych dywizji, było dla mnie zaszczytem. Szczycę się także tym, że weterani uczynili mnie honorowym członkiem kompanii E. Jako że już wcześniej zostałem w podobny sposób honorowym członkiem kompanii D pułku Ox and Bucks, jestem kryty z obu stron. Żeby mi się tylko nie przewróciło w głowie od tych zaszczytów.

Stephen E. Ambrose

Eisenhowerplatz, Bay St. Louis październik 1990 - maj 1991

The Cabin, Dunbar, Wisconsin maj-wrzesień 1991